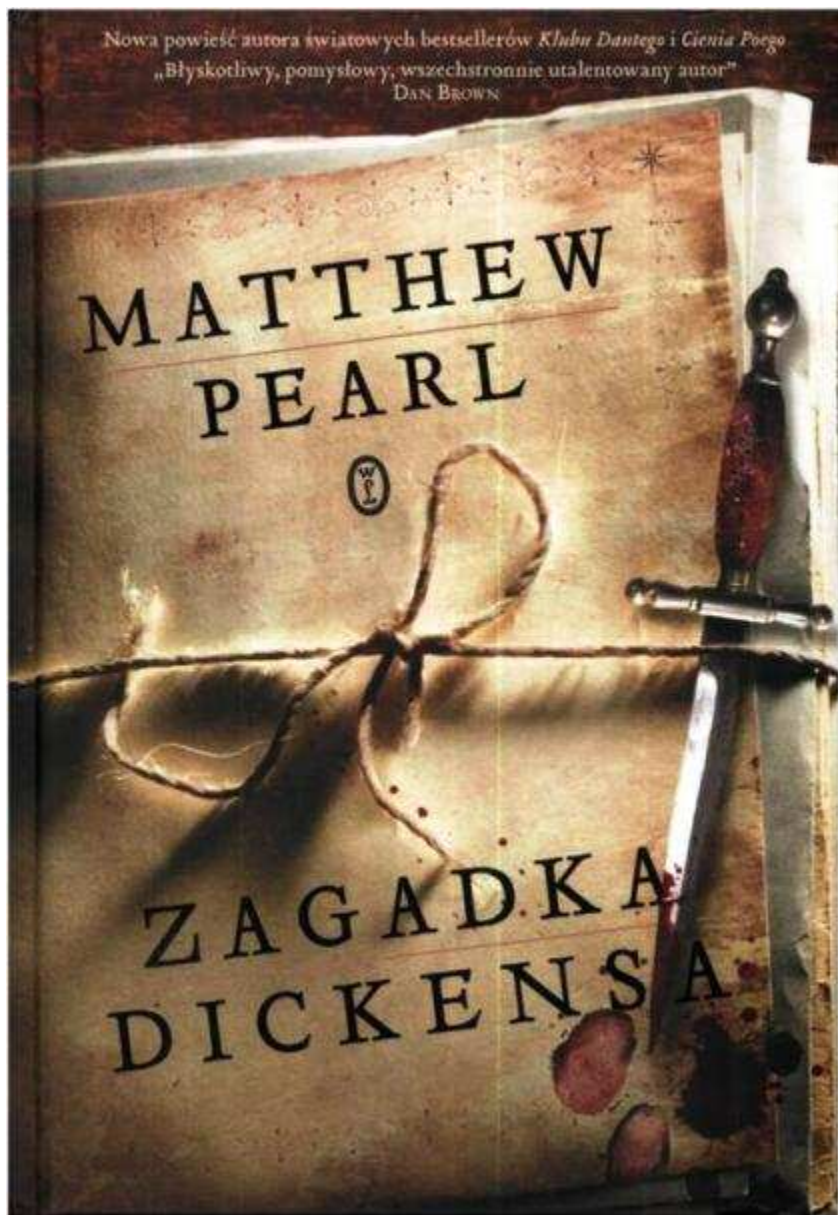


Nowa powieść autora światowych bestsellerów *Klubu Dantego* i *Cienia Poe*  
„Błyskotliwy, pomysłowy, wszechstronnie utalentowany autor”  
DAN BROWN

MATTHEW  
PEARL



ZAGADKA  
DICKENSA



## Książka niosąca śmiertelne zagrożenie!



Poznaj mroczną zagadkę nieujawnionego do dzisiaj zakończenia ostatniej powieści Charlesa Dickensa. Komu zależało, by *Tajemniczy Edwina Drooda* nie wydano w całości?

**R**ok 1870. Uwielbiany przez cały świat Charles Dickens niespodziewanie umiera. Jego ostatnia powieść, publikowana w odcinkach, urywa się w połowie. Wydawca amerykański, James Osgood, który niedawno gościł Dickensa na tournée po Stanach Zjednoczonych, rusza do Anglii w poszukiwaniu zakończenia książki. Jest to dla wydawnictwa kwestia: być albo nie być. Zabiera ze sobą piękną współpracownicę Rebeke Sand. Jej brat ginie wcześniej w niejasnych okolicznościach, zamroczony opium; ktoś zabiera mu przy tym przesyłkę z fragmentem powieści Dickensa...

Wraz z bohaterami przenosimy się do Anglii, Indii i Stanów Zjednoczonych, poznajemy zwyczaje Dickensa. Wkraczamy w bezwzględne światy handlarzy opium oraz ówczesnego rynku wydawniczego...

*Jest tu wszystko, czego może obieć czytelnik: wspaniałe, złożone postacie, perfekcyjnie opisane miejsca akcji i fabuła pełna zwrotów, której lepiej nie wymyśliłby sam Dickens.*

Margaret Cannon, „Globe & Mail”

*Porywająca lektura.*

Anna Mundow, „Washington Post”



MATTHEW PEARL (ur. 1975) – pisarz, autor międzynarodowych bestsellerów *Klubu Dantego* i *Cienia Poe*. Jego książki przetłumaczono na ponad trzydzieści języków. Mieszka w Cambridge, w stanie Massachusetts.

Oficjalna strona poświęcona powieściom Matthew Pearl:

[www.pearl.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.pearl.wydawnictwoliterackie.pl)

cena 42,90 zł



WYDAWNICTWO LITERACKIE

[www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

bezpłatna infolinia telefoniczna 0800 42 10 40

Zbiornica  
w Bibliotece

Matthew Pearl

ZAGADKA  
DICKENSA

Przełożyła  
EWA RUDOLF

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału *The Last Dickens*

Copyright © 2009 by Matthew Pearl All rights reserved

Published by arrangement with the Random House Publishing Group,  
a division of Random House, Inc.

© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie,  
2010 Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04461-2 — oprawa broszurowa

ISBN 978-83-08-04462-9 — oprawa twarda

Opieka redakcyjna *Waldemar Popek*

Konsultacja filologiczna *Przemysław Piekarski*

Redakcja *Małgorzata Pasieka*

Korekta

*Urszula Srokosz-Martiuk, Dorota Trzcinka, Małgorzata Wójcik*

Projekt okładki © Roberto de Vicq de Cumplich

Kompozycja ilustracji na okładce © Debra Liii

Ilustracje na okładce © age footstock/Super Stock, © Stock foto,

© Dreamstime, © CG Textures

Opracowanie polskiej wersji okładki *Piotr Kołodziej*

Redakcja techniczna *Bożena Korbut*

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2010

ul. Długa 1,31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12)619 27 70

Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

Druk i oprawa: Drukarnia Kolejowa Kraków Sp. z o.o.

# CZEŚĆ PIERWSZA

## 1.

BENGAL, INDIE, CZERWIEC 1870 ROKU

Żaden z dwójki młodych konnych policjantów nie przepadał za tą częścią prowincji Bagirhaut. Ani jednemu, ani drugiemu nie uśmiechała się dżungla, w której praktycznie wszystko mogło się wydarzyć, niespodziewanie, niczym niesprovokowane, tak jak kilka lat wcześniej, gdy pewnego nieszczęsnego porucznika odarto z munduru, zmasakrowano pałką i utopiono w rzece tylko dlatego, że usiłował ściągnąć podatki.

Oficerowie mocniej ścisnęli końskie boki obcasami. Nie żeby się bali, po prostu zachowywali czujność.

— Ostrożności nigdy za wiele — pouczał Turner swojego towarzysza, gdy nurkowali pod nisko zwisającymi konarami i pędami winorośli. — Trzeba ci wiedzieć, że w Indiach nie ceni się życia. Choćby tylko tak, jak ceni je najbiedniejszy Anglik.

Młodszy z policjantów, Mason, w zamyśleniu pokiwał głową, z atencją przyjmując uwagi swego niemal już dwudziestopięcioletniego towarzysza, którego dwaj bracia także przybyli z Anglii do Indii, by wstąpić do administracji państwowej, i który kilka lat wcześniej walczył przeciwko indyjskim buntownikom. Trudno byłoby o lepszego eksperta.

— Może należało zabrać więcej żołnierzy, sir.

— No pięknie! Więcej żołnierzy, Mason? Do ujęcia kilku obszarpanych dakoitów w zupełności wystarczą nasze dwie mądre głowy. Zapamiętaj sobie: rumak bojowy nie cofa się przed byle przeszkodą.

Po przybyciu z Liverpoolu na placówkę w Bengalu Mason przystał na propozycję Turnera, by się ze sobą „skumplowali”, połączyli dochody i wydatki na utrzymanie oraz wspólnie spędzali wolny czas na grze w bilard czy krykieta. Osiemnastoletni młodzieniec z wdzięcznością przyjmował rady udzielane przez doświadczonego funkcjonariusza bengalskiej policji. Turner potrafił wymienić miejsca, których nigdy nie należało patrolować samotnie, a to ze względu na plemiona Cole, Santal, Kuki, te zamieszkujące Assam i te z przygranicznych wzgórz. Niektórzy członkowie tych plemion tworzyli przestępcze gangi dakoitów — rabusiów; inni, przestrzegali Turner, chodzili uzbrojeni w siekiery, żądni głów Anglików.

— W Indiach tubylcy cenią sobie życie o tyle, o ile daje im ono okazję do zabijania — brzmiała kolejna z sentencji Turnera.

Na szczęście w iście morderczym upale tego poranka nie przyszło im polować na żadną taką krwiożerczą bandę. Prowadzili tylko dochodzenie w sprawie zwykłego zuchwałego rabunku. Dzień wcześniej długą karawanę, składającą się z około dwudziestu lub trzydziestu ciągnionych przez woły wozów, obrzucono gradem kamieni i głazów. Zapanował chaos, a wtedy wyposażeni w pochodnie dakoici przewrócili wozy i zbiegli ze skrzyniami z cennym ładunkiem. Gdy wieść o tym wydarzeniu dotarła na posterunek policji, Turner stawiał się przy biurku przełożonego, zgłaszając siebie i Masona na ochotnika, a komendant wysłał ich, by przesłuchali pewnego dobrze znanego pasera.

Zarośla przerzedziły się i właśnie zbliżali się do niewielkiego, pokrytego strzechą domku nad rzeką. Nad glinianym kominem zawisała niknąca w górze smużka dymu. Mason zacisnął dłoń na zawieszonyj u pasa szabli. Każdej parze oficerów przydzielano po

szaблі i lekkim karabinie, a Turner oczywiście wybrał to drugie.

— Wiesz, Mason — na widok niepokoju na twarzy towarzysza w głosie starszego policjanta zabrzmiała nutka wesołości — nie da się ukryć, że brak ci doświadczenia. Oni prawdopodobnie pozbyli się już towaru i uciekli. Być może w góry, gdzie nie sięga nasza *elaka* — coś w rodzaju jurysdykcji. Co zresztą nie ma znaczenia, bo nawet pochwyceni, będą tak długo łągali, upierając się przy swej niewinności, aż nie wypuści ich jakiś smagły, skorumpowany sędzia. A co byś powiedział na polowanie na słoniach na tygrysa?

— Turner! — Mason szeptem przerwał partnerowi.

Dojeżdżali do pokrytej strzechą chatki, gdzie stał przywiązany do palika jaskrawoczerwony koń (mieszkańcy tych terenów często malowali swoje konie na nienaturalne barwy). Dobiegający od strony domu szeleszczący dźwięk zwrócił ich uwagę na dwóch mężczyzn, wyglądem odpowiadających opisowi członków złodziejskiej bandy. Jeden trzymał pochodnię. Klócili się.

Turner dał znak Masonowi, by milczał.

— Ten po prawej to Narain — szepnął, wskazując palcem.

Narain znany był jako złodziej opium, którego pomimo licznych prób nie udało się skazać.

Mak opiumowy uprawiano w Bengalii. Tutaj też pod nadzorem Anglików oczyszczano go, po czym rząd kolonii sprzedawał narkotyk na aukcji, handlarzom opium z Anglii, Ameryki i innych krajów. Stamtąd kupcy wywozili go na sprzedaż do Chin, gdzie, choć zabroniony, cieszył się wielkim popytem. Handel ten był dla rządu brytyjskiego niezwykle intratny.

Zsiadłszy z koni, Turner i Mason rozdzielili się i podchodzili do złodziei z dwóch stron. Przedzierając się przez zarośla na tyłach domu, Mason nie mógł powstrzymać się od rozmyślenia o szczęśliwym zbiegu okoliczności: nie tylko zdążyli zastać dwóch



rzejmieszków w obejściu ich przypuszczalnego kamrata, ale na dodatek pochłonięte kłótnią draby nie zauważyły pojawienia się oficerów.

Mason wydostał się z gęstwiny i na znak Turnera wypadł i zagroził szablą zaskoczonemu Narainowi, który uniósł drżące ręce nad głowę, po czym położył się na ziemi. Tymczasem drugi rabuś pchnął Turnera, przewracając go, i wskoczył między gęsto rosnące drzewa. Turner, chwając się, wstał, wycelował z karabinu i strzelił. Drugi strzał posłał w dżunglę.

Związali więźnia i ruszyli ścieżką za uciekinierem, ale wnet stracili trop. Przeszukując tam i z powrotem teren wzdłuż zakrętu zamulonej rzeczki, Turner karabinem zamachnął się na coś na ziemi. Doszedłszy w to miejsce, Mason poczuł się dumny z kolegi, widząc, że ten ubił kobrę. Jednak wąż okazał się wciąż żywy i na widok zbliżającego się policjanta uniósł się, próbując zaatakować. Oto jakie niebezpieczeństwa kryła bengalska dżungla.

Rezygnując z pościgu za drugim rabusiem, wrócili do miejsca, w którym zostawili przywiązanego do drzewa Naraina, odwiązali go, po czym poprowadzili na miejscowy posterunek, wraz z pożyczonymi stamtąd końmi. Tam wsiedli z więźniem do pociągu, by dostarczyć go do macierzystej komendy.

— Prześpij się trochę — Turner okazał Masonowi prawdziwie braterską troskę. — Wyglądasz na wykończonego. Sam popilnuję dakoity.

— Dziękuję — odrzekł ten z wdzięcznością.

Pełne wrażeń przedpołudnie okazało się wyczerpujące. Mason znalazł wolną ławkę i przykrył twarz kapeluszem. Wnet zapadł w głęboki sen, wyciągnięty pod nieszczelnymi oknami pozwalającymi na tyle przewiewu, by w przedziale dało się wytrzymać. Obudziło go echo okropnego krzyku — podobnego do tego, jaki pojawiał się

czasami w nawiedzających go koszmarach o bengalskiej dżungli.

Gdy oprzytomniał, ujrzał Turnera samego, gapiącego się w okno.

— Gdzie więzień? — krzyknął Mason.

— Nie wiem! — zawołał tamten z dzikim błyskiem w oczach.

— Na chwilę odwróciłem głowę i wtedy chyba wyskoczył przez okno!

Chwycili za rączkę hamulca bezpieczeństwa i pociąg stanął. Mason i Turner, wspierani przez hinduskiego policjanta kolejowego, szukali wśród skał, aż natknęli się na jego zmiażdżone i zakrwawione ciało. Padając, roztrzaskał sobie głowę. Dłonie miał wciąż obwiązane drutem.

W pełnym powagi milczeniu zostawili ciało i ponownie wsiedli do pociągu. Resztę drogi do stacji młodzi angielscy oficerowie przebyli w milczeniu, nie licząc niezbyt melodyjnego nucenia Turnera. Byli już prawie na dworcu, gdy Turner zapytał:

— Powiedz mi, Mason, dlaczego wstąpiłeś do konnej policji?

Młodszy policjant próbował znaleźć właściwą odpowiedź, ale nie potrafił myśleć spokojnie.

— Chyba po to, żeby nieco zaszaleć. Każdy chciałby się trochę wyszumieć.

— Dyrdymały! — zachnął się Turner. — Nigdy nie zapominaj o prestiżu, jaki niesie ze sobą służba państwowa. Każdy z nas jest tutaj po to i tylko po to, by tworzyć lepszą cywilizację.

— A co do dzisiejszych wypadków... — Twarz młodszego policjanta przybrała barwę papieru.

— Coś nie tak? — zdziwił się Turner. — Przecież mieliśmy szczęście. Ta kobra mogła załatwić nas obu.

— Tylko ten Narain... domniemany dakoita. Tak sobie myślę, czy nie powinniśmy spisać nazwisk, i zeznań pasażerów. Przydadzą się do raportu, jeśli by wszczęto śledztwo...

— Domniemany? Chciałeś powiedzieć: winny. Mniejsza z tym. Poślemy tam jednego z miejscowych policjantów.

— Ale czy my nie, to znaczy, jeśli Dickens, chodzi mi o...

— Cóż za bełkot. Jak można tak połykać słowa.

— Sir — młodszy z oficerów mówił teraz wyraźnie — zważywszy, choć przez chwilę, na Dickensa...

— Wystarczy, Mason! Jestem zmęczony, nie widzisz? — syknął Turner.

— Sir — powiedział tylko młodszy, potakując.

Na dźwięk nazwiska: Dickens, Turnerowi zeszywniał i poczerwieniał kark. Jakby to słowo, od dawna murszejące gdzieś w jego wnętrzu, teraz mozolnie podchodziło mu do gardła.

## 2.

BOSTON, TEGO SAMEGO DNIA 1870 ROKU

**R**obotnicy przeklinali burmistrza Bostonu, upalne lato, gubernatora Massachusetts i wyzwolonych Murzynów. I oczywiście statki. Czarni wyzwolenicy przeklinali to samo, tyle że w ich obelgach istotne miejsce zajmowali Irlandczycy. W innych miesiącach niektórym dokerom zdarzało się śpiewać, latem jednak przeklinali.

— Niech piekło pochłonie to cholerne zielsko — rzucił jeden z robotników. Nie wyjaśnił, czy doskwierają mu nędzne zarobki, czy uwiera złoto, jakim wypchane były kieszenie bogaczy o tłustych policzkach, których towar taszczyli.

— Niech szlag trafi całe to zielsko! — włączył się inny. — Żeby diabli je wzięli!

Słowa te przyjęto trzema wiwatami, i jeszcze jednym, a wszystkie zabrzmiały unisono.

Na razie nikt nie zwrócił uwagi na idącego nabrzeżem nieznanego mężczyznę potężnej postury, z którego ust sterczała wykałaczka z kości słoniowej. Ciemne oczy obcego lustrowały szeregi dokerów i rzędy wagoników.

— Hej, wy tam! — zawołał do grupy irlandzkich robotników, lecz nie udało mu się przyciągnąć ich uwagi. Wtedy wznosił pozłocaną laskę.

I to zadziało.

Laskę zwieńczała podobizna jakiegoś ohydneho, egzotycznego bożka: głowa zwierza z rogami na czubku, z rozwartą, przerażającą

paszczą ukazującą jęzor, z którego strzelały iskry. Już sam ten widok hipnotyzował. Nie tylko z powodu uderzającej brzydoty stworza, lecz także z racji kontrastu, jaki jego gęba stanowiła dla ust nieznanego, prawie całkiem zasłoniętych przez długie, sumiaste wąsy. Gdy mężczyzna przemówił, jego wargi ledwie się rozchyłały.

— Szukam — zwrócił się do dokerów — pewnego młodzieńca. Nie widzieliście go przypadkiem? Ma na sobie gruby garnitur i niesie plik papierów.

Istotnie, zaledwie kilka minut wcześniej dokerzy zauważyli odpowiadającego temu opisowi przechodnia. Młodzieniec ów zatrzymał się przy beczce leżącej dnem do góry przed magazynem solnym. Już samo patrzenie na jego gruby garnitur czyniło upał jeszcze bardziej dotkliwym. Z zażenowaną miną, wyraźnie z trudem zachowując równowagę, wyjął spod beczki przewiązaną czarnym sznurkiem stertę papierów i przeszedł chwiejnie przez tłum robotników. Ci oczywiście pożegnali go wiązką przekleństw.

— A więc jednak — zauważył nieznanomy, widząc w ich oczach błysk rozpoznania. — W którą stronę poszedł?

Czterech dokerów wymieniło niepewne spojrzenia. Nie tyle z powodu pytania, co wyraźnie angielskiego akcentu pytającego — i jego śniadej cery. Spod kapelusza wystawał mu bawełniany turban koloru czekolady. Mężczyzna miał na sobie coś w rodzaju sięgającej kolan tuniki i jedwabne spodnie, a w pasie przewiązany był wełnianym sznurem.

— A pan to jakiś Hindus — zagadnął w końcu żylasty doker.

Śniady nieznanomy przystanął, wciągnął wielki haust powietrza. Odwrócił się i wbił wzrok w robotnika, który zadał to pytanie. Z zaskakującą gwałtownością pchnął go laską w szyję i przewrócił na

ziemię. Towarzysze ruszyli na pomoc, ale jedno spojrzenie atakującego zniechęciło niedoszłych wybawców.

Głowa maskary uzbrojona była w zakrzywione, ostre niczym brzytwa kły. To one właśnie wbiły się w miękką tkankę szyi leżącego na ziemi dokera. Na jego jabłku Adama drżała kropelka krwi.

— Spójrz na mnie. Patrz mi w oczy — zażądał obcy. — Gadaj, w którą stronę poszedł chłopak, albo, przysięgam na Boga, wyrwę ci ten twój dubliński jeźor!

Obawiając się, by kły nie wbiły mu się w szyję głębiej, leżący odpowiedział ledwie widocznym gestem. Z przerażenia zamknął oczy, uniósł ramię i drżącym palcem, wskazał kierunek, w którym odszedł młody człowiek.

— Dobry z ciebie chłopiec, mój ty młody Patryczku\* — stwierdził obcy.

W oryginale: „Paddy”, określenie o wydźwięku pejoratywnym, odnoszące się do Irlandczyków; pochodzi od popularnego irlandzkiego imienia Patrick (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Nic dziwnego, że robotnik zamknął oczy. Działka i wargi nieznanego, widziane z dołu, zdawały się zabarwione nienaturalnie jaskrawą czerwienią. Jakby pomalowano je krwią. Jakby człowiek ten dopiero co pożał na śniadanie wściekle zwierzę.

Uzyskawszy informację, ciemnooki nieznanomy natychmiast ruszył drogą prowadzącą z Long Wharf do centrum Bostonu. Tam, idąc wciąż przed siebie, a następnie błędząc wokół targowych wozów z żywnością przy Faneuil Hall, znalazł tego, kogo szukał. Zdawało się, że silny wiatr popycha owego młodzieńca. Poruszał się jak ktoś szalony, miał błędny wzrok: dla kogoś, kto przyjrzałby mu się uważnie, zdałby się owładnięty jakąś misją — o fundamentalnym znaczeniu dla Bostonu, dla świata.

Mocno przyciskając zawilgoconą paczkę, rzucał za siebie nie-  
spokojne spojrzenia.

Ścigający szedł za nim między rzędami straganów Quincy Mar-  
ket, roztrzając na boki handlarzy ryb i żebraków.

— Piwo na kufle! — zdążył zawołać za nim obnośny sprze-  
dawca, nim został przewrócony na ziemię.

Przy samym końcu targu, gdy drapieżnik i ofiara przeszli przez  
bramę wyjściową, olbrzym wielką dłonią uchwycił młodzieńca za  
rękaw.

— Jeszcze pożałujesz tej ucieczki! — warknął, ciągnąc go za  
rękę.

— Nie! — Poważne oczy młodego człowieka zabłyśły buntow-  
niczo. — Osgood tego potrzebuje!

Chłopak uniósł wolną rękę, jakby zamierzał uderzyć napastnika  
— potężny mężczyzna nawet nie mrugnął okiem na ten gest. Ale  
zamiast wymierzyć cios, młodzieniec złapał za przytrzymywany  
przezeń rękaw i pociągnął, odrywając materię wzdłuż szwu, od  
ramienia. Uwolniwszy się, siłą rozpędu poleciał na ulicę i niewiele  
brakowało, a znalazłby się, bezpieczny, po drugiej stronie.

Rozległ się nieludzki krzyk i przeraźliwy trzask.

Nieznajomy z poślacany bożkiem, ciężko dysząc, zszedł z  
krawężnika, równocześnie naciągając na czoło kapelusz, by chronić  
oczy przed pyłem. Z początku nie mógł wypatrzeć młodzieńca, ale  
zaraz zorientował się, co się stało. Gdy zebrał się tłum ludzi, zbyt  
wielu ludzi, obserwator odszedł, jakby wcale niezainteresowany.

Śniady nieznajomy nie był jedynym myśliwym polującym tego  
ranka wśród ruchliwych doków. Jeszcze trzech innych krążyło  
pomiędzy rojem robotników, nadbrzeżnych szczurów i odśwież-  
nych spacerowiczów. Twarze ich nie były obce w porcie, przez wiele  
poranków paradowali przed oczami dokerów. A przede wszystkim

nie byli obcy sobie nawzajem, choć, co może się wydać dziwne, nie znali swoich imion.

To znaczy tych nadanych przy chrzcie. A więc był tam Melasa, nazwany tak dla żartu, jako że zawsze gdzieś się spieszył. Dziedziec, kolorowy dżentelmen, były dorożkarz, który obecnie w murzyńskiej dzielnicy udzielał lekcji szermierki i tańca. Kotka, kobieta należąca do tej dobranej, obmierzłej kliki, potrafiłaby wyczarować drinka wprost z dłoni Whiskey Billa, jednego z ich konkurentów.

To właśnie paradującym w czarnym krawacie i w surducie z kreciego futra Melasie omal nie przypadło zwycięstwo. Zwycięstwo! Podczas wojny secesyjnej działał on jako zawodowy ochotnik, za pieniądze oferując zastępstwo za bogatych poborowych, którzy nie mieli chęci służyć w armii. Chcąc zdobyć zapłatę, przybierał rozmaite fałszywe nazwiska, po czym wnet zniknął z kolejnego regimentu. Tak więc dni bitewnego pyłu pomogły Melasie zgromadzić w ciągu dwóch i pół roku pięć tysięcy dolarów. Od tamtej pory zaczął farbować sobie czuprynę i brodę na kolor w naturze wśród ludzi niespotykany. Broda ta była niezwykle długa. Przysiągł, że się nie ogoli, dopóki prezydentem nie zostanie demokrat, a oszuści republikanie nie wypadną z gry.

Jest. Na wprost Melasy leżało ukryte to, czego pożądał. Telegramem z Filadelfii przesłano mu polecenie przejęcia skarbu, obiecując pokaźną nagrodę. Zająwszy pozycję w jednej z rybnych budek na nabrzeżu, przez długą lornetkę wypatrył rankiem młodzieńca w garniturze, jak ukrywał skarb. A teraz przejmie go on, Melasa.

Któryś z portowych nadzorców właśnie podnosił porzuconą beczkę.

— Uprzejmie proszę, łaskawy panie — zwrócił się do niego Melasa, podchodząc i grzecznie zdejmując z głowy tweedowy kaszkiet.  
— Ja ją zabiorę, sir.



— A ktoś ty? — odezwał się tamten z niemieckim akcentem.  
— Wynocha od moich beczek, szczurze brzegowy.

Melasa przewrócił beczkę, wymierzywszy jej kopniaka niezasznurowanym butem. Ku jego rozczarowaniu, nie wysypało się z niej nic poza resztkami ości. Nie wierzył własnym oczom. Przykucnął, przeszukał odpadki. Gdy ponownie uniósł wzrok, ujrzał stojącego nad nim Dziedzica, chichoczącego drwiąco.

— Dziedzic, ty przebiegły draniu! Gdzie one są?

— Nie ma ich tu! Uspokój się, mnie też się nie dostały. Ani ty ich nie dorwałeś, ani ja, a widziałem Kotkę — chyba dziś pracuje dla C. — przy starym holowniku i miała minę, jakby musiała obejść się smakiem. Papiery pewnie już trafiły do rąk prawowitego właściciela. Cholerny pech!

Niemiecki nadzorca aż poczerwieniał na twarzy:

— Jeśli nie opuścisz mojego terenu, wezwę policję.

Melasa kopnął beczkę z taką zaciętością, że rozpadła się na kawałki. Potem groźnie wrzasnął na Niemca w jego własnym języku. Ten tym razem się cofnął.

— Chodzi o Whiskey Billa? To on? — zapytał Melasa, odwracając się twarzą do Dziedzica.

— Nie, Melasa — odrzekł ten z pańska, po czym usadowił się na ławce i machając nogami, patrzył na wodę. — Bill nie dostał tego zlecenia.

Lekka bryza marszczyła powierzchnię wody w zatoce, żagłówki prażyły się w słońcu. Z oddali, z okolic Quincy Market, dochodził stukot pojazdów, okrzyki woźniców i świst bata.

Melasa, zajęty wycieraniem cuchnących dłoni o płaszcz i spodnie, nagle znieruchomiał.

— Temu młodemu deptał po piętach jakiś drągał — śniada cera, wielka szczena, na głowie turban. Jak sądzisz, któryś z ważniaków mógł jego także napuścić na ten skarb?

— Aaa, widziałem go — odrzekł jakoś markotnie Dziedzic. — Wielkie gały, czarne, jakby całkiem puste, gęba jak u kościotrupa? Nie, to na pewno nie jeden z naszych. Temu gościowi nie mamona w głowie.

Mniej więcej w tym samym czasie gdzieś w połowie Dock Square omnibus noszący nazwę „Alice Gray” bezwładnie potoczył się kilka metrów i stanął. Woźnica i pasażerowie wysiedli, by sprawdzić, co było źródłem hałasu — przeciągłego, mrożącego krew w żyłach trzasku, który, jak wszyscy słyszeli, przed chwilą dochodził spod wehikułu.

— Dobry Boże! Musiało go wciągnąć! I rozgnieść na miazgę! Zabierzecie stąd panie, dobrze?

Pod tylnym kołem leżał blady młodzieniec w poszarpanym wełnianym garniturze. Jedno koło przejechało mu po szyi, drugie po nodze, niemal odcinając ją pod kolanem.

Jeden z dżentelmenów, którzy wysiedli, znalazł się pierwszy przy ciele. Głowa młodzieńca lekko drgnęła. Źrenice zwężyły się, usta otwarły.

— On żyje! — krzyknął ktoś. — Czy jest tu doktor?

— Ja jestem prawnikiem — odrzekł dżentelmen, jakby pytanie powinno było brzmieć inaczej. — Sylvanus Bendall, adwokat.

Umierający ze zdumiewającą energią chwycił prawnika za kołnierz, jego usta układały się w kształt kolejnych słów. Bendall słuchał uważnie, ale po chwili młodzieniec wyraźnie osłabł, wreszcie znieruchomiał.

Po dokładnym, jakby czynił to prawdziwy medyk, obejrzeniu ranego, klęczący mężczyzna, który przedstawił się jako Bendall, zdjął kapelusz, dając tym samym znak, że młodzieniec nie żyje. Jakiś wysoki dżentelmen wskazał na paczkę papierów w dłoni zmarłego.

— Co on tam trzyma? Testament? — prychnął, rozbawiony własnym makabrycznym dowcipem.

— Też coś! — oburzył się prawnik Bendall, zachowując powagę. Odwiązując sznurek, wyciągnął jedną kartkę, po czym włożył okulary, by przyjrzeć się jej bliżej.

— Widziałem w życiu wiele testamentów, ale to na pewno do nich nie należy, sir! W testamentach raczej nie ma rycin... Niech pan spojrzy — mruknął, a jego usta powoli otwierały się, gdy przez chwilę czytał w milczeniu. Wyraz jego twarzy stopniowo ulegał zmianie. — Sądzę... no tak! Myślę, że to jest... Wielkie nieba!

— No, mów pan! — niecierpliwił się wysoki świadek wypadku.

— Któżby mógł stwierdzić — ciągnął Bendall — czy on kiedykolwiek poznał, co to ambicja lub rozczarowanie?

Prawnik nie wygłaszał monologu nad ciałem; czytał ze stron wyjętych z dłoni młodzieńca. Z rumieńcem na twarzy, Sylvanus Bendall uniósł wzrok znad kartki.

### 3.

**J**ames R. Osgood powitał gościa słowami: „Pan Leypoldt, jakże mi miło” — i mówił szczerze. Leypoldt był wydawcą jednego z najważniejszych czasopism księgarskich. Ten krępy niemiecki imigrant dzięki swej serdeczności oraz opinii rzetelnego krytyka cieszył się wielką sympatią ludzi związanych z profesją wydawniczą.

— Liczę, panie Osgood, że dane mi będzie podzielić się z czytelnikami nowinami o firmie pana i pana Fieldsa — oznajmił Leypoldt.

— Nasze wydawnictwo zbiera zewsząd najwyższe pochwały — odrzekł Osgood, bynajmniej nie z dumną, lecz z wyrażającą skromność i wdzięczność miną.

Gość zasypał go pytaniami.

— Najbliższe publikacje? Bardzo dobrze, świetnie. Ilość książek wydanych w tym roku? Ach rozumiem, wyśmienicie. Liczebność aktualnie zatrudnionego personelu? Bardzo dobrze. Widzę, że na stanowiskach buchalterów zatrudniacie wiele przedstawicielek słabej płci.

— Zmiany zachodzą nader szybko — przyznał Osgood.

— W samej rzeczy, ma pan rację, panie Osgood, w tym fachu wiele się zmienia! Zastanawiałem się nawet nad nową nazwą dla naszego czasopisma, która odzwierciedlałaby rosnące zainteresowanie tą dziedziną.

Magazyn ów obecnie zatytułowany był: „Informator handlowy dla wydawców, producentów, importerów i sprzedawców książek,

materiałów papierniczych, wydawnictw muzycznych, rycin i rozmaitych innych towarów dostępnych w magazynach handlu książkami, artykułami papierniczymi, wydawnictwami muzycznymi i rycinami”.

— Chodzi nam o słowo, które zapadłoby w pamięć czytelnikom w kraju. Oto, co rozważam. — I Leypoldt napisał: Tygodniowy informator handlowy dla wydawców.

— Nasza firma — odrzekł Osgood dyplomatycznie — utrzyma subskrypcję niezależnie od tytułu, na jaki się zdecydujecie.

— Wielkie dzięki, panie Osgood.

Zapadło milczenie, co oznaczało, że Leypoldt zaraz przystąpi do rzeczy.

— Wiele osób z branży czytających nasze szpalty zachodzi w głowę, jakim sposobem uda się panom rywalizować z licznymi dużymi wydawnictwami z Nowego Jorku. I to przy tak wielu tanich wznowieniach angielskich edycji zagrażających pozycjom wydawanym przez waszą firmę.

— Będziemy wybierać autorów najwyższej klasy, drukować książki najlepszej jakości i nie ulegniemy standardom niższym od tych, które pozwoliły nam na osiągnięcie obecnego poziomu, panie Leypoldt — oznajmił z powagą Osgood. — Ufam, że trzymając się tychże zasad, odniesiemy sukces.

Reporter zawahał się.

— Panie Osgood, życzyłbym sobie, aby nasza gazeta nie tylko dostarczała informacji na temat wydawanych książek, ale także słowami oddała istotę procesu wydawniczego — jego krwiobieg, jego duszę, rozumie pan. Chodzi o to, by zachęcić do współpracy na tym polu, a także wyjaśnić powody, dla których ludzie związani z księgarstwem tak oddani są swemu powołaniu. Czemu na przykład nie jesteśmy kowalami lub choćby politykami? Gdybyś pan dysponował tego rodzaju historią, nader chętnie zaprezentowałbym ją w naszej rubryce.

— Wydawcą zapragnąłem zostać po przeczytaniu *Waldena*\* — wyznał Osgood, który bez zbytecznego filozofowania, zawsze starał się być pomocny. — Nie żeby marzyło mi się pustelnicze życie w lesie, bynajmniej! Ale uświadomiłem sobie, że za samym Thoreau, tym dziwnym geniuszem o niezwyklej intuicji, stoi ktoś jeszcze, kto — z dala od lasów autora — włożył wiele wysiłku, aby każdemu mieszkańcowi Ameryki, każdemu, kto by sobie tego życzył, dać szansę na przeczytanie tych pism. Ktoś, kto działał nie dla natychmiastowego zdobycia popularności, lecz dlatego, że uznał sprawę za ważną. Napisałem wtedy list do pana Fieldsa, prosząc o możliwość pobierania u niego nauk w charakterze chłopca na posyłki.

\* Henry'ego Davida Thoreau.

— A teraz, jako dojrzały mężczyzna, co ma pan nadzieję osiągnąć?

Z zamyślenia nad tym pytaniem wyrwało Osgooda wejście buchalterki. Młoda kobieta o ślicznej twarzyczce okolonej kruczoczarnymi włosami skłoniła przed mężczyznami głowę, jakby przyznając, że jej wtargnięcie było zuchwałe. Podeszła do biurka lekkiem, acz pewnym krokiem, i szepnęła wydawcy kilka słów.

Osgood słuchał uważnie, po czym przepraszająco zwrócił się do gościa:

— Panie Leypoldt, zechce mi pan uprzejmie wybaczyć? Obawiam się, że wynikła pewna sprawa i będę musiał przełożyć nasze spotkanie na inny termin.

Po wyjściu reportera z pokoju Osgood, obracając w dłoni pióro, powiedział sam do siebie: — Policjant, tutaj?

Buchalterka Rebeka Sand odpowiedziała tak cicho, jakby obawiała się, że ktoś ją usłyszy:

— Tak, proszę pana. Ten oficer pragnął zamienić kilka słów z pańskim współnikiem, ale pana Fieldsa nadal nie ma. Nie chce powiedzieć, o co chodzi.

Osgood skinął głową.

— W takim razie proszę go wprowadzić, panno Sand.

— Proszę pana, nie wyraziłam się jasno. Oficer oświadczył, że woli poczekać na zewnątrz.

Osgood, dłonią chwytając się za kark, pomyślał, że to dziwne. Także na zazwyczaj obojętnej twarzy Rebeki zauważył malujące się wątpliwości, ale nie miał czasu się nad tym zastanowić. James Osgood był zawsze gotów iść naprzód, przechodząc do kolejnego problemu.

Policjant stał przed wejściem, na ulicy, obok sprzedawcy orzeszków ziemnych, który korzystając z okazji, narzekał na kapełę uliczną, płoszącą mu klientów napraszaniem się o datki. Osgood wyszedł przed bramę.

— To pan nim jest? — zapytał oficer.

— Słucham? — zdziwił się wydawca.

— Tym Osgoodem, tam z góry — wyjaśnił oficer, zezując ku tabliczce nad bramą dwupiętrowego budynku przy Tremont Street 124: Fields, Osgood & Co.

— Tak, sir — odpowiedział Osgood. — Ten sam James Ripley Osgood.

— Mniejsza z tym — policjant energicznie pokręcił głową — to znaczy z Ripleyem i co pan tam chcesz. Chyba spodziewałem się, że współnik firmy panów okaże się kimś, no cóż... dżentelmenem jakby... — próbował znaleźć jak najbardziej taktowne, a przy tym adekwatne słowo. — Może odrobinę starszym!

James Osgood, szczupły mężczyzna, który dopiero co kończył lat trzydzieści pięć, a nie wyglądał — mimo pięknych, ciemnych włosów — nawet na trzydzieści, przywykł już do wywierania

podobnego wrażenia. Uśmiechnął się serdecznie i wręczył policjantowi książkę. — Proszę przyjąć podarunek, oficerze Carlton. Ta powieść to jedno z najdoskonalszych osiągnięć naszej drukarni w zeszłym roku.

Starszy partner w firmie, J.T. Fields, poinstruował Osgooda, że niezależnie od okoliczności, należy wręczyć prezent — taki niewiele kosztujący wydawcę gest — gdyż tym sposobem można poprawić nastrój najbardziej ponuremu odbiorcy. Niezależnie od objętości, obdarowany ważył książkę w dłoniach, przyglądał się tytułowi, po czym stwierdzał, że dzieło odpowiada jego zainteresowaniom. I rzeczywiście, Carlton także zważył w dłoniach wręczoną mu przez Osgooda pozycję, przestudiował tytuł: *Podróż po Brazylii*, autorstwa pana i pani profesorostwa Agassiz.

— Kilka razy wspominałem żonie, jak bardzo chciałbym pojechać do Brazylii! — wykrzyknął oficer. Potem, zdumiony, podniósł wzrok i zapytał:

— Skąd pan zna moje nazwisko?

— Kilka lat temu odwiedził pan naszą firmę w jakiejś drobnej sprawie.

— A rzeczywiście. I mówi pan, że się poznaliśmy?

— Owszem, oficerze Carlton.

— No cóż — stwierdził w końcu policjant — zapewne teraz inaczej nosisz pan wąsy.

Tak naprawdę Osgood nic a nic nie zmienił w swej powierzchowności, odkąd skończył dwadzieścia lat, ale wspaniałomyślnie nie sprostował spostrzeżenia policjanta, tylko zapytał o powód wizyty.

— Nie chciałbym nikogo wystraszyć, panie Osgood — zapowiedział oficer, znów z ponurą miną. — Prosiłem, byś pan zszedł na dół, by nie przestraszyć tej dziewczyny — to znaczy młodej damy w pobliżu pańskiego gabinetu.



— Myślę, że się pan przekona, iż pannę Rebekę Sand niełatwo przestraszyć — zapewnił Osgood.

— Czyżby? Dzielna kobieta! Szanuję tego rodzaju siłę charakteru, nawet u kobiety. Mam tylko nadzieję, że pan ma równie odporne nerwy.

Gdy młody wydawca zajął miejsce w tyle powozu, policjant nakazał jechać do kostnicy.

Wchodząc do pomieszczeń miejskiego koronera Bostonu, trudno było ustrzec się poczucia dziwnej niepewności. Policjant poprowadził Osgooda przez mały, nieco duszny przedpokój z niewielkim, zakurczonym okienkiem w ścianie. Gdy wspięli się wąskimi schodami do ciemnego pomieszczenia piętro wyżej, oficer pokręcił knot lampy i z niecierpliwością spoglądał na swoje buty, jakby uznawszy, że teraz kolej Osgooda, by szedł przodem.

— Niestety, panie Osgood, nie mamy przed sobą całego dnia.

I wtedy Osgood zobaczył, o co chodzi. Oficer Carlton nie patrzył na swoje buty, lecz na podłogę.

Osgood cofnął się, jakby w obawie przed upadkiem, gdyż podłoga była cała ze szkła. Poniżej znajdował się maleńki pokój, mniej więcej dwadzieścia stóp kwadratowych, a w nim cztery kamienne płyty. Na jednej leżała kobieta o skórze pomarszczonej i poczerniałej od cholery. Na drugiej — stary mężczyzna ze śladami oparzeń po jednej stronie twarzy, a na trzeciej — napuchnięty topielec. Obok każdej płyty stał wieszak z ubraniem, w którym nieboszczyka znaleziono. Na ciała spływał cieniutki potoczek wody, doprowadzony systemem rurek.

— To najnowszy wynalazek. Przechowuje się tutaj anonimowych zmarłych dla celów identyfikacji, i jeśli nikt się o nich nie upomni, po upływie czterdziestu ośmiu godzin zostają złożeni w

mogile dla biedaków — wyjaśnił Carlton. — Woda pozwala powstrzymać rozkład.

Czwarta płyta. Ciało po samą szyję okryte białym prześcieradłem. Obok na wieszaku znajomy gruby garnitur z odprutym lewym rękawem. Na widok wpatrzonych w siebie mętnych oczu Osgood zdjął kapelusz i przycisnął do piersi.

— A więc zna pan tego młodzieńca? — zapytał oficer Carlton, widząc reakcję wydawcy.

Był tak zmieniony przez śmierć, że Osgood z trudem go rozpoznawał. Opanowując dławienie w gardle i patrząc na policjanta zamglonymi oczami, wydawca ukląkł na jedno kolano na zimnym szkłe.

— To jeden z moich pracowników. Nazywa się Daniel; jest młodszym kancelistą w naszej firmie wydawniczej. Siedemnastolatek.

Osgood daremnie usiłował zachować spokój. To on przed trzema laty zatrudnił Daniela jako chłopca na posyłki. Pomimo niezachęcających okoliczności był zdecydowany dać mu szansę. Daniel wnet okazał się uczciwym i zapalonym pracownikiem — i jego chęci przetrwały dłużej niż rutynowe dwa tygodnie. Z czasem dorobił się pozycji kancelisty i nawet pan Fields zaczął mówić o nim: Daniel (zamiast: ten tam, czyli skrót od „biedny chłopak ze wsi, którego chciałeś zatrudnić”).

— Co się stało? — zapytał policjanta, gdy wreszcie odzyskał głos.

— Przejechał go omnibus na Dock Square.

— Czy miał coś przy sobie? — Osgood próbował powiązać fakty, zrozumieć, jak doszło do nieszczęścia. Klęcząc, znalazł się tak blisko szyby, że odbicie jego twarzy nałożyło się na pozbawioną życia postać kancelisty.

— Nie, nic. Skojarzyliśmy go z panami, bo jeden z naszych posterunkowych zapamiętał go wchodzącego i wychodzącego

z waszego budynku. Wiadomo panu, dokąd się dzisiaj wybierał?

— Ależ tak, oczywiście. Miał w porcie odebrać ważne dokumenty i dostarczyć je do naszych sejfów. — Tu Osgood zawahał się, ale przypomniał sobie, że rozmawia z oficerem policji, a nie z konkurującym wydawcą. — Były to przysłane z Londynu szczotki następnego odcinka *Tajemnicy Edwina Drooda*.

Kolejne części powieści Dickensa ukazywały się drukiem z początkiem każdego miesiąca. Tak jak w wypadku innych jego dzieł, seryjna publikacja powodowała stopniowe rozszerzanie się grona czytelników, następnie zachwalających powieść przyjaciołom i krewnym, którzy jej jeszcze nie czytali. Druk w odcinkach dawał czytelnikom wrażenie uczestniczenia w każdym z momentów rozwijającej się akcji, wręcz obecności pośród jej postaci. Po ukazaniu się ostatniej comiesięcznej części rzecz miała zostać wydana w całości, w formie książki.

— No przecież! — zawołał policjant. — O przypadkach młodego pana Drooda, zarówno tych szczęśliwych, jak i niefortunnych, czytałem z wielkim zainteresowaniem w czasopismach! To pewnie nie jest najlepsza pora, by pytać, ale proszę mi powiedzieć, panie Osgood, czy wie pan, jak zakończy się historia Eddiego Drooda, teraz gdy pan Dickens nie żyje?

Właśnie ta kwestia dręczyła Osgooda bardziej, niż oficer mógł sobie wyobrazić — „jak to się skończy, skoro Dickens nie żyje” — ale nagle poczuł, że nie jest w stanie odpowiedzieć. Nie teraz, nie w obecności pocziwego Daniela, zmasakrowanego, leżącego bez życia na zimnej płycie. Pod strugą wody ciało dziwnie falowało, zupełnie jakby wciąż jeszcze mogło się obudzić.

— Daniel nigdy mnie nie zawiódł — oświadczył Osgood. — Żeby zginąć w tak bezsensownym wypadku!

— Panie Osgood, nie tylko z wypadkiem mamy tu do czynienia — powiedział Carlton i głęboko westchnął.

— Co pan przez to rozumie?

Oficer poprowadził Osgooda schodami w dół, a dalej do pomieszczenia przeznaczonego dla anonimowych zmarłych. Wewnątrz pokoju o szklanym suficie panowała atmosfera całkiem inna od tej w miejscu do oglądania nieboszczyków z góry; tak jak zupełnie czym innym jest patrzenie na egzotyczne i niebezpieczne zwierzę przez kratę niż wejście do klatki. Podłogę, całą z białoczarnego marmuru, chłodzono bieżącą wodą. Z bliska widać było, jak brzuch młodego urzędnika groteskowo wydał się pod prześcieradłem.

— Pański pracownik najwyraźniej zapomniał o zleconych mu obowiązkach i nadużył rozmaitych środków odurzających — wyjaśnił Carlton. — Przed śmiercią był już niemal nieprzytomny i, wedle zeznań świadków, błędził ulicami jak ślepiec. Obawiam się, że swym ostatnim postępkim młodzieniec ten owszem zawiódł pańskie zaufanie.

Osgood wiedział, że powinien opanować gniew, ale nie udało mu się.

— Panie oficerze, radziłbym liczyć się ze słowami. Oczernia pan zmarłego!

— Ha! — huknął stary koroner, pan Charles Barnicoat, wynurzając się z kąta i pochylając nad zwłokami spoconą, wąsatą twarz. — Oficer Carlton nie mówi niczego prócz prawdy, nawet nie potrafiłby inaczej.

— Ale ja znam Daniela — obstawał przy swoim Osgood.

— Kręgosłup wykrzywiony w znak zapytania, widzi pan? — Koroner kiwnięciem głowy sam sobie odpowiedział na pytanie. — Typowe u nałogowych konsumentów opium.

— Ależ przejechał go omnibus! — krzyknął Osgood.

Barnicoat szarpnął mocno ramię zmarłego. Skóra w tym miejscu przybrała okropny, niebieski odcień.

— Potrzeba panu więcej?

Tym razem widok odsłoniętego ciała wokół palców koronera natychmiast uciszył Osgooda. Na ramieniu widniały liczne ślady ukłuć.

— Co to takiego? — zapytał wydawca.

Barnicoat oblizwał wargi.

— Znaki, jakie zostawia nowy rodzaj igły stosowanej przy tak zwanej kuracji podskórnej — używali jej nasi lekarze podczas wojny. Tnie niczym lancet, a dawkę można dokładnie kontrolować. Teraz medycy korzystają z niej przy wstrzykiwaniu pewnych mocnych środków przez skórę do tkanki komórkowej. Ale instrumentu tego używają bez zgody lekarza palacze opium, których organizm przyzwyczaił się do narkotyku, tak jak to było, sądząc z wyglądu, w przypadku pańskiego pracownika. Niektórzy wbijają sobie igłę prosto w żyłę, na co nigdy żaden lekarz by nie pozwolił! „Przenośna ekstaza”, tak młodzi nazywają to urządzenie.

— Boże, chroń Wspólnotę Narodów — powiedział ponuro Carlton.

— Wolą zostawać bohaterami w marzeniach sennych, niż wieść prawdziwe życie — mądrzył się Barnicoat, przesadnie wysuwając brodę. — Przedkładają rojenia o pełnych ognia wyczynach w Chinach czy Indiach nad monotony rytm bostońskiej rzeczywistości. To bardzo smutne, ale należy pocieszyć się, iż młody ladaco o podobnych nawykach rzadko osiąga wiek lat czterdziestu, coś co panu czy mnie nie sprawi najmniejszego trudu.

Osgood przerwał mu monolog.

— Daniel Sand nie był żadnym ladaco. I nie był maniakiem opium!

— No to proszę wyjaśnić pochodzenie śladów na jego ramieniu — odrzekł Barnicoat. — Nie, to omnibus i pasażerowie, którym przeszkodzono w pilnych sprawach, bardziej są ofiarami wypadku niż ten tu młodzieniec. Ale pan nie musisz brać na siebie żadnej odpowiedzialności — dodał Barnicoat, zmieniając ton na nieuprzejmie familiarny.

— A co mu się stało w pierś? — zdziwił się Osgood, zmuszając się do dokładniejszych oględzin zmaltretowanych szczątków kancelisty. Na skórze Daniela widniały dwa równoległe nacięcia. — Jakby ślady po ukąszeniu. I jeszcze ubranie. O tu, spójrzcie panowie, wygląda na to, że ktoś oderwał ten fragment wzdłuż szwu.

Koroner wzruszył ramionami.

— Być może to dzieło mechanizmów znajdujących się pod pojazdem. No i w stanie narkotykowego zamroczenia chłopak mógł sam się zranić. Z przykrością zauważam, że cień tego zagrożenia coraz częściej pada na młodych ludzi z nizin, a nawet kobiety — jeśli w ogóle można je jeszcze nazwać kobietami, tak bardzo się zatraciły. Obawiam się, że ten młody człowiek zaliczał się do ludzi zatraconych.

— Nie mogę powiedzieć, żebym był zaskoczony — zauważył Carlton, zwracając się do Barnicoata — po tym, jak zobaczyłem dzisiaj ich biuro.

O ile dotąd gniew Osgooda, niemal parującego wściekłością, koncentrował się na Danielu z powodu jego, jak się wydawało nieulegającego wątpliwości, podwójnego życia, to teraz emocje te mogły zwrócić się w innym kierunku.

— Odkąd tu wszedłem, szkalował pan uczciwe imię mego pracownika, a teraz obraża pan moją firmę. Co dokładnie miał pan na myśli, wypowiadając tę uwagę o naszym biurze?

Carlton uniósł brwi, jakby sprawa była oczywista.

— No cóż, biuro, w którym mężczyźni przebywają wraz z niezamężnymi kobietami, chyba musi działać deprawująco na młodych chłopców! A także budzić w kobietach pewne niekontrolowane fizyczne żądze, które, jak sądzę, każdego dżentelmena powinny przysporzyć o rumieniec. — On sam jednak się nie zarumienił.

Osgood już miał zrugać policjanta, gdy wtem coś do niego dotarło... coś, o czym zapomniał, oszołomiony widokiem Daniela leżącego bez życia na kamiennej płycie.

— Mój Boże! Rebeka! — szepnął.

— O właśnie, Rebeka! Tak nazywała się ta pannica, panie Barnicoat, i to całkiem ładna, o różanych policzkach, siedząca przy drzwiach gabinetu pana Osgooda — powiedział Carlton, krzywiąc się z dezaprobatą. — Zaiste, miejsce to zdawało się roić od kobiet. Wnet te zdeterminowane ślicznotki zyskają prawo głosu. Wspomni pan moje słowa, panie Barnicoat! I w Bostonie nie zostanie już nikt, kto zająłby się prowadzeniem domu.

— Rebeka! — szepnął Osgood, łagodnie ujmując sztywniejącą dłoń swego pracownika. — Rebeka jest siostrą Daniela.

#### 4.

Choć dzielnica powstała już przed mniej więcej trzynastoma laty, New Land wciąż pozostała nowa w oczach bostończyków. Jałową przez lata nieckę wypełniały teraz setki akrów nowej ziemi, na których wytyczono ulice i chodniki, stopniowo rozrastające się ku zachodowi. Rejon ten pod względem możliwości wykorzystania pod budowę luksusowych i prestiżowych domostw powszechnie uznawano za mający większy potencjał od South Endu. Jednak przedstawiciele starych rodów, mimo że ochoczo spekulowali na rynku, nie palili się do ryzykowania swego sąsiedztwa i spuścizny swych dzieci.

Sylvanus Bendall był człowiekiem innego pokroju. Lubił ryzyko. Otwierał przed nim drzwi i zapraszał je do środka, odbierał płaszczy, czyścił buty i podawał herbatę w salonie. Gdy wspólnota zdecydowała się na sprzedaż, znalazł się wśród pierwszych nabywców jednego z pasów ziemi w Back Bay, dzielnicy ciągnącej się daleko na zachód. Spodobało mu się, że ulica, przy której mieszkał — Newbury Street\*, jak ją trafnie nazwano — jeszcze kilka lat wcześniej w ogóle nie istniała. Bywało, że przynajmniej dwa razy dziennie pysznił się przed sobą swym podobieństwem do sir Williama Braxtona, krzepkiego Anglika, który samotnie mieszkał na tym półwyspie przez pięć lat przed przybyciem tu gubernatora Winthropa i założeniem Bostonu w roku 1630.

\* Ulica Nowa.



Za czasów Braxtona Boston zapewne sprawiał wrażenie miejsca o wiele bardziej niedostępnego i niecywilizowanego, choćby z powodu trzech potężnych wzgórz, teraz ledwie widocznych, po których mgliste wspomnienie pozostało jeszcze w nazwie Tremont Street. Braxtonowi, samotnemu pielgrzymowi, zapewne jawiły się one jako Alpy.

Bendall zwykł działać pod wpływem impulsu. Tak jak zrobił to po wypadku omnibusowym kilka dni wcześniej, gdy nie bacząc na swoje porządne letnie spodnie, podszedł do krawężnika, by znaleźć się bliżej młodzieńca. To Bendall przejrzał dokumenty, które ten ścisnął w dłoni, podczas gdy inni świadkowie oszołomieni stali obok, nie wiedząc, co robić. I to on zorientował się, że jest to najnowszy odcinek bieżącej (i niestety ostatniej) powieści pana Dickensa.

Grupa świadków wypadku podzieliła się na zafascynowanych martwym człowiekiem i na zaintrygowanych tajemniczymi stroncami.

Wśród tych drugich rozgorzała kłótnia — mężczyźni i kobiety na wyścigi przekonywali Bendalla, który trzymał plik kartek niczym aukcjoner młotek — że to właśnie on lub ona najbardziej zasługuje na jeden czy dwa arkusze. Pewien rozpoetyzowany murarz opowiadał, jak to dwa lata wcześniej asystował przy publicznym czytaniu Dickensa w Tremont Temple w Bostonie; stał w kolejce na takim zimnie, że zamarzała rtęć. Z kolei jakiś rumiany i jowialny jegomość twierdził, że odcinek swego biletu przechowuje w rodzinnej Biblii, i przysięgał na wszystko, że jeszcze nie narodził się nikt, kto dorównałby mu w podziwieniu, którym on darzył Dickensa. Pewna dama o obfitym biuście wymieniła swoje domowe zwierzątka — dwa koty, żółtego pieska, i ptaszka — którym nadała imiona bohaterów Dickensa (Pip i Neil, Rose, Oliver). Z kolei stojący najbliżej mechanik ogłosił, że *David Copperfielda* czytał

cztery razy, ale szybko przelicytowali go inni. Sześć! Osiem! Dziewięć! Jakiś staruszek rozsłochał się i wydawało się, że oplakuje smutny koniec ofiary wypadku, dopóki nie szepnął:

— Biedny, drogi, stary Dickens, szlachetny Dickens.

Gdy gapie sprzeczali się o strony, Bendall bez słowa podjął śmiałą decyzję: sam zostanie opiekunem skarbu. Poskładawszy kartki, chyłkiem zaczął się oddalać, wcześniej tylko przystanął, by podać swoje nazwisko powożącemu omnibusem „Alice Grey”, na wypadek gdyby ów został aresztowany za rozjechanie młodzieńca.

— Sylvanus Bendall! — powiedział zdenerwowanemu woźnicy — zapamiętajcie te dwa słowa, a nie będziecie się lękać bostońskiego wymiaru sprawiedliwości!

Sylvanus Bendall. Nazwisko to zdawało się pasować bardziej do awanturnika niż prawnika zajmującego się ubogimi i nieszczęśliwymi warstwami bostońskiej ludności. Było to nazwisko człowieka, który wrósł w New Land. Jego przyjaciele z Beacon Hill mogli zatykać nosy przed smrodem bijącym z pobliskich bagien i osłaniać się przed pyłem wzniesionym na budowie, ale Bendall co rano rozdmываяc nozdrza, prychnął niczym bojowy rumak.

Co nie znaczy, że Back Bay była rajem; Bendall jednak po męsku stawiał czoła problemom. A tym razem po powrocie do domu było czemu stawić czoła.

Szyba w drzwiach werandy była roztrzaskana. Bendall spokojnie przeszedł do wejścia od ulicy i zdjął zasuwkę. Wewnątrz zastał straszliwy bałagan: poprzewracane biurka i sekretarzyki. Przytrzymując się dębowej balustrady, ruszył schodami na górę i zaraz natknął się na potłuczone talerze i porcelanę; wyżej zionęły pustką ogołocone z książek półki. Nagle usłyszał hałas dochodzący z innego pomieszczenia. Złodzieje wciąż tu byli! Pochwyił laskę i parasol, uniósł je w samurajskim geście.

— Rozwalę ci łeb! — zawołał ostrzegawczo.

— Panie Bendall! — krzyknęła drobna siwowłosa kobieta, gospodyni, która wróciła do domu tuż przed jego przyjściem, by przygotować kolację; stała teraz przed nim jakby wrośnięta w ziemię, z przerażoną miną.

— Nie lękaj się, droga Mary, przy mnie jesteś bezpieczna — zapewnił Bendall.

Wyglądało na to, że nie zginęło nic wartościowego. Cenne stro-ny były najzupełniej bezpieczne, wciąż miał je przy sobie, pod żakietem.

— Słać chłopca po policję? — zapytała Mary.

— Nie, nie — odrzekł lekceważąco.

— Ależ trzeba ich poinformować! — zaprotestowała służąca.

— No wiesz co, Mary! — obruszył się Bendall. — Czytujesz za dużo powieści sensacyjnych. Policja jest strasznie konserwatywna, nie ma pojęcia o Back Bay. Sam wypienię źródło tego zła. — I taka była następna śmiała i niezachwiana decyzja Sylvanusa Bendalla.

## 5.

Śmierć Daniela Sanda była następnym kryzysem, który do-  
tknął pełen ruchliwej krzątaniny budynek przy Tremont Street 124,  
gdzie mieściły się pomieszczenia firmy Fields, Osgood & Co. Profes-  
ji wydawniczej z natury towarzyszyło przechodzenie od stanu  
najgłębszego załamania do entuzjastycznego optymizmu, po czym  
dochodziło do kolejnego kryzysu; a mistrzem panującym nad  
owymi cyklami był James Osgood. Pewnego marcowego dnia, trzy  
miesiące przed tym, jak Daniel Sand bez życia padł na ulicy, star-  
szy wspólnik J.T. Fields zatrzymał Osgooda na schodach. Długa,  
sztywna, siwiejąca broda Fieldsa oraz dudniący tembr głosu nie-  
zmiennie przydawały mu napuszonej powagi.

— Panie Osgood, zechce pan na słówko. Na słówko zawsze  
oznaczało dodatkowy ciężar spadający na barki Osgooda. Wyraża-  
jące niepokój miny Fieldsa znał równie dobrze jak korytarze wy-  
dawnictwa i od razu potrafił domyślić się, co to za nieznosząca  
zwłoki sprawa. Pracował dla tego człowieka od piętnastu lat, kiedy  
to wysłał mu pierwszy list, wychwalając *Waldena* z entuzjazmem  
prawdziwego neofity. Minęło pięć lat, odkąd Osgood barwnymi  
okładkami zastąpił nijakie, brązowawe oprawy, którym wcześniej  
hołdowali. A niedługo miał świętować drugą rocznicę dnia, w któ-  
rym to jego nazwisko znalazło się na wizytówkach — zamiast Tick-  
nor, Fields & Co widniało na nich teraz: Fields, Osgood & Co —

zupełnie jakby za machnięciem czarodziejskiej różdżki spełniły się jego ambicje, niegdyś będące jedynie marzeniem.

Kłopotów im nie brakowało. Sąsiadujący z ich firmą przedsiębiorczy spryciarze z Hurd & Houghton, pod przewodnictwem młodego, rzutkiego George'a Mifflina, przekształcili swoją drukarnię — dotychczas współpracującą z nimi — w konkurencyjne wydawnictwo. A głównym rywalem z Nowego Jorku nader często okazywali się Harper & Brothers.

— To Harper tym razem! — zawołał Fields do współnika, gdy zostali sami. Wsparł łokcie na stojącym w rogu pokoju biurku, na którym zawsze leżała otwarta masywna księga z rejestrem umówionych spotkań.

— Harper. On coś knuje.

— Cóż takiego?

— Po prostu knuje. Nie wiem co, na razie — przyznał Fields, a koniec zdania zabrzmiał niczym poważne ostrzeżenie, jakby główny współnik Harper & Brothers, Major Harper, obserwował ich z góry, z żyrandola: — jest pełen zawiści i urazy wobec naszej firmy. — Fields zanurzył pióro w kałamarzu i zapisał spotkanie. — Fletcher Harper niebawem przyjedzie z Nowego Jorku, by zdobyć dla siebie następnych bostońskich autorów. Mówiąc bez ogródek, chce nam wykraść, kogo się tylko da. Zapowiedział się u nas. To pan powinienes go przyjąć. Ach ta moja przeklęta ręka! Będę musiał zawołać którąś z dziewcząt, by to zapisała. — Fields otworzył i zacisnął dłoń nękaną bolesnymi skurczami. — Chyba od roku nie napisałem listu własnoręcznie, oczywiście poza tymi do pana Dickensa. Pozostali moi korespondenci mogą sądzić, że z wiekiem zniewieściałem.

Osgood wciąż nie otrząsnął się z zaskoczenia, jakim było dlań polecenie Fieldsa względem Harpera. Mimochodem spojrzawszy w dół, jakby sprawdzał stan połysku lewego buta, zauważył:

— Ośmielam się sądzić, drogi panie Fields, że Major Harper wolałby rozmawiać z panem.

Fields nagle zamilkł. Ta jego nowa skłonność do zapadania w grobowe milczenie niepokoiła Osgooda. Starszy wspólnik wyszedł zza biurka i rozpoczął powolne ćwiczenia oddechu. W końcu odpowiedział już łagodniejszym tonem:

— Pana wszyscy lubią, Osgood. Mam nadzieję, że zachowa pan tę zaletę jeszcze długo po tym, gdy mnie po cichu złożą w jakimś zupełnie nie redakcyjnym kącie, z dala od firmy.

Niemiała to rzecz, gdy o wydawcy można powiedzieć, że cieszy się powszechną sympatią! My jesteśmy jak prawnicy, tyle że zamiast obwiniać nas za utratę hipoteki, obwiniają nas za utraczone marzenia!

Gdy Osgood uniósł wzrok, zaskoczył go widok Fieldsa w pozycji walecznej, z zaciśniętymi pięściami.

— A pan jak, boksowałeś się? — zapytał Fields.

Osgood, zmieszany, pokręcił głową i odrzekł:

— W Bowdoin uprawiałem szermierkę.

— A ja pierwsze lekcje pobierałem od pewnego starego boksera, gdy mieszkałem w Suffolk Place i byłem chłopcem na posyłki u Billa Ticknora. Płaciłem temu człękowi książkami, które Ticknor wyrzucał! Gdybym pozostał przy boksie, mógłbym stawać do walk za pieniądze. Zaczynaj pan od uderzenia.

Właśnie tak należy się postawić bratu Harperowi! — instruował Fields, parodiując wymianę mocnych ciosów i błyskawicznych uników. — Tylko jedna rzecz jest gorsza od nadchodzącej wojny z Harperami, Osgood, a mianowicie strach przed nią.

Intuicja nie zawiodła Osgooda; gdy później, w marcu, nadszedł dzień wyznaczony na rozmowę z Fletcherem Harperem i młodszy wspólnik w swym najlepszym garniturze powitał gościa i zaproponował mu brandy, przybysz z Nowego Jorku rozejrzał się uważnie,

patrzac przez okulary w druczanej oprawce.

— Pan Fields przesyła wyrazy głębokiego ubolewania, Majorze — oznajmił Osgood — że niestety musiał się nagle oddalić w palących sprawach wydawniczych.

— Aha! By spróbować powstrzymać kogoś z waszych autorów od rzucenia się w wody Frog Pond?

Osgood wybuchnął swym najbardziej dobrodusznym śmiechem, mimo że Harper zachował powagę. Jak można się zżymać na własny dowcip?

Harpera nazywano Majorzem nie dla podkreślenia jakichś jego wojennych zasług, ale z powodu wojskowego drylu, z jakim dowodził swymi biurami w Nowym Jorku. Teraz podrapał się w szczękę, ledwie widoczną spod obfitych, długich bokobrodów.

— Ma pan w ogóle coś do powiedzenia w tej firmie, panie Jamesie R. Osgood?

— Majorze, jestem jej współnikiem — odrzekł zapytany z całym spokojem.

— No cóż! Młodszym współnikiem, rzeczywiście — mruknął tamten. — Chyba czytałem o tym w magazynie Leypoldta. Jest pan człowiekiem uczciwym?

— Bez wątpienia.

— Wyśmienicie! Nie zawahał się pan z odpowiedzią, a to oznacza, że mówi pan prawdę. — Harper przyjął podany mu kieliszek brandy. Podniósł go do ust, ale zanim wypił, wznosił toast: — Za nasze zdrowie, za powodzenie tych niewielu uprzywilejowanych światowych księgarzy! Za tych, którzy swą dobrocią pomagają autorom w zdobyciu nieśmiertelności, sami nie mając w niej udziału.

Osgood w milczeniu wznosił kieliszek.

— Ludzie naszej profesji wiedzą, że nie owijam w bawełnę — kontynuował Harper, po czym jednym haustem przełknął trunk i odstawił kieliszek. — Jestem za stary, by się zmienić.

To właśnie przybyłem zakomunikować. Ticknor i Fields — to znaczy oczywiście Fields i Osgood — to firma, która nie zdoła przetrwać w obecnych okolicznościach.

Osgood czekał na dalszy ciąg.

— Ta wasza gazeta, „Athlantic Monthly”, mimo wszystkich zalet nie przynosi ani pensa, nie myślę się? Weźmy Nowy Jork.

— Co z nim, Majorze?

— Niech pan da spokój! Lubię Boston, naprawdę. No cóż, może poza zdominowanymi przez klechy skupiskami Patryczków, które tutaj są jeszcze gorsze niż te nasze w Nowym Jorku. Jednak ten problem na razie pozostanie nierozwiązany, otwieramy brzegi i szerzy się u nas moralna zgnilizna. Ale ale, wkraczam w świat polityki. A my mówimy o świecie literackim. Pisarze coraz częściej zdarzają się właśnie w środowisku nowojorskim. Dysponujemy tańszymi maszynami drukarskimi i tymi do oprawy książek, nie brakuje nam pomysłów na obniżanie kosztów. Sława autora już nie będzie trwać dwadzieścia kilka lat, jak w przypadku waszego Longfellowa — o nie, nazwisko pisarza przeżyje jedną książkę, może dwie, a potem bezpowrotnie zastąpi je coś nowego, wspanialszego, bardziej awangardowego. By osiągnąć sukces, należy postawić na ilość, panie Osgood.

Ten dobrze wiedział, jak rodzina Harperów traktowała autorów w swoim wydawnictwie przy Franklin Square w Nowym Jorku, gdzie uwieczniony w postaci żelaznego popiersia Benjamin Franklin z wnikliwym wyrazem przymrużonych oczu krytycznie spoglądał na wszystkich wchodzących do królestwa Harperów, jakby chciał powiedzieć, że to on jest ostatnim z autorów wartych jakiegokolwiek zachodu. W księgarskich kręgach krążyła anegdota o



Fitz-Jamesie O'Brienie, który przechadzał się przed budynkiem wydawnictwa, niosąc tablicę z napisem: „Moje książki wydają bracia Harperowie. Przymieram głodem”, dopóki Harper nie przystał na wypłacenie mu jego należności. Opowiadano także, z jak wielkim zadowoleniem przyjęto w firmie Harperów zwrot nędznych 145 dolarów i 83 centów zaliczki zapłaconej panu Melville'owi za jego dziwną morską powieść *Moby Dick*, czyli *biały wieloryb*.

Dla braci Harperów wydawnictwo oznaczało władzę. Sięgnęła ona szczytu w latach czterdziestych XIX wieku, gdy najstarszy z czwórki, James Harper, został wybrany na burmistrza Nowego Jorku z ramienia antykatolickiej Partii Natywiistów\*. Zanim zginął w tragicznym wypadku, gdy jego powóz rozpadł się, a konie pociągnęły ciało przez Central Park, założył instytucję znaną jako Policja Harpera. Od tamtej pory Fletcher, wcześniej zarządzający finansami firmy, zdołał wspiąć się na sam jej szczyt i zdobyć przydomek Majora.

\* Natywiści — ruch powstały w Ameryce w latach trzydziestych XIX wieku, wyrażający amerykańskie nastroje antyimigracyjne i ksenofobię.

Osgood czuł, jak w gardle wzbiera mu krzyk, co było uczuciem dlań nieczystym i nieprzyjemnym. Był najstarszym z piątki rodzeństwa i gdy dorastał, to na nim zawsze spoczywał obowiązek zachowania hartu ducha, rozsądku i spokoju, nawet kosztem własnych uczuć. Innym pozwalano dawać upust emocjom, ale nie jemu. Takim w młodości znano go w Maine, tak też zapisał się w firmie i w samej księgarskiej profesji. Te cechy: pracowitość i wytrwałość, zapewniły mu przyjęcie do college'u w wieku zaledwie dwunastu lat — choć rodzina musiała czekać, aż skończy czternaście, by spełnić wymogi administracji w Bowdoin.

— My bardzo lubimy naszych autorów — nie tracąc zimnej krwi, zapewnił swego gościa. — Można by powiedzieć, że nasz dom wydawniczy pracuje dla nich, a nie odwrotnie.

— Jeśli będzie pan uciekał się do tak mętnych wywodów, nie zdołam pana zrozumieć, panie Osgood.

— Postaram się wyrażać jaśniej.

— Proszę mi więc powiedzieć, dlaczego pan Fields wolał, by zamiast niego to pan się ze mną spotkał. Otóż dlatego — wyjaśniał, nie dając rozmówcy szansy na odpowiedź — że pański wspólnik wie, że jego droga życiowa już wiedzie z górki. Jest pan zapalonym młodym człowiekiem, takim *enfant terrible* o wnikliwym spojrzeniu i sprytnych pomysłach i może pan zerwać z tą całą ospałą tradycją.

Harper ciągnął swoją tyradę, zaledwie przerywając dla zaczerpnięcia powietrza:

— Książki w przyszłości staną się po prostu gratami. Artykułami handlowymi, panie Osgood. Księgarnie już teraz świecą pustkami, a wypełniane są pudełkami cygar, indyjskimi perkali kami, zabawkami. Zabawkami! Wnet w tym kraju będzie więcej zabawek niż książek, a kwestia autorstwa będzie znaczyć nie więcej niż nazwisko fabrykanta nowej papierowej lalki. Nazwisko wydawcy okaże się o wiele ważniejsze niż jakiegokolwiek pisarza, a naszym zadaniem będzie mieszanie tuszu potrzebnego do wydania książki, podobnie jak zadaniem farmaceuty jest łączyć składniki chemiczne.

Tak więc przybywam z propozycją, aby Fields, Osgood and Company zatrasnęło swoje wrota w Bostonie, porzuciło tę Wymierającą metropolię i przeniosło się do Nowego Jorku — łącząc się z nami, oczywiście pod nazwiskiem Harper. Dostaniecie wolną rękę w kwestii waszych dziwacznych literackich upodobań. I zamiast patrzeć na powolny upadek tej wspaniałej starej instytucji, staniecie się częścią naszej wydawniczej rodziny. Będziecie dla

nas niczym synowie, będziecie tym, kim dla pana są pańskie dzieci... Aha, pan zdaje się nie ma potomstwa, prawda? No przecież. Przypomniałem sobie, jest pan kawalerem. Bezdzienny Fields to pański wzór.

Osgood zbył tę ostatnią uwagę lekceważącym ruchem głowy.

— Pańska oferta po prostu nie leży w interesie naszych autorów, Majorze. Dla nas książki zawsze pozostaną mądrzejsze i lepsze od zwykłych towarów. I mogę chyba powiedzieć, także w imieniu pana Fieldsa, że wolimy kontynuować działalność w tym właśnie duchu, nawet jeśli to oznacza, że nie przetrwamy. Obawiam się, że nigdy nie uda wam się pozbawić tej firmy jej bostońskiego charakteru.

Postanowił natychmiast zakończyć spotkanie, korzystając z jednej z metod Fieldsa. Nacisnął stopą pedał ukryty pod biurkiem i zaraz pojawił się Daniel Sand z przesłaniem o „pilnej” sprawie, która nie pozwalała wydawcy na kontynuowanie rozmowy. Ale Harper wstał, dając znak, że zrozumiał.

— Nie musi się pan wysilać na całe to przedstawienie — zawołał, nim kancelista zdążył otworzyć usta.

Daniel, starając się nie wypaść z roli, którą zagrał swym nagłym wejściem, rzucił Osgoodowi smutne spojrzenie, a ten skinieniem głowy dał mu znak, by odszedł.

Harper mówił dalej, z twarzą niczym gradowa chmura.

— Znam każdą sztuczkę, każdy manewr, każdy zamysł w tej profesji, i to dziesięć razy lepiej od mojego drogiego brata burmistrza, niech Bóg ma w opiece jego duszę! Dajżeż pan spokój! Te stare metody nie uratują was przed prawdą, którą dzisiaj panu przedstawiłem.

Stali, mierząc się wzrokiem.

Harper nagle wybuchnął śmiechem, wyraźnie dając do zrozumienia, że tylko on ma powód do satysfakcji.

— No cóż, chyba to prawda, co mówią, że uprzejmość to uprzejmość, a biznes to biznes.

— Kto tak twierdzi, Majorze?

— Ja. I niech pan sobie nie myśli, że pan Fields i pan tak bardzo się od nas różnicie, chroniąc się przed światem w kokonie optymistycznej gadaniny i wybujałych ambicji. Obserwujemy was. Pamiętajcie, pisać może anioł, ale to diabeł wydaje. Powinien był pan zostać pastorem, jeśli chciał wytrwać w wierze.

— Życzę miłego popołudnia, Majorze.

Osgood w milczeniu czekał, aż Harperowi nie pozostanie nic innego, jak tylko zbierać się do wyjścia.

— Aha, tak przy okazji, słyszałem, że ta nowa opowieść, którą pisze Dickens, zapowiada się fascynująco — rzucił mimochodem nowojorczyk, strząsając krople deszczu z kapelusza. — Ponoć w Londynie Chapman płaci krocie, by ją wydać. *Morderstwo Edwarda Drory?*

— *Tajemnica Edwina Drooda*, tak chyba zdecydował się ją zatytułować.

— A rzeczywiście, racja! Nie mogę się doczekać, by się dowiedzieć, dokąd Dickens, Wielki Magik, zabierze nas tym razem.

Dickens! — magiczne słowo, nazwisko nad nazwiskami, człowiek, który dla firmy Fieldsa, Osgooda & Co był całym światem. Major wiedział o tym i dlatego napomknięcie o powieści było jednocześnie groźbą.

Kilka lat wcześniej Fields złożył Charlesowi Dickensowi, najpopularniejszemu pisarzowi świata, dwie poważne oferty: pierwsza dotyczyła wielkiego autorskiego tournée po Stanach Zjednoczonych, druga — ustanowienia firmy jedynym wydawcą jego dzieł w Ameryce. Ze swych posiadłości na angielskiej prowincji Dickens

przysłał zgodę na obie propozycje, co wywołało sarkanie pozostałych amerykańskich wydawców — zwłaszcza braci Harperów.

Stany Zjednoczone i Anglia nie podpisały umowy dotyczącej praw autorskich. A to oznaczało, że każdy amerykański wydawca mógł bez zgody autora opublikować jakąkolwiek brytyjską książkę. Przestrzegano wszakże zasady tak zwanej zawodowej kurtuazji: gdy któryś z amerykańskich wydawców zawarł umowę na opublikowanie zagranicznej powieści, pozostali ten fakt respektowali. Jednak bracia Harperowie notorycznie uciekali się do drukowania tanich, nieautoryzowanych egzemplarzy (wprowadzali w tekście własne zmiany, czasem w wyniku niechlujstwa, ale także po to, by bardziej dopasować angielskie wątki do gustu amerykańskich czytelników). Ze strony tytułowej usuwali znak firmowy Harperów i rozprowadzali nielegalnie wydane kopie w wagonach kolejowych, na ulicach lub drogą subskrypcji.

Tak więc Major Harper, nawiązując do *Tajemnicy Edwina Drooda*, zasugerował, że jego wydawnictwo, zalewając rynek tanimi książkami, może sprawić, że poważne inwestycje Fieldsa, Osgooda & Co pójdą na marne. Popyt na nową powieść Dickensa byłby olbrzymi, a co wybrałby ciężko pracujący, przeciętny amerykański czytelnik? Wydatek dwóch dolarów za książkę opublikowaną przez Fieldsa, Osgooda & Co czy siedemdziesięciu pięciu centów za tę rozprowadzaną przez domokrażców Harpera?

Bostoński wydawca nie zdołałby temu zapobiec.

Zorganizowane przez Fieldsa i Osgooda w zimie z przełomu 1868 i 1869 roku pięciomiesięczne autorskie tournee Dickensa po Stanach Zjednoczonych okazało się wielkim sukcesem. Jeszcze nim dobiegło końca, już czuło się jego historyczne znaczenie. Podczas objazdu Osgood pracował zawzięcie — to na nim spoczywały

obowiązki skarbnika, musiał także spełniać zachcianki Dickensa i jeszcze łagodzić konflikty i spory. Pod koniec podróży w kieszeniach „Wodza” — jak Dickensa nazywał Dolby, menadżer pisarza — uzbierało się sto tysięcy dolarów zysku.

Wydawnictwu Fields, Osgood & Co opłaciły się wieczory autorские — otrzymali pięć procent zysku brutto — ale prawdziwa nagroda za wiarę pokładaną w Dickensie miała dopiero nadejść. A to za sprawą publikacji *Tajemnicy Edwina Drooda*.

Cały świat czekał na tę powieść, tak jak w przypadku każdego dzieła Dickensa, począwszy od *Klubu Pickwicka* i *Olivera Twista*, które trzydzieści pięć lat wcześniej rozślawiły nazwisko byłego protokolanta sądowego. Wśród parających się literaturą piękną, cieszącą się wzięciem w owych czasach, jedynie Dickens potrafił w każdej ze swych książek posługiwać się w równej mierze dowcipem i wnikliwością, entuzjazmem i współczuciem. Jego bohaterowie nie byli ani postaciami papierowymi, ani słabo zamaskowanymi emanacjami osobowości samego pisarza. Nie, te postacie były w pełni sobą. Opowieści Dickensa nie miały wzbudzać u czytelników aspiracji do klasy wyższej ani nienawiści do innych niż ich własna, lecz zachęcać do znalezienia we wszystkich człowieczeństwa i ludzkiej istoty. To właśnie uczyniło go najsłynniejszym autorem na świecie.

Tym razem oczekiwanie na nową książkę trwało niemal pięć lat, dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. „Społeczeństwo do niej dojrzało!”, powiedział kiedyś Fields. *Drood* miał być historią młodego dżentelmena, Edwina Drooda — uczciwego, choć niezbyt rozgarniętego, który znika, wywoławszy zawiść nikczemnego wuja, Johna Jaspera, wiodącego podwójne życie szanowanego obywatela i narkomana. W listach do Fieldsa Dickens zapewniał, że powieść będzie bardzo „ciekawa i nowa” dla czytelników.

Ralph Waldo Emerson siedział akurat w biurze Fieldsa, gdy wspólnicy czytali list Dickensa dotyczący tej powieści.

— Obawiam się, że Dickens ma zbyt wielki talent jak na swój geniusz — oznajmił Emerson tonem starej wyroczni znużonej własnymi przepowiedniami.

— Co chciałeś przez to powiedzieć, drogi Waldo? — zapytał Fields. Wydawca o tak długim stażu w zawodzie nie przejmował się, gdy jeden pisarz wbijał drugiemu szpilkę.

— Jego twarz mnie onieśmiela! — zawołał Emerson, przypatrując się wiszącej na ścianie fotografii Dickensa, ukazującej stanowczy, ale już naruszony zębem czasu profil i utkwiony przed siebie surowy wzrok wojskowego. — Ty i pan Osgood będziecie przekonywać mnie o jego łagodnej naturze. Obstawać, że to człowiek pełen współczucia, wyrastający ponad swój talent, który jednak według mnie trzyma go w swych okowach. To zbyt znakomity artysta, by pozostała w nim choć resztką naturalności.

Poeta nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jego wydawcy potrzebowali Dickensa. Nie zdołaliby się utrzymać na powierzchni, bazując tylko na takich pisarzach jak Longfellow, Lowell, Holmes, czy nawet on, Emerson, ich „Concord Sage”. Przed laty bostońskie kółko wzajemnej adoracji przysporzyło firmie rojów czytelników zainteresowanych wydawanymi przez nią powieściami i poematami. Osgood pracował w wydawnictwie dopiero od kilku tygodni, gdy *Pieśń o Hajawacie*, sensacyjne dzieło Longfellowa, spływało rzeką spod pras drukarskich i znikало z księgarni! Teraz w najlepszym wypadku Osgood mógł namówić doktora Holmesa do napisania kiepskiej kontynuacji *The Autocrat of the Breakfast Table*\*;

\* *Autokrata przy śniadaniu*, zbiór esejów Olivera Wendella Holmesa.

uśmiechem przyjąć podyktowaną najlepszymi intencjami moralizującą powieść pani Stowe, zaledwie w połowie tak odważną jak

*Chata Wuja Toma*; czy zachęcić Longfellowa do żmudnej pracy nad długim, poważnym poematem o Jezusie Chrystusie, *The Divine Tragedy*, choć wznowienie jego kontrowersyjnego przekładu *Boskiej Komedii* byłoby bardziej lukratywne.

Osgood czuł się, jakby ścigały go Furie: co dnia musiał stawiać czoła pretensjom autorów domagających się darmowych egzemplarzy lub otuchy, gdy książki trafiały do budzącej grozę krainy zwanej „nakład wyczerpany”. Z rozczarowania topią się we Frog Pond. Urzędujący dwa gabinety dalej Montague Midges lada chwila zgłosi konieczność podwyżki stawki autorskiej, by można było zapłacić strony wydawanej przez nich gazety „Atlantic Monthly”. Osgood nie darzył większym entuzjazmem nudnych, niestrawnych, wiecznie „prawie ukończonych!” dzieł, takich jak Homer tłumaczony przez Bryanta czy *Faust*, nad którym pracował Taylor, przy czym żadna z tych pozycji nie sprzedawałaby się na tyle dobrze, by wystarczyło choćby na pokrycie kosztów. Osgood zawiadywał rozhuśtanym statkiem, a sztorm przybierał na sile.

Nowa powieść Dickensa mogła to zmienić.

Harper ma trochę racji — pomyślał Osgood w dniu, gdy się spotkali, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Może wydawca faktycznie niewiele się już różni od producenta zabawek, a nazwisko autora nie zdoła przetrwać dwudziestu lat. — Poza Charlesem Dickensem — powiedział sam do siebie. — On przewyższa innych. Literaturę przemienia w książki, a z książek czyni literaturę. Do diabła z tymi zabawkami Harpera!

I wtedy, z początkiem lata, nadeszła straszliwa wieść.

— James! — Fields bez tchu biegł do gabinetu Osgooda. — Przyszedł telegram! Daj Boże, żeby to była pomyłka!



Osgood spanikował, zanim się dowiedział, czego powinien się lękać. Fields rzadko kiedy zwracał się do młodszego współnika po imieniu, nie miał zwyczaju zdradzania emocji w obecności buchalterek — wszystkie uniosły teraz głowy znad kartek papieru, w jednej chwili rozmazując sobie pewnie z tuzin słów — nie mówiąc już o tym, by pozwalał sobie przy nich choćby przyspieszać kroku. Wtem Osgood zauważył, jak jedna z pracownic płacze, ukrywszy twarz w dłoniach, nim zdążyła wyjąć chusteczkę. Z drugiego końca pomieszczenia Rebeka patrzyła na niego z taką miną, jakby na wargi cisnęło jej się tysiąc słów. Odniósł przykre wrażenie, że jako jedyny nie wie, że wydarzyło się coś strasznego.

Współczujący wyraz zielonych oczu Rebeki sprawił, że Osgood zapragnął zasięgnąć jej rady, od niej usłyszeć, co się stało.

Ale Fields już wpadł do gabinetu i szaleńczo gestykulując, zatrzasnął drzwi.

— Charles Dickens... nie żyje! — wyrzucił z siebie w końcu.

Po otrzymaniu nekrologów zamieszczonych w porannych londyńskich dziennikach bostońskie gazety przesłały je telegraficznie do firmy. Fields odczytał tekst na głos, zwracając uwagę na szczegóły, jakby wciąż jeszcze można było jakąś sprytną sztuczką odwrócić bieg spraw: „Żrenica prawego oka mocno rozszerzona, lewego zwężona, oddech chrapliwy, członki zwiótzałe, na pół godziny przed śmiercią wystąpiły konwulsje...”.

Dalej donoszono, że Dickens swój ostatni dzień spędził, pracując nad *Tajemnicą Edwina Drooda*: nagle, z piórem w dłoni, poczuł się słabo. Właśnie pisał ostatnie słowa szóstego odcinka — był w połowie powieści zamierzonej na dwanaście części. Niedługo potem upadł i już nie doszedł do siebie.

— Dickens nie żyje! — krzyknął Fields, cały roztrzęsiony. — Jak to możliwe...! Nie wierzę! Świat bez Dickensa!

Wiadomość się rozeszła, mężczyźni i kobiety płakali lub oszołomieni siedzieli w milczeniu w swoich biurach. „Charles Dickens nie żyje”, powtarzali wieść kolejnym osobom. Niemal każdy pracownik wydawnictwa miał okazję zetknąć się z panem Dickensem, gdy ten dwa lata wcześniej przyjechał na tournée. Choć pisarz traktował bliźnich ze zbyt dużym dystansem, by można go było nazwać swoim przyjacielem, to w każdym, kto się z nim zetknął, natychmiast wzbudzał uczucie przyjaźni. Ileż on miał w sobie życia — nie tylko własnego, ale także postaci, których życie odgrywał przed zachwyconą publicznością podczas swojej wizyty! Nikt, kto kiedykolwiek poznał Dickensa, nie potrafił sobie wyobrazić jego odejścia. Odejścia człowieka, który miał — Osgood przypominał sobie czyjeś słowa — oczy jak wykrzykniki. Jak ktoś taki mógł umrzeć?

— Charles... Dickens... Czterdzieści mil... — nie przestawał bełkotać Fields, oszołomiony i strapiiony po godzinie wspólnego siedzenia w milczeniu. — Muszę pilnować telegrafu, na wypadek gdyby zaszła pomyłka.

Dickens był starszy od Fieldsa zaledwie o kilka lat, a ostatnio wydawca cierpiał na chroniczne migreny, nasilił mu się także ból dłoni. Wychodząc, Fields jeszcze raz zwrócił się do Osgooda:

— Czterdzieści mil, tak powiedziałeś!

— W samej rzeczy — odrzekł ten z cierpliwą łagodnością.

Działo się to w marcu 1868 roku, pod koniec wizyty Dickensa w Bostonie, na obiedzie w domu Fieldsów przy Charles Street. Rozmowa zesła — co często zdarzało się podczas obiadów u Fieldsa — na wyliczenia, jak daleko w prostej linii sięgnęłyby rękopisy Charlesa Dickensa, gdyby rozłożyć jedna obok drugiej kolejne strony.

— Czterdzieści mil — orzekł Osgood po dokładnym zestawieniu w głowie liczby powieści i szybkim obliczeniu ich przeciętnej długości.

— Nie, Osgood — zawołał Fields. — Sto tysięcy mil!

— Dziękuję panu, mój drogi — powiedział wtedy Charles Dickens takim tonem, jakby nadawał Fieldsowi tytuł szlachecki, a Osgooda zmierzył surowym spojrzeniem, unosząc brwi i niemal zanurzając wzrok siwych oczu w duszę młodszego księgarza. — Panie Fields, nie zamierzam pofolgować pańskiemu młodemu współnikowi, dopóki nie zmieni swych obliczeń w kwestii liczby słów, które w życiu wyprodukowałem. Na pewno dadzą więcej niż czterdzieści mil!

Oto cali Fields i Osgood: młodszemu zależało na odpowiedzi dokładnej, starszy udzielał takiej, jakiej oczekiwano.

— Czyż to nie przyprawia pana o dreszcze, panie Dickens? — zapytała piękna Anne Fields, śmiejąc się z męża i jego współnika. — Jakże słowa o tak wielkiej wartości mogłyby pokryć zaledwie tak nieznaczną część naszego globu?

Pisarz uniósł ręce w pełnym ekspresji geście, ściągając na siebie powszechną uwagę. Miał twarz w rodzaju tych, które wciąż zmieniają wyraz, i tak naprawdę nie sposób było się jej przyjrzyć inaczej jak z zaskoczenia podczas snu.

— Pani Fields, w istocie rozumiesz pani moją dziwną sytuację. Po opublikowaniu po obu stronach oceanu moje słowa są przeinaczane, masakrowane, rozkradane. Wspiera mnie wielu czytelników i księgarzy, a jednak jestem sam. Zapewne sążone mi było zostać Don Kichotem bez Sancho Pansy. Oto jak moi bracia pisarze padają w tej naszej ciągłej walce o przetrwanie. Nie pozostaje nic innego, jak zewrzeć szeregi, iść naprzód i walczyć.

Wracając myślą do tamtej chwili, Osgood poczuł się zagubiony i słaby, gdy teraz wyszedłszy za Fieldsem, podążał za nim

korytarzem do gabinetu. Starszy wspólnik usiadł przygarbiony na zarzuconym rękopisami siedzisku w okiennej wnęce i przyciskał czoło do zimnej szyby, aż od jego oddechu zaszła mgłą. Osgood pomyślał, że zamiast się załamywać, mógłby obmyślić strategię dla ich biznesu. Fields byłby mu wdzięczny. A on zasłużyłby na zaufanie, którym obdarowano go, przyjmując na wspólnika. W uszach wciąż rozbrzmiewał mu głos Majora sprzed trzech miesięcy: „Młodszy wspólnik, rzeczywiście”, a potem: „*Drood*. Nie mogę się doczekać”.

— Panie Fields — zaczął Osgood — bardziej niż kiedykolwiek martwię się teraz Harperem.

— No tak, w istocie — odrzekł wolno starszy wspólnik. Był nieutulony w żalu. — Zaraz zaraz, co? Nie rozumiem, Osgood, jak w ogóle możesz myśleć o Harperze!

— Gdy Major usłyszy, że nowa powieść została napisana za ledwie do połowy — a Dickens nie żyje — cóż, panie Fields, zapomni o wszelkiej zawodowej kurtuazji obowiązującej nawet w przypadku niedokończonych prac. Będzie starał się nas ubiec i wydać *Drooda* przed nami, bez uprzedzenia czy zachowania pozorów.

Fields oprzytomniał.

— Bracia Harpie. Boże! Toż to śmiertelny cios. Osgood, nasze wydawnictwo nie zdoła go znieść! — zrezygnowany jęknął i przetoczył się przez pokój w fotelu na kółkach. — Nikt nie wie, jak to się skończy. W handlu światowym panuje załamanie i niepewność. Major Harper miał rację, wychwalając Nowy Jork, chyba o tym wiesz. Dla nas oznacza to koniec.

— Proszę tak nie mówić, przyjacielu — zaprotestował Osgood.

Energia zdawała się ulatniać z Fieldsa, gdy tak siedział w fotelu z opuszczonymi bezwładnie nogami.

— Nowa Anglia była wspaniałą szkołą literatury. Ale w wymiarze jednego pokolenia, dla następnego już nie przetrwała.

Tak jak Edynburg przekazał swoje wydawnictwa Londynowi, tak nas wykupi i połknie Nowy Jork. A niech to! Równie dobrze możemy przerzucić się na księgi cytatów i podręczniki prawa, jak ci nieszczęśni Little i Brown, niech Bóg ma ich w opiece.

Na cóż przechodzić literackie udręki? — Nagle myśli Fieldsa zwróciły się w innym kierunku. — Powiedz no, miałbyś ochotę na coś słonego, tak jak ja? Aż wstyd mi się do tego przyznawać. Może przejdziesz się do kramiku za rogiem i kupisz kwartę orzeszków ziemnych? Tak, koniecznie coś słonego.

Osgood westchnął, poczuł się znowu jak młodszy buchalter, a jednocześnie pojął, że wszystko, co wokół niego trwałe, może w każdej chwili runąć. Potem rzucił kapelusz na krzesło i ponownie zwrócił się do współownika.

— Nie wolno nam siedzieć beczynnie — powiedział. — Może rzeczywiście nic nie da się zrobić, ale trzeba spróbować. Wydamy to i zrobimy to świetnie. Ubiegniemy Majora Harpera. Pół powieści Dickensa to dwa razy więcej od jakiegokolwiek innej ukończonej w całości.

— Ba! Tylko na co zda się kryminał bez zakończenia? Czytelnik angażuje się w dzieje młodego Edwina Drooda, a potem... nic! — wykrzyknął Fields. Przemierzał pokój, a w jego oczach pojawiła się krzepiąca jasność. Wydał długie westchnienie, jakby wyrzucał z siebie wcześniejszą rozpacz. I nagle znów był tym Fieldsem, którego Osgood znał: niepokonanym człowiekiem interesu.

— Ma pan po części — a raczej powinienem powiedzieć w połowie — rację, Osgood. Ale w żadnym wypadku, przyjacielu, nie wolno nam się zadowolić połową książki.

— A jaki mamy wybór? To wszystko, co pozostawił.

— Ten człowiek właśnie umarł — i w Angli na pewno panuje teraz chaos i żałoba. Musimy dowiedzieć się wszystkiego, co się tylko da, o tym, jak Dickens zamierzał zakończyć tę powieść. Jeśli ujawnimy wyłącznie w naszym wydaniu prawdopodobne zakończenie, pokonamy wszystkich tych podstępnych piratów.

— Jak to zrobimy, panie Fields? — zapytał Osgood, coraz bardziej podekscytowany.

— Odwagi. Pojadę do Londynu i wykorzystam moje znajomości w tamtejszych kręgach literackich, by wybadać, co mogło się kryć w umyśle Dickensa. A może napisał więcej niż to, co zdążył przed śmiercią przekazać wydawcy. Kto wie, czy coś nie leży w jakiejś zamkniętej szufladzie, gdy tymczasem rodzina wypłakuje sobie oczy i przywdziewa żałobne szaty. Będę działał po cichu, dopóki nie natknę się choćby na jakąś wskazówkę w kwestii tego, co zamierzał. O tak, tak właśnie. Zachowaj nasze zamysły dla siebie, niech nikt z zewnątrz nie dowie się, co planujemy.

— Co planujemy — jak echo powtórzył Osgood.

— Tak. Odnajdę zakończenie tajemniczej powieści Dickensa!

Tamtego czerwcowego dnia Osgood, ochłonawszy z nastroju cichej żałoby po Dickensie, energicznie rzucił się w wir organizowania praktycznych aspektów planu. Poprosił Rebekę, by wysłała do Johna Forstera, wykonawcy testamentu Dickensa, telegraf z ważną wiadomością: „Pilne. Natychmiast przesłać do Bostonu całość *Drooda*, wszystko co macie”. Dotąd otrzymali trzy odcinki i chodziło im o czwarty, piąty i szósty, który według informacji podawanych w gazetach pisarz skończył tuż przed śmiercią. Osgood polecił drukarzowi natychmiast zabrać się do składania tekstu z przesłanych im próbnych wydruków *Tajemnicy Edwina Drooda*. Tym

sposobem byliby przygotowani na dolozenie wszystkiego, cokolwiek zdołaja wyszperac na temat zakonczenia, po czym natychmiast oddac calosc do druku.

Przez nastepny tydzien Osgood zajmowal sie opracowywaniem szczegolow wyprawy Fieldsa do Londynu. Starszy wspolnik mial wyjechać, gdy tylko pozalawia pewne palace sprawy firmy.

Niedlugo po smierci Dickensa oficer Carlton przyszedl z szokujaca wiadomoscia o wypadku Daniela. Osgood wyslal mlodziencza do portu po odbior ostatnich trzech odcinkow nadeslanych z Anglii w odpowiedzi na telegraf. I tak oto, jeszcze bedac w zalobie po pisarzu, juz musieli stawic czolo nastepnemu nieszczęściu. Bezsensowny wypadek Daniela Sanda napelnil Osgooda smutkiem bardziej dotkliwym i dziwniejszym niz zal po smierci Dickensa. Strata pisarza polaczyla w bolu miliony ludzi na swiecie; w kazdym domu, w kazdej rodzinie jego zgon przyjeto jako osobisty cios. W dniu, gdy ta wieść nadeszla, pozamykano sklepy, opuszczono flagi. A biedny Daniel? Kto odczuje zalobe po nim? Oczywiscie Osgood i siostra Daniela, Rebeka, zatrudniona w wydawnictwie. Poza tym smierc ta przeszla niezauwazona. A jednak w pewnym sensie o ilez bardziej wydawala sie realna od gloryfikowanego przez caly swiat odejscia Dickensa.

Po smierci Daniela Osgood spodziewal sie, ze Rebeka przez jakis czas nie bedzie przychodzic do pracy. Ale nie. Jak zawsze spokojna, ubrana w czarna krepę i muslin, w pracy pojawiala sie codziennie, bez wyjatku.

Powiadomienie panny Sand o smierci Daniela policja pozostawila w gestii Osgooda. Gdy powiedzial jej o wypadku, zabrala sie do porzadkowania swojego biurka, sprawiajac wrazenie, ze jest zbyt zajeta, by go sluchac. Zaciskala zęby, a pod spokojna maska jej twarzy rozgrywala sie bitwa. Wielkie oczy zamknely sie, cienkie

usta zadrgały, i po chwili walka była przegrana: Rebeka opadła na krzesło, kryjąc twarz w dłoniach.

— Czy są jacyś krewni, których mógłbym powiadomić? — zapytał Osgood. — Rodzice?

Pokręciła głową i przyjęła od niego chusteczkę.

— Nie ma nikogo. Czy bardzo cierpiał?

Osgood zawahał się. Nie wspomniał jej o podejrzeniach policji związanych z opium, nie powiedział też o zdradzieckich śladach ukłuc na ramieniu Daniela. Za bardzo współczuł Rebecce, a szczegóły śmierci jej brata były zbyt drastyczne, by o nich mówić. Uznał, że dla nich obojga lepiej będzie, jeśli je przed nią ukryje.

— Nie sądzę — odrzekł łagodnie.

Zwróciła ku niemu zaczerwienione oczy.

— Proszę powiedzieć mi jeszcze tylko jedno. Dobrze, panie Osgood? Skąd on szedł? — W napięciu czekała na odpowiedź.

— Sądzimy, że z portu, a dokładnie z Dock Square. Wcześniej... przed tym wypadkiem miał odebrać w dokach pewne dokumenty.

Ściągnęła wargi i zanim zdążył powiedzieć coś więcej, jej oczy wypełniły się łzami. I choć w żadnym wypadku nie osądzałby jej, jakakolwiek byłaby jej reakcja, podziwiał Reбекę: nie próbowała ani demonstrować, ani ukrywać żalu. Odruchowo ujął jej dłoń i przytrzymał w swojej. Gestem tym pragnął ją pocieszyć, dodać otuchy. Pierwszy raz zdarzyło mu się, by dotknął którejś ze swoich pracownic — wszelki fizyczny kontakt między mężczyznami i kobietami oznaczał złamanie obowiązujących w firmie zasad. Trzymał jej dłoń, dopóki dziewczyna nie wydała mu się spokojniejsza, wtedy natychmiast ją puścił.

Gdy minął tydzień, a ona stale przychodziła do pracy, nie biorąc nawet jednego wolnego dnia, Osgood poprosił ją do swego gabinetu. Dla zachowania wymogów przyzwoitości zostawił otwarte drzwi.



— Wie pani, że nie byłoby nic niewłaściwego w tym, żeby wzięła pani trochę wolnego, by w spokoju oddać się żałobie po Danielu.

— Mogę przestać przychodzić do biura w żałobnej czerni, jeśli zbytnio zwracam nią uwagę — odrzekła. — Ale jeśli pan pozwoli, zostanę.

— Na Boga, Rebeko, nikt nie wymaga, byś była aż tak mężna.

— Nie chciałabym nieobecnością w pracy przysporzyć kłopotu panu ani panu Fieldsowi.

Osgood wiedział, że dla Rebeki praca znaczyła o wiele więcej niż dla większości innych dziewcząt. Niektóre z gorliwie ubiegających się o posadę później odliczały w kalendarzach biurowych dni dzielące je od chwili, gdy spotkają mężczyznę, którego będą mogły poślubić, choć od czasów wojny kobiety znacznie przewyższały liczebnością mężczyzn w mieście i poszukiwanie kandydata na małżonka mogło trwać długo. Wiedział także, że Rebecce zależało, by nie okazać słabości przed Fieldsem, nawet w zaistniałych okolicznościach. Liberalnie usposobiony starszy wspólnik nie miał wprawdzie nic przeciwko obecności w biurze młodych pracownic, rozwódka jednak to zupełnie co innego.

— Uszanuję pani życzenie — zgodził się Osgood, po czym młoda kobieta powróciła do czekających na jej biurku spraw do załatwienia.

Rozpad małżeństwa Rebeki poskutkował przede wszystkim jej wyprawą z prowincji do tego miasta wraz z młodszym bratem jako podopiecznym i opiekunem w jednej osobie. Przekonanie Fieldsa, jak dobrze zrobiła wrażenie i jak świetnie przygotowana stawiała się na pierwsze spotkanie, zabrało Osgoodowi dwa i pół dnia, choć gdy już dostała posadę, nigdy nie zdradziłby, że zabiegał o to osobiście. Fields nie patrzył na jej rozwód jako na coś kłopotliwego i nie

życzył sobie, by ktokolwiek tak to traktował.

— Twierdzisz, że potrzebujemy pracowników gotowych do walki — argumentował, by przekonać Fieldsa — a panna Sand przeżywała najgorsze, co może spotkać młodą kobietę.

Osgood rozmyślał o zadaniu, z którym Daniel wyruszył do portu tamtego dnia. Miał wyjść na spotkanie statku przybywającego z Londynu, a posłaniec miał wręczyć mu — i tylko jemu — próbne wydruki czwartego, piątego i szóstego odcinka *Tajemnicy Edwina Drooda*. Wydawnictwo Fields, Osgood & Co w jednym ze swych czasopism, „Everyday Saturday”, zamieszczało w odcinkach jedyną autoryzowaną wersję powieści. Tam po raz pierwszy czytelnicy mogli znaleźć kolejne rozdziały *Drooda*, poskładane z „egzemplarzy sygnałnych dostarczonych przez autora”. Fakt ten wydawcy z dumą ogłaszali w każdym kolejnym numerze, jak również to, że ich publikacja była jedyną, za którą Charles Dickens otrzymywał wynagrodzenie. Żadne z pozostałych amerykańskich czasopism — nie wykluczając gazety wydawanej przez Harperów — nie mogło rościć sobie podobnego prawa; do tego ich wersje miały pojawiać się z kilkutygodniowym opóźnieniem.

Z tego więc powodu, zważywszy na konkurencję, misja, z którą Daniel udał się do portu, utrzymywana była w tajemnicy. Wysłany z tym zadaniem młody kancelista mniej rzucałby się w oczy, niż tak dobrze znany wspólnik Osgood. Draby opłacane przez inne wydawnictwa miały w zwyczaju kręcić się przy molo z nadzieją przejęcia wysoce pożądaných tekstów z Anglii, zanim te zdołają trafić do właściwego wydawcy. Nędznicy ci nazywali samych siebie bokanerami\*, czyli piratami książkowymi, i przybierali pospolite przydomki: Kotka, Melasa, Dziedzic, Dziecię. Usługi swe oferowali za pieniądze wydawcom z Nowego Jorku i Filadelfii, względnie

miejscowym bostońskim firmom. W ciągu tych wszystkich lat zwracali się z propozycjami także do Osgooda, ale on niezmiennie odmawiał uciekania się do tego rodzaju metod.

Nawiązanie do bukanierów — piratów atakujących statki francuskie i hiszpańskie na Morzu Karaibskim pod koniec XVII wieku.

Daniel wiedział, jak ważne było przejęcie kolejnego odcinka i bezpieczne dostarczenie go do sejfu wydawnictwa Fields, Osgood & Co. Dlatego też Osgood zapytał oficera Carltona, czy przy zwłokach znaleziono jakieś dokumenty, i był zaskoczony odpowiedzią przeczącą.

Czy Daniela mógł rozmyślnie zepchnąć na jezdnię któryś z bookanerów próbujących przejąć tekst? Osgood odrzucił tę możliwość, gdy tylko przyszła mu do głowy. Gdy chodziło o zdobycie rękopisu, środowisko wydawnicze uciekało się do rozmaitych nieczystych sztuczek — przekupstwa, kradzieży, szpiegostwa — ale do fizycznej przemocy, do morderstwa, nie posuwały się nawet najnikczemniejszy z bookanerów! Odcinki utracone w wypadku Daniela można zastąpić, ściągając je ponownie z Londynu — nie to przyprawiało Osgooda o bezsenność. Ale nie chciał przyznać, że policjant i koroner mieli rację co do kancelisty i opium. „Ten młody człowiek był jednym z upadłych”, tak to ujęli. Czyżby Daniel rzeczywiście zawiódł Osgooda, wydawnictwo, własną siostrę?

Kilka dni później Rebeka, zanim wyszła po skończonym dniu pracy, przystanęła pod drzwiami gabinetu Osgooda. Nadal nosiła żalobę — pomalowała nawet na czarno, jak to było w zwyczaju, te nieliczne sztuki biżuterii, które zakładała — ale pozbyła się krepy.

— Proszę pana — zaczęła, a spod kapturka wymknęło jej się pasemko ciemnych włosów. Gdy je chowała, na jej prawym uchu dostrzegł poszarpaną bliznę sprzed kilku lat. — Powinam panu

podziękować — powiedziała i wymownie pokiwała głową.

Osgood, całkowicie zaskoczony, odwzajemnił i skinienie, i uśmiech. Dopiero po jej odejściu uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, za co mu dziękowała. Czy chodziło jej o jakąś sprawę z ostatniego dnia, czy o posadę, którą przed laty dał Danielowi, a może o trzymanie jej za rękę, gdy płakała, mimo że postąpił wbrew zasadom? Oczywiście było za późno, by zapytać. Przecież nie mógł zatrzymać jej następnego ranka i po wydaniu poleceń co do listów i rozkładu dnia uprzejmie zagadnąć: Za co to chciałaś mi wczoraj podziękować, moja droga? Właśnie pluł sobie w brodę za zbyt wolne myślenie, gdy w jego drzwiach ukazała się inna twarz, nie tak mile widziana jak twarz Rebeki.

— Ach, pan jeszcze tutaj? Dziś nie będzie wystawnej kolacji wśród literatów? Żadnego, jak to się mówi, literackiego wieczoru? — Twarz należała do Montague Midgesa, osobnika odpowiedzialnego za kolportaż „Atlantic Monthly” i „Every Saturday”, czasopism należących do wydawnictwa. Był to człowieczek ugrzeczniomy i niemile gadatliwy, niemniej kompetentny. Przyszedł z ostatnimi rozliczeniami za „Atlantic”. — Widzę, że solidna panna Sand wciąż nosi żałobę — dodał, kątem oka spoglądając w kierunku drzwi.

— Midges?

— Pańska panienka od rachunków. — Tak Midges nazywał pierwsze kobiety zajmujące się buchalterią firmy. — Och, bynajmniej nie będę płakał, gdy panna Dwa Buciki w końcu zdecyduje się na włożenie żałobnych szatek z powrotem do szuflady. W czerni kostki jej nóg wydają się zbyt masywne, nie sądzi pan?

— Panie Midges, wołałbym...

Ten zaczął pogwizdywać, co często zdarzało mu się w połowie zdania wypowiedzanego przez rozmówcę.

— Pewnie bez brata, sama w Bostonie, nieszczęsna załamie się. Dziesięć do jednego, że już żałuje pozbycia się mężulka. Dobranoc panu!

Po tych słowach Osgood zerwał się z krzesła, zdawał sobie jednak sprawę, że gdyby inne pracownice usłyszały go broniącego Rebeki, rozeszłyby się plotki. To jeszcze pogorszyłyby jej już i tak nie najlepszą sytuację. Usiadł więc i zastanawiał się, czy Midges przypadkiem lepiej od niego nie wczuł się w położenie dziewczyny. Zauważył, że pocałował ją w dłoń. Czyżby okrutna strata Daniela dla Rebeki była zarazem stratą Rebeki dla Osgooda?

Rebeka nie miała ochoty na przeprowadzkę do innego pokoju, gospodyni jednak nalegała. Tak więc po śmierci Daniela dziewczyna musiała przenieść cały dobytek do mniejszego pomieszczenia, znajdującego się na samym szczycie wąskich schodów w podrzędnym pensjonacie, za które przyjdzie jej płacić dodatkowego dolara miesięcznie.

Rebeka nie zaprotestowała — nie ważyłaby się. W wielu pensjonatach nie przyjmowano samotnych kobiet bez towarzystwa krewnych, a zwłaszcza rozwódek, lub pobierano od nich opłatę wyższą niż od mężczyzn. Domy zamieszkałe przez rzeszę pracujących w fabrykach szwaczek były narażone na to, że mogły być uznawane za burdele, dlatego gospodynie, jeśli mogły wybierać, zawsze wolały nowożeńców czy subiektów — mężczyzn. Gospodyni Rebeki, pani Lepsin, nie kryła, że przyjęła ją z dwóch powodów: lokatorka nie należała do kategorii niemrawych irlandzkich dziewczek, no i mieszkała z bratem. Teraz, choć Rebeka nadal nie była irlandzką dziewczką, drugi powód wygasł i nie ulegało wątpliwości, że pani Lepsin chętnie by się jej pozbyła.

Przy świetle samotnej świeczki Rebeka spakowała swój przydziewek i pozostałe przedmioty. W pokoju nie było szaf, więc trochę ubrań i tak już miała poskładanych, inne wisiały na porzewiałych gwoździach na ścianie. Zbierając rzeczy, zjadła czekoladowe ciasteczko, które wraz z garścią czerwono-białych miętotówek przechowywała w pudełku na rękawiczki na — jak to nazywała — wyjątkowe sytuacje. Na przykład gdy po zjedzeniu na dole wspólnego posiłku składającego się z zimnych jarzyn i wodnistego ryżowego puddingu przed położeniem się do łóżka poczuła głód. Lub gdy nagle przyszło jej spakować cały dobytek w ciągu kilku godzin, bo inaczej wylądowałyby na ulicy!

Pięć dolarów miesięcznie za mniejszy pokój przekraczało możliwości Rebeki, gdy zabrakło pomocy Daniela, nawet gdyby drastycznie ograniczyła wydatki. Oszczędności pozwolą jej na opłacenie czynszu za następne dwa miesiące. W firmie powszechnie spodziewano się, że jeśli wspólnikom powiedzie się plan pokonania piratów i uzyskają należne im zyski z *Tajemnicy Edwina Drooda*, pensje buchalterów wzrosną o siedemdziesiąt pięć centów miesięcznie. Gdyby jednak triumf odnieśli piraci, finansowe kłopoty personelu jeszcze by się powiększyły; pensje mogłyby nawet zmaleć o dwadzieścia pięć centów. Podwyżka była sprawą oczywistą przed śmiercią Dickensa. Teraz zarówno podwyżka, jak i szanse Rebeki na pozostanie w mieście zawisły na włosku. Gdy mieszkała na prowincji ze swoim mężem stolarzem, jego dochód zapewniał im wygodny dom z dodatkowym pokojem dla młodego Daniela. Brat przybył tam, by zamieszkać z nią i z Ambrozym po śmierci matki.

Potem wybuchła wojna i Ambroży zaciągnął się do wojska. W krwawej bitwie nad Stones River dostał się do konfederackiej niewoli i jako jeńiec trafił do obozu w Danville. Kiedy po dwóch latach wrócił, był cieniem dawnego siebie: słaby i zamknięty w sobie.

Coraz częściej wybuchał gniewem; regularnie bił żonę, nie oszczędzając jej głowy i ramion, atakował także Daniela, gdy ten interweniował. To bicie i te odwety w trójkącie konserwowały dobre samopoczucie Ambrożego. Rebeka robiła, co mogła, by odstręczyć męża od przemocy, ale gdy już nie udawało jej się chronić siebie ani brata, zebrała się na odwagę i odeszła. Wraz z Danielem wyjechała do Bostonu, gdzie, jak słyszała, dla młodych kobiet otwierały się w biurach nowe miejsca pracy, jak to nazywały gazety, w ramach powojennej gospodarki.

Od tamtego czasu minęły już ponad trzy lata. Gdy Rebeka zgromadziła dość pieniędzy na opłaty, po długim procesowaniu się uzyskała w końcu rozwód. Ambroży, poinformowany przez miejscowego prawnika, nie protestował, a w liście do bostońskiego sędziego napomknął, że szczupłe ciało Rebeki i tak nie dało mu syna, a jej wścibski brat to najgorsza zaraza.

Według prawa stanowego Massachusetts rozwód miał uprawomocnić się ostatecznie po dwóch latach i wtedy mogłaby ponownie wyjść za mąż. Na razie obowiązywał ją zakaz wchodzenia w jakikolwiek związki z mężczyzną. W czasie oczekiwania — pozostał jej jeszcze rok — najdrobniejsze złamanie zakazu, choćby pozorne, spowodowałoby unieważnienie rozwodu i już nigdy nie mogłaby nikogo poślubić.

Podczas przygotowań do przeprowadzki nie zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze zamężna. Inne panny zatrudniane do prowadzenia firmowej buchalterii mogły sobie rozprawiać, ile tylko chciały, o ślubach, o tym, gdzie poznają mitycznego męża, omawiać porady zamieszczone w najnowszym magazynie dla pań, w którym przekonywano, że po zgoleniu głowy włosy odrosną bardziej połyskliwe. To nie było w jej stylu. Mimo obecnej sytuacji Rebeka uważała, że i tak ma szczęście. Przecież małżeństwo nie przyniosło jej nic prócz przykrości. Posada w firmie to co innego.

Prawda, zarówno ona, jak i pozostałe dziewczęta były w biurze zaledwie „buchalterkami”, a nie urzędniczkami, i płacono im jedną czwartą tego, co zarabiali zatrudnieni u Fieldsa, Osgooda & Co mężczyźni — podobnie jak we wszystkich innych firmach. Ona jednak rozkoszowała się swoją pracą, dzięki niej nie upadała na duchu, w przeciwieństwie do młodych kobiet gotowych w tym mieście w każdej chwili odebrać jej pokój i posadę. Właśnie za to, a także za zaufanie i wiarę, że sobie poradzi, spontanicznie podziękowała Osgoodowi, gdy wychodziła z pracy.

Może ulga, którą odczuwała po zamianie domu i męża na nędzny pokój w pensjonacie i całodzienną pracę w biurze, mogła wydawać się dziwna, ona jednak ją przepełniała. Rozmyślała o słowach pani Gamp, gadatliwej postaci z powieści Dickensa: „Ona niewiele potrzebuje, a nawet tego nie dostaje”. Rebeka potrzebowała niewiele i to „niewiele” dostawała.

Zwłaszcza jeśli chodzi o książki. Gdy jako młoda dziewczyna mieszkała z rodziną na farmie, książki stanowiły jej towarzystwo, karmiły jej umysł. Otrzymali zasobną bibliotekę po starszym panu mieszkającym kilka domów dalej, który zmarł, a nie miał żadnych krewnych. Nieraz, siedząc przy świeczce po zapadnięciu ciemności, przeżywała przygody Robinsona Crusoe, Doktora Frankensteina, Jane Eyre i Olivera Twista. Po przybyciu do miasta zorientowała się, że bostończycy są wybredni i krytyczni wobec lektury; nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że książki można oceniać, a nie pochłaniać. Przeczuwała, że praca w wydawnictwie da jej możliwość wyrobienia sobie lepszego smaku co do literackich i moralnych zalet powieści. A gdyby do końca jej dni nazywano ją „panienką dogląającą ksiąg”, czy powinna mieć coś przeciwko temu?

Dopiero gdy przystąpiła do pakowania rzeczy w części pokoju zajmowanej przez Daniela, poczuła znużenie. Uszły z niej siły.



Przed przeprowadzką do Bostonu brat napomykał o tym, że chętnie wypłynąłby na morze. Gdy Rebeka uciekła od Ambrożego i wystąpiła o rozwód, nigdy więcej nie wspominał o swoich morskich marzeniach, nigdy nie stały się one pretekstem, by ją porzucił. Po cichu zajął się budowaniem modeli statków, które umieszczał w niewielkich szklanych butelkach. Bywało, że przypatrywała się pracy jego zwinnych dłoni i rozmyślała, jak to pewnego dnia namówi go, by wyruszył w dwuletni rejs jako chłopiec okrętowy na pokładzie statku handlowego. W końcu wyrwałby się z tej ich zabutelkowanej egzystencji. Teraz dzieła brata starannie pakowała w papier, uważając, by na szkło nie spadła nawet jedna łza.

Jakaś jej część nie przyjmowała do wiadomości śmierci Daniela, pragnęła wierzyć, że przebywa on gdzieś daleko na statku płynącym z misją handlową na Wschód lub do Afryki. Gdy zamknąwszy oczy, otwarła je ponownie i patrzyła na zdumiewające wytwory jego rąk, ujrzała na statkach wewnątrz butelek samą siebie, jakby w jej osobie przetrwały marzenia brata. Niezwykła to myśl u młodej kobiety, której życie ograniczało się obecnie do pragnienia przetrwania o własnych siłach, jakże różnego od tych przepelniających głowę każdej znanej jej dziewczyny, marzącej o wstążkach do włosów i piórach zdobiących kapelusz.

Zaraz po przybyciu rodzeństwa Sandów do Bostonu Daniel przyjaźnił się z swym dalekim kuzynem, starszym od siebie chłopcem, leniwym i nieszczerym. Razem spędzali czas na pijaństwie, i wkrótce Daniel rzadko bywał trzeźwy. Pewnego razu spadł z konia, którego wykradli z jakiejś stajni, i o mało nie skreślił sobie karku. Siostra sama pielęgnowała go w czasie choroby, a gdy czternastoletni wówczas chłopak przysiągł jej, że wyrzeknie się nałogu, uwierzyła mu całym sercem i przywiodła do Fieldsa, Osgooda & Co, ubiegając się dla niego o miejsce chłopca na posyłki.

Była to pierwsza rzecz, o której pomyślała, gdy Osgood powiedział jej o wypadku brata. Czyżby powrócił do swoich dawnych obyczajów? Czy szedł właśnie z jednej z tych walących się tawern, od których roilo się na nabrzeżu? Potem przemyślała sprawę i nie miała wątpliwości... To niemożliwe! Niemożliwe! Wiedziałyby. Już to przeżywała. Znała symptomy — zorientowałyby się. Widziała go, gdy dzień przed śmiercią z mozołem, używając miniaturowych szczypców, pewną ręką mocował delikatną konstrukcję w szyjce butelki. Tak pracował tylko ktoś całkowicie trzeźwy.

Następnego popołudnia J.T. Fields pojawił się w gabinecie Osgooda z wyrazami współczucia. Wcześniej przeczytał pozostałe rozdziały *Tajemnicy Edwina Drooda*, przysłane ponownie z Londynu. Ujął młodszego współnika za ramię i poprowadził na dół.

Zasiadając w jadalni pracowników firmy, Osgood przeglądał dopiero co przysłany tekst i wysłuchiwał pomysłów swego współnika. Fields pożywał się zimnym ozorem i sałatą, a gdy przerywał posiłek, by mówić, za każdym razem wycierał resztki jedzenia z podbródka.

— Niesamowita i cudowna opowieść. A więc ten młody człowiek, Edwin Drood, znika, a jego wuja, Johna Jaspersa, podejrzewa się nie tylko o jakiś, straszny czyn, ale także o pożądanie młodej narzeczonej Drooda. Zaczyna się śledztwo, które prowadzi tajemnicza postać, niejaki Dick Datchery. Ale na podstawie tych stron nie zdołamy się domyślić, jak miał wyglądać powrót Edwina Drooda i jego zemsta.

— Powrót? — zdziwił się Osgood.

Fields podniósł rękę, przetykając następnym kawałek ozorka.

— No pewnie, chyba nie sądzi pan, że Charles Dickens pozwoliłby na zaginięcie niewinnego młodzieńca? Myślę, że ten

człowiek, ten Datchery, odnajdzie go i uratuje przed tym, co uknuł Jasper.

— A mnie wydaje się całkiem oczywiste, że Edwin Drood nie żyje, panie Fields. Teraz najważniejszym aspektem tej tajemniczej historii okaże się sposób, w jaki John Jasper będzie stopniowo demaskowany przez Dicka Datchery, Grewgiouosa, Tartara i innych bohaterów powieści łaknących sprawiedliwości za zbrodnię popełnioną na młodym Droodzie.

— Naprawdę? — wykrzyknął Fields, ani trochę nieprzekonany. — No cóż, raz jeszcze przeczytam całość.

Przez następne dni Osgood zajmował się zwykłymi obowiązkami w firmie, ale rozpraszały go myśli o nieszczęsnym Danielu. Zwłaszcza uporczywie wracało jedno wspomnienie, z okresu gdy Daniel dowiedział się, że z chłopca na posyłki ma zostać promowany na stanowisko biurowe. Osgood zaprowadził go do swojego własnego krawca, by uszył chłopcu pierwsze porządne ubranie — a Daniel koniecznie chciał mieć garnitur taki sam, jaki nosił Osgood.

— Może kosztować więcej, niż powinieneś wydać — ostrzegł go wtedy wydawca. — Gdy ja zostałem mianowany kancelistą, nie nosilem wełny aż tak dobrej jakości.

— Pewnie będzie mnie kiedyś stać na więcej, jeśli zostanę w firmie i przyłożę się do pracy? — zapytał Daniel.

— Tak sądzę — odrzekł Osgood, kryjąc uśmiech, gdy usłyszał o tak poważnych planach.

— No to wolę od razu go mieć, zamiast kupować lepszy później.

— Jak się pan w tym czuje, kawalerze? — zapytał krawiec.

— O cał wyższy, sir!

Osgooda rozbawił ten szczupły młodzieniec, już teraz od niego wyższy.

— Gdy zostanie odpowiednio dopasowane, może poczujesz się jak olbrzym.

Zaproponował Danielowi pożyczkę, ale chłopak był dumny, że może kupić sobie ubranie za pieniądze, które z mozołem oszczędzał, a jeszcze bardziej pysznił się samym garniturem. Gdy nadeszło lato, Daniel wciąż miał tylko to ubranie z ciężkiej wełny i żadnych środków na sprawienie sobie czegoś z cieńszego materiału czy flaneli. Ale nigdy nie narzekał i surdut zdejmował tylko wtedy, gdy znosił do piwnicy najcięższe sterty książek do spakowania. Miał przy sobie zawsze zapas tanich płóciennych chusteczek do ocierania czoła. Z powodu ciągłego noszenia w końcu nadwątliły się szwy przy rękawach i kilka razy w tygodniu w pensjonacie Rebeka reperowała ubranie najlepiej, jak umiała.

## 6.

Któregoś ranka, jakiś czas po tym, gdy splądrowano mu dom, Sylvanus Bendall przyszedł do pracy i zastał biuro w podobnym stanie. Tak jak z mieszkania, stąd także niczego nie zabrano. Prawnik nie mógł już dłużej wiązać pierwszego ataku na swoją własność z faktem, że był pionierem z Back Bay, jako że biuro mieściło się w bardziej tradycyjnej dzielnicy. Nie, te przestępstwa miały charakter osobisty. Może zemsta zawiedzionego klienta? Nazwisk na tej liście nie brakowało.

Bendall przepytał co bardziej zaufanych informatorów wśród przestępczego świata, żeby się czegoś wywiedzieć. A pewnego dnia, gdy przyszedł do pracy, zastał czekających w poczekalni dwóch mężczyzn. Jeden – młody hołysz, z tych co to często nawiedzali jego biuro; drugi wyglądał na dżentelmena, był w szykownym, dobrej jakości ubraniu, o świeżej, męskiej twarzy, wzbudzającej natychmiastową sympatię, więc już z racji tej otwartości nieco podejrzaney.

Sylvanus Bendall nie pytał, kto czekał dłużej; po prostu przedstawił się młodemu dżentelmenowi i zaprosił go do gabinetu.

— Szkoda, że nie umówiliśmy się na inny dzień, panie Osgod, nie musiałby pan przesiadywać w poczekalni z ludźmi tego pokroju.

— Nie narzekam na towarzystwo. Ważne jest, żebym jak najszybciej otrzymał pewne informacje.

- Rozumiem. Ważne dla sądu, jak miemam.
- Nie całkiem — sprostował Osgood. — Ważne dla mnie. Przychodzę z pytaniami o Daniela Sanda, mojego pracownika, który zmarł kilka tygodni temu.
- Nie sądzę, bym miał okazję go poznać — odrzekł Bendall.
- Choć rzeczywiście, doradzam wielu biednym i niedouczonym młodzieńcom.
- On może i zaczął życie jako biedak, panie Bendall, ale pracował wytrwale i w żadnej dziedzinie, w której dano mu szansę nauki, nie pozostał ignorantem. Zginął w wypadku omnibusowym, przy którym, o ile mi wiadomo, był pan obecny.
- Ach tak?
- Policjant przekazał mi nazwę omnibusu, a woźnica wspomniał, że podał pan swoje nazwisko i zawód.
- Czyżby? — Bendall nie krył zaskoczenia.
- Kilkakrotnie. Zapamiętali, że stał pan blisko ciała Daniela.
- Rzeczywiście — prawnik kiwnął głową, a rysy jego twarzy jakby zeszywniały. — Chyba ma pan rację, teraz mi się przypomina. Tragiczny to był widok, panie Osgood. Mam nadzieję, że udało się panu wypełnić wakat po tym młodzieńcu, a jeśli nie, mógłbym zaproponować wielu chętnych, poszukujących posady. Nie domyśliłby się pan, że kiedykolwiek byli w więzieniu.
- Czy widział pan, jak to się stało, panie Bendall?
- Usłyszałem tylko: łup! To znaczy — wyjaśnił prawnik — taki dźwięk, w chwili gdy uderzyliśmy w nieszczęsnego młodzieńca.
- Woźnica zeznał, że Daniel trzymał coś w rękach w chwili wypadku, ale rzecz ta znikła jeszcze przed przybyciem policji. Powinienem wyjaśnić, że pan Sand miał dostarczyć pewne dokumenty należące do naszej firmy.

Bendall bezwiednie pogładził się po kamizelce, gdzie wciąż przechowywał bezcenne próbne wydruki powieści Dickensa, następnie jął obgryzać paznokcie kciuka. Te strony stały się dla niego niezwykle bliskie; tak bardzo, można by pomyśleć, jak własny kciuk. Ostatnia opowieść Dickensa! Oczywiście, siedzący naprzeciw niego wydawca na pewno poprosił już o przysłanie z Anglii duplikatu. Cóż więc złego, jeśli zatrzyma sobie tę pamiątkę?

— Nie — odrzekł, nawet nie mrugnawszy okiem. Po czym, odczekawszy chwilę, żeby zobaczyć reakcję w wyrazie twarzy rozmówcy, dodał: — Nie miał w rękach ani skrawka papieru, panie Osgood. Nawet, powiem jak dżentelmen dżentelmenowi, choćby brudnego strzępku marnej papeterii.

— Woźnica musiał się więc pomylić — stwierdził wydawca z rozczarowaniem w głosie. — Żałuję, że nie znam więcej szczegółów. Według policji mój kancelista znajdował się w stanie narkotycznego transu, ale ja nie chcę, nie mogę w to uwierzyć.

— Hmm... Niestety, nie potrafię nic panu powiedzieć. Rzekniesz mi, czyżbyście plótl jakieś bzdury...

— Co takiego? — przerwał Osgood, ponownie wyteżając uwagę. — Mówi pan, że Daniel Sand żył, gdy pan do niego podszedł?

— Najwyżej kilka sekund.

— Policja nic o tym nie wspominała.

— No cóż, nie powiedzieli — no wie pan, ta policja! Często bywają niedbali. I coś panu powiem: ostatnio ja sam miałem dwa włamania!

— Usilnie pana proszę. Co powiedział Daniel?

— Jakieś głupstwa! Belkot. Spojrzał na mnie i powiedział: „Och... Bóg” — ot co. Proszę sobie wyobrazić, że wypowiadając to słowo, oddycham bardzo płytko, do tego mówię ochryplym szeptem

jak człowiek odchodzący z tego świata. „Och... Bóg”, tak powiedział. Zabrzmiało to jak z jakiejś powieści sentymentalnej.

— To wszystko, nic więcej? Ale Bóg co?

— Niestety, nie dokończył zdania. Może: Bóg tak chciał? Miał na myśli boskie intencje? Nie, to zbyt długie. Prawdę mówiąc, gdyby dodał coś jeszcze, pewnie wolałbym nie słuchać, gdyż podsłuchiwanie człowieka godzącego się z Bogiem byłoby niewłaściwe zarówno ze względu na żegnającego się ze światem, jak i wobec Stwórcy. W każdym razie, gdy przemówił, ująłem go za rękę i trzymałem mocno, dopóki nie skonał.

Tak naprawdę Bendall nie wziął Daniela za rękę, gdy ten wypowiedział swe ostatnie słowa, ale powtarzając tę historyjkę, ubarwił ją, i teraz już sam wierzył we własne słowa tak szczerze, jakby były prawdziwe.

Tamtego dnia po spotkaniu z Jamesem Osgoodem można było zobaczyć Sylvanusa Bendalla jeszcze przez kilka godzin krążącego po ulicach Bostonu, gdy roztargniony spieszył między swym biurem a budynkiem sądu, ponurą budowlą więzienia Charlestown, a potem heroicznie w strugach deszczu biegł do konnego tramwaju, by wrócić do domu. Zajął miejsce i otworzył gazetę, a gdy odchylił się na oparcie, owionął go ostry oddech żującego tytoń mężczyzny, który siedział za nim, i poczuł na karku jego palce.

— Nie jest uprzejmie — rzucił adwokat w przestrzeń, zdecydowany, że się nie odwróci — naruszać czyjąś prywatność, choćby w największym tłoku.

Palce powoli odsunęły się od oparcia jego siedzenia. Usatysfakcjonowany, czytał dalej, choć trudno mu było się skupić. Od spotkania z Osgoodem Bendallowi wciąż brzmiały w głowie ostatnie słowa kancelisty: „Och... Bóg”. Teraz, gdy myśłami powrócił do



tamtej chwili, ogarnęło go bezradne poczucie, że doszło do nieporozumienia. Czyżby ów biedak próbował powiedzieć mu coś konkretnego, przekazać jakieś ostrzeżenie? Na podłodze u jego stóp wylądowała czarna maź.

— Nieuprzejmie jest także pluć tytoniem wewnątrz pojazdów! — wykrzyknął prawnik. Usłyszał drżenie w swym głosie i ten własny brak opanowania strasznie go zezłościł.

Nie miał jednak zamiaru dać satysfakcji ordynarnemu drabowi i nie odwrócił się, choć obrzydliwa czarna wydzielina wciąż pryskała mu na kark, a z mokrego parasola nieznajomego spływały na niego krople wody. Nawet gdyby przed oczami prawnika ukazała się ohydna głowa Meduzy, i tak nie odwróciłby wzroku. Zamiast tego wysiadł na następnym przystanku — o trzy za wcześniej. Po letnim deszczu zerwał się wiatr, a gęsta gorąca mgła napełniała usta goryczą.

Była to niezabudowana okolica. Działka Bendalla była najbardziej wysunięta na zachód, niemal przy rogu Exeter Street, dalej nie było już żywej duszy.

Mężczyzna siedzący za Bendallem także wysiadł, niezauważony przez prawnika, na moment przed zamknięciem się drzwi. Stukot ciężkich kroków rozlegał się tuż za Sylvanusem, aż w końcu nie sposób było tego dłużej ignorować.

Zdając sobie sprawę, że drży, przystanął.

— O co panu chodzi, sir? — zapytał ostro, tym razem w końcu odwrócił się twarzą do łobuza.

Nieznajomy miał otwarty parasol, który wraz z grubą futrzaną czapką przysłaniał mu twarz. Przenikliwym spojrzeniem zlustrował ubranie Bendalla, od samej góry po kalosze. Zarechotał, wydając głębokie, urywane dźwięki. Już samą swą potężną postacią robił wrażenie, do tego miał ciemną karnację, choć nie murzyńską — może pochodził z Bengalów? Spod parasola widać było, sterczącą

spod górnej wargi wykałaczkę z kości słoniowej.

Sylvanus Bendall znieruchomiał. Doszedł do nagłego, palącego wniosku: nie tylko znalazł się w niebezpieczeństwie, ale ten smagły, wąsaty mężczyzna o ciemnych oczach i gardłowym śmiechu — ten właśnie człowiek — to jego najgorszy wróg. To kara boska, oto co młodzieniec chciał dać do zrozumienia!

I pod wpływem impulsu, zapominając o logice, zapytał:

— To waść, czyż nie? To ty zdemolowałeś moje mieszkanie, a potem biuro?

Nieznajomy wzruszył ramionami, nie przestając się śmiać. Prawnik pytał dalej, stanowczym tonem:

— Czego ode mnie chcesz? Dlaczego igrasz sobie z dżentelmenem? No już, człowieku. Gadaj!

— Czego... chcę? Dickensa! — I powtórzył: — Dickensa!

Wymowa wskazywała na Anglika — a może „dandysa”, ten szczególny typ Amerykanina naśladowującego angielskie maniere — choć chropowatość głosu sugerowała coś bardziej egzotycznego. — Nie oddałeś pan tych stron panu Osgoodowi, zgadza się?

— Też coś! — odrzekł Bendall z urazą, strosząc brwi. — Czy Osgood wynajął cię, żebyś odnalazł te papiery?

— Powiedział mu pan o tych kartkach, sir? — zapytał mężczyzna.

— Nie jego sprawa ani pańska. To wolny kraj. Zachowałem to dla siebie.

— Bardzo to pocziwe z pana strony. A jednak nie ma ich nigdzie w pańskim biurze ani w domu, co oznacza...

Nieznajomy złapał prawnika za ramię, a ten poczuł, jak z przerażenia krew odpływa mu z twarzy. Napastnik jął metodycznie

oklepywać kamizelkę Bendalla, wreszcie zlokalizował zwitek.

— Próbujesz mi rozkazywać? Oddaj je natychmiast, zanim każę ci je połknąć! — Wyszarpnął kartki i pchnął Bendalla tak mocno, że ten wpadł prosto do kałuży.

Bendall odetchnął z ulgą, że tylko trochę ucierpiał, ale już po chwili ogarnął go gniew. Napadnięto na niego i sponiewierano go na środku ulicy, a zrobił to człowiek, który także splądrował mu dom i biuro. „Sam wyplenię źródło tego zła” — powiedział swojej gospodyni i zamierzał dotrzymać słowa! Nadszedł czas, by wykazać okazję. Bendall, odzyskując odwagę, podniósł się i popędził za złodziejem.

— Czekać! — zawołał.

Nieznajomy szedł dalej.

Sylvanus biegł, wymachując pięścią.

— Jeśli nie wrócisz i nie wytłumaczysz się, pójdę prosto na policję i natychmiast poskarżę się panu Osgoodowi. Mów, jak się nazywasz!

Nieznajomy zwolnił.

— Herman — odrzekł ulegle. — Nazywają mnie Herman. — Wypowiadając te słowa, jednym zdecydowanym ruchem odwrócił się i kłami sterczącymi z gałki wieńczącej laskę rozciął Bendallowi gardło. Ten rozpaczliwie usiłował złapać powietrze, wreszcie upadł. W posępnym pejzażu New Land nie było nikogo, kto by usłyszał ostatni rozpaczliwy oddech Bendalla.

Herman pochylił się i kilka razy wbił leżącemu nóż w kark. Wykałaczkę i parasol trzymał w tej samej pozycji, nawet wtedy gdy ostrze przecinało kręgi szyjne prawnika.

## 7.

BENGAL, INDIE, 18 CZERWCA 1870 ROKU

Ostatnie dwa tygodnie oficerowie Turner i Mason z Bengal-  
skiej Konnej Policji mogliby odmierzać musztrą, paradami i eskor-  
towaniem cennych towarów. Odkąd obrabowano konwój wozów  
ciągnionych przez woły, wciąż nie wpadli na ślad drugiego zbiega,  
który uciekł im w dżungli. Co gorsza, pozostały im jeszcze do odzy-  
skania skrzynie, każda mieszcząca pikul, czyli 133.3 funta cennego  
opium skradzionego tamtego dnia.

Ich przełożony, Francis Dickens, był wyraźnie poruszony. We-  
zwał do siebie obu oficerów.

— Jakież postępy, panowie?

— Od jednego z miejscowych patrolowych otrzymaliśmy in-  
formację o kamratach tego złodzieja — odrzekł podekscytowany  
Mason. — Ze wzgórz. On może się tam ukrywać, czekając, aż za-  
rzucimy śledztwo.

— Raczej nie ufam informacjom tubylców, panie Dickens —  
wtrącił się Turner, kontrując optymizm młodszego kolegi.

— Wśród miejscowych urzędników nietrudno o korupcję,  
Turner, wiem o tym doskonale — powiedział Francis Dickens,  
szczyplą, dwudziestosześcioletni mężczyzna o jasnej karnacji i  
płowych wusach. Mówił z wyższością człowieka, który zbyt szybko  
przyzwyczaił się do sprawowania władzy. — Ten dakoita to jedyny,  
o którym wiemy, że może doprowadzić nas do skradzionego opium.  
Cóż, jestem pewien, że nie byli na tyle zuchwali, by próbować

sprzedać je nielegalnie na własną rękę. Uczuliłem na to strażę na granicy z terytorium francuskim.

— Tak, sir — odrzekł Turner.

— Rozumiecie wagę sprawy, panowie — surowo dodał Francis Dickens. — Spokój w okręgu w dużej mierze zależy od efektywności policji. Nie wolno nam pozwolić, by złodzieje myśleli, że mogą swobodnie działać w Bengalii, na ziemiach pod naszą jurysdykcją. Policja kolejowa i wiejskie posterunki są w gotowości. Jestem dzisiaj umówiony z sędzią ze wsi, w której mieszkał zbiegły złodziej. Niewątpliwie będzie chciał dowiedzieć się o naszych postępach, a ja polegam na waszych działaniach.

Oficerowie zaszalutowali i pozwolono im odejść. Nim wyszli, Frank chciał jeszcze zamienić z Turnerem parę słów na osobności.

— Oficerze Turner. Dopilnujcie, żeby dakoita — jeśli go ujmiecie — dotarł tutaj.

— Sir? — Turner się najeżył.

Frank skrzyżował ręce na piersiach. — Teraz, gdy Narain nie żyje, ten złodziej może być naszą jedyną nadzieją na odszukanie skrzyń z opium. Chcę, byście zapewnili mu fizyczne bezpieczeństwo. To wy zajmiecie miejsce pod oknem.

— Tak jest, komendancie Dickens.

Gdy obaj konni policjanci jechali ze swoją misją, Turnerowi dłonie same zaciskały się w pięści. Wiedział, wszyscy wiedzieli, że Francis Dickens został komendantem jedynie z powodu swojego nazwiska. Przecież Turner potrafiłby dowodzić równie dobrze jak Dickens! Ojciec tego faceta, zmarły w tym miesiącu, był biednym cockneyem z prowincji, który przypadkiem umiał posługiwać się piórem. A zresztą na jaki szacunek zasługiwała rodzina, gdzie żonę przegnano z jej własnego domu, a jej miejsce — jak głosiły plotki, które Turner wyczytał w londyńskich gazetach — zajęła śliczna

aktoreczka? Wielki geniusz nie żył. Drażniło Turnera, że musi przyjmować rozkazy od syna takiego człowieka. A dlaczego? Dlatego że Charles Dickens potrafił nabazgrać historii przyprawiające kobiety o płacz, a mężczyzn o śmiech. Czy tylko tyle trzeba, by stać się sławnym i bogatym pisarzem?

Często powtarzał Masonowi: „Jeśli chodzi o awans, wolałbym być synem Charlesa Dickensa niż Księcia Westminsteru”.

Tymczasem Frank Dickens pojechał do bungalowu sędziego. Ujrzawszy, że dom jest pusty, przeszedł przez podwórkę, by dostać się do *kaczeri*\*, budynku o glinianych ścianach i dachu pokrytym trzcina. Sędzia był od niego tylko o rok starszy i na studiach na uniwersytecie w Kalkucie nauczył się mówić po angielsku niemal bez śladu miejscowego akcentu. Frank i inni urzędnicy brytyjscy bardzo go polubili.

\* *Kaczeri* (hind.) – budynek sądu.

Gdy przechodził przez podwórkę, Frank z zadowoleniem zauważył nowe lampy i niedawno wytyczone ścieżki. Więcej oznak cywilizacji w tutejszych wioskach wiązało się z mniejszą ilością kłopotów. Mijał tubylców, którzy wstawali i pozdrawiali go, podnosząc dłonie do twarzy i nisko się kłaniając. Niektórzy leżeli w cieniu na trawie. Jeden, siedzący z łokciami wspartymi o kolana, oddalił się na widok gościa – może dlatego, że Frank był Europejczykiem, a może na widok munduru.

Gdy Anglik wszedł do niewielkiej sali sądowej, hinduscy prawnicy i strażnicy także przywitali go ukłonem. Sędzia zasiadał za stołem na podium na samym froncie słabo oświetlonej salki, w której każdym kącie tłoczyli się zniecierpliwieni wieśniacy. Odziany w ozdobną szatę o złotych i srebrnych wzorach, sędzia obszedł stół i serdecznie ujął dłoń policjanta.

— Niech pan nie przerywa sobie pracy z mojego powodu, *babu*\* — poprosił Frank.

\* *Babu* (hind.) — w Indiach kolonialnych terminu tego używano w stosunku do urzędnika-tubylca, na przykład sędziego.

— Nic a nic mi pan nie przeszkadza, panie Dickens — odrzekł jowialnie urzędnik. — Dzisiaj nie jestem zbyt zajęty. Wypije pan kieliszczyk wina?

Frank obrzucił wzrokiem zaniepokojonych mężczyzn i kobiety tłoczące się w *kaczeri*. — Proszę, niech pan kontynuuje rozprawę.

Mimo sprzeciwu Franka sędzia polecił, by z bungalowu przyniesiono im kieliszki i wino. Wyjął pudełko doskonałych cygar, podczas gdy służący zawołali: *Og lao!* i rozpalili ogień. Tłum w *kaczeri* zaczął szemrać, potem zrobiło się głośniejsze, aż jeden z sądowych urzędników nakazał ciszę. Gdy obaj dżentelmeni wypili wino i brandy-pawnee w obecności zaniepokojonych tubylców, Frank znów gorliwie poprosił:

— Proszę, *babu*, niech pan kontynuuje.

Sprawy były nużące: chodziło najpierw o skradzioną krowę, następnie o próbę wyłudzenia od europejskiego podróżnika, dokonaną przez mieszkańca Bengalu. O godzinie drugiej *kaczeri* opustoszała i sędzia zaprosił inspektora policji do swego domu na drugie śniadanie w angielskim stylu. Najpierw należało na oprowadzenie gościa po całej wsi. Zaczęli od budynku szkoły, nazywanej akademią anglo-hinduską, gdzie nauczyciel stał otoczony kręgiem uczniów o wydętych brzuskach, ubranych tylko w kawałki muślinu i skandujących angielski alfabet. Jeden z chłopców nadaremnie próbował wyjąkać literę „r”. Frank pobladł i dał znak swemu przewodnikowi, że jest gotowy iść dalej.

Po opuszczeniu szkoły urzędnicy przeszli przez nowy most, a potem według wskazówek sędziego przeprowadzili inspekcję rur

ściekowych zainstalowanych wzdłuż ulic. Gdziekolwiek przechodzili, sędzia przechwalał się nieobecnością żebraków.

Gdy wreszcie wrócili do bungalowu, drugie śniadanie stało już na stole. Służący dolewali wina tak szybko, jak tylko urzędnicy byli w stanie je pić.

— A więc pański wydział wciąż poluje na naszego zbiegłego złodzieja — zauważył gospodarz.

— Sądzymy, że może ukrywać się w górach. Właśnie teraz szuka go dwóch moich ludzi.

— Wie pan, panie Dickens, że tutejsi wieśniacy pragną aresztowania złodzieja równie mocno jak biała policja. Jak pan widział w *kaczeri*, gdy ktoś ukradnie krowę, cierpią moi rodacy.

— Tu nie o krowę chodzi — powiedział Frank, unosząc brew — lecz o opium, *babu*. Jeśli sprawa nie zostanie załatwiona, przybędą tutaj główni inspektorzy.

— Tak, tak, opium, to ważne! — Sędzia wznosił kieliszek w wyrazie uznania. — Wypijmy za tych, którym płaci się za jego uprawę i którzy sprzedają je do Chin, ale także za tych miejscowych, którzy są na tyle słabi, by je palić, nim zostanie sprzedane za granicę. Młody Bengal jest wciąż tylko dzieckiem wyrastającym ze swego pierwszego porządnego przyodziewku. Dopóki moi ludzie nie nauczą się akceptować życia tak jak Anglicy, zaburzone poczucie rzeczywistości i mętny stan umysłu pozostaną dla nich korzystnej jeśli mogą tak to ująć. Nikt nie życzy sobie następnej rewolty, inspektorze.

Rozmawiali jeszcze trochę, potem Frank wyjął zegarek zawieszony na łańcuszku.

— Aha, jeszcze chwila, inspektorze — powiedział sędzia, zauważywszy niepokój swego gościa. — Widzi pan?

Sędzia patrzył na rząd książek nad głową policjanta. Był to kosztowny zbiór powieści Charlesa Dickensa.



— Wydania ilustrowane. Jestem tak samo zagorzałym wielbicielem powieści pańskiego ojca, jak każdy z pana krajanów. Mogę pana o tym zapewnić. Głębokim smutkiem napełniła mnie wieść, że jego fotel będzie pusty. Kiedy pojedzie pan do Anglii, by złożyć wyrazy szacunku?

— Wie pan nie gorzej ode mnie, jak bardzo obciążony pracą jest departament policji. Wezmę miesiąc urlopu na wyjazd do Anglii, gdy tutaj się trochę uspokoi. Być może w przyszłym roku.

Sędzia po raz pierwszy spojrział na swego gościa jak na cudzoziemca.

— Chyba niektóre obyczaje angielskie są zbyt chłodne, abyśmy my, Bengalczycy, mogli je pojąć — mruknął.

Frank odstawił kieliszek, wznosił oczy i ośmielony winem, z nadąsaniem wydał wargi.

— Wie pan, *babu*, jak zareagował mój ojciec, gdy oznajmiłem mu, że pragnę wyjechać za granicę? Poprosiłem go tylko o konia, strzelbę i piętnaście funtów. Ojciec roześmiał się, a potem zapewnił mnie, że te piętnaście funtów by mi zrabowano, z konia spadłbym, a ze strzelby odstrzeliłbym sobie głowę. — Frank urwał, po czym mówił dalej: — Bengal z czasem stał się dla mnie domem, a pracą zdobyłem sobie szacunek zarówno Europejczyków, jak i miejscowych, szacunek, jakim w Anglii nigdy by mnie nie darzono.

— Ma pan rodzeństwo, sir?

— Tak, pięciu braci i dwie siostry.

— Sam mam siedmiu synów i córki, panie Dickens, i obawiam się, że ojcowie czasem zbyt wiele chcą dla swych dzieci — odrzekł sędzia z troską w głosie. — Zwłaszcza, tak sobie myślę, w pańskim przypadku.

— Jak pan to rozumie?

— Proszę podejść do lustra na toaletce, panie Dickens! Jeśli chodzi o rysy, oczy i usta, podobieństwo do pańskiego ojca jest uderzające. Pewnie za każdym razem, gdy na pana patrzył, widział siebie.

— Mój o...ojciec — Frank urwał. Po chwili odezwał się ponownie, tym razem opanowując emocje. — Ojciec nigdy nie widział we mnie samego siebie. Maluczcy uważają, że był najbardziej tolerancyjnym z ludzi, ale twierdzą tak, bo nie znaleźli się w zasięgu ostrza jego krytyki. Gdy ma się świat u stóp przez trzydzieści lat, nabiera się przekonania o własnej doskonałości. Mówił nam, że jego nazwisko jest naszym najcenniejszym kapitałem i że mamy o tym pamiętać.

Rozmowę przerwało nagle zamieszanie na zewnątrz bungalowu. Mężczyźni wybiegli na dwór i ujrzeli Hindusa usiłującego wyrwać się kilku miejscowym policjantom.

— Co się tu dzieje? — zapytał Frank.

— Inspektorze Dickens! To jest ten zbiegły dakoita od opium! — zawołał jeden z ciemnoskórych funkcjonariuszy.

Po zbadaniu sprawy okazało się, że faktycznie był to złodziej, który uciekł Turnerowi i Masonowi do dżungli. Ukrywał się w ziemiance, kilka wiosek dalej, w lasach. Gdy jakiś jego krajan ujrzął Franka chodzącego po ulicach, pobiegł przez zarośla, by ostrzec złodzieja, że w pobliżu jest policja. Człowieka tego śledzono i złodziej został ujęty, gdy próbował się wymknąć.

Frank nakazał miejscowym policjantom wsadzić więźnia na wóz i pod dobrym nadzorem odwieźć na posterunek.

— Widzi pan, inspektorze, nawet teraz, gdy jesteśmy w stadium intelektualnego dziecięctwa, moi krajanie nie kpiliby sobie z prawa — powiedział sędzia, a jego twarz promieniowała wielkim uśmiechem. — Nie mogę się doczekać sądowych przesłuchań w tej sprawie w mojej *kaczeri*.

Frank, napoiwszy spragnionego konia, wspiął się na siodło i spojrzał w dół na sędziego.

— Ten nasz spacer ścieżkami, mostem, do szkoły... Pan chciał, by mnie we wsi zobaczono, żeby sprowokować kogoś do powiadomienia złodzieja i w ten sposób go ująć. I aby opóźnić mój wyjazd, dopóki pański plan nie zostanie wykonany, podniósł pan temat mego ojca.

Szeroki uśmiech nie schodził z oblicza gospodarza.

— Osiągnęliśmy wspólnie pożądany rezultat.

— To mnie nauczyło, *babu*, że ludzie pod pańską jurysdykcją boją się Brytyjczyków, ale nie pana. Jak to się ma do pańskiej obietnicy utrzymania porządku? Niech pan pamięta, że choć jest pan mieszkańcem tej ziemi, reprezentuje pan majestat królowej.

— Nigdy o tym nie zapominam, inspektorze — odrzekł sędzia, kłaniając się głęboko na pożegnanie.

— Oficerowie na koń, ruszać z więźniem! — Frank mówił teraz na tyle głośno, by słyszeli otaczający go gapie ze wsi. — *Babu*, może być pan pewien mej głębokiej wdzięczności. Proponuję, by powiadomił pan rodzinę i powinowatych tego draba, że pomaganie przestępcy, nawet krewnemu, nie będzie traktowane łagodnie przez brytyjskie władze. Niech to będzie dla nich ostrzeżenie.

## 8.

BOSTON, NASTĘPNEGO RANKA, 1870 ROK

Niech pan sobie tylko wyobrazi — powiedział Fields, potrząsając rozwichrzoną brodą. — Przy porannej kawie biorę gazetę i czytam, że tego adwokacineę, z którym pan rozmawiał, Sylvanusa Bendalla, znaleziono martwego na ulicy. Leżał z gardłem rozciętym od ucha do ucha, jego głowa zwisała na strzępkach skóry! Policja szaleje. Społeczeństwo, wcześniej domagające się rozwiązania skorumpanego wydziału detektywów, żąda ponownego jego powołania. Burmistrz obwinia koleje za przywiezienie do miasta obcych! Było wczesnie rano i Fields wielkimi krokami przemierzał pluszowy dywan w swoim gabinecie i perorował, wymachując rękami. Zupełnie jakby wskazywał na wiszące na ścianach portrety i fotografie przedstawiające przeszłość i teraźniejszość wydawnictwa. Oto byli artyści, którzy przybliżyli literaturę masom, zmienili poglądy na politykę i uprzedzenia, kartami swych powieści i poematów odbudowali mosty między Anglią i Ameryką.

Osgood siedział cicho na krześle obok miejsca, które opuścił właśnie oficer Carlton.

— Bendall nie powiedział mi całej prawdy o śmierci Daniela Sanda, panie Fields — odrzekł, odczekawszy, czy Fields jeszcze coś doda.

Fields wpatrywał się we współnika, jakby widział go po raz pierwszy. — Myślisz więc, że dlatego Bendall zginął? — zapytał z

sarkazmem. — Co do mnie, wątpię, by powód ten miał cokolwiek wspólnego z Danielem Sandem, siedemnastoletnim chłopakiem, zwykłym kancelistą.

Osgood wolał nie przekraczać swych kompetencji. Choć w jego profesji należało być zdecydowanym, młodszy mężczyzna zdawał sobie sprawę, że czasami zbyt szybko bez reszty angażował się w poparcie jakiegoś pomysłu, nim w pełni go pojął, a w innych znów przypadkach nader pochopnie zgłaszał sprzeciw. Ale nie umiał wyrzec się swej opinii.

— Bendall był na miejscu wypadku, gdy Daniel umierał. Próbné wydruki kolejnego odcinka, po które Sanda wysłano, znikły, choć woźnica twierdził, że widział, jak chłopak trzymał jakiś plik.

— A my wiemy już, że młody Sand znajdował się pod wpływem opium, Osgood. Mógł wyrzucić papiery do ścieku, czego nikt by nawet nie zauważył. A co do Bendalla, zdarza się, że podryznają komuś gardło, by zdobyć byle zegarek na łańcuszku czy złoty guzik! Nawet w bieżącym — tu Fields dramatycznie przerwał — siedemdziesiątym roku dziewiętnastego wieku!

— A co z faktem, że Dickens pisze o uzależnionych od opium na pierwszych stronach *Drooda*, a tak właśnie według policji zmarł Daniel? Czy to zbieg okoliczności?

— Jakże mogłoby być inaczej? Daniel zażywał opium, wielu innych zażywa je codziennie. Dickens właśnie dlatego o tym pisał, że wielu zatraciło się w oparach podobnych narkotyków, zarówno u nas, jak i w Anglii! A Dickens zawsze, poczynając od swych pierwszych dzieł, był wyczulony na społeczne zło. Czy sądzisz, że temu woźnicy zależało na powstrzymaniu Daniela, przeszkodzeniu mu w wykonaniu zadania? Do diaska z Danielem — już nie jest twoim zmartwieniem. Nikt nie oczekuje od ciebie niczego więcej.

— Wiem. A jednak coś jest...

— Osgood, proszę, zastanów się...

Ten jednak nie ustępował.

— Coś tu się nie zgadza, panie Fields. W wyjaśnieniach policjantów od początku czegoś mi brakowało. Ufałem Danielowi Sandowi, jakby był moim synem!

Fields zmarszczył brwi.

— Zgodnie z powołaniem naszej profesji, to pisarze są naszymi dziećmi i naszym jedynym obowiązkiem jest chronienie ich. Nie sądzisz, że mógłbym sobie wyobrazić posiadanie własnego potomstwa, gdyby Annie była bardziej do tego skłonna?

Ale ile miałbym wtedy czasu i co musiałbym poświęcić?

Osgood zmienił taktykę.

— Jeśli mogę poświęcić trochę swojego czasu na przeprowadzenie dochodzenia, pragnąłbym to uczynić. Choćby tylko dla jego siostry, Rebeki.

— Tylko pomyśl, Osgood! A gdybyś tak był z Sylvanusem Bendallem, gdy to się wydarzyło? Mogłeś stać się żerem dla psów i sępów, twoja głowa dziś także leżałaby na policji, a koroner o oczach homara grzebałby ci w mózgu. Zechciej mi proszę powiedzieć, jaką nazwę nosi to miejsce?

Osgood przyjął postawę pełną skruchy. Wiedział, co Fields miał na myśli, zadając to pytanie; nawet spojrzenia szacownych portretów z galerii na ścianie zdawały się wyczekiwać odpowiedzi. Z lewej twarz pana Longfellowa, ich pierwszego prawdziwie narodowego poety, cierpliwa i dobrotliwa, wpatrzona w dal. Od prawej oczy surowego, duszpasterskiego oblicza Emersona, z błyskiem uśmiechu w źrenicach, znającego świat i żądającego od niego czegoś więcej, tak jak jego słynne eseje. Na wprost piorunujące spojrzenie męskiego Tennysona, skrywającego przed światem osobiste, marzycielskie wyznania swych poematów. Znad biurka spoglądały w dół oczy smutnego Hawthorne'a o cudownej głowie intelektualisty.

Osgood posłusznie odpowiedział:

— Fields, Osgood and Company.

Fields zapalił cygaro i nerwowo wypuszczał kółka dymu.

— No to rozejrzyj się, mój drogi. Na chwilę zatrzymaj się i rozejrzyj. Wszystko to możemy stracić. Wszystkim, co widzisz, co Bill Ticknor i ja zbudowaliśmy, ty będziesz zarządzał, mój drogi przyjacielu, jeśli tylko zdołamy przetrwać ten okres.

— Ma pan słuszość — przyznał Osgood.

— Nieszczęsna tajemnica: ludzki duch. Nie dowiemy się, czemu Daniel Sand wybrał tę właśnie drogę; dlaczego zostawił biedną siostrę samą. Ale pan, Osgood, musi o nim zapomnieć. Niech pan zapamięta: w życiu są dwie sprawy niewarte łez — to, co da się uleczyć, i to, czego uleczyć się nie da.

Fields urwał, po czym ciągnął dalej :

— Powiem panu, w jaki sposób powinieneś się pan ponownie zaangażować w to, co jest pańską przyszłością. Popłyniesz pan do Londynu i zajmiesz się sprawą Dickensa.

Tym Osgooda zaskoczył.

— Ale kto zadba o interesy na miejscu, jeśli obaj wyjedziemy?

Fields wyjął z biurka paczuszkę i wręczył ją młodszemu współpracownikowi, kręcąc głową.

— Nie my. Ja zostaję tu, gdzie mnie pan widzisz. A co do pańskich umówionych spotkań, zastąpię pana.

— Pan przecież przygotowywał się do podróży, panie Fields! Zbierał pan listy polecające, wysyłał wiadomości zapowiadające pańskie przybycie...

— Możesz pan to wszystko wykorzystać dla siebie, a poza tym pańska uczciwa twarz posłuży za list polecający! Żeby do końca być szczerym, Annie, odkąd usłyszała o tej podróży, namawiała mnie, bym z niej zrezygnował. Chce, abym resztę letnich weekendów spędzał w Manchester, nad morzem. Twierdzi, że dobrze mi to

zrobi. Zresztą wie pan, jak fatalnie znoszę podróż morską. Podczas ostatniego rejsu do Anglii miałem zaszczyt cierpieć na chorobę morską najbardziej ze wszystkich pasażerów — bardziej nawet niż krowy. Daj pan spokój, nie spieraj się. Nie zapominajmy o tym, co mawiał nasz drogi Hawthorne: „Ameryka to kraj, którym należy się szczyścić i z którego lepiej się wynosić!”.

Być może *Tajemnica Edwina Drooda* wywarła na nim jakieś wyjątkowe wrażenie i widział widmo zła tam, gdzie go nie było. Za wypadkiem nieszczęsnego Daniela Sanda nie kryła się żadna tajemnica, nic nie łączyło tej strasznej śmierci — podobną ryzykowali wszyscy mężczyźni i kobiety przechodzący przez ruchliwe jezdnie Bostonu — z okrutnym zabójstwem Sylvanusa Bendalla! Śmierć ta spowodowała tylko smutek i poczucie straty w życiu rzeczywistym, któremu nie nadawały kształtu ani znaczenia kolejne odcinki powieści.

Przypadkowemu przyjeźdnemu można by wybaczyć przypuszczenie, że każdy mieszkaniec tak zwanego Pępka Świata\* spędzał to popołudnie, gorliwie przygotowując podróż Jamesa Osgooda przez ocean. Był ogrom spraw do załatwienia, przez niego osobiście lub w jego imieniu, zarówno tych na miejscu, jak i związanych z rejssem. Sam widok Osgooda kursującego to tu, to tam zaszokowałyby tych, którzy znali go jako niezmiennie opanowanego wydawcę.

\* Hub of the Universe (z ang.) — zwyczajowa nazwa Bostonu.

W ekskluzywnym sąsiedztwie Beacon Hill, w trzypoziomowym ceglany domu pod numerem 71 przy Pinckney, nabytym za to, co Osgood zarobił na tournée Dickensa, wydawca udzielał swej służącej dokładnych instrukcji dotyczących utrzymania tego cichego domostwa oraz opieki nad jego drugim właścicielem, Panem Mrau,



niezwykle z siebie zadowolonym, snobistycznym kotem o pomarańczowo-białej długiej sierści. Panu Mrau, któremu zazwyczaj w zupełności wystarczała możliwość wylegiwania się między książkami Osgooda w wyłożonej dywanami bibliotece, niemal zakłócono codzienną drzemkę, gdy służba z pośpiechem wzięła się do czyszczenia butów i przygotowanie ubrań na drogę.

Osgood wybrał się do państwa Fieldsów mieszkających za rogiem przy Charles Street, by wziąć od Annie Fields listę hoteli i przyjaciół w Londynie. Sam Fields właśnie wrócił z pracy do domu, Annie przy swoim stole kończyła przepisywać informacje dla młodszego współnika.

— Weź to, drogi panie Ripleyu — zwróciła się do Osgooda, wręczając mu kartkę z papeterii.

— A więc, Osgood, wraca pan do biura, gdy ta piękna dama już z tobą skończy? — zapytał Fields. Przeszedł przez wypełniony światłem salon i pochylił się, by pocałować w policzek swą uśmiechniętą młodą żonę.

— W samej rzeczy, drogi przyjacielu — odrzekł Osgood. — Wrócę z panem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak skończę wszystko, co muszę zrobić, skoro mam jutro popłynąć.

— Należy dopilnować, panie Osgood, by to, co konieczne, zostało załatwione — oświadczyła Annie. — Będzie miał pan w Anglii kogoś do pomocy?

— Chyba nie — odrzekł.

— A może by zabrać pana Midgesa? W pisaniu jest niezawodny — zasugerował Fields. — Z drugiej strony czasopisma mogłyby ponieść klępkę bez jego arytmetycznego wsparcia.

Osgood, aż cierpnąc w środku, przyznał, że przetrwanie czasopism faktycznie wymaga obecności Midgesa w Bostonie.

— W takim razie któraś z pań zajmujących się buchalterią! — zaproponowała Annie. — Przecież nie możesz wysłać pana

Osgooda z taką misją bez odpowiedniego wsparcia, Jamie — skarciła męża.

— Buchalterka! — zawołał Fields, wypinając pierś, jakby chciał obronić niewinne osoby przed podobnym pomysłem. — Jak będzie to wyglądało w oczach świata, jeśli nasz szanowany Osgood popłynie przez morze w towarzystwie niezamężnej lub, co gorsza, zamężnej młodej damy?

— Absolutnie nowoczesnie — odrzekła Annie beztrąsko.

— A może by panna Sand? — Osgood usłyszał swój głos.

— Panna Sand? — powtórzył wolno Fields, przerywając, by upewnić się, czy coś niewypowiedzianego nie kryje się w wyrazie twarzy Osgooda. Nie znalazł niczego, więc ciągnął. — Trudno coś o niej bliżej powiedzieć. Poza tym, zdaje się, nie jest niezamężna?

— To świetny pomysł — powiedziała Annie. Słowa jej były iscie królewskim darem dla młodszego współnika.

— A to niby dlaczego? — zapytał Fields, choć tylko dla zasady, bo nie miał szans w sporze z Annie, gdy ta już podjęła decyzję.

— Jeśli dobrze rozumiem, mój drogi — powiedziała — według warunków jej rozwodu, pannie Sand nie wolno nawiązywać romantycznych znajomości. Nie jest ani niezamężna, ani zamężna. No cóż, w oczach świata jej towarzystwo będzie równie cnotliwe jak towarzystwo pana Midgesa.

— Będzie nieco powabniejszym towarzyszem podróży niż Midges, to pewne — zgodził się Fields, nie do końca przekonany. — A więc w porządku, każę mojej pracownicy natychmiast załatwić miejsce dla panny Sand na trzecim pokładzie.

Osgood uśmiechnął się i podziękował Annie za jej sugestię. Przyjął ten niespodziewany pomysł z większym zadowoleniem, niż sam się spodziewał. Po pierwsze, nie będzie zmagał się z przedsięwzięciem samotnie. Będzie miał przy sobie kogoś, kto jest nie tylko

miłym towarzyszem, ale osobą wysoce kompetentną. A jeśli on sam pragnął oderwać się od przeżywania śmierci Daniela, to kto jak kto, ale Rebeka potrzebowała tego jeszcze bardziej.

— Co pani na to? — zapytał Reбекę, przedstawivszy jej najnowszy pomysł, gdy po powrocie do biura zastał ją na przenoszeniu sterty umów do pana Clarka w dziale finansowym.

— Jestem zaszczycona, że zechciał pan powierzyć mi tak odpowiedzialne zadanie. Wieczorem zajmę się pozostałymi sprawami — odrzekła.

Kilka godzin później, po odejściu Osgooda na noc do domu, Rebeka aż promieniała, rozmyślając o tej cudownej szansie na podróż, współpracę, a także, jeśli pomoże przełożonemu w jego misji, na zapewnienie sobie przyszłości w Bostonie. Wiedziała, że to może coś zmienić, nawet jeśli niewiele. Biura wydawnictwa już świeciły pustkami, ale Rebeka wciąż pozostawała u siebie, energicznie zbierając sterty papierów i dokumentów niezbędnych do podróży. Pospieszyła do piwnicy, gdzie stały rzędy metalowych pojemników wypełnionych czasopismami i rejestrami, a poszczególne przejścia między nimi nosiły nazwiska autorów, jak na przykład: Dziupła Holmesa. Była tak podekscytowana, że zaczęła tańczyć aleją Longfellowa.

— Mam nadzieję, że będąc tu dzisiaj wieczorem, nie traci pani jakiegoś wytwornego przyjęcia.

— Och! — Rebeka aż podskoczyła. — Ach, to pan, Midge, przepraszam. Nie wiedziałam, że o tak późnej porze zastanę kogoś na dole.

Midge, mocno spocony, siedział na podłodze i przekładał kartki jakiegoś rejestru. Na nieosłoniętej kapeluszem głowie przerzedzone włosy stały dęba, jakby właśnie zobaczył ducha.

— Późna pora! Nie dla mnie, przecież ta firma rozpadłaby się, gdybym nie spędził tu połowy życia. Wolalbym nie siedzieć tutaj, w tej paskudnej piwnicy, kochaniutki. Ale listy subskrybentów muszą być dokładne, a panuje w nich okropny nieporządek, odkąd zabrakło nam kancelisty.

Słyszając to bezmyślne nawiązanie do śmierci Daniela, Rebeka odwróciła wzrok.

— Dobranoc, panie Midgeś.

— Proszę poczekać! Nie odchodzić! — zająknął się niezręcznie, po czym gwizdnął głośno, jak to miał w zwyczaju, i próbował ją udobruchać. — Jest mi naprawdę przykro z powodu tego, co przytrafiło się pani biednemu bratu, daję słowo. To strasznie smutne. Gdy miałem cztery lata, mój maleńki braciszek umarł mi w ramionach. Po prostu przestał oddychać, a ja nigdy nie potrafiłem zapomnieć tamtej chwili.

— Przykro mi z powodu pańskiego braciszka, panie Midgeś. Doceniam pańskie słowa, ale muszę dokończyć pracę dla pana Osgooda.

— No tak, oczywiście, pani jest bardzo pracowita — wyjąkał Midgeś lekko zażenowany, jakby czując do niej niechęć po tym, gdy ujrzał ją tańczącą na cześć Osgooda. — Chciałbym dodać coś jeszcze. Jako człowiek ceniący standardy moralne z wyjątkową przykrością przyjąłem informację o tym, w jaki sposób Danny umarł. Zawsze bardzo go szanowałem.

W oczach Rebeki pojawił się wyraz lęku: widać było, że nie rozumiała.

Midgeś ciągnął dalej, a w jego głosie pobrzmiwała przyjemność:

— No cóż, słyszałem, jak pan Osgood wspominał o opium w rozmowie z panem Fieldsem, gdy razem siedzieli w jadalni. Tak, to strasznie smutne! Wydawał się takim porządnym chłopcem.

Gdybym to ja miał siostrę, kochaniutka, taką śliczną i rozsądną jak na przykład panna...

Rebeka uniosła kraj spódnicy i pospieszyła schodami na górę, jak najdalej od Midgesa, najszybciej, jak się da.

— Dobranoc, panno Sand! — zawołał za nią Midges, odprowadzając ją rozpaczliwym, zmieszanym wzrokiem. — Co za dzielne stworzenie, jak mężczyzna! — zdumiewał się.

Rebeka weszła na górę i z dłońmi zaciśniętymi w pięści siadła przy biurku. Na piersiach czuła olbrzymi ciężar, po rumianym policzku spłynęła łza. Nie były to łzy smutku, ale gniewu, frustracji, wściekłości. Tego rodzaju męczące łzy, co to ani nie chcą popłynąć, ani wyschnąć. Ledwie świadoma, co robi, znalazła chusteczkę, którą podsunął jej Osgood, przynosząc jej wiadomość, i spojrzała na pięknie wyszyty monogram: JRO. Osobiste listy podpisywał nieformalnym „James”, ale dodawał: „(R. Osgood)”. Dla reszty świata jawił się człowiekiem łagodnym i na wszystko przygotowanym, ona wszakże miała okazje widywać go w chwilach, gdy był skonsternowany — zawsze siedział wtedy z jedną lub obiema rękami założonymi na karku, jakby chciał podtrzymać ciężar swych myśli. Wieczorami po powrocie do domu czasem myślała o nim jako o Jamesie, a nie panu Osgoodzie. To, że powiedział coś takiego o jej bracie, było straszne — i to na dodatek w taki sposób, że mogli usłyszeć to inni! Jakaż z niej naiwna gąska: wierzyła, że on im pomaga.

Rebeka chwilę czekała na konny tramwaj, którym dotarłaby najszybciej w pobliże Oxford Street, ale pełna burzliwych emocji nie mogła znieść myśli o tłumie pasażerów. Spacer do domu wydawał się i szybki, i okrutnie nużący.

Gdy znalazła się w swoim pokoju w podrzędnym pensjonacie, spokój i cisza po pospiesznym powrocie do domu aż ją przytłaczały. Czy te puste ściany to wszystko, co jej pozostało? Została bez

rodziny, bez Daniela, bez męża, a teraz nawet bez zaufania, które, jak zawsze sobie wyobrażała, zyskała u pana Osgooda, człowieka, którego za umożliwienie jej uczciwego zajęcia podziwiała bardziej niż kogokolwiek innego w Bostonie. Gniew wypalił w niej łzy, pozostawiając tylko strach. Nie wiedzieć czemu na widok ładu panującego w jej maleńkim mieszkanku ponownie ogarnęło ją przygnębienie, wyciągnęła skrzynię spod łóżka i od nowa zaczęła przekładać swoje rzeczy.

Przyszło jej do głowy, by rankiem nie iść na molo i — co więcej — nie wracać już do firmy ani do Bostonu. Gdyby chciała, mogłaby już nigdy więcej nie ujrzeć pana Osgooda. Ale ten pokój, stara pani Lepsin i jej gromada żalonych lokatorów nie mogło być wszystkim, co pozostanie po Rebecce Sand; tym, co pozostało jej z Bostonu; to przecież zaledwie namiastka jakiejś nierzeczywistej egzystencji. Potrzebowała podróży, którą jej zaproponowano. A teraz bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła usłyszeć wyjaśnienie z ust pana Osgooda.

## 9.

W wielkim salonie na statku do Anglii Osgood hojnie rozdawał książki, natychmiast naliczywszy około tuzina dżentelmenów i połowę tej liczby dam, których nazwiska i gusta poznał dzięki tej prezentacji. Transatlantycki liniowiec „Samaria” był idealnym miejscem do wykorzystania wrodzonej Osgoodowi umiejętności nawiązywania kontaktów towarzyskich. Z dala od zwykłych życiowych zajęć pasażerowie — przynajmniej przy dobrej pogodzie — okazywali się uprzejmi, grzeczni i otwarci. Komuś takiemu jak James R. Osgood, wydawcy i zarazem najstarszemu z rodzeństwa, nic nie sprawiłoby większej przyjemności niż możliwość uszczęśliwienia pasażerów wielkiego statku. Co prawda nie był typem człowieka jak z rękawa sypiącego dowcipami, ale gdy jakiś usłyszał, najczęściej pierwszy wybuchał śmiechem. Gdy sam pozwolił sobie na żart, zaraz przypominał sobie, by się powściągnąć: aż za często znajdował się ktoś, kto przyjmował jego słowa nazbyt poważnie.

Podróżujący pierwszą klasą kupcy, skłonni do targowania się mimo pełnych kies, ustawiali się w kolejce po prezenty od Osgooda. Najbardziej towarzyskim kompanem podróży młodego wydawcy okazał się angielski kupiec herbaciany, pan Marcus Wakefield. Podobnie jak Osgood, zważywszy na niepoślednie sukcesy w interesach, był młody — choć zmarszczki na twarzy wskazywały na charakter zaprawiony w zmaganiach z przeciwnościami losu.

— A cóż to ja widzę? — zapytał, przedstawivszy się, Wakefield. Przystojny i zadbany, gdy się odezwał, widać było, że w kontakcie z ludźmi jest swobodny, pewny siebie, niemal beztroski. Podszedł do skrzynki z książkami Osgooda. — Wiele razy odwiedzałem na tym statku bibliotekę i oświadczam, że pan ma większy wybór.

— Panie Wakefield, proszę przyjąć jedną na początek podróży.

— Niech mnie kule biją!

— Widzi pan, jestem wydawcą. Partnerem w firmie Fields, Osgood and Company.

— O tej dziedzinie nie mam najmniejszego pojęcia, choć potrafiłbym panu wyliczyć każdą przyprawę składającą się na najmocniejszą herbatę w dwunastu krajach oraz określić, czy hitem sezonu jest pekou — liściasta, łamana, congou — czarna, chińska, czy imperial — zielona. Proszę wybaczyć mi śmiałość, ale jak może pan rozdawać swoje towary, zamiast je sprzedawać? Chętnie wymienię uścisk dłoni z człowiekiem, który osiągnął aż taki sukces!

— My nie posiadamy książek na własność. To wyłączne prawo autora. Wydawcy przypada zaszczyt wyszukiwania osób, które by w nie inwestowali. Muszę panu powiedzieć, panie Wakefield, że jedna dobra pozycja na tyle zaostrzy czytelnikowi apetyt, że w następnym roku będzie chciał mieć dziesięć kolejnych.

— To bardzo uprzejme z pana strony.

— Poza tym na cle w Liverpoolu mają obowiązek przejrzeć każdą znieśioną ze statku książkę, by sprawdzić, czy nie jest kopią angielskiego dzieła. Te oto książki mogłyby więc ulec konfiskacie. Rozumie pan, panie Wakefield, jeśli nie pozbędę się ich, jak planowałem, utknę na wiele godzin, dopóki wszystkich nie obejrzą.



— W takim razie, jeśli pan nalega, z chęcią ją ukradnę, wszakże podczas naszej podróży odpłacę się panu dziesięciokrotnie przyjaźnią... i wysokogatunkową herbatą.

Dopiero następnego ranka, gdy do wszystkich pasażerów dotarło, gdzie są — byli uwięzieni na morzu, odcięci od krewnych i przyjaciół — Osgood zagadnął Reбекę Sand. Choć zwykle i tak trzymała się na uboczu, to od momentu wejścia na pokład zachowywała wprost niezwykle dystans wobec pracodawcy. Początkowo Osgood sądził, że chodziło jej jedynie o to, by wypaść profesjonalnie w nowej sytuacji, w otoczeniu obcych osób, z których część nie akceptowała młodych kobiet podróżujących w sprawach zawodowych.

— Panno Sand — zagadnął, napotkawszy ją na pokładzie — mam nadzieję, że uniknęła pani morskiej choroby.

— Miałam to szczęście, panie Osgood — odrzekła krótko.

Zrozumiał, że powinien być bardziej bezpośredni.

— Nie umknęła mej uwadze zmiana w pani zachowaniu, odkąd opuściliśmy Boston. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

— Nie myli się pan, sir — odrzekła beznamiętnie. — Absolutnie nie.

— Czy to zmiana szczególnie w stosunku do mnie?

— Owszem — przyznała.

Osgood wyczuł, że zanosì się na poważniejszą rozmowę, niż mógłby sądzić po tej zdawkowej wymianie zdań, znalazł więc dwa leżaki pokładowe ustawione naprzeciwko siebie i zapytał, czy nie zechciałaby mówić jaśniej. Rebeka złożyła rękawiczki na kolanach, po czym spokojnie zrelacjonowała wypowiedź Midgesa w podziemiach firmy.

— Midges, ten potwór! — krzyknął Osgood, zaciskając w pięść dłoń spoczywającą na bocznym oparciu leżaka. Wstał i udał,

że kopniakiem wyrzuca za burtę wymagowaną podobiznę Midgesa. — Cóż za bezmyślność i okrucieństwo. Powinienem być bardziej uważać, by nie usłyszał moich prywatnych rozmów z panem Fieldsem. Bardzo mi przykro z powodu całej tej sprawy.

Wyjaśnił jej, dlaczego oficer policji i koroner doszli to wniosku, że Daniel nałogowo przyjmował opium. Tym razem nie oszczędził żadnych szczegółów.

— Nie uwierzyłem — powiedział. — Wtedy pokazali mi ślady na jego ramieniu, według nich pozostawione przez „przyrząd do kuracji podskórnej”, stosowany do dożylnego wstrzykiwania opium.

Rebeka, wpatrzona w wodę, przemyślała jego słowa, po czym pokręciła głową.

— Mieszkaliśmy razem. Gdyby Daniel przyjmował opium, dobry Boże, rozpoznałabym najmniejszy ślad. Gdy po wojnie mój mąż wrócił z Danville, przez cały czas musiał mieć pod ręką ampułki morfiny lub indyjskie konopie. Na jego twarzy zawsze malowała się obojętność, jakaś pustka niepozwalająca mu pracować, spać czy jeść. Nie chciał nikogo oglądać ani przyjmować gości poza tymi, z którymi w swej samotności spotykał się w książkach z naszej biblioteczki lub w snach. Przetrwiał pola walki, ale jego duszę zniszczyło zło tego, co doglądający go lekarz określał mianem „żołnierskiej choroby”. Gdy przenieśliśmy się z Danielem do Bostonu, brat cierpiał na pewne nieumiarkowanie, gdy więc usłyszałam o wypadku, z początku zastanawiałam się, czy aby nie wrócił do nałogu picia dżinu. Ale nie, zauważyłabym oznaki. Dostrzegłabym je na jego twarzy. Nie ulega wątpliwości, panie Osgood, zorientowałabym się, co się dzieje, i odpowiednie kroki natychmiast zostałyby podjęte.

Osgood powiedział współczująco:

- Ja także nie mogłem sobie tego wyobrazić.
- To znaczy nie mógł pan sobie wyobrazić, że policja mogłaby mieć rację, czy tego, czemu Daniel sprawił panu zawód? — za-  
pytała.

Osgood spojrział na nią, nie odwracał wzroku od jej rozniewanego spojrzenia. Głęboki rumieniec ukazał się na jej policzkach, zmrużyła oczy. Osgood, wyczuwając reprimendę, poddał się.

- Ma pani prawo się gniewać, że nie powiedziałem jej o tym wszystkim. Jest pani zła? Proszę o szczerość.

— Nie mogę wprost uwierzyć, że ukrył pan przede mną szczegóły policyjnego raportu — wszystko jedno czy są, czy nie są zgodne z prawdą. Jeśli mam zadbać o siebie tak, jak czynią, to mężczyźni, i nie być od żadnego zależną, to nie życzę sobie, by traktowano mnie jak jakiś bezwolny przedmiot. Pozbawił mnie pan możliwości obrony jego imienia! Jestem wdzięczna za moją pozycję, moje życie od niej zależy, więc w tych okolicznościach nie powinnam wiele żądać, wiem o tym, ale uważam, że zasługuję na pański szacunek.

- Ma go pani. Zapewniam panią — odrzekł Osgood.

Rebeka zamieszkała na statku w kabinie najniższej klasy. Żadnych elektrycznych dzwonek do przywoływania stewardów, żadnych ozdobnych żyrandoli, malowanych paneli czy sklepionych sufitów jak na wyższych pokładach, na których podróżowali przedstawiciele najświetniejszych sfer towarzyskich. Czas spędzany w maleńkiej kabinie wypełniała czytaniem książek. W przeciwieństwie do innych dziewcząt, które poznała w Bostonie, w książkach nie szukała mocniejszych wrażeń, ale sposobu na lepsze zrozumienie własnego życia, pragnęła także nauczyć się czegoś więcej o profesji wydawniczej. Na pokład liniowca wniosła fachowe dzieło o historii morskich podróży.

Wzięła ze sobą także jeden ze zrobionych przez Daniela modeli okrętów wojennych. I pomyśleć, że to ona płynęła przez ocean, a nie jej brat, który marzył o takiej podróży. Jeżeli jakaś część Daniela pozostała nieśmiertelna, z pewnością towarzyszyła jej.

Czasem nocą stawała na zewnątrz przy relingu i w ciszy obserwowała morze, gwiazdy i horyzont, na którym się spotykały.

— Ileż romantyzmu tkwi w morskiej podróży! — zawołała pewnego poranka inna młoda pasażerka, zauważywszy Rebekę w tej pozie. Christie, zielonooka, od stóp do głów pokryta piegami, dzieliła z nią kabinę. — Nie uważa panna?

— Romantyzm? — powtórzyła Rebeka, kręcąc głową. — No nie wiem.

Piegowata nie ustępowała.

— Gąska z panny, czyż nie? Jak może panna tak twierdzić? Chyba panna nie powiesz, że nie zauważyłaś, ilu przystojnych dżentelmenów przebywa na tym statku! Bo wie panna, ja to nie zamierzam zbyt długo pozostać niańką zmuszoną przebywać z leniwymi irlandzkimi pokojówkami.

— Nie lubisz swoich podopiecznych, panno Christie?

— Małe bestie! Nie jest najgorzej, bo bajam im o czarnym człowieku, który pożera małe dzieci, jak nie słuchają nianiek. Tylko że te irlandzkie dziewczki, wszystkie te Marysie i Brygidki, na nowo rozpuszczają maluchy.

— Bidulka — skomentowała Rebeka.

— Nie będę długo za nimi płakać, gdy znajdę sobie męża. Pod tym względem statek jest pełen możliwości! Niech panna tylko pomyśli o tych wszystkich niezonatych mężczyznach, kupcach i członkach klubów, o młodzieńcach posiadających bogatych ojców i o szansie zdobycia miłości kogoś z nich. Myślę, że można by nawet spróbować wypaść za burtę i czekać, aż zostanie się uratowaną.

— Ach tak — powiedziała spokojnie Rebeka. Kruczoczarne włosy poluzowały się na wietrze z upięcia i czarująco opadały jej na policzki. — Można także utonąć — dodała sucho.

— Och, a gdyby tak ocaleć z morskiej katastrofy, tylko we dwoje! — zabrzmiała oczywista riposta. Christie szczebiotała dalej: — Mówi się o pannie jako o jednej z czterech najładniejszych dziewcząt na pokładzie. I to pomimo zbyt wysokiego czoła i kompletnego braku klasy tych panienki żałobnych szatek, które czynią pannę tak bladą i surową. Czemu czasem nie wsunie sobie panna kwiatuszka za pasek, jako zachęty do przelotnego flirtu z jakimś admiratorem? No i ta książka, którą zawsze ma panna przy sobie niczym jakaś chłopczyca. A ten czarujący młody pan, z którym panna podróżujesz? Jeśli jesteś nawet w tym wypadku za wybredna, to wiedz, że wiele kobiet ostrzy sobie na niego pazurki.

— Jestem tu służbowo — odpowiedziała Rebeka, odwracając wzrok, by dziewczyna nie dostrzegła rumieńca, którym się oblała. Ciało zawiodło ją, zdradzając to, co najbardziej chciała ukryć. — Zamierzam udowodnić, że potrafię pracować jak ktoś, kto sam się utrzymuje. Tylko tyle oczekuję od pana Osgooda.

— Dobrze się ubiera i jest opanowany.

— To prawda.

— I tylko to się liczy.

— On jest o wiele mniej pospolity i przeciętny niż tylko tyle — zaprotestowała Rebeka.

— A więc, co panna uważasz?

— Jak to, co uważam?

— No, w kwestii wywarcia wrażenia na tym swoim panu Osgoodzie!

— On nie jest mój... Uważam, że pan Osgood zajmuje się swoimi sprawami zawodowymi, a nie bzdurami.

— Jaka szkoda! — odrzekła jej towarzyska, zawiedziona niewłaściwą skalą priorytetów Jamesa Osgooda. — A zaprosiłabym pannę na wesele.

Podczas rejsu Rebeka często spotykała się z Osgoodem w bibliotece statku i pomagała mu układać listy do przedstawicieli wydawców Dickensa w Londynie lub sporządzać brudnopisy innych dokumentów. Nie mogła co prawda jadać przy jego stole ani brać udziału w rozrywkach przysługujących pierwszej klasie, ale pewnego przyjemnego popołudnia siedziała na pokładowym leżaku, czytając *Drooda*, okryta szalem chroniącym ją przed wiatrem. Dosiadło się do niej kilka dziewcząt robiących na drutach. W pobliskim iluminatorze dostrzegła odbicie saloniku, w którym Osgood grał w szachy; gry tej nauczyła kiedyś Daniela, by wypełnić mu pustkę wieczorów spędzanych w pensjonacie w Bostonie, gdy rzucał picie.

Z początku, czując, że nie powinna podglądać, próbowała znów skoncentrować się na czytaniu, ale bez skutku. Zafascynowała ją myśl, że obserwuje pracodawcę, gdy on o tym nie wie. Musiała sobie samej przypominać, że wciąż jest trochę rozzarowana Osgoodem i dlatego powinna powstrzymać swoje zainteresowanie. Ale już po chwili tak wciągnęły ją ruchy na szachownicy, że w duchu obmyślała własną strategię. Osgood doszedł do krytycznego punktu, jego dłoń zastygła nad stołem, a ona w myślach zachęcała go do przejścia skoczkiem na lewą stronę szachownicy rywala.

To załatwi sprawę, panie Osgood! — pomyślała. Wiedziała, że jeśli zwycięży, tylko uśmiechnie się uprzejmie, by nie poniżyć przeciwnika.

Chwilę później, zrezygnowawszy z kilku niewłaściwych ruchów, wybrał ten, który mu radziła. Z uciechy klasnęła w dłonie, a dwie dziewczyny spojrzały na nią znad robótek i pokręciły głowami.

Wystarczyło zaledwie kilka dni na morzu, by poczuła, że znalazła się w całkiem innym niż Boston świecie. Podróż nie przesłoniła jej jednak Daniela. Gdy go zabrakło, uświadomiła sobie, jak wiele z jego siły charakteru i pogody ducha zasiłło jej ambicje. Głos Daniela stał się częścią jej wewnętrznego życia w sposób, którego nie umiała wyrazić. Podróż morska przyniosła jej chwilowe ukojenie myśli o jego śmierci, jakby brat stał się częścią bezmiernego nieba, słonejszej wody i ciepłych wiatrów.

Pewnego ciepłego poranka Osgood spacerował po górnym pokładzie całkowicie zatopiony w myślach. Zerwał się wiatr i statek kołysał się gwałtowniej niż zwykle. Każdego dnia mdłości nękały następną grupkę pasażerów. Dla ukojenia nerwów lekarz okrętowy rozdelał niewielkie dawki morfiny. Pasażerowie, których choroba ominęła, znudzili się w końcu szachami, kartami i rozmową przy cygarach o polityce; jedynie widok wieloryba mógłby na jakiś czas rozproszyć ogólne zniechęcenie. Ale to nie dotyczyło Osgooda — on ani trochę się nie nudził.

Pozostał jak zawsze pracowity, starannie ubrany i pochłonięty swą aktualną misją. Podczas gdy inni mężczyźni regularnie pokazywali się nieogoleni, jego wąsy pozostały wypielegnowane, twarz czysta. Dla Osgooda był to nie tylko nawyk, ale także konieczność. Jego rysy, choć całkiem przyjemne, były raczej nierzucające się w oczy, by nie powiedzieć: nijakie. Dość często zdarzało się, że ktoś, kto spotkał Osgooda w jednym miejscu — na przykład w biurze na Tremont Street — gdy widział go kilka dni później w innym otoczeniu — dajmy na to na moście w parku — zdawał się go nie rozpoznawać. Czasem zmiana oświetlenia słonecznego na gazowe, lub soboty na wtorek, wywoływała zmieszanie osób starających się przypomnieć sobie wygląd wydawcy. Jeszcze bardziej utrudniłoby

sprawę, gdyby Osgood kiedykolwiek zmienił ułożenie choćby jednego włosa na głowie, na co się zresztą nigdy nie poważył. Mógłby wtedy obudzić się pewnego ranka i stwierdzić, że odebrano mu dom i pozycję.

Osgood nadal studiował stronicę *Tajemnicy Edwina Drooda*, które ze sobą zabrał. Książka ta różniła się od typowych powieści Dickensa i była jego artystycznym przedsięwzięciem najwyższej próby od czasu *Opowieści o dwóch miastach*. Było to dzieło dojrzałego geniuszu, powściągliwe i zwięzłe. Osgood był przekonany, że po ukończeniu okazałoby się arcydziełem i jak każde arcydzieło byłoby uwielbiane i niezrozumiane. Ponura, ciemna historia skłóconej rodziny na fikcyjnej wsi Cloisterham, z niewielką nadzieją na szczęśliwe zakończenie. Postacie były tak pełne życia, że można było odnieść wrażenie, że zaraz zejda z kart i dokończą opowieść bez pomocy pióra Dickensa. Pod koniec zachowanego tekstu czytało się pytanie: czy Edwin Drood, młody bohater, został zamordowany? A może ukrywa się, czekając, by triumfalnie powrócić?

Oczywiście nie dało się zastanawiać nad zniknięciem Drooda, nie myśląc zarazem o śmierci Dickensa. Te dwie sprawy na zawsze pozostały ze sobą związane. Czy poznanie okoliczności pierwszej złagodziłoby smutną rzeczywistość drugiej? Spacerując po pokładzie, Osgood doszedł w swych rozważaniach właśnie do tej kwestii, gdy wtem pośliznął się na śliskiej powierzchni i zanim zdołał uchwycić się relingu, z impetem upadł na plecy.

Po chwili dezorientacji zauważył wyciągniętą ku sobie pomocną dłoń. A raczej główkę — złotą główkę od ciężkiej laski. Niepewnie sięgnął ku paskudnemu, uzbrojonemu w kły, rzeźbionemu potworowi i podciągnął się na nogi. Już wcześniej widywał tego mężczyznę o sumiastych wąsach w brązowym turbanie, który najczęściej przebywał sam i tylko czasami gburowatym tonem żądał czegoś od



stewarda czy kelnera, wymachując przy tym swą dziwną laską. Osgood słyszał, jak nazywano go Hermanem; przypuszczał, że mężczyzna jest parsem, ale poza tym nic o nim nie wiedział.

— W porządku? — zapytał Herman chropowatym głosem.

Osgood ponownie opadł na plecy, czując przeszywający je ból.

— Poślę po lekarza okrętowego — powiedział tamten chłodno, ale uprzejmie.

Wokół miejsca upadku zdążyła się już zebrać niewielka grupka pasażerów ze wszystkich klas oraz kilku członków załogi. Rebeka dostrzegła formujący się tłumek i pobiegła, najszybciej jak pozwalała jej na to krępująca nogi wąska sukienka. Musiała precyzyjnie się jeszcze obok innych, demonstrujących swe zaniepokojenie dziewcząt.

— Hej, gąsko! — zawołała Christie. — Byłyśmy tu pierwsze, panienko — dorzuciła ruda, jaskrawo ubrana dziewczyna, podróżująca na tym samym co one pokładzie.

— Panno Sand — Osgood odetchnął z ulgą — najmocniej przepraszam za to widowisko. Pomoże mi pani?

— Proszę mnie przepuścić — nie bez przyjemności zwróciła się Rebeka do rudej i do jej piegowatej towarzyszki, przeciskając się między nimi. Wiatr udrapował jej prostą, czarną sukienkę wokół ciała, uwypuklając jego naturalne piękno, które śmiało mogło rywalizować z kształtami hojnie demonstrujących swe wdzięki, zdobnych we wstążki dziewcząt tłoczących się z tyłu. Podała Osgodowi ramię. — Co za pech, panie Osgood! — rzekła współczująco. — Jest pan ranny?

— Pech, odwrotnie niż szczęście, które, jak mówią w handlu, zdarza się rzadko, nie odgrywał żadnej roli w tej sztuczce, droga damo — odezwał się głos dochodzący z kręgu widzów. Należał do angielskiego handlowca, Wakefielda. Kupiec herbaciany miał na

sobie eleganckie ubranie, tradycyjną pelerynę i spodnie w kratę. Przystanął, by uprzejmie skłonić się Rebecce, po czym dalej przesuwiał się na przód. — Mój przyjaciel Osgood padł ofiarą!

— Myli się pan, panie Wakefield. Ocean wzburzył się silnie i pośliznąłem się w kałuży — upierał się Osgood.

— O nie. To ten człowiek chciałby, by pan tak myślał. — Wakefield gwałtownie odwrócił się do potężnego mężczyzny, który pomagał Osgoodowi wstać.

— Co takiego? — zapytał Herman zuchwałego oskarżyciela, z dłońmi na przepasującym tunikę sznurze, zawężonym w czterech miejscach.

— Ocean wzburzył się bardzo, to prawda — wyjaśniał Wakefield — dlatego poszedłem na spacer na zewnątrz, zamiast walczyć z mdłościami w kabinie. I dlatego też widziałem, jak ten człowiek w tym właśnie rogu wylewa wodę z wiadra. Jakby czekał na kogoś, kto się tu pojawi.

— Chce pan powiedzieć, że zrobił to umyślnie? Czemu miałby zrobić coś tak okropnego? — zapytała Rebeka, odwracając się, by popatrzeć na Hermana. Gdy napotkała wzrok oskarżonego i jego niewinny uśmiech, natychmiastowa, niemal magnetyczna odraza zmusiła ją do zrobienia kroku w tył. Ciemne, złowieszcze oczy napełniły ją nagłym, niewytłumaczalnym strachem i nienawiścią.

Wakefield rzucił okiem na Rebece.

— Moja panienko, jakież z panny niewiniątka! Ze wstydem muszę wyznać, że w Anglii roi się od oszustów, którzy tylko szukają dobrodusznego dżentelmena. Często podróżuję tym i innymi liniami i dwukrotnie mnie obrabowano. Sądzę, że ten człowiek to jeden z tych, których policja nazywa „pokładowcami” lub „potykaczami”.

— Co takiego? — zdziwił się Osgood.

— Mniejsza o to! — Twarz Hermana poczerwieniała. Wsadził wykałaczkę do ust i gwałtownie ją żuł. — Wiem, o co chodzi temu typowi, i sugeruję, żeby się zmył.

— Chwileczkę, drogi panie Wakefield — powiedział Osgood, urodzony dyplomata. — W końcu ten człowiek mi pomógł.

— No to zastanówmy się, po co by to robił, jaką dałoby to mu okazję — rozważał Wakefield i przeciągnawszy palcami przez zakręcone koniuszki swych płowych wąsów, szarpnął je w obie strony, tym samym rozciągając usta.

Herman zamachnął się na Wakefielda i kapelusz przemysłowca pofrunął do góry. Wiatr zaniósł nakrycie głowy prosto do Rebeki, a ta je złapała.

— Przeszukać tego człowieka! — rozkazał kapitan, owłosiony, przysadzisty mężczyzna, który dołączył do kręgu zebranych. Wskazał na Hermana i stewardzi pochwycili go. Z kieszeni tuniki wyciągnęli zegarek oraz portfel z cieleńcej skóry.

— To pańskie, sir? — zapytał kapitan Osgooda.

— Tak, moje — przyznał ten z konsternacją.

— Wypruję ci bebechy! I tobie też! — ryknął Herman do Osgooda, a potem do Wakefielda.

— Groźby na nic się nie zdadzą — stwierdził ten drugi, choć ręce mu drżały, gdy wyrównywał spinkę krawatu. Przyjął z powrotem kapelusz od Rebeki i by ukryć drżenie, ponownie uprzejmie jej się uklonił.

Dwaj stewardzi błyskawicznie obezwładnili i unieruchomili Hermana. Większość kobiet zasłaniała twarze chustkami i krzyczała, ale stojąca obok Osgooda Rebeka wpatrywała się w więźnia jak zahipnotyzowana. Herman rzucił groźne spojrzenie Osgoodowi.

— Ty gnido! Nakarmię twoimi kulasami rekiny, zapamiętaj to sobie!

Głos miał chrapliwy i niski, jakiego wolałoby się nigdy nie usłyszeć.

— Idź do diabła, łajdaku! — rzucił Osgood i odwrócił się do stojącego obok stewarda. — Zabierzcie go pod pokład! Policja w Londynie sobie z nim poradzi.

Lekarz okrętowy stwierdził u Osgooda jedynie kilka powierzchownych obrażeń. Kapitan zaproponował mu specjalną przechadzkę ze zwiedzaniem statku, łącznie z wizytą w areszcie, gdzie zaskoczony wydawca zobaczył szereg mocno zabezpieczonych cel, bardziej odpowiednich dla okrętu wojennego.

— Budowę głównych liniowców angielskich subsydiuje Marynarka Jej Królewskiej Mości, rozumie pan. Są skonstruowane tak, by można je było przekształcić w okręty wojenne — wyjaśnił kapitan. — Armaty, cele więzienne i co tylko trzeba.

Herman, skulony w kącie jednej z cel, wpatrzony w rozżarzony do czerwoności piec na zewnątrz pomieszczenia, rzucił okiem na odwiedzających, potem ponownie zapatrzył się w palenisko. Ku zadowoleniu kapitana człowiek ten zdawał się całkowicie zrezygnowany. Herman jednak zachował swój przedziwny cyniczny uśmiech, jakby to wszyscy pozostali na pokładzie znajdowali się w więzieniu, a tylko on był całkowicie wolny. Stopy miał skrępowane łańcuchem, nadgarstki przymocowane do ściany, też łańcuchem, a po jego nogach tam i z powrotem biegały szczury. Zdjęto mu turban i głowę ogolono gładko, pozostawiwszy jedynie niechlujne kępki włosów przy skroniach. Osgood stwierdził — ze strachu lub zażenowania — że nie może się zdobyć, by spojrzeć w oczy swemu napastnikowi.

Gdy Osgood i kapitan znów wchodzili po schodach, więzień zaczął śpiewać dziecięcą rymowanąkę:

Czy siła mięśni, czy sprytna myśl,  
Robotę wnet zapewnią mi:  
Szatan coś znajdzie jeszcze dziś,  
By nudę przegnać z moich dni.

Potem rozległ się dźwięk przypominający pisk szczura.

Kolejne dni po ataku Osgood świętował: jadał kolacje przy kapitańskim stole i przyjmował pozdrowienia należne bohaterowi, gdy tylko napotkał kogoś z towarzyszy podróży. Kiedy wychodził na pokład na poranny spacer, przyciągał procesję niezamężnych kobiet. Rebeka siadywała zwykle na leżaku i na widok podobnych demonstracji rzucała spod kapelusza niechętnę spojrzenia.

Jej współmieszkanka, Christie, usiadła kiedyś obok niej.

— Cóż za uosobienie romantyczności, ten pan Osgood! — uśmiechnęła się do Rebeki, pochylając się ku niej. — Jest teraz bardziej podziwiany niż kiedykolwiek wcześniej!

Rebeka robiła, co mogła, by wyglądać na zajęętą książką, którą trzymała na podołku.

— Nie widzę w tym nic romantycznego. Mógł doznać obrażeń — zauważyła.

— No to jak sobie panna wyobrażasz romans? Może w ogóle nie masz żadnego wyobrażenia.

Rebeka wpatrywała się w książkę i starała się ignorować dziewczynę. Ale wbrew swemu postanowieniu przemówiła:

— „Tak więc, nim sąd cię wiekuisty zbudzi, tu żyj i miłość wzniecaj w sercach ludzi”\*

\* W. Shakespeare, *Sonet 55*, przekład Macieja Słomczyńskiego.

Wysłuchawszy wersetu z sonetu Szekspira, Christie zapytała:

- Co chcesz panna przez to powiedzieć?
- Romans to nie kwestia wyobrażenia, ale chwila. Ten moment, gdy ktoś bez słowa spojrzy ci w oczy i wie dokładnie, kim jesteś, czego ci trzeba.
- Jej towarzyszka usiadła prosto, zaskakująco ożywiona.
- O, jakże nam miło! Dowiemy się, co dżentelmen sądzi na ten temat.
- Co takiego? — zdziwiła się Rebeka.
- Odwrociła głowę i ku swemu przerażeniu ujrzała Osgooda stojącego za leżakami. Zastanawiała się, drżąc lekko, od jak dawna tam był.
- No, panie Osgood — nalegała rezolutna Christie — jako autentyczny bostoński dżentelmen jak pan określiłby prawdziwy romans?
- No cóż — zaczął Osgood, rumieniąc się — poświęcenie dla ukochanej osoby, chyba tak bym to ujął.
- Jakie to urocze! — zareagowała Christie. — Ma pan na myśli tego rodzaju uczucie ze strony mężczyzny, jak się domyślam, panie Osgood? Och, to jeszcze bardziej urocze. Nie sądzisz, panno Rebeko? Jak też okropnie panna wyglądasz, moja droga.
- Rebeka wstała i wygładziła sukienkę.
- Dziś rano okręt mocno się kołysze — stwierdziła.
- Odprowadzę pannę do kabiny, panno Sand — Osgood z troską podsunął jej ramię.
- Dziękuję, ale sama trafię. Chciałam odwiedzić okrętową bibliotekę.
- Rebeka zostawiła oszołomionego Osgooda, podczas gdy Christie nadal obrzucała go spojrzeniami, odsuwając z twarzy kosmyki włosów.
- Panienska nie musiała reagować z taką złością, prawda, panie Osgood?

Z zakłopotaniem skinął głową, po czym pospiesznie się oddalił.

— Jest pan teraz bardziej popularny wśród dam od kapitana!  
— orzekł później Wakefield, gdy razem palili cygara w głównym salonie.

— W takim razie jutro znowu upadnę na głowę — zapowiedział Osgood. Jego towarzysz zdawał się wystraszony tą zapowiedzią i wydawca raz jeszcze przypomniał sobie własną zasadę, by uważać z dowcipami.

— No cóż, podejrzewam, że przy tej młodej damie, która gra przy panu drugie skrzypce, niewieście zainteresowanie nie powinno zbyt przewrócić panu w głowie.

Wydawca uniósł brwi:

— Ma pan na myśli pannę Sand?

— Chowa pan w zanadrzu jeszcze jakąś inną piękną dziewczynę? — Wakefield roześmiał się. — Przepraszam, panie Osgood. Czyżbym się mylił, sądząc, iż ma pan zakusy wobec tej młodej kobiety? Proszę mi tylko nie mówić, że ona pochodzi z innej sfery społecznej, jest zwykłą kobietą pracującą i tak dalej. Ja posiadam filozoficzną naturę, jak się pan wnet zorientuje, mój młody amerykański przyjacielu. W moim przekonaniu to my czynimy siebie tymi, kim chcemy być, nie zważając na opinie wścibskich bliźnich, którzy chcą nas oceniać. Nie przejmuj się pan przyjaciółmi ani rodziną, ani ubraniem, niech wszyscy razem idą do diabła, ale przejmuj się miłością! Nie pozwól, by ta syrena wpadła w ręce pierwszemu lepszemu Tomowi czy Dickowi, który nie będzie tak ostrożny i uważający jak pan!

Osgood poczuł dziwny, nieznany mu dotąd ścisk w gardle: nie wiedział, jak odpowiedzieć.

— Panna Sand jest wspaniałą pracownicą, panie Wakefield. W firmie nie ma nikogo innego, komu bym mógł do tego stopnia zaufać.

Wakefield skinął głową w zamyśleniu. Miał nawyk klepania się po kolanie — czasem uderzał w nie, wybijając jakiś nierozpoznawalny, acz wyraźny rytm.

— Mój ojciec zwykł mawiać, że daję się ponosić wyobraźni. I gdy tak się dzieje, maniery odstawiam w ką. Przepraszam, naprawdę.

— Powiem panu w zaufaniu, panie Wakefield, że ona jest rozwódką dopiero od kilku lat. Zgodnie z prawem obowiązującym w Massachusetts nie wolno jej nawiązywać romantycznych znajomości przez jeszcze jeden rok, inaczej pozwolenie na rozwód zostanie cofnięte i nie będzie mogła w przyszłości nikogo poślubić. — Osgood przerwał na chwilę. — Mówię to, by podkreślić, że jest osobą bardzo wrażliwą, zarówno z charakteru, jak i z konieczności. W przeciwieństwie do wielu dziewcząt nie marzy o rozrywkach.

Spędziwszy jakiś czas w salonie, Osgood ze zdziwieniem zauważył Rebekę stojącą na pokładzie i wpatrującą się w ocean.

— Czy coś jest nie tak, panno Sand? — zapytał, podchodząc.

— Owszem — odrzekła, odwróciła się w jego stronę i energicznie kiwnęła głową. — Tak sędzę, panie Osgood. Gdyby był pan kieszonkowcem pokładowym, czy nie zaczęłaby pan z kradzieżą do końca podróży?

— Co takiego? — zapytał Osgood, zaskoczony pytaniem.

— Inaczej — ciągnęła z przekonaniem Rebeka — no właśnie, inaczej ktoś zgłosiłby kradzież kapitanowi i winnego przyłapano by ze skradzionym towarem.

Osgood wzruszył ramionami.

— No cóż, chyba tak. Pan Wakefield mówił, że tego rodzaju przestępstwa często zdarzają się zarówno w Anglii, jak i na statkach.



— Rzeczywiście. Ale ten pars, Herman, raczej nie wygląda na zwykłego kieszonkowca, nie sądzi pan? — upierała się. — Niech pan pomyśli, jak sam Charles Dickens opisuje tę klasę przestępców: młode, zdesperowane łobuzy, ludzie zdecydowani na szybki zysk, nierzucający się w oczy. Z pewnością nie są podobni do tego na statku. Zdziwiłabym się, gdyby miał mniej niż sześć stóp wzrostu!

Kilka dni później pogoda zrobiła się bezlitosna, zbyt mokra, by można było przebywać na zewnątrz, na pokładzie, a Osgood, choć było to wbrew jego naturze, siedział w okrętowej bibliotece pogrążony w ponurych rozmyślaniach o Hermanie. Znalazł angielskie wydanie *Olivera Twista*, wydrukowane przez Chapmana & Halla, i wertował rozdziały opisujące doświadczenia Olivera wśród złodziejasków. W cieniu niedawnej dziwnej napaści oraz wnikliwych uwag Rebeki trudno było mu powrócić do rutyny pokładowego życia. Płonące oczy złodzieja wciąż żarzyły się w świadomości Osgooda.

Przypominając sobie labirynt korytarzy, którymi oprowadzał go kapitan, zabrał z kajuty świeczkę i cichcem jął iść tą samą drogą przez ciemne pomieszczenia do aresztu. Nie obawiał się o swoje bezpieczeństwo — więzień zakuty był w łańcuchy i dzieliła ich żelazna krata. Nie, bał się czegoś więcej, może tego, co Herman mógłby mu zdradzić: może czyhającego niebezpieczeństwa, którego Osgood jeszcze nie potrafił sobie wyobrazić. Pod wpływem uwag Rebeki zaczął zastanawiać się, co w ogóle ktoś taki jak ten pars robił w Bostonie.

Gdy dotarł na dolny poziom statku i odnalazł rząd więziennych cel, pełnych pociemniałego żelastwa, rozmaitych metalowych rupieci, pokrytych warstwą brudu i kurzu, zatrzymał się przed pomieszczeniem Hermana. Uniósł świeczkę i aż go zatknęło. Poza martwym, pozbawionym głowy szczurem i zestawem zwisających łańcuchów, cela była pusta.

## 10.

Osgood przez chwilę stał nieruchomo, sparaliżowany strachem i zaskoczeniem, choć wiedział, że musi działać szybko. Wahanie mogło narazić go na jeszcze większe niebezpieczeństwo, co więcej, narazić na nie jego przyjaciela, pana Wakefielda, czy nawet Rebekę! Herman mógł znajdować się teraz gdziekolwiek na statku, a skoro udało mu się uciec z celi specjalnego aresztu dla jeńców, to był zapewne o wiele bardziej niebezpieczny od drobnego „pokładowca”. Osgood pomknął przez ciemności, przeskakując po dwa schody.

— Co się stało, sir? — zapytał steward, którego Osgood omal nie przewrócił.

Ten pospiesznie zrelacjonował sytuację, a wnet pojawił się kapitan i jego podwładni. Podzielili się na grupy, by dokładnie przeszukać parowiec i odnaleźć zbiega. Osgood i pozostali pasażerowie zostali w salonie, gdzie uzbrojony wartownik zapewniał im bezpieczeństwo. Gdy kapitan powrócił z czapką w ręce z karabinem pod zgiętym ramieniem, ocierając pot po wysiłku, oznajmił, że więźnia nie znaleziono.

— Jak to możliwe, sir? — rzuciła Rebecka stanowczo.

— Nie wiemy, panno Sand. Widziano go wczoraj rano, gdy jeden ze stewardów zaniósł mu talerz zupy. Musiał sforsować zamek i uciec w nocy.

— Uciec? Dokąd, kapitanie? — wybuchnął Wakefield, obiema rękami wściekle ugniatając kolana.

— Nie wiem, panie Wakefield. Być może zauważył jakiś statek i zdecydował się do niego popłynąć. Jednak wczorajsze zmienne wiatry nie pozwoliłyby mu przetrwać tak szalonej próby. Niemal na pewno przepadł w głębinach i śpi snem wiecznym na morskim dnie.

Gdy usłyszeli ten ponury scenariusz, pasażerów opuściło pod-ekscytowanie, wszakże jeszcze nim dotarli do swoich kabin, znowu byli znudzeni. Po kilku dniach perspektywa rychłego dopłynięcia do Anglii kazała im zapomnieć o zbiegłym więźniu. Pakowali swój dobytek do kilku małych walizek i uiszczali stewardom wyjątkowo wysokie rachunki za wino. Osgood próbował uciszyć zaprzatające mu umysł pytania. Ale nie Rebeka.

— To nie ma żadnego sensu, panie Osgood — odezwała się pewnego popołudnia w bibliotece, energicznie bębniąc palcem o blat stołu.

— Co takiego, panno Sand?

Osgood z jedną ręką na karku, w swojej zwykłej pozie zdradzającej koncentrację, gwałtownie uniósł głowę znad książki, ale pospiesznie wrócił do poprzedniej pozycji, odwrócony twarzą do okna.

— Nie powinna pani więcej myśleć o tej sprawie, panno Sand. Słyszała pani, jak kapitan mówił, że ten człowiek zginął. Gdybyśmy sądzili inaczej, równie dobrze moglibyśmy wierzyć w morskie węże. Ale w takim przypadku należałoby także przyjąć, że one z pewnością by złodzieja pożarły!

— Jakież człowiek naraziłby się na utonięcie, by uniknąć oskarżenia o drobną kradzież? A co jeżeli...? — głos Rebeki zamarł, zastąpiony bębnieniem jej palców.

Kilka godzin później Osgooda można było dostrzec samotnie spacerującego po pokładzie, tak jak tego ranka, gdy Herman zastawił na niego pułapkę. Gdy już zbliżali się do Anglii, rozmarzony patrzył na dalekie, widoczne na horyzoncie statki, zmierzające nie

wiadomo dokąd. Pomyślał o niepokoju malującym się na twarzy Rebeki; wiedział, co chciała powiedzieć wtedy, w bibliotece: „A co, jeśli Herman wciąż żyje, jeśli po pana wróci?”. Robił, co mógł, żeby odpędzić od siebie te myśli. Wyobrażał sobie, co odpowiedziałby Fields, trzymając głowę prosto, a brodę wysuniętą do przodu. „Pamiętaj pan o celu podróży. Jest nim zakończenie tajemniczej opowieści Dickensa, a nie tworzenie własnej. W przeciwnym razie nasze przedsięwzięcie może przerodzić się w chaos, a życie wymknąć się spod naszej kontroli”.

# CZEŚĆ DRUGA

Znam pewną małą dziewczynkę, która  
gdy jest szczęśliwa,  
czyta *Nicholasa Nickleby*;  
gdy jest nieszczęśliwa,  
czyta *Nicholasa Nickleby*;  
gdy jest zmęczona,  
czyta *Nicholasa Nickleby*;  
gdy leży w łóżku,  
czyta *Nicholasa Nickleby*;  
gdy nie ma nic do roboty,  
czyta *Nicholasa Nickleby*,  
a skończywszy czytać *Nicholasa Nickleby*,  
znowu czyta *Nicholasa Nickleby*.

William Thackeray

## 11.

DWA I PÓŁ ROKU WCZEŚNIEJ: BOSTON, 19 LISTOPADA 1867 ROKU

Po ogłoszeniu, że bilety na pierwszy wieczór autorski pisarza będą sprzedawane następnego ranka, przed bramą wydawnictwa zaczęła formować się kolejka. Dla tych, którzy zamierzali spędzić noc na zimnej, wietrznej ulicy, James Osgood polecił Danielowi Sandowi wynieść na dwór sienniki i koce. Fields wtrącił, że aby naprawdę uszczęśliwić tłum, chłopiec na posyłki powinien znieść na dół także piwo.

O świcie w dniu sprzedaży kolejka czekających na dworze ciągnęła się już półtora mili wzdłuż Tremont Street. Niektórzy do spania zaopatrzyli się we własne fotele.

Obaj wspólnicy, Fields i Osgood, obserwowali ten widok przez okno, które pospiesznie okratowano na wypadek, gdyby komuś z oczekujących na bilety przyszło do głowy tą drogą przedostać się do środka. Z zaskoczeniem patrzyli na dżentelmenów z wyższych sfer stojących ramie w ramie z irlandzkimi robotnikami, dostrzegli także kilku Murzynów... W rozgorączkowanym tłumie znalazły się nawet trzy kobiety! Ta ostatnia okoliczność do tego stopnia poruszyła oczekujących w arktycznym zimnie mężczyzn, że przeprowadzili głosowanie i stojącej najbliżej kasy kobiecie oddali miejsce na samym początku kolejki. By podkreślić bardzo angielski aspekt całego wydarzenia, przyniesiono herbatę — niektórzy zmieszali ją wszakże z zawartością małych czarnych buteleczek.

W tłumie nie zabrakło także spekulantów, zamierzających zdobyć miejsca odsprzedać z zyskiem. Wprawdzie spodziewano się owych przedsiębiorczych, licznych w Ameryce sępów, ale nie tak wielu. Jeden z grupy najbardziej bezwzględnych osobników, zdecydowanych na zakup jak największej liczby biletów, miał na sobie strój à la George Washington, łącznie z peruką i kapeluszem.

W pewnym momencie w trakcie trwania sprzedaży potężny, łyś George Dolby, tam i z powrotem kursujący wzdłuż kolejki, otrzymał telegram.

— Z portu w Halifaksie — oznajmił pan Dolby, odczytawszy najpierw tekst po cichu. — Zapowiadają przybycie „Kuby”. Dickens właśnie jest w drodze do Bostonu! Wódz stanie na amerykańskiej ziemi, nim nadejdzie noc! — ostatnie słowa utonęły w powodzi radosnych okrzyków.

To było przed kilku godzinami. Teraz w porcie zapadły kompletne ciemności, panował przenikliwy chłód i nie było ani śladu „Kuby”. A ten tłum oczekujących! Dziennikarze grupami przemierzali nabrzeże, przygotowując się do sprawozdań z pierwszych kroków Dickensa na amerykańskiej ziemi, by móc zamieścić relacje w rannych edycjach swych gazet. Urzędnik celny wypożyczył Fieldsowi parowiec „Hamblin”, by wydawca mógł wypłynąć w morze i patrolować zatokę. Na pokładzie do Fieldsa i Osgooda dołączył Dolby, który wcześniej przybył z Anglii, a także kilku jego asystentów. By chronić się przed zimnym powietrzem, Anglicy ciasno otulili się płaszczami.

— „Kuba” w polu widzenia! — wychrypiał marynarz na pozycji obserwatora.

Płynęli przed siebie, aż znaleźli się obok większego statku. Z bliska dostrzegli, że osiadł na mieliźnie. Zasygnalizowali, by opuszczono pomost między statkami. Za nimi w ciemne niebo strzelały

lśniące fajerwerki — wspaniały pokaz na powitanie pisarza.

Marynarz obserwator, mrużąc oczy, burknął do Dolby'ego:

— Ten tutaj w ogóle nie wygląda na pisarza. Wygląda raczej na starego pirata!

Wysoko nad nimi, na pokładzie parowca stał sam Charles Dickens, a w poświacie świetlnego widowiska na niebie wyraźnie widać było jego jaskrawą kamizelkę i złote łańcuszki zegarka. Smukły i wyprostowany, sprawiający wrażenie wyższego niż pięć stóp i osiem cali, które w istocie mierzył, spoglądał w dół z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Amerykane na mniejszym statku nie byli w stanie ukryć zdziwienia na widok odkrytej głowy pisarza. Po wymienieniu kilku okrzyków z załogą „Kuby” pomogli Dickensowi przejść po trapie na mniejszą łódź, gdzie przy powitaniu pisarz ścisnął po dwie dłonie naraz.

Zdawał się jednocześnie zadowolony i zakłopotany wieścią o tłumie czekającym na nabrzeżu.

— Ach tak — powiedział, drapiąc się po posiwiałej niewielkiej bródce. — A więc mam tak od razu spotkać się z publiką?

— To spotkanie pańskiego statku z mielizną, drogi panie Dickens, może okazać się dla nas korzystne — oznajmił Fields. — Wynajęliśmy dwa powozy, które czekają teraz na Long Wharf, by zabrać nas wprost do hotelu. Jeśli wszystkie oczy pozostaną wpatrzone w „Kubę”, będzie pan mógł w spokoju dotrzeć na miejsce niezauważony i mieć mnóstwo czasu na lekką kolację.

Ale — jak to bywa, gdy sporej liczbie osób zależy na wyśledzeniu tajemnicy — publiczność przejrzała wybieg. Przyjezdni musieli przed Parker House przeciskać się przez czekający tłum, który ich osaczył.



— Hej, wy tam, na przedzie, kapelusze z głów! — wrzeszczeli ci z tyłu.

Dopiero gdy nowo przybyli weszli do Parker House i zasiedli do kolacji, napięcie zaczęło opadać. I wtedy Dickens zorientował się, co się stało. Nic nie powiedział, ale odepchnięty przez niego talerz z gęsiną zazgrzytał po stole. Kelner zostawił drzwi do prywatnej jadalni lekko uchylone, by publiczność mogła zerknąć na sławnego człowieka.

— Branagan! — Dolby rzucił przenikliwym szeptem do młodego bagażowego, którego zabrał z Anglii; ten wstał, przeszedł przez pokój i zatrzasnął drzwi. Potem ostro spojrzął na kelnera winowajcę i powiedział mu coś na ucho. Ten nerwowo skinął głową, jakby przeproszał — a może ze strachu, bo ów Branagan robił wrażenie krzepkiego i silnego.

Później tego wieczoru Dickens siedział przygarbiony w saloniku swojego apartamentu numer 338, a tymczasem wanna napełniała się wodą.

— Ci ludzie ani trochę się nie zmienili przez ostatnie dwadzieścia pięć lat — zauważył, popadając w mroczny nastrój. — Zachowują się dokładnie tak samo jak wtedy, przed laty. Gapią się na mnie jak na jakiegoś dziwoląga. Wiesz Dolby, powinienem był dotrzymać słowa!

— A kiedyż go pan nie dotrzymał, Wodzu? — zapytał menadżer, wyraźnie poruszony.

— Przysięgałem sobie nigdy nie wracać do Ameryki. Nic dobrego nie może wyniknąć z przyjazdu tutaj.

Kiedy był tu ostatnio, w roku 1842, Dickens znalazł się w centrum publicznego sporu. Otóż nawoływał amerykańskich wydawców do przyjęcia międzynarodowego prawa autorskiego i skończenia z pirackimi edycjami brytyjskich książek. Dickensa nazwano wtedy wyrachowanym chciwcem, przybyłym do Ameryki wyłącznie w celu powiększenia swego majątku.

Teraz menadżer próbował udobruchać Wodza danymi z pierwszej sprzedaży biletów, przypominał o rysujących się przed nimi wspaniałych perspektywach.

— Kolejka ciągnęła się na dwie mile od kaaasy! — Dolby już dawno opanował dokuczliwe jąkanie, ale wciąż się zaciął i musiał uważać, by się na czymś nie potknąć. Pomagał sobie dziwną manierą: najbardziej podstawowe określenia wymawiał z kunsztem godnym królewskiej mowy. Wydobywające się z potężnych szczęk Dolby'ego słowa: „gotówka”, „telegraficzny” i „kasa” brzmiały szekspirowsko.

— Niech pan spojrzysz — powiedział, wyjmując kilka pakunków o rozmiarach poduszek leżących na kanapie.

Dickens aż cmoknął.

— To zapewne wyprana bielizna domowa — zauważył.

— To nasze zyski, i to tylko z pierwszych godzin! Rano pan Kelly i ja zaczniemy wysyłać pieniądze do Couttsa w Londynie — gdy Dolby mówił, Dickens ważył w dłoni poszczególne paczki. — I proszę pamiętać, Wodzu, że dostaniemy siedem dolarów za funt.

— Wiedziałem, drogi przyjacielu — zapewnił go pisarz — że dopilnujesz, aby sprzedaż biletów okazała się fantastycznym sukcesem. Nigdy w to nie wątpiłem.

— Będzie pan miał zapewniony spokój. Widzi pan te drzewa naprzeciwko? To prywatne schody na tyłach hotelu, więc nie będzie pan musiał przebywać wśród ludzi, jak nie będzie pan miał ochoty.

— Zapewne, zapewne. Będzie także gorąca i zimna kąpiel — dodał jeszcze Dickens, ponownie wracając myślami do wspaniałego wyposażenia pokoi i przysłanych przez Annie Fields cudownych kwiatów, które właśnie wąchał. — Aha, Dolby, pamiętaj wymienić te zielone papierki na złoto. Nie należy ufać amerykańskiej walucie.

— W żadnym wypadku, Wodzu!

Po kąpieli Dickens usiadł przy biurku. Wyjął kasetę z przybarami do pisania, mieszczącą liczne ołówki i gęsie pióra. Miał tam też mały, czerwony, skórzany notes; otworzył go na jednej z ostatnich stron i studiował zapiski. Biorąc do ręki jeden z wielu pierzastych przyborów do pisania, rozejrzał się za dostarczonym przez hotel kałamarzem. Moczył czubek pióra, aż całkiem nasiąkło czernią, i zabrał się do sporządzenia krótkiej wiadomości.

— Dolby — zawołał — gdy skończywszy pisać, złożył kartkę — każ to odnieść do biura telegrafu, dobrze? To ważne.

Dolby otworzył drzwi i pstryknął palcami, wzywając Toma Branagana.

## 12.

Tom Branagan czuł na sobie wzrok menadżera, gdy wychodził z pokoju 338 z najnowszym poleceniem. Na dole, w biurach Parker House, operator telegrafu poprawił na nosie okulary i uniósł kartkę pod lampę. — Od pana Dickensa. „Zdrów i cały, oczekiwać długiego, optymistycznego listu”. Czy to wszystko? — zapytał telegrafista, mrużąc oczy, gdy odczytywał zawijasy. Zdawał się rozczarowany, nie znajdując bardziej sensacyjnej wiadomości do przesłania od najslawniejszego pisarza świata. — Przypuszczam, że przybyłeś pan aż ze starej, kochanej Anglii, by tam i z powrotem biegać po schodach, roznosząc zasmarowane kleksami karteluszki.

— Dziękuję za pomoc. Do widzenia — odrzekł spokojnie Branagan.

Gdy po przejściu przez głośny bar wspinał się z powrotem na drugie piętro, rozmyślał o podsłuchanej przez siebie cichej rozmowie Dickensa i Dolby'ego o Nelly Ternan, młodej aktorce mieszkającej w Anglii, i zastanawiał się, czy ona także przybędzie do nich, do Ameryki. Domyślał się, że pozornie błaha wiadomość była sekretnym sposobem poinstruowania przyjaciółki, choć nie wiedział, czy zachęcała do przyjazdu, czy wręcz przeciwnie. Ale w tej kwestii Branagan także miał swoje przypuszczenia.

Tłumy asystujące Dickensowi od chwili przybycia nie rokowały jakiegokolwiek nadziei na utrzymanie w sekrecie przyjazdu

dwudziestosześcioletniej aktorki do pisarza, żonatego ojca ośmiorga dorosłych dzieci, których matka dziesięć lat wcześniej wyprowadziła się z rodzinnego majątku w Anglii. Według Branagana Dickens bynajmniej nie pragnął ściągania na siebie dodatkowej uwagi. O nie, w Ameryce najwyraźniej niczego nie dało się zachować w tajemnicy, stąd też wynikało niezadowolenie na twarzy pisarza podczas kolacji. Rzut oka przez wąską szparę w uchylonych drzwiach ukazał Charlesowi Dickensowi ten naród w postaci jednego, ogromnego, ciekawskiego oka.

Tom Branagan należał do czteroosobowego zespołu pracowników zabranych w tę podróż. Po dwóch zajęli pokoje na tym samym piętrze co Dickens. Tom zamieszkał z Henrym Scottem, garderobianym i krawcem powieściopisarza. Henry był jedyną osobą — oprócz Dolby'ego — z dostępem do garderoby Dickensa przed publicznym czytaniem i po nim. Ten człowiek o melancholijnym usposobieniu ubierał mistrza i układał mu włosy, przywracając mu jego młodszy wizerunek, znany z licznych fotografii zdobiących wystawy wielu księgarni: wizerunek pełnego wigoru, beztroskiego geniusza o oczach zdających się przenikać otaczający go świat, tak jak powieści, które uczyniły go sławnym.

Henry lubił uważać się za należącego do innej kategorii niż pozostali pomocnicy i gdy w pobliżu nie było Dickensa, traktował ich z dystansem. Do irlandzkiego bagażowego zwykł zwracać się pełnym imieniem i nazwiskiem, nigdy nie ograniczał się do imienia. Był wśród nich także Richard Kelly, agent do spraw biletów, skłonny do przechwałek, ale delikatnej kondycji, który jeszcze dochodził do siebie po burzliwej podróży na pokładzie „Kuby”. Gazonnik George w każdym teatrze dopasowywał oświetlenie gazowe do szczególnych wymagań Dickensa. Nie dało się z nim rozmawiać, bo wszędzie na widok systemu lamp — jak te w połyskującym,

marmurowym holu Parker House — przystawał i mamrotał pod nosem długą listę potencjalnych usprawnień.

Dwudziestoletni Tom był najmłodszy z całej grupy. Jego ojciec, który wyemigrował do Anglii z Irlandii, przez dziesięć lat pracował jako woźnica u Dolby'ego w mieście Ross. Kopnięty przez konia, Branagan senior zmarł, a Dolby w przypiływie współczucia zgodził się zatrudnić Toma, gdyż na barki młodzieńca spadł ciężar utrzymania starzejącej się matki i dwóch niezamężnych siostr.

Młodzieniec był dobrze zbudowany, opanowany i rezolutny — cechy odpowiednie dla dobrego pomocnika. Nie wyznaczono mu stałego, określonego zajęcia, jak dogłądanie ubiorów Dickensa, oświetlenia czy zysków. Gwizd, pstryknięcie, tupnięcie nogą — tak sygnalizowano mu, by zrobił to, co akurat było do zrobienia. Nie wszyscy pochwalali decyzję zabrania Toma do Ameryki.

Każdy z zaufanych doradców w Anglii, z którymi się konsultowano przy planowaniu podróży pisarza, miał inne zdanie na temat tego, co może się w Ameryce nie udać. Sam Charles Dickens najbardziej niepokoił się bractwem fenian, radykalnych Irlandczyków rozsianych po Stanach Zjednoczonych, licznych zwłaszcza w Bostonie i w Nowym Jorku, którzy marzyli o doprowadzeniu Anglii do upadku. Z radością wykorzystaliby okazję zaatakowania Anglika zwracającego na siebie tak wielką uwagę na amerykańskiej ziemi. Z kolei George'owi Dolby'emu sen z oczu spędzali amerykańscy spekulanci, którzy zaburzali proces sprzedaży biletów, skupując nadmierną ich liczbę. John Forster, który uważał się za najbliższego przyjaciela Dickensa i najbardziej bezinteresownego doradcę... Cóż, pan Forster się martwił. Martwił się, że obecność Dickensa może wzniesić antyangielskie zamieszki, podobne tym, jakie wybuchły w Nowym Jorku przeciwko szekspirowskiemu aktorowi Williamowi Macready'emu. Forster uważał także, najogólniej rzecz

ujmując, że nie przystoi człowiekowi tak wybitnemu jak Dickens — a w oczach Johna Forstera nikt nie mógł się z nim równać — być postrzeganym jako ktoś, komu chodzi wyłącznie o zrobienie dobrego interesu.

Dickens bynajmniej nie unikał tego aspektu.

— Mam tak olbrzymie wydatki — mawiał — że czuję się, jakby Ameryka przyciągała mnie niczym magnes, podobnie jak Darneya w *Opowieści o dwóch miastach* pociągał Paryż. Ameryka to raj dla poszukiwaczy złota.

Forster zmarszczył czoło i już go nie wygładził. Jakiż to zysk można osiągnąć w Ameryce, w krainie biedaków i złodziei? A jeśli nawet są tam jakieś pieniądze, Irlandczycy znajdą sposób na zarobowanie ich z amerykańskich banków. Gdyby nawet którejś z tych instytucji jakimś sposobem udało się zachować swój kapitał, z pewnością zbankrutuje, jak wszystkie amerykańskie banki!

— Dickens nie powinien jechać do Ameryki! — Forster niemal wrzasnął. — Jestem absolutnie przeciwny temu pomysłowi, zagrażającemu niedopuszczalną utratą godności, i nie chcę więcej o tym słyszeć. To nie do przyjęcia!

Gdy Forsterowi powiedziano o pracownikach mających towarzyszyć pisarzowi w podróży, jeszcze bardziej oburzyła go wiadomość, że jest wśród nich Irlandczyk. A jeśli ten pozornie niegroźny Patryczek należy do fenian i potajemnie planuje atak? Ani Dickens, ani Dolby nie potrafili całkowicie rozwiać obaw Forstera wobec Branagana, ale udało im się przekonać go, że Tom bardziej wygląda na prostego bagażowego niż na rewolucjonistę.

Tom ze swojej strony poczynił interesującą obserwację: to członkowie społeczności uwielbiającej Dickensa stwarzają największej kłopotów. Pomagał w utrzymaniu gapiów na dystans, gdy

Dickens przybył do Parker House; nie był zaskoczony samą ich obecnością, lecz natarczywością. Jakaś młoda kobieta wyszarpała strzęp frędzli z ciepłego, szaro-czarnego szala mistrza; pewien mężczyzna, podekscytowany możliwością dotknięcia pisarza, nie przepuścił okazji wydarcia kłęбка futra z jego płaszcza. Z kolei jakaś dama energicznie podskakiwała, wymachując rękopisem, o którego przeczytanie błagała Dickensa. Tom przypatrywał się ich twarzom. Czyżby każdy z tych ludzi sądził, że pisarz odwróci się i pójdzie z nim, ramię w ramię, do domu?

Tom wiedział jedno. Nigdy dotąd nie spotkał mężczyzny, któremu kobiety proponowałyby swoje miejsce w publicznym środku transportu lub w poczekalni — dopóki nie poznał Charlesa Dickensa.

Następnego ranka po przybyciu Dickensa do Parker House na drugim piętrze, na którym pisarz i jego personel mieli pokoje, doszło do jakiegoś zamieszania. Początkowo Tom zauważył jedynie, że Henry, jego współlokator, przyciska głowę do ściany i płacze.

— Wszystko w porządku, panie Scott? — zapytał zaniepokojony.

Henry spojrzał na Toma, rad, że ma świadka. Zrezygnował ze swej zwykłej powściągliwości i opadł na pokryty pluszem fotel.

— Zajmują się bagażem? Rujnują bagaż!

Kufry z przyodziewkiem Dickensa przybyły z „Kuby” do hotelu poobijane i powgniatane. Tom usiadł na dywanie i pomógł garderobianemu uporządkować ubrania.

— Dziękuję, Tomie Branagan — powiedział ten, zażenowany. — To przechodzi wytrzymałość człowieka, gdy w ten sposób traktuje się jego pracę. Co za straszny kraj!

Gdy tylko obaj mężczyźni jako tako uporządkowali odzież pisarza, po drugiej stronie korytarza znów wybuchła wrzawa.



George Dolby ryczał i wrzeszczał. Stał z Dickensem i pozostałymi na korytarzu hotelowym, podsuwając zebranym egzemplarz „Harper's Weekly”. Tom zapytał, czy wszystko w porządku.

— Zobacz sam, Branagan — powiedział Dolby, przesadnie akcentując nazwisko, co zazwyczaj sugerowało pewną dozę krytyki. — W porządku? Oczywiście, że nie!

W czasopiśmie zamieszczono karykaturę ukazującą w groteskowy sposób Dickensa i Dolby'ego barykadujących drzwi pokoju z tabliczką „Parker House” przeciwko hordom Amerykanów cisnących się po drugiej stronie. Tchórzliwy Dickens wołał: „Nie ma nas w domu!”.

— Nie sądzę, by artysta na własne oczy widział tę scenę — orzekł Tom po chwili zastanowienia. — Rysunek ukazuje pana Dickensa chowającego się w swym pokoju przed gapiami, a przecież tak nie było.

— Oczywiście, że się nie chował! — oburzył się Dolby.

Dickens pogładził siwiejący kosmyk brody i wypychając policzek językiem, jak zwykle, gdy czuł się nieswojo, uniósł znużony wzrok znad satyrycznego artykułu.

— Naprawdę? Czyżbym nie przybył tu, by właśnie tak postąpić: kryć się, a potem wyśliznąć się z mej norki na tyle, by osiągnąć zyski? — Powieściopisarz westchnął i przeszedł przez pokój, utykając na prawą nogę, niesprawną z powodu dawnej rany, która odnowiła się w czasie morskiej podróży.

Tamtej nocy Tom obudził się tuż przed świtem. Jego oczy tańczyły w ciemnościach hotelowego pokoju i zatrzymały się na zegarze nad kominkiem.

— Słyszał pan? — rzucił szeptem w drugą stronę pokoju, do Henry'ego.

Ten poruszył się na łóżku.

— Jakiś dźwięk — wyjaśnił Tom. — Słyszał pan ten odgłos?

Henry leżał z twarzą w poduszce.

— Śpij, Tomie Branagan.

Tom miał w Parker House kłopoty ze snem — jakby luksus przybytku wyprowadzał go z równowagi. Nie był pewien, czy rzeczywiście coś słyszał — a w każdym razie czy był to dźwięk różniący się od tych dochodzących zazwyczaj z ruchliwych bostońskich ulic — ale ucieszył się, że może jakoś usprawiedliwić swą bezsenność. Tykanie zegara w końcu zerwało go z łóżka.

Wziął świeczkę i wyszedł na korytarz, zarzuciwszy żeglarski płaszcz na długą flanelową koszulę. Mijając apartament Dickensa, zauważył, że drzwi do sypialni pisarza są otwarte.

Zupełnie jakby otwarto je kopniakiem. Wewnętrzna zasuwka była zerwana.

— Panie Dickens? — zapukał.

Wszedł do środka. Przez głowę przebiegła mu dziwna myśl: byłoby czymś niewłaściwym, gdyby ktokolwiek zobaczył Charlesa Dickensa śpiącego. Ale łóżko było w nieładzie. I było puste. Pisarz zniknął.

Tom przebiegł przez salonik, szukając śladów walki, i uderzył pięścią w drzwi prowadzące do pomieszczeń Dolby'ego. Gdy wszedł, ten już zaciągał poły szlafroka.

— Co jest, Branagan? Obudzisz Wodza!

— Panie Dolby — powiedział Tom z przejęciem. — Pan Dickens zniknął.

— Co takiego? Na Boga! — menadżer zaczął się jękać, z trudem udało mu się polecić wezwanie „p—p—o—pol—licji!”.

I w tym momencie pisarz wpadł do środka.

— Co tu się dzieje? — zapytał wystraszony. Wszedł od strony tylnych schodów połączonych z prywatnym wejściem do jego pokoju.

— Wodzu! — wykrzyknął Dolby, popędził do pisarza i uścił go. — Dziękuję Bogu! Czy wszystko w porządku?

— Oczywiście, mój drogi Dolby. — Dickens wyjaśnił, że myśli o okropnej karykaturze w „Harper's Weekly” i przeszywający ból stopy zakłóciły mu sen, więc postanowił zaczerpnąć powietrza na dworze.

Dolby, z namaszczeniem zawiązując pas u szlafroka, odwrócił się do swego pomocnika.

— Widzisz, Branagan, wszystko tu jest w największym porządku. Wódz zeszedł kuchennymi schodami!

— Ale to frontowe drzwi sforsowano, a zasuwka została wyłamana — oznajmił Tom.

Dickens nagle zatroskał się, gdy po obejrzeniu drzwi potwierdziły się rewelacje Branagana.

— Dolby, dzwoń po kogoś z hotelowej obsługi. Albo nie, nie rób tego! Nie chcę, by cały personel usłyszał dzwonek. Ściągnij kogoś dyskretnie.

Dickens pospiesznie podszedł do biurka i sprawdził środkową szufladę. Wyglądało, że odczuł ulgę, gdy okazała się zamknięta na klucz.

— Sądzi pan, że ktoś tu był, panie Branagan? — dopytywał się pisarz.

— Myślę, proszę pana, że to bardzo prawdopodobne. — Po kilku chwilach przeszukiwania pokoju Tom znalazł na łóżku karteluszek.

Dolby wrócił do pokoju.

— Posłałem na dół Kelly'ego. Czegoś brakuje, Wodzu?

Dickens przeglądał swoje rzeczy.

— Niczego ważnego. Poza...

— Poza czym? — zapytał Dolby.

— No cóż, dziwnie mi o tym mówić, może będziecie się śmiać. Ale zauważyłem, Dolby, że z mego łóżka zabrano poduszkę.

— Poduszkę, Wodzu? — zdziwił się menadżer. — Branagan, co tam znalazłeś?

— List, proszę pana. Pismo trudno odczytać.

*Nie znajdzie Pan bardziej oddanego ode mnie czytelnika w żadnym z tych prymitywnych amerykańskich stanów. Z rozkosznym żarem w sercu czekam na chwilę, gdy będę trzymać w dłoniach Pańską kolejną książkę. Pańska następna powieść będzie najlepsza ze wszystkich, wiem to bez wątpienia, gdyż jest Pan...*

Dolby i Dickens z ulgą wybuchli śmiechem, przerywając Tomowi.

— Panie Dickens, panie Dolby, nie uważam tego incydentu za komiczny. Raczej za bardzo niepokojący — przekonywał Irlandczyk.

— Przynajmniej nie był to wojujący renegat z bractwa fenian, panie Branagan! — zauważył Dickens.

— Tylko jakiś nieszkodliwy jegomość wielbiący ziemię, po której stąpa Wódz — stwierdził Dolby. — Ta c y nigdy się nie zniechęcą. Zapomnijmy o tym wydarzeniu — dodał.

Tom nie poddawał się.

— Ktoś sforsował drzwi i dostał się do środka, a potem ukradł coś z pokoju. A gdyby tak zastał pana Dickensa? A jeśli ten nieszkodliwy jegomość powróci, gdy pan Dickens będzie sam?

— Ukradł? Powiedziałeś: „ukradł”? To nic, to tylko poduszka! — przypomniał Dolby, niemal rozbawiony całą sprawą. — Nie zauważyłeś hotelowego baru? Tam można się napić, czego dusza zapagnie. To miejsce zachęca ludzi do podobnych psot.

Henry Scott przyniósł Wodzowi zapasową poduszkę i wygładził pościel na łóżku. Tom zrelacjonował w skrócie całą historię Richardowi Kelly'emu, ale agent od sprzedaży biletów także uznał całe wydarzenie za wyśmienity dowcip.

— A wszystko dla twardej jak kamień poduszki! — zachwycił się. — Ach, ta amerykańska republika!

— Panie Dolby, chciałbym pozostać na zewnątrz i pilnować drzwi pana Dickensa — oznajmił Tom, zwracając się do pracodawcy.

— Absolutnie nie wchodzi to w grę! Powiem ci, co zrobisz, Branagan — Dolby zareagował dostojnym gestem. Jego dłoń powędrowała do koniuszka wąsów, zupełnie jakby pociągał za dzwonek, ale zanim wykonał ruch do końca, przerwano mu.

Odezwał się Dickens:

— Jeśli pan Branagan ma ochotę mocować się z ludzkością poza moim pokojem, ma na to moje błogosławieństwo.

— Dziękuję, sir — odrzekł Tom, kłaniając się pisarzowi.

Zatrzymał sobie ów liścik i stanąwszy na straży przy drzwiach, wsunął go do kieszeni.

### 13.

**P**rzybysze z Anglii wnet uświadomili sobie istotę osobliwości życia w Ameryce — tu liczyło się tylko to, co trudne. W piątek doszło do incydentu w apartamencie Dickensa. W sobotę po południu podjęto decyzję: któryś z pracowników pisarza lub z obsługi Parker House przez cały czas ma stać na straży przed drzwiami Dickensa, a podczas jego codziennych spacerów na świeżym powietrzu ktoś zawsze będzie mu towarzyszył. O obowiązującej procedurze Dolby zawiadomił Toma Branagana w niedzielę przy śniadaniu, przybierając przy tym władczą minę, ale Tom podejrzewał, że to Dickens zarządził zmianę. Pisarz z pozoru lekko traktował kwestię swego bezpieczeństwa, jednak młodzieniec zauważył pewną powagę w jego spojrzeniu.

Któraś dnia Tomowi wydawało się, że wykrył winowajcę. Przylapał szczupłego mężczyznę o ostrych rysach twarzy myszkującego w pobliżu drzwi Dickensa. Człowiek ten okazał się spekulantem z Nowego Jorku, który zamieszkał w pokojach w sąsiedztwie pisarza w nadziei na podsłuchanie informacji o czasie i miejscu następnej sprzedaży biletów.

Gdy Dolby wyjeżdżał w interesach, a pan Fields i pan Osgood byli czymś zajęci, Tom towarzyszył Dickensowi podczas jego długich spacerów.

Wystarczyło, by pisarz na chwilę zatrzymał się przed wystawą sklepu, a już gromadził się wokół niego tłum. Dickens z zadowoleniem przypatrywał się bostońskim księgarzom — wizytę znakomitego

Anglika celebrowano wystawianiem w witrynach jego fotografii, a także całych stosów jego powieści, nierzadko zastępując nimi dzieło zatytułowane *Guardian Angel*, ostatnią powieść doktora Olivera Wendella Holmesa, oraz najnowszą literacką sensację, *Dantego Longfellowa*. Dickens zwalniał kroku także przed przybytkami przedsiębiorczych sklepikarzy handlujących cygarami, którzy eksponowali teraz „Tabakę Pickwicka”, „Cygara Małej Neli” i „Bożonarodzeniową Grę Dickensa (dla Dużych i Małych)”.

— Ileż pomysłowości mają w tym Pępku Świata! Wiesz, to taki amerykańizm — wyjaśnił. — Tutaj słowo „pępek”<sup>\*</sup> oznacza także piastę koła. „Cygara Małej Neli”! Nie zapomnij przekazać tego Forsterowi do mojej biografii.

<sup>\*</sup> Gra słów: w oryginale „hub” (ang.) — centrum, pępek (świata) oraz piasta (koła).

Dickens wręczył Tomowi laskę, a sam podszedł, by przyrzeć się wystawie z bliska. Czekając na niego, Tom omal nie rozciął sobie dłoni na wystającej z rączki sporej śrubie, której nie zauważył.

Gdy Dickens wrócił z zadowoloną miną, zaciągając się małą nell, Tom zapytał, czy nie należałoby usunąć śruby, żeby pisarz przypadkowo się nie skaleczył.

— Na Boga, nie, Branagan! Przecież to najważniejszy, wzmacniający element. Wiesz, czasami zapędzam się aż na moczary — ciągnął, gdy przechodzili przez ulicę. — W tamtej okolicy skazańcy wykonują przymusowe prace. Gdyby któryś uciekł, laski można by użyć jako broni. Chodźmy — rzucił nagle wyniośle, łapiąc Toma za ramię. — Umknijemy przed panem Pumblechookiem<sup>\*\*</sup>, który właśnie idzie ku nam przez ulicę. — Potem, zmienionym już tonem, dodał: — O nie, tą alejką zbliża się pan Micawber, zejdźmy mu z drogi.

<sup>\*</sup> Pan Pumblechook, pan Micawber, Pip, Ralph Nickleby, Dick Swiveller — postacie z powieści Dickensa.

Tom zdążył już do tego przywyknąć. Przygotowując się podczas spacerów do odczytów, Dickens nieraz odgrywał role Pipa, Ralpa Nickleby lub Dicka Swivellera. Czasami po śniadaniu odbywał przechadzkę dla zdrowia wzdłuż Beacon Street, nazywanej także New Land, którą ze swej poprzedniej wizyty w Bostonie zapamiętał jako zięjące pustką bagna. Padające na przemian deszcz i śnieg pokryły chodniki gęstym, mokrym błotem. Pewnego dnia, gdy Dickens i Tom podczas spaceru skręcali za róg ulicy, idąca kilka kroków za nimi kobieta w odświętnej sukni przystanęła, bacznie patrząc, po czym stąpa. Ostrożnie się pochyliła, z płóciennej torby wyjęła kawałek papieru. Przycisnęła nim źwir, po którym chwilę wcześniej stąpali obaj mężczyźni. Gdy papier nasiąknął błotem, podniosła go. Następnie brzytwą przycięła kartkę wzdłuż zarysu buta pisarza. „Odcisk stopy Dickensa. Autentyczny ślad Dickensa”.

Tymczasem mężczyźni przyspieszyli kroku, szukając schronienia przed deszczem i nie zauważyli kobiety ani jej zachwytu, gdy tuliła do siebie beczenny odcisk.

Dzień pierwszego wieczoru autorskiego Dickens i jego personel spędzili na przygotowaniach w Tremont Temple. Pisarz sprawdzał scenę, wypróbowywał najlepsze miejsce do czytania. Henry Scott niczym balerina krążył wokół niego na palcach, stawał na stole wodę, rozkładał książki. George Allison starannie dopasowywał palniki gazowe, by we właściwy sposób oświetlały twarz pisarza.

Dolby wybrał tę salę, wołał ją niż nowsze, takie jak Boston Theater, gdyż tutaj wznosząca się stopniowo podłoga gwarantowała jednakową jakość wszystkich miejsc na widowni. Dickensowi spodobał się ten pomysł. — Ta sama jakość dla każdego z moich



sluchaczy! — stwierdził. Nie znosił myśli, że bogatsi mogliby kupić sobie lepszy widok, i nie zgodził się na podniesienie ceny biletów ponad demokratycznego jednego dolara, nawet gdyby miało to zwiększyć możliwości spekulacji. Tomowi tymczasem nakazano sprawdzić wejścia.

— Czy wszystko w porządku? — upewniał się Dolby.

— Twierdzi pan, że będą tu setki osób, panie Dolby?

— Największa publiczność, jaka zgromadziła się w Bostonie od czasu, gdy z naszych statków wyrzucali do morza ładunki herbaty! — Dolby wydał się poruszony, gdy Tom nie zareagował uśmiechem.

— Będzie to pierwsze wystąpienie pana Dickensa na tej scenie. Jeśli mam być szczerzy, niepokoję się, panie Dolby, by osobnik, który szukał go w hotelu, nie próbował dopaść go tutaj.

— O czym ty mówisz? — zapytał menadżer, energicznie kręcąc głową. — Chodzi ci o tego intruza? O złodzieja wielkiej jankeskiej poduchy?

Tom był zdumiony, że Dolby do tego stopnia wyparł z pamięci tamten incydent.

— To tylko możliwość, proszę pana, a obawiam się, nie wiedząc, jakimi motywami kierował się ów człowiek tamtej nocy, i nawet, jak wygląda...

— Dość już tej szczerości! Skończ z tym! — krzyknął Dolby. Przygryzał wargę, obrzucając bagażowego badawczym spojrzeniem. — Sukces tej podróży jest dla mnie kwestią honoru, mój młody Branaganie, a jednocześnie ma ona sprawiać Wodzowi przyjemność — a nie wzburzyć i zagrozić podważeniem jego geniuszu.

Dickens, sprawdzając akustykę przy rozstawionym na scenie mahoniowym stole, rzucił okiem w kierunku, z którego dochodził podniesiony głos Dolby'ego.

— Wodzu, z tego miejsca twój głos rozchodzi się doskonale! — zawołał menadżer. — Przejdę do innego sektora i stamtąd posłucham. — Potem, odwracając się do Toma, zapytał cicho: — Czy wiedziałeś, że po śmierci mego poprzednika Wódz osobiście ułożył nagrobny napis?

— Nie miałem pojęcia — odrzekł młodzieniec. Czyżby Dolby przypuszczał, że wkrótce sam będzie potrzebował grobowej płyty?

Tom przez chwilę rozważał, czyby nie podejść wprost do podium i nie podzielić się z Wodzem swoimi wątpliwościami. Może Dolby to wyczuł, gdyż wydał mu nowe polecenia.

— Pamiętaj, Branagan, gościa specjalnego należy wprowadzić na miejsce w pierwszej kolejności. Jeśli czegokolwiek nauczysz się od Wodza podczas pobytu w Ameryce, będzie to okazywanie względów innym — oznajmił.

Gościem specjalnym, o którym Dolby wspomniał, była sparaliżowana kobieta, która wcześniej napisała list do Dickensa, informując o swym kalectwie i pytając, czy drzwi Tremont Temple mogłyby zostać dla niej otwarte wcześniej. Pisarz polecił posłać jej darmowe bilety, a Dolby'emu nakazał zająć się zapewnieniem jej wszelkich wygód.

Kaleka dama przybyła, niemal płacząc z podekscytowania, a Tom wniósł ją do środka. Gdy to czynił, dostrzegł setki osób czekających przed budynkiem, na otwarcie drzwi. Gąszcz powozów na ulicach wokół teatru niemal wstrzymał całą handlową działalność Bostonu. Ci, którzy nie mieli biletów, kręcili się w pobliżu wejścia, z niechęcią patrząc na publiczność przepychającą się do środka, gdzie Tom i policjanci kierowali ludzi na miejsca. Nagle z jednego z sektorów rozległ się dźwięk przypominający odgłos eksplozji.

Tom pobiegł tam. Hałas wywołał człowiek, który usiadł na położonym na niewłaściwym miejscu cylindrze sąsiada; cylinder z

trzaskiem pękł, a spłaszczone denko zetknęło się z rondem. Między dwoma błękitnokrwistymi dżentelmenami wywiązał się spór: najpierw wzajemnie obciążali się winą, potem kłócili się o cenę cylindra, wreszcie poszło o kwestię, w jaki sposób dżentelmen — niczym włóczęga paradyjący bez nakrycia głowy — zdoła wynająć dorożkę.

Wreszcie piętnaście po ósmej Dickens wyszedł na podium w ciemnym garniturze wybranym przez Henry'ego, rozjaśnionym biało-czerwonym kwiatem w butonierce. Powitały go okrzyki aplauzu i falujące morze chusteczek, a on kłaniał się na lewo, na prawo i przed siebie. Jedynymi dźwiękami, które mogły uciszyć słuchaczy, były pierwsze słowa pisarza:

— Panie i panowie, dziś wieczorem będę miał zaszczyt i przyjemność przeczytać państwu kilka pozycji wybranych z moich prac...

I tak zaczęło się tournée. Na każdy wieczór autorski Dickens wybierał dwie rozbudowane sceny z dwóch różnych powieści i demonstrował skróconą, dramatyczną wersję obydwóch. Postacie ożywały, gdy obdarzał je ich własnym głosem, sposobem zachowania, duszą; był autorem, postacią, aktorem. Kończąc zdanie, zawieszając głos, sprawiał, że jeszcze bardziej czekano na następne. Nie spowalniał czytania, nie przerywał, by zwrócić uwagę audytorium na jakiś subtelny dowcip czy podtekst, lecz okazywał słuchaczom pełne zaufanie. Przez cały czas Tom nadzorował wejście. Zapamiętał polecenia Dolby'ego, ale nie mógł powstrzymać się od rozmyślań nad tym, jak może wyglądać intruz z hotelu i czy jest gdzieś tutaj wśród morza twarzy.

W pewnym momencie, gdy Dickens wcielał się akurat w uciekającego przez bagna Magwitcha z *Wielkich nadziei*, obserwujący publiczność zebraną w Tremont Temple Branagan usłyszał jakiś dźwięk. Coś jakby niezrozumiały, szybki szept — a raczej odgłos

kocih pazurów drapiących drewno. Próbował zidentyfikować jego źródło, ale dźwięk ów nie dobiegał z jednego miejsca, dochodził ze wszystkich stron. Kilkoro słuchaczy gorączkowo poruszało ołówkami — nigdy nie widział, by ktoś pisał równie szybko.

Gdy następnego dnia przy śniadaniu przekazał swoje spostrzeżenie Dolby'emu, menadżer zaprowadził go do biura wydawnictwa, mieszczącego się trochę dalej przy tej samej ulicy, i kazał prowadzić się do pana Fieldsa.

— Notowali jak szaleni, mówisz pan? — zapytał wydawca z rękami wspartymi na biodrach. — Może to dziennikarze?

Tom wyraził swoje wątpliwości. Przedstawicielom prasy wyznaczono miejsca przy Dolbym, w przednich rzędach, a ci mężczyźni i te kobiety byli rozsiani w rozmaitych sektorach i na galerii dla stojących.

Gdy Tom opowiedział, co zobaczył, do pokoju autorów wszedł Osgood. Słyszając relację bagażowego, pokręcił głową.

— Jak mogliśmy tego nie przewidzieć? Toż to piraci książkowi!

— Proszę nam wyjaśnić, co pan ma na myśli, panie Osgood — zażądał Dolby, siedzący na kanapie obok Toma.

— Jak panowie wiedzą, z myślą o tych seansach autorskich Wódz w perfekcyjny sposób skrócił swoje powieści, by każdą zmieścić w jednej godzinie. Widzi pan, panie Dolby, inni wydawcy niewątpliwie mają nadzieję na dokonanie pirackich „nowych wydań”, by w ten lajdacki sposób drastycznie ograniczyć naszą, autoryzowaną sprzedaż jego książek. Nie wątpię, że Harper jest jednym z nich.

— Ale piraci książkowi, panie Osgood? Któż to taki? — dopytywał się Tom.

Osgood zastanawiał się, jak wytłumaczyć to określenie pomocnikowi Dolby'ego.

— To swego rodzaju literackie złodziejaszki, panie Branagan. Wydawcy zajmujący się pirackimi publikacjami zatrudniają ich do takich zadań, jak czajenie się wokół portu w oczekiwaniu na przybywające z Anglii sygnałne egzemplarze i zdobywanie ich drogą przekupstwa, a nawet kradzieży. Choć mogą się wydać zwykłymi oprychami, z zasady cechuje ich opanowanie i wybitna inteligencja. Mówi się, że wystarczy im rzut oka na jedną stronę całości, by zidentyfikować autora i wartość nieopublikowanego rękopisu.

— To chyba nie aż tak wyjątkowa cecha — zauważył Dolby.

— Rzut oka, panie Dolby — nie zrażał się Osgood — przez dziurkę od klucza z odległości pięćdziesięciu stóp. Podobno każdy z nich zna trzy lub cztery języki krajów, w których wydano najpopularniejszych obecnie autorów.

— Czemu oddają się tak podejrzanej działalności, skoro posiadają podobne talenty? — zdziwił się Dolby.

— Są dobrze opłacani. Poza tym jakakolwiek spekulacja co do ich motywów pozostaje w sferze domysłów. Wiadomo, że jedna z tych złodziejaszek, kobieta zwana Kotką, działała jako szpieg w czasie wojny secesyjnej i za pomocą chorągiewek i świateł przekazywała bardzo obszerne informacje. Ktoś inny z tej nikczemnej bandy podobno nauczył się czytać z warg od głuchoniemego. Kiloro z nich także doskonale posługuje się stenografią, wykorzystując tę metodę do zapisywania podsłuchanych rozmów między wydawcami, za które zapłacą konkurenci. Po cichu mówi się też, że niektórzy z piratów książkowych są odpowiedzialni za napisanie co bardziej ciętych pozycji z dziedziny krytyki literackiej. Założyłbym się, że nasi rywale wysłali do teatru kiloro z nich, by zapisywali wszystko, co Wódz zaimprovizuje. Burmistrz Harper nie cofnie się przed niczym, by nas pokonać, a jego brat Fletcher, którego zwa-

Majorem, doradza mu podejmowanie coraz bardziej krętaskich kroków.

— Zauważyłem, że Wódz, gdy czytał scenę z procesu Pickwicka, stworzył nowe fragmenty. Wspaniale, muszę przyznać — dodał Dolby, kiwając głową. — Zupełnie jakby na naszych oczach pisał nową książkę, którą piraci mają teraz okazję skraść, ot tak, z powietrza, i zbić na niej fortunę! Jak możemy temu zaradzić, panie Osgood?

— Pański pomocnik — powiedział Osgood, wskazując na Toma Branagana — mógłby posłać te wojujące ołówkami wcielenia Johna Paula Jonesa\* wprost do morza.

\* John Paul Jones (1747–1792) — bohater walk morskich podczas amerykańskiej wojny o niepodległość.

— To prawda. Ale niepodobna, by udało nam się powstrzymać ich wszystkich, nawet przy wsparciu tak dzielnego młodzieńca — wtrącił się Fields. — Oni już przechwycili część „nowego” tekstu i umieścili w swoich notesach.

— Mam pomysł — rozległ się nieśmiały głos z tyłu pomieszczenia. To odezwał się patykowaty młodzieniec, pokrywający cementem rysę na ścianie w miejscu, z którego odpadł obraz.

Fields zmarszczył się niecierpliwie, ale Osgood skinieniem dłoni przywołał młodzieńca bliżej.

— Oto mój nowy pomocnik do wszystkiego, panowie. Daniel Sand.

— Jeśli mogę — zaczął Daniel. — Szanowni panowie, dysponujecie wszystkim, czego piratom brak: to znaczy panem Dickensem we własnej osobie. Skrócone przez niego teksty moglibyście publikować na gorąco jako wydanie specjalne.

— Ale my chcemy wydawać już opublikowane prace, mój chłopcze — zaprotestował Fields. — To one przynoszą zyski.

Osgood uśmiechnął się szeroko.

— Panie Fields, sędzę, że Daniel wpadł na dobry pomysł. Możemy sprzedawać obie wersje. Nowe, specjalne wydania, w miękkich okładkach, unikatowe. Jako pamiątki dla uczestników wieczorów autorskich i niedrogie podarunki dla ich rodzin i przyjaciół, którym nie udało się zdobyć biletów i ujrzeć Dickensa. Natomiast standardowo wydawane egzemplarze nadal będą trafiać do prywatnych zbiorów bibliotecznych. Wyśmienity pomysł, Danielu.

Rebeka, która właśnie niosła do pokoju autorów pudełko cygar, przystanęła przy drzwiach i aż zarumieniła się, słysząc, jak Osgood chwali jej brata.

Zadowolony z podjętej decyzji Dolby, wychodząc z biura, kupił u gazeciarza kilka dzienników.

— Osgood to miły gość, Branagan, choć nigdy nie opuszcza go ten jego niemal posępny uśmiech — rzucił. — Nie zauważyłeś? On uśmiecha się tak, jakby nie dowierzał niczemu, co widzi. O Boże! Wolałbym umrzeć! — wykrzyknął, rozłożywszy gazetę.

W artykule zatytułowanym *Dickensiana* opisywano kwiaty sprezentowane pisarzowi przez pewną młodą kobietę w czasie jego drugiego bostońskiego wieczoru autorskiego. „Jak mówią, Dickens nie żyje ze swoją żoną, co dodaje naszej historii pikanterii. Swe wspaniałe przyjęcia wydaje zazwyczaj dla kilku przedstawicieli słabej płci, urzeczonych jego charyzmą i elokwencją. Och, Charles, w twoim wieku, z łysiną i siwą bródką!”

W innej gazecie karykatura ukazywała wyniosłego Dickensa przechadzającego się po ulicach Bostonu oraz biegnącego ku niemu chłopca. Młodzieniec ów niósł dużą literę „H” — tę, której brakowało niemal we wszystkich wypowiedzianych z cockneyowskim

akcentem słowach — i krzyczał: „Halo, spójrz no, panie, co upuściłeś!”.

Nie po raz pierwszy jakaś gazeta wyśmiewała skromne pochodzenie pisarza.

— „W twoim wieku”, wielkie nieba! Będzie się wściekał przez całe trzy dni. Pod groźbą utraty życia, Branagan, nie pozwól, by Wódz to zobaczył! — Dolby zatrzymał się przy następnym napotkanym gazeciarku i wykupił cały jego towar.

Po serii udanych odczytów w Bostonie zespół w komplecie wszedł do ekspresu, w dziewięć godzin pokonującego drogę do Nowego Jorku. Miasto powitało ich obfitymi opadami śniegu. W ciągu kilku dni od ich przybycia ziemię pokryło osiemnaście cali puchu, wzdłuż ulic ciągnęły się białe zasy. Dolby wynajął dla nich sanie, jako że powozami nie dało się już podróżować. Za każdym razem, gdy pisarz opuszczał hotel Westminster, niczym cesarz zasiadał w czerwonych saniach, okryty chroniącą przed zimnem warstwą kozuchów.

W artykule w „New York World”, rozwodzącym się nad cechującą Dickensa potrzebą prywatności, wymieniono numer jego hotelowego pokoju. W tym też tekście wspomniano z dezaprobatą, że ponoć podczas pierwszej kolacji w mieście pisarz ani razu nie użył musztardy. Z kolei „Herald” sugerował, że nowojorskie szumowiny otaczają owego Homera slumsów i zaułków, aby nie mógł się wyknąć niezauważony, czego próbował w Bostonie.

Tom przybył do hotelu z partią spóźnionego bagażu i zastał Dickensa i Dolby'ego na pocieszaniu jakiejś starej kobiety, szlochającej z upokorzenia. Obok stał hotelowy detektyw.

Tom podszedł do Richarda Kelly'ego, agenta od sprzedaży biletów.

— Co się stało? — zapytał szeptem.



Ten wyjaśnił, że ta bliska właścicielowi hotelu wdowa wniosła kwiaty do pokoju Dickensa. Gdy stamtąd wychodziła, na korytarzu pojawiła się inna kobieta i jęła ją okładać pięściami. Po nadejściu Dickensa i hotelowego kelnera, zaalarmowanych krzykami ofiary, napastniczka oddaliła się.

— Tylko wyobraź sobie biedną, drobną, siwowłosą wdowę — jedną z wielbicielek Jego Wysokości — zaatakowaną!

— Czemu ta druga tak się zachowała?

— Bo miała nie po kolei w głowie! — wywnioskował Kelly.

Tom, rozmyślając o zdarzeniu, opuścił agenta i powrócił na korytarz.

— Nie wiem — usłyszał słowa płaczącej kobiety. — Powiedziała, że to straszna bezczelność wchodzić bez eskorty do pokoju Charlesa Dickensa, jakby się było jego żoną. Biła mnie, najpierw płócienną torbą, a potem pięściami. Och, panie Dickens!

Pisarz uspokajał ją:

— Jakże mi przykro. Dziwne, wciąż przytrafia mi się coś, w co nikt na świecie by nie uwierzył.

Na kolejne terminy sprzedaży Dolby obmyślił sposób zwalczania spekulantów. Wcześniej każdy bilet miał zostać opatrzony niepowtarzalnym numerem, by uniemożliwić podróbki — a były takie próby. Przy dziesięciu tysiącach biletów przeznaczonych do sprzedaży w Nowym Jorku, a potem ośmiu w Baltimore i sześciu w Waszyngtonie, wymagało to wielu dni pracy Toma, Richarda, a także Marshalla Wilda, niepozornego amerykańskiego agenta zatrudnionego do pomocy. Odgłosy pieczętowania wciąż budziły Dickensa, więc Dolby przeniósł pracowników na korytarz, gdzie musieli siedzieć na podłodze. Następnie poinstruował ich, żeby pierwszym pięćdziesięciu osobom w kolejce po bilety — niemal zawsze byli to

spekulanci lub ich agenci — sprzedawano bilety na miejsca wyłącznie w tylnych rzędach, tak by spekulanci nie mogli przechwycić tych najlepszych.

Gazety oczywiście wypisywały, jak to Dolby, polując na spekulantów, znęca się nad niewinnymi obywatelami Nowego Jorku, i złośliwie twierdziły, że żaden „Dolby ex machina” nie poradzi sobie z tym problemem. „Chyba najwyższa pora, by ten niemota Dolby — pouczał «Word» — odszedł w ojczysty mrok, z którego się wyłonił!”

Tym razem sprzedaż miała odbyć się w Brooklynie, w przenikliwie chłodny dzień, zimniejszy niż którykolwiek w Bostonie. O godzinie ósmej rano przybyły sanie przetransportowane promem przez rzekę. Dolby wyszedł na ulicę z walizką biletów, za nim Branagan, Kelly i Wild.

— A niech to — Dolby zaklął pod nosem na widok tego, co zobaczył.

Kolejka była długa na trzy czwarte mili. Później, po wydarzeniach, do których doszło, w wiadomościach podano, że liczyła trzy tysiące osób. Na odczyt wybrano kościół Plymouth, jako jedyny budynek wystarczająco przestronny, by pomieścić spodziewaną publiczność. Pulpit trzeba było znieść na dół, by zrobić miejsce na gazowe oświetlenie i ekran.

Personel odpowiedzialny za bilety przeciskał się wśród tłumu zaczepiających go ludzi.

— Wykupimy cię ze wszystkim, Dolby, z saniami włącznie!

— A więc Charles oddał ci sanie, tak, Dolby? Jak on się czuje dziś rano? Pisz dla nas nową książkę?

— Pozwól niemoto, że pomogę ci nieść torbę z biletami! I powiedz Dickensowi, by zabrał ze sobą z powrotem na macierzystą wyspę moją małżonkę, jeśli ma dość swojej!

Pojawili się policjanci i detektywi próbujący powstrzymać tłum. Jakiś funkcjonariusz przedarł się do Dolby'ego i coś mu szepnął.

Ten kiwnął głową i ruszył w stronę kasy, przygotować się na szturm.

W nocy termometr Réaumura wskazywał temperaturę poniżej zera. Mężczyźni leżący na porozkładanych siennikach raczyli się tanią whisky, śpiewali rubaszne piosenki, palili ogniska. Eksponowano kieszonkowe pistolety, by odstraszyć późnialskich liczących na kradzież miejsc.

Policjanci zidentyfikowali dużą liczbę znanych spekulantów nie tylko z Nowego Jorku, ale i z Filadelfii, New Haven i Jersey City. Ich pomagierzy nielegalnie pędzoną whisky wznosili toasty na cześć Dickensa i jedli chleb z mięsem wyjęty z torebek, w które zaopatrzyli ich zleceniodawcy. Wśród tej grupy znalazł się już wcześniej zauważony spekulant, z wyglądu starszawy, ale całkiem energiczny, w stroju George'a Washingtona. Trajkotał, jak to wizytę Charlesa Dickensa należy uznać za najważniejsze wydarzenie w całej historii Ameryki. Zważywszy na to, że słowa te pochodziły z ust George'a Washingtona, była to wyjątkowa pochwała.

— Gdyż do domu nie wrócimy do samego rana, aż do świtu!  
— pieśń rozległa się gdzieś pośrodku kolejki i połączyła cały ten różnobarwny tłum. Ktoś zaproponował toast na cześć dwóch mężczyzn, którzy odcisnęli ślad na cywilizacji dziewiętnastego wieku — za Williama Dickensa i Charlesa Szekspira, i niech ktoś spróbuje temu zaprzeczyć! — ryczał.

Ktoś inny wyszedł z kolejki i bambusową laską stuknął Toma po ramieniu.

— Hej ty! Co to ma znaczyć?

— Nie rozumiem — odrzekł Tom.

— Zamierzasz posadzić mnie obok tych dwóch przeklętych czarnuchów?

Tom spojrział dalej i zauważył stojących z tyłu dwóch młodych mężczyzn o twarzach w lekkim odcieniu brązu.

— Będzie pan siedział, szanowny panie, dokładnie tam, gdzie wskazuje pański bilet.

— Lepiej obiecaj, że mnie przeniesiesz, chłopcze, nie zamierzam siedzieć obok któregoś z tych dwóch!

— Jestem pewien, że pan Dickens nie uznałby podobnej obiekcji — odrzekł spokojnie Tom, napinając mięśnie na wypadek, gdyby musiał siłą powstrzymać awanturника. — Może pan odejść, jeśli pan chce.

Wzburzony i wyglądający na gotowego zacząć zaraz drzeć włosy z głowy człowiek odwrócił się i odszedł, obrzucając epitetami Charlesa Dickensa za otwarte odczyty, a Abrahama Lincolna za uwolnienie czarnych, by mogli brać w nich udział. Dwaj kolejkowicze podziękowali Tomowi, lekko uchylając kapeluszy.

Tymczasem policjanci wygaszali ogniska palące się zbyt blisko drewnianych domów stojących wzdłuż obu stron wąskiej ulicy, czym prowokowali głośne groźby ze strony tłumu. Tom kontynuował przegląd kolejki i nie mógł nadziwić się tej przeogromnej reprezentacji ludzkiego gatunku. Podobnie jak w Bostonie, tak i tu klasy wyższe wysyłały swych pracowników i służących do przypilnowania im miejsc w godzinach nocnych; w rezultacie około dziewiątej rano skład kolejki uległ metamorfozie: w miejsce czapek pojawiły się kapelusze, w miejsce mitenek — rękawiczki z cielęcej skóry i laski.

Tom zwrócił uwagę na kobietę, która badawczo wbijała w niego wzrok. Oczy miała chłodne i jasne, ale przygaszone; stała z boku kolejki, zupełnie jakby dokonywała tego samego rodzaju przeglądu co on. Zamyślona, ogryzkiem ołówka zapisywała coś w notesie, przy czym marszczyła brwi w sposób, który zdawał się stałym wyrazem jej twarzy. Czy to jeszcze jedna stenotypistka przysłana przez pirackich wydawców? Przerzuciła kilka stron, by znaleźć

jakąś niezapisaną. Na jednej widniała plama błota, a raczej błotnisty odcisk stopy.

— Życzy sobie pani zaczekać na bilety, madame? — zapytał Tom, podchodząc i unosząc kapelusz. — Pozwalamy kobietom stanąć w kolejce, ale może woli pani poprosić kogoś, by zrobił to w jej imieniu. — W tym akurat momencie jacyś rozzuchwaleni mężczyźni znów zaczęli śpiewać.

Będziemy śpiewać i tańczyć, uciechy przed nami czas,  
Kochana dziewczeczka twa chętnie całusa da,  
Gdyż do domu nie wróci do rana żaden z nas,  
Radosna godzina ta do świtu niechże trwa...

— Cóż za okropne, wulgarne lotry — kobieta głośno skrytykowała żaloszny chórek. Wyjęła składany nóż z rączką z masy perłowej, by zaostrzyć koniec ołówka. Ostrze było małe, ale — jak zauważył Tom — zdawało się niezwykle ostre. — Tacy to w żaden sposób nie zdołają docenić Charlesa Dickensa. Słyszałam kilku z tych gburów i głupców przytaczających niektóre fragmenty — całkiem niewłaściwie. Jeden utrzymywał, że cytuje *Nicholasa Nickleby*, a były to ewidentnie słowa z *Olivera Twista!* „Niespodzianki, tak jak nieszczęścia, zwykle chodzą parami”.

Tom przypatrywał się kobiecie i jej postać wydała mu się znajoma.

— Czy była już pani na jakimś wieczorze pana Dickensa? — zapytał.

— Czy byłam? Podejdź no bliżej. Jak się nazywasz, drogi chłopcze?

Tom po chwili wahania nachylił się ku kobiecie i podał jej swoje imię. Miała męski sposób bycia, lecz ładne rysy twarzy, które jednak przysłaniał kapelusz o szerokim rondzie, ozdobiony piórami

— ostatni krzyk mody. Jej wiek Tom określiliby na okolice czterdziestki, jednak odznaczała się pewnością siebie szesnastoletniej pięknotki lub siedemdziesięcioletniej matrony.

— No pewnie, że słuchałam, gdy czytał! — oznajmiła nagle, jeszcze głośniejszym głosem. — Trzeba ci wiedzieć, że adaptuje te fragmenty pod kątem moich potrzeb! — urwała, zaciskając wargi. — Zmienia tekst powieści w trakcie czytania, specjalnie dla mnie dokonuje różnych szaleńczych transformacji. On, Dickens — dodała, zdając się sprawdzać, jak długo Tom zachowa milczenie. — Pewnie uważasz mnie za dziwaczkę.

— Ależ, proszę pani!

— Nie myślę się! — krzyknęła. — Mówisz sobie: oto jedna z tych okropnych, wulgarnych Amerykanek. Cóż, to prawda. Nie jestem grzeczną dziewczynką. Tak naprawdę jestem inkubem. No i po części, musisz wiedzieć, także Angielką. Ale ty — ty pochodzisz z krainy kartofli, czyż nie? Nieustannie rozmyślasz o krzywdach i utrapieniach, a w twych żyłach płynie maślanka. — Nagle podskoczyła, jakby wystraszył ją huk pioruna. Wyjęła z płóciennej torby zegarek. — Jestem mocno spóźniona! W czasie gdy rozmawialiśmy, uciekły mi dwa spotkania. Do widzenia, au revoir.

Tom ruszył dalej i nagle uświadomił sobie, co go w niej uderzyło. Nie kobieta sama w sobie, choć widział ją już wcześniej w tłumie zawsze oblegającym Dickensa. Uwagę Toma przyciągnął jej notes: kartki papieru były tego samego brzoskwińowego koloru, a ich rozmiar — tego Tom był pewien — dokładnie taki sam, jak list pozostawiony w hotelowym pokoju Dickensa, który sobie zachował. Wyjął go z kieszeni płaszcza. Piszący podawał się za najbardziej oddanego czytelnika Dickensa we wszystkich prymitywnych amerykańskich stanach, formułując tę deklarację słowami podobnymi do użytych przez tę kobietę. Tom odwrócił się i

ujrzał, że ta oddała się od kolejki.

— Proszę pani! — zawołał, ale ona ruszyła szybciej. — Proszę zaczekać, proszę pani!

Wtedy usłyszał, że z oddali ktoś woła go po imieniu. Próbował zignorować wezwanie — jeśli ta kobieta jest tym, za kogo ją uważa, to może otwiera się przed nim szansa wyjaśnienia wątpliwości w sprawie incydentu w hotelu. Ruszył przez tłum, nie spuszczać z oczu piór jej kapelusza, kołyszących się nad morzem ludzkich głów.

— Branagan! — zawołał ktoś ponownie, głośniejszym głosem, i już nie dało się tego zignorować. — B-B-Branagan!

Tom obejrzał się przez ramię i stwierdził, że stosunkowo niewielkie poruszenie w kolejce zmieniło się w burdę. Walczący okładali się wzajemnie kijami wyciągniętymi z ogniska, deptali po tych, którzy padli na ziemię. W samym środku zamieszania znalazła się grupa brooklyńskiej policji i spekulantów. Policjanci wywijali pałkami, odpierając ciosy wymierzone w nich kijami. Pan George Washington potykał się, z nosa ciekła mu krew, z ucha zwisały oberwane kosmyki białej peruki. W miarę jak walka zataczała coraz szersze kręgi, kilku przedsiębiorczych poszukiwaczy biletów o zakrwawionych twarzach, ciągnąc za sobą materace, ruszyło ku początkowi kolejki, by zająć lepsze miejsca.

Tom skoczył w sam środek walki, blokując jednego z napastników i uwalniając policjanta. Jakiś mężczyzna, wyjąc dziko, płonąjącym kijem zamachnął się na głowę Toma. Ten złapał kostur w połowie, złamał go i pchnął napastnika w zaspę śnieżną. W tym momencie wzmocnione siły policji natarły z wyciągniętymi pałkami, przeganiając awanturników. Wielu zależało tylko na zachowaniu swych miejsc i kurczowo trzymali się żelaznego ogrodzenia kościoła, jakby od tego zależało ich życie. Ku swemu zdumieniu Tom

zauważył, że kilku detektywów po cywilnemu, zamiast pomagać, wykorzystało sytuację, by wcisnąć się na lepsze miejsca w kolejce.

Spekulant George Washington, gdy policjanci odciągali go na bok, trzymając za pasek, wrzeszczał z wściekłością:

— Z powodu nędznych literackich pamfletów oddaje się honory cudzoziemcowi z londyńskich przedmieść, jakich nigdy nie okazano naszym narodowym bohaterom, choćby takim demokratom jak Washington! Literacka wojna między Starym a Nowym Światem rozpoczęła się!

— Branagan, wszystko u ciebie w po-po-rządku? — Dolby podszedł do Toma zadyszany, otwierając szeroko oczy na widok powalonych wokół swego pomocnika ludzi. Spojrzał na niego z respektem.

Tom przyglądał się swojej dłoni, poparzonej płonącym kijem, która wymagała natychmiastowego opatrzenia.

— Co się stało? — zapytał Dolby'ego.

— Katastrofa! — krzyknął tamten. Jąkając się ze strachu, wyjaśnił, że rozpoczęli sprzedaż biletów, wprowadzając nową zasadę skierowaną przeciwko spekulantom. Gdy zorientowano się, że pierwsi w kolejce otrzymają miejsca w tylnych rzędach, rozgorączkowani spekulanci zaprotestowali i hałaśliwie przeklinali, a ci bardziej opanowani starali się przekupywać stojących za sobą, by zamienili się z nimi miejscami. Zwykli kolejkowicze, niezainteresowani spekulacją, także się burzyli. Te rozmaite incydenty przerozdiły się w zamieszki i objęły całą kolejkę.

— Gdzie byłś Branagan? — zapytał Dolby oskarżycielskim tonem. — Oni chcieli rozerwać mnie na strz-trz-ę-ępy!

Tom obejrzał się, lecz wiedział, że kobieta z notesem dawno znikła. Nie było sensu jeszcze bardziej złościć pracodawcy.

— Przepraszam, panie Dolby, sprawdzałem ogniska.

— Miałeś być pod ręką.



— Przepraszam, sir.

Dolby wygładził ubranie i krawat, daremnie próbując usunąć ślady nieładu.

— Dobrze, zabierajmy się do roboty. Z tego tłumu da się wyciągnąć co najmniej dwa tysiące dolarów, jeśli mają choć po jednym! Czyż to nie po amerykańsku?

Po kilku odczytach w Nowym Jorku zgodnie z przyjętym programem Dickens, Dolby i cały personel mieli powrócić do Bostonu. Ponieważ opady śniegu uniemożliwiały podróż koleją, czekali aż do soboty w Nowym Jorku, gdzie musieli znosić artykuły, w których potępiano w czambuł to, co wydarzyło się przy sprzedaży biletów w Brooklynie, i obwiniano zatrudnionego przez Dickensa „porywczego Irlandczyka” o sprowokowanie tej niemalże rewolucji. Opinię tę potwierdził wiarygodny świadek, „ubrany w perukę, trzewiki ze sprzączkami i «trójkę»” ów kreuający się na George'a Washingtona spekulant, domagający się od policji natychmiastowego aresztowania Toma. Tymczasem wciąż nasilające się dolegliwości Dickensa sięgnęły apogeum — „przeziębienia angielskie to nic w porównaniu z tymi, których można nabawić się w tym kraju”, twierdził ponuro, a Dolby w duchu obawiał się, że to coś gorszego, może grypa. Kolejna długa podróż koleją mogła mu tylko zaszkodzić. Natychmiast po zajęciu miejsc w przedziale Dickens dał znak Henry'emu Scottowi, by z podręcznego bagażu wyjął termos.

A ten, jak zawsze przed jazdą koleją, modlił się o zdrowie Dickensa.

— Czy coś nie w porządku? — zapytał Tom, gdy po raz pierwszy zauważył tę demonstrację.

— Staplehurst! — odrzekł tamten ponuro.

— Staplehurst?

— Tak, tylko to. Gdyby nie Staplehurst, nie dziewiąty czerwca, Wódz pewnie nie byłby takim smutnym człowiekiem.

— Mnie niezmiennie wydaje się raczej wesoły — zauważył Tom — choć nazywasz go pan smutnym.

— Nie czytasz gazet, człowieku? Czy ty w ogóle n i c nie wiesz, Tomie Branagan?

I Henry opowiedział, jak to mniej więcej dwa lata wcześniej, 9 czerwca 1865 roku, Dickens omal nie zginął w strasznej katastrofie kolejowej w pobliżu wsi Staplehurst w hrabstwie Kent. Z powodu prac remontowych zdjęto tory biegnące mostem, nie powiadamiając o tym maszynistów nadjeżdżających pociągów. Dickens i jego towarzystwo jechali „promową koleją” z Francji i wagony, znalazłszy się w części pozbawionej torów, przechyliły się przez barierę mostu.

Dickens wyciągnął Nelly Ternan i jej matkę ze zwisającego wagonu pierwszej klasy, którym podróżowały. Po czym sam opuścił się w przepaść, skąd uratował tak wiele ofiar, jak tylko zdołał. Pomimo jego odważnych wysiłków tego dnia zmarło dziesięć osób, a on patrzył na to bezradnie. Dwukrotnie w ciągu owego straszliwego dnia wszedł ponownie do zwisającego wagonu. Najpierw, by wydostać brandy dla cierpiących tam, na dole. Potem uświadomił sobie, że mimo grożącego niebezpieczeństwa musi dostać się do wagonu raz jeszcze. W płaszczu pozostawił nowy odcinek pisanej właśnie powieści *Nasz wspólny przyjaciel* — kartki wybrudziły się, ale bardziej nie ucierpiały. Od tamtej pory ilekroć pisarz stawał nogę w pociągu, na pokładzie parowca, a nawet w dorożce, nie mógł powstrzymać się od rozpamiętywania, że to może być nasza ostatnia ziemską podróż. W takich chwilach brandy pomagała mu uspokoić nerwy.

— Staplehurst — powtórzył Henry i zakończył opowieść cichą modlitwą. — Amen — szepnął.

— Amen — powtórzył Tom.

Piec ogrzewał przedział, w którym spędzili podróż do Bostonu, ale nie można powiedzieć, by pomieszczenie stało się przez to bardziej wygodne lub mniej dokuczliwe, biorąc pod uwagę liczbę pasażerów i gwałtowne szarpnięcia wagonu. Dziewięciogodzinna jazdę ekspresu znacznie spowalniały rzeki w Stonington i New London, jedna i druga na obszarze Connecticut. W obu tych miejscach pociąg wjeżdżał na prom przewożący go przez rzekę, a pasażerom wolno było pozostać w wagonie lub zwiedzić pływającą jednostkę i zjeść coś w restauracji. Podczas przepraw Dickens pozostawał w przedziale; nawet gdy płynący w pobliżu amerykański okręt wojenny wciągnął brytyjską flagę i na cześć pisarza zabrzmiało „Boże, chroń królową”. Pisarz tylko przyglądał się temu przez okno.

Podczas tej podróży, bez większego zainteresowania grając w karty z Tomem i Henrym, zdawał się wyjątkowo przygaszony.

— Pamiętam — rzucił jakby przed siebie, nagle ożywiony — to była moja pierwsza wizyta w Ameryce, gdy — o tak, to zdarzyło się wtedy! — po raz pierwszy praktykowałem mesmeryzm! Dziwne, ale kolej zdaje się tkwić w miejscu, podczas gdy większość rzeczy w tym kraju zmieniła się na lepsze. Koleje były wtedy okropne i takimi pozostały.

— Mesmeryzm, Wodzu? — zapytał Tom. — Zajmował się pan tym osobiście?

— Ach, Branagan, spirytualizm to tylko błaga, ale niewidzialne więzy między człowiekiem a człowiekiem są równie rzeczywiste i równie niebezpieczne, jak ten oto pociąg ustawiony na chwiejnej łodzi.

Dickens opisał, jak wykorzystał lekcje pobierane u słynnego angielskiego spirytualisty, Johna Elliotsona, by zahipnotyzować żonę, gdy przebywali w Pittsburghu w roku 1842:

— Przyznaję, trochę się wystraszyłem, gdy Catherine na sześć minut zapadła w magnetyczny sen, jednak na tyle byłem podniekcytowany sukcesem, że powtórzyłem to doświadczenie następnego wieczoru. Po powrocie do Anglii próbowałem tego z Georgy — ciotką moich dzieci, moją szwagierką i najlepszą, najprawdziwszą przyjaciółką. Georgy, ta słodka istota, podczas owej próby stała się niemal agresywna — Dickens roześmiał się radośnie na to wspomnienie, ale zaraz znowu zamilkł i zmarkotniał, może na namyśl o Catherine. Nigdy nie mówił o niej, o matce ośmiorga dzieci, tak jak nigdy nie potrafił otwarcie mówić o Nelly Ternan i z pewnością nie zniósłby, gdyby ktoś inny mówił o którejś z nich.

— No tak, może pan Scott słyszał już wcześniej tę historię — zakończył. — Co byś powiedział, Branagan, gdybym chciał na tobie wypróbować swój hipnotyczny talent?

— Na mnie? — zdziwił się Tom.

— Ale będzie zabawa, Wodzu! — zawołał Henry.

— Dajże spokój — odrzekł Dickens rzeczowo. — Już wcześniej hipnotyzowałem niedowiarków. Jestem absolutnie przekonany, że potrafiłbym uspić patelnię! Po przebudzeniu nie będziesz niczego pamiętał.

Tom westchnął i zgodził się, a Dickens przesunął mu dłonią przed oczyma, aż się zamknęły, po czym kciukiem jął wykonywać ruchy w poprzek jego twarzy. Nagle przestał i z dziwnym błyskiem w oku wpatrywał się w oblicze młodzieńca. Wagon kołysał się z boku na bok.

— Wodzu? — zapytał Henry.

Tom otworzył oczy i dostrzegł rozszerzone nozdrza pisarza, jego niespokojny wzrok. Dickens już nie próbował go hipnotyzować. Szarpnięcia pociągu odciągnęły jego myśli w innym kierunku.

— Zdaje się, że to nie pora, Branagan, aby... — Dickens pobladł, zacisnął dłonie na poręczach fotela. Przy każdym wstrząsie pociągu na jego czoło występowały krople potu, wargi mu drżały, jakby to jego zaczarowano. Ten stan wzburzenia trwał kilka minut, zanim pisarz znów stał się sobą i pociągnął długi łyk z termosu. Cała trójka zarzuciła pomysł z hipnotyzowaniem i ponownie zajęła się grą w karty od miejsca, w którym ją przerwali. Tom czuł się zakłopotany.

Gdy już wysiedli na docelowej stacji, Henry Scott szepnął mu do ucha jedyne swoje wytłumaczenie:

— Widzisz? Staplehurst!

Był to najgoręcej wyczekiwany wieczór autorski z całego objazdu. W Wigilię Bożego Narodzenia w bostońskim Tremont Temple Dickens miał przeczytać *Opowieść wigilijną*. Na ten seans w niepełna dwie godziny sprzedali bilety za ponad trzy tysiące dolarów.

— To jest tak — puszył się Dolby, przeliczając w Parker House zyski ze sprzedaży — jakby Wódz swoją *Opowieścią wigilijną* stworzył Boże Narodzenie.

Tom nie powiedział Dolby'emu o swoich przypuszczeniach na temat intruza hotelowego. Nie przyznał się, że w Brooklynie stał twarzą w twarz z winowajcą, że była to kobieta i że z nią rozmawiał. I niemal z pewnością to ta sama, która na korytarzu hotelu Westminster dokonała owego dziwnego ataku na nieszczęsną wdowę. Co więcej, przypomniał sobie, gdzie widział ją wcześniej: w noc przybycia Dickensa do Ameryki wśród tłumu zbitego przed Parker House wymachiwała jakimiś kartkami i domagała się, by pisarz je przeczytał. Zdawał sobie sprawę z braku dowodów, jakimi mógłby przekonywać Dolby'ego, i wyobrażał sobie jego reakcję: „Według ciebie dama, którą widziałeś zaledwie raz w życiu, jechała za nami

cały szmat drogi z Bostonu do Nowego Jorku i z powrotem, a przekonanie to opierasz wyłącznie na jej notesie?”. Bo czy żadna inna kobieta nie mogła interesować się odczytami Dickensa, trzymać w ręce notesu podobnego rozmiaru? Czy nie mogło być stu ludzi ze stoma notesami?

W noc przybycia Dickensa do Parker House kobieta ta była ubrana jak Cyganka, z kolorową chustką wokół szyi i w nazbyt obcisłym, niebieskim żakietku. W Brooklynie miała na sobie elegancką jedwabną suknię, szarfę i szal, jak arystokratka. Ale najbardziej utkwiło Tomowi w głowie to, jak określiła samą siebie: inkub. Gdy był mały, słyszał o nich bajki od dzieci innych służących w podziemnej kuchni majątku Dolbych — inkuby i sukuby, demony nawiedzające i dręczące niczego niepodważających śmiertelników. Ale to sukuby były żeńskiego rodzaju, a inkuby męskiego. Co ona miała na myśli?

Wielu spekulantów i reporterów z oczywistych przyczyn jeździło za nimi z miasta do miasta, jednak motywy tej kobiety stanowiły niewiadomą, i to właśnie zaczęło nękać Toma i zaprzętać jego myśli. Miał przed oczami ten obraz: kolejka po bilety, ludzie, którzy nade wszystko pragnęli ujrzeć Dickensa, i stojąca obok kobieta, obrzucająca zawistnym spojrzeniem osobników niegodnych, jej zdaniem, patrzenia na Mistrza. Było w niej coś oślepiającego, urzekającego, niepożądanego.

Po powrocie całego towarzystwa do Bostonu wydarzyły się dwa drobne wypadki. Najpierw Wódz nie mógł znaleźć swego dzienniczka. Pracownicy szukali wszędzie i nie znaleźli. Dickens, jak twierdził, po raz ostatni widział go w Nowym Jorku, w swym pokoju hotelowym. Upierał się, że sprawa jest bez znaczenia, bo notes dotyczył roku 1867, który właśnie dobiegał końca. Pisarz palił dzienniczki pod koniec każdego roku, a więc kłopot został mu oszczędzony.

Czy mogła go zabrać ona? — zastanawiał się Tom. Czy po to właśnie kręciła się po korytarzach w Westminsterze?

Drugi wypadek dotyczył George'a Altisona. W ciągu kilku dni dwukrotnie się pochorował. Lekarz w Parker House odkrył, że w obu wypadkach pacjent jadł wcześniej jakąś trefną kuropatwę; ptaki te zimą, gdy zwykłą karmę pokrywał śnieg, często zatrzymywały się jagodami. Zatrudniony w zastępstwie gazownik, nerwowo bostończyk, spędził popołudnie 24 grudnia razem ze stałym personelem, przygotowując teatr na wieczór. Otrzymał od George'a obszernie instrukcje, zupełnie jakby ten przekazywał swoją ostatnią wolę. Nowo przybyły tak bardzo palił się, by zadowolić Dickensa, że biegając po schodach teatru, skrzył sobie nogę.

Wtedy potwierdziło się, że gdy ma do czynienia z nagłym przypadkiem, Charles Dickens robi się ożywiony i pełen zapału. Razem z Tomem odprowadził rannego do farmaceuty, gdzie zamówił specjalny górski tytoń.

— Ależ panie Dickens, pan sam jest niczym lekarz! — zawołał zadowolony gazownik ze lśniącymi policzkami, rozanielony, że miał szczęście skrzyć nogę w takim towarzystwie.

— Gdy podróżuje się tak jak my, chłopcze, z tak dużą liczbą osób, nie ma się wielkiego wyboru. A powinieneś zobaczyć różnorodność niebieskich i białych ampułek i płynów w mojej apteczce. Laudanum, eter, sole trzeźwiące, proszki Dovera, pastylki doktora Brintona. Zaufaj swemu Wodzowi. Żyjemy wśród cudów. To cię wyleczy, ciało i duszę.

Tego wieczoru, gdy drzwi otwarły się na wigilijny odczyt, widownia zdawała się wypełniać w jednej chwili. Całe dwa tysiące słuchaczy ruszyło na swoje miejsca z takim zapałem, że pomocnikom i policjantom przy wejściu ledwie udało się nie stracić płaszczy czy kapeluszy; tłum rozdeptywał łańcuchy i czerwone jagody

strząsane z dekoracyjnych świątecznych ostrokrzewów.

— To jest coś! — powiedział jeden z policjantów do Toma, gdy próbowali utrzymać jaki taki porządek. — Czy tak jest na wszystkich jego odczytach, czy to z powodu Bożego Narodzenia?

— Chyba jedno i drugie — odrzekł Tom.

— Jesteś dublińczykiem, prawda?

— W żyłach mojej rodziny płynie irlandzka krew — przyznał Tom — ale ja jestem Anglikiem.

— Po akcencie poznaję, że jesteś dublińczyk. Nie żebym zwracał na to uwagę, skądże znowu. Wiesz, mamy takich prawie czterdziestu w naszej policji. Powiedz no — zapytał, przyglądając się Tomowi uważnie — czy jesteś tym Patryczkiem, który wywołał zamieszki przy sprzedaży biletów na odczyt Dickensa w Brooklynie, a o którym czytałem w gazetach?

— Czytałeś niewłaściwe gazety — odrzekł Tom.

— Bez obrazy, przyjacielu. Tylko sobie rozmawiamy. A moja żona uwielbia waszego Dickensa. Mówię jej: wydaj pieniądze na coś pożytecznego, po co nam w domu jeszcze jedna książka, zajmie miejsce na półce i stanie się żerem dla szczurów. A ta nie słucha, niby że co ja tam wiem, że jedyną książką, jaką czytałem, jest Biblia. To prawda. Ta jest najlepsza. Masz żonę?

Gdy Tom odwrócił się, by odpowiedzieć, a jego wzrok przesunął po przechodzącej w pobliżu grupie osób, ze zdziwienia aż przetaił oczy. Toż to ta sama kobieta, za którą biegł w Nowym Jorku. Kobieta inkub, tym razem znowu ubrana w strój żebraczki.

— Nie wiesz, czy masz żonę, czy nie? — zapytał policjant.

Roześmiał się pod nosem. — Ale jak rozumiem, pan Dickens też nie wie, czy jest żonaty. Moim zdaniem ten człowiek powinien się



wstydzić. Jak czytałem, romansował z siostrą własnej żony. Wstyd!

— Widział pan przechodzącą przed chwilą kobietę? — zapytał Tom.

— Kobietę? — odrzekł policjant. — Właśnie władowało się tu z tysiąc osób!

Miał rację — Tom zgubił ją w szarżującym tłumie. Ale wiedział także, że ona jest w teatrze, a on ma godzinę na odnalezienie jej, zanim drzwi otworzą się na przerwę.

Jął się skradać pomiędzy wznoszącymi się stopniowo rzędami krzesel, tymczasem widzowie jeden przez drugiego przepychali się na miejsca. Ktoś go zatrzymał, chwytając za ramię — Dolby. Menadżer stał z niskim, dobrze ubranym mężczyzną, od góry do dołu lustrującym widownię.

Należało szybko coś wymyślić. Tom nie chciał uciekać się do kłamstwa, wiedział jednak, że Dolby nie przyjmie prawdy, najpewniej natychmiast go zwolni.

— Wejścia pilnują policjanci, panie Dolby. Pomyślałem sobie: sprawdzę, czy nie wdarł się do środka któryś ze znanych piratów, jeden z tych, których widzieliśmy już wcześniej.

Dolby z aprobatą kiwnął głową.

— Dobra robota, Branagan. Pan Osgood mówi, że po Nowym Roku, gdy ukażą się nowe, skrócone wydania, ci rabusie wypadną z gry.

Tom chętnie uwolniłby się od menadżera, ale Dolby ani drgnął. Przeciwnie, jedną ręką ujął ramię Toma, drugą — stojącego obok siebie mężczyzny.

— Czy wiecie, panowie, pan Aldrich jeszcze wczoraj powiedział Osgoodowi i mnie, że do tej pory nie widział takich oczu, jakie ma wielki pan Dickens, powtarzam jego słowa: oczy wielkiego pana Dickensa, gdy jest na scenie, stają się ożywione, przepelnione

miłością, jakby pisarz widział, co czyni Pan i jakie ma intencje. Oczy jak wykrzykniki. I właśnie dlatego, panie Leypoldt — tu Dolby zwrócił się do swego towarzysza — tak ciężko pracujemy. Może pan wyjaśnić to czytelnikom podziwiającym jego wystąpienia. W ostatnich latach dzięki rozwojowi komunikacji czytającej części społeczeństwa dane zostało poznać Dickensa nie tylko jako autora, ale i jako człowieka posiadającego głos, sposób bycia, zmienny wyraz twarzy. Mogli ujrzeć go osobiście, co w historii literatury nigdy dotąd się nie zdarzyło. A my pracujemy po to, by osiągnąć ten cel!

Dolby, dumnie rozpromieniony, ciągnął swój monolog, zwracając się do reportera, ale Tom, który przestał już słuchać, przesuwał wzrokiem rzędy, wypatrując jakiejś wskazówki lokalizującej i zdradzającej zamiary inkuba. Gdy Dolby wreszcie uwolnił jego ramię, światła zamigotały i zaraz zgasły, pozostawiając jedynie srebrzystą plamę poświaty na podium, gdzie na tle jasnego ekranu stanął Dickens, powitany ogłuszającymi okrzykami aplauzu i wybuchającą raz po raz burzą oklasków.

— Panie i panowie — przemówił pisarz. — Dziś wieczorem będę miał przyjemność przeczytać dla państwa jako pierwszych *Opowieść wigilijną*, składającą się z czterech rozdziałów. Rozdział pierwszy, to „Duch Marleya”. Przede wszystkim muszę potwierdzić, że Marley rzeczywiście umarł. To nie ulega wątpliwości. Na świadectwie jego pochówku widnieją podpisy duchownego, urzędnika, grabarza i głównego żałobnika. Podpisał je Scrooge. A Scrooge przehandlowałby swoje nazwisko za wszystko, na czym zapragnąłby położyć łapę! Stary Marley był martwy jak kłoda.

Tom poczuł, że daremne byłoby szukanie czegokolwiek przy zaciemnionej widowni. Szansa pojawi się w chwili, gdy zapalą lampy na przerwę. Jeśli kobieta zamierzała wywołać jakąś awanturę, tak jak z tą wdową w hotelu, będzie czujny. Gotowy. A gdyby próbowała

uciekać, wezwie policjanta przy drzwiach, by ją zatrzymał. Nie ma mowy, by mogła się wymknąć.

Czujnym wzrokiem wypatrzył jakieś poruszenie przy jednym z foteli tuż koło przejścia. Następny przekłety stenotypista — błyskawicznie poruszający się ołówek tańczył w dłoniach zawadiackiego Dziedzica, pirata książkowego. Nie bawiąc się w uprzejmości, Tom wyciągnął rękę, pochwycił ołówek i złamał go na pół. Dziedzic zaprotestował przeciwko bezprawnemu przejściu własności. Tom przeprosił i wrzucił obie połówki do leżącego na podłodze kapelusza mężczyzny. Inny pirat, siedzący naprzeciwko, niegdyś odpłatny zastępca powołanego do wojska, Melasa, przerwał stenografowanie i wsunął ołówek między wyszczerbione zęby, uradowany pechem, jaki przydarzył się rywalowi. Przechodząc obok, Tom klepnął Melasę po plecach. Ołówek złamał się w zębach pirata i wylądował mu na kolanach.

Tymczasem Dickens kontynuował wystąpienie.

Scena: Wigilia Bożego Narodzenia. Dickens jako Scrooge, odgrywając pantomimę, szyderczo wykrzywia się do biednego kancelisty: „Zapewne jutro, w Boże Narodzenie, zechcesz wziąć wolne na cały dzień?”. I już przyjmuje postać prostego skryby, odzywającego się nieśmiało: „Jeśli nie sprawię kłopotu, proszę pana. To tylko raz w roku, sir”.

— Branagan!

— Nędzna wymówka, by każdego dwudziestego piątego grudnia bić człowieka po kieszeni!

— Branagan!

Tom usłyszał znajomy, natarczywy szept i zlokalizował Dolby'ego we frontowej części teatru. Menadżer wyglądał blado, przypominał ducha z opowieści Wodza. Gestykulował i otwierał usta, bezgłośnie wymawiając jakieś niezrozumiałe dla Toma słowa. Branagan podszedł bliżej sceny i zamarł.

Dickensa oświetlał blask bijący z lamp gazowych zamocowanych dwanaście stóp nad sceną na potężnej, żelaznej rampie, podwieszanej na galwanizowanych drutach. Na ciemno-karmazynowy ekran za plecami czytającego padał efektowny cień. Zastępca specjalisty od oświetlenia przez pomyłkę umieścił miedziane druty wprost nad dyszami gazowymi, tak że rozgrzały się do czerwoności. Jeśli płomień je przepali, żelazna rampa spadnie i runie nie tylko na Dickensa, ale może potoczyć się dalej, na słuchaczy.

Gdyby podniesiono alarm, tłum spanikowałby i natychmiast próbował się ewakuować, nie tylko stwarzając zagrożenie, obijając się o sprzęt i tym samym przyspieszając pęknięcie drutu, ale także prac do wyjścia, stratowałby kobiety i dzieci. Nawet gdyby żelazna rampa, spadając, jakimś sposobem ominęła siedzących w najbliższych scenie łóżach, mógł wybuchnąć pożar i strawić całe to miejsce w ciągu kilku minut. Nie ulegało wątpliwości: Dickens musi czytać dalej, jakby wszystko było w porządku.

Tom ponownie spojrzął na Dolby'ego i kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Nowy specjalista od gazowego oświetlenia utykał, nie mogli więc liczyć na jego pomoc. Tom przeszedł ku najdalej wysuniętemu skrzydłu sceny i wyszukał kawałek drutu. Gdy się prostował, na schodach prowadzących na jeden z balkonów wybuchła wrzawa. Tom, spojrzawszy na żelazną rampę, a potem znów na schody, popędził w stronę źródła zamieszania. Czyżby ona zaatakowała Dickensa nożem? Ale nie, z góry schodził, wymachując pięściami, jakiś mężczyzna.

Złapał Toma za rękaw płaszcza, jakby rozpaczliwie potrzebował pomocy.

- Kim u diabła jest ten jegomość czytający na podium?
- To Charles Dickens — odparł Tom.
- Ale chyba nie prawdziwy Charles Dickens, którego książki czytałem przez te wszystkie lata?

— Ależ tak!

— A więc muszę stwierdzić, że on nie wie więcej o panu Scrooge'u niż krowa o koszuli w kratkę, a w każdym razie ja wyobrażałem sobie Scrooge'a zupełnie inaczej.

— Ja go znam! To duch Marleya! — Dickens obgryzał paznokcie, tak jak robił to Scrooge w jego opowieści. Przecierając oczy, patrzył na zjawę. Mięśnie jego twarzy napięły się, zmieniła się w oblicze starca.

Tom pobiegł na drugi koniec sali i ruszył w górę tylnymi schodami, aż dotarł pod samą kopułę sufitu. Przez ciągnące się wokół szklane panele można było podziwiać całe miasto i tereny ciągnące się w kierunku położonych blisko brzegu wysp. Rozmieszczone rzędami w sklepieniu kwadratowe wentylatory bez przerwy wyrzucały na zewnątrz napływające z dołu gorące powietrze. Tom położył się na podłodze i wsunął głowę i ramiona przez gazowe rury, dzielące kopułę od widowni. Widział jak Dolby, z dołu, zachęca go do działania.

— Litości! Przerażliwe zjawisko, czemu mnie nękasz? — pytał Scrooge.

Siedząca w pierwszym rzędzie młoda kobieta o jaskraworudych włosach i ubrana w jaskrawoczerwoną suknię poblądziła wzrokiem ku żelaznej, gazowej konstrukcji i aż się zatchnęła. Dickens na moment przestał czytać, spojrzął na nią i lekkim gestem dłoni nakazał jej zachować spokój. A więc Wódz zauważył! On także wiedział, że muszą zapobiec panice; a śliczna dziewczyna, która prawdopodobnie całymi miesiącami usilnie starała się zdobyć miejsce tuż u stóp swojego najulubieńszego autora, teraz musiała mu także zaufać w kwestii swojego bezpieczeństwa.

Gdzieś ze środkowego rzędu krzyknęła inna niewiasta. Tom zdrzął, zrozpaczony własną bezradnością, gdyż pojął, że lada moment wybuchnie panika — ale wtedy zauważył, że to młoda dama

w żalobie i że zasmuciła ją opowieść o Małym Timie. Po chwili któryś z woźnych delikatnie wyprowadził łkającą młodą matkę na zewnątrz.

Tymczasem Tom wyciągnął rękę, by przykręcić płomień gazu. Następnie, patrząc w dół i sygnalizując Dolby'emu zachowanie czujności na wypadek, gdyby coś spadło, jedną ręką przytrzymał stalową konstrukcję, drugą starannie obwiązał ją drutem, po czym ją mocować koniec drutu do haka, który tkwił w suficie jeszcze od czasu poprzednich występów. Dickens napił się wody ze stojącej na skraju pulpitu szklanki. Gdy Tom mocował drut, jego głowa i ramiona lekko wystawały z otworu w suficie na widoku publiczności – widzowie mogliby go dostrzec, gdyby nie to, że jak zaczarowani wpatrywali się w Dickensa; Tom powiódł wzrokiem po krzesłach i natychmiast ją zobaczył.

W tylnym rzędzie drugiego sektora. Kobieta inkub, której wypatrywał! Szukała czegoś w płóciennej torbie. Czy patrzyła na Toma? Czy zauważyła, że spogląda na nią z góry?

Serce waliło mu jak szalone.

— No dalej! Kończ! — gardłowy szept Dolby'ego zabrzmiał rozpaczliwie. — Pospiesz się, Branagan! Szybko!

Tom pragnął mieć tę sprawę za sobą bardziej, niż tamten mógł sobie wyobrazić. Już niemal uwinął się z robotą na górze, gdy uświadomił sobie, że Dickens kończy czytanie *Opowieści wigilijnej*. A to oznacza przerwę. Drzwi się otworzą, a inkub, który już prawdopodobnie zorientował się, że został zauważony, będzie mógł uciec.

— I Mały Tim, który nie umarł... — Burza radosnych okrzyków.— I tak jak powiedział Mały Tim: Niech was wszystkich Bóg błogosławi!

Duży przedmiot poszybował w stronę podium i potoczył się ku mówcy. Tom drgnął. Był to barwny bukiet róż.

Uporawszy się z naprawą, Tom chciał się cofnąć, ale stwierdził, że ręka utknęła mu między dwoma rurami. Nie puszczały. Na dole Dickens zamknął książkę i widownia rozbrzmiała szaleńczym aplauzem. Autor skłonił się i opuścił scenę.

Krzywiąc się, Tom mocnym szarpnięciem uwolnił rękę, wyciągnął ją, kalecząc się o stare rury. Wyprostował się i jak najszybciej zdołał, zbiegł wąskimi schodami na dół. Kobiety i mężczyźni wstali z miejsc — jedni klaskali, inni ruszyli do drzwi, by zaczerpnąć świeżego powietrza, zapalić cygaro lub rozprostować nogi przed drugą godziną czytania. Zamigotały jaskrawe barwy, gdy jakaś kobieta wskoczyła na podium — nie, nie jedna, lecz cztery lub pięć, wyciągały ręce po płatki geranium, które opadły z butonierki Dickensa, gdy czytał.

Dolby z pełnym uznania uśmiechem, serdecznie wyciągniętą ręką już podchodził do Toma, ten jednak się nie zatrzymał. Gdy tylko znalazł się na widowni, jak szalony popędził w górę po wznoszącej się podłodze, minął pierwszy sektor, dopadł drugiego, jednym skokiem pokonał dwa rzędy i pochwycił kobietę za ramiona.

— To pani weszła do pokoju pana Dickensa w Parker House? — zapytał.

Ani drgnęła pod oskarżycielskim spojrzeniem Toma. Uśmiechnęła się i powiedziała głośno lekceważącym tonem:

— Uważasz mnie pan za wariatkę!

Tom zauważył, że płócienna torba kobiety jest wypchana papierami. Wyjął kilka arkuszy. Identycznego rozmiaru i gatunku jak kartka, którą znalazł przy łóżku Dickensa.

— To pani.

Uśmiechnęła się słabo.

— Pan potrafi dostrzec to, czego nie widzi nikt inny. Na pewno nie mój mąż. Pan rozumie, Wódz mnie potrzebuje. On, Wódz, potrzebuje mnie. Wśród tych wszystkich innych ludzi nie ma nikogo, kto byłby jego godny.

Najbardziej zaskoczyło Toma to mimochodem rzucone słowo: „Wódz”. Boz, Wielki Czarodziej, Niezrównany — takimi przydomkami określała Dickensa uwielbiająca go publiczność. Ale nikt poza kręgiem bliskich współpracowników nie nazywał go Wodzem. Jak bardzo była mu bliska?

Nagle oczy jej pociemniały i uśmiechnęła się szyderczo, jakby Tom właśnie ją opluł.

— Jesteś pan najgorszym, najmniej przyjaznym człowiekiem — teraz ona splunęła mu w twarz, patrząc na niego z pogardą. — A ja posiadam wielu przyjaciół i wszyscy są dla mnie wyjątkowo dobrzy, i nikt, kto mnie pozna, nie zapomni mnie. Księżę Walii to mój wielki, wspaniały przyjaciel i protektor!

Wódz znowu będzie ukochanym! — ostatnie zdanie zanuciła pod nosem, wyjątkowo dobrze imitując lekko irlandzki akcent Toma.

Teraz zauważył na drewnianym oparciu fotela w rzędzie przed nią wryty jakiś napis. Głębokie nacięcia, zapewne zrobione nożem. Słowa, zdania, cytaty z powieści Dickensa zlewały się w nieczytelny wzór. Jedyne, co Tom zdołał odcyfrować, przesuwając palcami po drewnie, to słowo: „ukochany”.

Tłum gapiów już zaczynał gromadzić się wokół. Tom grzebał w płóciennej torbie kobiety w poszukiwaniu noża w perłowej oprawie, który widział w jej dłoniach w Brooklynie, ale przestał, gdy natknął się na mały pistolet.

— Nielatwo jest kochać mężczyznę, w którym płonie geniusz — powiedziała poufnym tonem, ruchem głowy wskazując na broń. — Jego głos rozbrzmiewa mi w uszach nawet wtedy, gdy nie chcę go słyszeć. Mówi: „Nie zrozumiesz, co znaczy być ukochanym przez kogoś cudownego, dopóki nie dopadnie cię dręczące uczucie samotności”.

— Branagan? — zawołał Dolby, przepychając się pod prąd. — Branagan, co to ma znaczyć? Ludzie zwracają na was uwagę. Kim jest ta kobieta? Uspokój się! Wywołasz awanturę!



Policjant, który wcześniej wraz z Tomem pilnował wejścia, też przeciskał się przez tłum, za nim szło dwóch innych. Gwałtownie odepchnęli Toma.

— Na bok! — rzucił jeden.

— Panie oficerze — zawołał Tom — ta kobieta weszła do hotelowego pokoju pana Dickensa w Parker House! Jestem przekonany, że to ona zaatakowała tamtą wdowę w Nowym Jorku. Ona coś przeciwko niemu knuje, ma broń!

Jeden z policjantów wyciągnął pistolet z torby.

— Tak, to moje — kiwnęła głową. — Dla ochrony. Gdyby komuś przyszło do głowy ukraść mi bilety na odczyt. I jeszcze ten wyglądający na złośliwca, łysy człowiek — powiedziała, patrząc na Dolby'ego. — Kim pan jesteś?

— Odizolujcie tę kobietę od Dickensa, natychmiast, panie oficerze — domagał się Tom.

— Niech to diabli! — wykrzyknął policjant i zaskoczony, przez chwilę nie wiedział, jak zareagować. — Bardzo mi przykro, pani Barton — powiedział w końcu, zdejmując z głowy czapkę. Odwrócił się w stronę Toma. — A jednak jest pan bezczelnym dublińczykiem. Dokładnie takim, jak pisały gazety po pańskich wyczynach w Brooklynie. Nie wiesz pan, kim jest ta dama? — zapytał z naciskiem na ostatnie słowo, zaznaczając skorygowanie określenia: kobieta. — I niech się pan cieszy, czego panu życzę, jeśli nie wnieście oskarżenia o napaść.

— Słuchajcie no! — wykrzyknął Tom, znów ruszając ku niej. — Jakie znaczenie ma jej nazwisko?

— Zastosuj się do poleceń, Patryczku, albo napiszę do twej matki, by zabrała cię do domu, do karmienia świń. — Oficer stanął przed Tomem, zastępując mu drogę. — Trzymaj się od niej z daleka albo będziemy musieli cię zamknąć!

— Nie ma potrzeby, panie oficerze, nie ma potrzeby — wtrącił się Dolby, biorąc Toma za rękę i zniżając głos do szeptu, by nie

usłyszeli go dziennikarze. — To tylko pomyłka ze strony porządnego chłopca. Na pozostałą część odczytu wróci do hotelu.

— Panie Dolby! — zaprotestował Tom.

— Branagan! — ryknął menadżer. — Bądź już cicho!

— O Boże, to przeze mnie całe to zamieszanie. Mogę prosić o moją własność, sir? — spokojnie poprosiła pani Barton. Policjant oddał jej pistolet. Z dziwnym uśmiechem na twarzy wzięła broń i schowała w swej osobliwej, płóciennej torbie. — Ten Thomas to słodki, przesłodki chłopiec. Przypomina mi pewien wiersz pióra... no cóż, nie pamiętam. Jeden z tych tragicznych. Mamy ostatnio zbyt wielu poetów.

Dolby odciągnął Toma przejściem między rzędami i próbował odwrócić jego uwagę od kobiety.

— Au revoir, Thomasie — rzuciła, machając dłonią. — Jak mówi pan Weller: „przybyłam zająć się tobą, kochanie!”.

— Trzymajcie Dickensa z dala od niej! — rozpaczliwie krzyknął Tom do policjantów. — Trzymajcie go od niej z daleka!

# CZEŚĆ TRZECIA

KENT, ANGLIA, 30 CZERWCA 1870 ROKU

Gdy parowiec zawiał do portu w Liverpoolu, na Jamesa R. Osgooda i jego pracownicę Rebekę Sand nie czekał żaden komitet powitalny, nikt nie machał im chusteczkami. Osgood spodziewał się, że John Forster, wykonawca ostatniej woli Dickensa, lub Frederic Chapman, angielski wydawca pisarza, powiadomieni przez Fieldsa o wizycie, wyślą po nich powóz do portu. Jednak to pan Wakefield, przedsiębiorczy współtowarzysz morskiej podróży, widząc, że są zagubieni i pozostawieni sami sobie, w swojej uprzejmości załatwił im transport na wiejską stację Higham w Kent. Doradził Osgoodowi, żeby z góry ustalili z woźnicą cenę, bo inaczej mogliby narazić się na zdzierstwo. Zanim wsiedli do powozu, Wakefield polecił im jeszcze gospodę o nazwie Falstaff: „przyjemny, niewielki zakład — zresztą jedyny!”.

W starodawnym mieście Rochester, na urokliwych, wąskich uliczkach Dickens zdawał się wszędzie obecny. Mijając przykościelny cmentarz, na pierwszym, rzucającym się w oczy nagrobku ujrzeni napis: „Mała Dorrit” — pewnie stąd, pomyślał Osgood, Dickens zaczerpnął pomysł do historii opowiadającej o chciwości i życiu w więzieniu. Tabliczka nad sklepem przy High Street głosiła: „BARNABY”. Może gdzieś indziej umieszczono bliźniaczą tabliczkę: „Rudge”\*.

\* *Barnaby Rudge* — tytuł powieści Dickensa.

Osgood zamyślił się nad popularnością Dickensa. Ludzie przychodzili do kościoła, by modlić się za Małą Neli, oplakiwali Paula Dombeya, jakby był ich własnym synem, cieszyli się — tak jak w Tremont Temple — z uratowania Małego Tima. Książki Dickensa ożywały dla każdego, kto je czytał, czy był to prosty robotnik ze Strandu, czy patrycjusz z Mayfair. Dlatego właśnie nawet ci, którzy w życiu nie otworzyli żadnej innej powieści, jego dzieła czytali.

Powóz wolno wspinał się na strome, zielone wzgórze, na sam szczyt, na którym stał, skąpany w rustykalnych powabach lata, zapraszający do wejścia biały budynek. Wyblakła tablica przybytku przedstawiała szekspirowskie sceny — tęą postać rubasznego Falstaffa w kompanii księcia Hala, a także Falstaffa upchniętego w koszu na bieliznę i śmiejące się do rozpuku Wesole Kumoszki. Gospoda wznosiła się na porośłym trawą zboczu, dokładnie naprzeciwko drewnianej bramy wjazdowej do wspaniałej posiadłości Dickensa, znanej jako Gadshill Place.

Na stopniach zajazdu powitał ich sam gospodarz, na którego widok stanęli zdumieni. Krzepkiej postury, choć nie otyły, miał na sobie obszerną jaskrawą szatę w stylu elżbietańskim, której rozmiary dodatkowo zwiększało pikowanie. W rozdętej aksamitnej czapce tkwiło kilka oklapniętych ptasich piór. Mężczyzna poprosił, by zwracali się do niego per Falstaff lub sir John. W dłoni dzierzył szklanicę piwa, gotów wznieść toast za każdą drobnostkę, jaka przyjdzie mu do głowy.

— Nawet gdybyście państwo objedli nas do ostatniego kęsa i tak będziecie mile widziani — oznajmił. — Takie jest motto gospody Falstaff.

— Ciekawa jestem, czy wszyscy angielscy karczmarze noszą podobne stroje — szepnęła Rebeka do Osgooda, gdy gospodarz i chłopiec do pomocy zajęli się kuframi.

— Pozwólcie państwo, że sir Falstaff zaprowadzi was do pokoi! — zawołał wesole karczmarz.

Następnego ranka, otrzymawszy wiadomość o ich przybyciu, John Forster przyszedł na spotkanie do sali śniadaniowej, gdzie dochodzili do siebie po atlantyckiej podróży, pokrzepiając się jajkami, opiekaną szynką i kawą. Mimo że ubrany był w kosztowny garnitur o londyńskim szyku, swą okrągłą sylwetką, powolnymi ruchami i twarzą rozpuszczonego dziecka Forster bardziej przypominał Falstaffa niż karczmarz. I w przeciwieństwie do karczmarza w tym Falstaffie nie było śladu wesołości.

— A to pewnie pani Osgood? — zapytał, wyciągając dłoń.

Osgood pospiesznie wyjaśnił status quo Rebeki.

— Aha, rozumiem — odrzekł z powagą tamten, pospiesznie uwalniając rękę z uścisku jej dłoni i siadając przy stole. — Zapewne nosi pani żałobę po mężu — stwierdził, wnioskując po jej ciemnym stroju.

— Po moim bracie, sir. Po Danielu.

Forster uniósł brwi, zmieszany nie faktem, że mógł wprawić młodą damę w zażenowanie, tylko własną dwukrotną pomyłką.

— Chwała Ameryce za to, że można tam mieć przy sobie jako pracownicy rumieniące się młode dziewczęta! Rzecz to wysmieni-ta.

W tym momencie podszedł kelner i szepnął Forsterowi do ucha:

— To zabronione w sali śniadaniowej, sir.

Ten wyjął z ust cygaro, które po części palił, a po części żuł, i spojrzał na nie, jakby widział je po raz pierwszy. Po czym wstał i krzyknął:

— Wynocha stąd, łobuzie! Jak śmiesz mi przeszkadzać! Znikaj i przynieś temu oto dżentelmenowi i damie ciastka do śniadania! — Kelner wziął nogi za pas, a gość ponownie usiadł.

— Dla mnie żadnych ciastek, panie Osgood, już śniadałem, dziękuję — powiedział, choć niczego mu nie zaproponowano.

— Co dzień budzę się o piątej rano, nawet przed pucybutem, gdyż wczesny posiłek usprawnia trawienie i chroni przed dolegliwościami. A teraz przejdźmy do pańskiej drobnej sprawy.

Gdy Osgood przedstawił ich życzenie przejrzania osobistych rzeczy Dickensa, Forster sucho oznajmił, że wróci do Gadshill i omówi tę sprawę z mieszkańcami dworu. I zaraz oddalił się do posiadłości pisarza po drugiej stronie drogi. Po godzinie Osgood i Rebeka otrzymali wiadomość na obwiedzionym czernią żalobnym papierze: mogą zawitać do Gadshill, kiedy tylko zechcą.

— Może powinnam zostać w gospodzie — zaproponowała Rebeka, skończywszy pisanie potwierdzenia, że przyjdą. — Pan Forster zdawał się, no cóż, niezbyt przyjaźnie usposobiony do mojej osoby.

Osgood nie chciał, by poczuła się niepewnie, choć miała rację.

— On w ogóle nie jest zbyt przyjazny. Ale proszę pamiętać, był jednym z najbliższych przyjaciół pana Dickensa. Po takiej stracie chyba nie mógł się jeszcze całkiem otrząsnąć. No proszę, panno Sand. Przy odrobinie szczęścia być może uda nam się trafić na istotną dla nas informację i przed wyruszeniem w powrotną podróż resztę czasu wykorzystamy na jakieś typowo angielskie rozrywki w okolicach Londynu.

Zbudowany z czerwonej cegły rodzinny dom Dickensa sprawiał z zewnątrz surowe, wszakże nadal zachęcające wrażenie — kamienne stopnie prowadziły pod rozległy portyk, gdzie niegdyś pewnie zbierał się liczny klan. Granicę posiadłości wyznaczały strzeliste dęby, kiedyś z pewnością biegali pod nimi rozbawieni mali chłopcy. Ogrody przechodziły w zarośla i opustoszałe teraz pole do gry w krykieta, na którym pan domu pozwalał rozgrywać mecze mieszkańcom miasta.

Droga przez pola przypominała spacer krainą legend związanych z życiem pisarza. Charles Dickens pisał, że po raz pierwszy ujrzał ten dom, gdy był małym dzieckiem, na tyle już jednak rozumny, by zdawać sobie sprawę z ubóstwa swej rodziny. John Dickens, zanim długi zawiody go do więzienia, zabierał swojego niezwykle małego chłopca, by z drogi popatrzył sobie na ten dom. „Jeśli będziesz wytrwały i pracowity i przyłożysz się do książek, to kto wie, może pewnego dnia w tym domu zamieszkaż” — powtarzał synkowi, choć jego samego nie można było nazwać wytrwałym ani pracowitym.

Zza bocznej ściany domu wybiegły dwa olbrzymie wodołazy, mastiff i bernardyn. Z zachowania czterech zwierząt dało się wy-czuć, że widok Osgooda i Rebeki rozczarował je. Zwłaszcza jeden, większy, powoli spuścił łeb, wzbudzając litość swą zrezygnowaną miną. Naczelny ogrodnik zawołał zwierzęta, na co te równo popędziły na podwórko przy stajni, po czym bezszelestnie wpełzły do chłodnego tunelu prowadzącego na drugą stronę drogi.

Zdecydowanie mniejsze ożywienie zastali wewnątrz Gadshill. Można by powiedzieć, że dom na ich oczach pozbawiano życia. Jacyś robotnicy zdejmowali obrazy ze ścian i rzeźby ze stołów; inni intruzi o smutnych obliczach, w jedwabnych kamizelkach i garniturach, oglądali meble, dotykali każdej rzeczy, każdego drobiazgu. Atmosfery dopełniały unoszące się w powietrzu melancholijne dźwięki — ktoś grał Chopina na fortepianie.

Gdy Forster prowadził Osgooda i Rebekę holem do salonu, któryś z robotników właśnie zdjął owalny portret małej dziewczynki.

— Gadshill nie uda się państwu zwiedzić — oznajmił nagle Forster, krzywiąc się, jakby doskwierała mu podagra, z miną jeszcze mniej przyjazną niż przy śniadaniu.



— Co pan przez to rozumie, panie Forster? — zdziwił się wydawca.

— Czyż sam pan nie widzi, panie Osgood? Gadshill już nie istnieje — nie takie, jakim było. W przyszłym tygodniu odbędzie się ta przekłeta aukcja jego rzeczy, i zabierają wszystko, co jest na widoku — wyjaśnił Forster, gniewnie wymachując rękami. Potem odwrócił się i stanowczo spojrział na grono lepiej ubranych intruzów. — A ci tam, próbujący pozostałym resztkom nadać sztuczną atmosferę przytulności, reprezentują inną firmę aukcyjną, która sprzeda sam budynek — tak, ten, w którym właśnie stoicie — najwyższej licytującemu. To nie do przyjęcia! — Gdy wykonawca testamentu mówił, sprawiał wrażenie, jakby wcześniej przygotował przemowę i teraz recytował ją przed komisją śledczą, zebraną w celu pozbawienia publicznego stanowiska jakiegoś odwiecznego wroga.

— Czy absolutnie wszystko z tego domu musi zostać sprzedane, panie Forster? — zapytała Rebeka ze szczerym smutkiem w głosie.

— Pani mnie o to pyta, młoda damo! Absolutnie wszystko, do ostatniego gwoźdźdza, jeśli chce pani wiedzieć — zawołał Forster oskarżycielskim tonem, jakby to Rebeka osobiście zdecydowała o losie tego miejsca. — Rodzina Dickensa jest bardzo duża — przeszedł w głośny szept — a jego liczni synowie, przypominający go tylko z nazwiska, prowadzą wystawne, marnotrawne życie. Z dwóch córek jedna poślubiła kalekiego malarza, brata Wilkiego Collinsa — sam nie wiem, co jest najgorsze: malować, być kaleką, czy mieć Wilkiego Collinsa za krewnego? Druga córka, choć w miarę ładna, nigdy nie wyszła za mąż. O nie, bez dochodów z przyszłych powieści Gadshill nie zachowa się takim, jakim było. — Spojrzął na łąki za oknem i czekał, by Osgood i Rebeka zrobili to samo, po czym kontynuował. — Tę okolicę będzie się pamiętać z

trzech powodów. Po pierwsze, sir Falstaff rabował tu podróżnych wraz w księciem Harrym i lokalnymi włóczęgami. Po drugie, pielgrzymi Chaucera jechali tędy do Canterbury. Po trzecie, mieszkał tu najslawniejszy pisarz. Pierwszy powód w karykaturalny sposób wykorzystał dla zysku wasz nadęty karczmarz. Ja zawsze będę nazywać go Williamem — takie imię otrzymał na chrzcie — choćby tylko po to, by mu dopiec. Oby nigdy nie nadszedł dzień, w którym jakiś nędzny karczmarz przebierze się za jedną z postaci pana Dickensa; już wolałbym, żeby stary kruk, ulubieniec mistrza, wydziobał mi oczy.

Osgood uznał tę chwilę za odpowiednią do wtrącenia pytania, ale Forster położył mu władczo rękę na ramieniu, zwracając wydawcę twarzą w drugą stronę.

— Niech pan patrzy: ta akwarela, którą robotnik wnosi teraz z jadalni. To, panie Osgood i panno Sand — czy tak się nazywasz, moja droga? — to obraz przedstawiający „Britannię”, na której pan Dickens płynął w swą pierwszą podróż do Ameryki 4 stycznia 1842 roku. O tym będzie mowa w dziewiętnastym rozdziale mojej książki, zatytułowanej *Życie Dickensa*.

Hej tam, trzymajcie wyżej, nie uszkodźcie ściany rogiem ramy!

Osgood wyczuł niechęć, czy wręcz jakiś zarzut brzmiały w słowie „Ameryka”.

— Mam nadzieję, że zgodzi się pan, iż druga podróż pana Dickensa po Ameryce — zauważył — okazała się prawdziwym sukcesem.

Forster roześmiał się ponuro, zaciskając dłonie, jakby wykreczał pranie.

— Co za niesłychana myśl! Po tym waszym objeździe Dickens chorował, utykał na nogę, uszła zeń cała życiowa energia, z jaką opuszczał nasze brzegi! Ja byłem absolutnie przeciwny tej podróży, co zresztą powiedziałem wtedy temu łasemu na złoto goryłowi Dolby'emu. Gdyby amerykańscy czytelnicy nie przywłaszczyli sobie

książek pana Dickensa, nie płacąc nic autorowi przez tak wiele lat, gdyby traktowali nas zgodnie z waszymi prawami autorskimi, nigdy nie potrzebowaliby dodatkowych dochodów. Pomyśleć tylko o tych wszystkich tańczących wokół niego i związanych go Wodzem, jakby był jakimś indiańskim dzikusiem...!

— Charles lubił być nazywany Wodzem, o ile sobie przypominam — wtrącił się kobiecy głos. — Mając tyle powodów do smutku, możemy się cieszyć przynajmniej tym, że nadal miał dość energii, by podróżować.

Dochodzący z góry głos należał do eleganckiej, smukłej kobiety, nieco po czterdziestce.

— Mam zaszczyt przedstawić państwu pannę Georginę Hogarth — mruknął obojętnie Forster. — Wraz ze mną jest wykonawczynią ostatniej woli w kwestii tego domu i całej jego zawartości.

— Proszę nazywać mnie cicią Georgy. Jak wszyscy w Gadshill — powiedziała miękko, łagodząc szorstką wypowiedź Forstera.

Usłyszawszy jej imię, Osgood zorientował się, że to szwagierka Dickensa. Nawet po wyprowadzeniu się z Gadshill Catherine, żony pisarza, ciocia Georgy pozostała zaufaną przyjaciółką i gospodynią pana domu, a także matką dla swych dwóch siostrzenic i sześciu siostrzeńców. Separacja Dickensa i Catherine nigdy nie przyjęła formy oficjalnego rozvodu. Pisarz sławiący rodzinną harmonię nie mógł pozwolić sobie na to, by tak się splamić w oczach społeczeństwa. Jego powieści podkreślały wagę rodzinnych więzów, wierności i wybaczenia. Czytelnicy pragnęli widzieć go jako uosobienie tych wartości.

Dickens i Georgy tak bardzo zbliżyli się do siebie, że pozostali członkowie rodziny Hogarthów, rozwścieczeni poparciem Georgy dla Charlesa, ponoć nawet powtarzali nikiemne pomówienia,

jakoby ją uwiódł. A fakt, że piękna Georgy pozostała niezamężna, nie pomógł uciszyć plotek. Osgood pamiętał, jak pismo „Harper's” z wielkim entuzjazmem rozprowadzało swój nakład, importując do Ameryki plotki o Dickensie i Georgy. „Aby jeszcze przyczynić złej sławy całej tej aferze, pewna młoda dama, siostra pani Dickens, podjęła się «prowadzenia domu» pisarza” — komentowało czasopismo, gdy przed ponad dziesięcioma laty Catherine wyprowadziła się z Gadshill.

— Dziękuję państwu. Trudno nie zauważyć, jak bardzo jesteście zajęci i bez naszego najścia — powiedział Osgood.

— Tak naprawdę, panie Osgood, to życzylibyśmy sobie więcej gości, którzy nie byłiby okropnymi urzędnikami aukcyjnymi czy poszukiwaczami domów, tam i z powrotem zdeptującymi schody. — Uśmiech cioci Georgy przywiódł na myśl dawny obraz tego tętniącego niegdyś życiem domostwa. — Przejdziemy dalej?

W salonie przy fortepianie z różanego drewna siedziała i pieszcotliwie przesuwała dłonią po klawiszach majestatyczna i atrakcyjna młoda kobieta, mniej więcej w wieku Osgooda. Miała na sobie modną suknię żałobną, obwieszoną rozmaitymi typowymi dla żałoby klejnotami; grała z obojętną miną.

Osgood, przez chwilę rozproszony muzyką i widokiem wykonawczyń, jął wyjaśniać gospodarzom cel swej misji.

— Nasza firma postanowiła wydać *Tajemnicę Edwina Drooda* w Ameryce. Jednak u siebie otoczeni jesteśmy piratami książkowymi, którzy korzystając z bezkarności po zgonie pana Dickensa, próbują wykraść tekst.

— Typowi Amerykanie! — wyrecytował Forster. — Nie brak chciwości w tej jankeskiej krainie\*.

Nawiązanie do *Yankee-doodle-dom*; *Yankee-doodle* — piosenka z czasów rewolucji amerykańskiej (1775–1783).

— U nas też jej nie brak, panie Forster — skarciła przyjaciela Dickensa Georgy.

— Z powodu naszego specyficznego prawa — ciągnął Osgood — znaleźlibyśmy się w nader niekorzystnym położeniu, gdyby piratom udało się wydać te ich tanie kopie. Liczyliśmy na sukces naszej firmy i oczywiście na honorarium autorskie dla pana Dickensa, przyznane zgodnie z naszymi moralnymi standardami, niezależnie od obowiązującego prawa. Teraz przekażemy je na ręce pani i rodziny — dodał, zwracając się do Georgy. — Nie udałoby się to, gdyby życzenie Dickensa, byśmy byli jego wyłącznymi wydawcami, przypadło w chwili jego śmierci.

W tym momencie mała biała kulka, która przy bliższym zbadaniu okazała się psem rasy szpic pomorski, przebiegła przez pokój i wylądowała u stóp Osgooda. Gdy ten sięgnął ku zwierzęciu, suczka zareagowała głośnym szczekaniem. Potrząsała pyskiem i jazgotowała wniebogłosy. Pianistka przerwała grę, jej ostatnie uderzenia w klawisze zabrzmiały dysonansem, i pospiesznie wstała, unosząc szeroką spódnicę. Odsloniła twarz, odrzucając w tył żalobną woalkę. Przedstawiono ją jako najstarszą córkę pisarza, Mamie Dickens, tę samą, którą Forster lekceważąco wspomniął jako w miarę ładną i niezamężną.

— Niezmiernie przepraszam za jej zachowanie, panie Osgood — odezwała się nieśmiało. — To Pani Sprężynka, słodkie stworzenie, ale gdy się złości, zmienia się w szatańską bestyjkę. I jak wszystkie dobrze wychowane młode kobiety w Anglii nie toleruje dotyku dłoni mężczyzny. Lubi za to pieszczotę męskiej stopy.

Pani Sprężynka biegała wokół Osgooda, zapamiętała w astmatycznym szczekaniu. Ten wymienił pospieszne spojrzenie z Rebecką, sprawiającą wrażenie, jakby z trudem powstrzymywała się

od śmiechu. Zdjął but i gdy tylko Pani Sprężynka do niego podbiegła, stopą podrapał brzuch pieska.

— Och, czyż to nie rozkoszne! — wykrzyknęła Mamie, z wrażenia przygryzając dolną wargę. — Tego właśnie jej brakowało. Och nie, czy to też koniecznie trzeba oddać? — zapytała, odwracając się z zażenowaniem. Robotnik pakował zdjętą z gzymsu różową filiżankę. — Jako mała dziewczynka nie mogłam się na nią napatrzeć. Nie dałoby się powstrzymać tego okropnego człowieka, ciociu? — zapytała szeptem.

— Bardzo mi przykro, Mamie, wiesz przecież, że stać nas na zatrzymanie tylko niezbędnych rzeczy.

Osgood ze współczuciem spojrział na Mamie. Rebeka obserwowała pracodawcę przypatrującego się zrozpaczonej młodej pannie Dickens. Przez kilka chwil wszyscy troje zdawali się tak samo bezradni i niepewni jak sylwetki uchwycone na rysunku skeczu.

— Mieliśmy nadzieję — zaczął Osgood, wracając do wcześniej poruszanego tematu — że może uda nam się tutaj odnaleźć dalszy ciąg *Tajemnicy Edwina Drooda*, poza tymi sześcioma odcinkami, które pan Forster przysłał nam do Bostonu.

Georgy ze smutkiem pokręciła głową.

— Obawiam się, że nic takiego nie istnieje. Gdy zasłabł, atrament na końcowych stronach szóstego odcinka jeszcze nie zdążył wyschnąć. Widziałam to na własne oczy.

— A może zostały jakieś notatki lub fragmenty? Lub prywatna korespondencja dotycząca planu dalszego ciągu powieści, co zaspokoiliby naturalną ciekawość czytelników.

— Tak mogło być — odrzekła Georgy. — Tylko że pan Dickens co jaki czas palił swoje listy i prosił przyjaciół, by robili to samo. Bardzo się lękał niewłaściwego ich wykorzystania, co często się zdarza w przypadku korespondencji sławnych osób. Przypominam sobie, jak przed laty rozpałił ognisko i chłopcy piekli cebule na

popiołach listów takich znakomitości jak Tennyson, Thackeray czy Carlyle.

— Proszę mi powiedzieć, panie Osgood — przerwał Forster z dziwną, pełną dezaprobaty miną — co przysłoby panu z notatek, gdyby nawet jakieś się znalazły, skoro zabrakło Charlesa Dickensa do napisania brakujących rozdziałów?

— Ależ przysłoby mi bardzo wiele, panie Forster! — odrzekł Osgood, gładko ignorując nieprzyjazny ton rozmówcy. — Gdybyśmy mogli opublikować wydanie specjalne, które na zasadzie wyłączności ukazałoby amerykańskim czytelnikom, jakie naprawdę miało być rozwiązanie tajemnicy pana Dickensa, uprzedzilibyśmy nieuczciwych konkurentów. Ale mamy niewiele czasu na pobyt w Anglii i odszukanie odpowiedzi — jeśli nam się nie uda, na nic nasze starania. Pierwszego dnia przyszłego miesiąca piraci położą łapę na pozostałych dostępnych odcinkach i wydrukują książkę, by sprzedawać ją na całej kuli ziemskiej.

— Co chce pan przez to powiedzieć, panie Osgood? — Forster pochylił się ku wydawcy z wyrazem niedowierzania na twarzy. Potężnymi dłońmi pochwycił poręczę krzesła, jakby powstrzymywał się przed rzuceniem się Osgoodowi do gardła. — Nieprawdopodobne! Co pan ma na myśli, mówiąc: „jakie naprawdę miało być rozwiązanie”?

Osgood i Rebeka porozumieli się wzrokiem, jedno i drugie ciekawe przyczyny tak gwałtownej reakcji wykonawcy testamentu.

— Chodzi mi, sir, o ostateczne rozwiązanie zagadki.

— Nie musi mi pan mówić! To chyba jasne! John Jasper, zuchwały zbrodniarz z powieści, wiodący tajemne, zdeprawowane życie, okrutnie zamordował swego Bogu ducha winnego siostrzeńca Edwina Drooda. Czy to nie jest oczywiste dla każdego, kto ma dwoje oczu?

— To prawda, na to zapowiada się pod koniec szóstego odcinka — zgodził się Osgood. — Jednak mój starszy wspólnik, pan Fields, zauważył, że w kolejnych sześciu odcinkach pisarz mógł szykować dla czytelnika różne jeszcze niespodzianki.

W liście do naszego biura pan Dickens zadeklarował, że powieść ta będzie interesująca i nowatorska.

Forster pokręcił głową.

— Jasper miał wyznać swe zbrodnie — to był ten interesujący i nowatorski koncept. Przecież Dickens sam mi o tym powiedział.

— Pan Dickens to panu powiedział? — zdziwił się Osgood.

Forster skrzyżował ramiona na piersi i krytycznie wyduł grube wargi.

— Pewnie nie wyraziłem się wystarczająco jasno o moich stosunkach z panem Dickensem, panie Osgood. Dzieje naszej przyjaźni być może nie są tak znane za oceanem jak tutaj. Mogę szczerze powiedzieć, że pan Dickens i ja byliśmy ze sobą bardzo blisko, a choć niestety nie kwapił się do przyjmowania rad w kwestiach osobistych, to zdradzał mi niemal każdy szczegół swoich powieści.

— No cóż, mnie nic nie wspomniał o zakończeniu tej książki, choć zapytałam go o to kilka dni przed jego śmiercią — oznajmiła Georgina, patrząc podejrzliwie na Forstera.

— Zapytała go o to pani, ciociu Georgy? — zdziwiła się Rebe-ka.

— Tak, moja droga. Gdy czytał mi nowe odcinki, w miarę jak powstawały, powiedziałam mu: „Mam nadzieję, Charles, że tak naprawdę nie uśmierciłeś biednego Edwina Drooda!”. Na co on: „Moją książkę, Georgy, nazwałem przecież tajemnicą, a nie historią Edwina Drooda”. Ale nie zdradził nic więcej.



— To straszne! — wykrzyknął Forster, gniewnie marszcząc szerokie czoło. — Jakże godne ubolewania! Niesłychane! Jego słowa mogły oznaczać cokolwiek, panno Hogarth! Czyż nie?

Georgy zignorowała obiekcje prawnika.

— Panie Osgood, panno Sand. Jeśli życzycie sobie osobiście przejrzeć papiery na jego biurku, bardzo proszę. W letnie miesiące zwykł pisać w naszej szwajcarskiej chatce. To tam pracował ostatniego dnia, nim wrócił do domu i zasnął. Jego drugie biurko stoi w bibliotece. Nie miałam siły zająć się niczym więcej poza utrzymaniem porządku na blatach i w szufladach.

— Dziękuję, ciociu Georgy — powiedział Osgood.

— Jeśli znajdziecie cokolwiek, co mogłoby wam pomóc, będę się cieszyła razem z wami.

Słyszac to, Forster znów skrzyżował krępe ramiona.

Pomocnik ogrodnika poprowadził Osgooda i Rebekę ceglany tunelem pod główną drogą, w którym wylegiwały się cztery psy. Pod osłoną drzew stała drewniana chata w szwajcarskim stylu. W tym małym drewnianym azylu po kręconych schodach wspięli się do pokoiku na poddaszu.

Przygotowania do aukcji nie zakłócały spokoju ustronnej samotni Dickensa. Na ścianach letniego gabinetu wisiało pięć wysokich lusterek, w których odbijały się drzewa i ciągnące się do rzeki pola zbóż, a także majaczące w oddali żagle. Przez pokój sunęły cienie chmur.

— Rozumiem, dlaczego pan Dickens tak lubił pisać w tym pomieszczeniu, z dala od wszystkiego — zauważyła Rebeka, gdy weszli do środka.

Przy otwartym oknie umocowano kosztowny teleskop. Osgood przyłożył oko do soczewki. Daleko wśród łąk, za polami chmielu, stał wysoki mężczyzna z gołą głową i rozczochraną czupryną i zdawał się patrzeć prosto w ich okno. Osgood przesunął obiektyw na szczyt wzgórza, dostrzegł karcznię Falstaffa i właściciela krzątającego

się przy stajni. Szczotkując końską grzywę, gospodarz, jakby ogarnięty melancholią, przymykał oczy. Było tak, jakby po śmierci Dickensa całą okolicę Gadshill ogarnął smutek.

Kalendarz na biurku nadal był otwarty na ósmym dniu czerwca, kiedy to Dickens po raz ostatni siedział tu i pisał. Obok leżało kilka gęsich piór i kałamarzy, notatnik oraz rozmaite drobiazgi, między nimi dwie żaby z brązu i plik niebieskich kartek zapisanych niebieskim atramentem.

— To jest to — stwierdził Osgood i ze złości patrząc na wypełnione słowami strony, usiadł na zakurzonej krześle. — Pierwsze sześć odcinków *Tajemnicy Edwina Drooda*, spisanych jego własną ręką, z naniesionymi na marginesach poprawkami drukarza.

Delikatnie przesuwając palcami po krawędziach kartek. Pismo Dickensa, nie wszędzie schludne, tchnęło siłą i dynamizmem. Wydawało się przeznaczone wyłącznie dla oczu pisarza — mniejsza o drukarzy i zecerów. Zazwyczaj, gdy Osgood miał okazję oglądać miejsce pracy kogoś ze swych autorów, reagował czysto machinalnie, zupełnie jakby składał wizytę w zakurzonej hali fabrycznej. Z biegiem czasu, poznając w końcu pisarza, którego dotąd wielce szanował, nazbyt często doznawał głębokiego rozczarowania przeciętnością kryjącego się za tekstami człowieka. W przypadku Dickensa jednak niezmiennie ogarniało go owo magiczne poczucie, że nie jest doświadczonym bostońskim wydawcą, lecz znów studentem z Maine lub tym chłopcem na posyłki, który pierwszego dnia w Old Corner paradował w gumowym fartuchu zasmarowanym tuszem. I zawsze, nawet teraz, po śmierci pisarza, towarzyszyło mu uczucie dumy, że dane mu było zostać wydawcą jego dzieł.

— Gotowa? — zapytał, wdychając atmosferę otoczenia. — Zaczynajmy, panno Sand.

Przez kolejne dni pracę przerywali jedynie na krótki odpoczynek i tylko od czasu do czasu zakłócało im spokój wtargnięcie światła zewnętrznego. Najpoważniejszy incydent zdarzył się, gdy następnego ranka przyszedli kontynuować badania. Przeszukując obszerny materiał, natrafili na kilka cennych szczegółów. Osgood znalazł wczesną notatkę, na której Dickens zapisywał rozmaite wersje tytułu, nim zdecydował się na *Tajemnicę Edwina Drooda*: „Ucieczka i pogoń”, „Jeden cel w życiu”, „Martwy”? A może „Żywy”? Właśnie dyktował je Rebecce, gdy nagle urwał w pół zdania.

— Panie Osgood?

— Przepraszam, panno Sand. Coś odwróciło moją uwagę. Cóż za dziwaczny drobiazg, prawda?

Na kominku stała jasnożółta, gipsowa figurka. Przedstawiała mężczyznę o orientalnej urodzie, w eleganckim fezie, palącego fajkę, siedzącego po turecku na sofie. Osgood podniósł figurkę i przyjrzał się jej, trzymając na odległość wyprostowanej ręki. Była cięższa, niż się wydawała.

I właśnie w tym momencie do chatki wpadł nieznamy mężczyzna, wspinał się po schodach i wtargnął do gabinetu. Intruz w obszarpanym ubraniu był bez kapelusza, z rozczochraną czupryną i opaloną twarzą. Tego właśnie człowieka wydawca wypatrzył poprzedniego dnia przez teleskop, idącego przez pole chmielu. Nieznajomy z ustami rozwartymi jakby w nagłym przerażeniu złapał Osgooda za ramię.

— Potrzebuje pan pomocy, sir? — zapytał wydawca.

Mężczyzna badawczo lustrował jego twarz. Wyciągnął ku niemu rękę i trzymał wyprostowaną.

Osgood delikatnie ją ujął, a wtedy obcy przytrzymał oburącz jego dłoń i mocno uściśnął. Rebeka westchnęła z przejęcia.

— Tak, teraz widzę! Jesteś. Jesteś. Jesteś na to gotowy! — wybełkotał mężczyzna i zaraz potem do chaty wpadł służący z Gadshill.

— No już. — Wąsaty sługa ujął intruza za ucho niczym psotne dziecko. — No już, staruszk. Dość tego okropnego zachowania. Oni tu mają coś ważnego do zrobienia. Bardzo państwa przepraszam. Dopilnuję, by więcej was nie nachodził.

Nieco później tego samego popołudnia Rebeka kontynuowała badania, a Osgood wsiadł do pociągu, który w ciągu godziny miał dowieźć go do Londynu. Korzystając z mapy w przewodniku, dotarł do biur Chapmana & Halla, angielskich wydawców Dickensa. W dniu przybycia do Anglii posłał tam umyślnego z wizytówką i pisemną prośbą o spotkanie, ale jak dotąd nie otrzymał odpowiedzi. Nie miał czasu, by czekać, jeśli chciał w Anglii cokolwiek załatwić.

W ruchliwym biurze firmy wydawniczej na Piccadilly jednak znowu kazano mu czekać. Był to dzień czasopism, gdy każdy wydawca, drukarz, introligator i księgarz w Londynie zwijał się, jak mógł, by udostępnić czytelnikom najnowsze dzienniki i magazyny. W przypadku Chapmana & Halla oznaczało to następny odcinek *Tajemnicy Edwina Drooda*. Gazeciarze, przekrzykując się poleceniami, wypełniali torby broszurami w jasnozielonych okładkach, by rozprowadzić je po całym mieście i dostarczyć także na prowincję, do kiosków i sklepików z książkami. Pierwszego dnia przyszedłszy miesiąc, w następnym dniu czasopism, ostatni odcinek znajdujący się w rękach angielskich wydawców zostanie wydrukowany i sprzedany spragnionym czytelnikom — i piraci w Ameryce będą już mieć wszystko, czego potrzebują.

Osgood, przypatrując się zabieganym pracownikom i posłańcom, zauważył, że wystarczyło wypowiedzieć nazwisko pana Chapmana, głównego wspólnika, by głowy się pochylały, a spojrzenia uciekały w bok. Spędził w przedpokoju całą godzinę, nim pojawił się barczysty, ubrany na sportowo Chapman.

— Najmocniej przepraszam, kolego — powiedział, gdy Osgood mu się przedstawił. — Muszę pędzić na wieś na polowanie z pewnymi bardzo ważnymi osobistościami. Okropni nudziarze, ale wiele się liczą. Wpadnie pan kiedy indziej?

Osgood jeszcze raz obrzucił biuro Chapmana i jego personel uważnym spojrzeniem, po czym ruszył z narastającym poczuciem klęski w drogę powrotną do Rochester. Ze stacji w Higham dotarł na miejsce dorożką i zastał Reбекę nadal pilnie pracującą w chatce w Gadshill.

Po kolejnych dwóch godzinach pojawili się pracownicy domu aukcyjnego Christie i ostatecznie zakłócili spokój szwajcarskiej chatki. Zabrali orientalną figurkę i inne nadające się do sprzedania przedmioty. Mężczyznom towarzyszyła, wydając im polecenia, jak zawsze obowiązkowa ciocia Georgy.

Z pełną godności miną, ale sfrustrowana, kręciła głową, patrząc na ich poczynania.

— Cóż, wszystko się zmieniło, i to na zawsze. Na nic nie zda się udawanie, że jest inaczej. Jakiż pusty wydaje się teraz świat!

— Dokąd pani wyjedzie, ciociu Georgy, gdy już sprzedacie Gadshill? — zapytała Rebeka.

— Mamie i ja musimy rozejrzeć się za jakimś małym domem w Londynie, choć aż cierpnę na myśl o dokuczliwych zimach w stolicy.

— Sądzę, że pani i pan Dickens zawsze pozostaniecie częścią tej ziemi, choćby nie wiem co — zauważył Osgood. — Bez względu na to, gdzie pani zamieszka.

Spojrzała na niego badawczo.

— Muszę wyznać, że rola wykonawczynie testamentu jest dla mnie całkiem nowa. Nie chodzi o zadbanie o przyszłość dzieci, gdyż to jest sprawa, której poświęciłam życie, ale o czytanie dokumentów i kontraktów.

— Mogę sobie wyobrazić. Ciężkie to brzemię.

— Aż nazbyt szybko zorientowałam się, jak rzadko spotyka się człowieka interesów, którego uczciwości można zaufać. Proszę mi wybaczyć, ale zastanawiałam się, czy nie mogłabym prosić pana o pomoc w czasie pańskiego pobytu w Rochester. Może zechciałby pan przejrzeć ostatnią wolę pana Dickensa, gdybym zostawiła kopię w Falstaffie?

— Uznałbym za zaszczyt i przyjemność — odrzekł Osgood, wstając i kłaniając się — możliwość odplacenia pani za jej dobroć.

— Dziękuję. Poczuję się lepiej, mając choćby godzinę czasu na zadanie komuś pytań — komu innemu niż pan Forster, mówiąc szczerze. Przede wszystkim w jego obecności czuję się jak dziecko! Jakbym nie miała własnej wolnej woli, gdy on jest poblizhu.

Ucichli, gdy na schodach rozległy się ciężkie kroki. I zaraz pojawiła się potężna postać Forstera, wołającego za wychodzącymi ludźmi z firmy aukcyjnej, by pamiętali o wartości przedmiotów, które trzymają w swych niegodnych rękach.

— Nieprzydatne kreatury — stwierdził, odwracając się w stronę biurka. Utkwił wzrok w pliku niebieskich kartek i zacierał ręce. — Widzi pan, panie Osgood, wszystkie rękopisy pana Dickensa według jego ostatniej woli mają być przekazane mnie.

Forster ostrożnie, drżącymi dłońmi pochwycił rękopis *Drooda* z obu stron i uniósł go. Czynił to z pełną wzruszenia, choć przesadną rewerencją.

— To chyba ostatni znajdujący się w domu oryginał? — zapytał ciocię Georgy.

— Tutaj — odrzekła wzdychając — i gdziekolwiek indziej.

Ulokowawszy manuskrypt bezpiecznie w swojej walizeczce, Forster przeniósł spojrzenie na biurko i zatrzymał je na jednym z

gęsich piór: długim, falistym, ze stalówką zabrudzoną zaschniętym niebieskim atramentem.

— To ono, prawda? — zapytał.

Georgy przytaknęła.

Rebeka zapytała, co to takiego.

— Tym piórem pisał *Tajemnicę Edwina Drooda*, panno Sand — wyjaśniła Georgy. — Charles lubił używać jednego pióra do napisania jednej książki — żeby była w nim jakaś czystość. Nie chciał, by ducha pióra zakłóciły byle rachunki i czeki. Tym tutaj dokończył szósty odcinek powieści, tuż zanim po raz ostatni wrócił do domu.

Osgood zapytał, czy może obejrzeć pióro. Uniósł je, obrócił w palcach, wreszcie ujął w taki sposób, jakby mogło samodzielnie dopisać ostatnie sześć części *Drooda*.

— Czy mogę — zaczął Forster, oblizując wydatne, spękane wargi — przechować je w moim gabinecie?

Georgy chrząknęła znacząco.

— Tylko na razie — wyjaśnił Forster, też chrząkając, jakby w odpowiedzi. — Dopóki nie zadecyduje pani, co z nim zrobić, panno Hogarth. Potem może pani — no cóż, wrzucić je do Tamizy, jeśli pani zechce.

— Proszę je na razie wziąć — zgodziła się, i Forster natychmiast chciwie wyrwał z ręki wydawcy pióro, którym pisano *Drooda*, umieścił je w walizeczce i zbiegł po schodach bez pożegnania.

Rankiem tego dnia Osgood i Rebeka postanowili się rozdzielić. On miał ponownie wybrać się do Chapmana & Halla do Londynu, ona pozostać i kontynuować prace w Gadshill. W ostatniej chwili Osgood przywołał ją do powozu wyruszającego z Falstaffa. Spojrzał na nią, jakby coś rozważał.

— Myślę, że powinna pani pojechać ze mną dzisiaj do Londynu, panno Sand. Jeśli pan Chapman zgodzi się mnie przyjąć, chciałbym, aby pani robiła notatki. Rebeka zawahała się.

— To będzie moja pierwsza wizyta w Londynie! — zawołała i zaraz powściągnęła entuzjazm, przyjmując swą zwykłą obojętną pozę. — Pójdę po pudełko z ołówkami.

— Nawet dobrze się składa — zauważył Osgood. — Oczom pani niewątpliwie należy się odpoczynek od czytania pism pana Dickensa.

Po przybyciu na stację Charing Cross na Strandzie, Osgood i Rebeka ruszyli w cieniu teatrów i sklepów, zdumieni niezwykłą ilością mijanych przy każdym rogu ulicznych artystów i jarmarcznych bud, które sprawiały, że w porównaniu z tym miastem Boston wydał im się miejscem spokojnym. Oczy Rebeki napawały się różnorodnością widoków. Krzykliwi przekupnie zachwalali zreperowane buty, narzędzia, owoce, szczeniaki, ptaki — wszystko, co można oferować za kilka szylingów. Dla amerykańskiego ucha



rozmaitość akcentów i dialektów, w jakich zachwalano towary, brzmiała niczym całkiem obcy język.

— Dostrzega pani coś niezwykłego w tych przekupniach? — zapytał Reбекę Osgood.

— Już sam hałas, jaki czynią — odrzekła — to coś zdumiewającego.

Rozmawiając, minęli występy Puncha i Judy. Drewniane marionetki skakały po małej scenie, Judy pałką waliła Puncha po głowie. „Już ja ci dam, wyrzucać dziecko przez okno!” — krzyczała na kukielkowego małżonka.

— Niech pani dobrze się przyjrzy — nalegał Osgood. — Dziwniejsze od hałasu jest to, panno Sand, że londyńscy ludzie interesów zdają się w ogóle nie zauważać rozgardiaszu na ulicach! Gdy mieszka się w Londynie, trzeba posiadać umiejętność niedającej się rozproszyć koncentracji. Dlatego właśnie to miasto pozostaje najbogatsze na świecie. Jesteśmy na miejscu — powiedział, wskazując wznoszący się przed nimi okazały budynek z cegły, opatrzony zamocowaną na oknie tabliczką: CHAPMAN & HALL.

Tym razem Chapman, przechodząc przez poczekalnię, na widok czekających na kanapie gości zwolnił i cofnął się kilka kroków. Rumiany angielski wydawca rosłej postury, o przylizanych włosach rozdzielonych połyskliwym przedziałkiem pośrodku szerokiej głowy po części sprawiał wrażenie sportsmena, a po części człowieka, który nie musi zarabiać na życie, w każdym razie niezbyt przypominał literata.

— Ach, jak widzę, mam gości — rzucił, nie spuszczać wzroku ze smukłej sylwetki Reбеки. W końcu raczył dostrzec także towarzyszącego jej džentelmena.

— Frederic Chapman — przedstawił się, wyciągając dłoń.

— James Osgood. Poznaliśmy się wczoraj — przypominał Amerykanin.

Chapman spojrział na niego, mrużąc oczy.

— Dokładnie pamiętam pańską twarz. Wydawca z Ameryki. A ta kobietka, to...

— Moja pracownica, panna Sand.

Chapman delikatnie ujął jej dłoń.

— Serdecznie witam w naszej skromnej firmie, moja droga. Liczę na pani obecność w moim gabinecie, gdy będę rozmawiał z panem Osgoodem, dobrze?

Ruszył w stronę gabinetu, za nim szedł jego kancelista, a Osgood i Rebeka podążali na końcu procesji. W pomieszczeniu ujrzeli trochę drogich książek, ale znacznie większą liczbę martwych, wypchanych zwierząt: króliki, lisy, jelenie. Okropne okazy wydzielały stęchły, paskudny odór, a każde zwierzę, jakby za przyczyną jakiejś otepiałej lojalności, zdawało się śledzić wzrokiem Chapmana, gdziekolwiek by stanął. Obszerne, wykuszowe okno zamiast na miasto wychodziło na biura i pomieszczenia firmy Chapman & Hall. Od czasu do czasu Chapman odwracał głowę, by sprawdzić, czy jego personel ciężko pracuje. Jeden z zabieganych urzędników dostarczył butelkę porto z ukłonem, który kojarzył się raczej z wywołanym strachem drżeniem kolan.

— Ach, wyśmienicie. Zakładam, że pan i pan Fields macie w Bostonie piwniczkę z winami — powiedział Chapman, gdy napełniono dwie szklanki.

— Zapewniają ją listy subskrybentów i materiały do pakowania.

— My mamy bardzo obszerną, a także spiżarnię na dziczyznę. Rozważamy dobudowę pokoju bilardowego — następnym razem rozegramy partyjkę. Zawsze miło jest powitać kolegę zza oceanu.

— Panie Chapman, na pewno dokładnie zbadaliście wszystko, co jeszcze ewentualnie mogło pozostać z *Tajemnicy Edwina*

*Drooda*. Bylibyśmy wielce zobowiązani, gdyby zechciał się pan podzielić z nami tym, czego się pan dowiedział.

— Zbadaliście? Ależ Osgood, wyraża się pan jak detektyw z nowomodnych powieści. Rozśmiesza mnie pan tymi waszymi amerykańskimi określeniami.

— Bynajmniej nie zamierzałem — odrzekł z powagą Osgood.

— Nie? — Chapman zdawał się rozczarowany. — Ale co tu było do zbadania?

Osgood, zaskoczony, jął wyjaśniać:

— Chodzi o to, czy pan Dickens pozostawił jakieś wskazówki co do zakończenia swej opowieści.

Chapman przerwał mu pełnym satysfakcji, jowialnym śmiechem.

— Ależ Osgood, drogi kolego, dowcipkujesz pan sobie na amerykańską modłę, prawda? Mnie całkowicie wystarcza tekst *Drooda*, który posiadamy. Sześć świetnych odcinków.

— Są wyśmienite, przyznaję. Ale o ile dobrze zrozumiałem, zapłacił pan za tę powieść niezłą sumkę — zauważył Amerykanin, nadal nie kryjąc zdziwienia.

— Siedem tysięcy pięćset funtów! Najwyższa kwota kiedykolwiek zapłacona autorowi za nową książkę — rzucił z dumą, zwracając się do Rebeki.

— Z mojego punktu widzenia sądziłbym, że pańska firma będzie chciała wszelkimi możliwymi sposobami zabezpieczyć tę inwestycję.

— Powiem panu, jak to widzę. Każdy czytelnik, który weźmie tę książkę do ręki i ujrzy, że jest niedokończona, będzie miał możliwość wypełnienia sobie wolnego czasu zastanawianiem się nad zakończeniem. I będą zachęcać przyjaciół do zakupu egzemplarza i zgadywania końca, zyskując tym sposobem temat do towarzyskiej dyskusji.

— W Ameryce brak zakończenia będzie przynętą dla tak zwanych piratów — zauważył Osgood.

— Jak ten łobuz Major Harper i inni jego pokroju — dodał Chapman. Napełnił sobie szklankę po brzegi i rzuciwszy okiem na zbiór zwierzęcych łbów, przelknął porto z drapieżną łapczywością. Jego czujne, wiecznie rozbiegane oczy ponownie zatrzymały się na Osgoodzie. — I to właśnie jest przyczyną pańskiego niepokoju, mam rację? — zakończył pytaniem. Pochylił się ku Rebecce — nie żeby całkiem nie obchodziły go kłopoty Osgooda, ale w tej chwili zainteresowany był wyłącznie jego śliczną, siedzącą naprzeciwko pracownicą. — Zapewne pani pracodawca dzielnie spisał się w tej waszej wojnie secesyjnej, nieprawdaż? Prawdziwy z niego szczęściarz. My tutaj, niestety, ostatnio nie mieliśmy wojen godnych uwagi. No, może takie pomniejsze, ale nic, co byłoby warte większych starań. Gdzie można by pokazać się światu jako prawdziwy mężczyzna lub wyrzucić wrażenie na damach.

— Rozumiem, panie Chapman — odparła Rebeka, nie poddając się natarczywości jego spojrzenia.

— W jakich to bitwach brałeś pan udział, kolego? — zapytał Chapman.

— Tak się składa — wyznał zapytany — że w młodości dotkliwie dokuczał mi reumatyzm.

— Co za pech!

— Teraz czuję się o wiele lepiej. Wszakże dolegliwości te nie pozwoliły mi przywdziać munduru.

— Jednakowoż, sir, pan Osgood nie szczędził wysiłków, wydając książki i poematy — wtrąciła się Rebeka — które budząc entuzjazm i patriotyzm, pomogły Unii wytrwać w swym dziele do końca.

— Jakaż to szkoda, nie móc wojować! — zawołał Anglik. — Współczuję panu, Osgood.

— Jestem szczerze zobowiązany, panie Chapman. A co do *Drooda* — ciągnął dobitnie, zmieniając sposób perswazji — niech pan tylko pomyśli, ile zyskałby pan, mogąc lepiej zrozumieć ostatnie dzieło Dickensa. Dla dobra literatury.

Wydawało się, sądząc po błysku w oku i ściągnięciu warg, że Chapman wybuchnie nowym atakiem śmiechu. Jednak pochylił swą imponującą postać w stronę okna i przyłożył czubek palca do szyby.

— No cóż, mówi pan zupełnie tak samo, jak niektórzy z moich młodych pracowników. Na ogół nie potrafię ich odróżnić, są raczej niepozorni, nie sądzi pani, panno Sand?

— Trudno mi powiedzieć, panie Chapman — zaczęła Rebeka. — Wydają się oddani swej pracy.

— Ty tam! — Chapman, marszcząc szerokie czoło, wychylił głowę za drzwi, gdzie pracownicy pakowali do pudeł partie książek.

— Proszę pana — zareagował zawołany — bardzo mi przykro, to ten zapach nas spowalnia.

— Zapach! — powtórzył Chapman z oburzeniem, jakby zarzucono mu, że to on jest źródłem tego odoru. Sypnął wiązką paskudnych przekleństw, komentując niekompetencję pracownika. Gdy skończył, skarcony uniżenie wyjaśnił, że ostatnia partia mięsa dostarczona przez Chapmana do spizarni — udziec sarny — zaśmierdziała się w letnim upale.

Pociągnąwszy nosem, wydawca spuścił nieco z tonu i skinął głową.

— W porządku. Wstawcie sarninę do powozu, zabiorę ją do domu na obiad — polecił.

Zaprzestawszy przekleństw, zapalił cygaro, a pracownik tymczasem czekał na pozwolenie, by się oddalić. Gdy wydawca ponownie spojrzął na młodzieńca, wydawał się nie wiedzieć, skąd ów się tu wziął.

- Nie wyglądasz najlepiej! — zauważył.
- Słucham, proszę pana?
- Nawet całkiem źle. Bladyś. Może szklaneczkę porto?
- Z przyjemnością.
- Znakomicie. Każ sobie przysłać z piwnicy na górę kilka butelek.

Młody człowiek niezwłocznie się oddalił.

— W tej firmie wszystko działa jak w zegarku — oświadczył sarkastycznym tonem Chapman swym poirytowanym gościom. — A pan akurat wspomniął coś o literaturze — wziął do ręki zwitek kartek. — Widzi pan te poematy? Całkiem niezłe. To, co nazywają literaturą. Trzymam je w szafie, by zimą palić nimi w kominku. Czemu? Bo poezja nie popłaca. Nigdy nie popłacała i nigdy nie będzie. Widzi pani, panno Sand, nie ma z niej pożytku.

— Ależ panie Chapman, ja uwielbiam powieści — Rebeka, wyprostowawszy się jeszcze bardziej, patrzyła wprost na gospodarza. — Jednak w najsmutniejszych lub najszcześniejszych chwilach naszego życia, gdy jesteśmy całkiem sami, cóż poczęlibyśmy bez poezji, która może do nas przemówić?

Chapman nalał sobie następną szklanekę porto.

— Piątka to sporo za jakikolwiek wiersz, zwłaszcza że żadnemu poecie się nie przelewa. Za pięć funtów można by kupić najlepszy, jaki którykolwiek z nich zdołałby napisać. O nie, w naszych czasach, przy obecnym fatalnym stanie interesów, ludzie chcą czytać o niezwykłych wyczynach. Ouida, Edmund Yates, Hawley Smart, te wasze amerykańskie powieści o Indianach, oto nowoczesna literatura, którą zapamiętają — chwala Dickensowi za jego społeczne zaangażowanie, przypadki i okazywane współczucie, ale musimy zapomnieć o przeszłości i iść naprzód. O tak, nie wolno nam spoglądać wstecz.

Na zewnątrz budynku w głębokim cieniu zaułka ów niepozorny pracownik, skarcony przez Chapmana, z głową szumiącą od portu, wdrapał się na tył wozu. Przy pomocy sznura usiłował wciągnąć olbrzymi kawał cuchnącej sarniny. Wytężał się i nadymał, aż wreszcie czyjaś silniejsza dłoń bez trudu uniosła ładunek.

— Dziękuję, łaskawco! — powiedział kancelista. — Niech piekło pochłonie tę sarninę! W ogóle do diabła z sarniną.

Nieznajomy, który mu pomógł, pozostał w cieniu. Wtem podrzucił w powietrze monetę, kancelista niezgrabnie pochwycił ją obiema rękami i przycisnął do piersi.

— A to czemu, czyż to nie ja powinienem panu zapłacić, do brodzieju?

— Słyszałeś może, co twój szef mówił do pana Osgooda? — zapytał nieznajomy.

— Do Amerykanina? — kancelista po zastanowieniu skinął głową.

— No to znajdzie się tego dla ciebie więcej. Chodźmy — wyłaniająca się z cienia wyciągnięta ku kanceliście pomocna dłoń okazała się wcale nie być dłonią, lecz połączoną gałką laski w formie głowy jakiegoś zwierza. Połyskujące czarne oczy lśniły niczym wywiercone w mroku dziury.

— No już, nie ugryzie — ponaglał smagły nieznajomy.

— A tak w ogóle, dlaczego wypytuje pan o pana Osgooda? — zapytał kancelista, ujmując gałkę i schodząc z wozu.

— Powiedzmy, że uczę się handlu książkami.

## 16.

Po powrocie do Gadshill, rodzinnego domu Dickensa, Osgood i Rebeka zajęli się książkami i dokumentami zgromadzonymi w bibliotece. Osgood lustrował zbiory z zawistnym wzrokiem wydawcy mającego przed sobą kolekcję należącą do kogoś innego. Stał tam rząd dzieł Wilkiego Collinsa i wydanych w Anglii tomików poezji Poego — jak i wiele innych opublikowanych przez Fieldsa, Osgooda & Co.

Na ścianach między regałami wisiały słynne ryciny Cruikshanka, „Phiza”, Fildesa i innych artystów ilustrujących powieści Dickensa. Na jednej *Oliver Twist* potyka się, trafiony w ramię kulą wystrzeloną z dymiącego za ramię pistoletu Gilesa... W innej scenie z tej samej powieści Bill Sikes szykuje się do zamordowania nieszczęsnej Nancy... W przepastnej celi Bastylii z *Opowieści o dwóch miastach* czai się śmierć i zagłada... Siedząca przy stole Rosa o czystym sercu nieśmiało zwierzała się swemu wyniosłemu opiekunowi, panu Grewgiousowi, że podejrzewa wuja Edwina Drooda, Johna Jaspera, o niegodziwe knowania...

Znaleźli liczne książki o mesmeryzmie, na marginesach kilku Rebeka wypatrzyła odręczne uwagi Dickensa. Jedna nosiła intrygujący tytuł: *Kroki na granicy tamtego świata*.

— Czytał je z uwagą — zauważyła, delikatnie, z rewerencją dotykając najwyraźniej często otwieranych stron.

— O czym mogą traktować? — zaciekawił się Osgood, przesuwając się wzdłuż ułożonych w kolumny tomisk.



— No nie wiem — zawahała się. — Pewnie o sprawach natury nadprzyrodzonej.

Przeczytała ustęp.

„Badacz może szukać po omacku, potykać się, widząc jakby przez zaciemnione szkło. Śmierć, która tak wiele milionów uwolniła od rozpacy, rozwieje jego wątpliwości, rozwiąże problemy. Śmierć, klucznica wszystkich zagadek, rozsunie zasłony i wpuści rozjaśniające wszystko światło. To, co ledwie zaczęte w tej fazie egzystencji, w następnej zbadane zostanie o wiele bardziej dogłębnie”.

— Brzmi to bzdurnie — zauważył Osgood. — Spójrzmy, co tam jeszcze miał. Próbował wyjąć kilka tomików z następnej szafki bibliotecznej, po czym zorientował się, że to wcale nie są książki.

— Pan Dickens polecił wykonanie imitacji grzbietów — wyjaśnił służący, który właśnie wszedł do pokoju, ten sam wąsaty mężczyzna, który tak stanowczo pozbył się intruza z letniego domku. Z ukłonem postawił na stole tacę z ciasteczkami, po czym podszedł do Osgooda. — To ukryte drzwi, panie Osgood, dzięki którym mistrz mógł wygodnie wchodzić do biblioteki z sąsiedniego pokoju. Był tak samo pomysłowy w sprawach domowych jak w swych powieściach! — Sługa pchnął półkę zastawioną fałszywymi książkami i otworzył pokój bilardowy, gdzie przez minione lata na męską część towarzystwa odwiedzającego Gadshill czekały gry i cygara.

— Genialne! — przyznał Osgood, zachwycony sprytnym rozwiązaniem. Z uśmiechem przeczytał niektóre z tytułów fałszywych, spreparowanych przez Dickensa książek. Najbardziej spodobały mu się „Dzieje krótkiej szaty królewskiej” w dwudziestu jeden tomach, „Pięć minut w Chinach” w tomach trzech; cztery tomy „Gunpowder Magazine”; i „Żywoty Kota” w dziewięciotomowym zestawie, na którego widok pomyślał o leniwym Panu Mrau,

zatopionym w rozkosznej drzemce na poduszce na krześle w Bostonie.

— Bardzo chciałbym wydać niektóre z tych pozycji! — wyznał.

— Panie Osgood! Wydaje mi się, że ma pan wystarczająco dużo pracy na Tremont Street 124 — zauważył porozumiewawczo służący.

— Skąd pan... — zaczął wydawca, słysząc adres swojej firmy w Bostonie. Odwrócił się, by uważniej przyjrzeć się służącemu. — Czyżby to pan Henry Scott? Tak, pan Henry Scott! — Patrzył na znajomą twarz, jakże zmienioną przez dwa ostatnie, trudne lata, a także przez długie, podkreśnione wąsy, o starannie przyczesanych do góry koniuszkach. Wielką różnicę w wyglądzie powodowała liberia Gadshill: obszerny biały kitel z pelerynką i buty z cholewami.

— Tak, panie Osgood — odrzekł zapytany. — Być może przypomina sobie pani, panno Sand, że towarzyszyłem panu Dickensowi i panu Dolby w ich podróżach po Ameryce jako osobisty garderobiany Wodza i, ośmielam się twierdzić, najbardziej zaufany człowiek. Zapewne pamięta pani ten czas, gdy wydarzyła się ta historia z Tomem Branaganem! Cóż, tuż przed naszym wyjazdem w podróż, Scotland Yard przyłapał służącego nadzorującego dom Wodza w Gadshill na wykradaniu pieniędzy z sejfu. Człowiek, który pracował dla Wodza dwadzieścia pięć lat i był za to sownie wynagradzany! Z przyjemnością mogę powiedzieć, że Wódz miał dość rozeznania, by po powrocie z Ameryki mnie dać tę posadę, wraz z miejscem dla mojej żony. Dzisiaj mija pięć lat.

— Słucham?

— Jego śmierć, panie Osgood. Przyszła dokładnie pięć lat po katastrofie kolejowej w Staplehurst. Gdy zachorował, zajrzałem do

jego kalendarza i nie mogłem powstrzymać się od refleksji: zły to omen.

Gdy Henry skłonił się, by odejść, Osgood jeszcze go zatrzymał.

— Panie Scott, co może mi pan powiedzieć o wczorajszym incydencie w letnim domku i o tym człowieku?

— Bardzo za to przepraszam — odrzekł służący, kłaniając się jeszcze niżej. — Jak mówi przysłowie, „wściekły zwierz potrzebuje trzeźwego jeźdźca”. No cóż, gdyby biedny Wódz był obecny duchem lub ciałem, lub choćby pośrodku, nie pozwoliłby nachodzić swych gości. A jeżeli istnieje ktoś na tyle przemyślny, by odwiedzić nas w charakterze ducha, to on nim będzie! Zgodzi się pani ze mną, panno Sand?

Rebeka robiła wrażenie osoby absolutnie nie zachwianej w swych opiniach, co sprawiało, że każdy szukał u niej poparcia dla swoich poglądów.

— W rzeczy samej, właśnie przeglądałam, co czytywał na temat spirytyzmu, panie Scott — odrzekła.

— A ja jestem ciekaw, co dręczyło owego człowieka — przerwał Osgood.

— Ach, cokolwiek by pan wymienił, mogłoby pewnie znaleźć się na liście dolegliwości tego obrzydliwego, spalonego słońcem obiboka! — Henry wyjaśnił, że Dickens czasami stosował mesmeryzm, by leczyć udręczonych lub chorych. Kazał im kłaść się na podłodze lub na kanapie i sprawiał, że pogrążali się w magnetycznym śnie, a potem budził ich, drżących i zziębniętych. Wśród jego pacjentów była pewna niewidoma dama, która wierzyła, że dzięki zastosowanej przez Dickensa hipnozie odzyskała wzrok. — Ten człowiek to jednak przypadek szczególnie — dodał Henry.

Mężczyzna ów, biedny farmer, kilka miesięcy wcześniej dowiedział się od londyńskich lekarzy, że zapadł na nieuleczalną chorobę.

Ponieważ słyszał o niezwykłych umiejętnościach Dickensa, zjawił się u drzwi domu pisarza i żebrał o kurację przy zastosowaniu duchowej i moralnej hipnozy. Przez ostatnie lata Dickens rzadziej używał swoich hipnotyzerskich zdolności, ustąpił jednak i rozpoznał z pacjentem terapię magnetyczną.

— I zadziałała? — zapytała Rebeka.

— Cóż, może i tak, panno Sand, tyle że w złym kierunku — stwierdził Henry.

— Co ma pan na myśli? — zaciekawiał się Osgood.

— Jeden z kucharzy powiedział mi, że choroba farmera złagodniała, ale podczas seansów hipnozy rozchwiała się jego kondycja mentalna. Teraz nieszczęśnik nieustannie włóczy się po okolicy, niczym te bezrozumne psy tam koło stajni, jakby sądził, że Wódz ukrywa się w lesie z rabusiami Falstaffa i pielgrzymami Chaucera, czekając na odpowiedni moment, by powrócić — w końcowej części relacji Henry'ego zabrzmiało więcej podświadomego współczucia dla włóczęgi, niż zdawał sobie z tego sprawę.

Pod koniec dnia, gdy oczy już zaczerwieniły im się od czytania i przepisywania, Osgood i Rebeka postanowili wrócić do gospody. Forster czekał na nich na werandzie Gadshill.

— Czy mamy spodziewać się jeszcze jednej wizyty jutro rano? — zapytał wykonawca testamentu, jakby był szczerze zainteresowany, a nie tylko sondował sytuację.

— W ciągu tych trzech dni, panie Forster, nie znaleźliśmy wiele wskazówek poza listą tytułów, kilkoma nabazgranymi na książce uwagami i kilkoma przekreślonymi stronami rękopisu — przyznał Osgood. — Obawiam się, że jeśli chodzi o tutejsze materiały, wyczerpaliśmy możliwości.

Forster kiwnął głową, z trudem kryjąc zadowolenie, ale natychmiast przybrał wyraz fałszywego rozczarowania.

— Pewnie powrócicie do Bostonu.  
— Jeszcze nie — odrzekł Osgood.  
— Nie? — zdziwił się tamten.  
— Skoro nie ma już nic od odnalezienia w pokojach pana Dickensa, może istnieje jakaś wskazówka poza nimi — w innym miejscu.

Ze źrenicami rozszerzonymi od ciekawości Forster wziął do ręki pióro i kawałek papieru.

— Jest pan amerykańskim przedsiębiorcą, a jak mi wiadomo, ludzie interesów ze Stanów nie znoszą marnowania czasu.

A obawiam się, że pańskie poszukiwania tak właśnie należałoby określić: marnotrawstwo. Oto adres, pod którym zastanie mnie pan, jeśli by pan potrzebował, gdy wrócę do Londynu, gdzie działam jako komisarz do spraw osób obłąkanych. Pan Dickens był zbyt dobrym człowiekiem, by próbować oszukać czytelników, którzy mu zaufali; zakończenie *Tajemnicy Edwina Drooda* byłoby takim, jakim się wydaje — podstępny, zazdrosny mężczyzna zamierzał wykończyć niewinnego młodzieńca i zrobił to, nie ma nic więcej. Jakikolwiek inny pomysł to czysta fantazja!

17.

**K**ategorycznie nakazuję, by pochowano mnie bez większych kosztów, bez ostentacji i przy zachowaniu całkowitej prywatności, by nie ogłaszano publicznie czasu ani miejsca mego pogrzebu, by wynajęto nie więcej niż trzy skromne karawany, a żałobnicy stawili się bez szarf, peleryn, czarnych kokard, ostentacyjnych wstążek przy kapeluszach czy innych odrażających rekwizytów. Życzę sobie, by moje nazwisko wygrawerowano prostymi angielskimi literami, bez dodawania «Pan» czy «Szlachetnie Urodzony». Usilnie proszę mych przyjaciół, by nie wznosili mi żadnego nagrobka, pomnika czy jakiegokolwiek innego dowodu uznania. Ufam, że pozostanę w pamięci mego narodu dzięki moim publikacjom, a w sercach przyjaciół dzięki temu, czego przy mnie doświadczyli; ponadto polecam mą duszę miłosierdziu Bożemu, poprzez orędownictwo Pana Naszego i Zbawcy Jezusa Chrystusa”.

W śniadaniowej sali gospody Falstaff Osgood przejrzał wraz z Georginą Hogarth ostatnią wolę i wyraził swoją opinię co do jej zobowiązań wobec Forstera. Dokument nakreślał zdumiewająco skomplikowany podział odpowiedzialności i obowiązków. Forster w pełni dysponował wszystkimi rękopisami opublikowanych prac Dickensa. Ale zgodnie z testamentem, to Georgy miała zachować całość osobistych dokumentów przechowywanych w domu, do niej także należały decyzje odnośnie do kosztowności i rodzinnych

drobiazgow z biurka Dickensa, jak choćby gęsie pióro, chwilowo zawłaszczone przez Forstera.

— Pan Forster — zwróciła się do Osgooda — czuje się zobowiązany do przypominania światu, że Charlesa należy czcić. To dlatego został pochowany w Zakątku Poetów\*, a nie, jakby sobie życzył, w naszej skromnej wsi. Gdyby pan Forster mógł sam spisać tę wolę, w imieniu Dickensa, zrobiliby to.

Zakątek Poetów — miejsce pochówku wybitnych mistrzów pióra (między innymi Chaucera, Dickensa, Browninga, Kiplinga) w opactwie westminsterskim.

Tego samego popołudnia, po godzinnej podróży koleją z Higham do Londynu, Osgood i Rebeka wkroczyli do budzącego największy podziw dzieła rąk ludzkich w całej Anglii, do opactwa westminsterskiego. Wydawca i jego pracownica instynktownie zwrócili głowy w górę, w stronę wspaniałego sklepienia wysoko nad nimi, na którym niezliczone rozgałęzienia filarów krzyżowały się niczym wierzchołki leśnych drzew spotykające się na tle porannego nieba. Światło wpadające do katedry przez ozdobne różowe witraże okien mieniło się czerwonymi smugami.

W południowej nawie goście z Ameryki odnaleźli marmurową płytę kryjącą trumnę z ciałem Charlesa Dickensa. Wokół okazałego pomnika w Zakątku Poetów wznosiły się nagrobki największych pisarzy. Nad miejscem pochówku Dickensa górowały grobowce Addisona i Szekspira oraz popiersie Thackeraya. Choć spełniono niewiele więcej z jego poleceń, litery wyryte na płycie głosiły to, czego sobie zażyczył.

Charles Dickens  
Urodzony 7 lutego 1812  
Zmarł 9 czerwca 1870

Tłumy ustawiały się w kolejce, by zostawić na płycie wiersze i kwiaty, le z poprzedniego dnia zaczynały już wędznąć w ciepłym powietrzu katedry.

Gdy tam stali, ktoś za nimi rzucił kwiat na grób Dickensa. Pąk miał duże, rozłożyste płatki w odcieniu intensywnej purpury. Wydawca obejrzał się przez ramię i zobaczył odwracającego się do wyjścia człowieka w kapeluszu z szerokim rondem przysłaniającym niemal całe kościste czerwone oblicze.

— Zauważyła go pani? — zapytał Reбекę.

— Kogo? — zdziwiła się.

Już wcześniej widział tę twarz.

— To był chyba nieznamy z letniego domku, ten dziwny pacjent od hipnozy.

W tym momencie w katedrze pojawiła się liczna grupa żałobników. Przybyli aż z Dublina, by zobaczyć miejsce wiecznego spoczynku Dickensa, co z entuzjazmem wyjaśniali Osgoodowi, zupełnie jakby był tu odźwiernym. Tłumnie otoczyli Zakątek Poetów, spychając wydawcę na bok, a tymczasem pacjent od hipnozy znikł.

Niepewni, dokąd teraz skierować kroki, Osgood i Rebecka spacerowali po ulicach Londynu.

Poza poszukiwaniami w Gadshill także tu zapędzili się w kilka ślepych zaułków. Usłyszeli, że pewna mieszkanka Londynu, niejaka Emma James, utrzymuje, że posiada kompletny rękopis *Tajemnicy Edwina Drooda*. James okazała się medium spirytystycznym recytującym ostatnie sześć odcinków *Tajemnicy* dyktowane jej przez „duchowe pióro” Charlesa Dickensa; wnet miała zabrać się do następnej widmowej powieści Dickensa, „Życie i przypadki Bockleya Wickleheapa”. Krążyły też plotki, że Wilkie Collins, popularny kolega Dickensa po fachu, a od czasu do czasu także jego współpracownik, został zatrudniony do ukończenia pracy przyjaciela — wnet plotka ta także okazała się bezpodstawna. Słyszeli też,



że na spotkaniu z królewskim dworem kilka miesięcy przed swoją śmiercią Dickens zaproponował, że wyjawi królowej Wiktorii zakończenie powieści.

— Panie Osgood? — zapytała Rebeka. — Jest pan jakiś nie-swój.

— Chyba się trochę zgrzałem. Chodźmy odwiedzić pana Forstera w jego biurze, może wie coś o Dickensie i królowej.

Nie chciał zniechęcać Rebeki swoim komentarzem. Z przerażeniem myślał o powrocie do Bostonu, gdzie będzie musiał zameldować J.T. Fieldsowi, że *Tajemnica Edwina Drooda* nigdy nie zostanie wyjaśniona — że wszelki ślad po *Droodzie* zaginął. A Fields, Osgood & Co z powodu strat finansowych mogą wnet pójść w jego ślady.

Chronić naszych autorów — naczelną zasada Fieldsa. To nad tym zamyślił się Osgood podczas spaceru. Jego zadanie w Anglii nie dotyczyło wyłącznie finansowej egzystencji firmy i wszystkich jej pracowników, chodziło także o autorów — Longfellowa, Lowellla, Holmesa, Stowe'a, Emersona i innych. Jeśli wydawnictwo runie w przepaść, nad którą się znalazło, jak poradzą sobie osieroceni autorzy? O tak, kochano tych pisarzy, ale czy wydawcy tego pokroju co Major Harper zadbają o nich? Czy bez opieki Fieldsa i Osgooda nie popadną w zapomnienie, tak jak Edgar Poe lub obiecujący niegdyś Herman Melville? Prawdziwa przyszłość wydawców nie leżała w ich przemianie w fabrykantów, jak przewidywał Harper, ale w partnerstwie z autorami — w połączeniu się górnej i dolnej części strony tytułowej.

Pomyślał o odpowiedzialności, która spoczęła na jego barkach. Kiedyś nawet chciał zostać poetą; aż roześmiał się w duchu! Młody Osgood, najlepszy student recytujący klasyczny poemat w Standish Academy. Tamtego października na jego oczach z tuzin kolegów

opuściło miasto w pogoni za złotem Kalifornii, ale dla niego liczyły się ciche sale college'u, a nie dzikie kalifornijskie wzgórza. Był członkiem Phi Beta Kappa\* w Bowdoin, sekretarzem klasy, należał do klubu Pecunian\*\*, ale pozostawał w przyjaznych stosunkach z rywalami z Athenians. W swym otoczeniu niezmiennie uchodził za człowieka sukcesu. Warto było poświęcić własne artystyczne ambicje, by oddać się sprawie artystów i geniuszy, którzy inaczej mogliby się nie przebić.

\* Phi Beta Kappa — stowarzyszenie absolwentów uniwersytetów amerykańskich.

\* Pecunian Society i Athenians Society — rywalizujące ze sobą literackie stowarzyszenia studenckie.

Przygnębiony niewesołymi rozmyślaniami dotarł wraz z Rebeką do rządowego budynku mieszczącego komisję do spraw obłąkanych, w której zasiadał Forster. Powitał ich jeden z jego asystentów. Osgood wyjaśnił, że życzą sobie rozmawiać z panem Forsterem.

— Państwo z Ameryki? — zapytał asystent, z zainteresowaniem unosząc brwi.

— Tak — odrzekł Osgood.

— Amerykanie! — Asystent uśmiechnął się. — Tylko — spoważniał — obawiam się, w przedpokoju nie mamy spluwaczek.

— W porządku — odrzekł uprzejmie Osgood — bo my nie mamy tytoniu.

— Nie? — zdziwił się tamten, po czym spojrzął na usta Rebecki, by upewnić się, że i ona nie żuje tytoniu. — Zechcecie państwo chwilę poczekać? — Wrócił z adresem zapisanym na kawałku papieru. — Pan Forster wyszedł z biura kilka godzin temu. Proszę uprzejmie, chyba tam go państwo znajdziecie. Napisałem dokładne

wskazówki, gdyż Amerykanie w Londynie wciąż się gubią.

— Dziękuję panu, poszukamy go — powiedział Osgood.

Letni dzień stawał się coraz gorętszy i coraz bardziej parny.

Londyn ze swymi chodnikami, z tłumami wakacyjnych spacerowiczów i spieszących dokądś biznesmenów był mniej przytulny od Gadshill, gdzie pola na zboczach wzgórz bujnie porastały zielenią.

Gdy zrobili już, jak im się zdawało, dobrych kilka kółek, Osgood spojrzął na tabliczkę z nazwą ulicy i porównał ją z adresem zapisanym na kartce przez asystenta.

— Blackfriar's Road, po zachodniej stronie St. George's Circus — to tu według niego mieliśmy zastać pana Forstera.

Znaleźli się przy masywnym, pięciokątnym budynku, górującym nad całą ulicą. Osgood oparł się o kamienny filar portyku, by chustką otrzeć czoło i szyję. W tej chwili usłyszeli głośną wymianę zdań, jakby dźwięki niosła trąbka.

— To absolutny fenomen w historii przyjaźni, przyjaźń łącząca owego wuja i siostrzeńca.

Po męskim odezwał się kobiecy głos:

— Wuja i siostrzeńca?

— Takie właśnie łączy ich pokrewieństwo — odrzekł mężczyzna. — Ale nigdy o tym nie mówią. Pan Jasper nie chce słyszeć o „wuju” czy „siostrzeńcu”. Chyba zawsze mówią Jack i Ned.

Teraz odpowiedziała kobieta:

— To prawda, i chyba nikt na świecie nie odważyłby się zwrócić do pana Jaspiera per Jack. Tylko pan Jasper mówi do Edwina Drooda: Ned.

Osgood i Rebeka stali i słuchali z niedowierzaniem.

— O, tam — wskazała podekscytowana Rebeka.

Osgood natychmiast się odwrócił. Afisz na bocznej ścianie potężnego Surrey Theatre zapowiadał spektakle na nadchodzący sezon: *Up in the World*, *The Ticket of Leave Man*, i... *Tajemnica Edwina Drooda*. Sztuka Dickensa, adaptowana przez pana Waltera Stephensa. Afisz zachwalał: „Nowa, udoskonalona scenografia!” i „Doskonała, bezprecedensowa obsada, która trzymać będzie widzów w nieustającym napięciu!” — w przedstawieniu „ostatniej powieści Charlesa Dickensa! Teraz kompletnej!”.

— Teraz kompletnej — przeczytali na głos Osgood i Rebeka.

Po wejściu do holu i pokonaniu olbrzymich schodów znaleźli się na widowni większej od wszystkich, jakie kiedykolwiek widzieli w Bostonie czy Nowym Jorku. Zbudowano ją w kształcie podkowy. Pięćdziesiąt stóp nad nią wznosiło się zadziwiające, złote sklepienie, zdobione delikatnymi wzorami. U podnóża kopuły widniały weneckie, czerwone panele z nazwiskami największych narodowych dramaturgów: Szekspir, Jonson, Goldsmith, Byron, Jerrold...

Uwagę Osgooda zwróciło zamieszanie na scenie. Aktorzy i aktorki grający *Drooda* od ćwiczenia rozmowy Septimusa Crisparkle'a z przybyłą właśnie do wsi Heleną Landless przechodzili teraz do innej sceny, rozgrywającej się w palarni opium. Ale najwyraźniej nie mogli zlokalizować aktora grającego Chińczyka, dostawcę narkotyku.

Osgood wypatrzył za kulisami mężczyznę stojącego w dramatycznie nieruchomej pozie, a obok niego młodą kobietę, która poprawiała zdobiący jego szyję jaskrawy krawat. On sam badał wnętrze swych ust i potrząsał długimi ciemnymi włosami, wpatrzony w ponadprzeciętnych rozmiarów lustro. Miał dużą głowę, istne frenologiczne arcydzieło — delikatne ciało zdawało się z największym wysiłkiem podtrzymywać swą górną część. Gdy mężczyzna przestał

układać wargi w swoje „a” i „o”, Osgood przedstawił się i zapytał o osobę odpowiadającą za spektakl.

— Chodzi panu o wykonawcę woli pana Dickensa, czy tak? — zapytał tamten. — Pojawił się na próbie, by podglądać i podsłuchiwać, ale zdaje się, że już odfrunął jak olbrzymi, tłusty orzeł.

— A więc John Forster autoryzował tę sztukę — mruknął Osgood. — A pan jest aktorem, sir?

Mężczyzna przez chwilę otwierał i zamykał swe pokażne szczęki, próbując pokonać zdumienie, w jakie wprawilo go pytanie.

— Jestem... Arthur Grunwald, proszę pana — oświadczył i dumnie wyciągnął dłoń. — Gruun-woul-d, sir, poprawił z francuska akcent wydawcy, nim ten miał szansę otworzyć usta.

— Armand Duval w *Damie Kameliowej* Dumasa w St. James w zeszłym sezonie — podpowiedziała dyskretnie dziewczyna, która poprawiała aktorowi krawat, podczas gdy on udawał, że nie słyszy listy swych osiągnięć. — Falstaff w *Henryku IV* na deskach Lyceum. I zapewne widział pan pana Gruun-woul-da jako Hamleta w *Princess*. Jej Królewska Mość obejrzała sztukę cztery razy.

— Niestety nie bywam w Londynie tak często jak królowa — powiedział Osgood.

— Cóż, proszę pana! — westchnął Grunwald. — Widzę, co pan sobie myśli: Gruun-woul-d wygląda zbyt delikatnie i jest zbyt przystojny, by grać prawdziwie krzepkiego rycerza. Ani trochę! Za Falstaffa wychwalano mnie pod niebiosa. Natomiast w tym dramacie gram Edwina Drooda. Pański przyjaciel Forster uważa, że skoro autoryzował naszą sztukę, może także i mną kierować! Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Stephens?

— Kto taki?

— Nasz dramaturg! Walter Stephens! Czy nie mówił pan przed chwilą, że jest pan jego wydawcą? Zapomniał pan, taki pan niepozobierany? A może jest pan oszustem, przekupniem pragnącym zdobyć moje autografy, by je odsprzedać?

Osgood wyjaśnił, że jest wydawcą zmarłego Charlesa Dickensa, a nie autora scenariuszy. Grunwald znów się uspokoił.

— Ta cała sława Dickensa — pożalił się do lustra. Z bliska, mimo cery promieniejącej sztucznym, typowym u starzejącego się aktora blaskiem młodości i romantyczności, wyglądał na co najmniej dziesięć lat za starego, by grać Edwina Drooda. — Tyle sławy i wszystko na nic, bo zabrakło mu najważniejszego.

— Czego? — zapytał Osgood.

— Szczęścia w dzieciach. Ale, ale, czyżby przyprowadził pan nam jeszcze jedną chętną aktorkę? Niestety, nie nadaje się. Następna!

— Ależ proszę pana — zaprotestował Osgood — to moja buchalterka, panna Rebeka Sand. — Rebeka postąpiła krok do przodu i dygnęła przed aktorem.

— To dobrze. Nie dostałabyś wielu ról, moja droga, nosząc się w czerni, jakbyś była w żałobie, i to bez wystarczająco wydatnego biustu.

— Dziękuję za radę — odrzekła ostro Rebeka — ale ja jestem w żałobie.

— A, tu jesteś, Grunwald — ucieszył się Walter Stephens, długimi krokami wychodząc zza sceny. — O, przepraszam, chyba nie znam twoich przyjaciół — powiedział, wskazując na Osgooda.

— To nie mój przyjaciel, Stephens. On jeszcze przed chwilą był twoim wydawcą.

Stephens, skonfundowany, lustrował Osgooda od stóp do głów, tymczasem Grunwalda wezwano, by grał. Była to scena, gdy on

(jako Edwin Drood) i Rosa, piękna młoda kobieta, z którą był zaręczony, w przyjaznej atmosferze omawiają plan potajemnego zerwania niechcianego związku. Tymczasem po drugiej stronie sceny Jasper, nałogowy palacz opium, który kocha Rosę, obmyśla plan zamordowania swego siostrzeńca, Drooda. Osgood przedstawił się dramaturgowi, ten zaś ujął go pod ramię i poprowadził w stronę sceny. Rebeka szła za nimi podekscytowana widokiem skomplikowanej maszynerii za kulisami.

— Co sprowadza państwa do Anglii? — zapytał Stephens.

— W zasadzie ta sama *Tajemnica Edwina Drooda*, która ostatnio pochłaniała pańską uwagę, panie Stephens.

— Zgon pana Dickensa niestety pozbawił nas dalszego ciągu.

— W takim razie, pozwolę sobie zapytać, jak zmieni ją pan w sztukę kompletną, skoro brakuje zakończenia?

Stephens uśmiechnął się.

— Widzi pan, panie Osgood, sam napisałem zakończenie!

O tak, życie dramaturga nie jest tak komfortowe jak życie pisarzy, których dzieła pan wydaje. Musimy pracować na takim materiale, jakim dysponujemy, oczywiście traktując go z wielkim szacunkiem, ale nie do tego stopnia, by nie wypełnić naszego obowiązku w kwestii usatysfakcjonowania widza. Gdyż czytając, posługujemy się rozumem, ale oglądając sztukę, używamy oczu — organów o ileż prymitywniejszych. A teraz, niestety, będę musiał zająć się licznymi pilnymi sprawami. Czy pan i pańska towarzyszka uczynicie nam zaszczyt zostania naszymi gośćmi w naszej najładniejszej łoży? — zapytał.

Osgood i Rebeka zasiedli w łoży w dniu prób. Oczywiście, bardzo chcieli wiedzieć, jak Stephens zakończył historię. W ostatnich odcinkach Dickens wprowadził tajemniczego Dicka Datchery'ego, który przybywa do wsi Cloisterham w charakterze śledczego badającego sprawę zniknięcia młodego Drooda, choć wszyscy pozostali

wskazują oskarżycielskim palcem na Neville'a Landlessa, rywala Edwina. Datchery żywi inne podejrzenia. Ale w wersji Stephensa Datchery — o falujących, jasnych włosach przysłaniających mu twarz — zostaje zdemaskowany jako dziarski Neville w przebraniu. Wystąpił jako Datchery, by przedstawić Johnowi Jasperowi, wujowi Drooda, dowody, które sprawią, że dręczony poczuciem winy, Jasper sam targnie się na swoje życie, przedawkowując opium. Osgood i Rebeka właśnie szykowali się do wyjścia w czasie czwartej próby odegrania tej samej sceny, gdy Grunwald przerwał innym aktorom.

— Gdzie jest Stephens? Stephens, co to ma być? Co się stało z poprawioną wersją tego aktu?

— To właśnie jest poprawiona wersja, Grunwald. A teraz, proszę, nie zapominaj, że w tym punkcie opowieści jesteś zbyt martwy, a twoje ciało zbyt spopieliałe, byś mógł tak cieleśnie ukazywać się na scenie.

Grunwald cisnął w powietrze kartki scenariusza.

— Do diabła z tym! Niech was wszystkich szlag! Może powinniście znaleźć sobie jakiegoś innego cholernego Edwina Drooda!

Stephens wrzasnął w odpowiedzi:

— Tutaj są damy, proszę pana, a także Amerykanie, którym nie spodoba się pański wulgarny język!

— Wulgarny? — zapytał Grunwald, nim rzucił się na Stephensa z pięściami. Ten chwycił aktora za bujną czuprynę.

Kierownik wyprowadził dramaturga i aktora, nakazując im, by mordowanie się dokończyli poza sceną.

Osgood zauważył dwóch robotników zmierzających w stronę schodów, żeby sobie zapalić.

— Widzę, że pan Grunwald i pan Stephens się kłócą — zagadnął ich.



- Tak, proszę pana?
- O co im chodzi, może wiecie?

Jeden z robotników śmiechem skwitował niemądre pytanie.

— A jakże. Drażnią się tak codziennie. Art Grunwald mówi, że jest jasne jak słońce, że Charles Dickens chciał, by Edwin Drood przeżył i wrócił pod koniec historii zemścić się na człowieku, który próbował go uśmiercić. Pan Stephens z kolei uważa za oczywiste, że Drood jest martwy i gnije w niegaszonym wapnie.

— A co wy sądzicie?

— Po mojemu Grunwald ma się za zbyt dobrego aktora, by nie być widocznym na scenie do ostatniego aktu. Żałuję, że Dickens umarł, przysięgam na Boga — gdyby żył, nie musielibyśmy wysłuchiwać ich sprzeczek.

Osgood tam i z powrotem przemierzał salonik gospody Falstaff. Właśnie przed chwilą Rebeka przeczytała mu wiadomość od jednego z królewskich ministrów, że Jej Królewska Mość nie przyjęła propozycji Dickensa wyjawienia jej zakończenia *Drooda*. Uznała za właściwe, by pozostało ono dla niej niespodzianką, tak jak dla jej poddanych śledzących kolejne odcinki powieści.

— Niemal żałuję, że nie potrafię uwierzyć w medium dotrzymujące towarzystwa duchowi Dickensa — zauważył wydawca.

— Pan Dickens zapewne uwierzyłby — skwitowała Rebeka z uśmiechem. — Najwyraźniej dał się porwać spirytualizmowi. Może powinniśmy zbadać także i tę dziedzinę.

— Chyba nie ma pani dobrego zdania o podobnych praktykach, panno Sand?

— Być może dowiedzielibyśmy się czegoś o stanie umysłu, w jakim pisał tę powieść.

Osgood usiadł na krześle, wsparł głowę na dłoniach.

— Jeśli w tej chwili jakieś medium powie nam, jak zdobyć ćwierć miliona dolarów w przeciągu kwartału, zostanę jego najbardziej entuzjastycznym zwolennikiem. Nie możemy sobie już pozwolić na marnowanie czasu.

— Jest pan urodzonym sceptykiem — stwierdziła Rebeka, porzucając temat, ale najwyraźniej poczuła się dotknięta tym, że Osgood z miejsca odrzucił jej sugestię.

— Pewnie tak. Nie przepadam za nadprzyrodzonymi zjawiskami, panno Sand. Czuję silną niechęć do marnowania czasu na niekonstruktywne rozważania. Zapomnijmy o hipnozie, pomyślmy o pacjencie, którego jej poddawano. Pamięta pani, co mówił o nim Henry Scott?

— Tak — odrzekła. — Że to farmer, który zwrócił się do Dickensa o pomoc.

— Według Scotta, podczas ostatnich miesięcy życia Dickensa mężczyzna ten regularnie przychodził do Gadshill i poddawał się „duchowym” sesjom. Jeśli ów nieszczęśnik tak często był w gabinecie Dickensa — kontynuował Osgood — mógł coś usłyszeć o tym, jak pisarz planował zakończyć książkę.

— Musiałby pan przyjąć na wiarę słowa człowieka o zachwianej równowadze psychicznej — zauważyła Rebeka. — Widział pan, jak zachował się w domku letnim.

— Coś mi się wydaje, że nasze możliwości się zawężają, panno Sand. Zważywszy na to, że Forster już autoryzował scenariusz oparty na *Tajemnicy Edwina Drooda*, z korzyścią dla jego reputacji i sakiewki byłoby odkrycie takich tylko wskazówek co do zakończenia tej historii, które by pasowały do rozwiązania napisanego przez Waltera Stephensa. Poza tym, nawet jeśli Wilkie Collins nie zamierza uzupełnić powieści przyjaciela, krążące plotki mogą sprawić, że ktoś z rodziny Dickensa wpadnie na pomysł zlecenia tego komuś innemu. W sytuacji gdy każda deska podłogi i każda figurka z Gadshill lada dzień zostaną wystawione na aukcji, rodzina nie pogardziłaby dodatkowym dochodem. W tym kraju nie znajdziemy wsparcia dla naszych poszukiwań, panno Sand.

— Ale jeśli odnajdzie pan tego pacjenta, w jaki sposób skłoni go pan, żeby mówił do rzeczy?

— Jak to powiedział Henry Scott? Wściekły zwierz potrzebuje trzeźwego jeźdźca.

W Gadshill Rebeka zwróciła się w tej sprawie do Henry'ego Scotta, ten zaś przepytał pozostałych służących i ustalił, że pacjent poddawany hipnozie nie pojawił się od czasu spotkania w letnim domku. Wśród służby krążyły zakłady: jedni uważali, że człowiek ten zrezygnował, inni — że zmarł. Rebeka jednak zasugerowała, że skoro był w opactwie westminsterskim, gdy zwiedzali je z Osgoodem, to miejsce to może być jedną z jego częstych przystani.

Przyznawszy jej rację, Osgood powrócił do Zakątka Poetów. Gdy ponownie stanął przy grobie Dickensa, ujrzał ten sam niesamowity, purpurowy kwiat. Potem już regularnie odwiedzał opactwo i czekał na pojawienie się dziwnego jegomościa. — Jestem pewien, że to tylko kwestia czasu — powtarzał Rebecę.

Pewnego dnia, gdy wychodzili do opactwa, natknęli się na Mamie Dickens: z małym pieskiem w torbie i pod ramię z drugą młodą kobietą. Na widok Osgooda i Rebeci otarła łzy i słodko się do nich uśmiechnęła.

Towarzyszająca jej dama była drobna, o zadartym nosku, z rysów twarzy nadzwyczaj podobna do Dickensa. Na głowie miała staromodną muślinową chustę, spod której zwisały rude loki, ozdobione bynajmniej nie żałobnymi malwami. Koronkowa narzutka ledwie okrywała wątłe ramiona, pozostawiając szyję całkiem odsłoniętą.

Została przedstawiona Osgoodowi i Rebecę jako Katie Collins, młodsza z dwóch córek Dickensa.

— Zachowuj się przyzwoicie, Katie! — skarciła siostrę Mamie, naciągając jej narzutkę na ramiona. — Jesteśmy w kościele!

— Przyzwoicie. Jakbym słyszała starego pedela Forstera. Czasem zastanawiam się, czy wysłałam za mąż po to, by uszczęśliwić drogiego ojca, gdy w naszym domu panował jedynie smutek, czy dlatego, że wiedziałam, iż ojciec i pedel gardzą moim mężem?

— Katie Collins!

— Absolutnie nie do przyjęcia! — Katie naśladowała głos Forstera, a potem tak jak on zacierała ręce.

— Proszę mi powiedzieć — zaczął Osgood — czy znają panie człowieka, który przez kilka ostatnich miesięcy przychodził na leczenie do Gadshill — wysoki mężczyzna o wojskowej postawie i długich siwych włosach?

Mamie skinęła głową.

— Zdaje się, widziałam w domu jegomościa, o którego pan pyta. Był bardzo wytrwałym i całkowicie oddanym zwolennikiem metod ojca. Gdy ojciec spóźniał się na spotkanie, tamten potrafił godzinami przesiadywać przed gabinetem.

— Zna pani jego nazwisko? — zapytał Osgood.

— Niestety nie — odrzekła Mamie z westchnieniem. — Ojciec był wielkim zwolennikiem mesmeryzmu, uważał tę metodę za lekarstwo na wszelkie dolegliwości. W wielu przypadkach, nie wyłączając mojej osoby, wykorzystywał swe umiejętności tak, że osiągnął sukces. Zawsze interesował się niezwykłym wpływem wywieranym na siebie nawzajem przez osoby o różnych charakterach.

— Ach, panie Osgood. — Katie, znudzona tematem rozmowy, zalotnie spojrzała na wydawcę. — Gdzie pan był, gdy dziewczyna miała znaleźć męża?

Rebeka wyglądała na równie zażenowaną tym pytaniem jak Osgood. Katie uniosła brwi na znak, że zauważyła.

— Panno Sand — zapytała rezolutnie — nie sądzi pani, że Mamie wyglądałaby oszalamiająco w ślubnej sukni, pod ramię z takim mężczyzną?

— Zapewne, proszę pani — odrzekła skromnie Rebeka.

— Czy należy pani do dziewcząt, które lubią wesela, panno Sand? — nie ustępowała tamta.

— Nie przepadam za weselami.

Niemilą ciszę, jaka nastąpiła, przerwała Mamie.

— Pan Osgood i panna Sand przybyli tu w interesach, Katie, a także by dowiedzieć się czegoś więcej o *Tajemnicy Edwina Drooda*.

— Interesy, cóż za nudziarstwo — stwierdziła Katie, strzelając palcami. — No dobrze, już dobrze. Naprawdę pragniecie odnaleźć drogę wśród splątanego labiryntu i dotrzeć do sedna tajemnicy? Jeśli chcecie poznać zakończenie *Drooda*, kupcie mi nową wstążkę do włosów! Wszystkie moje wstążki idą na aukcję.

— Katie, że też musisz zawsze i ze wszystkimi się droczyć! — zawołała Mamie.

— Powiem im — odrzekła jej siostra, kokieteryjnie nawijając na palec pukiel rudych włosów. — Drood okaże się martwy lub żywy; Rosa poślubi Tartara lub zostanie zakonnica; Dick Datchery znajdzie ciało Drooda lub jego samego grającego w karty w piwnicy z opiekunem Rosy, Grewgiousem. Nie mam zielonego pojęcia. I takie jest rozwiązanie zagadki.

— Co ma pani na myśli? — zdziwił się Osgood.

— Stary pedel, wierna ciocia Georgy, moi krnąbrni bracia, żadna z tych drogich istot nie wie, jak powieść miała się zakończyć, bo ojciec nie chciał, by wiedzieli — nie chciał, by zakończenie znalazł ktokolwiek poza nim, panie Osgood. Widzi pan, to była dla niego gra. Zawsze uwielbiał nas zaskakiwać, a jak już sobie coś postanowił, trzymał się planu co do joty.

Zaraz po tym, gdy tego wieczoru wrócili do gospody, właściciel przyniósł herbatę Osgoodowi, który zasiadł w zamyśleniu na dole, przed kominkiem. Rebeka poszła czytać do swojego pokoju. Sir Falstaff, najwyraźniej roztargniony, upuścił tacę na podłogę i czajnik z filiżanką potłukły się.

— Proszę o wybaczenie, panie Osgood — powiedział, gdy jego siostra już zmiotła odłamki i wytarła rozlaną herbatę. Zdawał się zasmucony czymś innym niż stłuczona porcelana.

Osgood, podążając za jego spojrzeniem, odnalazł źródło niepokoju karczmarza. Był to jeden z tych rozłożystych, purpurowych kwiatów pozostawianych w opactwie: zabrał go z zamiarem poproszenia kogoś z ulicznych sprzedawców kwiecica, by mu go zidentyfikował.

— Obrzydlistwo, nie sądzi pan, sir Falstaffie? Przepraszam za zagrzenie pańskiego stołu tak paskudnym chwastem — mitygował się wydawca. — Złe się pan czuje? Przynieść panu szklankę wody z lodem?

Przeszywany dreszczami karczmarz odrzucił propozycję machnięciem dłoni.

— Nie wiedział pan? To... kwiat opium! Czuję się tak, jakby ktoś zdzielił mnie obuchem w serce.

— Nie wiedziałem! — mitygował się Osgood, choć nadal nie pojmował reakcji gospodarza.

Ten z ponurą miną utkwiał wzrok w słabym płomieniu, zdjął z głowy czapkę i złożył na podolku.

— Nie mógł pan wiedzieć. Od dawna żywię nienawiść do tej rośliny. Mój syn miał zaledwie dwadzieścia wiosen, był rozsądnym młodzieńcem, i właśnie przez zły urok tego chwastu pochowaliśmy go. Dom stał się bez niego taki pusty. To dlatego po jego odejściu wyprowadziliśmy się z siostrą z naszego domu w mieście i przybyliśmy tu, by prowadzić tę przytulną, niewielką gospodę. Możliwość sprawiania przyjemności innym, gdy samemu straciło się wszystko, to taki mały cud.

Osgood zgniótł kwiat i wepchnął go do kieszeni kamizelki, starając się zrobić to dyskretnie. Biedny sir Falstaff siedział nieruchomo z nisko pochyloną, pozbawioną wyrazu twarzą.

— Ano cóż. Dość tego ponuractwa — karczmarz nagle podniósł się z krzesła, przywdział czapkę i uśmiech. — O tak, dość tego, może odrobinę, ale dla pokrzepienia?

Następnego dnia Osgood ponownie wsiadł do hałaśliwego pociągu do Charing Cross. Zamierzał zobaczyć aukcję, na której rodzina Dickensa wystawiała przedmioty z Gadshill.

Zostawił sobie dość czasu na dotarcie do domu aukcyjnego na King Street i pojawił się dużo wcześniej przed zapowiadanim rozpoczęciem „dokładnie o godzinie pierwszej”. W końcu, pomyślał, to dzień corocznego meczu krykieta Eton i Harrow, na ulicach może zrobić się tłoczono. Z godziny na godzinę czuł się coraz bardziej nieswojo. Przystawał wierzyć, że pacjent od hipnozy ponownie się pojawi, ale mak zwrócił jego myśli ku orientalnej figurce palacza opium z letniego gabinetu Dickensa. Czy to na nią patrzył, gdy tworzył sceny palenia opium w *Tajemnicy Edwina Drooda*? Czy to ten przedmiot był źródłem jego pomysłów? Jeśli tak, Osgood chciałby jeszcze raz mu się przyjrzeć.

Obszerna sala aukcyjna w Christie, Manson & Woods była wystarczająco ponura i przykurzona, by dowieść, że należy do historycznych instytucji Londynu. Ku zaskoczeniu Osgooda pokój, w którym panował wielki upał, zappełnił się już w południe. Pojawili się nie tylko zwykli, pyszałkowaci kolekcjonerzy, przedsiębiorczy dealerzy i agenci działający na zlecenie: ramię przy ramieniu stali także mężczyźni i kobiety z towarzystwa, w pięknych letnich strojach, nie zabrakło też osób skromniej odzianych, z klas pracujących. Rozglądając się, można było odnieść wrażenie, że wszystkie postaci ze wszystkich powieści Dickensa, arystokraci i pospólstwo, ludzie wyniośli i niepozorni, że wszyscy oni ożyli i przybyli do Christie z otwartymi sakiewkami.

Osgood zorientował się, że nie zdoła przedrzeć się przez rozentuzjarmowany tłum w pobliże jednego z dwóch nakrytych zielonym płótnem stołów, ustawionych tuż przy licytatorze. Znalazł wszakże wolne krzesło przy kanceliście.



Zakreślił dwie pozycje w katalogu. Sąsiedzi na krzesłach wokół niego spoglądali na siebie nawzajem zazdrośnie, każdy przekonany, że pozostali stawili się tu wyłącznie po to, by zdobyć upragniony właśnie przez niego przedmiot z majątku Dickensa. Wzrok Osgooda natknął się także na spojrzenie Arthura Grunwalda, aktora z Surrey, który skinął mu głową z taką afektacją, jakby jeden z nich miał umrzeć dziś, a w każdym razie jutro. Mimo gorącego, parnego dnia miał na sobie szeroki szal.

Jednym z pierwszych wystawionych przedmiotów z Gadshill okazał się obraz zatytułowany *Britannia*.

— Przedstawia statek, na którym pan Dickens po raz pierwszy popłynął do Ameryki. Rycinę zamieszczono w popularnym wydaniu *Notatek z podróży do Ameryki* — recytował z podium pan Woods, licytator.

Licytowano zaciekle.

— Osiemdziesiąt gwinei, dziewięćdziesiąt! Dziewięćdziesiąt pięć gwinei! Sto gwinei, sto pięć! Po raz pierwszy, po raz drugi... sprzedane!

Młotek pana Woodsa powędrował w dół. Na pierwszy ogień poszło kilka tuzinów portretów i obrazków wycenionych poza zasięg możliwości amatorów. Następnie pan Woods zapowiedział przejście do „dekoracyjnych przedmiotów z majątku zmarłego dżentelmena”. Ta kategoria wzbudziła o wiele bardziej zacieklą rywalizację fanatycznych wielbicieli Dickensa. Do tego stopnia, że na arystokratycznej twarzy pana Woodsa odmalowało się absolutne zdumienie wysokimi ofertami, składanymi za bezwartościowe drobiazgi tylko dlatego, że kiedyś dotykały ich palce pewnego konkretnego człowieka. Wykwintnie ubrane kobiety podnosiły do oczu lornetki i przechylały się to w jedną, to w drugą stronę, by lepiej widzieć.

Asystent zademonstrował gong z tłuczkiem, którym w Gadshill Dickens zwykł był zwoływać członków rodziny.

Gdy osiągnięto cenę trzydziestu gwinei, jegomość siedzący tuż za Osgoodem szepnął skrzekliwie:

— On zawsze miał słabość do gongów.

Osgood, niepewny jak zareagować, tylko uśmiechnął się uprzejmie.

— To prawda — ciągnął skrzekliwy, wcale nie zniechęcony, i przyciskając chusteczkę do prawego policzka, odpowiedział na wątpliwości, których Amerykanin wcale nie wyraził. — Nie pamięta pan tego młodzieńca o słabym wzroku i tego gongu w domu doktora Blimbera w powieści *Dombey i syn*?

W tym momencie w ręce Grunwalda przeszły dwie akwarele przedstawiające dom i grób Malej Neli z *Magazyynu Osobliwości*. Aktor podniósł się, by wyjść, przystanął jeszcze przy rządzie Osgooda. Za Grunwaldem krok w krok szła ta sama młoda kobieta, która poprawiała mu krawat w Surrey.

— Ach, tu pan jest, Osgood, i siedzi pan beczynnienie — zauważył, potrząsając czarną czupryną. — Widział pan, co się wydarzyło?

— O tak, gratuluję zakupu, panie Grunwald.

— Nie zakupu. Zwycięstwa. Sprzątnąłem je sprzed nosa tym chytrym handlarzom dzięki hartowi ducha i zdecydowaniu. Nie na darmo grałem w Princess Hamleta, co nieco dotarło do mnie w kwestii odwagi. Przez całe wieki nie rozumiano Hamleta, a wie pan, to nie on jest niezdecydowany; przeciwnie, jest jak najbardziej zdecydowany: to krytycy nie potrafią zdecydowanie wypowiedzieć się na jego temat! Życzę miłego wieczoru, panie Osgood.

Przed opuszczeniem sali aktor obrzucił wzrokiem całe aukcyjne zgromadzenie z miną, jakby nie tylko przechytrzył kilku handlarzy, ale wszystkich obecnych.

W końcu:

— Pozycja siedemdziesiąta dziewiąta, filizanka, różowa, na nóżce z dekoracyjnej cyny, poprzednio zajmująca miejsce na gzymsie kominka w salonie w Gadshill.

Osgood włączył się do walki, przekroczył rzeczywistą wartość trzech funtów, prowokując zarówno handlarzy, jak i miłośników do podnoszenia tabliczki, aż cena doszła do siedmiu funtów piętnastu szylingów. I ta okazała się ostateczna.

Odebrał kwit od urzędnika, który wpisał kwotę sprzedaży. Przeszedł między rzędami, do sąsiedniego pokoju, gdzie po zapłaceniu otrzymał tę piękną, szklaną czarękę, przechowywaną w pudle z innymi domowymi drobiazgami. Wróciwszy na miejsce, zauważył, że rozgrórzakowanie sięgnęło zenitu.

— Grip! Grip! Grip! — wołano ze wszystkich stron. W centrum uwagi znajdowała się szklana klatka z wypchanym krukiem o imieniu Grip, niegdyś ukochanym ptakiem Dickensa i prototypem gadającego ptaka o tym samym imieniu w jego powieści *Barnaby Rudge*. Liczne ożywione głosy cytowały powiedzonka ulubionego przez czytelników, powieściowego Gripa.

Rywalizowano zajadle, a młotek poszedł w dół dopiero wtedy, gdy cena sięgnęła stu dwudziestu funtów.

Wybuchła szaleńcza burza oklasków, krzyczano: „Nazwisko!” — by uczcić kupującego.

— Pan George Nottage z Cheapside! — przedstawił się radośnie jakiś mężczyzna.

— O co chodzi? — zapytał Osgood swego chętnego do udzielania informacji sąsiada, słysząc jęki i posykiwania zebranych.

— Nottage — odrzekł sąsiad — jest właścicielem firmy stereoskopowej. On po prostu wykorzysta ptaka do robienia stereoskopowych fotografii, które będzie sprzedawał z zyskiem.

Osgood uświadomił sobie cały absurd sytuacji: zebrany w domu aukcyjnym tłum moralistów w imię Charlesa Dickensa z pogardą

odnosił się do zysku. Po kilku następnych pozycjach przeszli do kolejnej zakreślonej w katalogu Osgooda: gipsowej figurki siedzącego Turka palącego opium. Groteskowa figurka, którą widział w letnim domku w Gadshill, przy biurku Dickensa, być może, mogła stanowić jakąś pożyteczną wskazówkę. Ale Woods przeszedł do następnych pozycji. Gdy je opisywał, Osgood wstał i podniósł rękę.

— Przepraszam, panie Woods, ale sądzę, że przeoczył pan pozycję osiemdziesiąt pięć. Turek...

— Pozycja osiemdziesiąt sześć...

— Z całym szacunkiem, sir — nie ustępował Osgood — osiemdziesiąt pięć powinno...

Spocony sąsiad Osgooda pociągnął go za rękaw, jego piskliwy głos stał się jeszcze wyższy.

— Jeśli się pan nie uspokoi...

Młotek poszedł w dół.

— Osiemdziesiąt sześć! — Woods wyrzekł to absolutnie autorytatywnym tonem, jakby numer osiemdziesiąt pięć został na zawsze wyeliminowany z arytmetyki obowiązującej w dobrym towarzystwie. — *Noc i Poranek*, dwie płaskorzeźby według Thorwaldsena, w złożonych ramach!

Osgood usiadł, pokonany. Rozległy się pomrukiwania, zebrani upominali się o pominiętą pozycję, ale wnet uspokoił się, gdy ogólną uwagę przyciągnęły zmagania dwóch handlarzy walczących o oprawne w ramy płaskorzeźby. Osgood z żalem przygotował się do wyjścia z filizanką w dłoni.

Przez tłum przepychał się powoli krępy mężczyzna z rękami głęboko w kieszeniach. Wzrok wbijał we własne stopy, ale od czasu do czasu, jak Osgood zauważył, patrzył wprost na niego. A może to tylko zadziałała wyobraźnia wydawcy pod wpływem rozczarowania przeoczeniem licytatora. Ale po chwili obejrzał się przez drugie ramię: wyjście blokował inny, jeszcze potężniejszy, nachmurzony

mężczyzna o twarzy przypominającej kamień szlifierski, i on nie spuszczał z Osgooda oczu. Nawet ruszył w jego stronę.

Przez kilka sekund wydawca starał się odrzucić od siebie myśl, że ci dwaj są dla niego zagrożeniem. Postanowił zachować się racjonalnie — przeprowadzić test. Gdy powoli wstawał, tamci dwaj zatrzymali się, wymienili między sobą spojrzenia i teraz jeszcze bardziej zdecydowanie zbliżali się w jego stronę, niczym dwa końce imadła. Krępy wpatrywał się w wydawcę otwarcie. Tymczasem kłębiący się w sali tłum sympatyków Dickensa unieruchamiał Osgooda ze wszystkich stron.

Wreszcie na ramieniu legła mu czyjaś dłoń.

— O, przepraszam — zaprotestował stanowczo. — Coś nie tak, sir?

— Chcielibyśmy zaprowadzić pana na górę — odrzekł krępy.

— Kim panowie są? — zapytał Osgood. — Nim z wami pójdę, dżentelmeni, muszę wiedzieć, czego od mnie chcecie.

Nie udzielając odpowiedzi, osiłek chwycił Osgooda za ramię i zaczął ciągnąć w stronę drzwi widocznych za plecami licytatora.

Osgood podniósł rękę.

— Licytuje pan, sir? — zapytał Woods, chrząkając nerwowo.

Asystent licytatora trzymał uniesioną w górę małą, niewiele wartą solniczkę, która dotąd nie wzbudzała większego zainteresowania.

— Wyceniono na dziesięć szylingów, proszę pana — oznajmił Woods.

— Ile już osiągnięto? — głośno zapytał Osgood.

— Dziewięć szylingów, proszę pana.

— Dziesięć gwinei — palnął Osgood i zaraz podniósł własną propozycję: — Dziesięć i pół!

Tłum aż zachłysnął się ze zdziwienia tak znaczną kwotą za solniczkę. Mogło to znaczyć, że pozostali przeoczyli jej wartość, i po chwili ze wszystkich stron padały następne oferty, wreszcie Osgood zwyciężył kwotą osiemnastu i pół gwinei. Zebrani głośno oklaskiwali ten jakże ekstrawagancki zakup. Osgood wyrzucił w górę kapelusz, przygotowując tłum o paroksyzm zachwyty; cała sala wstała, rozległy się głośne oklaski. Osgood skorzystał z zamieszania i uwolnił się z uchwytu osiłka.

Ten wszakże błyskawicznie znalazł się za nim, a wciąż zbyt gęsty tłum uniemożliwiał ucieczkę.

I zdarzył się cud: nim Osgood zorientował się, co się dzieje, płynął z tłumem niesiony na ramionach dwóch mężczyzn. Szamocąc się, by się uwolnić, omal nie przekoziołkował tuż nad głową drugiego z napastników, a przez cały czas rozpaczliwie starał się nie wypuścić z rąk swego zakupu. Udało mu się przytrzymać go pod pachą i rzucił się biegiem, omijając tłum, ale stracił równowagę, potknąwszy się na progu drzwi wiodących na korytarz. Filizanka wyśliznęła mu się z rąk, wystrzeliła w górę.

— O nie! — krzyknął i bezradnie czekał na moment, gdy się rozbije.

Z cienia wyłonił się nieznajomy mężczyzna i pochwycił szklaną czarzkę, nim uderzyła o podłogę.

Osgood odetchnął z ulgą. Uratowana! Mężczyzna spoglądający spod szerokiego ronda kapelusza miał inteligentne, żywe oczy. Z jego butonierki wystawał miękki, purpurowy kwiat.

— Oni wciąż idą za panem! — powiedział. — Proszę za mną.

Korytarzem na tyłach Christie wybawca Osgooda poprowadził go do sutereny, a stamtąd na ulicę, wprost na krótki zaułek, skąd tylko krok dzielił ich od bezpiecznej kryjówki w ożywionym, londyńskim tłumie. — Czym zasłużył pan sobie na aż tak wielkie zainteresowanie? — zapytał nieznajomy, gdy rozejrzawszy się wokół, stwierdzili, że nikt ich nie śledzi.

— Naprawdę nie mam pojęcia — odrzekł Osgood. — Zapytałem licytatora o pominiętą pozycję — numer osiemdziesiąt pięć. Jest w katalogu. Zauważyłem ten przedmiot w Gadshill w dniu, gdy pan się tam pojawił. Sam widziałem, jak następnego dnia figurkę pakowali robotnicy z domu aukcyjnego. — Osgood wręczył nieznajomemu katalog.

Mężczyzna skinął głową; przechodzili właśnie przez ruchliwy plac, przy którym wznosiły się ceglane i otynkowane budynki. Każdy przechodzień w Londynie, nawet najuboższy, paradował z kwiatem przypiętym do płaszcza, wszakże nikt inny nie mógł się pochwalić makiem.

— Skoro widział pan, jak wynosili tę gipsową figurkę, i skoro widniała w katalogu, to musiała dotrzeć na salę aukcyjną. Dlaczego więc ją pominięto? Według mnie istnieje tylko jedno, wielce prawdopodobne wytłumaczenie. Została skradziona z pomieszczeń Christie już po wydrukowaniu katalogu, a nie było dość czasu, by nanieść poprawkę — czyli tuż przed aukcją o godzinie pierwszej. To wyjaśnia, dlaczego pana ścigali.

— Sądzi pan, że wzięli mnie za złodzieja? — wykrzyknął Osgood.

— To raczej nieprawdopodobne! Ale to pan zwrócił uwagę na fakt, że figurka znikła. Niech pan spojrzy na to ich oczami. Jeśli gazety napisałyby o przypadku kradzieży w domu aukcyjnym Christie, informacja ta dotarłaby do uszu najbardziej wyrafinowanych handlarzy w Londynie. Nie uszłoby także ich uwadze, że coś takiego miało miejsce właśnie podczas wyprzedaży majątku Dickensa. Ilu klientów mogłoby odejść do konkurencyjnych domów aukcyjnych?

Osgood przemyślał tę ewentualność. Przypomniał sobie, jak na „Samarii” pan Wakefield wspomniał o korzystaniu z usług Christie w swoim handlu herbatą, i postanowił do niego napisać z prośbą o zbadanie, co stało się z figurką. Na razie z uwagą obserwował pewne kroki i ruchy człowieka, który nie wiadomo dlaczego tak dziwnie zachował się w letnim domu w Gadshill.

— Chciałem z panem porozmawiać, sir — wyznał niepewnie.

— Wiem o tym — odrzekł jego towarzysz, nie zwalniając kroku.

— Naprawdę?

— Szukał mnie pan w opactwie.

— A więc zauważył pan, że tam poszliśmy? Śledził nas pan! — wykrzyknął Osgood.

— Ależ nie musiałem, to było oczywiste. Wiele można dowiedzieć się, mój przyjacielu, po prostu mając oczy otwarte.

— Jak to? — zapytał Osgood, szczerze zainteresowany, ale także chciał sprawdzić psychiczną kondycję nieznanego.

— Po pierwsze, widziałem, jak bardzo zainteresował państwa mój kwiat, gdy przyszlście do Zakątka Poetów.

— Mak, kwiat opium.



Mężczyzna przytaknął.

— Potem któregoś dnia zauważyłem, że jeden z moich kwiatów zniknął. Założyłem, że zabrała go ta sama osoba, która patrzyła nań z taką uwagą przy pierwszej okazji: czyli pan.

— Jest w tym pewna logika.

— Czy dowiedział się pan czegoś o mnie z odpowiedzi na pańskie listy do ekspertów mesmeryzmu?

— Co takiego? — Osgood osłupiał. — Ale ja przecież dopiero teraz, przed samym wyjazdem z gospody, poprosiłem swoją sekretarkę o wysłanie listów z prośbą o informację! Poleciłem jej wykonanie tego zaledwie dzisiaj rano, przyjąwszy, że po śmierci pana Dickensa mógł pan zwrócić się o podobną kurację gdzie indziej. W jaki sposób dowiedział się pan o tym?

— Och, nie dowiedziałem się! Po prostu tak założyłem, co jest bardziej wygodnym sposobem zdobywania informacji niż wiedza.

Osgood był pod wrażeniem.

— Zwrócił się pan do innego hipnotyzera?

— Nie ma potrzeby. Pan Dickens całkowicie mnie wyleczył.

— Szanowny panie, czuję się pańskim dłużnikiem za pomoc udzieloną mi w domu aukcyjnym. Nazywam się James Ripley Osgood.

Nieznajomy dziarsko odwrócił się do wydawcy. Jego proste, siwe włosy tym razem były starannie wyszczotkowane, choć ubranie nosił niechlujne i zbyt obszerne. Spalona słońcem twarz była dorodna, o wyrazistych rysach. Nie zaskoczyło Osgooda, że Dickens zgodził się przyjąć tego farmera w swym domu — pisarz był z możliwości niesienia pomocy pracującym biedakom niemal tak dumny, jak ze swych dzieł, bo nigdy nie zapomniał o własnym skromnym pochodzeniu.

— Myślę, że jesteś pan gotowy, Ripleyu — oznajmił nieznanomy, odsłaniając wyszczerbione zęby w enigmatycznym uśmiechu,

którym skwitował ten bezpretensjonalny sposób zwracania się do wydawcy,

— To samo powiedział pan w letnim domku. Gotowy, tylko na co?

— No cóż, na odkrycie prawdy o Edwinie Droodzie.

Osgood starał się nie okazać podekscytowania ani nawet zaskoczenia tym zdumiewającym stwierdzeniem.

— Czy mógłbym poznać pańskie nazwisko, sir? — zapytał w odpowiedzi.

— Przepraszam, gdy widział mnie pan w Gadshill, akurat przechodziłem jeden z tych moich nienaturalnych napadów i nie zachowałem się, jak należy. Nie przedstawiłem się. Co sobie pan musiał pomyśleć! — nieznajomy pokręcił głową, wyrażając w ten sposób dezaprobatę dla swego zachowania. — Nazywam się Dick Datchery. Teraz, gdy już pan wie, kim jestem, możemy rozmawiać szczerze.

## 20.

Posłaniec przyniósł Rebecce prośbę Osgooda, by spotkała się z nim w sali śniadaniowej Falstaffa. Wreszcie nadjechał, a ona czekała cierpliwie, gdy umieszczał kapelusz i lekki płaszcz na wieszaku, a potem ostrożnie kładł na stole torbę i zawinięty w papier pakunek. Zdawał się wielce podekscytowany i pełen nadziei. Opowiedział jej o aukcji, o swej ucieczce i o tym, czego dowiedział się od kurowanego hipnozą pacjenta.

— Więc on jednak jest szalony — stwierdziła Rebeka, unosząc dłonie. — Chyba to załatwia sprawę. Nie możemy spodziewać się, by zapamiętał jakąś przydatną dla nas wskazówkę pana Dickensa.

Osgood machnął ręką.

— Panie Osgood — ciągnęła — przecież dopiero co przez piętnaście minut opowiadał mi pan, że ten nieszczęsny farmer uważa się za Dicka Datchery'ego, postać z niedokończonej powieści, czy nie tak?

Osgood skrzyżował ramiona na piersi.

— Niby co wspólnego miałyby mieć ostateczny kształt tej powieści z jego zdrowiem psychicznym, panno Sand?

Rebeka spojrzała na pracodawcę ze zdecydowanie trzeźwą miną, ale jej zazwyczaj opanowany głos drżał z emocji.

— Byłoby bardziej dorzecznie uważać, że się jest postacią z powieści już ukończonej. Przynajmniej wiedzieliby się, czy czeka nas oplakany, czy wspaniały los.

Osgood uśmiechnął się na widok jej rozgoryczenia.

— Panno Sand, przyznaję, pani sceptycyzm ma solidne podstawy. Człowiek nazywający siebie Datcherym znajdował się w stanie psychicznego napięcia, widzieliśmy to na własne oczy w Gadshill. Zdaje się nie pamiętać niczego z okresu sprzed rozpoczęcia sesji, nie ma pojęcia, skąd się wziął. Ale jeśli — niech pani to rozważy — leczenie hipnozą zastosowane przez Dickensa w jakiś niezamierzony sposób wpłynęło na już i tak zachwianą równowagę psychiczną pacjenta, a wpływ ten okazałby się dla nas korzystny? A jeśli drogą hipnozy dzięki dotarciu do jakiejś głębszej warstwy psychiki udało się Dickensowi przenieść na pacjenta śledcze zdolności fikcyjnej postaci Datchery'ego? On nawet wysławia się jak Dick Datchery! Proszę spojrzeć na to.

Rebeka nieufnie obserwowała Osgooda wyjmującego z torby książki, które, jak twierdził, kupił na Paternoster Row w drodze powrotnej do hotelu. Każda traktowała o jakimś zagadnieniu spirytualizmu lub mesmeryzmu.

— Te pozycje mówią o przepływającym przez nas soku życia. O możliwości uśmierzenia bólu i poprawy stanu nerwów siłami magnetycznymi...

Rebeka, z niedowierzaniem słuchając takiej terminologii padającej z ust pracodawcy, odstawiała z brzękiem uniesioną do ust filiżankę.

— O co chodzi, panno Sand?

— Niektóre z tych książek noszą takie same tytuły jak kilka pozycji w bibliotece w Gadshill.

— To prawda!

— Panie Osgood, nie życzył pan sobie, bym przejrzała tamtejszy księgozbiór. Twierdził pan, że ani trochę nie wierzy w zjawiska nadprzyrodzone.

— I bynajmniej nie zmieniałem zdania. Ale Mamie Dickens i jej siostra Katie potwierdziły w opactwie, jak bardzo Charles Dickens w nie wierzył. Mamie nawet przyznała, że mesmeryzm działał na jej osobę. Jeśli Dickens, świadomie lub niechcący, wyjawiał temu człowiekowi więcej informacji na temat powieści, nawet jeśli sam pacjent nie zdaje sobie z tego sprawy, to być może właśnie otwiera się przed nami szansa, byśmy opuścili Anglię z wiedzą większą, niż gdy do niej przybyliśmy. Umysł tego człowieka — jakkolwiek zaburzony — może kryć w sobie ostatnie wątki *Tajemnicy Edwina Drooda*.

— Co pan proponuje?

— Traktować go jak Datchery'ego. Pozwolić mu na kontynuowanie śledztwa. Zaproponował spotkanie dziś wieczorem w opactwie. Obiecał zaprowadzić mnie do sekretnego miejsca, gdzie, jak twierdzi, otrzymamy odpowiedzi, których szukamy.

Rebeka, patrząc na pakunek na stole, zmrużyła oczy

— Proszę się przyjrzeć — oznajmił z dumą Osgood. — To właśnie zakupiłem na aukcji, zanim wypędzono mnie za wypytywanie o figurkę.

Odwinęła papier.

— Filiżanka z kominka w Gadshill!

— Chciałem, by panna Dickens dostała ją z powrotem. Pomyślałem, że będzie to mały dowód wdzięczności dla rodziny.

Serce Rebeki zabiło mocniej z powodu dobroci tego gestu, ale że targały nią sprzeczne uczucia, zaschło jej w ustach.

— To bardzo po dżentelmeńsku z pana strony — oświadczyła.

— Dziękuję, panno Sand. Muszę przygotować się do wyjścia. Ten strój, jak twierdzi Datchery, rzucalby się w oczy tam, gdzie wybieramy się dziś wieczorem — z aprobatą cytował słowa nowego znajomego. — Obawiam się, że nie przywiozłem ze sobą niczego

odpowiedniego. Ale pani tak kręci głową, że aż poluzowały się wstążki kapturka.

— Naprawdę? — odrzekła z niewinną miną. — Pewnie dlatego, że nie będę wiedzieć, dokąd pan się wybiera. Z człowiekiem o zachwianej, prawdopodobnie zaburzonej psychice jako przewodnikiem w obcym dla pana mieście. Proszę się tylko zastanowić!

Osgood kiwnął głową.

— Myślałem o skonsultowaniu się ze Scotland Yardem, by zapewnić sobie eskortę policji, ale coś takiego z pewnością odstręczyłoby właśnie tego, kto ma mnie poprowadzić. Jestem wydawcą, panno Sand. Wiem, co wiąże się z moją profesją. A mianowicie, że bardzo często muszę wierzyć w ludzi, którzy wierzą w coś innego — w coś, do czego ja osobiście często w najmniejszym stopniu nie jestem przekonany. W jakąś historię, filozofię — rzeczywistość inną od tej, którą znam czy kiedykolwiek poznam.

Podczas gdy Osgood przygotowywał się do wyprawy, Rebeka siedziała wpatrzona w listki herbaty, jakby one także miały zdolności spirytystyczne lub moc przepowiadania przyszłości, które jej pracodawca zdawał się odkryć w swym nowym znajomym. Siłą rzeczy czuła się wykluczona z powodu podjętej przez niego decyzji i sposobu, w jaki do niej doszedł.

Wrócił w ubraniu tylko odrobinę mniej formalnym.

— Obawiam się, że nadal będę rzucał się w oczy — powiedział z uśmiechem. — A tak przy okazji, przyszedł list od pana Fieldsa — zmienił temat i ciągnął zawodowym tonem. Przyłożył sobie dłoń do karku, zdradzając zaniepokojenie. — Houghton i jego człowiek Mifflin, wie pani, są niczym dwa ramiona nożyczek. Założyli czasopismo konkurujące z naszym raczkującym magazynem i ładują w nie pieniądze. A Major zapowiada, że bracia Harperowie otworzą filię w Bostonie, bez wątplenia po to, by wpędzić nas w jeszcze

większe kłopoty! Harper się nie myli. Nie mogę zamykać oczu na realia biznesu, jeśli chcę kontynuować to, co zbudował pan Fields. I pokazać, że potrafię być wydawcą tego samego kalibru, że zdołam znaleźć następnego Dickensa. Panno Sand, muszę poprobować wszystkiego, co przyjdzie mi do głowy.

— Musi pan — przyznała.

— A jednak nie zgadza się pani ze mną — powiedział Osgood.

Widząc, że się waha, poprosił:

— Proszę mówić szczerze, panno Sand.

— Dlaczego chciał pan, bym tamtego dnia towarzyszyła panu do Chapmana i Halla?

Udał, że nie rozumie.

— Sądziłem, że trzeba będzie sporządzić kopie dokumentów — gdyby nam jakieś pokazał. Co to ma wspólnego z naszą rozmową?

— Proszę mi wybaczyć, że poruszam tę kwestię, ale wydawało mi się, że znalazłam się tam tylko po to, no cóż, by pokazać się jako kobieta.

Osgood zrobił taką minę, jakby chciał zmienić temat, ale stanowcze spojrzenie Rebeki nie pozwoliło mu na to.

— To prawda — odpowiedział w końcu — zauważyłem podczas poprzedniej wizyty w ich firmie, że nie zatrudniają kobiet, i pomyślałem sobie, że ktoś, kto lubi się popisywać jak pan Chapman, w obecności ładnej kobiety będzie mówił mniej ostrożnie. Twierdziła pani, że pragnie pomóc, przyjeżdżając do Anglii.

Policzki Rebeki gniewnie zaczerwieniły się pod wpływem rzuczonego w nieodpowiedniej chwili komplementu.

— Ale nie swoją urodą.

— Ma pani rację. Nie powinienem był wykorzystywać tego w rozmowie z Chapmanem, przynajmniej nie bez wytłumaczenia się.

Jednak, zdaje mi się, że sprawa ta przesadnie panią przygnębiła.

— Może w mówieniu wprost nie jestem tak dobra jak pani Collins, która sugeruje małżeństwo przy pierwszym spotkaniu — stwierdziła Rebeka, wspierając ręce na biodrach.

— Panno Sand... — zaczął Osgood, mocno wzburzony, co jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi. — Cała ta rozmowa jest dla mnie niepojęta.

Rebeka wiedziała, że oznacza to koniec rozmowy i że nie powinna zwracać się w ten sposób do pracodawcy. Ale spojrzeniem wciąż uciekała w stronę szklanej czarki, a własne, zniekształcone odbicie prowokowało ją niczym jakiś wewnętrzny demon.

— Rozumiem, dlaczego Mamie byłaby o wiele bardziej przekonująca ode mnie — dodała. — Byłaby świetną partią dla każdego mężczyzny. Należy do rodziny Dickensów.

— Panno Sand! — wykrzyknął Osgood niecierpliwie. — Przywiozłem panią tu, by mi pomogła, a także otrząsnęła się nieco po śmierci Daniela. Może cały ten pomysł, by mi pani towarzyszyła, był błędem. Jak można nawet pomyśleć, że żywię zakusy wobec Mamie Dickens ze względu na to, kim jest — nie szukam sobie Dickensówny! — wydawało się, że na końcu języka ma jeszcze jakieś inne zdanie, ale przelknął je.

Spojrzał na zegarek i wyszedł. Jego kroki rozbrzmiały na schodach, którymi zbiegał. Rebeka stała nieruchomo, przestraszona. Przestraszona tym, co właśnie zaszło między nimi, tym, co ich niepowodzenie mogłoby oznaczać dla jej przyszłości w Bostonie, i tym, co może się przytrafić Osgoodowi w jakimś ciemnym londyńskim zaułku.



## 21.

BENGAL, INDIE, LIPIEC 1870 ROKU

Złodzieja opium złapano, a teraz należało przesłuchać go w sprawie popełnionego przestępstwa i dowiedzieć się o miejscu przechowywania skradzionego narkotyku. Przed izbą, w której miało się odbyć przesłuchanie, Mason i Turner z konnej bengalskiej policji z trudem zachowywali cierpliwość.

— Jestem zaskoczony, że odnaleziono go ukrywającego się w pobliżu rodzinnej wioski — zauważył Mason. — Oczywiście kryjówka zbiegłego złodzieja!

Turner parsknął pogardliwie.

— Ale nie wystarczająco oczywiście, czyż nie, Mason? Zmarnowaliśmy całe popołudnie, koczując w górach i zastawiając zasadzkę, podczas gdy Dickens niemal potknął się o niego; jak zwykle, głupi ma szczęście.

— Uważasz, że inspektor z wydziału specjalnego też będzie je miał?

— Głupi ma szczęście! To cały Frank Dickens!

— A więc nie miałeś nic wspólnego z rabunkiem opium? Złodziej skinął głową.

— Rozumiem, że tak właśnie zeznałeś naszym funkcjonariuszom z konnej policji — oświadczył inspektor z wydziału specjalnego. — Jednak jesteś notowanym złodziejem. Kładź się, mój synu.

Rabuś położył się na *czabutra*\*, a inspektor pomógł mu przybrać taką pozycję, aby stopy umieścił na wyższej krawędzi platformy, głowę na niższej. Leżący drżał ze strachu, wiedząc, na co się zanosi.

\* *Czabutra* (hind.) – platforma stosowana między innymi do wykonywania kary chłosty.

— *Butna*, proszę – inspektor zwrócił się do pomocnika. Potem ze zmarszczonymi brwiami spojrział na więźnia, jakby przeproszał go za jakąś drobną, osobistą nieuprzejmość.

— Ponoć jest niemy jak egipski Sfinks.

— Nie bredź – warknął w odpowiedzi Turner i zaraz dodał:

— On nie jest niemy.

— Odkąd go aresztowano, prawie nic nie powiedział – upierał się Mason. — To miałem na myśli. Nawet gdy go tak dotkliwie chłostali. Myślisz, że taki z niego desperat? Widział przecież, jak dopadliśmy jego kompana, mając do dyspozycji tylko twój karabin i moją szablę. Nic dziwnego, że ten drugi stracił głowę i wyskoczył przez okno z pociągu.

Turner chrząknął.

— Dickens twierdzi...

— Co takiego?

— Inspektor Dickens twierdzi, że złodziej się czegoś boi. Że ukrywa coś więcej niż kradzież.

— Dickens nie ma... przekłety pyszałek! — oburzył się Turner. — To on wezwał inspektora śledczego. Równie dobrze ja mogłem spełnić ten obowiązek. Każdy z tych ciemnych pogańców zmięknie popieszczony batem i kijem, obesłoby się bez sił specjalnych. — Turner odsunął krzesło i ruszył korytarzem.

— Dokąd idziesz, Turner? Mamy przecież zabrać więźnia, gdy inspektor już z nim skończy.

Inspektor trzymał nad więźniem *butna*, wodę w miedzianym naczyniu z wydłużonym dzióbkiem. Powoli lał wodę na górną waręgę leżącego. Woda spływała przez płytkie rowki warg i zbierała się w zagłębieniach wokół nozdrzy, przytapiając więźnia.

Mason drżał, podnosząc się z krzesła.

— Słyszysz jego krzyki, Turner? Krew stygnie mi w żyłach.

Turner odwrócił się i zajrzał przez małe okienko w drzwiach, zza których dobiegały krzyki i nagle jakby się wystraszył.

— Jak sądzisz, co on powie, Mason?

Oczy złodzieja wypełniły się łzami, wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem.

— Siadaj — polecił nadal uśmiechnięty inspektor, a miedziane naczynie podał pomocnikowi.

Potrwało kilka minut, zanim więzień znów złapał oddech.

— Zabierzcie mnie do *babu*! Proszę! — błagał, gdy tylko odzyskał głos. — Wszystko wyjawię, wasza wysokość, opowiem o innych moich kradzieżach, ale na Boga, przestańcie już! Zabierzcie mnie do niego!

— Niezwłocznie, synu! — Inspektor delikatnie podniósł więźnia na nogi. — I powiesz nam, gdzie ukryłeś opium? — dodał.

— Tak! Tak! — zarzekł się złodziej.

Podczas gdy więzień był przesłuchiwany, Frank Dickens szukał jeszcze innych odpowiedzi, których nie spodziewał się uzyskać od złodzieja. A po te odpowiedzi musiał wybrać się do wsi, gdzie mieszkał kompan więźnia, działający wspólnie z nim przestępca, osławiony Narain.

Podróż nie należała do przyjemnych. Tubyłcy w biegu nosili na ramionach palankin, zwany *palki*, umocowany z przodu i z tyłu na dwóch zestawach żerdzi. Udręczony podróżnik leżał na cienkim kocu wyścielającym *palki*. Tubyłcy wznosili hymny do bogini Kali, prosząc o dodanie im sił, a Frank próbował zasnąć. Kiedyż wreszcie pozbędą się tych swoich bożków i bogiń — zastanawiał się, kołyszając się wewnątrz chybotliwej konstrukcji. Jednak to nie nocny upał czy prymitywne śpiewy tragarzy nie pozwalały mu zasnąć, lecz obrzydliwa woń tłących się, brudnych gałganów i stęchłego oleju pochodni oświetlających drogę przed *palki*.

Po pewnym czasie karawana zatrzymała się. Frank drgnął, uświadomił sobie, że usnął, i usiłował przypomnieć sobie, co mu się śniło. W Indiach jakoś nigdy nie pamiętał swoich snów. Był właśnie rano i inspektor dotarł do odległej bengalskiej wsi, celu swej podróży. Ani sędzia, ani miejscowy urzędnik nie wyszli na jego powitanie, gdyż specjalnie nie zawiadamiał o swej wizycie.

Wzdłuż drogi biegnącej w stronę widniejącej w oddali zrzużnowanej świątyni ciągnęły się pola uprawne, upstrzone purpurą maków. Mak zastąpił tu większość jadalnych roślin, tak że okoliczne ziemie stały się wyschłe i wyjałowione.

Kiedy mijał pola makowe — mosiądz na policyjnym mundurze mienił się w słońcu poranka — ujrzał *rjiotów*, czyli rolników, mężczyzn, kobiety i dzieci. Żelaznymi *situha* zgrabiali resztki opiumowego maku do glinianego garnka. Następnie zapakowany w bale narkotyk miejscowym transportem miał być dostarczony i zeskładowany w długich rzędach, w nadzorowanych przez Brytyjczyków magazynach. Cierpka woń makówek przyprawiała Franka o mdłości. Jakiś *rjiot* uniósł wzrok znad motyki, gwałtownie ją upuścił i rzucił się do ucieczki. Dickens, przyjrząwszy się poletku, które tamten obrabiał, zobaczył, że to ryż. Zmarszczył brwi. Prawo

nakazywało uprawę opium, ryż był nielegalny.

Brytyjski rząd płacił wieśniakom, by siali mak zamiast zbóż, uciekano się wszakże również do przymusu, a nawet do użycia siły.

Była to jedna z najbiedniejszych ze znanych Dickensowi wiosek, nieustannie zagrożona głodem z powodu zniszczenia tradycyjnych upraw. Trzy lata wcześniej, podczas głodu w Orisie klęska szybko rozszerzała się na takie wioski jak ta. Podobno rodzice, jak mówiło się wśród policjantów i angielskich pracowników, zjadali własne dzieci. Rząd obawiał się, by uprawa opium nie stała się obiektem krytyki moralistów w Anglii, nakazał więc armii dostarczać do najbiedniejszych miejscowości tyle jedzenia, ile tylko się dało. Jednak w Bengalu na ponad pięciuset tysiącach akrów nadal uprawiano opium i żadna ilość racji żywnościowych nie mogła wynagrodzić strat w rolnictwie.

Tutejsza rzeka — kiedyś tętniący życiem szlak handlowy do Kalkuty i z powrotem — teraz, gdy Anglicy zakończyli budowę kolei, by przyspieszyć transport opium i przypraw, cicho szemrała. W tej niegdyś handlowej arterii kąpali się i igrali mężczyźni, kobiety i dzieci. Starsi modlili się i rozmawiali, a dzieci taplały się w wodzie. O tej wczesnej godzinie przed nadejściem upału cała wieś wyległa na dwór.

Frank zapytał o drogę grupkę półnagich tubylców, zatrzymał się, by otrzeć czoło i napić się wody, wreszcie dotarł do glinianej chaty przy wąskiej ścieżce. Koło domu wznosiła się sterta suchych roślin, martwych zwierząt i śmieci. Jeszcze silniejszy smród zaatakował go od góry. Przyklejone do ścian domu kopczyki krowiego łajna grzały się w słońcu i schły, by służyć jako opał. Przed werandą przygotowywała posiłek uderzająco piękna młoda kobieta, bosa, z gołą głową. Nie rozpałała ogniska — co oznaczało, że nosi żałobę. Golusienki malec przytrzymał się dla zachowania równowagi

obu jej nóg. Wokół kobiety, dziecka, ziarna i tłuszczu roilo się od much.

— Wdowa Narain? — zapytał Frank Dickens, podchodząc bliżej.

Skinęła głową.

— To moi oficerowie aresztowali go kilka tygodni temu w prowincji Bagirhaut po tym, gdy razem z kompanami dokonał rabunku opium.

— Nasza wioska jest bardzo biedna, panie — odrzekła wdowa spokojnie, bez śladu poczucia winy w głosie. — Pracował na polu, dopóki nie okazało się, że jest zbyt wielu rolników i ani trochę ziemi pod uprawy.

Chata okazała się zaskakująco czysta. Frank dostrzegł kilka narzędzi rolniczych, prymitywny pług i zwisający z powały połamany, dawno nieużywany sierp. W sypialni stała drewniana rama łóżka ze spodem wplecionym ze sznurka, a we wnęce, która pomieściła-by kilka tomów, leżała jedna jedyna książka, traktująca o hinduskich bogach. Używając łóżka jako sofy, Frank usiadł i przerzucił kartki hinduskiego traktatu.

Zwracając się do wdowy, która teraz karmiła dziecko, zapytał, czy tomik należał do jej męża.

Skinęła głową.

— A więc on czytał?

— Nigdzie nie ruszał się bez swych książek.

Po otrzymaniu wskazówek, gdzie znajdzie handlarza, któremu sprzedała pozostałe książki, Frank przeszedł przez wieś i znalazł stoisko przy spokojniejszym końcu ożywionego bazaru.

— Jak mi wiadomo, wdowa Narain sprzedała tu kilka książek po mężu. Traktaty na temat hinduskiej mitologii i religii. Pamiętasz je?

Księgarz spojrział na Anglika znad okularów.

— A jakże!

- Czy wciąż masz je na stoisku?
- Tak sędzę, sir. Ale wszystkie te książki są wymieszane.
- Kupię, co tylko masz na ten temat.

Po powrotnej podróży w okropnej *palki* Frank jeszcze tego samego wieczoru spotkał się z inspektorem przesłuchującym więźnia.

— O tak, panie inspektorze, przed tutejszym sędzią przyznał się do wszystkiego. Pospolici złodzieje nie znoszą tak dobrze dolegliwości fizycznych jak twardziele, których zwykłem przepytwać w przeszłości.

- Wierzy pan, że zeznał prawdę? — zapytał Dickens.
- Owszem, jednak...
- O co chodzi, inspektorze?

— Choć się przyznał, to wydaje mi się, że coś zataił, jakby czymś wystraszony. Ale wystraszony inaczej, niż człowiek bojący się mojej *czabutra*. Ten złodziej może jeszcze coś przed nami ukrywać. Pański człowiek, Turner, przez cały dzień usiłował dowiedzieć się, co się wydarzyło. Strasznie zapalił się do tej sprawy.

Dickens zignorował ostatnią informację.

- Czy złodziej wskazał miejsce ukrycia skradzionego opium?
- Ostrzegłem go, by z nami nie igrał. Naszkicował plan.
- Odzyskanie opium to dla nas sprawa największej wagi. Po tem zajmujemy się jego sekretem i funkcjonariuszem Turnerem.

## 22.

LONDYN, PÓŹNY WIECZÓR, ROK 1870

„Datchery” był tego wieczoru w opactwie. Czekał. Szaleniec czy nie, można na nim polegać, stawiał się, jak obiecał, pomyślał Osgood. Taki punktualnie szalony. Datchery — Osgood nie znał innego nazwiska tego człowieka, poza jego absurdalnym pseudonimem — ujął wydawcę pod ramię i ruszyli mokrymi ulicami. Obfity popołudniowy deszcz przegnał przechodniów do domów, jednak w miarę jak dwaj mężczyźni coraz dalej zapuszczali się we wschodnie dzielnice Londynu, pojawiało się więcej oznak życia; jeśli reszta miasta cichła po zapadnięciu ciemności, to miejsce dopiero się budziło. W przeciwieństwie do słabych, migoczących ulicznych latarni, z okien pubów i barów padało jasne światło. Połyskujące szyldy zachęcały do kupna zegarków i kapeluszy. Marynarze przychodzili tu, by wydać ostatniego pensa, nim znów wyruszą na morze.

Mężczyźni szli dalej wśród padającej teraz w jakimś dziwnie powolnym tempie mżawki. Rynsztokami wartko płynęła mętna ciecz, całkiem już nie przypominając wody, gdy docierała do studzienki ściekowej. Wędrowcy opuścili szerokie ulice, skręcając w labirynt podwórek, zaułków, pasaży i alejek. Dotarli do Bloody Bridge, pod którym płynęła woda bardziej przypominająca muł, a nazwa mostu wzięła się od często popełnianych tu samobójstw.

— Mieszka pan gdzieś w pobliżu? — zapytał Osgood.



— O nie, bynajmniej — odparł Datchery. — Ja nigdzie nie mieszkam.

— Niechże pan przestanie! — zaprotestował Osgood, nie przyjmując bezsensownej odpowiedzi.

— Chciałem powiedzieć, że będąc biedny jak mysz kościelna, trzymam się głównie pokoi do wynajęcia i pensjonatów, więc mnie nie znajdują.

— Nie znajdują pana, kto taki, panie Datchery? — naciskał wydawca, ale nie doczekał się wyjaśnienia, gdyż jego towarzysz miał awersję do udzielania racjonalnych wyjaśnień, a ponadto z każdej strony dochodziły jakieś trudne do zidentyfikowania, nieludzkie jęki i krzyki. Osgood spróbował z innej beczki:

— Jak daleko mamy jeszcze iść?

— Gdy znajdziemy się na miejscu, w którym powinniśmy się zatrzymać, zrobimy to — odrzekł Datchery. — Choć ja jestem przewodnikiem, to nie ja nas prowadzę.

— W takim razie kto?»? — zapytał Osgood, pewny, że nie doczeka się odpowiedzi, gdyż być może nie istniała.

W załomach murów kulili się schorowani mężczyźni i kobiety. Pracownicy domów opieki wyłuskiwali bezdomnych, przeważnie kobiety z maleńkimi dziećmi, niektóre tuliły w ramionach po troje. Osgood wiedział, że Dickens odbywał tego rodzaju toure — do każdego zakamarka Londynu, by zbadać i zanotować skalę zjawiska. Podobnie jak geolog, pisarz tworzył swe dzieła, odsłaniając kolejne warstwy podziemnego życia miasta.

Od czasu do czasu twarz Datchery'ego przybierała bezbarwny wyraz, stawała się apatyczna. Kiedy indziej jego oczy jaśniały, jak-by widział lepiej niż jeszcze przed chwilą.

Znaleźli się w samym sercu najbardziej niebezpiecznej części Londynu, jaką Osgood miał okazję poznać. Pocieszało go jedynie, że żaden z tych rzucających przekleństwami, tłoczących się

osobników — sądząc po ich wyglądzie, większą część życia spędzili albo na statkach, albo doskonaląc się w złodziejskim fachu — jeszcze ich nie zaczepił. Niektórzy z okien lub otwartych bram rzucali sarkastyczne „dobrej nocy”. Nagle Osgood zauważył w rękach swego przewodnika potężną pałkę. A nawet coś bardziej skomplikowanego. Wierzchołek był wyposażony w szpic, a z boku sterczał hak.

Datchery, zauważywszy zainteresowanie Osgooda, wyjaśnił: — Bez tego już odarto by nas do bielizny, drogi panie Ripleyu. Najdroższy Ripleyu! To jest Tiger Bay, a my zbliżamy się do Palmer's Folly\*!

Same nazwy brzmiały jak ostrzeżenie.

\* Tiger Bay — Zatoka Tygrysia; Palmer's Folly — Szaleństwo Palmera.

Dotarli do wąskiego podwórka na końcu ślepej uliczki i pod zmurszałym łukiem bramy weszli do dwupiętrowego budynku z pocerniałej cegły, o ciemnych oknach, wciśniętego między pub i złodziejski pensjonat. Gdy szli, z każdym krokiem pod ich stopami rozlegał się ostry trzask. Dopiero po kilku minutach Osgood uświadomił sobie, że idą ścieżką zasłaną kośćmi zwierząt i rybimi ościami. Przed pubem zgromadziła się grupa nędznie odzianych osobników obu płci i wszelkich ras, przepychających się jedni przed drugich, by mieć lepszy widok na schody.

Na stopniach demonstrował swe umiejętności mężczyzna nazywany Królem Ognia. Za kilka groszy prezentował swoją odporność na wszelki rodzaj żaru. — Nadprzyrodzone zdolności! — obiecywał tłumowi.

Wśród okrzyków zachęty i oklasków oczarowanych widzów Król Ognia połykał tyle łyżek wrzącego oleju, ile mu podsuwano, po czym zanurzył dłonie w garnku „płynnej lawy”. Następnie zniknął

w otwartych drzwiach pubu i — za wyższą opłatą, chętnie uiszczoną przez filantropijnie usposobiony tłum — wsunął się do pieca razem z porcją mięsa i wyszedł dopiero wtedy, gdy mięso (surowy stek, który wcześniej uniósł w górę, by zademonstrować tłumowi) było gotowe.

Nasi dwaj pielgrzymi nie pozostali na zewnątrz wystarczająco długo, by obejrzeć cały proces kulinarny, gdyż Datchery podszedł do pomalowanych na czarno drzwi i zapukał. Jakiś jegomość, wyciągnięty na twardej, obstrzępionej kanapie, wpuścił ich do korytarza, skąd wyszli na górę wąskimi schodami, a każdy stopień wydawał jęk, być może dlatego, że wymagał reperacji, a może po to, by ostrzec mieszkańców. Budynek zalaływał pleśnią i... czym jeszcze? Odór był ciężki, usypiający. Przez pomyłkę skręcili do pomieszczenia, w którym stał fortepian, a wokół niego zebrało się niewielkie grono słuchaczy; wszystkie głowy odwróciły się, by na nich spojrzeć, poza tym nikt nawet nie drgnął, dopóki nie odeszli. Kelnerki z barów i tancerki siedziały obok marynarzy i urzędników lub na ich kolanach. Jakiś mężczyzna najwyraźniej trzymał w zębach sztylet.

Osgood mógł sobie jedynie wyobrazić, jakie to widowisko miało się tam rozegrać po ich odejściu — nie słyszał w tym budynku żadnych dźwięków muzyki fortepianowej.

Szli w górę, przedzierając się przez dym i mgłę.

— Tutaj — oznajmił wreszcie Datchery dziwnie zrezygnowanym tonem. — Proszę uważać, panie Osgood, w życiu każde drzwi mogą prowadzić albo do nieznanego królestwa, albo do pułapki, z której nie ma ucieczki.

Drzwi otwarły się na ciemność i dym.

— Żadnej broni! — powitał ich poważny, niewątpliwie kobiecy głos.

Datchery odstawił pałkę w korytarzu, przed drzwiami. Dopiero po chwili coś jakby lekko się poruszyło, zapłonęła świeczka. Niewielki pokój okazał się wypełniony ludźmi, w większości zbitymi

obok siebie na zapadającym się barłogu. Kilka osób spało, kilka innych sprawiało wrażenie, jakby lada moment miały zasnąć. W nogach łóżka siedziała wychudzona, zniszczona kobieta o siwych włosach, w ręce trzymała długi, cienki bambus.

— Nie zapomnicie o zapłacie, kochanieńcy? — powitała nowo przybyłych. — Ten z drugiej strony podwórka za żebranie na miesiąc utkwiał w kryminale. Zresztą on nie miesza tak dobrze jak ja!

W naczyniu ustawionym nad słabym płomieniem mieszała czarną, lepłą substancję. Na łóżku leżał rozwalony Chińczyk, po-  
grążony w głębokim transie, malajski marynarz w rozpiętej koszuli coś do siebie mamrotał — obaj oczy mieli szkliste, nieobecne. Z ust marynarza, spomiędzy zepsutych zębów, ściekała ślina i spływała na podobne kraterom wrzody wokół warg. Na przeciągniętym przez pokój sznurze wisiały szmaty i pościel, tak suszyły się w dymie. W tym dymie! Gdy kobieta wyciągnęła ku niemu bambusową fajkę, Osgood rozpoznał cuchnącą woń opium.

Pomyślał o opowieściach Coleridge'a i De Quinceya, którzy, jak niemal każdy, łącznie z samym Osgoodem, zaopatrywali się w aptecę w opiaty pomagające uśmierzyć reumatyzm i inne fizyczne dolegliwości. Ale pisarze ci nadużywali narkotyku, doprowadzając się na zmianę do stanu ekstazy i znużenia, poważnych skutków działania opium na mózg. Zanim jeszcze stało się to mottem tysięcy, De Quincey pisał w swych opublikowanych wyznaniach: „Szczęście można teraz kupić za pensa i nosić w kieszeni kamizelki”. Osgoodowi przypomniały się także oskarżenia — teraz tak odległe — stawiane w Bostonie przez policję Danielowi Sandowi, który rzekomo miał oddać wszystko w zamian za ekstazę i radosne wizje zapewniane przez opium.

— Sally oferuje lepszy towar od tego, który miał Jahi, tak więc zapłacicie należycie, prawda, kochanieńki? — powtórzyła gospodyni lokalu. — Sztachnij się, oczywiście po zapłacie.

Gdy recytowała swoją zwykłą gadkę, po drugiej stronie makabrycznego łoża drobna, młoda kobieta z jękiem ześliznęła się na podłogę.

— Czy coś jej jest? — zapytał Osgood. Sally wyjaśniła, że młoda kobieta zapadła w spokojny sen i ma się na pewno lepiej niż w tym okropnym, nieczystym przybytku grogu, dokąd zwykła zabierać ją matka.

Wtedy Osgood zrozumiał. Nagle udało mu się ująć słowem uczucie, którego doznał zaraz po wejściu do budynku. Słowo, którego nigdy by nie odgadł. „Rozpoznanie”.

Ten plugawy widok był niczym fotograficzne ujęcie scen z *Tajemnicy Edwina Drooda!* Przypominał pierwszą odsłonę książki, w której chytry John Jasper ucieka w opiumowe sny, przygotowując się do realizacji zbrodniczego zamysłu przeciwko swemu siostrzeńcowi, Droodowi; a księżniczka Dmuchawka, stara kobieta mieszająca opium, nagabuje klienta. Dokładnie tak odgrywano sceny powieści w Surrey, ale tu dochodził jeszcze autentyczny smród narkotyku i towarzyszące mu poczucie beznadziei.

„Oto jeszcze jedna porcyjka, w sam raz dla ciebie, kochanieńki. Tylko będziesz pamiętał, jak prawdziwie poczciwa dusza, że cena rynkowa bardzo ostatnio wzrosła?”

Oczekiwania Osgooda się sprawdziły! Jeśli Datchery znał to miejsce, to musiał, świadomie czy nie, zatrzymać w pamięci jakieś wskazówki dotyczące powstawania powieści. Ale po chwili, obejrzawszy się na swego stojącego z tyłu towarzysza, poczuł się nieco niepewnie. On i Sally patrzyli na siebie poufale jak admirator i jego dawna miłość.

Nagły, niespodziewany ruch odwrócił uwagę Osgooda: cztery białe myszki przebiegły po brudnej półce i przeskoczyły nad

leżącymi na łożku. Sally pospieszyła z zapewnieniem, że gryzonie są oswojone, a po kilku niezdarnych próbach udało jej się zapalić następną świeczkę, jakby chciała zademonstrować wysoki poziom cywilizacyjny tego dwuświeczkowego królestwa. Teraz widać było drabinę prowadzącą do otworu w suficie. Tymczasem pokój opuścił malajski marynarz, do środka wszedł chiński żebrak, który po chwili wyszedł i znowu wrócił. Sally powiedziała coś do żebraka — najwyraźniej przedstawiając mu swą zwykłą prośbę o zakup opium, ale tym razem po chińsku. Zwymyślała także kucharza okrętowego z Bengalu, który, widać, nie tylko kupował u niej narkotyki, ale był także jej lokatorem i służącym.

Cała ta operacja powtarzała się. Po otrzymaniu szylinga od klienta handlarka nad płomieniem obtłuczonej lampy podgrzewała solidną czarną grudkę opium, szpilką do włosów wolno mieszając tworzącą się maź. Po dostatecznym rozgrzaniu gorącą, czarną miksturę wlewała do cybucha bambusowej fajki, czyli do starego, szklanego kałamarza z wydrążonym z boku otworem. Klient ssał koniec pogwizdującej fajki, dopóki opium się nie skończyło — zwykle nie dłużej niż minutę.

Przygotowując specyfik, Sally mierzyła Osgooda ostrym spojzeniem, zniecierpliwiona brakiem zapłaty. Także jeden z zaspanych palaczy opium wykazywał dziwne zainteresowanie osobą dostatnio odzianego klienta. Tymczasem Osgood pod mokrymi szmatami skłębionymi u jego stóp, między stertą wybrudzonych karetek, wypatrzył małą książeczkę, a raczej broszurę. Choć było zbyt ciemno, by mógł dokładnie jej się przyjrzeć, zniszczona okładka wydała mu się znajoma.

— No cóż, kochanieńcy — powiedziała gospodyni przybytku opiumowych rozkoszy, lekko się krzywiąc — czy jest tu coś, czego byście pragnęli, skoro nie chcecie się zaciągnąć? — W tym czasie

Bengalczykowi udało się stanąć na nogi i także się w nich wpatrywał.

Osgooda ogarnęła następna fala mdłości, gdyż opary znów zgęstniały. Klęknął, by zaczerpnąć nieco czystsze powietrze w pobliżu podłogi, jednocześnie wsuwając broszurkę do kieszeni. Datchery zapytał, czy nic mu nie jest.

— Potrzebuję trochę powietrza — odrzekł wydawca, zamroczony od skłonu.

Odszukał drzwi i zszedł jedną kondygnację schodów niżej, na podest z otwartym oknem. Wystawiając na zewnątrz głowę, zamknął oczy, wciąż piekące od dymu. Gdy je ponownie otworzył, wzrok miał zamglony od łez, zabrał się więc do osuszania oczu chusteczką. Powietrze przyniosło ulgę jego twarzy — choć gorące, było jak morska bryza w porównaniu z kotłem na górze. Wyjął z kieszeni broszurkę i jego podejrzenia potwierdziły się. Trzymał w rękach ostatni odcinek *Tajemnicy Edwina Drooda*, ten sam, który wysłano z Chapman & Hall w dniu czasopism.

— *Drood!* — powiedział sam do siebie. — Jakim sposobem trafiło to tutaj? Naprawdę, Charlesa Dickensa czytają w każdym zakątku ziemi.

Wracał po schodach na górę, mocno trzymając się poręczy, i gdy zbliżał się do ciemnego, opiumowego pokoju, poczuł, że oczy znów zasnuwa mu mgła. Wejście zasnuwane było teraz jedną wielką ścianą dymu. Nic nie widząc, postąpił dwa kroki w głąb pomieszczenia i o coś się potknął. Już padając na twarz, uświadomił sobie, że stanął na leżącym na podłodze Datcherym. Osgooda pochwyciła go i pchnięto na ścianę, przy której w pozycji stojącej przytrzymał go ów malajski marynarz, teraz wymierzający mu ciosy pięścią w brzuch.

— Przestańcie! Ripley! — krzyk wydobył się z ust Datchery'ego, który wstał i potykając się, runął na przeciwnika Osgooda. Mocował się z marynarzem, ale Bubu, Bengalczyk, odepchnął go i

ponownie rzucił na ziemię, a Datchery, uderzywszy głową o podłogę, stracił przytomność.

Osgood, oślepiony łzami i krwią, próbował wydostać się z pokoju, ale Bengalczyk złapał go, zaatakował pięściami i zadając cios po ciosie, to z lewej, to z prawej ręki, przygniatał go do ściany. Malajski marynarz rozerwał mu kamizelkę, przeszukał kieszenie. Po chwili Osgood usłyszał, jak Bubu kuca na podłodze i tak samo przeszukuje nieprzytomnego Datchery'ego.

Słabł coraz bardziej, gdy ktoś chwycił go za kark i uderzył jego głową o twardą ścianę. Potem nagle wszystko jakby stanęło w miejscu. Ktoś krzychał. Malaj upadł z głową bezwładnie zwieszoną na piersi. Bubu zdawał się frunąć przez pokój, tryskając krwią. Sally wdrapała się na drabinę i niczym jedna z jej myszy umknęła z pola widzenia. Potem ktoś inny pochwycił Osgooda za oba ramiona.

Sylwetkę napastnika widział jak przez mgłę.

— Niemożliwe!

Znał go. Jakim sposobem on się tu znalazł!? Olbrzymia postać pochyliła się nad nim, brutalnie szarpnęła za ramię. Po kilku sekundach Osgood uderzył o podłogę i wszystko wokół niego pociemniało.

Następne, co zapamiętał, to przebudzenie wśród ciemności. Ubranie miał przemoczone i podarte. Czuł jakiś dziwny, leniwy spokój, zapragnął snu, zatęsknił za dźwiękiem fal oceanu i widokiem rozgwieżdżonego nieba. Powietrze stało się gęste jak atrament, wyciągnął rękę, by je dotknąć.

Potem przez spokój przebiła się jakaś myśl. Niebezpieczeństwo — z wielkim trudem udało mu się znaleźć to słowo, choć powinno być w tej sytuacji oczywiste. Znalazł się w niebezpieczeństwie. Wąż, czarno-żółty, a potem cały żółty, prześliznął się obok, niemal dotykając Osgooda; wąż przemówił, a może odezwał się ktoś inny, i nagle dziesięć, piętnaście, pięćdziesiąt głosów naraz próbowało



ogłuszyć go niezrozumiałym chórem.

Pomyślał o Rebecce, która go ostrzegła... która była lojalna i wierzyła, że uda mu się zwieńczyć tę misję sukcesem... Rebeka, którą — teraz to wiedział — kochał od chwili, gdy pierwszy raz ją zobaczył. Chciał zapłakać — jakby płacz mógł ukoić frustrację — ale nie potrafił uronić łez. Nie podnosząc się — to wydawało się ponad jego siły — rozejrzał się, czy nie widać gdzieś Datchery'ego.

Oczy same mu się zamykały, ale czuł, że jeśli im na to pozwoli, nie będzie już w stanie otworzyć ich ponownie. W zmaganiach to *one* jednak zwyciężyły i Osgood znowu osunął się w ciemność.

Przeszukiwacz kanałów ostrożnie zszedł do najniższej części tunelu. W przeciwieństwie do większości trudniących się tym fachem Steve Williams mógł pochwalić się parą drogich skórzanych butów po kolana. To znacznie ułatwiało mu brodzenie wśród bulgoczących odpadków i mułu wypełniających dwa tysiące mil ceglanych kanałów pod Londynem.

Wyposażony w długi żelazny drąg z płaską motyką na końcu, Steve przekopywał się przez szczelinę, w której coś tkwiło. Odsunął szybką zwisającej u pasa latarni, by oświetlić lepiej mętne, trujące powietrze.

— Chryste Panie! — powiedział do siebie, wyciągnął rękę i wy dostał srebrne stołowe noże. — A niech mnie, srebro! — zawołał, upychając je do kieszeni. To znalezisko wraz ze złotym dzbanuszkim do mleka, na który natknął się dzień wcześniej, napełniało Steve'a poczuciem czegoś w rodzaju antycznego triumfu. Przy wschodnim końcu kanału, w pobliżu studzienki zauważył coś wystającego z mulistego podłoża. Szturchając drągiem zbity szlam, wystraszył stado szczurów o rozmiarach małych kotów, po czym te

przebiegły obok niego. Steve zrobił dwa kroki do przodu i rozkaszał się. Nie z powodu paskudnego powietrza, które dodatkowo zagęszczał smród wrzucanych do studzienki resztek od rzeźnika — do tego po trzech latach polowania w kanałach zdążył przywyknąć — ale na widok kolejnego martwego ciała spływającego kanałem. Choć poszukiwanie skarbów było nielegalne, policja przymykała oko na buszujących po kanałach, póki zgłaszali znalezienie zwłok, czy choćby jakichś ludzkich członków. Te tutaj miały na sobie porządne ubranie.

Po bliższych oględzinach Steve jednak dostrzegł, że leżący człowiek nie jest martwy. Nawet oddychał.

— Hej, człowieku, jak się tu dostałeś? — zawołał Steve, ciągnąc mężczyznę za ramię. — Wynocha, bestie! — krzyknął. Wielkie szczyry przywarły do ramion, nóg, głowy i tułowia leżącego i wydawały ogłuszające piski. — Wynocha! — Steve kosturem odpędził gryzonie, strącając następne, usiłujące wspiąć się na jego znalezi-sko. Wyjął sakwę i wmusił trochę sproszkowanej substancji w usta nieznanego.

— Zażyj soli z Epsom. No, weź trochę. Odciągną ci krew z głowy.

Nieznanomy, podnosząc się na nogi i przyciskając obolałe boki, w końcu zatoczył się do przodu i ponownie osunął w odpadki.

— Rebeka! Powiedz jej! — zawołał.

— Co ty tam gadasz? Co mamrociesz? — dopytywał się Steve.

— Zatrzymaj go! Widziałem go! Musisz...!

— Kogo? Kogóż to jegomość widziałeś?

— Hermana — jęknął Osgood. — To od początku był Herman!

# CZEŚĆ CZWARTA

BOSTON, 24 GRUDNIA 1867 ROKU

Tom Branagan siedział przygnębiony w hotelu Parker House, w saloniku apartamentu George'a Dolby'ego. Pryncypał nakazał mu nie wstawać z podniszczonego dębowego krzesła, zwróconego w stronę obwieszzonego bożonarodzeniowymi skarpetami i jemiolą kominka; surowa to kara trwać bezczynnie i przypatrywać się popiołom opadającym na palenisko, podczas gdy tak wiele było do zrobienia. Tom rozmyślał o kobiecie, która to wszystko spowodowała. Czuł nie tyle gniew, co gorące pragnienie poznania prawdy. Teraz każdy zapamiętany szczegół dotyczący nieznanym nabrał znaczenia. Nadchodzący nowy rok wydawał się złowieszczy.

Dolby przechadzał się tam i z powrotem po pokoju, a James Osgood, przywieziony tu obowiązkiem wyrażenia oburzenia w imieniu sponsorującej tournée Dickensa bostońskiej firmy wydawniczej, zajął krzesło po drugiej stronie, na skos od Toma. Pod meblami w niedbałych stertach zalegały przyniesione do hotelu świąteczne prezenty dla Dickensa — te, których już nie dało się zmieścić w pokoju pisarza.

Tom powrócił myślami do terażniejszości. Dolby krzychał: — Wręcz nie znajduję słów. Czyżbym — przypomnij mi, być może zawodzi mnie pamięć — nie polecił ci wyraźnie, byś po tamtym wydarzeniu w hotelu dał sobie spokój z szukaniem intruza? Cóż, chłopcze, nasuwa mi się wniosek, że obdarzając cię zaufaniem w poczuciu obowiązku wobec twego ojca, popełniłem błąd. Czyżby

właśnie ujawniła się twoja celtycka nadpobudliwość ?

— Panie Dolby, proszę zrozumieć... — próbował przerwać mu Tom.

— Masz pan szczęście, panie Branagan, że pan Fields posiada liczne polityczne koneksje i że zdecydował się wykorzystać je na pańską korzyść — wtrącił się Osgood.

Dolby kontynuował listę zarzutów.

— Zaczepiasz w teatrze damę z wyższych sfer, wywołujesz zamieszanie i odwracasz uwagę od wspaniałego występu pana Dickensa. I jeszcze, jakby tego było mało, wszystko to dzieje się w Wigilię Bożego Narodzenia! Wódz ma już wystarczająco dużo zmartwień z powodu przeziębienia i świąt spędzanych bez rodziny. Aż strach pomyśleć, co zrobi z tej historii prasa, gdy coś wywęszy!

— Pańskie bezmyślne postępowanie naraziło na szwank powodzenie całego tournée, jego pozytywny odbiór, panie Branagan! — stwierdził Osgood. — Zagrożona została reputacja naszego wy dawnictwa!

Tom pokręcił głową.

— To ta kobieta stanowi zagrożenie. Intuicja wyraźnie mi to podpowiada. Nie powinni byli jej zwolnić, należy zażądać od policji odszukania jej!

— Kobieta! — oburzył się Dolby. — Chcesz, aby Charles Dickens sprawiał wrażenie, że boi się pierwszej lepszej kobiety! Zresztą ta kobieta, trzeba ci wiedzieć, nazywa się Louisa Parr Barton, a jej mąż to znany dyplomata i znakomity znawca europejskiej historii. A ona sama pochodzi z amerykańskiej gałęzi rodziny Lockley z Bath.

— Czy to dowód na jej dobre intencje? — zapytał Tom.

— Rozumiem pana — odrzekł Osgood. — Ale pan też niech zrozumie: pani Barton jest znana z ekscentrycznych zachowań i z

powodu dziwacznych wybryków nie przyjmują jej w wielu domach bostońskiego i nowojorskiego towarzystwa. Niektórzy twierdzą, że pan Barton poślubił ją głównie dla jej rodzinnych koneksji, a ona nigdy nie nauczyła się prowadzenia domu ani odpowiedniego traktowania służby. Inni z kolei utrzymują, że mąż jest w niej szaleńczo zakochany. Jakakolwiek byłaby prawda, on większość czasu spędza w podróży. Plotka głosi, że gdyby nie jej zachowanie, otrzymałby posadę ambasadora w Londynie. Po tym, jak spoliczkowała księcia Walii, będąc mu przedstawiana, zabroniono jej towarzyszyć Bartonowi w jego podróżach.

— To dlatego może tu robić, co chce — stwierdził Tom.

Osgood przytaknął.

— Gdy mąż wyjeżdża, zostaje sama ze swymi dziwactwami i pieniędzmi. Jest niegroźna.

— W hotelu Westminster zaatakowała starszą kobietę! — zawołał Tom.

— Nie możemy tego udowodnić. Nie widzisz, po jak kruchym lodzie stąpasz, Branagan? — odpalił Dolby. — Co cię napadło?

— Zważywszy na moją pozycję, może nie powinienem być mówić tego wszystkiego, ale kierowałem się instynktem — tłumaczył się bagażowy.

Dolby ponownie pokręcił głową.

— Tym, co powiedziałeś i jak się zachowałeś, wykroczyłeś ponad swoją pozycję, Branagan. Bostońska policja nie mogła postąpić inaczej, jak tylko puścić ją wolno.

— A to, że włamała się do pokoju pana Dickensa, panie Dolby?

— Nawet jeśli to była ona, to co z tego, Branagan? Możemy dać jej reprimendę, sprawić, by policja wymierzyła jej karę pieniężną, ale nie ma mowy o aresztowaniu, bo dama ta nigdy nie

zagroziła Wodzowi ani nie przywłaszczyła sobie żadnej z jego rzeczy. Poza tą hotelową poduszką, za co najsurowszy sędzia wyznaczyłby tej bostońskiej bramince grzywnę w wysokości jednego dolara!

— Według mnie to ona najpewniej zabrała notes Wodza — nie ustępował Tom.

— A masz dowód? — zapytał Dolby, czekając na odpowiedź, która nie padła. — Tak też myślałem. Zresztą po co by jej był stary dzienniczek?

— By dowiedzieć się więcej szczegółów na temat osobistego życia pisarza — przekonywał Tom. — Panie Dolby, ja tylko staram się dbać o bezpieczeństwo Wodza.

— A kto cię o to prosił? — zachnął się tamten.

— Pan mi polecił służyć mu.

— No cóż, posunąłeś się w tym za daleko — stwierdził Dolby. — I więcej nie będziesz tego robił.

Osgood, pociągnawszy spory łyk ponczu, ze smutkiem pokiwał głową i dorzucił, zamyślony.

— Mówisz pan, że działasz pod wpływem instynktu. Ludzie tacy jak pan Dolby i ja kierują się przesłankami, które uznają za właściwe, mieszczące się w granicach obowiązujących zasad. Gdyby było to możliwe, chętnie odesłalibyśmy pana do Anglii, Branagan. Ale to wzbudziłoby zainteresowanie prasy.

— Zamiast tego — Dolby wtrącił się głosem karzącego ojca — od teraz ograniczysz się do obowiązków bagażowego, do których cię wynajęto. Masz siedzieć w hotelu, chyba że dostaniesz inne polecenia, i robić to, co ci każą. Gdy wrócimy do Ross, zadecyduję o twojej przyszłości — gdybym nie zapłacił trzech gwinei za liberię, już bym cię zwolnił.

Tom, straciwszy pewność siebie, wpatrywał się w marmurowy kominek.

— A Wódz? Czy on się na to godzi?

— Bądź łaskaw martwić się własnym położeniem! Pod naszą opieką Wodzowi nic nie grozi, panie Branagan — odparł wyniośle Dolby.

— To prawda — dodał Osgood. — Dopilnujemy, by panu Dickensowi nie brakło zajęcia, a tymczasem pomówimy z władzami, by więcej nie zwracano uwagi na pańskie lęki. Już nawet zatrudniłem Olivera Wendella Holmesa, by pokazał panu Dickensowi uroki Bostonu. Doktor Holmes potrafi jak nikt inny tak człowieka wymęczyć, by ten nie miał już siły czymkolwiek się martwić.

Gdy Dolby odprowadzał Osgooda do wyjścia, tuż przed drzwiami zatrzymał go hotelowy służący.

— Pan Dolby? Na dole czeka z pilną sprawą jakiś dzentelmen.

— Jest godzina dziesiąta wieczorem, Wigilia — zauważył Dolby, wyjmując z żakietu zegarek. — A dokładnie wpół do jedenastej, a ja od szóstej rano biegam po mieście i załatwiam sprawy służbowe. Czy ten człowiek przysłał wizytówkę?

— Nie, proszę pana. Jednak użył słów: bardzo pilne. Wyglądał, jakby to rzeczywiście było pilne.

Pilne, rzeczywiście. Pewnie jeszcze jeden nieznajomy, który potrzebuje biletów dla swych ślepych, głuchych i niemych siostr, ciotek i żon. „Bardzo ważni amerykańscy pisarze”, o których Dolby i Osgood nigdy wcześniej nie słyszeli, zwracali się z prośbą o pojedyncze darmowe wejściówki — na miejsca w przednim rzędzie, żeby odpowiednio uczcić wizytę Dickensa w swym mieście — a do tego, jeśli łaska, z pięć dodatkowych wejściówek dla przyjaciół.

Na dole w barze Dolby zlustrował wzrokiem bywalców, wypatrując tajemniczego gościa. Jeden z obecnych wyróżniał się. Ramiona miał sztywno skrzyżowane na piersiach. Tłusta chłopia



twarz, lecz postarzona bliznami i pasemkami siwizny w brodzie. Niski, ale krzepki, niemal tęgi — prezentował się imponująco. Człowiek ten pomachał do Dolby'ego.

— Obawiam się, przyjacielu — zaczął ten przyjacielsko, acz wyniośle — że bilety na następne wieczory zostały już wyprzedane. Może pan spróbować ponownie przy następnych sprzedażach, które dodatkowo wyznaczaliśmy, by zadowolić większą liczbę czytelników.

Mężczyzna podał mu plik dokumentów i pokazał odznakę.

— Nie chodzi mi o bilety, panie Dolby. Chyba że... skonfiskowałbym je wraz z całym pańskim majątkiem — uśmiechnął się ponuro.

Menadżer rzucił okiem na dokumenty. Formularze podatkowe. Na odznace widniało nazwisko Simon Pennock i napis: poborca podatkowy.

— Jak mi wiadomo, po sprzedaży biletów widziano pana z papierowymi torbami pełnymi dolarów, panie Dolby — powiedział Pennock tonem, jakiego mógłby użyć, gdyby chodziło o torby pełne ludzkich kości. Krzesło poborcy stało wprost przed paleniskiem podsycanym antracytowym węglem i płomienie wyraźnie uwydatniały jego postać na tle niepokojącej, granatowej mgielki, co jeszcze bardziej wytrącało Dolby'ego z równowagi.

— Panie Pennock, z tego co wiem o prawie obowiązującym w pańskim kraju, „okolicznościowe wykłady” — jak tego typu działalność określa ustawa Kongresu — organizowane na waszej ziemi przez cudzoziemców są zwolnione z podatku.

— Źle pan zrozumiał ten przepis. Nie żebym miał obowiązek wyjaśniać. Aby uniknąć jeszcze większych nieprzyjemności niż dotychczas, powinien pan natychmiast zacząć płacić procent od waszych zysków, Dolby, dokładnie pięć procent.

— Zapewniam pana, sir, że nie mieliśmy żadnych nieprzyjemności.

Pennock spojrział na niego surowo.

— Właśnie je pan ma, panie Dolby.

Ten rozejrzał się po barowym pomieszczeniu, jakby w poszukiwaniu pomocy. Niestety, dostrzegł mężczyznę w foczej czapce i w grubym, dwurzędowym płaszczu, rozpiętym i odsłaniającym róg znaczka departamentu skarbu. Dolby'emu nie spodobała się myśl, że ci dwaj śledzili go, gdy zabierał utarg z kas, a przede wszystkim nienawistna była mu myśl o ich liczebnej przewadze. Gdybyż chociaż miał przy sobie Toma. Nie żeby spodziewał się ataku ze strony rządowych agentów, jednak z Branaganem, młodszym i mocniej zbudowanym, zachowałby, jak sądził, więcej pewności siebie.

— Nawet jeśli nie myli się pan co do tych roszczeń, panie Pennock... — zaczął odpowiadać poborcy.

— Nie mylę się — przerwał ten szorstko. — Zapłacicie dziesięć tysięcy, w złocie lub w dolarach, w przeciwnym wypadku wszyscy — nawet wasz ukochany Boz — zostaniecie zatrzymani jako zakładnicy, zanim wasz parowiec opuści nasze brzegi.

— Nawet gdybym zgodził się, że pięć procent to uczciwe roszczenie — oznajmił Dolby, próbując z całych sił nie zdradzić swego wzburzenia — to i tak już wysłałem do Anglii pieniądze uzyskane ze sprzedaży. Zostały przelane do banku. Nie mógłbym zapłacić, choćbym musiał.

— Istnieją alternatywne rozwiązania. — Pennock pomachał do człowieka w foczej czapce, który ruszył w stronę drzwi. — Panie Dolby, nie jest pan jedynym teatralnym menadżerem, do którego mam sprawę. Jak mi wiadomo, pan Dickens lubi mieć porządek w interesach. Sugeruję, by przekazał pan wasze należności jeszcze przed ostatnimi seansami w Nowym Jorku, albo ściągniesz pan na pana Dickensa kłopoty, z których tak łatwo się nie wykaraska, a ja sprawię, że będzie żałował, iż kiedykolwiek jego noga stanęła na

amerykańskiej ziemi. Życzę panu dobrej nocy.

Następnego ranka, podczas gdy Dickens rozkoszował się śniadaniem u Fieldsów, składającym się z plasterków szynki, jajka i herbaty, Osgood zapytał, czy jest jeszcze coś, co pisarz chciałby zobaczyć w Bostonie, a co zostało pominięte. Ustępując w wyniku dość natarczywej indagacji, Dickens przyznał się do zainteresowania miejscem niezwykłego morderstwa George'a Parkmana w Medical College. Tak się złożyło, że doktor Oliver Holmes, który dołączył do nich przy śniadaniu i już zanudzał Dickensa nieustającym gadaniem, był profesorem tej uczelni i natychmiast zaproponował mu wycieczkę.

— Ostrożnie, proszę uważać, panie Dickens... — przestrzegął, gdy po przybyciu na miejsce schodzili do podziemi budynku Medical College. — Jeszcze dwa schody w dół.

Obaj mężczyźni unieśli latarnie. Wzdłuż ścian ponurej komnaty ciągnęły się półki i medyczne słoje, połyskujące anatomicznymi miksturami. Dickens uniósł jeden ze słoików, by pod światło przyjrzeć się zawartości.

— Kawałki szczątków w formalinie — skomentował. — Zupełnie jak czterdziestu rozgotowanych rozbójników Ali Baby.

— Jakież to wszystko ponure! — zauważył Holmes, gdy Dickens postawił naczynie na półce, obok pozostałych. — Nasz drogi Fields uznałby, że nie jest to zajęcie odpowiednie po śniadaniu. Okropne!

— Czy to nie był mój pomysł, by mnie pan tu przywiózł, doktorze Holmes? Nie mogłem wyjechać z Bostonu, nie ujrzawszy tego pomieszczenia.

— Może to i był pański pomysł, panie Dickens — przyznał Holmes. — Ale proszę się nie obwiniać. To nigdy nie ma sensu. Mój Wendy — Wendell junior — szydziłby ze mnie z powodu

marnowania czasu na podobne „drobnostki”, gdy każdą godzinę można poświęcić pogoni za mamoną.

Dickens roześmiał się.

— Może pan się uważać za szczęściarza, drogi doktorze Holmes. Dopóki nie zakończą prac nad konstrukcją maszyny Babbage'a, niemożliwe będzie nadążenie z sumowaniem należności za codzienne wydatki moich chłopców! Wydaje mi się, że zaciążyła na nich klątwa bezwładu. W niektóre dni, powiem panu, nie mogę włożyć kapelusza, tak włosy stają mi na głowie. Ma pan szczęście, że nie wie, co to znaczy, gdy rozglądając się wokół stołu, wszędzie, na każdej twarzy dostrzegam tę swoistą niezdolność dostosowania się do rzeczywistości, niemile przypominającą mojego ojca. A więc to wydarzyło się tutaj, czy tak?

Holmes skinął głową.

— W tak ponurym miejscu ma się uczucie, jakby po plecach spływała nam na zmianę zimna i wrząca woda.

— Właśnie tutaj, z dała od zasięgu wzroku osób przebywających na zewnątrz, ta niesłychana... — zaczął Holmes.

Doktor Holmes, poeta i profesor wykładający w Medical College, rozkoszował się okazją wystąpienia w roli gawędziarza. Opowiedział, jak to w tym właśnie podziemnym laboratorium, w chłodny, listopadowy dzień popełniono zbrodnię. Tamtego popołudnia w 1849 roku George Parkman, wysoki, patykowaty mężczyzna, wszedł na teren. Medical College, by odwiedzić Johna Webstera, profesora chemii i kolegę Holmesa. Wtedy po raz ostatni widziano Parkmana żywego.

Woźny college'u, Littlefield, widział Parkmana wchodzącego do budynku. Słyszał, jak szepcze do Webstera: „Trzeba coś z tym zrobić”, i wydawało mu się, że ci dwaj o coś się spierali. Littlefield wszedł na górę do laboratorium doktora Holmesa, by pomóc w porządkowaniu pomieszczenia po wykładzie i już więcej tamtego popołudnia nie myślał o Parkmanie.

— Gdy minęło kilka dni i od Parkmana nie było żadnej wiadomości, rodzina, jak może pan sobie wyobrazić, drogi Dickensie, zaczęła poważnie się niepokoić. Po wyjściu na jaw, że ostatni raz widziano go właśnie tutaj, woźny Littlefield, człowiek obcy dla większości osób z naszego środowiska, stał się obiektem podejrzeń, także moich!

Była cicha, spokojna środa, w tygodniu Święta Dziękczynienia, gdy Littlefield zauważył, że Webster jest w swoim laboratorium za zaryglowanymi drzwiami. Dozorca był zdeterminowany bronić swego dobrego imienia, a miał własne podejrzenia, gdyż zajrzawszy przez dziurkę od klucza, dostrzegł, jak profesor kręci się po pomieszczeniu, wielce czymś zajęty. Musnąwszy dłonią ceglany mur, woźny omal nie krzyknął. Ściana parzyła.

Zaczekał do wieczora, aż Webster wyjdzie z laboratorium. Następnie wywiercił otwór w ścianie podziemnego pomieszczenia sąsiadującego z kryptą, w której właśnie stali Holmes i Dickens. Gdy przedostał się do środka, dozorca ujrzał ludzkie ciało, lub raczej jego część, zawieszoną na haku. Kilka godzin później policja przeszukała laboratorium i w piecu znalazła nadpalone kości porąbanych zwłok.

— Nikt w Medical College nigdy już nie korzystał z tej pracowni, mimo że bardzo brakuje nam pomieszczeń, no i minęło piętnaście lat, odkąd tamto ciało paliło się tutaj w kłębach dymu. Widzi pan, przesady są głęboko zakorzenione nawet w ludziach nauki, nie: zwłaszcza w ludziach nauki.

Dickens przysłuchiwał się tej opowieści z wyteżoną uwagą.

— A jednak, jeśli jest w Bostonie takie miejsce, w którym obfitość kości nie wynika ze zbrodniczych działań, to właśnie ten college — zauważył.

— Adwokat, obrońca oskarżonego, tak właśnie argumentował! Tu na każdym kroku natknąć się można na kości i ciała. Ale to te sztuczne zęby — powiedział Holmes. — To one załatwiły nieśczęsnego Webstera. Dentysta, który wykonał je dla Parkmana,

twierdził, że wszędzie by je rozpoznał. Znaleziona w piecu złamana szczeka ze sztucznymi zębami okazała się najbardziej wiarygodnym świadkiem.

— Nawet najsprytniejsi zbrodniarze wpadają przez jakiś drobny błąd w swych kalkulacjach — przyznał Dickens.

— Biedny Webster. Patrzeć na człowieka, tuż zanim zostanie powieszony, to jakby zobaczyć ducha!

— Pewnie, pewnie — głośno zadumał się Dickens. — Nieraz myślałem, jak ograniczona musi być rozmowa z człowiekiem, którego za pół godziny mają powiesić. Jeśli pada deszcz, nie można przecież powiedzieć: „Jutro będziemy mieć ładną pogodę!”, bo co by to dla niego znaczyło? Ja chyba pozostałbym przy dywagacjach na temat Juliusza Cezara i króla Alfreda!

Obaj wybuchli śmiechem, Dickens rozkaszał się i ciaśniej owinał się swym wytartym płaszczem. Po miesiącach napastowania przez amerykańskich wielbicieli, zdobywających pamiątki w postaci wyrwanych przez siebie kawałków futra, palto przypominało nędzne, wyliniałe zwierzę.

— Dobrze się pan czuje, panie Dickens? — delikatnie upewniał się Holmes. Rozeszła się plotka o chorobie dręczącej pisarza, odkąd wylądował w Ameryce, a słabość ta była dla Dickensa sprawą prywatną. Widać było, że każdy kolejny wieczór autorski wyczerpuje go coraz bardziej i z każdym dniem mocniej kuleje z powodu niesprawnej stopy.

— O tak, wiem przecież! — wykrzyknął Holmes. — Fields natrze mi uszu, jeśli nie odwiozę pana z powrotem do wygod jego domowego ogniska, by odpoczął pan przed następnym czytaniem.

— Niemal daje się wyczuć — mruknął Dickens.

— Co takiego, drogi Dickensie?

— Unoszący się w powietrzu zapach palącego się ciała. Zostańmy chwilę dłużej.

## 24.

Gdy kontynuując tournée, oddalili się od Nowego Jorku i Bostonu, docierając do Filadelfii, Baltimore, Waszyngtonu, Hartford i Providence, George Dolby i jego przedsiębiorczy agent często jechali przodem, przed resztą grupy, by zorganizować sprzedaż biletów i dokonać rezerwacji.

Tymczasem Tom ani razu nie zaprotestował przeciwko zarządzonemu przez Dolby'ego ograniczeniu obowiązków. Bardziej martwiło go, że Louisa Parr Barton została zwolniona bez przesłuchania, a nawet nie przeszukano jej płóciennej torby. Dobrze, że podróż Dickensa do małych, oddalonych od cywilizacji miast utrudni temu widmowemu inkubowi podążanie jego śladem, zdawała się bowiem istotą wielkomięską. Wypełniając swe zadania, takie jak przenoszenie bagaży między stacjami kolejowymi a hotelami, Tom miał oczy otwarte, czyli robił więcej niż którykolwiek z pozostałych. W Ross ojciec wpajał mu maksymę, że najbardziej liczy się nie tyle rodzaj zleconych nam obowiązków, lecz sposób, w jaki je wypełniamy.

Zajazd w Syracuse okazał się ponurym przybytkiem, sprawiającym wrażenie zbudowanego dzień wcześniej, jak zresztą i całe miasto; na śniadanie podano coś przypominającego mięso starej świni. Henry Scott siedział w ogólnej sali i płakał z bezradności, a George próbował zatrudnić dodatkowych sprzątaczy do uporządkowania korytarza na zajmowanym przez całą ekipę piętrze.

Tereny między Rochester a Albany znalazły się pod wodą po gwałtownej burzy, która jednej nocy zmiotła lód i śnieg. Noc spędzili na pustkowiu zwanym Utica. Runęły nawet słupy telegraficzne i niczym maszty rozbitych statków unosiły się na wodzie, tak więc nie było połączenia z miejscem kolejnego spotkania.

Gdy już znaleźli się blisko Albany, wynajęli wiosłowe łodzie, którymi przez zalaną okolicę mieli przedostać się do następnego hotelu. Po drodze natykali się na spływające wraz z blokami lodu zerwane mosty i ogrodzenia.

Gdy łódź mozolnie brnęła do przodu, Tom z niepokojem rozmyślał o Dickensie. W czasie podróży po Stanach Zjednoczonych nieraz był świadkiem jego niespodziewanych napadów strachu — w pociągu, na promie lub w jakimkolwiek innym pojeździe, którego pisarz nie byłby w stanie zatrzymać, gdyby zaszła nagła potrzeba. W miarę jak człowiek do tych napadów przywykał, już nie zaskakiwały, ale wciąż dawały przygnębiający obraz wewnętrznego przerażenia. Zdarzało się, że Dickens kilka razy nawoływał woźnicę do zwolnienia jazdy, aż wreszcie zaczęli się poruszać w spacerowym tempie.

Gdy tak dryfowali po tym, jak się zdawało, wodnym bezkresie, Dickens wyjął swój chronometr, by sprawdzić, czy zdążą zgodnie z harmonogramem. Choć istniało duże prawdopodobieństwo, że posiadacze biletów nie zdołają dotrzeć do teatru na czas, nie miało to dla niego znaczenia: punktualność traktował jako kwestię zasad i samokontroli. Potrząsnął zegarkiem.

— Wiecie panowie, to naprawdę niezwykle — oznajmił. — Mój zegarek zawsze wskazywał dokładną godzinę, można było na nim w zupełności polegać, ale od dnia katastrofy kolejowej przed trzema laty już tak nie jest. Doświadczenie ze Staplehurst, zamiast ulec powoli zapomnieniu, nabiera dla mnie coraz większego znaczenia. Nachodzą mnie nieokreślone lęki, których nie mogę



opanować; pojawiają się i znikają, a ja nie potrafię zapobiec ich nawrotom. Zaraz, zaraz, a co to takiego? — zapytał przewodnika, nadzorcę robót publicznych. Przed nimi na wodzie unosił się cały pociąg.

— Skład towarowy, unieruchomiony wezbraną wodą. Bydło i owce. Ludzie wydostali się z wagonów, ale zwierzęta najprawdopodobniej zginą. Za kilka dni pewnie zaczną pożerać się nawzajem.

Dickens spojrział na niego surowo.

— Bezrozumne zwierzęta tak robią, panie Dickens, gdy są wygłodniałe — nerwowo ciągnął nadzorca.

Dickens utkwił wzrok w opuszczonym pociągu, unoszącym się w górę i w dół na powierzchni brudnej, deszczowej wody. Gdy go mijali, ze środka dobiegały jęki i zawodzenia; całkiem jak odgłosy ludzkiej rozpacz.

— One nie zginą — oznajmił Dickens spokojnie, po czym przesunął się na dziób maleńkiej łódki. — Wiosłować z powrotem. W tamtą stronę.

— Ależ sir, otrzymałem polecenie, by za wszelką cenę przywieźć pana do Albany na czas... — zaprotestował przewodnik.

— Nic pan nie powiedziałaś, prawda? — zapytał Dickens z ogniem w oczach.

— Chyba nie, sir — odrzekł tamten, zaalarmowany grymasem na twarzach płynących łodzią pracowników pisarza.

— Mieszkańcy Albany będą musieli poczekać — stwierdził Dickens. — Niech wszyscy wiosłują w stronę pociągu towarowego, a nie szczerzyć wysiłku! Dziś będziemy naśladować Noego!

Po kilku godzinach trudu udało im się uwolnić owce i krowy, które popłynęły na ląd, a co słabsze wciągnęli na brzeg, by mogły odpocząć, dopóki nie dostarczy im się paszy. Przez cały czas, mimo że rozpadał się śnieg i grad, Dickens zachęcał i podtrzymywał na

duchu ludzi i zwierzęta z takim entuzjazmem, że nawet przewodnik żywiej pospieszył na ratunek wygłodzonemu cielęciu.

Po tej nieszczęsnej przygodzie dotarli do Albany. W hotelu Dickens zasiadł przed kominkiem, trzymając kapelusz z dala od ognia. Nakrycie głowy zmieniło się niemal w twardą bryłę lodu, podobnie jak broda pisarza. Próbował poluzować krawat, ten jednak przytrzymał do kołnierzyka.

Z nadejściem Nowego Roku większość członków zespołu poważnie się rozchorowała. Tom należał do nielicznych, którzy pozostali w dobrej formie, a Dickens coraz bardziej się od niego uzależniał, jako że stan zdrowia pisarza wciąż wahał się między doskonałym a słabym. Pewnego razu legitymujący się biletami słuchacze, którzy przyszli posłuchać ustępów z *Nickleby'ego* i z „Przyjęcia u pana Boba Sawyera”\*, otrzymali zawiadomienia takiej treści: „Pan Charles Dickens uprasza o wyrozumiałość dla swego poważnego przeziębienia i żywi nadzieję, że skutki choroby przestaną być widoczne po kilku minutach czytania”. Pierwszą część zdania ułożył Dolby wraz z lekarzem, drugą Wódcz. Poza niewielkim śniadaniem pisarz zaczął ograniczać się do kogał-mogła z sherry, zjedanego przed wieczorem autorskim i ponownie w czasie przerwy — przygotowywał go Henry i trzymał w pogotowiu w garderobie.

\* *Klub Pickwicka* w przekładzie Włodzimierza Górskiego, rozdział trzeci.

W tym czasie Osgood nadzorował wprowadzanie w życie pomysłu swego chłopca na posyłki, Daniela Sanda, czyli wydań „specjalnych”, cienkich tomików zawierających prezentowane na wieczorach autorskich, skrócone wersje powieści, które sprzedawano przed teatrami po dwadzieścia pięć centów.

— Nie musimy martwić się przepędzaniem piratów książkowych, panie Branagan — oznajmił Tomowi Osgood, gdy on i Fields

pojawił się na dworcu, by pożegnać zespół pisarza. — Pomysł pana Sanda zadziałał dokładnie tak, jak przewidywaliśmy.

— Ten chłopiec wnet osiągnie pozycję kancelisty! — stwierdził Fields, gratulując Osgoodowi innowacji. — Przypomina mi pewnego innego chłopca na posyłki.

W drodze do Filadelfii Tom był zobligowany grać z Wodzem z karty, podczas gdy Henry Scott drzemał, trzymając nogi podwinięte, aby jakiś prostacki Amerykanin nie splunął mu tytoniem na buty. Dickens, jak zawsze podczas podróży pociągiem, miał pod ręką otwarty termos. Co kilka minut głowa opadała Henry'emu na ramię i wtedy z wielką godnością prostował się, zupełnie jakby był całkiem przytomny.

— Nikomu nie sprawia przyjemności drzemanie na oczach innych — zauważył Dickens, zwracając się do Toma. — Ja w zasadzie nigdy tego nie robię. Partyjka kart skutecznie pomaga podtrzymać aktywność, przegonić sen. Wykazać się siłą charakteru.

Dickens uznał chyba, że Tom jest zbyt milczący, i był rad, że podczas gry może rozprawiać za dwóch.

— Trudno powiedzieć, jak wiele zmieniło się w tym kraju. Ostatnio podróżowałem do Filadelfii dwadzieścia pięć lat temu i pamiętam, że niemal całe miasto stawiało się w hotelu po wywiad za mną. Każdy Tom, Dick, Harry, no i Edgar — to znaczy Edgar Poe. Żaden król czy cesarz nigdy nie był otoczony takimi tłumami jak ja w Filadelfii.

— Edgar Poe, mówi pan, Wodzu? — zapytał Henry, gdy ciężar opadającej głowy gwałtownie wyrwał go ze snu. Widać było, jak duże wrażenie robi na nim każdorazowa wzmianka nazwiska osoby, zwłaszcza zmarłej, którą uznawał za sławną. — Poe pisał makabryczne, niesamowite opowieści — rzucił pouczającym tonem w stronę Branagana. — A potem umarł.

— Był także poetą — zauważył Dickens — przypominał mi o tym wiele razy. Rozmawiałem z nim kiedyś o moim biednym kuku Gripie, który zdechł po zjedzeniu kawałka naszych drewnianych schodów. Mówiliśmy także o kwestii praw autorskich, rzutującej na tragiczną sytuację pisarzy, którzy nie dostają ani pensa, podczas gdy lotry wydawcy porastają w piórka dzięki pirackim publikacjom. Poe pisał wtedy opowieści traktujące o „wnioskowaniu” — czyli logicznym rozwiązywaniu tajemnicy — tak jak i ja. Powiedziałem mu — pamiętam dokładnie, jakby to było wczoraj — o *Kalebie Williamsie* Williama Godwina, którą to książkę obaj podziwialiśmy.

— Powieść tę przeczytałem w ciągu jednego dnia — radośnie wyznał Henry.

Dickens kontynuował:

— Wyjawiłem Poemu wszystko, co wiedziałem o tej dziwnej konstrukcji. Godwin najpierw napisał o schwyтaniu Kaleba, a dopiero później zdecydował się wyjaśnić same okoliczności i dopisał pierwszą część książki. Poe przyznał, że on sam także napisał opowieści oparte na logice działającej wstecz. Nade wszystko chciał, bym odkrywszy w nim bratnią duszę, znalazł mu wydawcę w Anglii, czego później próbowałem, zwracając się do Freda Chapmana, ale nie udało mi się. Nikt w tamtym czasie nie słyszał wiele o Poem, a wydawanie amerykańskich pisarzy było ryzykownym przedsięwzięciem. Biedak bardzo się o to na mnie rozgniewał — Dickens jakby natychmiast pożałował wypowiedzianych słów. — Jak wicie, był człowiekiem rozczarowanym, egzystował w nędzy. Może to mój nastrój, mój niepokój lub nie wiem co jeszcze sprawiło, że teraz o nim pomyślałem.

Po dwóch wieczorach autorskich w Filadelfii nastąpiły kolejne cztery w Waszyngtonie, potem jeszcze dwa w Baltimore. Na pierwszej imprezie w Waszyngtonie pojawili się kongresmani

i ambasadorzy niemal wszystkich krajów, a także zabłąkany pies, który przemknął się obok pilnujących wejścia policjantów i zaczął wyć w czasie czytania. Na wszystkich waszyngtońskich wieczorach obecny był prezydent Johnson, który w dzień urodzin pisarza zaprosił go razem z Dolbym do Białego Domu, mimo że stan zdrowia Dickensa wyraźnie się pogorszył. Podczas tej wizyty pisarz odniósł wrażenie, że Andrew Johnson sobie poradzi, pomimo opowieści o upadku, do jakiego miało przywieść go forsowanie w nieprzyjaznym Kongresie ugody z południowymi stanami.

— Tego człowieka musieliby zabić, aby się go pozbyć — stwierdził później Dickens w rozmowie z Dolbym.

Ten ostatni wnet wyjechał z Waszyngtonu do Providence, by zorganizować tam sprzedaż biletów, a pozostali przed powrotem do Filadelfii pojechali dalej, do Baltimore. Podczas jednej z dłuższych podróży koleją, wyczerpującej dla wszystkich członków zespołu, Dickens drgnął, budząc się z głębokiego, niezbyt przyjemnego snu.

— Czemu się uśmiewasz, mój chłopcze? — zapytał Toma, który siedział naprzeciwko niego.

— Spał pan — odrzekł Tom, wciąż z miłym uśmiechem.

Dickens pomyślał chwilę.

— Owszem, łaskawy panie! I zapewne zaraz mi powiesz, że ty nie zmrużyłeś oka.

Wyraźnie żałując rzuconych w pociągu szorstkich słów, Dickens odnalazł w Baltimore Marię Clemm, teściową Edgara Poe, która żyła na garnuszku państwa.

— To budynek, w którym umarł — powiedziała stara kobieta, gdy przyprowadzono ją na podwórze kościelnego przytułku, gdzie pisarz czekał na nią z Tomem. — Wtedy mieścił się tu szpital. Pan był przyjacielem Eddiego? Czy pan wie, co się stało? — zapytała nieobecny głos. Opiekunka wyjaśniła jej wcześniej, kim jest gość, ale staruszka zdążyła zapomnieć.

— Jestem pisarzem, kolegą po fachu. Każdy autor, droga pani Ciemni, każdy poeta i każdy wydawca znał jego udrękę — powiedział delikatnie Dickens. Uprosił ją, by przyjęła sto pięćdziesiąt dolarów na swoje potrzeby.

Dolby ponownie dołączył do grupy w Filadelfii wieczorem, w dniu pożegnalnego wieczoru autorskiego. Już nie obrzucał Toma gniewnymi, chłodnymi spojrzeniami, jak czynił to po nieszczęsnym zajściu w Wigilię. Ignorował go. Miał teraz dość powodów do zdenerwowania. Ulotka reklamowa wydrukowana z okazji wieczoru autorskiego w Hartford głosiła, że seans potrwa dwie minuty, a słuchacze muszą stawić się przynajmniej dziesięć godzin wcześniej, by zająć wyznaczone miejsca.

Dickens tylko się śmiał, a gniew menadżera z tak błałego powodu go zaskoczył.

— Mój drogi Dolby — powiedział, wskazując mu krzesło. — Zdajesz się dzisiaj nad wyraz zdenerwowany. Nie traktuj tak poważnie tego, co wypisują w gazetach. Przecież, jak ci wiadomo, według amerykańskiej prasy mam oczy niebieskie, czerwone, wreszcie szare, a następnego dnia nazywają mnie wolnomularzem. Wiesz, kiedyś bardzo cierpiałem z powodu krytycznych artykułów o moich książkach, później solennie sobie obiecałem, że po prostu nie będę ich czytał i nigdy nie złamałem tej zasady. Jestem z tego powodu zdecydowanie bardziej szczęśliwy, a na pewno nie głupszy.

Menadżer z powagą pokręcił głową i usiadł.

— Niech sobie te gazety piszą o mnie, co chcą, Wodzu. Niech robią ze mnie niemotę i tak dalej! Nie chciałem pana martwić, ale odwiedził mnie agent z departamentu skarbu, twierdząc, że jesteście im winni pięć procent całego naszego dochodu w Ameryce.

— Pięć procent! — wykrzyknął Dickens. — Czy ten człowiek ma rację?

— Nie! Jednak grozi konfiskatą naszych biletów i wszelkiego dobytku, a nawet uwięzieniem, jeśli spróbujemy wyjechać z tego kraju. Wysłałem listy do prawników w Nowym Jorku, ale nie spieszą się z odpowiedzią.

— Coś takiego! — Dickens próbował zachować lekki ton. — No cóż, zawarliśmy pewne przyjaźnie w Waszyngtonie, czyż nie?

— Niemal każdy członek elity politycznej stawiał się na pańskich wieczorach autorskich!

— Założę się, że chętnie użyją swych wpływów, by zażegnać tę katastrofę, jak sądzisz? Wybierz się do nich.

Dolby powrócił do Waszyngtonu na jeden dzień, jak mu polecono. Zjadł obiad z szefem urzędu skarbowego w rządzie federalnym, który potwierdził, że wieczory autorskie Dickensa uznano za okolicznościowe i jako takie nie są objęte podatkiem.

— W tym departamencie zawsze znajdują się prymitywni, nieokrzesani poborczy podatku — powiedział przeproszającym tonem ów wysoki urzędnik, pisząc list. — Cóż, Kongres musiał nawet zbadać przypadki, gdy niektórzy z naszych ludzi czynili, że tak powiem, niedżentelmeńskie propozycje buchalterkom zatrudnionym w departamencie skarbu. List mój proszę nosić przy sobie, panie Dolby. To powinno zapobiec kłopotom. Widzi pan, we wschodnich stanach wielu poborców to Irlandczycy cierpiący na anglofobie. Wszakże mam nadzieję na uzdrowienie ich dzięki takim jak wasza wizytom naszych angielskich kuzynów.

Przyjazd do Bostonu wprost na sobotni obiad przygotowany dla Dickensa i Dolby'ego u państwa Fieldsów przy prowadzonym przez nich wędrownym trybie życia był niczym powrót do domu.

Przed posiłkiem spacerowali się po Bostonie. Sympatyczny pan Osgood wskazywał interesujące miejsca. Tyle się budowało! Sears Building, wówczas w postaci sterty kamieni, ziemi i

rusztowań, zapowiadano jako wspaniały pałac, mieszczący na sześciu piętrach biura i sklepy.

— O, tam — Osgood wskazał ręką — po ukończeniu budowy będzie działała pierwsza bostońska parowa winda. Widzicie, mówią, że właśnie tamtędy poniesie pasażerów do góry i w dół. — Pozostawiono wolną przestrzeń pośrodku konstrukcji każdego poziomu, a na samym dole znajdowała się maszynownia z pompą parową, podłączoną do licznych rur ciągnących się do samego szczytu budowli. Do ściany budynku przylegała wspaniale zdobiona kabina, przypominająca mały salonik.

— Ponoć już niedługo — ciągnął bostoński wydawca — nikt nie będzie używał schodów i rocznie uratujemy życie pięćdziesięciu osobom, które z nich spadają. Zastanawiam się tylko, czy zmiany w Bostonie nie ruszyły zbyt szybko, by można je było ogarnąć. Dzięki sile pary wszyscy będziemy przenosić się w górę i w dół.

— Każdy polityk z takimi poglądami może liczyć na mój głos — stwierdził Dolby, który nie krył niechęci do chodzenia na piechotę, czego wymagał i Boston, i Dickens.

Tego wieczoru na obiad do państwa Fieldsów przyjechał z Concord Ralph Waldo Emerson. W przeciwieństwie do większości przedstawicieli literackiego świata Cambridge: Longfellowa, Lowella i Holmesa, zdawał się tylko częściowo zainteresowany Dickensem jako człowiekiem, a jeszcze mniej jako pisarzem. Jednak Mędrzec z Concord nie zdołał powstrzymać się od śmiechu, gdy Dickens przy specjalnie z tej okazji przyrządzonym przez siebie ponczu zaśpiewał irlandzką balladę: *Kruszkin lan ne czuskin*\*; Emerson, wbrew swym zwyczajom, zaśmiał się kwaśno, wyraźnie zdegustowany.

\* *Kruszkin lan...* (z celt.) — „Pełny mały dzbanuszek”. Ballada z początku XVIII wieku.



Posępne twarze kilku innych osób biorących udział w obiedzie niczym jakaś niewidzialna siła przygwoździły atmosferę beztroski. Iwarze te należały do wysokiej rangi polityków z Massachusetts, którzy twierdzili, że po nagłym zdymisjonowaniu ministra wojny przez prezydenta Johnsona postawienie głowy państwa w stan oskarżenia jest niemal pewne. Tej nocy przywódcy Kongresu spotykali się na tajnym zebraniu. W powietrzu czuć było zamęt.

Do kryzysu państwowego przepowiedzianego w czasie tamtej kolacji doszło w poniedziałek. Andrew Johnsona postawiono w stan oskarżenia za poważne wykroczenia i występki w związku z lekceważeniem prezeń Kongresu w trakcie prac nad rekonstrukcją Unii. Rozgorączkowanie społeczne sięgnęło zenitu. Tego dnia niewielu chętnych ustawiło się w kolejce przy kasie biletowej — zabrakło nawet większości spekulantów! Zważywszy na słabsze zainteresowanie słuchaczy, a także na stan zdrowia Dickensa, Dolby odwołał najbliższe wieczory autorskie w Bostonie.

W czasie zastoju pracownicy robili co mogli, by rozerwać pisarza. Dolby i Osgood urządzali zawody w chodzie, rozrywce wymyślonej przez Dickensa, dostarczyli mu także pretekstu do wydania uroczystego wieczornego przyjęcia.

— Ach ten Osgood! — żalił się Dolby Henry'emu, który pomagał mu przygotować się do rywalizacji, zaopatrując go w bezszwowe skarpety. — Na moje nieszczęście nie waży więcej niż dziesięć i pół kamienia\* i dam głowę, że przy każdej pogodzie będzie szybszy ode mnie, zwłaszcza na śniegu i lodzie. Zapamiętaj moje słowa, jest szybszy i silniejszy, niż się wydaje — iw bieganii, i pod innymi względami. Niech diabli porwą Johnsona, że dał się postawić w stan oskarżenia.

\* Stone — angielska jednostka masy; 1 kamień to równowartość 6.35 kilograma.

Wkrótce Dolby i Osgood mieli wyjechać z miasta i dopilnować wprowadzenia zmian w harmonogramie. Tom i Henry Scott zostali w Parker House z Dickensem. W porównaniu do reszty czasu spędzonego w Ameryce, dni w Parker House, bez wieczorów autorskich, miały w nedorzecznym powolnym tempie. Pogoda i stan zdrowia na ogół nie pozwalały Dickensowi opuszczać pokoju. Osłabiały go ataki kaszlu, a przede wszystkim tęsknota za Gadshill.

Gdy nie siedział przy biurku zajęty pisaniem, miał zwyczaj wdawać się w rozmowę z każdym, kto znalazł się w pobliżu: z posługaczem, pracownikiem czy gościem hotelowym. Tom miał za zadanie przynosić mu najnowszych telegraficznych raportów od Dolby'ego i Osgooda natychmiast po ich nadejściu. Któregoś dnia Dickens otrzymał list z domu, który wprowadził go w melancholijny nastrój. Gdy Tom przyszedł po korespondencję do ostatniej w tym dniu wysyłki, pisarz nadal siedział wpatrzony w kartkę.

— To nie może być John Thompson! — wykrzyknął.

— Tak, Wodzu?

— Thompson jest jednym z moich ludzi w Gadshill. Policja odkryła, że wykradał pewne kwoty z mojego sejfku. Po tych wszystkich latach! Przecież ufałem mu na tyle, by powierzać mu moje dzieci. Mówię o rękopisach, dostarczał je w rozmaite miejsca. Jeden Bóg wie, co mam zrobić z tym nieszczęśnikiem — lub dla tego nieszczęśnika!

— Bardzo mi przykro, Wodzu.

— Powiedz no mi, mój poczciwy Branaganie — zapytał Wódz — czytujesz ty moje książki?

Tom, zaskoczony, przystanął. Zazwyczaj Dickens mówił jakby obok, a nie wprost do niego. Tom pamiętał też słowa Dolby'ego o tym, jak ważne jest, by podtrzymywali dobry nastrój pisarza.

Dickens roześmiał się, zauważywszy wahanie młodzieńca.

— Och, możesz mi powiedzieć prawdę, panie Branagan! Jeszcze jeden cholerny „miłośnik Dickensa” i nie udźwignę już tego ciężaru. Nic tak bardzo nie przeraża autora, jak pierwsze spotkanie z czytelnikiem.

— Nieczęsto czytuję powieści, sir.

— Sir? Tylko obcym pozwalam tak się do siebie zwracać, a prawdę mówiąc wolalbym, by obcy w ogóle się do mnie nie zwracali. Wiesz, dlaczego nazywają mnie Wodzem?

— Nie.

— Dolby nigdy nie czuł się swobodnie, zwracając się do mnie per Charles czy Dickens. No cóż, przynajmniej udało mi się przekonać go, by używał przydomku Boz.

Dickens ciągnął swą opowieść o tym, jak to pewnego popołudnia w drodze na wieczór autorski w Chester Dolby zastał go siedzącego, przy kominku, w tureckim fezie i jaskrawym szalu wokół szyi dla ochrony przed chłodem wdzierającym się do pokoju w Queen's Hotel.

— Jak się pan czuje? — zapytał wówczas zatroskany Dolby.

Na co Dickens warknął:

— Jak smakołyk w zimnej spiżarni. A jak wyglądam?

— Jak stary wódz — odpowiedział Dolby — tylko bez fajki.

— I stąd wzięło się to przezwisko. Szanuję Dolby'ego nad wyraz, gdyż pokonał ten sam defekt mowy, z którym mój chłopak, ten w Indiach — to znaczy mój trzeci syn, Frank, teraz służący w policji w Bengal — w dzieciństwie nie mógł się uporać, głównie z powodu absolutnego braku wytrwałości. A więc, jak to z tobą jest, w ogóle nie czytujesz powieści?

Tomowi wyleciał już z głowy poprzedni wątek.

— Powieści i romanse tylko stwarzają pozory — stwierdził.

— Chciałeś powiedzieć, że kłamię?

— No tak. Udadają coś, czym nie są.

— Książki rzeczywiście coś udają, panie Branagan. Bez wątpienia. Ale to nie wszystko. Pełne są kłamstw, ale spomiędzy nich można wyłuskać jeszcze więcej prawdy — bez tego, co ty nazywasz pozorami, stronice byłyby zbyt lekkie, by ją unieść, rozumiesz? Autor zawsze umieści w tekście samego siebie, swoje prawdziwe ja, jednak należy uważać, by nie pomylić go z jego najbliższym sąsiadem.

— Ale to nadal tylko wytwór wyobraźni. Czyż nie?

— Pozwól, że coś ci pokażę. Przyjmijmy, że ten kieliszek na stole to postać. — Tom skinął głową. — Dobrze. A teraz wyobraź sobie, że to mężczyzna, wyposaż go w pewne właściwości, a wnet osnuje go delikatna, cieniutka pajęczyna myśli, przydając mu formy i piękna, aż postać ożyje. Od tego momentu fabuła rozwija się sama do chwili, gdy w końcu, niestety, ujrzę wypisane wielkimi literami słowo: KONIEC. Ale jeśli nie będę kuł żelaza, póki gorące — żelazo to ja — znów stracę wątek.

Tom nie był do końca pewien, czy zrozumiał, ale powiedział, że wie, co Dickens ma na myśli.

— Naprawdę? — zdziwił się Dickens. — Cóż za szybka zmiana zdania, Branagan. Wyborny z siebie, trzeźwo myślący młodzieniec. Chciałbym, abys następnym razem był wobec mnie szczerzy, zawsze to wolę, niezależnie od tego, co ci mówi Dolby.

Wziąwszy sobie głęboko do serca życzenie Dickensa w kwestii szczerości, Tom wrócił myślami do sprawy, która najbardziej gnębiła go od czasu odwołania wieczorów autorskich. Jeśli, jak podejrzewał, pani Barton przychodziła na wszystkie seanse w Bostonie, to teraz zapewne czuła się gorzko rozczarowana odwołaniem kolejnych. Może nawet potraktowała ten fakt jako osobistą obrazę. Jeśli każda inna osoba w tym kraju była zbyt zaprzątnięta sprawą postawienia prezydenta w stan oskarżenia, by zwracać uwagę na

cokolwiek innego, to na pewno nie ona — ona mogła nawet nie zdawać sobie sprawy, że pojawiło się jakieś oskarżenie.

Tej nocy zbudziło Toma zwykle podzwanianie przejeżdżających ulicą wozów strażackich. Coś mu się właśnie śniło, gdy hałasy wyrwały go ze snu.

Potrząsając głową, usiadł na łóżku w swojej nieco za luźnej flanelowej koszuli nocnej. Jakież to dziwne miał sen. Rozgrywał się w miejscu jakiejś strasznej katastrofy kolejowej, takiej jak ta w Staplehurst, w której omal nie zginął Dickens. Tyle że w swojej sennej wizji Tom zastąpił pisarza i to on ze skalistej krawędzi opuszczał się w obryzganą krwią przepaść, z której dochodziły krzyki ludzi. Gdy próbował wyciągnąć ofiary na brzeg rzeki, obok niego w czeluść osuwały się owce i krowy, a wszyscy, ludzie i zwierzęta, byli martwi. Nad ich głowami z uszkodzonego mostu zwiślał pierwszy wagon pociągu, a z niego do płynącej w dole rzeki spadał deszcz kartek ze wszystkich książek Dickensa.

Tom rozmyślał o tym przerażającym śnie, gdy zwilżał twarz wodą z miednicy i przecierał oczy. Końce palców wydały mu się przeraźliwie zimne. To wtedy doznał nagłego przeczcucia. Pojutrze wyjeżdżają z Bostonu, więc jeśli Louisa Barton coś planuje, wykona to tego wieczoru. Jeśli nawet jeszcze jej nie ma w Parker House, to się tam pojawi. Tom wiedział, że tak będzie.

Być może ośmielił go fakt, że zabrakło Dolby'ego i Osgooda, którzy udzieliliby mu reprymendy. Ubrał się pospiesznie i zszedł na dół, do korytarzyka przed drzwiami Dickensa, gdzie siedział na straży hotelowy służący.

— Co znowu? — zapytał, gwałtownie wyrwany z drzemki. Zepchnął dłoń Toma ze swego ramienia. — Człowieku, jestem dzisiaj diabelnie skonany.

— Muszę porozmawiać z panem Dickensem.

— Wątpię, by o tej godzinie potrzebne mu było jakiegokolwiek towarzystwo! Zwłaszcza takiego Patryczka od bagażu! Przyjdź rano.

— Za dużo wypiełeś w barze — Tom czekał ze wzrokiem wbitym w służącego.

— Dobrze, jak sobie chcesz — mruknął tamten naburmuszony. Zapukał do drzwi i oznajmił, że przyszedł ktoś z wizytą. Czy pan Dickens pozwoli mu wejść?

— Ani mi się śni! — padła zza drzwi odpowiedź.

Służący wyszczerzył się w triumfalnym uśmiechu. Tom postąpił jeszcze kilka chwil, po czym poddał się i ruszył do siebie. Już miał otworzyć drzwi swojego pokoju, gdy usłyszał odgłosy szamotaniny — kogoś duszono, jakaś kobieta krzyczała — a dźwięki te dochodziły zza drzwi Dickensa. Służący stojący na zewnątrz zdawał się sparaliżowany ze strachu. Tom pobiegł z powrotem i wpadł do pokoju pisarza.

Dickens, sam, w welwetowym szlafroku, stał przed wielkim lustrem z twarzą przeraźliwie wykrzywioną i zaciskał ręce na kocu tak, jakby była to szyja wroga.

— Branagan! Wejdz — powiedział pogodnie.

— Wodzu, wydawało mi się, że słyszę... — zaczął Tom, nie wierząc własnym oczom.

— Ach, tak — odrzekł Dickens, roześmiał się i zaraz dostał ataku kaszlu. — Ja tylko ćwiczyłem czytanie nowego, krótkiego tekstu — całkiem innego niż pozostałe. Zaadaptowałem go i skróciłem z wielką pieczołowitością. Zamknij proszę drzwi, to trochę ci przeczytam.

Rozdział z *Olivera Twista*, jednej z wcześniejszych powieści Dickensa, opowiadał o Billu Sikesie, zbrodniarzu, który pobił i zamordował swą kochankę, Nancy, uznając, że zdradziła go, udzielając pomocy sierocie Oliverowi. Dickens odegrał te sceny jedna po drugiej, z wigorem i gwałtownością zapowiadającą nieuchronność

śmierci. Tom poczuł, że przechodzi go zimny dreszcz, gdy wydało mu się, że poczciwa prostytutka umiera na jego oczach.

Skończywszy, pisarz z powrotem opadł na fotel i kołysząc się w nim, zakreślał głową koła w lewo i w prawo.

— Nikt jeszcze tego nie słyszał — rzucił podekscytowany, gdy złapał oddech. — Mówiłem o tym Dolby'emu, Fieldsowi i Osgodowi przy kolacji. Ćwiczyłem te sceny w tajemnicy, ale wychodzi mi coś tak straszliwego, że boję się odegrać to publicznie.

— To było przerażające, Wodzu. Jeśli jakaś kobieta wśród słuchaczy krzyknie, może znowu wybuchnąć histeria.

— Zdaję sobie sprawę.

— Pewnie rozmyślając o tym, nie może pan dobrze spać — stwierdził Tom.

— I tak nie mogę spać! Całe trzy godziny okropnie kaszlałem, nie zmrużyłem oka. Tylko laudanum trochę pomagało, ale dzisiejszej nocy środki nasenne w ogóle nie działają! Próbowałem już alopatrii, homeopatii, rzeczy ciepłych, rzeczy zimnych, gorzkich specyfików, słodkich specyfików, stymulatorów, narkotyków.

Dickens wyjął ze swej podróżnej apteczki miksturę opiatów przyrządzoną z zawartości rozmaitych fiolek i zażył następną łyżeczkę gorzkiego środka. Energia, którą do tej pory tryskał, uleciała z niego, jak ulatuje z aktora wchodzącego za kulisy pod odegraniu sceny. Wydawał się pozostawać całkowicie pod wpływem kombinacji znużenia i narkotyków.

— Mam nadzieję niedługo ponownie wziąć miecz do ręki — powiedział znużonym głosem. — Czuję niepokój, Branagan, jakbym był w klatce, w ogrodzie zoologicznym. Gdybym miał lwia grzywę, poświęciłbym jej część do przecierania szyb okna mego więzienia.



— Wodzu, prosił mnie pan o szczerość — odezwał się Tom.

— Naprawdę? — zapytał Dickens, mlaskając językiem. — No to co mi powiesz? Mam odegrać tę nową scenę czy nie? Wydawało mi się, że to jedna z moich najdoskonalszych. Chociaż może nie powinienem popełniać morderstwa w Ameryce, to może być za wiele dla tutejszej wrażliwości.

Tom musiał podnieść głos, by przekrzyknąć odgłosy kaszlu pisarza.

— Panie Dickens, nie o to chodzi. Niepokoi mnie Louisa Barton, kobieta, która już raz wtargnęła do pańskiego pokoju i regularnie pojawiała się na pańskich wieczorach autorskich. Mało tego, pojechała za nami do Nowego Jorku i zaatakowała ową wdowę, a może też wykradła pański dziennik. Jestem przekonany, że dama ta będzie pana tutaj szukać dzisiaj wieczorem.

— Nawet gdy przy moich drzwiach waruje stróż o argusowych oczach? — Dickens nie krył sarkazmu. — Ma pan powód, żeby myśleć tak zwłaszcza dzisiaj, panie Branagan, rozumiem.

— Ostatnie seanse czytelnicze w Bostonie zostały odwołane, a na pewno by się na nich stawiała. Domyślam się, jak na stan jej psychiki mogło wpłynąć to, że ją ich pozbawiono. To ostatni wieczór, i ona spróbuje dopaść pana, i uzyskać to, czego pragnie.

— Czyli co?

Tom już nie był taki pewny siebie.

— Nie wiem.

— Skończyłeś? — zapytał gniewnie Dickens.

— Wyraziłem, co czuję.

— Pewnego dnia zgubi cię ta twoja piekielna przezorność! — stwierdził Dickens, wzdychając głośno, po czym usiadł za biurkiem. Tom czuł, że jego słowa nie zabrzmiały dość przekonująco,

nawet w jego własnych uszach, ale zaskoczył go wybuch gniewu pisarza. Ruszył do wyjścia.

— Zaczekaj. Już dobrze, Branagan.

— Tak, Wodzu? — Tom odwrócił się i ujrzał, że Dickens ociera łzę.

— Wybacz mi. Wiem, że masz rację. Widzisz, zanim wyjechałem z Anglii, dostawałem rozmaite listy z ostrzeżeniami przed niebezpieczeństwem, które czyha na mnie w Ameryce. Wskazywano na nastroje antydickensowskie, nastroje antyangielskie, agresywność nowojorczyków i sam nie wiem, co jeszcze. Ale że już podjąłem decyzję o przyjeździe tutaj, postanowiłem za żadne skarby nie wspominać o tych listach nikomu, nawet Dolby'emu, a zwłaszcza temu staremu pedelowi Forsterowi, który uważał, że dusza opuści moje ciało z chwilą, gdy on pożyczy mi szczęśliwej podróży.

— A więc uważał pan, że kroki, o których podjęcie nalegałem na pana Dolby'ego, były konieczne?

— Dlatego przystałem na to, żebyś tej nocy pilnował moich drzwi. Wyobraź sobie tylko, jak to jest być człowiekiem, który rzekomo wymaga ochrony przed goblinami i upiorami! Ciekaw jestem, czy Miliona podczas pisania nawiedzały anioły, czy diabły — i kto zjawia się mnie? Wiem, że usiłowałeś rzecz tę rozgryźć, mój poczciwy Branaganie — ciągnął. — Na własne oczy widziałeś, jak tłum nęka mnie, zachodzi mi drogę, ociera się o mnie, przyprawia o siniaki, potęra. Nigdy dotąd nie doświadczyłem takiego braku prywatności jak tutaj, w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Mój chłopcze, jeśli zareagowałem niemilo, gdy zapukałeś do moich drzwi, to zapewniam cię, ubolewam nad tym. Gdy ćwiczę czytanie, postać, nad którą nie mam kontroli, przejmuje nade mną władzę. No więc, co proponujesz, jakie podejmiemy kroki? Jeśli mam się na coś zdecydować, to natychmiast.

Tom jeszcze nie przygotował planu. Myślał gorączkowo.

— Wodzu, chciałbym jak najszybciej przyłapać tę damę na gorącym uczynku, by więcej nie mogła pana nachodzić.

— Oby tak było! No więc, co robimy? — dopytywał się niecierpliwie pisarz. — Lepiej jest działając, umrzeć, niż czekać. Zawsze uważałem, że pewnego dnia odejdę podczas pracy.

Wysunięta ad hoc propozycja Toma przedstawiała się następująco: zajmie on miejsce Dickensa w łóżku. Pisarz po cichu prześlizgnie się do sąsiedniego apartamentu, zwykle zajmowanego przez George'a Dolby'ego. Jeśli niepożądany gość wtargnie do środka, tak jak stało się w pierwszym tygodniu ich pobytu w Bostonie, to — wbrew swym oczekiwaniom — zamiast Dickensa zastanie Toma. A jeśli pani Barton się nie pokaże, to opuszczając miasto, będą mogli wzniesić toast za bezpieczeństwo Wodza.

Dickens rozważył ten plan i szybko nań przystał. Pozbierał z sekretarzyka i szuflad biurka kilka osobistych drobiazgów i umieścił w walizce z cielecej skóry.

— Czy wierzysz w sny, Branagan? — rzucił mimochodem. Tom pomyślał o swoim dziwnym śnie à la Staplehurst.

— To znaczy, czy wierzę, że mówią nam, co się wydarzy?

— Oczywiście. Lub co już się stało. Kiedyś przyśnił mi się mój drogi przyjaciel Jerrold, dramaturg. Podał mi coś, co napisał, choć nie był to jego charakter pisma, i nalegał, bym to przeczytał dla mojego własnego bezpieczeństwa. Spojrzałem na tekst, ale nie mogłem zrozumieć ani słowa. Zbudziłem się wielce zakłopotany, wciąż mając przed oczami te dziwne litery. Następnego dnia ku swemu zdumieniu dowiedziałem się, że Jerrold zmarł.

Tom zastanawiał się nad odpowiedzią. Dickens lekko skłonił głowę, jakby właśnie skończył kolejną udramatyzowaną lekturę. Młodzieniec z niepokojem zastanawiał się, jakie znaczenie mogła

mieć fascynacja pisarza snem dla jego zdrowia i samopoczucia.

— Polubiłem cię, Tomie. Nie przestawaj wznosić tych swoich prywatnych modłów, jak zapewne masz w zwyczaju. Ja nie modłę się nigdy, ale wiem, ile można znaleźć pociechy w modlitwie. Jeśli pożyczę tyle, by wydać następne książki, chciałbym, żebyś je czytał, niezależnie od tego, czy zrozumiesz, że mogą mieć coś wspólnego z twoim życiem. Obiecujesz?

— Tak — odrzekł Tom.

— To dobrze, będę dumny z takiego czytelnika.

Gdy dokończył zbierania drobiazgów, wszedł do apartamentu Dolby'ego i zamknął za sobą drzwi. Tom czekał z bijącym sercem. Słyszac skrzypnięcie, odgłos kroków czy szmer, już widział wpadającą do środka kobietę intruza, a następnie scenę pochwycenia jej. Siłą rzeczy wyobrażał sobie także furię Dolby'ego, w jaką ten wpadłby, gdyby przypadkiem wrócił wcześniej do Bostonu. Zapewne poskarżyłby się wielce czcigodnemu Osgoodowi, a ten, co oczywiste, powtórzyłby tę historię swemu współnikowi, panu Fieldsowi, który, rozwścieczony, wezwałby policję, by pojawiła się z posiłkami i tym razem już aresztowała Toma.

Noc mijała spokojnie i Tom już zaczął myśleć, że się pomylił, zakładając, iż Louisa Barton pojawi się. Jak na jedną noc wystarczająco wystraszył zniekanego pisarza. Delikatnie zapukał do drzwi pomieszczeń Dolby'go, w których spał Dickens.

— Wodzu — szepnął. Nieznacznie uchylił drzwi. — Wodzu, myślę, że wystarczy tych środków ostrożności. Czy życzy pan sobie wrócić do własnego łóżka?

W środku nie było nikogo. W łóżku ktoś wcześniej spał, ale pościel została tylko lekko wzburzona. Niewykłuczone, że pisarz znowu wyszedł zaczerpnąć powietrza. Chyba że zgodnie z przypuszczeniami Toma pojawiła się Louisa Barton.

Wyszedł na korytarz, by wypytać służącego, który pilnował drzwi Dickensa, ale jego także nigdzie nie było widać. Zszedł na dół, odszukał nocnego recepcjonistę i posłał po nieobecnego sługę — ten wyłonił się z baru z kieliszkiem brandy w dłoni.

— Co robiłeś w barze? — zapytał Tom.

Zapytany rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

— Czyżbyś stał się abstynentem?

— Jest trzecia rano. Dlaczego nie pilnujesz na górze drzwi pokoju pana Dickensa?

— Bo nie ma czego pilnować. Pan Dickens wyszedł.

— Kiedy? — zapytał Tom.

— Niecałe pół godziny temu. Powiedział, że chce rozprostować nogi na dworze. Zszedł tylnymi schodami.

Tom natychmiast zorientował się, jak bardzo okazał się nierozsądny. Wcale nie udało mu się przekonać Dickensa o niebezpieczeństwie zagrażającym mu ze strony kobiety intruza! W głowie usłyszał teraz gniewny krzyk Dolby'ego: „Zgubiłeś Wodza! Zgubiłeś Charlesa Dickensa!”.

Przed hotelem odszukał portiera, który widział Dickensa wychodzącego tylnymi drzwiami, zatrzymującego dorożkę i odjeżdżającego. Według niego powóz, z Dickensem w środku, odjechał w kierunku północnym. Tom ruszył w stronę rzeki w poszukiwaniu jakichś śladów pozostawionych przez pisarza lub wynajętą przez niego dorożkę. O tak wczesnej porze ulice były niemal puste. Nadjechał rozklekotany wóz piekarza rozwozącego chleb. Tom podciągnął się na otwartą platformę i przykucnął za stertami pieczywa, niewidoczny dla woźnicy. Po jakimś czasie zeskoczył na drogę i lustrował wzrokiem okolicę, w końcu zrezygnował z beznadziejnych poszukiwań.

Nagle usłyszał niespodziewany w porannej ciszy dźwięk — jakby jęk. Odgłos dochodził z miejsca kilka kroków dalej, znad brzegu rzeki. Poszedł w tamtą stronę i natknął się na rudowłosego

mężczyznę leżącego twarzą w dół na kamienistym, oblodzonym nabrzeżu. Pewnie jakiś miejscowy pijak, pomyślał. Wciągnął leżącego trochę wyżej i ujrzał, że człowiek ten został pobity — także potargane ubranie wskazywało na atak. Leżał z gołą głową, a w pobliżu nie widać było kapelusza.

— Co się stało? — zapytał Tom, poluzowując nieborakowi ubranie na piersi.

Ten znów jęknął, próbując wypowiedzieć jakieś słowo.

— Dorożka! — wyrzeźił wreszcie.

— Wezwę pomoc.

Nim Tom zdążył zrobić krok, mężczyzna złapał go za kołnierzyk, za wszelką cenę starając się coś wyjaśnić. Choć był na pół przytomny i z trudem łapał oddech, zdołał przekazać, że właśnie jechał swoją dorożką, gdy ujrzał jakąś kobietę dającą znaki, że potrzebuje pomocy. Trzymała się za kostkę, jakby w wielkim bólu. Gdy zsiadł z kozła i ruszył w jej stronę, przebiegła obok niego, straciła mu kapelusze i wskoczyła na kozioł, chwytając lejce. Ruszył za nią, ale uderzyła batem konie i oszalałe zwierzęta go potrąciły. Potem kobieta zeskoczyła i zepchnęła chwiejącego się woźnicę z nasypu.

Tom dostrzegł pod warstwą lodu i czarnego błota, że mężczyzna miał na sobie ubranie dorożkarza.

— Wiozłeś pan pasażera? — zapytał.

Woźnica przytaknęła.

— Kogo? Czy był to Charles Dickens?

Mężczyzna rozkaszał się gwałtownie, prychnął krwią.

— Możesz pan wstać? — Nie udało się, więc Tom jedną ręką otoczył kark na wpół zamrożonego woźnicy, drugą podsunął mu pod nogi i mocno się wyteżywszy, podźwignął go i wniósł na ulicę.

I właśnie w tym momencie z turkotem nadjechał jednokonny powóz pędzący w stronę hotelu. Tom próbował wezwać woźnicę

na pomoc, ale wóz przejechał obok w szaleńczym tempie, o wiele szybciej, niż przewidywała norma prawna dla konnego ruchu. Śmignął zbyt szybko, by Tom zdążył zobaczyć cokolwiek poza kapeluszem powożącego i stwierdzić, że w środku nie było pasażera. Ale dorozkarz, którego niósł, wyciągnął rękę na widok jednokonki.

— Zachowaj spokój, kolego — powiedział Tom.

Gdy ciężko stąpając, niósł ciężar dalej ulicą, zauważył, że powożący platformą poi na postoju swoje dwa okryte kocami konie.

— Ten człowiek potrzebuje pomocy, natychmiast. Trzeba zawieźć go do szpitala — polecił mu Tom, delikatnie kładąc rannego na ziemi. Potem ze słowami: „Muszę ją pożyczyć”, zabrał się do odwiązywania klaczy od platformy.

Zdumiony woźnica był zbyt zaskoczony, by zaprotestować, a Tom wsiadł na niesiodłanego konia i spiął go do galopu.

Wnet jechał tuż za pędzącym powozem, który ich poprzednio minął. Gdy znalazł się wystarczająco blisko, głęboko zaczerpnął powietrza i zeskoczył z konia, chwytając za tył powozu. Jedną ręką przytrzymując się dachu jednokonki, przesunął się na boczną ściankę, otworzył drzwiczki i wpadł do środka. Powóz n i e był pusty. Na podłodze leżał Dickens.

Wódz leżał na wznak, niewidoczny przez okno. Jego głowa spoczywała na poduszce — tej skradzionej z Parker House!

Właśnie czegoś takiego Tom spodziewał się przez cały czas.

Była tu też płócienna torba Louisy Barton, pełna pomiętych kartek rękopisu. Tom wziął do ręki stronę tytułową. *Nowa Księga Hioba pióra Charlesa Johna Huffama Dickensa* — napisał ktoś wąskim pismem. W torbie znajdowały się także pantofle, lokówka, lusterko, pomada do włosów i sznur.

— Wodzu, to ja, Tom Branagan. Jest pan ranny? — szepnęła i potrząsnęła pisarzem.

— Powoli, proszę — wybelkotał w odpowiedzi Dickens.

Tom zauważył, że pisarz nie był związany ani w żaden inny sposób ograniczony fizycznie. Znajdował się jednak w stanie odrętwienia, jak zawsze, gdy przebywał w jakimkolwiek szybko poruszającym się pojeździe.

Nagle konie ostro zahamowały, powóz podskoczył.

Dickens usiłował coś powiedzieć, ale Tom dał mu znak, by milczał. Pisarz był oszołomiony i na wpół przytomny, do tego Tom nie miał broni, a wiedział, że Louisa Barton zapewne jest uzbrojona. Gdyby porywaczka go dostrzegła, mogłaby zadziałać desperacko.

W jednokonce były dwie ławki usytuowane naprzeciw siebie, a pod każdą z nich znajdowało się miejsce na bagaż. Gdy Tom usłyszał, że powożąca zsiada z kozła, zsunął się na podłogę i wcisnął pod siedzenie. Pochwylił laskę Dickensa i przycisnął do siebie, by nie było jej widać.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczyła dramatycznym tonem Louisa, otwierając drzwiczki. Obfite włosy byle jak upchnęła pod skradzionym dorożkarzowi kapeluszem, który teraz zdjęła i odrzuciła na bok. — Wodzu, trzeba się obudzić. Musisz się ożywić, byś jak zawsze natchniony i pełen wigoru zademonstrował, na co cię stać. Ten seans autorski przewyższy wszystkie inne dla tych nic niewartych, pustych, po stokroć pustych głów!

Objąwszy Dickensa, kobieta z wielkim wysiłkiem wyciągnęła go przez boczne drzwiczki powozu. Tymczasem Tom przetoczył się na drugą stronę i uchylił drugie drzwiczki, by obserwować, co się dzieje. Na powóz padał potężny cień Tremont Temple.

Napastniczka jedną ręką delikatnie prowadziła Dickensa w stronę teatru, w drugiej trzymała osadzony w perłowej ręczce sprężynowy nóż. Miała na sobie różową szarfę i płomieniście czerwoną



szatę, ze wzburzonych włosów zwisały uschnięte kwiaty geranium.

Tom zaczekał, aż wejdą do teatru, a potem frontowymi schodami dostaną się do głównego holu. Z poprzednich seansów znał ten budynek dokładnie i wiedział, że w środku będzie miał największą szansę na odseparowanie Dickensa od kobiety na wystarczająco długo, by udało mu się go uwolnić. Rozważał zaalarmowanie policjantów, ci jednak na pewno nie byliby skłonni uwierzyć w jego opowieść, a zwłaszcza w to, że napastniczką była kobieta z tutejszych wyższych sfer, Louisa Parr Barton.

Wszedł bocznymi drzwiami, których wcześniej sam pilnował, nie dopuszczając na salę niepożądanych słuchaczy. Teraz to on się przemykał. Schodami zakradł się na balkon, ponad poręczą obserwując, co rozgrywa się na scenie. Louisa ulokowała Dickensa — który już nieco doszedł do siebie, ale wciąż był oszołomiony — na podwyższeniu przed podium. Sama usiadła u stóp podwyższenia, gdzie w szerokiej, falującej szacie jawiła się niczym jakieś upiorne wcielenie uczennicy. W dłoni miała nóż.

Jej intencja była tyleż jasna, co dziwaczna: Dickens miał przeczytać tekst jej rękopisu. Biedny Wódz. Od przybycia do Ameryki zmarszczki na jego twarzy jakby się pogłębiły; brakowało oświetlenia George'a i modnego kapelusza, który wybrałby dla pisarza Henry; z łysiejącego czubka głowy niesforne kosmyki zwisały na policzki.

Przerzucił strony rękopisu i zaczął czytać.

— Zabijają sługi ostrzem swych mieczy — ja uszedłem cało po to tylko, by oznajmić gminowi, że Bóg podniósł dłoń na nasze miasto.

Louisa wydawała się oczarowana własnymi słowami wychodzącymi z ust jej idola.

Tom ostrożnie wyjrzał znad żelaznej balustrady. Udało mu się zwrócić na siebie uwagę Dickensa i pisarz, niczym nie zdradzając, że wie o jego obecności, lekko skinął głową. Potem podniósł głos i jął odczytywać ten dziwny i dysharmonijny tekst coraz głośniejsze, tak że Tom mógł zejść po schodach i przedostać się na boczne skrzydło widowni, nie będąc zauważonym.

W końcu młodzieniec dotarł do miejsca, z którego nie mógł już iść dalej, nie narażając się na ryzyko odkrycia. Dickens, pojawiwszy jego dylemat, odrzucił kartki rękopisu i zaczął przemawiać niskim, gardłowym głosem.

— Zostaw to. Jest dosyć światła na to, co mam do roboty\*.

*Przygody Olivera Twista*, w przekładzie Agnieszki Glinczanki.

Był to Bill Sikes i scena morderstwa z *Oliwera Twista*! Autor z wściekłością zacisnął zęby, przemieniając się w okrutnego zabójcę — wzrok utkwił w Louisie Barton. Wyciągnął do niej rękę, jakby zamierzał złapać ją za nadgarstek.

Zadrzała, zalękniona. Zalała się ognistym rumieńcem.

— Byłaś śledzona tej nocy. Każde słowo, które powiedziałaś, zostało podsłuchane\*\*.

\*\* Tamże.

Dramatyzm odtwarzanych scen zahipnotyzował Louise i Tomowi udało się bokiem po cichu przedostać aż do samego podwyższenia. Widział jej dłoń, tak mocno ściskającą nóż, że aż zbieleły jej knykcie. Teraz mógł ją zaskoczyć, wchodząc na podwyższenie przez garderobę, ale obawiał się nadmiernej bliskości jej broni i Dickensa, groźnej w razie szamotaniny.

Gdy rozważał, co najlepiej zrobić, Louisa jakby coś wyczuła. Gwałtownie odwróciła głowę.

— A, to ty! — wrzasnęła, jakby przepełniona jadem Billa Sikesa. Wbiła w niego swoje hipnotyczne spojrzenie i przecięła powietrze ostrzem. — Nie powinno cię tutaj być!

Zanim Tom zdołał się poruszyć, skoczyła i przyłożyła Dickensowi nóż do gardła.

— Czytaj dalej! — rozkazała.

— Każde słowo, które powiedziałaś, zostało podsłuchane... — pisarz drżącym głosem powtórzył ostrzeżenie Sikesa.

Tom ze wzrokiem utkwionym w sprężynowym nożu wycofał się przez przejście między środkowymi rzędami widowni.

— Odchodzę, pani Barton — oznajmił. — Widzi pani, że sobie idę.

Ale zaraz przyszedł mu do głowy inny pomysł i z głośnym klapnięciem opadł na krzesło. Usiadł wygodnie na miękkim siedzeniu, odchylił się do tyłu.

Louisa oderwała wzrok od Dickensa i przeniosła na Toma, ale po chwili, jakby postanowiła sobie, że już nigdy nie oddali się od pisarza, powiedziała:

— Jesteś mściwy, bo nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Niech ci będzie, zostań! I tak nie zrozumiesz tego, co zaraz ujrzysz!

Tom wsparł stopy na krześle w rzędzie przed sobą.

— Chyba jednak rozumiem.

Teraz i ona zrozumiała, bo zaskoczona szeroko otwarła usta.

— A więc dlatego tu usiadłeś — to krzesło jest mój e!

Tom sadowił się coraz wygodniej na miejscu, z którego ona obserwowwała scenę podczas wigilijnego czytania, to samo, gdzie wyryła kilka wersów o Dickensie. Nieprzytomna z wściekłości, rzuciła się między rzędami w stronę Toma, przed sobą trzymając nóż.

— Wodzu, uciekaj! Szybko! — zawołał do pisarza.

— Nie mogę! — krzyknął tamten.

— Biegnij Wodzu, biegnij — powtarzał Tom, ale ku jego zdumieniu ten nawet nie drgnął. — Wezwij policję!

Wreszcie jego rozpaczliwa prośba szczęśliwie poruszyła Dickensa: rzucił w powietrze rękopis Louisy, po czym wypadł z teatru.

— Nie! — wrzasnęła, patrząc, jak kartki jej książki rozsypują się na wszystkie strony. Tom wykorzystał jej chwilową nieuwagę i zamachnął się na jej rękę zakrzywionym końcem laski Dickensa. Stercząca z niej śruba trafiła kobietę w knykcie, zadając głęboką ranę. Sprężynowy nóż wypadł jej z dłoni. Tom chwiejnie cofnął się na widok pistoletu, który wyjęła z kieszeni, po czym skoczył ku niej i przewrócił ją. Oboje rzucili się ku miejscu, w którym upadła broń, i zaczęli się szamotać. Tom uniósł pięść, wiedział jednak, że nawet w tak gorącej chwili nie zdoła uderzyć kobiety. Uwolniła dłoń, wymierzyła mu pięścią cios w szczękę. Ponawiała uderzenia z zadziwiająco siłą.

— Jest pewna aktorka — powiedział Tom, zasłaniając się ramieniem. Już mówiąc te słowa, nie mógł się powstrzymać od myśli, że zdradza Wodza. Nieświadomie przeszedł w szept. — W Anglii mieszka pewna młoda aktorka, którą Wódz kocha. To dlatego żyje z żoną w separacji, nie z powodu pani.

— Nieprawda. Wszystko zmyśliłeś! — jęknęła.

— Wódz powiedział mi o tym sam, zwierzył mi się. Przybył tu, by zarobić dość pieniędzy, aby móc kupić wszystko, czego dziewczyna zechce — klejnoty koronne, londyńską Tower i pałac Buckingham, jeśli ich zapragnie!

— Nie, on przyjechał tu dla mnie!

Ale trucizna słów zadziałała. Z twarzą, na której pojawił się wyraz dezorientacji, zaczęła szlochać, jej uścisk zelżał. Tom otoczył ją ramieniem. Po kilku minutach Dickens powrócił z paroma policjantami i przechodniami, którzy usłyszeli jego wołanie.

Gdy ponownie ujrzała Dickensa, zdawała się powracać do życia. Zaczęła cicho nucić pod nosem, jak małe dziecko. Nagłym ruchem odsunęła się od Toma i wyciągnęła brzytwę ukrytą w podeszwie buta.

— Nie! — krzyknął Tom. — Wodzu, uważaj! — I skoczył, zasłaniając Dickensa.

Wbiła sobie ostrze w szyję, przeciągnęła brzytwą przez całą jej szerokość i padła w kałuży krwi.

Jeden z policjantów pobiegł po lekarza, inny ukląkł obok leżącej i jej własną szarfą usiłował zatamować krew buchającą z potwornej rany na szyi. Dickens patrzył wstrząśnięty, wreszcie opadł obok rannej na kolana i wyjął brzytwę z jej dłoni. Znów próbowała coś powiedzieć, ale tylko wypuściła bańki krwi. Gwałtownie rzuciła ramionami, w końcu jej dłoń spoczęła na ręce Dickensa, a wtedy uspokoiła się i znieruchomiła.

— Wodzu... nasza następna książka... co...? — zapytała, opryskując brodę lśniącymi gejerami krwi. Więcej już nie mogła powiedzieć.

Dickens nachylił się do jej ucha i coś szepnął. Tom nie słyszał słów, ale dziwny, chytry grymas pojawił się na twarzy Louisy Barton; życie z niej uchodziło, a ona zachichotała ochryple. Dickens, strwożony, cofnął się i pozwolił zająć się nią policji i właśnie przybyłemu lekarzowi.

Tom, oszołomiony, zapytał Dickensa:

— Co jej pan powiedział, Wodzu?

Pisarz z wyczerpania i ulgi omal nie padł w ramiona swego wybawcy; wsparł się o niego całym ciałem.

— Mniejsza z tym. Jeden z naszych demonów już spoczywa w spokoju, Branagan.

## 26.

Przedstawiciele nowojorskich dzienników zorganizowali dla Dickensa uroczystą pożegnalną kolację w słynnej restauracji Delmonico. Pisarzowi znów dotkliwie doskwierała mocno opuchnięta prawa stopa — miejscowy lekarz stwierdził różę — i mógł wychodzić na dwór tylko po zastosowaniu specjalnych balsamów z najlepszej apteki w mieście, a także boleśnie uciskających nogę bandaży, przysłoniętych czarną pończochą, stosowaną w przypadkach podagry, którą Henry Scott przyszywał czarnymi, jedwabnymi niemi.

— Istnieją różnice, pewnie zawsze pozostaną, między naszymi dwoma wspañiałymi narodami — przemówił Dickens, gdy przy długim stole wzniesiono już liczne toasty za jego zdrowie. — Ale jeśli cokolwiek wiem o Anglikach — a oni ufają, że tak jest — jeśli choć trochę, dżentelmeni, znam moich krajan, to wiercie mi, że widok żadnej innej, oprócz własnej, powiewającej flagi nie zdoła poruszyć angielskiego serca równie mocno jak łopoczące na wietrze wasze gwiazdy i paski. Żegnając się z wami, chcę zapewnić, że zawsze będę wspominał was takimi, jakimi was teraz widzę, zarówno zimą, przy kominku w Gadshill, jak i podczas zielonego angielskiego lata. Zacytuję słowa Peggoty z *Dawida Copperfielda*: „Świat szeroki i drogi nasze powinny być tam, za morzem”\*. Niech Bóg ma w swej opiece was i kraj, w którym was zostawiam... — tu urwał, a w oku błysnęła mu łza — na zawsze.

*David Copperfield*, w przekładzie Wili Zyndram-Kościółkowskiej.

Dziennikarze, jak jeden mąż, a było ich dwustu, skończywszy zjadać smakołyki ze specjalnego literackiego menu — *timbales* à la Dickens, *agneau farci* à la Walter Scott i *côtelettes* à la Fenimore Cooper — wstali, wznosząc oklaski. Orkiestra zagrała *Boże, chroń Królową*.

— Mam ochotę wznieść pomnik na cześć pańskiej wytrzymałości, drogi Dickensie — szepnął autorowi do ucha Fields, ściskając jego dłoń i odprowadzając go.

— O nie — odrzekł Wódz ponuro — lepiej zburz pan jeden z już istniejących.

Po wysłuchaniu o dzielnych wyczynach Branagana w Bostonie Dolby serdecznie mu pogratulował, niemal przeproszał, że w niego zwątpił. Nalegał, by młodzieniec zajął się poszukiwaniami współników Louisy.

— Nie było współników — odrzekł Tom.

— Niemożliwe! Taka drobna dama... — zaczął Dolby, wciąż wszystkim tym oszołomiony.

— Owładnięta obsesją kobieta o silnej woli, panie Dolby, może okazać się bardziej niebezpieczna od dziesięciu mężczyzn.

W ostatni wieczór w Ameryce Dolby przyznał się Tomowi do jeszcze jednego zmartwienia: niepokojących pogroźek poborca podatkowego, który zaczął go w hotelu. Menadżer poprosił Toma o wzmożoną czujność na wypadek kłopotów.

Groźby, nawet jeśli były blefem, utkwily Dolby'emu w pamięci. „Zapłacicie, w przeciwnym wypadku wszyscy, nawet wasz ukochany Boz — ostrzegął agent Pennock — zostaniecie zatrzymani jako zakładnicy, zanim wasz parowiec opuści nasze brzegi”. Czy przy pogarszającym się stanie zdrowia pisarz przetrzymałby więzienie,

gdyby do tego doszło? Ohydne miejsce, takie jak więzienie za długi w Marshalsea, w którym jego ojciec pokutował w młodości?

— Na wszelki wypadek będę miał przy sobie list od szefa departamentu skarbu — zdecydował Dolby.

— W takim razie, jak sądzę, nie powinniśmy bać się kłopotów — stwierdził Tom.

— Mam taką nadzieję. Ale Amerykanie, jak się wydaje, nie-  
zbyt chętnie podporządkowują się zwierzchnikom.

Dopiero gdy następnego ranka bez żadnych incydentów weszli na pokład „Rosji”, Dolby uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu tygodni. Bagażowi wnieśli nie tylko osobiste rzeczy, ale także liczne prezenty: portrety, bukiety, książki, cygara i wino.

Podczas gdy statek wciąż jeszcze stał na kotwicy, przyjmowano pasażerów, grupa Dickensa zasiadła w salonie okrętowym do lunchu składającego się z gorącej zupy. Jednak zanim zdążyli choć trochę się najeść, na pokładzie wybuchło poruszenie. Dolby ujrzał, że kilku pasażerów wskazuje na płynącą w stronę statku policyjną łódź.

Gdy schodził na dół, by zbadać sprawę, na pokładzie natknął się na dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach i czapkach z foczego futra, choć policyjna łódź jeszcze nie dotarła. Obydwaj rozpięli płaszcze i odsłonili błyszczące odznaki departamentu skarbu. Dolby, wciągając powietrze, wyjął list polecający od samego szefa urzędu.

W reakcji na to pojawił się Simon Pennock, agent, który już wcześniej go nachodził, wziął list i przeczytał. Powoli uniósł wzrok znad pisma i spojrzał Dolby'emu w oczy. Następnie podarł kartkę i szpicem buta wdeptał skrawki w ziemię.

— Tyle to dla mnie znaczy — oświadczył.



— Sir! — zaczął Dolby. — Toż to oficjalna opinia szefa pańskiego urzędu. Pańskiego przełożonego! Zapewnia on, że ani pan Dickens, ani ja nie jesteśmy zobowiązani do płacenia w waszym kraju żadnych podatków.

Pennock wykrzywił się szyderczo.

— Pozwolisz pan, że wyjaśnię tę sprawę pańskiemu zmrożonemu brytyjskiemu mózdkowi. Ani trochę nie dbamy o opinię szefa mojego urzędu, jak pan go nazywasz. Po tym, jak prezydent został postawiony w stan oskarżenia, nie ma rządu i nie ma departamentu. Pozostały tylko sprawiedliwość i niesprawiedliwość, a my stoimy tu teraz przed panem w charakterze sędziów.

— Pan Dickens byłby ostatnim człowiekiem na świecie uchylającym się od należnego zobowiązania! — Dolby chwycił się ostatniej deski ratunku. — Czy to z powodu irlandzkiej krwi żywi pan nienawiść do pana Dickensa, agencie Pennock?

— W moich żyłach nie płynie ani jedna kropla irlandzkiej krwi, sir — odpalił poborca.

— A więc czemu nas pan dręczy? Kieruje panem zwykła chciwość?

— Mówi pan o chciwości? Nie musi pan daleko szukać, znajdzie ją pan u pańskiego szefa, łaskawy panie. Przybył tu dla pieniędzy i chwały, sam w zamian nie dając nic, nawet swej przyjaźni. Może pan Dickens powinien był starać się bardziej uprzejmie traktować obywateli tego kraju?

— Uprzejmie? Ten człowiek robił, co mógł, nabawił się choroby, by tylko d...d...d... — Dolby z wysiłkiem szukał słowa — dać Amerykanom radość. Co pan masz na m... .m... .myśli?

— Niech pan zamilknie, Dolby, jeśli zbyt trudno panu mówić! Mój drogi brat jest znamienitym dżentelmenem z Bostonu, jednym z najstarszych miejskich radnych. Od dwudziestu lat czyta wszystkie książki pana Dickensa. A jednak gdy w dzień przybycia pisarza

zostawił w Parker House wizytówkę wraz z listem, w którym się przedstawił, w odpowiedzi otrzymał notkę z odmową. Nie napisał jej własnoręcznie pan Dickens, nie znalazł nawet tej odrobiny czasu — wasz sułtan odpoczywał. Nie nazwałbym tego uprzejmością! Raczej obelgą! I powiem tak: niech wielki Boż wypije to, co sam nawarzył! — Potem Pennock przywołał kilku ze swych ludzi.

— Stać! — Tom pojawił się na szczycie schodów i zwrócił się do intruzów: — Wyjaśnijcie, z czym przychodzicie.

— To nie twoja sprawa, Patryczku! — rzucił ten o bardziej prostackiej powierzchowności.

— Zamierzają aresztować pana Dickensa i mnie — drżącym głosem wyjaśnił Dolby.

Tom bez wahania zasłonił Dolby'ego własnym ciałem i zwrócił się do agentów podatkowych.

— Weźcie w zamian mnie, a ich puśćcie wolno. Zostanę do wyjaśnienia sprawy.

Ten w foczej czapce, o wyglądzie prostaka, mocno pchnął Toma w pierś i strącił go ze schodów. Młodzieniec w ostatniej chwili uniknął roztrzaskania czaszki, uchwyciwszy się relingu.

Pennock wyciągnął z kieszeni pistolet.

— Zajmiemy się Dolbym, a w drugiej kolejności panem Dickensem.

Nie było szansy na ucieczkę, brutalni agenci nie żartowali. Nagle za plecami Dolby'ego rozległy się odgłosy ciężkich butów. Z policyjnej łodzi, która dopiero co przybiła, wyszło na pokład czterech detektywów z odsłoniętymi odznakami. Otoczyli menadżera pisarza i zażądali od „foczych czapek” wyjaśnienia, o co chodzi.

— Hej! Jesteśmy z departamentu skarbu — zawołał jeden z agentów.

— Departament skarbu? Spóźniliście się. Jest tu nowojorska policja i to my zabieramy tego tutaj i Boza za to, co dłużni są miastu Nowy Jork — mówiąc to, dwaj detektywi chwycili Dolby'ego za ramiona. Inny przytrzymał Toma Branagana. Wybuchła istna karkofonia okrzyków, przedstawiciele władz spirali się o prawo pierwszeństwa do aresztowania, wreszcie zadźwięczał dzwon, obwieszczający tym, którzy wracali na brzeg, by wsiadali na prom.

— My mamy tu policyjną łódź — powiedział jeden z detektywów. — Ale wy, jak się wydaje, weszliście na pokład w porcie, radziłbym więc, byście wynieśli się z innymi, chyba że zamierzacie zwiedzić Liverpool.

Pennock i jego rozczarowani agenci poddali się, zbiegli na pokład i wskoczyli na ostatni prom zabierający odprowadzających i służbę. Po ich odejściu detektywi wszczęli między sobą głośną rozmowę.

— Teraz nałożymy im kajdanki czy dopiero w łodzi?

— Najpierw zabierzemy pana Dickensa, by nie doszło do próby ucieczki.

— No to przygotować pałki!

— Wyobraź sobie tylko, ile by dali dziennikarze, by móc zobaczyć legendarnego Dickensa w kajdanach!

Nagle wszyscy czterej wybuchnęli śmiechem. Dolby, zdumiony zmianą w ich zachowaniu, nie spuszczał z nich wzroku. Jeden z detektywów z uśmiechem zdjął kapelusz.

— Przepraszamy, sir. Nasz komendant jest wiernym wielbicielem waszego pana Dickensa. Gdy usłyszał o planie poborców podatkowych, przysłał nas, byśmy ich odstraszyli. Teraz wrócimy własną łodzią i pozwolimy wam odpłynąć tam, dokąd zmierzacie. Ale może staruszek Boz dałby się namówić na autograf lub dwa dla naszego szefa?

Dolby i Tom spojrzeli na siebie zdumieni.

Policjanci wracali do łodzi ze stertą kartek z autografami. Na sąsiednich holownikach wystrzelono na pożegnanie z armat. Po niekończących się wiwatach i pożegnalnych okrzykach z promu i z brzegu, stojący przy relingu Dickens nasadził kapelusz na czubek laski i unosząc go wysoko, pomachał tłumom.

Tom stał tuż za nim, na wypadek gdyby pisarz stracił równowagę. Z miejsca, w którym się znajdował, widział, jak oczy Dickensa wypełniają się łzami.

— Może jeszcze wróci pan do Ameryki, Wodzu — zasugerował.

— Z pewnością — przytaknął pisarz. — Choć chyba zostawiam tu wystarczającą część siebie.

# CZEŚĆ PIĄTA

## 27.

LONDYN, ANGLIA, 16 CZERWCA 1870 ROKU

Przez pięć dni po tym, gdy nałogowy palacz opium zaatakował Osgooda, śpiącym niemal bez przerwy pracodawcą opiekowała się w Falstaffie Rebeka. Miejscowy lekarz składał mu częste wizyty. Pojawiał się także Datchery, na widok Osgooda wyraźnie wzburzony, ze łzami w oczach. W chwilach, gdy wydawca się budził, usiłował coś wyszeptać, próby te jednak najczęściej kończyły się gwałtownym napadem kaszlu.

— Nie kaszle krwią — zauważył doktor Steele po którymś kolejnym ataku, zwracając się do Rebeki. — Najpewniej pęknięcia żeber są tylko powierzchowne, płuca nie zostały uszkodzone. Skoro nie wywiązało się zapalenie, wolę nie stosować środków na przeczyszczenie ani pijawek.

— Dzięki Bogu i za to — odetchnęła.

— Należy regularnie przemywać pacjenta zimną wodą. Panienska najwyraźniej ma jakieś pielęgniarские doświadczenie.

— Czy on w pełni ozdrowieje, panie doktorze? — dopytywała się.

— Chloroform i brandy powinny oczyścić mu ciało, mogę panienkę zapewnić. Oczywiście jeśli będzie miał szczęście.

Gdy Osgood był przytomniejszy, wciąż trudno było mu opisać, co stało się wtedy nad ranem w przybytku opium, kiedy to dwóch klientów zostało zatłuczonych na śmierć. Gdy ponownie się obudził, Rebeka siedziała przy biurku i układała list do Fieldsa z

najnowszyimi wiadomościami, a Datchery drzemał w fotelu.

— To był Herman! — jęknął Osgood, tak samo jak wtedy, gdy odnalazł go kanalarz. Szeroki bandaż, dwukrotnie owinięty wokół klatki piersiowej, ścisnął mu żebra, uniemożliwiał jakikolwiek ruch i utrudniał oddychanie. Twarz i szyję, spuchnięte od ukąszeń kanałowych szczurów, pokrywały rozległe, czerwone plamy.

— Jest pan pewien, że to był on? — zapytała Rebeka, podchodząc do łóżka.

Osgood obiema dłońmi chwycił się za czoło.

— Nie. Wcale nie jestem pewien, panno Sand. Wiemy, że w wodach oceanu nie mógł przeżyć! I kto powstrzymałby go przed wyrządzeniem mi jeszcze większej krzywdy, jeśli pragnął widzieć mnie martwym? Pewnie miałem opiumowe wizje, coś jak te węże i głosy. Byłem zamroczony.

— Już my dowiemy się, co zaszło, obiecuję panu! — krzyknął Datchery. — Drogi panie Ripleyu, droga panno Rebeko, przyrzekam wam to! — Ujął chorego za rękę i sięgnął po dłoń Rebeki, ale ta cofnęła się nieufnie. — Mówią, stary druhu, że przez jakiś czas będziesz pan bardzo chory. Proszę tylko obiecać, że przeżyje pan choćby jeszcze dzień, a zatańczę ze szczęścia.

Datchery wciąż nosił bandaż na głowie, ale doznał o wiele bardziej powierzchownych obrażeń niż Osgood. Nie pamiętał nic od momentu, gdy został zaatakowany, a zanim stracił przytomność, nie zauważył Hermana. Tak jak wydawcę, ktoś wywlókł go nieprzytomnego na ulicę. Rebeka wołała nie mieć nic do czynienia z człowiekiem, przez którego jej pracodawca znalazł się w tak opłakanym stanie, chciała także zapomnieć o napawającej ją teraz wstydem sprzeczce z Osgoodem, którą Datchery sprowokował.

— Panno Rebeko, ja chcę pomóc — odezwał się Datchery. — Wie pani, mogę się przydać. Proszę się nad tym zastanowić.

— Chyba dość już pan pomógł — odrzekła. — I proszę się zwracać do mojego pracodawcy: panie Osgood.

Datchery, sfrustrowany, przygryzł wargę, spojrzął na pacjenta, po czym ponownie zwrócił się do Rebeki.

— Być może wiem o czymś, co pozwoli pani zaufać mi równie szybko, jak uczynił to pani pracodawca.

— A, to pan Datchery, nie mylę się? — zapytał doktor Steele, wchodząc do pokoju. — Mogę z panem pomówić na osobności?

Ten, rzuciwszy okiem na senną twarz okrytego kocami Osgooda, skinął głową i wyszedł z pokoju. Ku ogromnej uldze Rebeki nie powrócił już tego popołudnia.

Gdy Osgood obudził się ponownie, poprosił o wiszące teraz w szafie ubranie, które miał na sobie podczas ataku. Przeszukawszy kieszenie, wyjął zieloną broszurę podniesioną z brudnej podłogi.

— *Edwin Drood!* Proszę spojrzeć.

Rzeczywiście, to było to. Na okładce — kalejdoskop ilustracji do scen z powieści Dickensa. Broszura była w istocie piątą częścią publikowanej w odcinkach *Tajemnicy Edwina Drooda*. Doktor Steele, który właśnie przyszedł ponownie sprawdzić stan pacjenta, widząc, że ten się poruszył, podszedł do łóżka. Medyk ów, chudy mężczyzna z inklinacją do drobiazgowości, przyjął apodyktyczną postawę w opiece nad wydawcą. Nakazał, by światło wpuszczano przez okienne rolety jedynie na krótkie chwile.

— Poprosiłem pana Datchery'ego, by zostawił pana Osgooda w spokoju — wyjaśnił Rebecę. — Niech mi pani wierzy, on wydaje się tylko przyprawiać pacjenta o wzburzenie.



— Też tak uważam — odrzekła stanowczym tonem.

Następnie lekarz jął zniechęcać chorego do studiowania broszury, która najwyraźniej także przyprawiała go o wzburzenie. Rebeka zgodziła się odebrać książeczkę pacjentowi, choć rozmyślała o niezwykłym zbiegu okoliczności: że też akurat broszurka pojawiła się w podobnym miejscu. Czy nieszczęsna przygoda Osgooda w zaułkach miasta była skutkiem typowych dla tej dzielnicy zagrożeń, czy może w jakiś sposób wiązała się z ich nietuzinkową misją w Anglii? Otworzyła broszurę i zauważyła, że strony wyglądają, jakby już je czytano, być może wielokrotnie. Włożyła tekst do szuflady.

— Nie rozumiem — westchnął Osgood, gdy doktor zdjął bandaż i założył nowy — w jaki sposób opium, które wdychałem, mogło tak mocno na mnie podziałać.

— No i ma pan całkowitą rację — stwierdził stanowczo doktor Steele. — Opary same w sobie nie mogły wyrządzić podobnej szkody. Mam nadzieję, że obecna tu dama nie poczuje się nadmiernie zażenowana — zaczął niepewnie i czekał, aż Rebeka się odwróci. Gdy tego nie uczyniła, podciągnął rękaw flanelowej koszuli pacjenta i odsłonił ślad, który zauważył przy badaniu.

— Nie rozumiem — zaoponowała Rebeka.

— O tutaj — powiedział doktor Steele — pojedyncze nakłucie na ramieniu pana Osgooda — igłą do zastrzyków. Widzi pani? Ktoś wstrzyknął panu bardzo wysoką dawkę narkotyku, sir — kontynuował lekarz rzeczowym tonem. — To dlatego tak dużo czasu minęło, zanim trucizna wydostała się z pańskiego ciała.

Rebekę przeszedł gwałtowny dreszcz. Osgood zerwał się i usiadł wyprostowany. W tej chwili żadne z nich nie umiało ukryć przed drugim doznanego szoku. Przejechali pół świata, po części po to, by oderwać się od tragedii związanej ze śmiercią Daniela, a oto

mieli do czynienia z tym samym trującym zastrzykiem, z takim samym śladem na skórze jak w przypadku brata Rebeki. Wszystkie elementy zdawały się teraz układać w jeden ciąg zbrodniczych działań, choć to, gdzie i dlaczego wszystko się zaczęło, było teraz jeszcze większą tajemnicą.

Rebeka wiedziała, że gdyby doktor Steele uznał jakąś rozmowę za nadmiernie pobudzającą pacjenta, interweniowałby, aby ją przerwać. Czekala więc, udając najlepiej, jak umiała, że rana po zastrzyku w najmniejszym stopniu jej nie interesuje. Lekarz wnet przeszedł do drugiego pokoju i wydawał rozliczne polecenia chłopcu na posyłki, nakazując mu, by udał się do miejskiego aptekarza po następne fiolki lekarstwa.

— Panie Osgood, czy właśnie coś takiego widział pan na... na ciele Daniela? — zapytała szeptem, najspokojniej jak tylko zdołała, aby doktor nie usłyszał ich zza drzwi. — Proszę niczego przede mną nie ukrywać. To było to, prawda?

— Tak — przyznał, też cicho.

— Co by to mogło znaczyć?

— Że od tamtego ranka, gdy Daniel umarł, mamy do czynienia z tym samym przeciwnikiem.

— Ale kto to taki?

— Nie wiem.

Po czym wyszeptał, na wpół rozpaczliwie, na wpół triumfująco:

— To nie Daniel wstrzyknął sobie opium. Mamy już pewność. Otruto go, panno Sand, tak samo jak mnie!

— Wierzy pan w to?

— Musiało tak być! Sam Dickens nie nazwałby przypadkiem podobnego zdarzenia! Całkowicie zmienia to postać rzeczy. Należy wszystkiemu dokładniej się przyjrzeć: wypadkowi Daniela, palaczom opium, zagadce *Drooda*. Panno Sand — dodał nagle gorączkowo. — Panno Sand, proszę o kawałek papieru!

Rebeka przyniosła mu hotelową papeterię, ołówek i książkę do podłożenia pod kartkę.

Osgood pisał, co chwila skreślał słowa, znów zaczynał, wreszcie udało mu się:

Och... Bóg.

Och... good.

Osgood.

Wołanie Daniela Sanda nie było błaganiem o spokój duszy, ale jego słowa i tak miały piękny sens.

— Niech pani spojrzy — powiedział Osgood. — Bendall się mylił. Przed śmiercią Daniel nie zapomniał zostawić przesłania. Nie chciał mnie rozgniewać, nawet samemu będąc u progu śmierci. Nigdy nie zawiódł firmy.

Gdy doktor Steele powrócił, by dokończyć badanie, panujący w pomieszczeniu mrok ukrył palące łzy w oczach Rebeki.

Nie tylko stan fizyczny Osgooda, ale i jego prawna kondycja zostały wystawione na szwank podczas tego szalonego rannego ataku. Gdy po raz pierwszy trochę doszedł do siebie, stwierdził, że dwaj kanalarze wnoszą go z tunelu i niosą na posterunek policji. Nie potrafił wyjaśnić konstablom, jak się tam znalazł.

Co więcej, aktualny stan Osgooda — potargane i przemoczone ubranie, on sam bełkoczący i półprzytomny oraz bijący od niego ostry odór opium i śmieci — spowodował, że przedstawiciele władz potraktowali go surowo, jak kłopotliwego włóczęgę. Gdy opisał, co się wydarzyło, wysłani do obrzydliwej nory konstable znaleźli tam martwe ciała żeglarza mieszańca i Bengalczyka znanego jako Bubu.

— To nam nie wystarcza — skwitował opowieść Osgooda sierżant posterunku. — Nie w kwestii pańskiej osoby. Nie powiedział pan nam wszystkiego.

— Ponieważ nie wiem, co się mi przydarzyło, proszę pana! — zaprotestował wydawca.

— No to kto ma wiedzieć? — zapytał sierżant.

Dopiero przybycie szanowanego w Londynie człowieka interesów, niejakiego Marcusa Wakefielda, wybawiło Osgooda od oskarżenia o zakłócanie porządku publicznego. Biznesmena powiadomiono o przyniesionym na posterunek nieznanym Amerykaninie, gdyż Osgood, gdy go znaleziono, miał przy sobie jego wizytówkę.

— Zna pan tego biedaka, sir? — zapytał sceptycznie sierżant.  
— A może on po prostu ukradł panu wizytówkę.

Wydawca leżał rozciągnięty na ławce, skrzywiony z bólu, zamroczony.

Wakefield uderzył pięścią w stół.

— To nie do przyjęcia! Natychmiast go uwolnijcie, panowie, przemierzałem z nim ocean, nazywa się Osgood, James Osgood. Nie jest żadnym włóczęgą, lecz szanowanym wydawcą z Bostonu, podróżującym w kabinie po nasłonecznionej stronie parowca. Macie w areszcie dżentelmena. O ile mi wiadomo, zamierzał zatrzymać się w interesach w pobliżu Rochester.

Sierżant zmierzył Osgooda wzrokiem od stóp do głów.

— Nigdy dotąd nie spotkałem wydawcy, który by upodobał sobie podobny przyzdziewek, nie mówiąc już o smrodzie, proszę pana! Trzeba będzie sporządzić raport.

— A więc piszcie, a potem zwolnijcie tego pana.

Wakefield wykorzystał swoje wpływy do przyspieszenia zwolnienia Osgooda, wysłał także wiadomość do Rebeki, wzywając ją na stację w Higham, dokąd miał eskortować rannego, by można było przewieźć go do Falstaffa. Gdy spotkali się na stacji, poprosił Rebę o kilka słów na osobności.

— Możemy się przejść, droga pani? — zapytał.

Podążyła mu ramię i ruszyli peronem.

— Droga pani, towarzyszyłbym wam aż do Falstaffa, niestety interesy pilnie wzywają mnie z powrotem do Londynu — oznajmił przepraszającym tonem.

— Był pan niezwykle uprzejmy, przywożąc go aż do Kent, panie Wakefield — odrzekła.

Wzruszył ramionami.

— Wyznaję, że choć bardzo niepokoi mnie zadziwiający stan pana Osgooda i okoliczności zdarzenia, pocieszam się przyjemnością ponownego przebywania w pani towarzystwie — ciągnął. — A pani dobrze się czuje, moja droga?

— Na tyle, na ile to możliwe, dziękuję, panie Wakefield — odpowiedziała uprzejmie. — Żałuję jedynie, że pozwoliłam panu Osgoodowi iść w podobne miejsce z tym okropnym panem Datchery.

— Obawiam się, panno Sand, że łagodna kobieta, choćby nie wiem jak się starała, nie zdoła przeszkodzić płci mniej rozważnej w nieostrożnych poczynaniach — zauważył z uśmiechem. — Wygląda na to, że pan Osgood zbyt późno, by wyszło mu to na zdrowie, przekonał się, że nie wszędzie w Londynie jest bezpiecznie. Kobięcy instynkt zazwyczaj się nie myli. Pan Osgood przysłał mi wiadomość o jakichś problemach związanych z gipsową figurką w domu aukcyjnym Christie, która, jak podejrzewa, zaginęła. Zasięgnąłem języka u znajomego — najwyraźniej przedmiot, którym interesował się pani pracodawca, upuścił z rąk jakiś nieostrożny pracownik domu aukcyjnego i — zażenowani — nie chcieli się z tym zdradzić. Mam nadzieję, że przekona pani naszego przyjaciela, by zrezygnował z podejmowania szalonych przedsięwzięć w ciemnych zaułkach, gdziekolwiek by to było.

Rebeka pokręciła głową.

— Nie sądzę, by ktokolwiek zdołał go teraz powstrzymać. Może nie udałoby się to nawet panu Fieldsowi.

Wakefield westchnął w zatroskaniu, ale i z pewnym podziwem.

— Widzę, że to człowiek o wyjątkowo silnej osobowości, i muszę przyznać, że czuję się trochę tak, jakbym patrzył w lustro. Nie przypuszczałem, że zawód wydawcy wiąże się z podobnymi przygodami! Sugeruję, by od tego momentu bacznie go pani pilnowała. Posiadam przyjaciół w całym mieście. Proszę słać po mnie, gdyby cokolwiek panią zaniepokoiło. Jako człowiek interesów wiem niestety aż za dobrze, że jeśli w sercu pana Osgooda pojawił się płomień ambicji, nie da się go ugasić, dopóki cel nie zostanie osiągnięty.

— Dziękuję w swoim i jego imieniu — powiedziała niepewnie, jako że rozmowa zdawała się dobiegać końca.

Wakefield ujął dłoń Rebeki i wolno podniósł do ust.

— Mam nadzieję, droga pani, że nie okazuję zbytnej śmiałości — powiedział. — Jest pani istnym ideałem, typem kobiety nieczęsto spotykanym wśród zarozumiałych londyńskich eleganek. Osgood powinien dziękować Bogu za pani lojalność.

Zaskoczona dziwnym uczuciem, mieszkanką słabości i ulgi, nagle nie mogła znaleźć słów.

— Pan Osgood mówił mi, że już była pani mężatką — ciągnął Wakefield łagodnym tonem. — Ale w Anglii obowiązuje inne prawo. Jeśliby tylko pani zechciała, nie musiałyby pani więcej zawracać sobie głowy tą sytuacją.

— Pan Osgood mówił panu, że jestem rozwiedziona? — zdziwiła się Rebeka.

— Tak, jeszcze na pokładzie „Samarii” — powiedział, a wyczuwając jej zmieszanie, dodał: — Chciał tylko panią chronić, panno Sand. Najpewniej nie uszedł jego uwagi mój natychmiastowy i szczerzy afekt dla pani, wolał więc zapobiec jakimkolwiek niestosownym zachowaniom. Czy moje zainteresowanie pani życiem aż

tak zaskakuje, jak wskazywałby wyraz zdziwienia na pani twarzy?

Usłyszeli dzwonki powozu przygotowującego się do odwiezienia pacjenta do gospody Falstaff.

— Muszę iść i pomóc mu, panie Wakefield — oznajmiła Rebeka.

Każdego kolejnego dnia wydawca budził się ze snu trochę silniejszy i bardziej niespokojny. Pęknięte żebra, choć nadal go bolały, szybko się goiły. Doktor Steele stanowczo zalecił bandażowanie torsu pacjenta i niedopuszczanie do zbyt głębokich oddechów ani przemęczenia, gdyż groziłoby to permanentnym uszkodzeniem płuc. Pewnego ranka właściciel zajazdu, sprząając po śniadaniu chorego, postawił na toalecie wazon ze świeżymi kwiatami.

— Jak to miło z pana strony, sir Falstaffie — podziękowała Rebeka, siedząca przy Osgoodzie i przemywająca mu czoło.

— Bardzo przepraszam, jeśli trywialną sprawą zakłócę niezbędnemu pacjentowi spokój — odezwał się niepewnie gospodarz. — Niestety, potrzebny mi pański podpis na kilku dokumentach, panie Osgood, bym w związku z zaszłymi okolicznościami mógł przedłużyć państwa pobyt poza nasze pierwotne ustalenia.

— Oczywiście — zgodził się Osgood.

Gdy wydawca sprawdzał pozycje rachunku rozłożonego na najwyższej poduszce, drgnął. W nagłówku papieru listowego gospodarza widniał jego przydomek: Sir John Falstaff, ale także nazwisko: William Stocker Trood. „Trood” — powiedział do siebie Osgood.

— Coś nie w porządku, drogi panie Osgood? — zaniepokoił się gospodarz.

— Zwróciłem tylko uwagę na pańskie nazwisko i jego podobieństwo do tytułu ostatniej książki pana Dickensa.

— Och! Biedny pan Dickens, jak go nam tu brakuje, trudno mi to nawet wyrazić! Muszę coś wyznać, panie Osgood — tu gospodarz urwał i pociągnął kraj swego staromodnego, pikowanego płaszcza, dotknął ozdobnego fularu pod szyją — mam na myśli te moje kostiumy i starania, by upodobnić się do tłustego rycerza, Falstaffa. To z jego powodu.

— Z powodu Dickensa?

Gospodarz skinął głową.

— Przez wiele lat ludzie z całego świata przyjeżdżali do Rochester, by choć rzucić okiem na dom pana Dickensa i może nawet na niego samego! Pojawiali się Amerykanie i zostawiali wizytówki w nadziei, że zostaną zaproszeni do Gadshill, a w międzyczasie na chleb i wino przychodzili zasiąść przy naszym kominku. Bywało, że rodzina Dickensa spraszala licznych gości, więc korzystali z nas jako dodatkowego miejsca, w którym można ich było ulokować. Usytuowanie naszego niewielkiego zakładu usprawiedliwiało pobieranie wysokich opłat za łóżka i posiłki. Teraz, gdy on odszedł, a rodzina wnet opuści te strony, cóż, muszę myśleć o innym sposobie przyciągnięcia gości. Jak mówi moja siostra, niech Bóg ma nas w swej opiece, jeśli zaspokojenie naszych niewielkich potrzeb będziemy wiązać z moim wcieleniem się w Falstaffa. „Skromność jest najlepszą częścią waleczności i właśnie dzięki tej najlepszej części ocaliłem życie”\*. Próbowałem nauczyć się kilku wersów na pamięć, ale jak pan zapewne zauważył, niewiele mam wspólnego z teatrem.

\* W. Shakespeare, *Henryk IV*, akt V, scena IV, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

Gdy skończyli, falstaffowski gospodarz skłonił się i ruszył do wyjścia.

— Panie Osgood? O co chodzi? Co się stało? — zapytała Rebeka, widząc, jak wydawca blednie.



— Jego syn, jego syn zmarł... — mamrotał Osgood, wreszcie zamilkł.

— Co takiego? — zapytała zaskoczona i zmartwiona stanem jego umysłu. — Czyj syn?

W głowie wydawcy w błyskawicznym tempie, jedno po drugim, przesuwały się powiązania między miasteczkiem Rochester a książkami Dickensa. Pisarz czerpał imiona, postacie i historie z życia okolicy znajdującej się tuż za oknem jego gabinetu. Siadów opowieści o Rudge, o Dorrit można było doszukać się w zaułkach Rochester, a co z historią nieszczęsnego Drooda? Osgood odezwał się bardziej do siebie niż do Rebeki:

— Posmutniał na widok kwiatu maku na stole w jadalni i wspomniał, że opium miało coś wspólnego ze śmiercią jego syna... a ja tego nie skojarzyłem...

Nagle wyskoczył z łóżka — kolana wciąż mu drżały, gdy usiłował utrzymać równowagę. Jedną ręką podtrzymując się w pasie, z wysiłkiem wytoczył swoje obolałe ciało na korytarz.

— Panie Trood! Pański syn!

Twarz gospodarza zbladła jak płótno, ani śladu nie zostało po odgrywanej roli jowialnego karczmarza.

— Może na dzisiaj dość już rozmów — odrzekł ostro. Zorientował się, że Osgood czeka na dalszy ciąg. Przebiegł wzrokiem schody, z góry na dół.

— Tutaj nie mogę o tym mówić. Czuję się pan na tyle dobrze, by wybrać się do miasta? Jeśli pójdzie pan ze mną, obiecuję panu opowieść.

Osgood nie poddawał się.

— Pański syn, jak on miał na imię?

Gospodarz wziął głęboki oddech, by odzyskać głos.

— Edward. Edward Trood. Gdyby nie zniknął, byłby teraz mniej więcej w pana wieku.

Ostatnie zniknięcie Edwarda Trooda, zanim został zamordowany, nie wywołało zbytniego niepokoju, gdyż nie było pierwsze. Edward miał trudne dzieciństwo. Od zawsze zbyt mały jak na swój wiek, do tego przyszedł na świat ze zdeformowaną prawą stopą. Wiejscy chłopcy dręczyli go bezlitośnie. Z czasem zaczęły się kradzieże. Z początku znikły drobne kwoty pieniędzy, trochę jedzenia z kredensowych zapasów, części garderoby. Niektóre przedmioty, jak domyślali się rodzice, zastraszeni brutalnymi groźbami chłopiec oddawał rówieśnikom. Czasem wszakże odnajdowano zaginioną rzecz — jak choćby rodzinny lichtarz — zakopaną w ogrodzie, jakby w dręczącej kalekę chorej wyobraźni miała wypuścić pędy i urosnąć.

Jednak było jeszcze gorzej. A to dlatego, że Edward na zewnątrz sprawiał wrażenie całkiem dobrego chłopca. W obecności obcych, a zwykle nawet w gronie własnej rodziny, Eddie zachowywał się grzecznie, okazywał poprawne maniery, dbał o powierzchowność. Kiedy miał dobry nastrój, bywał naprawdę serdeczny i miły.

Gdy William i jego żona zwrócili się do miejscowego pastora o poradę w sprawie syna, zareagował dobrodusznym śmiechem. Edward? A jakież to kłopot mógł sprawiać ten drobny, posłuszny, grzeczny, dobrze wychowany Eddie Trood? Rodzice próbowali przyjąć ten sam punkt widzenia. Nasz Eddie? Chłopięce psoty, to wszystko. Następowały długie okresy spokoju, gdy Edward, według

opinii nauczycieli uczeń zdolny (niektórzy twierdzili, że wyjątkowy), zachowywał się grzecznie zarówno w domu, jak i w szkole, udawało mu się także unikać kłopotów ze strony dręczycieli.

A potem znowu coś ukradł — tym razem w małym hoteliku, w którym William z żoną zajmowali się gotowaniem i sprzątaniami. Wyłamał zamek zamkniętej na klucz komody starego hotelarza i zabrał portmonetkę z kilkoma funtami w środku. Do tego — i to było naprawdę straszne — zrobił to na oczach własnej matki! Przeszedł tuż obok niej, jakby była tylko służącą.

Tamtego wieczoru Edward pojawił się w domu z ponurą, acz niewinną miną.

— Mojej biednej żonie niemal odebrało mowę — opowiadał William Trood, oddychając ciężko, jak ktoś umierający. Osgood i Rebeka siedzieli obok niego na ławce w opustoszałej, ale zachwycającej katedrze w Rochester, światłem i atmosferą przywodzącą na myśl minione wieki; właściciel zajazdu uparł się by tu odbyła się rozmowa. Odmówił dalszych wyjaśnień w Falstaffie, jakby podsłuchiwało tam zbyt wiele duchów. Tu mógł swoją opowieść powierzyć Bożej opiece.

— Powiedziałem mu: Edwardzie, mój synu. Eddie, nie popełniłeś czynu, o który oskarża cię matka, nie mógłbyś, prawda? A on spojrzał mi prosto w oczy, panie Osgood, o tak...

Minęła minuta, nim Trood zdołał dokończyć myśl i powiedzieć, że Edward przyznał się do występku.

— Nie widziałem w tym nic złego — dodał. Potem oczy wypełniły mu się łzami i upadł na podłogę, szlochając i wierzgając. Na widok tych łez William na chwilę się opanował.

Ale wiedział, że nie ma wyboru. Wygnał piętnastoletniego syna z domu i z rodziny.

Żona Williama pod wpływem depresji bardzo osłabła i wkrótce zmarła. Chorowała od lat, ale mąż i tak przyczynę jej ostatecznego

załamania widział w ponurym wpływie syna. Siostra Williama, niezamężna Elizabeth, wprowadziła się do niego, by pomóc mu w prowadzeniu Falstaffa. Słyszając o czynach bratanka, rzekła:

— Całkiem jak Nathan!

Na ten temat nie powiedziała już potem ani słowa. Elizabeth zabroniła wspominać Nathana Trooda pod dachem gospody Falstaff.

Nathan Trood był starszym bratem Williama. W latach, gdy dojrzewał, sprawiał te same kłopoty, których rodzina doświadczyła ze strony jego bratanka Eddiego, tyle że nie darzono go współczuciem i nie rozgrzeszano, gdyż nie mógł usprawiedliwić się kalectwem. Ponury, leniwy, dokuczliwy i złośliwy — taki był Nathan Trood, odkąd tylko zaczął mówić, a to, że już mówił, oznaczało, że dorósł na tyle, by kłamać. Ojciec Williama, który przywiódł swą rodzinę ze Szkocji do Kent, zwykł powtarzać, że Nathan jest tylko złym cieniem prawdziwego chłopca, pospolitą kreaturą z nosem zaczerwienionym od niepohamowanego płaczu, którego nie można było powstrzymać, nawet aplikując mu duże dawki silnie działających medykamentów. W dzieciństwie Edward raz tylko spotkał tego wuja. Nathan, który mieszkał w Londynie, odkąd jako młodzieniec uciekł z domu, pojawił się — bez zaproszenia — na szóstych urodzinach bratanka, na skromnym przyjęciu dla kilku mieszkańców, na które specjalnie przygotowano dwa puddingi.

I ta właśnie chwila: gdy Nathan, odsłaniając zepsute, żółte zęby, uszczypnął chłopca w policzki i dłonią zmierzwił mu włosy, właśnie ten moment, jak głęboko wierzył William, odmienił Eddiego na zawsze — zupełnie jakby wraz z oddechem mężczyzny do serca dziecka przeniknął jakiś magiczny, doprawiony śmiercią pył. Okazało się, że Nathan, z którym od dawna nie utrzymywano kontaktów,

ze złego chłopca stał się jeszcze gorszym mężczyzną. Mówiono, że często odwiedzał tonące w półmroku pokoiki w najciemniejszych zaułkach Londynu, pełne miłośników sprowadzanego morzem z Chin i z innych pogańskich ziem opium. Zadawał się z łotrami, prostytutkami, szmuglerami, złodziejami i włóczęgami — w ich środowisku znajdował źródło dochodów i najróżniejszego rodzaju przyjemności.

Gdy skończył się okres żałoby po stracie żony i zawodzie, jaki sprawił mu syn, William robił, co mógł, by zapomnieć wygnanego Edwarda. Ale jak zapomnieć jedyne dziecko? Rzecz niemożliwa; sama próba okazała się zbyt bolesna i ojciec znów ulegał tęsknocie i wyrzutom sumienia. W całym Rochester krążyły plotki o kalece. William wiedział o tym. Ludzie z Kent przekazywali sobie wieści o nieszczęściach bliźnich tak samo, jak w święta Bożego Narodzenia śpiewali kolędy, chodząc od domu do domu. Po jakimś czasie z tych szeptanych plotek William wyłowił informację: przegnany z domu Edward znalazł schronienie u Nathana, a ten z radością przyjął zbłąkanego bratanka, którego nie widział niemal od dziesięciu lat. Tak oto Nathanowi nadarzyła się szansa zemścić się na rodzinie, która nigdy go nie zaakceptowała.

Z czasem, jak mówiono, wuj zaczął traktował Edwarda jak własnego syna. Zabierał go ze sobą na spotkania ze swymi przyjaciółmi i kompanami. Fizyczne dolegliwości, na które chłopak cierpiał z powodu zdeformowanej stopy, łagodziło opium — nawyk palenia narkotyku zaszczerpił w nim Nathan.

Co nie znaczy, że między wujem a bratankiem panowała całkowita harmonia. Edward (William miał dowiedzieć się o tym później, gdy już wszystko się stało), ogólnie rzecz biorąc, zachowywał się wobec wuja całkiem przyzwoicie, pozbywszy się wszelkich skłonności do buntu, które przejawiał w Rochester — być może wiedział, że przy Nathanie nie może sobie na nie pozwolić, nie

narażając się na surowe konsekwencje. Serdeczne uczucia wuja do bratanka objawiały się jednak tylko od czasu do czasu, na ogół zastępowały je przekleństwa, groźby i upokarzające obelgi. Nie milkły pogłoski, że w Londynie pewnej młodej damie udało się rozpalic serce Edwarda i Nathan wściekl się, widząc szanse młodszego mężczyzny na szczęście. Cokolwiek spowodowało ich rozstanie, młodzieniec niedługo zniknął. Po wielu poszukiwaniach jego przyjaciele odkryli, że Edward, nic nikomu nie mówiąc, wyjechał za granicę. Mówiono, że w poszukiwaniu przygód, podobnie jak wielu angielskich chłopców w jego wieku, pożeglował do Hongkongu i innych egzotycznych miejsc. Gdy osiem miesięcy później wrócił do Londynu, wuj przyjął go z otwartymi ramionami.

Młody żeglarz i jego wuj nabrali jednak niebezpiecznego nawyku nieustannego lenistwa i palenia opium. Szczupłość Nathana i jego naprzemienna apatia i gwałtowność świadczyły o tym, że w ciągu tego ostatniego roku stał się jeszcze bardziej zgorzkniały. Nawet jego podejrzaney konduity sąsiedzi nie chcieli się z nim zadawać. A Edward znikł ponownie.

— I kto by się tym przejmował, zwłaszcza że jeszcze nie minął rok, odkąd z własnej woli wyruszył na morze? — zapytał William. — Później powiedziano mi, że nikogo w tej zakazanej dzielnicy nie a nic to nie obchodziło. Nie obeszło to nawet jego wuja Nathana. Zwłaszcza wuja Nathana.

I znów zaczęto plotkować (gdyż plotki krążą także po Londynie, tyle że bardziej bezlitosne niż te w Rochester). Mówiono, że Nathan i Edward paskudnie się posprzecjali w kwestii pewnego związanego z opium przedsięwzięcia, dotyczącego także przyjaciół wuja. Nathan miał jakoby zamordować Edwarda lub zlecić to innym i z pomocą swych zbrodniczych kompanów pozbyć się ciała młodego mężczyzny tak, by nigdy go nie odnaleziono. Cokolwiek się

wydarzyło, Edward rzeczywiście już nie powrócił.

Nathan coraz bardziej zapadał na zdrowiu i wkrótce zmarł, w długach i w nędzy. Posłano po Williama jako najbliższego krewnego i polecono mu zajęcie się małym domkiem w ubogiej dzielnicy. Wnętrze przedstawiało rozpaczliwy obraz — ku zdumieniu Williama, Nathan, który tak dawno wyrzucił ze swego życia całą rodzinę, najwyraźniej nie wyrzucał niczego innego. Miejsce to opanowały szczury i robactwo. W nadziei na pozbycie się rudery drogą sprzedaży Trood i wynajęty robotnik dokonali pewnych napraw i renowacji.

Właśnie odsłaniali gnijącą podstawę jednej ze ścian, kiedy to się stało. Z góry zwiśla płócienna płachta, a po chwili spadł im na głowy kompletny ludzki szkielet. William wiedział od razu, że to kości jego syna, Edwarda Trooda. Plotki mówiły prawdę.

— Niech sobie państwo spróbują wyobrazić: spadają wam na głowę kości własnego dziecka! Nic nie może być straszniejszego od tego ostatniego uścisku z mym chłopcem. Bo choć rozstaliśmy się w wielkim gniewie, to w miarę upływu lat coraz częściej myślałem, że jeszcze ujrzę drogiego syna, Eddie go, przed kominkiem w moim domu. Wyobrażałem go sobie na morzu — czasem dalej to robię i gdy nikt mnie nie widzi, pozwalam sobie na łzy.

Próbował uspokoić nierówny oddech.

— Ależ panie Trood — powiedziała ze współczuciem Rebeka — ma pan prawo do smutku. Ja straciłam brata, nie pożegnawszy się z nim, i teraz przychodzi mi żegnać go każdego dnia.

Rezygnując z zachowania przed swymi gośćmi pozorów spokoju, pełen wdzięczności hotelarz wsparł głowę na ramieniu Rebeki i

rozplakał się. Gdy doszedł do siebie, wyprowadził ich z katedry.

— Co powiedziała policja, gdy znalazł pan te kości? — zapytał Osgood.

Trood przystanął na niewielkim cmentarzu, przy rodzinnym grobie.

— Panie Osgood, ja nigdy ich nie wezwałem. I nie żałuję tej decyzji.

— Ale dlaczego?

Gospodarz usiadł na ziemi jak dziecko i drżącą ręką dotykał skromnych tabliczek z imionami żony i syna.

— Straciłem chłopca. Czy miałem jeszcze dopuścić, by mój zmarły brat — mimo że tak przeze mnie znienawidzony — pojawił się na szpaltach gazet jako jego zabójca? Nie zdołałbym tego znieść. Nie mógłbym dalej żyć z nazwiskiem Trood. Może dlatego wolałem utożsamić się z gospodą i z pechowym sir Falstaffem. Morderstwo czasem pozostaje nieodkryte, co nie zawsze należy wiązać z przebiegłością zabójcy. Powodem może być znużenie osób, które i tak czują się martwe w środku. Pochowałem Eddiego po cichu, właśnie w tym miejscu, a ludziom powiedziałem, że przydarzył mu się wypadek na morzu. Robotnik towarzyszący mi przy tamtym odkryciu poprzysiągł zachować wszystko w tajemnicy, wiedziałem wszakże, że na wiele nie mogę liczyć. Powstawały legendy i baśnie — w niektórych było więcej prawdy, w innych mniej. Nie chciałem słuchać tych historii, ale musiałem. Według jednej z opowieści, Eddie przypadkowo natrafił na jakąś akcję przemysłowców opium i dlatego zginął. Jego okropny koniec z rąk Nathana lub innych lotrów pobudził wyobraźnię plotkarzy w Rochester.

— A pan Dickens? — zapytał zaciekawiony Osgood.

— O co panu chodzi? — ponuro zapytał gospodarz.



— No cóż, myślę o jego ostatniej, nieukończonyj książce — zapewne uświadomił sobie pan, gdy ujrzał tę historię, nawet niekompletną, w odcinkach... — Osgood nie bardzo wiedział, jak zakończyć wypowiedź.

— Ma pan na myśli nazwisko — przerwał gospodarz Falstaffa.

— *Tajemnica Edwina Drooda*. Tak, nazwisko, fabułę — nie uderzyło to pana?

— Pan Dickens był geniuszem. W swych powieściach często wykorzystywał zasłyszane nazwiska i opowieści. Przecież niedaleko stąd, przy drodze, stoi stary ceglany dom, w którym „Panna Havis-ham” przeżywała swoje dni w zawsze tej samej, swej jedynej sukni — tak jak przedstawił ją pisarz; gdzie indziej znów jest miejsce, w którym może pan skosztować wołowiny i piwa, tak jak w wyobraźni pana Dickensa czynił to Richard Watts. Sam byłem zbyt zajęty dogłębieniem zajazdu, by zainteresować się więcej niż kilkoma opublikowanymi odcinkami ostatniej powieści. Zamierzałem przeczytać całość, gdy ukaże się jako książka, to znaczy myślałem o tym, nim wielki pan Dickens zmarł w zeszłym miesiącu. A gdy odszedł, status naszej gospody został zagrożony i nie miałem wolnego czasu. Po prawdzie niespecjalnie palę się do czytania sensacyjnej literatury o tragedii mego syna, wystarczy mi to, co noszę w sercu. Trzymałem w dłoniach jego czaszkę. Pękniętą u góry. Nie potrzebuję czytać o jego śmierci niczego ponad to, co wyczytać można z kości mego chłopca!

Po powrocie do Falstaffa Osgood natychmiast wszczął przygotowania do wyjazdu wraz z Rebeką do Londynu, żeby spróbować dowiedzieć się czegoś w związku ze zdumiewającą historią Edwar-da Trooda. Decyzja ta była całkowicie niezgodna z surowymi zaleceniami doktora Steele'a. Osgood obawiał się, że lekarz byłby

skłonny założyć mu kaftan bezpieczeństwa, by przeszkodzić w wyjeździe. Steele ostrzegł wydawcę, że dręczące go przez całą młodość ataki reumatyzmu mogą powrócić, jeśli nie zaczeka, aż całkiem wyzdrowieje, ale ten nie zmienił zamiarów. Zostawił w Falstaffie informację, by całą przychodzącą korespondencję kierowano na nowy adres: St. James Hotel, Piccadilly, i aby natychmiast przysłać tam Datchery'ego, jeśli tylko zjawi się w odwiedzinach.

Wynosząc kilka sztuk bagażu na korytarz zajazdu, po raz pierwszy od napaści ujrzał się w lustrze. Na widok swego odbicia instynktownie uniósł ku twarzy dłoń, a następnie przesunął nimi po policzkach i karku, jakby chciał unieruchomić głowę. Zmrużył oczy. Gdzie podziła się chłopcę aparycja, niewinne oblicze, które zawsze przeklinał, ale także pielęgnował? Jego miejsce zajęła śmiertelnie blada, niemal zabiedzona twarz, pokryta gęstą pajęczyną świadczących o znużeniu zmarszczek i bruzd, z ciemnymi cieniami pod oczami. Włosy szorstkie, bez połysku. Jego oblicze albo przedwcześnie upodobniło się do śmiertelnej maski, albo rysy mu się wyostrzyły, nabrały męskiej dojrzałości; nie potrafił zdecydować, która to ewentualność. Wszakże w jego wyglądzie pojawił się jakiś ożywczy element. Już nie był nierzucającym się w oczy, jednym z wielu sobie podobnych, młodych bostońskich biznesmenów ze społecznej elity. Miał przed sobą Jamesa R. Osgooda, wprawdzie mocno sponiewieranego, ale nawet w tym stanie bez wątpienia autentycznego.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, a powróciwszy do pokoju, potwierdził swoje podejrzenie, że usunięto stamtąd lustro. Zastanawiał się, czy to pomysł apodyktycznego doktora Steele'a, czy Rebecki — doktor kierowałby się chęcią sprawowania kontroli nad pacjentem, kobieta sentymentem. Przez chwilę, stojąc na progu,

rozważał tę kwestię i postanowił zachować wątpliwości dla siebie, nie dzielić się nimi ze swoją pracownicą.

— A co z pańskim prezentem? — zapytała Rebeka, trzymając w dłoniach nabytą na aukcji filizankę z różowego szkła.

— Może powinniśmy zlecić panu Troodowi zanieśnienie go pannie Dickens — zaproponował.

— A może lepiej wręczyć jej osobiście. Mamy jeszcze godzinę do odjazdu następnego pociągu do Londynu.

— Nie będzie pani miała... — zaczął. — To znaczy nie będzie pani miała nic przeciwko złożeniu wizyty pannie Dickens?

Pokręciła głową.

— Myślę, że to dobry pomysł, panie Osgood.

Przeszli na drugą stronę drogi, do Gadshill, i zastali je jeszcze bardziej opuszczone niż poprzednio. Frontowe drzwi stały otworem, w pobliżu nie było nikogo, kto by wprowadził gości. Od czasu aukcji w Christie znikło niemal całe wyposażenie. W korytarzu od frontu i w bibliotece piętrzyły się sterty bagażu. Z początku nie zauważyli Henry'ego Scotta, który szlochał skulony w kącie biblioteki, wciśnięty między dwa kufry z ubraniami. Na wspaniałej białej liberii widniały plamy pozostawione przez łzy.

— Och, coś się panu stało? — zapytała Rebeka, klękając obok i kładąc mu dłoń na ramieniu.

Usiłował odpowiedzieć, ale między jednym a drugim atakiem szlochu nie udało mu się porządnie sklecić słowa i tylko urywanymi sylabami — jak dzikus z dalekich wysp — wydusił, że do rana mają opuścić Gadshill. Po chwili zeszła po schodach kobieta w żałobnym stroju w stylu królowej Wiktorii oplakującej Alberta, w długim czarnym welonie i falującej czarnej sukni z krótkim żakiem wykończonym u dołu falbanką.

— Pewne wypadki uniemożliwiły mi przekazanie pani tego wcześniej, panno Dickens — oznajmił Osgood, podając jej filiżankę.

— Czytaliśmy w „Telegraph”, że sprzedano tę rzecz za nieco ponad siedem funtów, ale nie napisali komu! — zdumiała się Mamie Dickens.

— Nie wydawało się właściwe, by przedmiot ten trafił do kogo innego niż pani!

— To niezwykle uprzejme z państwa strony! — uniosła welon i otarła oczy. — Och, moja siostra śmiałaby się ze mnie, widząc, jak płaczę z powodu małej czarki! Jutro opuszczę Gadshill, ale ona będzie mi towarzyszyła wszędzie, gdziekolwiek będę. — Odstawiając filiżankę z powrotem na gzyms kominka, ujęła dłoń Osgooda i rękę Rebeki. — Ojca zachowałam w sercu — powiedziała cicho — jako człowieka różniącego się od wszystkich innych, kogoś wyjątkowego wśród ludzkich istot. Postanowiłam nigdy nie wychodzić za mąż, nie zmieniać nazwiska. Zawsze więc pozostanę Dickensówną. Uważa pani, że to dziwne, panno Sand?

— Jakież szczęście miała pani, będąc kochaną przez człowieka uwielbianego przez cały świat.

— A więc żegnajcie i niech Bóg ma was oboje w swej opiece — powiedziała Mamie, raz jeszcze ściskając dłonie swych gości.

Weszła ciocia Georgy, niespodziewanie wprowadzając ze sobą mężczyznę, który chłodno skłonił się przybyszom.

— Doktor Steele! — wykrzyknął Osgood. — Obawiam się, że nie przekona mnie pan do pozostania w Rochester.

— Nie przyszedłem tu z tego powodu — sucho odrzekł lekarz.

— Chyba nikt u państwa nie zachorował, ciociu Georgy? — zaniepokoił się wydawca.

— Sądziłem, że jest już pan w drodze do Londynu, panie Osgood — stwierdził z pretensją w głosie medyk.

— Doktor Steele przyszedł uregulować rachunki przed naszym wyjazdem — wyjaśniła Georgy. — Nie mieliśmy czasu, odkąd... odkąd poczciwy doktor próbował wszystkiego, by ożywić biednego Charlesa — mówiąc to, pani domu rzuciła okiem w stronę jadalni. — Niestety, jeszcze nie otrzymaliśmy pieniędzy z aukcji. Doceniam cierpliwość doktora Steele'a.

— Do usług łaskawej pani — powiedział lekarz, kłaniając się, jego mina wszakże nie rokowała najlepiej w kwestii cierpliwości.

— To pan opiekował się panem Dickensem po zapaści?

— Zapewniam, że robiłem, co tylko było możliwe, panie Osgood — odrzekł Steele. — Widzę, że poza lekceważeniem moich poleceń co do pańskiego zdrowia, jeszcze przyczynił się pan do smutku panny Dickens. Może lepiej będzie, jeśli opuścicie państwo Gadshill.

Mamie z filiżanką w ręce skryła się w kącie, by nie zauważono jej płaczu.

— Doktorze Steele, może... — Georgy zamierzała stawić czoła lekarzowi.

Apodyktyczny medyk posłał jej jednak zimne jak lód spojrzenie, łączące w sobie surowe zalecenie lekarza i przypomnienie o zalegającym rachunku. Nawet stanowczy głos Georginy Hogarth został uciszony.

— A więc do widzenia, panie Osgood — powiedział Steele, mszcząc się za okazane sobie nieposłuszeństwo.

— Do widzenia — odrzekł wydawca.

— Proszę zaczekać — słowa te wypowiedział Henry, teraz wyprostowany, z suchymi już oczami. — Od dawna nie widziałem, by panna Dickens tak się uśmiechała. Jeśli płacze, to z radości z powodu drobnej pamiątki, którą odzyskała dzięki panu i pannie

Sand. Proszę za mną, panie Osgood, jeśli ma pan kilka minut czasu, coś panu pokażę. — Słowa służącego, mimo że wypowiedziane do Amerykanina, przeznaczone były dla uszu lekarza.

Doktor Steele gniewnym spojrzeniem odprowadził Osgooda i Rebeke wychodzących za Henrym z pokoju.

— Niewiele osób wpuszczono tu po dziewiątym czerwca — poinformował służący, z zamkniętymi oczami przekraczając próg jadalni. — To tutaj umarł. — Wskazał na zieloną, obitą aksamitem sofę ze stylowym, rzeźbionym oparciem.

— Był pan przy tym, panie Scott? — zapytał Osgood.

Henry skinął głową.

— Tak, i nie lękam się o tym mówić. Powiadają, że od tłumionego smutku może pęknąć serce — powiedział, po czym szeroko otwierając oczy, opisywał ostatnie chwile Dickensa: — Wódz upadł na podłogę w tym pokoju, gdy siadał do posiłku po całym dniu pracy nad *Tajemnicą Edwina Drooda*. W te pędy posłano do miasta po doktora Steele'a, a ja pomogłem znieść sofę z piętra do jadalni, potem razem z cicią Georgy podnieśliśmy go. Coś bełkotał.

— Panie Scott — przerwał mu Osgood. — Czy zrozumiał pan cokolwiek ze słów pana Dickensa?

— Nie. Nic nie dało się rozróżnić. No, może poza jednym.

— Co to było? — zapytał Osgood.

— Nazwisko. Forster. Biedny Wódz wzywał Johna Forstera. Zapewne chwila ta pozostanie dla pana Forstera największą dumą. Wiem, że tak byłoby ze mną, gdyby to moje imię znalazło się na wargach mistrza.

Stan Dickensa wciąż się pogarszał i Georgy poprosiła Henry'ego o rozgrzanie cegieł przy piecu.

— Gdy wróciłem, nasz ponury pan doktor zerwał z Wodza żakiet i koszulę. Ujrzeć coś takiego! A w pokoju już zrobiło się

tłoczno — panna Dickens i pani Collins pospiesznie przybyły z kolacji w Londynie. Mijały godziny, a on wciąż nie odzyskiwał przytomności. Jakże pragnąłem, by ponownie polecono mi rozgrzać cegły lub zrobić cokolwiek użytecznego! Zajrzałem do oranżerii, popatrzeć na szkarłatne kwiaty geranium, i pozamiatałem okalające je płytki. Rośliny te były ulubionymi pana Dickensa i chciałem, aby po przebudzeniu Wódz zastał to miejsce bez zarzutu. Przez otwarte okno mógł wyjrzeć i poczuć delikatny zapach oranżerii.

Pośród tego całego zamieszania przybyła jasnowłosa, ładna i szczerze opatulona kobieta, którą wszyscy znali, choć nieoficjalnie. Ale pan domu nie drgnął nawet pod przerażonym spojrzeniem jej jasnych, niebieskich oczu. Nastąpiła późna noc, a on wciąż leżał nieruchomy. Kolejny, jeszcze bardziej posępny lekarz przybył z Londynu i dołączył do przebywających już w jadalni. Błądy i zdeenerwowany londyński specjalista stwierdził wylew do mózgu.

Biedny Wódz nigdy nie miał już opuścić sofy.

Henry skłonił się z żalem, że nie pozostało nic więcej do zrelekcjonowania.

— Dziękuję, panie Scott — powiedział Osgood. — Wiem, jak bolesny był dla pana powrót pamięcią do tamtych chwil.

— Przeciwnie. To, że byłem tu obecny, jest dla mnie największym zaszczytem.

Podczas jazdy pociągiem dwójka podróżnych nie mogła doczekać się przybycia do Londynu. Kilka godzin potem, gdy dotarli na miejsce, Datchery otrzymał wiadomość od właściciela Falstaffa i stanął się w hotelu Picadilly, by się z nimi spotkać. Osgood nie mógł zwrócić się do Scotland Yardu, nie nadużywając zaufania Williama Trooda, ale ekscentrycznego Datchery'ego, czy działał w stanie hipnozy, czy nie, nic nie ograniczało w kwestii dalszych

poszukiwań. Osgood przekazał mu informację o Edwardzie Troodzie i jego związkach z handlarzami opium, kompanami wuja.

— Niezwykłe! — skomentował Datchery, a jego wysoka, chuda postać tam i z powrotem przemierzała pokój. Wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć śmiechem. — Wie pan co, Ripleyu, najwyraźniej poczynił pan olbrzymie postępy!

Osgood strzelił palcami.

— Jeśli ta historia jest prawdziwa, drogi Datchery, to wszystkie elementy układanki zaczynają pasować, nieprawdaż? Gdy Dickens oznajmił, że pojawiło się coś „dziwnego i nowego”, to właśnie miał na myśli — pisał powieść kryminalną opartą na prawdziwym morderstwie. Było to inne niż wszystko, czego dokonał do tej pory, inne niż powieści wielkiego Collinsa i innych powieściopisarzy. Pomyśl pan tylko, jak zaczyna się jeden z pierwszych rozdziałów *Drooda*.

Osgood przeczytał tekst tak wiele razy, że mógł recytować go z pamięci, ale wyjął z kufra pierwszy odcinek, by pokazać go Datchery'emu.

— Ponieważ istnieją prawdziwe okoliczności, z powodu których opowieść ta będzie wraz z rozwojem akcji snuć się sama — odczytał pierwsze zdanie trzeciego rozdziału — stare miasto katedralne musi otrzymać fikcyjną nazwę. Na kartach powieści będzie ona brzmiała: Cloisterham.

— Rzeczywiście! — wykrzyknął Datchery.

— Dowodem na to, że Cloisterham to w rzeczywistości Rochester — ciągnął swój wywód Osgood — jest fakt, że powieść miała odsłonić prawdziwą zbrodnię i prawdziwego zbrodniarza.

Datchery energicznie skinął głową.

— A gdy *Tajemnica Edwina Drooda* zaczęła ukazywać się w odcinkach, każdy, kto je śledził, a także każdy na świecie handlarz i szmugler opium, mógł dopatrzeć się w niej historii nieszczęsnego



Edwarda Trooda. Pomyśl pan, Nathan Trood nie żyje, jeśli jednak miał pomocników w zamordowaniu bratanka, ktoś mógł się przestraszyć.

— Tyle że William nigdy nie powiadomił policji. Przez wszystkie te długie lata tajemnica zabójstwa Edwarda wydawała się bezpieczna — zauważył Osgood.

— Właśnie. Natomiast powieść Dickensa, dostarczając nowych wskazówek, mogłaby naprowadzić policję na trop zbrodni i współników zabójcy Edwarda Trooda! — Datchery uniósł dłoń, sam sobie przerywając. Wskazał w stronę drzwi, zza których dobiegało ciche szuranie butami.

— Panna Rebeka? — szepnął.

— Nie sądzę... Panna Sand wyszła do banku, by załatwić kredyt w związku z naszym pobytem w Londynie — odrzekł przyciszonym głosem Osgood. — Przywiezione fundusze wyczerpały się. Nie będzie jej jeszcze przez co najmniej godzinę.

Datchery ruchem dłoni polecił Osgoodowi odsunąć się na bok, dając do zrozumienia, że ktoś ich podsłuchuje. Po czym pochwyił z paleniska żelazny pogrzebacz. Po cichu przeszedł przez zasobnie umeblowany pokój i powoli otworzył drzwi. Wyłoniła się zza nich potężna ręka i złapała Datchery'ego za nadgarstek, skręcając mu go, aż ten upuścił pogrzebacz na podłogę.

— Dobry Boże! — krzyknął, chwiejnie cofając się. Błyskawiczny cios pięścią w szczękę pozbawił go równowagi i przewrócił na podłogę

— Pomocy! Wezwij pan pomocy! — jęknął, próbując odczołgać się do tyłu.

— Nie ma potrzeby, panie Osgood — oświadczył napastnik.

Wydawca już sięgał do dzwonka, ale gdy usłyszał swoje nazwisko, dłoń zamarła mu w pół ruchu i zdumiony patrzył na przybysza.

Młody człowiek postąpił krok w jego stronę, zdejmując pelerynę i czapkę, spod których wyłoniła się postać Toma Branagana. Tom Branagan! Człowiek, którego Osgood nie widział od ponad dwóch lat — od zakończenia amerykańskiej podróży Dickensa — bezczelnie wdarł się do jego pokoju!

Irlandczyk, który z chłopca, jakim był w Ameryce, zmienił się w krzepkiego mężczyznę, powyciągał sznury z kotar i zabrał się do krępowania dłoni Datchery'ego.

— Panie Branagan! — krzyknął Osgood. — Co to ma znaczyć?

— Czego pan ode mnie chcesz? — jęknął żałośnie Datchery.

Branagan z oczami pociemniałymi od gniewu stanął nad leżącym i przygniatając mu szyję obcasem, przytrzymał go.

— W imię Charlesa Dickensa, nadszedł czas wyjaśnień.

Osgood osunął się na dywan, obok Datchery'ego. Nie pojmował, co właściwie się dzieje. Gorączkowo analizował wydarzenia, usiłując dopatrzeć się w nich jakiejś logiki: omal nie zakończona tragicznie wizyta w przybytku palaczy opium, rewelacje Williama Trooda na temat syna, nagle, nie wiedzieć skąd, pojawienie się w londyńskim hotelu Toma Branagana i bezsensowny atak na jego, Osgooda, towarzysza.

— Branagan! — krzyknął. — Co pan wyprawiasz i w ogóle co pan tu robisz?

Ujmując dłoń Datchery'ego, Osgood usiłował go ocucić. Rozwiązał sznur od zasłon, którym Tom skrępował leżącego.

— Nie robiłbym tego, panie Osgood — ostrzegł Tom.

— Panie Branagan, proszę zamoczyć szmatkę w zimnej wodzie na toalecie. Mój poczciwy Datchery, to jakieś niebywałe nieporozumienie. Tego człowieka przez krótki czas znałem jako bagażowego, gdy pan Dickens po raz pierwszy przybył do Ameryki.

— Nie ma mowy o żadnym nieporozumieniu, panie Osgood — zaprotestował Tom. — I już nie jestem bagażowym.

— A więc proszę natychmiast się wytłumaczyć, jeśli w ogóle pan zdoła! — krzyknął Osgood na przystojnego, młodego mężczyznę. Nie znajdując śladu skruchy w jego postawie, daremnie usiłował powstrzymać gniew. — Zapewne i tym razem nazwałbyś pan

swoje działanie kierowaniem się instynktem, czy lak?

Tom zamknął drzwi na korytarz.

— Ten człowiek to dwulicowy oszust. Nie jest tym, za kogo się podaje — powiedział.

— Ależ to oczywiste, że nie jest Dickiem Datcherym — to postać z powieści Dickensa! Chyba naprawdę się pan pogubiłeś. Ten człowiek jest niezdrów i nie z własnej winy znalazł się pod wpływem potężnych sił magnetycznych — proces ten niedługo przed śmiercią zapoczątkował sam pan Dickens — dzięki czemu, korzystając z jego śledczych uzdolnień, możemy uzyskać wyjątkowy wgląd w pewien bardzo ważny przypadek.

W tym momencie Datchery podniósł się z podłogi i przytrzymując się ściany, dojrzał do krzesła, na którym usiadł.

— A może by tak poprosić go, by się wytłumaczył? — zaproponował Tom.

— Nie wiem, dlaczego próbujesz mnie zastraszyć, chłopcze — zaprotestował Datchery, pocierając zakrwawioną szczękę i usiłując przywołać na twarz coś na kształt uśmiechu. — Mylisz się co do mnie.

— Człowieku, jeśli nie zamierzasz wyjawić prawdy, niech i tak będzie. Panie Osgood, ten nędznik, przebrany za George'a Washingtona, działał jako spekulant i wichrzyciel podczas całego objazdu Wodza po Ameryce — wszystko po to, by sabotować i nie dopuścić do finansowego sukcesu wieczorów autorskich.

Oskarżony gniewnie zmrużył oczy i groźnie pochylił się w stronę Toma.

— Nie dam się bezkarnie obrażać!

Tom wymierzył mu silny cios pięścią w brzuch. Następnie wyjął z kieszeni pistolet i wycelował w skręcającego się z bólu mężczyznę.

Osgood znieruchomiał na widok broni.

— Uciekaj pan, Datchery — rzucił, sam próbując zachować spokój. — Datchery! Odejdź pan, nim naprawdę coś ci się stanie — powtórzył. Ale ten nie poruszył się, stał tylko i patrzył to na Toma, to na Osgooda.

— Poślę ci kulkę, jeśli jeszcze choć raz poczęstujesz go kłamstwem, szanowny panie — oznajmił Tom, a pistolet nawet nie drgnął mu w dłoni.

— Datchery, wyjdź! — krzyknął Osgood. — Uspokój się, Branagan! Ten człowiek jest moim przyjacielem. — Ale gdy obejrzał się przez ramię na przedmiot swych słów, ujrzał dziwne, puste spojrzenie, które zadało im kłam.

— Nie... Datchery — odezwał się mężczyzna, wymawiając to imię jak wyznanie, teraz z bardziej miękkiem akcentem, typowym raczej dla ulic Nowego Jorku niż angielskiej prowincji. Patrzył na nich zmęczonymi oczami starego marynarza. — Tylko Rogers, Jack Rogers. No, to już znacie moje nazwisko. Niech pan schowa pistolet i więcej mnie nie bije, a usłyszycie, co mam do powiedzenia.

Jack Rogers przez większą część opowieści wpatrywał się we własne stopy.

— Nie zamierzałem krzywdzić żadnego z was, a z czasem zacząłem odczuwać do pana szacunek, panie Osgood, większy niż ten, jakim spodziewałbym się darzyć człowieka czynu i interesów, a to za sprawą pańskiej wytrwałości i szczerości. Ośmielam się twierdzić, że dokonałeś pan wiele, nie dając się nikomu pokonać, a przecież kto wie, na ile jeszcze pana stać. Mam nadzieję, że gdy poznasz pan moje losy, zrozumiesz mnie.

We wczesnej młodości Rogers był aktorem występującym w drugorzędnych teatrach Nowego Jorku. Pochodził ze skromnej, biednej rodziny, niechętnie odnoszącej się do wybranego przezeń

zawodu. Swe aktorskie zdolności na ogół wykorzystywał w zabawnych lub awanturniczych scenkach. Pewnego razu, gdy przygotowywał się do sceny pojedynku na długie miecze, podczas przypadkowego upadku końcem ostrza zranił syna kierownika teatru, którego lekarze nie zdołali już uratować, mimo wielogodzinnych starań. Załamany tym okropnym wypadkiem, Rogers został wyrzucony z teatru. Przez jakiś czas miał się dorywczych zajęć, niełatwych do znalezienia w erze kulejącej amerykańskiej gospodarki, wreszcie w roku 1844 burmistrz Nowego Jorku, James Harper, założyciel wydawnictwa Harper & Brothers, zorganizował pierwsze oddziały policji miejskiej. Zawód ten nie cieszył się powodzeniem i trudno było o chętnych do zapelnienia szeregów. Rogers zgłosił się, nie mając innej pracy.

Policja Harpera rozrosła się w wielką armię działającą we wstrząsanym politycznymi i etnicznymi sporami i korupcją mieście. W następnym roku burmistrz republikanów poniósł klęskę i stracił władzę nad policją, ale Harperowie po cichu zachowali bliskie związki z funkcjonariuszami. Wnet były burmistrz Harper prywatnie zatrudnił Rogersa, który dał się poznać jako człowiek silnego charakteru, inteligentny i umiejący rozwiązywać zagadki. Gdy James, wciąż nazywany burmistrzem, lub któryś z jego braci wchodzących w skład wydawnictwa — Pułkownik (John), Kapitan (Wesley) i Major, najmłodszy (Fletcher) — potrzebowali pomocy, zwłaszcza gdy zachodziła konieczność zachowania tajemnicy, dyskretnie posyłano po Rogersa.

Stało się tak latem 1867 roku, gdy Charles Dickens ogłosił, że Fields, Osgood & Co otrzymają wyłączne prawo do wydawania jego dzieł w Ameryce. Harperowie zazdrościli im i z obawą myśleli o zyskach, jakie mogłyby przyspaść w udziale bostońskim konkurentom. Wysłali Rogersa i jeszcze innego agenta z poleceniem wszczynania burd przy sprzedaży biletów na wieczory autorskie podczas

amerykańskiej podróży Dickensa; mieli nadzieję, że gazety przedstawia bostońskiego wydawcę jako niekompetentnego, pozbawionego klasy chciwca. W ramach planowanych zakłóceń Rogers, przebrany w spektakularną, pamiętną perukę à la George Washington i także nakrycie głowy, rozsiewał wśród przedstawicieli prasy zarzuty przeciwko Tomowi Branaganowi o wywołanie gwałtownych zażść podczas jednej ze sprzedaży. W międzyczasie Harperowie polecili zamieszczanie w swoim tygodniku wymyślanych na gorąco złośliwych i oburzających karykatur i tekstów o angielskim pisarzu — tę samą metodę stosował Fletcher, dobijając politycznie zdemaskowanych, skorumpowanych, przychylnych imigrantom przywódców Tammany\*.

\* Tammany — organizacja polityczna powstała w roku 1789 jako człon partii demokratów w Nowym Jorku. Z czasem, po roku 1817, jej charakter zmienił się, gdy wpływ w niej zyskali irlandzcy imigranci. W walce o władzę i głosy wyborców jej przywódcy uciekali się do przekupstwa i korupcji.

— Nie ma potrzeby, dżentelmeni, obrzucać mnie tak groźnym i potępiającym spojrzeniem — ciągnął Rogers, smutno kręcąc głową. — Dobrze wiem, że moje postępowanie można nazwać oszukańczym. Wiele lat temu, po wypadku na scenie, ustawicznie dręczyła mnie bezsenność. Nie przetrwałbym bez laudanum, które dostawałem od mojego lekarza. Wnet odkryłem, że nie mogę wytrzymać kilku dni bez narkotyku w organizmie, i zaspokajałem głód, przysięgając sobie, że to ostatni raz. Wystarczyła godzina bez leku, a czułem się rozdarty i pusty. Włóczyłem się bez celu, upokorzony, pogrążony w melancholii. Laudanum już nie wystarczało, łaknąłem czystego opium, jakby było najbardziej smakowitym daniem, podawanym w oku cyklonu przez syrenę o zmysłowych kształtach. Opium stało się dla mnie panaceum. Przyjmo wałem dawkę o dziesiątej, następną w pół do piątej. Cztery godziny po

wchłonięciu nowej porcji czułem się niezwykczony, pełen energii, wiedziałem, że intelektem i fizycznym potencjałem przewyższam innych. Byłem niczym Atlas ze światem chwiejającym się na mych barkach. I tak oto stałem się niewolnikiem narkotyku; aby dostać więcej, przeszedłbym boso po rozpalonych węglach lub po szyję zanurzyłbym się we własnej krwi. Potem żołądek i wnętrzności kurczyły się, w głowie wciąż szumiało. Brałem więcej, by się pozbiierać, i wkraczałem na niebezpieczną ścieżkę wiodącą wprost do przedawkowania.

Major zauważył, że coś się ze mną dzieje.

— Słuchaj no! — powiedział, zdejmując okulary swym zwykłym, przesadnie teatralnym gestem. — Wiesz, że jestem człowiekiem szczerym, Rogers, i dobrym metodystą, spytam więc wprost: Czy poradzisz sobie z nałogiem i dalej będziesz służył firmie?

— Aby być równie szczerym — odrzekłem — przyznam, że chyba nie zdołam, Majorze. Śmierć przyjąłbym jako wybawienie.

— W takim razie pomogę! Nie poddawajmy się wrogowi bez walki!

Major załatwił Rogersowi miejsce w zakładzie dla alkoholików, prowadzonym przez lekarza, który palenia opium nie uważał za występki, lecz za chorobę jak każda inna. Przebywając w odosobnieniu, Rogers zdołał oczyścić krew z trucizny.

— To wydarzyło się przed sześcioma miesiącami. Przysięgam, już nigdy więcej nie tknąłem opium. Ale po opuszczeniu zakładu, uwolniony od złowrogiego maku, stałem się niewolnikiem nowego i wymagającego pana: Majora. Przez ostatnie kilka lat, w miarę jak przejmował władzę nad wydawnictwem od swych bardziej umiarkowanych braci, krzywiłem się na jego metody i manipulacje. Jednak pobyt w zakładzie, który uratował mi życie, był kosztowny,



więc nie mogłem zerwać związków z firmą Harpera, dopóki dług nie zostanie spłacony.

Po zakończeniu amerykańskiej podróży Dickensa, gdy szpiedzy Majora donieśli, że pisarz pracuje nad powieścią kryminalną, Major i burmistrz Harperowie zapragnęli z góry poznać fabułę nowej książki.

Ponieważ potrafiłem posługiwać się każdym akcentem pod słońcem — pozostałość po mych aktorskich czasach — postanowili wysłać mnie z misją do Anglii. Miałem wniknąć do sanktuarium Dickensa. Rozpytałem się w Kent i dowiedziałem, że pisarz leczy chorych, zarówno przyjaciół, jak i obcych, metodami mesmerycznymi i zwierzęcym magnetyzmem. Słyszałem, że — wyjątkowo wrażliwy na cierpiących biedę — był przyjacielem i orędownikiem ludzi pracy.

Aby dostać się do jego gabinetu i jako pierwszy zdobyć jakieś szczegóły co do przyszłości *Drooda*, postanowiłem odegrać rolę chorego angielskiego rolnika, szukającego pomocy u pana Dickensa.

— I udało się panu coś znaleźć? — zapytał Osgood.

— Wielki człowiek potrafił zachować swoje sekrety! — Rogers uniósł ramiona. — Za każdym razem kładł mnie na sofie, dłońmi i palcami w specyficzny sposób przesunął mi po głowie, a potem, gdy był przekonany, że śpię, nucąc, starał się uzdrowić chore miejsca wewnątrz mego mózgu. W końcu dmuchał mi delikatnie w czoło, aż był pewien, że właśnie się obudziłem. Domyśliłem się, że jeśli sprawię wrażenie zahipnotyzowanego do tego stopnia, by móc wmówić sobie, że jestem jedną z postaci z jego powieści, będzie bardziej prawdopodobne, że on nieświadomie ujawni mi jakieś rewelacje na jej temat.

— A więc wtedy postanowił pan odegrać rolę Dicka Datchery'ego? — domyślił się Tom.

— Tak. Datchery w tajemniczy sposób pojawił się w jednym z dalszych rozdziałów *Edwina Drooda*. Jeszcze przed ich

opublikowaniem słyszałem pewnego popołudnia, gdy czekałem w bibliotece w Gadshill, jak pan Dickens czytał tę partię rodzinie i przyjaciołom. Na podstawie całej mojej nędznej wiedzy, którą zdobyłem w ciągu życia dzięki lekturze, wykombinowałem sobie, że w losie postaci Datchery'ego zawiera się wyjaśnienie tajemnicy. I moje przypuszczenie sprawdziło się! Do pewnego stopnia.

Rogers opowiedział o sztuczkach, do jakich się uciekał, by odegrać w Gadshill rolę Datchery'ego, łącznie z zapisywaniem na skrawkach papieru, które chował pod opaską kapelusza, każdego słowa wkładanego przez pisarza w usta swych postaci. I gdy tylko to było możliwe, posługiwał się takim właśnie językiem. Tą autentycznością najwyraźniej wzbudził zainteresowanie pisarza, jednak mesmeryczne sesje nadal ograniczały się do kurowania pacjenta, a mistrz nie dał się sprowokować do zdradzenia szczegółów swej powieści.

Rogers naturalnie wykorzystywał każdą okazję, gdy zostawał sam — gdy Dickens wychodził z gabinetu, by zająć się którymś ze swych domowych zwierząt lub przywitać jakiegoś gościa — by potajemnie przejrzeć zawartość wszelkich papierów znajdujących się na biurku lub w niezamkniętej na klucz szufladzie. Znalazł pewne wskazówki sugerujące, że inspiracją dla postaci palaczy opium pojawiających się w *Droodzie* byli lokatorzy osławionej meliny w zaułku zwanym Palmer's Folly, którą Dickens odwiedził w czasie nadzorowanej przez policję wycieczki po Londynie.

Niedługo potem pisarz podupadł na zdrowiu i wnet sesje zostały przerwane, zarówno te z Rogersem, jak i z pozostałymi należącymi do niewielkiego kręgu pacjentów przychodzących do Gadshill na leczenie hipnozą. W pierwszym tygodniu czerwca na wieść o śmierci Dickensa Rogers wysłał telegraficzną wiadomość pracodawcom przy Franklin Square w Nowym Jorku, uznając swą misję

za zakończoną. Harperowie odwrotną pocztą rozkazali mu pozostać jeszcze kilka tygodni i krążyć po okolicach Gadshill, obserwując wszystkie ewentualne poczynania wiążące się z *Droodem*. Ponieważ od publikacji ostatniej powieści Dickensa upłynęło aż pięć lat, *Drood* oznaczałby setki tysięcy dolarów potencjalnego zysku dla tego, komu udałoby się pierwszemu wydać powieść w Ameryce. Major nie zamierzał z tego rezygnować.

Kilka dni później Rodgers otrzymał jednak nowe i nieoczekiwane polecenie: przekazano mu informację, że pan J.R. Osgood właśnie płynie do Anglii, najprawdopodobniej w celu odnalezienia brakujących części ostatniej powieści Dickensa. Rogers miał nie dopuścić do sukcesu tej misji, aby nic nie przeszkodziło pirackiej publikacji braci Harperów.

— Wyznaję to z ciężkim sercem i ze smutkiem, panie Ripleyu. Od tamtego czasu poznałem pana jako przyzwoitego i dobrego człowieka, dbającego o swych pracowników, jak zauważyłem na przykładzie panny Rebeki — kontynuował Rogers. — Ale proszę, byś pan zrozumiał choćby tylko jedną dotyczącą mnie okoliczność, a pewnego dnia umrę szczęśliwy, wiedząc, że nie całkiem żeś mnie odrzucił.

— Ciekaw jestem, co mógłbyś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie — odrzekł ze smutkiem Osgood.

— Tylko tyle: nie jestem artystą. Ani geniuszem, jak ci, co wypełniają pańskie życie, a może i jak pan. Niezależnie od tego, co pan sam o sobie myśli, posiadasz pan odwagę artysty. Ale moja codzienna praca, jaką znam i jaką wykonywałem, odkąd przeszkolono mnie na członka policji Harperów, jest właśnie taka. Wcześniej próbowałem posady w banku, jednak nie wytrzymałem, gdyż nie podobało mi się to, jak mnie tam traktowano. Byliśmy pierwszymi policjantami miasta Nowy Jork i nienawidzono nas — obrzucano nas kamieniami. Musieliśmy, każdy z nas, uzbroić się w „hak i szpic” — specyficzną pałkę o ostrym końcu, jakie widział

pan, gdy zapuszczaliśmy się w mroczne zaułki Londynu. Ludzie uważali nas za szpiegów i — dziwnym sposobem — obawy te szpiegami nas uczyniły. Przebrania, śledztwa, tajna służba, wszystkie te zakulisowe i nikczemne metody stały się moją sztuką, moją drogą życiową. Zamierzałem wyprowadzić pana w pole, kierując do opiumowej meliny, gdyż wiedziałem, że rozpozna pan ją jako prototyp miejsca występującego w powieści Dickensa, co pana zmyli. Gdyby zadanie mi się powiodło, w końcu mógłbym uwolnić się spod władzy Majora Harpera i powrócić na scenę, gdzie niegdyś byłem szczęśliwy i uszczęśliwiałem innych, tak jak uszczęśliwiałą ich wydawane przez pańską firmę książki. Pewnego dnia będę miał dom pełen dzieci, które otoczą mnie szacunkiem i miłością. Nie chciałem, drogi panie Ripleyu, by przydarzyło się panu coś złego.

— Ale zamierzałeś mnie, człowieku, jak sam przyznajesz, wyprowadzić w pole!

— Nie proszę o wybaczenie za oszustwo, błagam jedynie, byś mi pan uwierzył, że czuję się pańskim dłużnikiem. Pragnę panu pomóc.

— Ha! — odrzekł tylko Osgood.

— Panie Ripleyu, mnie także zaatakowali handlarze opium!

— Sameś pan to na siebie ściągnął, szanowny panie! — zauważył oskarżycielsko Tom. — Własnymi nieroztropnymi poczynaniami.

— Owszem, do pewnego stopnia, panie Branagan. Ale brutalność, z jaką nas potraktowano, tylko zwiastowała jakieś o wiele bardziej zbrodnicze poczynania. Obawiam się, panie Ripleyu, że grozi panu wielkie niebezpieczeństwo, nawet teraz, gdy tu rozmawiamy.

— Równie dobrze z pańskiej strony jak ze strony kogokolwiek innego — odpalił Osgood.

— Pozwoliliśmy ci, człowieku, powiedzieć więcej, niż sobie zasłużyłeś. Weź krzesło i siadaj wygodnie, tymczasem wezwę policyjną karetkę — dodał Tom.

Rogers pokręcił głową.

— Nie, potrzebuje mojej pomocy, panowie. Kto wie, czy od tego nie zależy wasze życie! I pewnie moje, choć teraz może to nie mieć dla was najmniejszego znaczenia!

Tom i Osgood wymienili spojrzenia, w których nie było śladu zawahania. Rogers, coraz bardziej wystraszony, teraz już nie wstydział się błagać.

— Drogi panie Ripleyu, nie mógłbyś pan raz jeszcze mi zaufać? Obiecuję spłacić dług za to, co zrobiłem.

Osgood spojrział wzburzony na byłego kompana.

— Kłamstwami zdobyłeś pan moje zaufanie i współczucie. Knuliś, by zniweczyć nasze amerykańskie przedsięwzięcie z Dickensem, obciążyć tym Bogu ducha winnego pana Branagana, a moje poczynania tutaj skierować na fałszywy tor, a wszystko to na haniebny rozkaz tych harpii, Harperów. A i teraz zapewne błagasz nas ze względu na swego mocodawcę, Majora Harpera. To on pociąga za sznurki. Lada moment ściągnie pana, a wystawi Judy czy samego diabła lub jakieś inne drewniane, groteskowe postacie, by tylko wprowadzić mnie w błąd.

Zejdź mi pan z oczu, gdy jeszcze to możliwe, jeśli pan Branagan wyrazi zgodę.

Tom cofnął się o krok i wskazał Rogersowi drzwi. Ten już nie protestował.

— Chwała niech będzie niebiosom, panie Ripleyu, że dane było mi pana poznać — powiedział tylko. Cicho odwrócił się i z kapeluszem pod pachą wybiegł z pokoju.

Pojawienie się Toma Branagana — podobnie jak pistolet, którym wymachiwał — było dla Osgooda takim samym szokiem, jak

ujawnienie prawdziwej tożsamości Rogersa. Gdy upewnili się, że Rogers opuścił hotel, i gdy Rebeka powróciła z banku, Tom ją opowiadać im o krętej drodze, która go znowu do nich przywiodła. Gdy po skończonym cyklu odczytów Dickensa powrócił do Anglii, pozostał w charakterze służącego w Ross, w majątku George'a Dolby'ego. Jednak nużyła go monotonia zajmowania się uwielbianymi kucykami dzieci Dolby'ego i wożenie pani Dolby, która intensywnie korzystała z zysków zdobytych podczas amerykańskiej podróży. Sam Dolby stał się jakby bardziej bezwzględny, zahartowany — jak mawiał — amerykańskim despotyzmem, a pieniądze wydawał z beztronską rozrzutnością, zwłaszcza po śmierci swego młodszego syna, który przeżył zaledwie kilka dni. Tom od czasu do czasu widywał Dickensa w domu państwa Dolbych, w tym także na chrzcinach George'a Dolby'ego juniora, ale pisarz, choć traktował go przyjaźnie, w rozmowie nigdy nie powracał do groźnych wydarzeń z ostatniego amerykańskiego tournée.

Tom pokazał Osgoodowi i Rebecce nóż sprężynowy z perłową rączką, który nosił w kieszeni.

— Należał do tamtej kobiety, wyjąłem go z jej ręki. Uświadomiłem sobie, że nadal go mam, gdy opuściliśmy ten kraj i znalazłem go między moimi ubraniami. Czasem, gdy na niego patrzę, rozmyślam o niej i o tym, co mogło się Wodzowi przydarzyć.

— Powinieneś być pan dumny z tego, co zrobiłeś — stwierdził Osgood.

— Byłem przekonany, że ona umrze — powiedział Tom. — Pan też by tak pomyślał, panie Osgood, widząc tyle krwi. I Wódz z pewnością tak myślał, zdawał się zasmucony jej widokiem, nawet na pocieszenie szepnął jej coś do ucha — słów nie dało się rozróżnić. Ale tak naprawdę niewiele kobiet próbujących tym sposobem popełnić samobójstwo ma dość siły, by pociąć się wystarczająco

głęboko. Wiele z nich przeżywa, tak jak ona, choć na zawsze zostaną im bliźni na ciele i duszy. Obraz tych dwojga do dziś mnie nie opuszcza. Twarz Louisy Barton widzę równie wyraźnie jak oblicze Charlesa Dickensa.

Znudzony pobylem w Ross i trapiiony myślami o wydarzeniach ostatnich godzin w Bostonie, Tom złożył podanie do Scotland Yardu. Czekał kilka miesięcy, aż pojawiło się wolne stanowisko dla nocnego posterunkowego trzeciej klasy, najniższej i narażonej na największe niebezpieczeństwa warstwy angielskiej policji. Służbę sprawował od dziesiątej wieczorem do szóstej rano. Było to jedyne stanowisko dostępne zwykle dla Irlandczyków, ale Branagan umiejętnościom płynnego czytania i pisania zawdzięczał rychłą promocję na konstabla pierwszej klasy.

Ponieważ Irlandczykom przydzielano patrołowanie najbiedniejszych dzielnic Londynu, w noc ataku na Osgooda Tom znalazł się w patrolu zaalarmowanym o wypadkach w Palmer's Folly. Właśnie na pobliskiej ulicy zajmował się zabezpieczaniem węglarki, której boczne ścianki niebezpiecznie się poluzowały. Gdy zjawił się na miejscu zdarzenia, zobaczył uciekającego z zakrwawioną głową rannego Rogersa i przypomniał go sobie.

— Rozpoznałem w nim człowieka, który w peruce Washingtona i w staromodnym, trójgraniastym kapeluszu doprowadził do zamieszek przy sprzedaży biletów w Brooklynie, a które obwiniono mnie. Jak może pan sobie wyobrazić, jego obecność w Londynie wydała mi się znamienna. Postanowiłem go śledzić, by wywiedzieć się więcej, i odkryłem, że pod przybranym nazwiskiem mieszka w mało znanym pensjonacie. Chodziłem za nim krok w krok przez kilka następnych dni i podpatrzyłem, że wysyła telegramy i listy do Nowego Jorku. Gdy ujrzałem go wchodzącego do tego hotelu, przejrzałem rejestr gości i na nowo zdumiałem się, tym razem na

widok pańskiego nazwiska, panie Osgood. Podejrzewałem, że on knuje coś nikczemnego od czasu naszego pobytu w Ameryce, ale nie wiedziałem, czy działa na czyjeś polecenie, czy jest złodziejem, czy może nawet bezwzględnym mordercą.

— To dlatego przyszedł pan z pistoletem — stwierdził Osgood.

Tom skinął głową, z uśmiechem i widomą ulgą odkładając broń.

— Mówiąc szczerze, całe szczęście, że nie musiałem go użyć. Rozdali broń w naszym wydziale z powodu ataków fenian na rząd i więzienia. Ponieważ płynie w moich żyłach irlandzka krew, przydzielono mi zadanie infiltracji niedobitków tych grup. Ale w wydziale tylko sporadycznie bywały szkolenia w posługiwaniu się pistoletem, muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Osgood z kolei podzielił się z Tomem szczegółową historią ich przygód z Hermanem na „Samarit” i doświadczeń w Anglii.

Sluchając, Tom zaciągnął kotary na oknach.

— O co chodzi, panie Branagan? — zaniepokoiła się Rebeka.  
— Sądzi pan, że ktoś nas obserwuje?

Irlandczyk wsparł obie ręce na gzymsie kominka. W ciągu dwóch lat, które minęły od amerykańskiej podróży, zapuścił brodę, a jego ramiona i klatka piersiowa mocno się zarysowały. Każdy renesansowy rzeźbiarz byłby wdzięczny, gdyby miał go za modela.

— Czy widział pan z bliska tę laskę, którą mi pan opisał, tę z dziwną złotą gałką, tę, którą posługiwał się człowiek o imieniu Herman? — zapytał Tom.

Osgood skinął głową.

— Gałka przypominała smoka.

— Pamięta pan, czy ten smok miał kły?



— Tak — przyznał Osgood — ostre jak brzytwa. Skąd pan wiedział?

— Herman — Tom powtórzył pod nosem. — Odtąd musimy wszystkie nasze poczynania przeprowadzać w największej tajemnicy.

— Wie pan, kim jest ten potwór, który na statku zaatakował pana Osgooda? — zapytała Rebeka.

— Rany na karkach i piersiach zabitych palaczy opium przypominały ślady kłów. Policja nie wiedziała, co o tym sądzić.

— Pozostawiła je jego laska! — krzyknęła Osgood. — Głowa bestii!

— Jeżeli zetknął się pan z tym samym człowiekiem na parowcu, atak nie był przypadkowy — stwierdził Tom.

— A więc nie przypominam sobie, abym go widział w tamtej melinie — powiedział Osgood, ciężko dysząc. Jeszcze nie skończył mówić, gdy kamienna twarz Hermana stanęła mu przed oczami. — On tam rzeczywiście był, panno Sand; miała pani rację, to nie jest zwykły kieszonkowiec! To on wstrzyknął mi opium, zapewne zrobił to samo biednemu Danielowi. To Herman wmieszał się w bijatykę, wykończył indyjskiego marynarza i typa z Bengalu. To tego szatana musimy dopaść, by wszystko wyjaśnić! Czy policja zdoła go odnaleźć, panie Branagan?

— Scotland Yard nie zajmie się poważnie śmiercią dwóch nędznych palaczy opium. Ale nie wiem, czy będziemy musieli go odnaleźć — dodał Tom tajemniczo.

— Co chce pan przez to powiedzieć, panie Branagan? — zdziwiła się Rebeka.

— Jeśli się nie mylę, panno Sand, trudność nie będzie polegała na odnalezieniu go. Ale na unikaniu go na tyle długo, by móc dowiedzieć się, skąd wieje ten złowieszczy wiatr.

Jahi był handlarzem opium, ale nie tylko. Mówiono o nim, że jako pierwszy w tym fachu w stolicy uczył wszystkich następnych, jak mieszać i palić czarny szlam. Człowiekowi temu, znanemu wielu mieszkańcom wschodniego Londynu jako Jack Chińczyk, zdarzało się od czasu do czasu nastąpić na odcisk niewłaściwemu członkowi londyńskiej policji, a wtedy zwykle wsadzano go do aresztu pod zarzutem zebrania lub innych błahostek, gdyż opium jako takie nie było nielegalne. Poczul się mile zaskoczony, gdy tym razem wypuszczono go na wolność dwa tygodnie przed czasem; z początku sądził, że odsiadka zaburzyła mu poczucie czasu, powiedziano mu jednak, że więzienie jest zbyt zatłoczone, by żywić każdego niewłaściwie zachowującego się Chińczyka.

Świeżo uwolniony handlarz opium zanurzył się w noc i ruszył długimi, wąskimi, ubabranymi smołą uliczkami w stronę nędznej portowej dzielnicy. Powietrze cuchnęło odpadkami, a z ciągnących się wzdłuż ulic wielkich, ceglanych magazynów dolatywała woń kawy i tytoniu. Gdy zbliżał się do swojej meliny, zatrzymał go nieznajomy mężczyzna w policyjnej pelerynie i czapce.

— Trzymać się z daleka, władza — wymamrotał Jahi, odpychając go. — Tu iść wolny człowiek!

— Jesteś wolny dzięki mnie, Jahi — odrzekł konstabl i tym samym sprawił, że tamten zwolnił kroku. Przeganiający mgłą wiatr wyraźnie odsłonił sylwetkę policjanta. — Ja to załatwiłem i ja mogę odwołać. Myślę, że słyszałeś o tym, co w melinie Opiumowej Sal przydarzyło się jej dwóm fagasom, indyjskiemu marynarzowi i Bengalczykowi?

— Nie — rzucił z głupia frant Jahi. — A co?

Tom przybliżył się o krok.

— Myślę, że wiesz.

— Jahi słyszeć o tym — odrzekł Chińczyk, szybko rezygnując z oporu pod wszystkowiedzącym spojrzeniem Toma. — Oni zamordowani, tak, słyszeć to za kratami.

— Zgadza się. A ja zastanawiam się, czy przypadkiem nie ty za tym stałeś — oznajmił Tom.

— Mowy nie ma, głupi władza! Jahi w więzieniu, gdy to się stać! — Handlarz opium spojrzał gniewnie na policjanta i splunął mu na but. — Ja słyszeć, oni próbować obrobić nie ten człowiek. Ty chcieć zrobić Jahi winny! Ty iść gonić złodziejaszki!

— Sally to dla ciebie konkurencja. Jak możemy mieć pewność, że będąc w areszcie, nie zorganizowałeś ataku na dwóch jej ludzi? — zapytał Tom.

— To niesprawiedliwe! Ty, Charlie, niesprawiedliwy!

Tom nie zaprotestował. Zdawał sobie sprawę, że postępuje nie fair — Jahi z pewnością nie miał nic wspólnego z wydarzeniami w Palmer's Folly. Ale wiedział także, że na nielicznych Chińczyków w Londynie patrzono z zawsze gotową się ujawnić podejrzliwością, zwłaszcza w przypadku handlarza opium, jakim był Jahi. Groźba Toma brzmiała wiarygodnie i to czyniło Jahi idealnym kandydatem.

Chińczyk rozumiejąc, że jeszcze coś się szykuje, zapytał:

— Po co ci potrzebny Jahi?

Tom pochylił się.

— Chcę informacji o Hermanie — ostatnie słowo wymówił szeptem.

Jahi otworzył i zamknął usta, jakby pozbywając się kwaśnego smaku, a propozycję skwitował machnięciem dłoni i — próbując oddalić się pospiesznie — potężną dawką chińskich przekleństw.

— Nie, nie! Nie Żelazna Głowa! Ja mówić o Herman Żelazna Głowa, ja umrzeć! Ty umrzeć!

Tom uniósł pałkę i odciął mu drogę ucieczki. Na twarzy Chińczyka malował się strach przed Hermanem i w tym momencie Tom już wiedział, że złapał go w pułapkę.

— Powiesz mi wszystko, co ci wiadomo o człowieku, którego nazywasz Żelazną Głową, a ja nigdy nie wspomnę nikomu twego imienia. Albo zamknę cię i rozpuszczę plotkę, że powiedziałeś mi o Hermanie.

— Nie, ty zwykły prosty władza! Nikt ci nie wierzyć!

Jahi odwrócił się i popędził w drugą stronę, ale ktoś inny stanął mu na drodze. Osgood, który właśnie wyłonił się z cienia.

— Mogą nie uwierzyć konstablowi — powiedział — ale z pewnością dadzą wiarę słowom amerykańskiego człowieka interesów, który padł ofiarą napaści.

Chińczyk z przerażeniem rozejrzał się wokół.

— Dlaczego wy robić to Jahi?

— Nie będziemy rozmawiać na zewnątrz, Jahi — zdecydował Tom. — Idziemy do aresztu. Jestem konstabłem, nie detektywem — nikt nie zauważy niczego poza żebrakiem prowadzonym za kratki, a następnie wypuszczanym — gdy skończymy. Umowa stoi, Jacku Chińczyku?

Tym razem Jahi splunął Tomowi na ramię.

— Umowa, nie! Nie areszt! Jahi tam nie wraca! Oczy Hermana wszędzie w klatce!

— Dobrze — ustąpił Tom. — Pójdziemy więc do ciebie.

— Nic z tego! Jahi woleć umrzeć, niż żeby go widzieć z władza!

— No to pójdziemy w takie miejsce, w którym nikt nas nie zobaczy.

Tunel pod Tamizą budowano z wielką ambicją i fanfarami, w najmniejszym stopniu nie przewidując porażki. Potężny pasaż miał

za opłatę dwu pensów zapewnić pieszym i pojazdom wygodny i przyjemny transport pod główną arterią wodną miasta. Ale trzecia próba przeprowadzenia tunelu pod rzeką, choć bardziej ambitna, nie okazała się większym sukcesem od dwóch poprzednich.

Gigantyczne przedsięwzięcie obfitowało w problemy. Wypadki i rosnące w szybkim tempie koszty należały do najpoważniejszych bolączek ciągnących się przez osiemnaście lat prac; dziesięciu ludzi, głównie górników, straciło życie z powodu nieszczęśliwych wydarzeń i złego zarządzania, upadków, zatopień, wybuchów gazu; górnicy, którzy wyszli z tego cało, zastrajkowali. Po okresie krótkotrwałej ekscytacji po ostatecznym otwarciu tunelu dla ludności, także londyńczycy odwrócili się od tej masywnej konstrukcji. Inwestorzy stracili udziały. Nawet zachodzące tu prostytutki i naciągacze mieli dość tego miejsca z powodu przecieków, niebezpiecznych, nie naprawianych odcinków oraz długiego i zdradzieckiego zejścia po przyprawiających o zawrót głowy schodach do biegnącego osiemdziesiąt stóp pod ziemią tunelu. Miejsce to było opuszczone, aż jedno z przedsiębiorstw kolejowych wynegocjowało jego zakup z przeznaczeniem na linię do Brighton. Wejście otaczały teraz rozpadające się magazyny, a o kłopotliwym tunelu pod Tamizą szczęśliwie zapomniano.

To właśnie tu, pod metropolią, wśród zdewastowanych, wiodących donikąd traktów, stanęli Jahi z Tomem Branaganem i Osgoodem. Po krętych schodach zeszli na najniższy poziom porzuconego podziemnego świata.

— Tak tylko ludzie mówić — zaznaczył Jahi, nim zaczął opowieść, opierając się o chłodny, wilgotny kamienny mur, gdy wszyscy trzej wsłuchiwali się w przenikliwy łomot pomp wodnych. — Nic więcej.

— Powiedz nam — rozkazał Tom, starając się wdychać jak najmniej zanieczyszczonego powietrza.

Jahi rozejrzał się, podązał wzrokiem w stronę każdego, najcichszego odgłosu. Zadarł nos i skrzywił się.

— Nie lubię tutaj. Ludzie umierać, budując. Tu diabeł.

Tom nie zaprzeczył, jedynie ruchem głowy zapewnił, że są bezpieczni.

— Powiesz nam, co wiesz, i będziesz mógł odejść. Opowiedz o Hermanie.

Jahi łamaną angielszczyzną opowiedział, że ludzie mówili o pewnym chłopcu o imieniu Hormazd z rodziny parsów, handlarzy opium transportujących narkotyki z Indii do chińskich portów.

— Parsowie najlepsi handlarze opium na świecie. Szybcy i najbardziej wojowniczy. Cała rodzina Hormazda handlarze — wszyscy zabici przez Ah'ling, herszt piratów.

Herszt wziął Hormazda w niewolę i trzymał razem z rozmaitymi europejskimi żeglarzami, zabranymi z innych handlowych statków. Młody Hormazd, odkąd skończył dziesięć lat, żył na kliprze przewożącym opium, utrzymywany przy życiu przez piratów wykorzystujących silnego chłopca do różnych prac. Każdego ranka i wieczora Hormazd w swym rodzinnym języku zend wznosił modły do słońca. Żyjąc wśród brutalnych chińskich piratów, Hormazd i inni jeńcy dostawali razy kijami bambusowymi za każdy przejaw zmęczenia lub zawodu sprawionego swym panom.

Jeńcy mieli obowiązek pomagać załodze pirackiej lorki, szybkiej i lekkiej łodzi, w atakach na mniejsze chińskie statki. Piraci byli bezlitośni. Gdy kapitan napadniętej łodzi odmawiał współpracy i udzielenia informacji o miejscu przechowywania opium lub szlachetnych metali, piraci, by jeszcze bardziej go sterroryzować, nacinali mu skórę i pili jego krew.

Aby powstrzymać mdłości na widok okrucieństw popełnianych przez piratów dla łupu, jeńcy żuli tytoń. Wszyscy poza Hormazdem.

Chłopiec wydawał się bardziej przyswajając, niż odrzucać groteskowe pirackie lekcje. Choć nie zapomniał, w jaki sposób się tu znalazł i nigdy nie przestał nienawidzić porywaczy, wydawał się niezdolny do odróżnienia dobra od zła. Ten pozbawiony przyjaciół pars, nie znający niczego poza własną siłą i złym losem, działał jak bezrozumne zwierzę, nie zastanawiając się nad moralnym złem swego pana.

Piraci wiedli obmierzłą egzystencję. Ich przysmakiem na miarę guawy czy ostrygi był ugotowany i pocięty na kawałki szczur lub surowe gąsienice z ryżem, popijane pędzonym przez nich jasno-błękitnym alkoholem o obrzydliwym smaku.

Pewnego dusznego popołudnia, akurat w czternaste urodziny Hormazda Camy, jego i kilku europejskich jeńców zabrano na lorce do odległej cieśniny, z dala od innych pirackich łodzi, gdzie mieli ćwiczyć sztuki walki. Pewien złośliwy pirat jął uderzać Hormazda po plecach i rękach, karząc go za jakiś rzeczywisty lub wyimaginowany występpek. Oczy chłopca rozbłysły i nagłym ruchem skrzył dręczycielowi kark. Widziało to kilku europejskich jeńców.

— Musisz uciekać — powiedział młody Anglik, który wyraźnie interesował się niezwykłym chłopcem. — Inaczej zabiją cię i utną ci głowę! Pomożemy ci, jeśli zabierzesz nas ze sobą, Hermanie.

Brytyjscy i amerykańscy jeńcy nazywali go Hermanem, imieniem najbardziej w ich języku podobnym do noszonego przez parsa.

Zdając sobie sprawę z nieuchronności konsekwencji za zabójstwo pirata, Hormazd zeszywniał i kiwnął głową.

— Proszę, pomóżcie — powiedział.

— O nie, nie liczcie na mnie — obruszył się pewien szkocki jeńiec. — Nie zaryzykuję skóry z powodu zachcianki jakiegoś pogańskiego bałwochwalcę wznoszącego modły do ognia! Typ, który

nawet zapalić nie chce, do tego z tą szmatą hinduską na głowie!

Hormazd zrobił krok w stronę Szkota. Angielski jeńiec stanął między nimi.

— Chcesz się z nim bić? — zapytał szkockiego żeglarza. Ten się zawahał. — Człowiek, którego widzisz, nie jest ani hindusem, ani muzułmaninem — ciągnął Anglik — ale parsem, wyznawcą Zaratustry i sprzymierzeńcem brytyjskich władz w Indiach. Okazuje mu szacunek, przyjacielu, a pomożemy sobie wzajemnie.

Zepchnąwszy ciało zamordowanego pirata do wody, Hormazd i europejscy jeńcy, nie ściągając na siebie uwagi, wyposażyli się w niewielki arsenał broni z magazynu na lorce, po czym wśliznęli się na otwartą łódź ratunkową. Nie minęło wiele czasu, a zostali wypatrzeni przez piracką czujkę na lorce i zaczęto strzelać do nich z kartaczy. Leżąc w łodzi, Hormazd zastrzelił ponad połowę z dwudziestu piratów na pokładzie.

Nalegał, żeby wrócili i weszli na pokład lorki.

— To szaleństwo! Mamy wolną drogę ucieczki! — zaprotestował Szkot w łodzi ratunkowej. — Amunicja prawie się skończyła.

— Mamy jej dość — powiedział beznamyślnie Hormazd. — W dawnych czasach mój lud wygnano z jego ziemi. W walce obcinamy wrogom głowy. Pars nigdy nie ucieka, nawet gdyby rzucono w niego młyńskim kamieniem.

Potem oświadczył, że tych kilku piratów, których nie zabił, gdyż znajdowali się pod pokładem, odpowiada za masakrę jego rodziny i towarzyszy ze statku, i on, Hormazd, nie pozwoli, by uszło im to na sucho. Sam wspiął się po sieci zwisającej z burty lorki. Po kwadransie powrócił, niosąc w rękach piracką głowę. Na brzegu nabił ją na drąg i ustawił twarzą do wody jako znak dla Ah'linga.



Gdy już przywiązał na każdej rei pirackiego trupa, stanął z Anglikiem przy sterze i lorka odpłynęła.

Gdy dotarli do Kantonu, najwyższy rangą mandaryn pogratulował im unicestwienia jednej z najgorszych załóg pirackich terroryzujących niewinnych rybaków i kupców. Obsypał ich darami: trunkami, klejnotami i srebrem. Gdy szli ulicami Kantonu do dzielnicy angielskiej, jakiś złodziej spróbował odebrać łupy Hormazdowi, uderzając go w głowę stalowym prętem. Zaatakowany ani drgnął, nawet się nie odwrócił. Chwycił pręt i rzucił napastnika na ziemię, łamiąc mu ramię w dwóch miejscach.

Widziało to wielu miejscowych, którzy później rozpowiadali o całym zdarzeniu, i od tamtego dnia rozeszła się fama o straszliwej postaci z cudzoziemskich krajów, którą nazwano Żelazną Głową.

Uciekający co sił w nogach złodziej porzucił torbę wypełnioną bogactwami zrabowanymi innym ofiarom. Był wśród nich bożek z czystego złota, głowa Kylina z onyksami w miejscu oczu. Kylina, mitycznego jednorogiego stwora, uważano za przynoszącego szczęście, a na złych ludzi ściągającego ogień i zniszczenie. Stwór ten, gdy chodził po lądzie, nie zostawiał śladów, a gdy sunął po wodzie, jej powierzchni nie znaczyła żadna zmarszczka. Wtedy jeszcze Hormazd nic o tym nie wiedział, jednak bożek pociągał go w jakiś magiczny sposób, przypominający współczucie, jakie może poczuć zwykły człowiek na widok zagłodzonego psa. W dzielnicy angielskiej zapłacił za osadzenie głowy Kylina na lasce i miał ją przy sobie, gdy z Kantonu płynął do Londynu.

Zasobny w nowo zdobyte bogactwa i obdarzony wielką siłą fizyczną Hormazd zaczął, jak mówiono, budować własny Londyn, opierając przedsięwzięcie na przemyśle opium. Statki przywoziły narkotyki z Indii, omijając oficjalne szlaki kolonialnego rządu, dokładnie kontrolowane przez Anglików, następnie szmuglowały

go do angielskich i amerykańskich portów, nie obciążane taryfami, inspekcjami czy koniecznością fałszowania kwitów. Lecz zdarzyło się, że Anglik przebywający z Hormazdem w niewoli u piratów, ten, który pomógł mu w ucieczce, niechcący poznał pewne jego handlowe sekrety.

— Kim był ten Anglik? — niecierpliwie przerwał opowiadającemu Osgood.

— Syn Hana — powiedział Jahi. — Młody człowiek, Edward Trood.

— Jak to: syn Hana? — zapytał Tom.

Jahi wyjaśnił, że Edward Trood był bystrym, choć pełnym rezerwy młodzieńcem, który podczas swych podróży tak doskonale poznał tajniki języka chińskiego, że piraci trzymali go przy życiu, by służył im jako tłumacz. Miejscowi nazywali go synem Hana, jakby był Chińczykiem, gdyż rząd tego kraju zabronił nauczania języka chińskiego cudzoziemców, pragnąc kontrolować kontakty ludności z Europejczykami, by ukrócić sprzedaż opium własnym obywatelom.

W Londynie, dokąd powrócił także Eddie, Herman wnet odkrył, że młodzieniec wie sporo o jego poczynaniach. Herman i Imam, turecki handlarz opium, także członek światowej szajki, dotarł do wuja Eddiego, drobnego handlarza opium w Londynie, który szybko i tchórzliwie wydał swego bratanka. Eddie nie miał szans, jak powiedział Jahi z ponurym chichotem, bo zdenerwował Hermana Żelazną Głowę.

Palacze opium szeptem przekazywali wieść o zbrodni handlarzom, a ci powtarzali ją kupcom. Plotka głosiła, że ciało młodzieńca zostało zamurwane w ścianie domu jego wuja, a gdy opowieść ta dotarła do Jahiego i jego koleżków po fachu, nikt już więcej nie próbował węszyć wokół Hermana.

Jahi urwał opowieść, nie dokończywszy myśli. Odchylił głowę do tyłu i spojrzał w mrok tunelu.

— Co jest, Jahi? — zapytał Osgood.

Chińczyk zadrżał. W tunelu coś skrzypnęło, a potem rozległa się seria głośnych uderzeń.

Z przerażoną miną Jahi rzucił się biegiem ku schodom.

— Herman! Herman tutaj! — krzyczał.

— Nie — powiedział Tom. — To tylko pękła rura wodna. Nikogo tu nie ma, Jahi!

Ten już wbiegał po stromych, krętych schodach, w szalonym pędzie. Tom, a zaraz i Osgood, biegli za nim, błagając, by zwolnił. Handlarz wykrzykiwał coś o Hermanie Żelaznej Głowie, przybyłym, by ich wszystkich pozabijać.

— Jahi, zatrzymaj się! — krzyknął Tom.

Zardzewiała część poręczy złamała się i spadła dwadzieścia stóp na dół, na dno tunelu. Chińczyk pośliznął się i trzymając się koniuszkami palców, zawisł na ułamanej poręczy.

Tom krzyknął, by Jahi się nie ruszał. Wciągnął go w bezpieczne miejsce. Wtedy ten zwiotczał i padł nieruchomy w ramiona swego wybawcy.

— Nic mu nie jest? — zapytał Osgood. Po dotarciu na miejsce stanął i dyszał, trzymając się pod boki.

— Zemdlął — odrzekł Tom. — Proszę pomóc mi go położyć.

Wynieśli Jahiego na następny poziom — cały się trząsał i mamrotał coś w kantońskim dialekcie.

Usiedli i czekali, aż Chińczyk oprzytomnieje.

— Herman o mało go nie wykończył — zauważył Osgood, łapiąc oddech — a nawet go tu nie było. Z czym przychodzi nam się zmagać, Branagan?

Po umieszczeniu Jahiego w wynajętej dorożce Osgood pospieszył do hotelu na Piccadilly, a Tom udał się prosto na posterunek. Potem Irlandczyk wrócił do hotelu, gdzie Osgood dzielił się najnowszymi wiadomościami z Rebeką, i pokazał im telegram. Nadzedł z Gadshill i składał się tylko z pięciu słów:

„Konstabl Tom Branagan. Tak. Nie”.

— Nadal nie potrafi zwracać się do mnie po prostu per Tom — zauważył, kręcąc głową. — To od Henry'ego Scotta z Rochester.

— O co tu chodzi? — zdziwił się Osgood.

— Jeśli nie myli się pan, uważając, że to Herman napadł na Daniela w Bostonie — zaczął tłumaczyć Irlandczyk — a potem razem z wami wypłynął w rejs „Samarią”, to niech pan tylko pomyśli: po cóż miałby śledzić amerykańskiego wydawcę, skoro chodziło mu o zdobycie informacji o angielskiej powieści? Podejrzywałem, że gdy Herman próbował wydobyć od pana, a przedtem od Daniela, coś na temat *Tajemnicy Edwina Drooda*, zapewne wyczerpał już inne możliwości na miejscu, w Anglii. No i znalazłem potwierdzenie mojego podejrzenia. Niech pan sam zobaczy.

Rozłożył na stole przed Osgoodem plik raportów zabranych z posterunku londyńskiej policji. Osgood przejrzał je.

— Włamanie w firmie Chapman and Hall, angielskich wydawców Dickensa. Podobny przypadek w drukarni Clowesa. Oba zdarzyły się w tygodniu, w którym wypadła 9 czerwca, dzień śmierci Dickensa. Wygląda na to, że ani w jednym, ani w drugim miejscu niczego nie skradziono.

— Nic nie zginęło — powiedział Tom — gdyż tego, czego szukał Herman, czyli informacji na temat zakończenia powieści Dickensa, po prostu tam nie było. A że niczego nie zabrano, policja szybko umorzyła śledztwo w sprawie tych włamań. Dlatego wysłałem telegram Henry'emu Scottowi z prośbą o natychmiastową odpowiedź na dwa pytania: Czy włamano się do Gadshill po śmierci Wodza? I czy coś zabrano? Ma pan odpowiedzi: tak i nie.

— Dlaczego w takim razie Herman miałby śledzić mnie? — zdziwił się Osgood.

— Tego nie wiemy, panie Osgood. Ale według mnie on rzeczywiście mógł pana chronić w tej melinie palaczy opium — stwierdził Tom. — Ci jegomości prawdopodobnie tylko chcieli pana obrabować, gdyż cudzoziemiec w drogim ubraniu to łakomy kąsek. Herman potrzebował pana, byś kontynuował poszukiwania, chciał mieć pana żywego i w wystarczająco dobrej formie, by pan nie zrezygnował. Nawet zostawił pana w pobliżu studzienki ściekowej, gdyż wiedział, że zawsze zachodzą tam przeszukiwacze kanałów.

— Myśli, że ja wiem, jak znaleźć zakończenie! — powiedział Osgood. — A jeśli to wszystko prawda, to jest coś jeszcze gorszego... — usiadł, by przemyśleć ten wątek, i obiema rękami objął głowę.

— Co takiego? — zapytała Rebeka.

— Nie widzi pani, panno Sand? Ten pars, w sztuce zastraszania i mordowania wyszkolony przez najgorszych piratów na świecie, gołymi rękami rozdziera Anglię na kawałki, byle tylko znaleźć jakąś informację o *Droodzie*. I nie chodziłby za mną, gdyby odniósł choćby częściowy sukces. A co jeśli... — Osgood urwał, ale zaraz znalazł dość odwagi, by kontynuować: — A jeśli to oznacza, że tak naprawdę nie ma nic do znalezienia?

— Może po prostu szukamy w niewłaściwych miejscach — próbowała podtrzymać go na duchu Rebeka.

— Tak — przyznał Tom w przebłysku intuicji, po czym uderzył dłonią w stół. — Tak, panno Sand! Ale nie tylko to. Chodzi nie tylko o niewłaściwe miejsce, ale o niewłaściwą porę.

— Co ma pan na myśli, panie Branagan? — zapytała Rebeka.

— Właśnie sobie przypomniałem. Gdy byliśmy w Ameryce z panem Dickensem, nasza grupa jechała pociągiem na odczyty do

Filadelfii i Wódz zaczął jakoś tak smętnie mówić o Edgarze Poe. Powiedział, że gdy po raz ostatni spotkał się z nim w Filadelfii, rozmawiali o *Kalebie Williamsie*. Kto napisał tę powieść?

— William Godwin — odpowiedział Osgood.

— Dziękuję panu. Pan Dickens przypomniał sobie, jak to powiedział Poemu, że Godwin najpierw napisał końcową część książki, a potem wrócił do początku. A Poe na to, że on także pisał swe opowieści kryminalne od końca. A jeśli pan Dickens, pisząc swą wielką opowieść kryminalną, także nie zaczął od początku?

Osgood, unosząc głowę, odchylił się na krześle i rozważał to w milczeniu.

— Gdy pan Dickens zasnął w Gadshill — powiedział zamyślony — tego właśnie popołudnia dotarł dokładnie do końca pierwszej połowy książki. Było tak, jakby jego ciało poddało się, wiedząc, że praca jest zakończona, choć myśmy tego nie zrozumieli.

Tom skinął głową i rzekł:

— A co jeśli najpierw napisał drugą część *Tajemnicy Edwina Drooda*, a potem, po powrocie, pierwszą?

— A co jeśli pisał tę powieść od końca? Jeśli najpierw napisał zakończenie? — zapytał retorycznie Osgood.

— A jednak nasze wysiłki — przerwała Rebeka — nie naprowadziły nas na trop tego, gdzie może być ukryta reszta książki, jeśli naprawdę ją napisał.

— Być może próbował zostawić komuś jakąś wskazówkę, powiedzieć, zanim zmarł, gdzie tekst się znajduje — zastanawiał się na głos Tom.

— Ostatnie słowa Dickensa — zapalił się Osgood. — Wzywał go!

— Kogo wzywał? — zapytała Rebeka.

— Henry Scott nam powiedział, pamięta pani? Ostatnie słowo Dickensa usłyszane przez służących brzmiało: „Forster”! Dickens miał coś do przekazania swemu biografowi!

Ale ku ich wielkiemu rozczarowaniu John Forster, którego Osgood i Tom zastali w jego gabinecie w lokalu Komitetu do spraw Osób Psychiczenie Chorych w Whitehall, pokręcił głową z przygnębioną miną. Bombardowany przez nich pytaniami, przewracał swymi wielkimi, wiejącymi chłodem, czarnymi oczami. Wyjął złoty zegarek, palcami przetarł tarczę, wstrząsnął nim niczym butelką i zachnął się, demonstracyjnie okazując brak czasu.

— Przyjaciele, jestem bardzo, ale to bardzo zajęty. Popołudnie wypełni mi wizyta Arthura Grunwalda, tego aktora — największego idioty, jakiego spotkałem przez całe moje życie! Życzy sobie, by zmienić całą sztukę o *Droodzie*, już gotową do wystawienia. Naprawdę muszę zająć się dzisiejszymi obowiązkami.

— Jest pan pewien, że pan Dickens nie próbował przekazać panu jeszcze czegoś związanego z *Droodem*, gdy przybył pan do Gadshill? — zapytał Osgood, usiłując powrócić do bardziej palącego tematu.

Forster załamał wyciągnięte ręce.

— Załamuję nad tym ręce.

— Widzę — przyznał Osgood. — Ale musimy to wiedzieć.

— Panie Osgood — ciągnął Forster — gdy przybyłem na miejsce, pan Dickens był nieprzytomny. Jeśli nawet coś mówił, to na pewno nic zrozumiałego dla ludzkich uszu.

— Jak we śnie — dodał zadumany Tom.

Dwaj pozostali spojrzeli na niego pytająco.

— Kiedyś Wódz opowiedział mi o śnie, który niegdyś mu się przyśnił — wyjaśnił Tom. — We śnie dostał do rąk gęsto zapisany

rękopis i powiedziano mu, że tekst ów uratuje mu życie, ale gdy nań spojrział, nie mógł odczytać ani słowa.

— Nigdy nie opowiedział mi o podobnym śnie... Dlaczego akurat pan tak bardzo interesuje się jego przedśmiertnymi majaceniami, panie Branagan? — zapytał Forster.

— Panie Forster, jeśli pan pozwoli — zaczął Tom. — Jak pan sądzi, czemu pan Dickens w agonii wypowiadał pańskie imię?

— Czemu on... Cóż za pytanie, to niesłychane! — warknął biograf pisarza. Jął mówić o łączącej go z pisarzem przez całe życie przyjaźni i ich niepodważalnej bliskości. — To wszystko — kontynuował Forster — zapewne przypomniało mu się, gdy ścisnął w dłoni to — Forster uniósł gęsie pióro, które przywiózł z Gadshill. — Myślę, że zechce je pan teraz przejąć.

— Ja? — zapytał Osgood, zaskoczony propozycją.

Forster skinął głową.

— Ach, nic nie mówiłem? Pewnie mi to umknęło. Widzi pan, panna Hogarth została zobowiązana do rozdania drobiazgów z biurka pana Dickensa. Postanowiła podarować to pióro — na którym zasechł atrament, gdy napisał ostatnie w życiu słowa — właśnie panu.

— Ale dlaczego? — zdziwił się Osgood.

— Zapytałem o to samo! Wydaje się podziwiać pański... jak by to nazwać? Pański hart ducha w poszukiwaniach, choćby nie wiem jak bezsensownych, dalszych szczegółów dotyczących *Drooda*. Myślałem, że być może opuści pan Anglię, zanim zdołamy się z panem skontaktować, ale skoro już pan tu jest... — Niechętnie podał mu pióro.

Osgood przyjął podarunek.

— Dziękuję — zwrócił się bardziej do nieobecnej Georgy niż do Forstera. — Przechowam je jak skarb.



— Jeszcze jedno pytanie, bardzo proszę, panie Forster — wtrącił się Tom. — Kiedy założył pan nowe rygle na drzwiach?

— Co takiego? — zdziwił się zapytany, po raz pierwszy od przybycia Osgooda do Anglii mówiąc cichym głosem. — Skąd pan wie, że one... dlaczego uważa pan, że są nowe?

— Pan Branagan jest konstabłem policji, panie Forster — odpowiedział za Toma Osgood. — Założę się, że w swej pracy widuje dość zamków, by umieć rozróżnić je na pierwszy rzut oka.

— No cóż, pewnie wielceś pan z tego dumny. Stało się to kilka dni po śmierci pana Dickensa — relacjonował Forster. — Przyszędłem tu i ujrzałem, że ktoś był w środku i przerzucał dokumenty związane ze zmarłym. Musicie panowie wiedzieć, że wszystkie leżały w jednym miejscu, jako że utrzymuję porządek w moich rzeczach.

— Czy coś zabrano? — zapytał Tom.

— Nie. Prawdopodobnie łotr szukał czegoś, co mógłby sprzedać, żeby zarobić na trunek. Ale jeden dokument wzbudził w nim szczególne zainteresowanie, sądząc po stanie, w jakim go zostawił. Właściwie to należał do pana — Forster zwrócił się do Osgooda.

— Co pan chce przez to powiedzieć, panie Forster? — zapytał wydawca.

— Chodzi o telegram z pańskiego wydawnictwa, z prośbą, by wam natychmiast przesłać do Bostonu pozostałe strony *Tajemnicy Edwina Drooda*.

Wyjął ze skoroszytu wymięty telegram. „Pilne. Natychmiast przysłać do Bostonu całość *Drooda*, wszystko, co macie”.

— Stosuję specjalny system do porządkowania dokumentów dotyczących Dickensa — kontynuował Forster. — Ten został odłożony z powrotem, ale na niewłaściwe miejsce.

Osgood i Tom ukradkiem wymienili spojrzenia.

— To opierając się na tekście tego telegramu, Herman musiał wpaść na pomysł, by przede wszystkim wyruszyć do Bostonu — zauważył wydawca. — Wierzył, że Forster mógł wysłać nam to, czego nie mógł znaleźć tutaj.

— Cóż to za szept! — zawołał gospodarz. — O czym to panowie mówicie?

— Przepraszam, panie Forster — odrzekł Osgood. — Mówiłem do siebie. Fatalny nawyk.

— Paskudny — poprawił tamten.

— Panie Forster, jak pan sądzi, czy oprócz pana i panny Hogarth istnieje jeszcze ktoś, komu Dickens mógł zwierzyć się w zaufaniu w ostatnich miesiącach życia?

Tego pytania zdecydowanie nie należało zadawać, chyba że chciano się sprowokować biografa Dickensa do zwykle wypowiedzianej przez niego w takich wypadkach litanii przekleństw i lamentów na temat braku zrozumienia u świata wyjątkowej bliskości Forstera i Dickensa. Wyciągnął nawet testament pisarza i wskazał na jedną z klauzul.

— Widzi pan, co tu jest o mnie napisane, panie Branagan? — zapytał. — Może potrzebuje pan okularów, sir, gdyż tu stoi tak: „Mój drogi i zaufany przyjaciel”. To właśnie tu przekazuje mi swój zegarek, który niezmiennie przypomina mi o całej tej pracy, jakiej trzeba jeszcze dokonać na tym świecie, by stał się godzien takiego człowieka jak Charles Dickens! Tyle że na tym przeklętym czasomierzu nigdy się nie połapię, która godzina!

Osgood zdawał się nie zwracać uwagi na monolog Forstera. Wzrok wydawcy spoczął na testamencie.

— Zastanawiam się, panie Forster — powiedział chłodno — czy mógłby pan na chwilę zostawić mnie i pana Branagana samych?

Twarz członka komitetu załżała się purpurą.

— Mam wyjść z własnego gabinetu? Niesłychane!  
— Tylko na chwilę, jeśliś pan łaskaw. To bardzo ważne — należał Amerykanin. — Potem już zostawimy pana w spokoju.

Forster w końcu zgodził się, najwyraźniej w nadziei pozbycia się gości. Osgood wyciągnął dłoń po testament Dickensa. Ale przed wyjściem Forster odwrócił się i schował dokument do kieszeni.

Amerykanin uniósł wzrok na Toma i oznajmił:

— W tej sprawie nie możemy mu w pełni ufać.  
— O co chodzi?  
— O testament, mam jego kopię od cioci Georgy — Osgood wyjął dokument z kieszeni płaszcza. — Że też to nigdy nie przyszło mi do głowy! Widzi pan, panna Hogarth poprosiła mnie o przeczytanie dokumentu razem z nią. W ostatniej woli pisarz przekazuje Forsterowi „te rękopisy moich opublikowanych dzieł, które będą znajdować się w moim posiadaniu w momencie mej śmierci”. Ale wszystko, co w chwili śmierci Dickensa jest nadal nieopublikowane, ma przejść w ręce Georginy Hogarth. Jeśli ostatnie sześć odcinków powieści rzeczywiście istnieje, to na mocy testamentu Dickensa po jego śmierci stałyby się jej własnością.

— Piecza na całością dzieł Dickensa to jedyna na świecie rzecz, której pan Forster nie zrzekłby się za nic — zauważył Tom. — Sądzi pan, że on coś jeszcze przed nami ukrywa?

Forster zaczął energicznie dobijać się do gabinetu i oznajmił, że pozostało im dokładnie pół minuty. Osgood zasunął świeżo założone rygle, wywołując jeszcze gwałtowniejszą, głośniejszą reakcję.

— Niekoniecznie ukrywa — powiedział do Toma, ścisząc głos — ale jeśli wie coś więcej o zakończeniu powieści lub o kimś, komu Dickens mógł się zwierzyć, nie powie nam. Zwłaszcza gdyby

oznaczało to ujawnienie, że Dickens w swej ostatniej woli zaufał komuś bardziej niż jemu.

— Obsługa! Wezwać policję! — wrzeszczał Forster.

Osgood skrzywił się i odsunął rygle.

Forster, rozwścieczony, mrużąc oczy spojrzął na Amerykanina i pochylił się ku niemu.

— A teraz powie mi pan, panie Osgood, czy rzeczywiście wyobrażasz sobie, że pan, drugorzędny wydawca, i ta pańska mała buchalterka zdołacie dowiedzieć się więcej o *Droodzie* niż ja? Czy rzeczywiście sądził pan, że moglibyście dokonać czegoś podobnego? A zresztą, o co właściwie wam chodziło? By zrobić krótkotrwałą furorę? By wzbogacić się jak Żyd? Chyba już nie zajmuje się pan tym bzdurnym śledztwem?

— Będę je kontynuował, sir — oznajmił bez wahania Osgood.

— Zapamiętałem słowa pana Dickensa. Nie pozostało nic poza zwarciem szeregów, maszerowaniem do przodu i walką do końca.

— A więc nie słyszał pan? — zapytał Forster.

— O co panu chodzi? — zapytał Tom.

— Ano o to — odrzekł Forster. Wyjął z kieszeni zmięty skrawek papieru. — Niech pan sobie sam przeczyta.

Osgood wziął kartkę i przyjrzał się jej.

„8 czerwca 1870 roku. Najdroższy Przyjacielu, niestety moja choroba nasila się z każdym dniem i obawiam się, że nie dotrwam dalej niż do końca szóstego odcinka *Drooda*. A takie miałem nadzieje na wyjątkowy finał, nie muszę Ci mówić! Czy to naprawdę będzie moja ostatnia książka? Wydaje mi się, że byłaby najlepsza ze wszystkich, gdybym tylko miał czas ją ukończyć”.

Tekst był podpisany: Charles Dickens.

— To dzień, w którym zasnął. Skąd to się wzięło? — zapytał Osgood. — Dlaczego nigdy mi pan tego nie pokazał?

— Otrzymałem list zaledwie wczoraj — wyjaśnił Forster. — Znalaziono go w domu aukcyjnym Christie, w pudełku z farbami do malowania obrazów. Nierozważnie włożyli go tam robotnicy z domu aukcyjnego. Najwyraźniej Dickens nie zdążył tego wysłać, nim zasnął.

— To niemożliwe — powiedział do siebie Osgood, ku wyraźnej satysfakcji Forstera.

— Brak adresata — zauważył Tom.

— Kto jeszcze mógłby nim być? — z dumą zapytał Forster. — „Najdroższy przyjacielu”. Jak sądzicie, kto to mógł być poza mną? Jeszcze nie opublikowaliśmy tej notatki, ale uczynimy to. Przykro mi, że nie została odkryta wcześniej, zaoszczędziłoby to panu, panie Sand i panu Branaganowi cennego czasu, straconego na pogoń za ułudą. A teraz — oznajmił, obleśnie mlaszcząc — czy mogę odzyskać własny gabinet?

Osgood oddał mu list.

— Oczywiście, panie Forster.

— Spójrzcie na to wszystko tak — zasugerował Forster. — Nie wyjeżdża pan z pustymi rękami, panie Osgood. Ma pan ostatnie pióro Dickensa. A ilu mogłoby się pochwalić równie rzadką pamiątką?

Piętnaście minut później Osgood i Tom znaleźli się z powrotem w pokojach hotelu przy Piccadilly. Osgood już pakował swoje rzeczy do kufra. Tom robił, co mógł, by przekonać wydawcę do kontynuowania poszukiwań.

— Panie Osgood — powiedział — nie może pan teraz zrezygnować. Pozostało jeszcze zbyt wiele do wyjaśnienia. Wciąż może zagrazać panu niebezpieczeństwo ze strony Hermana!

— Nie mamy wyboru! — odrzekł Osgood, na wpół zrezygnowany, a na wpół wciąż z oporami. — Gdy Forster opublikuje ten list, Herman tak czy owak zostawi nas w spokoju. Upewni się, że

nie ma powodu do obaw, tak jak my nie mamy powodu, by żywić nadzieję.

— Może Wódz chciał wprowadzić pana Forstera w błąd.

Wiedział, że ten będzie dowolnie manipulował zakończeniem powieści — upierał się Tom.

Osgood pokręcił głową.

— Nie sądzę. Nasze poszukiwania były całkowicie bezsensowne, tak jak Forster przestrzegał nas od samego początku. Nic nie zginęło, w spadku po Dickensie nie kryje się żadna tajemnica, nie ma nic, co mogłoby wybawić nas z kłopotów. Dalszy ciąg powieści nie istnieje, umarł wraz z autorem. Popelnilem błąd. Mnie, Jamesa Osgooda, poniosło z powodu złej decyzji i teraz będę musiał przyznać się do błędu! Chciałem, wręcz pragnąłem uwierzyć, że mężczyzna, który sam nazwał się Datcherym, może pomóc. Z powodu mojego uporu, z powodu tego, że chciałem, by było coś do znalezienia, tylko marnowałem czas i dałem fory piratom książkowym, którzy już przygotowują swoje wydania w Ameryce — tu zwrócił się do pracownicy:

— Panno Sand, proszę poczynić przygotowania do naszego natychmiastowego powrotu do Bostonu i wysłać telegram z informacją do biura pana Fieldsa.

— Tak, panie Osgood — odrzekła posłusznie Rebeka, z każdą chwilą bliższa powrotu do normalności i rutyny codziennego życia w Bostonie.

Osgood patrzył na dwójkę swych towarzyszy, na Rebekę przygotowującą tekst telegramu i na Toma wciąż usiłującego go przekonać. Wiedział, że należało wycofać się i wrócić do domu, że to decyzja racjonalna i odpowiedzialna — w istocie jedyna możliwa, jaką on, James Ripley Osgood, mógł podjąć, chyba że wola niebios byłaby inna.

— I tak jest za późno, by można było cokolwiek zrobić dla naszej firmy — oznajmił. — Harperowie wnet będą w stanie opublikować całość istniejącego *Edwina Drooda*. Musimy uporać się ze stratą i działać dalej. Konkurenci natychmiast zauważą naszą słabość.

Tom stanął przed Osgoodem i wyciągnął dłoń.

— Panie Osgood, daję panu moją rękę i moje słowo, że jeśli zechcesz pan dalej prowadzić śledztwo, masz moje wsparcie.

Osgood, lekko się uśmiechając, ujął rękę Toma w obie dłonie, tak jak zrobił Jack Rogers podczas ich pierwszego spotkania w domku letnim w Gadshill, ale pokręcił głową w ostatecznej odmowie.

— Dziękuję panu za wszystko, Tomie. Niech Bóg pana prowadzi.

— Życzę powodzenia, panie Osgood — powiedział Irlandczyk, wzdychając. — Żałuję tylko, że pańska misja tak się zakończyła. Pan Dickens i pan, panie Osgood, zasłużyliście na więcej.

— Zdobycie pańskiej przyjaźni warte było tego całego zachodu — odrzekł Amerykanin.

NOWY JORK, 16 LIPCA 1870 ROKU

**P**odczas gdy Osgood kończył załatwiać swoje sprawy w Londynie i przygotowywał się do podróży, jego nazwisko padło w rozmowie toczącej się wewnątrz jednego z luksusowych powozów wśród isticie piekielnego zgiełku nowojorskiego Broadwayu. W oknie pojazdu mignął cylinder i bujne bokobrody szpakowatego mężczyzny, wyraźnie poirytowanego wzmożonym ruchem ulicznym.

— No to powiedz mi, gdzie u diabła podziewa się ten idiota? — ryknął Fletcher Harper, cofając się w głąb powozu i zdejmując z głowy wysoki, czarny kapelusz zasłaniający kręcone, brązowe włosy, gdy para ciągnących powóz koni irytująco przystanęła za omnibusem.

— Nie mam pojęcia, wuju — odrzekł drugi pasażer. — Ale ojciec mu ufał.

— Ach! Tyle to i ja wiem — odrzekł Major swym zwykłym, zgorzkniałym tonem. — To wielki błąd, Philipie. Skręć w prawo, trzeba wyrwać się z tego galimatiasu! — krzyknął do woźnicy i wystawiwszy głowę przez okno, ponownie na chwilę włożył kapelusz.

— Jak to? — zapytał siedzący obok Philip Harper, syn jego zmarłego brata Jamesa, a obecnie dyrektor działu finansów, gdy jego wuj z powrotem schował głowę do wnętrza powozu.

— Dajże spokój! Żeby zaufać komuś nienoszącemu nazwiska Harper. Wnet sam się przekonasz, że tak nie należy czynić. Twój



ojciec zawsze zbyt wierzzył w możliwości policji Harpera, miała jakoby rozwiązać nasze kłopoty. I tak oto znaleźliśmy się w tej sytuacji, a Jack Rogers przestał się z nami kontaktować. Całkiem możliwe, że lotr przeszedł na drugą stronę, dał się przekupić lepszą ofertą innego wydawcy. Jeśli poznał w Anglii jakieś tajemnice Dickensa, oby nie próbował wykorzystać ich przeciwko nam, choćby przy pomocy Osgooda, z nadzieją na większy zysk.

Po wjeździe na teren pilnie strzeżonych pomieszczeń firmy przy Franklin Square można było stwierdzić, że rada Majora, by polegać jedynie na osobnikach noszących nazwisko Harper, wyraźnie znalazła w tym miejscu oddźwięk. Pracowało tu wielu Fletcherów, Josephów, Johnów, przybyły właśnie, pełen entuzjazmu Philip, a także jeden Abner, synowie braci założycieli, pełniący rozmaite funkcje w procesie kierowania czasopismami i produkcją, oraz pokolenie ich wnuków, zaczynających karierę od posady chłopca na posyłki.

Instytucja przy Franklin Square stała się dla nich Harvardem i Yale.

— Gdy mój płomień przygaśnie — wygłaszał Major każdemu z nich rodzaj przyjacielskiej mowy wprowadzającej — niech odpowiednie ręce poniosą dalej niegasnącą nigdy pochodnię! — Słowa te stanowiły wolne tłumaczenie łacińskiego motta wydawnictwa, zamieszczonego na insygniach przedstawiających płonąca pochodnię.

Drżący kancelista zawiadomił Majora, jako że to on nadjechał, że umówieni goście czekają w sali działu rachunkowości.

— Oni... chyba się niecierpliwia, panie Majorze — wydukał pracownik.

— A niech czekają, to tylko zaostrzy im apetyt na moje złoto. A pan Leypoldt? — zapytał Major.

— Przysłał wiadomość, że przybędzie o trzeciej — odrzekł urzędnik. — Iw pańskim gabinecie czeka pan Nast z nowym rysunkiem Tweeda.

— Doskonale! — ucieszył się Major.

— To pan Leypoldt z czasopisma, wuju? — zapytał Philip.

— Tak, i wlejemy w niego tyle butelek szampana, ile potrzeba, by przekonać go do zamieszczania na swych szpaltach hymnów pochwalnych na cześć Harper and Brothers. Najpierw jednak mamy inną sprawę do załatwienia. Bardziej ryzykowną.

— Mam odejść? — zapytał Philip Harper, okazując dyskrecję.

— Nawet o tym nie myśl! Musisz nauczyć się wszystkiego, co wiąże się z naszym zawodem, Philipie, jak przystoi odpowiedzialnemu Fletcherowi juniorowi — odrzekł Major, ujmując bratanka za ramię i ciągnąc go za sobą. — I jeszcze spójrz w górę, widzisz naszego przyjaciela?

Philip podążył za wzrokiem Majora ku popiersiu ustawionemu nad wejściem do głównych pomieszczeń biura.

— To Benjamin Franklin, prawda, wuju? — zapytał, patrząc na wyrażającą krytycyzm figurę.

— Zgadza się. I był nie tylko jednym z genialnych ojców naszego narodu, lecz także drukarzem i wydawcą. Właśnie w tym zawodzie wykorzystał swą pracowitość i zapobiegliwość. Widzisz, on wiedział, że aby stworzyć duszę Ameryki, należy kontrolować prasę. Podstawą naszej firmy jest charakter, nie kapitał, podobnie jak było to w jego przypadku. Nie zapominaj o tym, a naprawdę staniesz się częścią Harper and Brothers.

W ogromnym, pozbawionym drzwi biurze na górnym piętrze starszy z Harperów poprowadził bratanka do kwadratowej, wydzielonej poręczą części. Pod ścianą ustawiono w półkołu kanapy i krzesła przeznaczone dla autorów i co wybitniejszych gości wydawnictwa, ale tego dnia zajęły je osoby innej kategorii. W różnych

pozach — jedne wyrażały swobodę, inne wyjątkowe ożywienie — rozsiadła się czwórka najbardziej uderzających i najbardziej do siebie nawzajem niepodobnych postaci, jakie kiedykolwiek widziało razem w jakimkolwiek wydawnictwie.

Philip stanął jak wryty i uśmiechnął się niepewnie, całkiem zagubiony.

— Ależ wuju! Czy to są...

— Piraci książkowi! — dokończył Major szeptem. — I to najlepszy z najlepszych, tym razem zebrani w jednym miejscu.

Był tam gładki, czekoladowoskóry Dziedzic w modnych jedwabiach, welwetach i wysokich butach, dziwaczne połączenie aktora i robotnika, balansujący leżącą na kolanach laską; Melasa z wielobarwnym zarostem wokół szczęk i podbródka oraz brudnym fularzem pod szyją; jedyna kobieta w tej grupie, Kotka, znana także pod innymi tajemniczymi pseudonimami, niestarzejąca się, pozbawiona wieku — niebieskie oczy równie dobrze mogły oglądać dwadzieścia, jak i czterdzieści wiosen, zależnie od kąta, pod jakim padało na nie światło; obok niej, ciężko oddychając, siedział wysoki na siedem stóp mężczyzna zwany Dziecięciem — kiedyś cyrkowy olbrzym — gigantycznymi zębami żujący kawałek tytoniu.

— Wujku Fletcherze — odezwał się nowicjusz — toż to szumowiny!

— No cóż! — odrzekł Major, uśmiechając się, szczerze rozbawiony reakcją niedoświadczonego bratanka. — Nie mając kontaktu z Jackiem Rogersem, wręcz niemożliwością jest wywęsenie, co knuje James Osgood, a także co on i Fields szykują w związku z ostatnią książką Dickensa. Jesteśmy dobrymi metodystami, chłopcze, ale nie możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, co będzie. Musimy się uzbroić, nie dać się pokonać naszym rywalom, Philipie. Ci ludzie — szumowiny, jak ich nazywasz — mogliby być

zwykłymi czytelnikami, pisarzami, wydawcami, jednak zdecydowali się zostać ich cieniami i jako tacy mogą być tam, gdzie my nie mamy dostępu. Nauczysz się, że nie można polegać na domowym kocie, gdy potrzebne są umiejętności bengalskiego tygrysa.

Gdy pozdrowili czekającą na nich zbieraninę, Major, nim zaczął mówić, dokładnie przyjrzał się każdemu z osobna.

— Mam nadzieję, że smakowały wam napoje i jedzenie, które poleciłem przygotować naszej pracownicy. — Taca była już pusta.

— Mnie nic się nie dostało — poskarżył się Melasa.

— Przykro mi — Kotka, wachlując się serwetką, zwróciła się do pozostałych — przyszedłam wcześniej, bez śniadania.

Wydawca mówił dalej.

— Chcę naradzić się z wami, przyjaciele, jako że nadszedł czas wielkiego ożywienia w fachu księżkowym.

— Ale dlaczego z całą naszą czwórka? — zdziwił się Dziecię.

— To coś niebywałego! — wykrzyknął Melasa, gładząc się po swej tęczowej brodzie.

— Uspokójcie się! Przekona się pan, panie Melasa, że niczego nie będę ukrywał — zapewnił przyjaźnie Major. — Zdaję sobie sprawę, że ze względu na swój fach jesteście dla siebie nawzajem konkurentami. Jednak Harper and Brothers mają dość zasobów, by nie tracąc czasu na wzajemne wydrapywanie sobie oczu, zapłacić za najnowsze literackie skarby nadchodzące ze Starego Kontynentu.

Dziedzic, czarnoskóry nauczyciel tańca, skłonił się.

— Jeśli chodzi o mnie, zgłaszam aprobatę, łaskawy panie.

Czemu by nie działać wspólnie, džentelmeni? Także do ciebie się zwracam, Koteczko. Tylko jakich nazwisk mamy szukać?

Harper wyrecytował aktualną listę: George Eliot, Bulwer Lytton, Tennyson, Trollope i... Dziedzicu, zdaje się, mówi pan po francusku?

— Nie tylko mówię, Majorze, także tańczę, a nawet marzę w tym języku — odrzekł ciemnoskóry pirat w swej rodzinnej mowie. Melasa przewrócił oczami i — podczas gdy Harper mówił dalej — stracił Dziedzicowi z głowy jego modną czapkę.

— Założę się, że wśród wszystkich znanych panu języków nie ma takiego, którym bym się nie posługiwała — wtrąciła Kotka.

— A więc sprawa wygląda tak — tłumaczył Harper. — Ostatnio w naszym mieście wiele słyhać o nowej sztuce z Paryża, która ponoć ma okazać się rewelacją sezonu i nowojorskie teatry zapłaciłyby nam sowicie, gdybyśmy ją dla nich przetłumaczyli jeszcze zawczasu. Wypatrujcie jej wszyscy, w portach Bostonu, Nowego Jorku, Filadelfii.

Major wyjął z surduta kilka srebrnych monet i położył je na stole.

— Nie trzymają się mnie — oznajmił i w jego niebieskich, głęboko osadzonych oczach pokazał się błysk ekscytacji. — Po jednej dla każdego, na zaostrenie apetytu.

Kotka wstała i z całkowicie obojętną miną schowała monetę za staniak.

— Ile za najważniejszy rękopis, Majorze Harper?

— Słucham, moja droga? — Nie powtórzyła pytania, choć najwyraźniej chciał ją do tego sprowokować; przyjęła pozę baleriny w momencie, gdy nagle cichnie muzyka. — Aha! Nagroda, mój drogi damski Shylocku? Zwykła stawka podwojona, jeśli zdobędziesz dla mnie manuskrypt pisarza numer jeden na liście. Zdrajcy naszej rodzimej gospodarki nie zasypiają gruszek w popiele, z Jamesem Lowellem na czele już domagają się międzynarodowego prawa autorskiego, a jeśli im się powiedzie, boleśnie odczujemy to

na naszej skórze, dysponując tylko tym, co będzie można legalnie wydawać. Weźmy na przykład zmarłego Charlesa Dickensa — ciągnął. — Założyłbym się, że na jednego jego czytelnika w Anglii u nas znajdzie się dziesięciu. Powiem więcej: na każdy rozprowadzony w Anglii egzemplarz jego powieści, u nas wydaje się i sprzedaje dziesięć. Dzięki metodom, które ignoranci nazywają pirackimi, udało nam się udostępnić te książki bardzo wielu czytelnikom w całym kraju, a tym samym wnieść kulturę i wiedzę do domów, w których inaczej nie starczyłoby na nią środków. Może ja nie dożyję tego dnia, ale wy z pewnością, gdy angielską literaturę najwyższych lotów będzie sprzedawało się w Ameryce po dziesięć centów za egzemplarz. Nie wolno wam zapominać, że to my jesteśmy spadkobiercami Benjamina Franklina, prawdziwymi, autentycznymi sługami tej profesji.

Sluchacze pokiwali głowami, raczej obojętnie przyjmując to przesłanie, i zaczęli zbierać się do wyjścia.

Gdy całą grupą wyszli z odgradzonej części pomieszczenia ku prowadzącym na ulicę schodom, siedzący przy biurkach kanceliści i rachmistrze przerwali pracę i gapili się na nich. Zanim Melasa zdążył przejść pod łukiem drzwi, Major ujął go za ramię.

— Nie skończył pan z nami jeszcze? — zapytał Melasa.

— Ty jesteś najlepszy — powiedział tamten poufnym tonem.  
— Mówiąc między nami, najbardziej wytrzymały.

— Skąd pan to wie? — zapytał Melasa.

— Daj spokój, przyjacielu! Ty obserwujesz nas, my obserwujemy ciebie. Mówią, że ostatnia powieść Thackeraya wpadła ci w ręce, zanim dostał ją jego wydawca w Londynie.

Melasa uśmiechnął się łobuzersko na samo wspomnienie.

— A więc tak. Mam dla ciebie specjalną robotę.

— Przecież zażyzył pan sobie, byśmy działali wspólnie.

Major wzruszył ramionami.

— Uprzejmości to uprzejmości, ale biznes to biznes, mój drogi.

— Ma pan coś jeszcze w zanadrzu, prawda, Majorze Harper?

— Nie spuszczaaj oka z Osgooda — odrzekł tamten, rozpinając guzik płaszcza Melasy i wsuwając mu do kieszeni na piersiach dodatkową monetę z dwugłowym orłem.

— Osgooda?

— Chcesz sporo zarobić? Właśnie! No to uważaj na niego. Miej baczenie na Jamesa Ripleya Osgooda. Mówiłem mu, że będę obserwować jego poczynania, ty więc zostaniesz moimi oczami. On ma coś, czego potrzebujemy. Dokładnie nie wiem co. Ani gdzie, ale przeczucie mnie nie myli.

Ten sam Jack Rogers, którego na próżno poszukiwali Harperowie, właśnie w tym momencie znajdował się tylko kilka przecznic od Franklin Square. Niedawno opuścił statek płynący z Liverpoolu, a przed dwoma dniami przybył do Nowego Jorku.

W ubraniu z grubego płótna stał wśród rozwalających się budynków doków w dolnej części wyspy Manhattan. Nie biorąc udziału w codziennych pracach w porcie, zapatrzony w las żagli, dymiące promy i ruchliwe holowniki, różnił się zarówno od zmęczonych dokerów, jak i nędznych portowych szczurów. Miękkie rondo szerokiego kapelusza nisko opadało mu na czoło, przysłaniając twarz; gdy uniósł ją do światła, ktoś obserwujący go zauważyłby plaster na prawym oku oraz gęstą siatkę fałszywych zmarszczek i kurzych łapek.

Takie same zmarszczki nakładał sobie wokół ust i na czole, gdy przebierał się za George'a Washingtona. Gdyby zauważył go któryś z agentów Majora Harpera — nawet jakiś były funkcjonariusz policji Harpera — na pierwszy rzut oka raczej by go nie rozpoznał.

Ale Rogers miał coraz mniej czasu. Bo jak długo zdoła się ukrywać w dawnym przebraniu? A na dodatek wszystkie jego dotychczasowe starania poszły na marne.

Choć Osgood jasno dał mu do zrozumienia, że nie życzy sobie kontaktów z nim, a on sam z kolei miał dość zależności od Harperów i ich pieniędzy, to nie potrafił się zdobyć na rezygnację z prób odkrycia na własną rękę tajemnicy Dickensa. Nie mógł pozwolić, by wstyd, jaki poczuł, wyznając Osgoodowi i Branaganowi swoje motywy i cel, dla których wcielił się w postać Datchery'ego, pozostał jedynym rezultatem jego udziału w tej historii.

Tom postawił sprawę jasno — aresztuje Rogersa, jeśli ten zostanie w Londynie, by dalej prowadzić śledztwo. Ale Jack Rogers wiedział, że w porcie Nowego Jorku dokonywano licznych lukratywnych opiumowych interesów. Wiele z nich prowadzili autentyczni kupcy, pierwotnie zaangażowani w wyposażanie statków płynących po opium do Turcji (jako że Anglicy dysponowali monopolem na lwią część dostaw z Indii), a następnie przewożenie narkotyku do portów w Chinach i na rozrzucone wyspy na Wschodzie. Jednak niewielka część handlarzy przywoziła towar z powrotem do amerykańskich portów i to właśnie oni, jak Rogers podejrzewał, byli jakoś powiązani z opiumowymi zbirami, którzy tamtej nocy na East Endzie omal nie wykończyli jego i Osgooda. Nie zdołał się wszakże wiele dowiedzieć, gdy chodził po nabrzeżu i nawiązywał luźne pogawędki o handlu i o statkach czy grzebał bambusową laską w stertach śmieci (zwierzęce szczątki, stare buty, duże ilości zgniłych jarzyn wyrzucanych z przepływających statków). Czasem zachodził na molo i próbował wraz z drobnymi portowymi złodziejaskami wyłowić coś z dziurawych, porzuconych przy pirsach łódek, w nadziei dowiedzenia się czegoś więcej niż to, że chłopaki klną jak szewcy.



Wyjął chustkę i osuszył mokry nos i łzawiące oczy. Głowa mu pękała. Na niczym już mu nie zależało poza uwolnieniem się od przeszywającego bólu. Potrzebował odrobiny opium. I to nie tej rozwodnionej, zmienionej i rozrzedzonej mikstury. Pragnął czystego, nietkniętego makowego soku.

Choć kamień spadł mu z serca, gdy wyjawiał swą tożsamość Osgoodowi i Tomowi Branaganowi, nie powiedział im całej prawdy. Nie kłamał: Jack Rogers był Jackiem Rogersem. I właśnie w tym tkwił problem. Posługiwanie się oszustwem dla własnej ochrony przychodziło mu łatwo i naturalnie.

Nie było prawdą, jak powiedział Osgoodowi, jakoby od sześciu miesięcy nie brał narkotyków. W istocie w zakładzie w Pensylwanii, dokąd wysłał go Harper, przepisywano mu duże dawki morfiny – pochodnej opium – w ramach „kuracji” z nałogu. Morfina, choć zastąpiła czyste opium, spowodowała u pacjenta nowy stan uzależnienia i brał ją każdego ranka i wieczora.

Przypomniał sobie incydent z czasu wojny secesyjnej, kiedy to pewien generał zatrudniał go do rozmaitych tajnych misji. Widział jak chirurg – po stronie Unii – jechał na koniu i nalewał sobie na dłoń płynną morfinę. Potem wyciągał rękę, a żołnierze ustawiali się w kolejce i zlizywali płyn z jego rękawicy. Tym sposobem chirurg nie musiał nawet zsiadać z konia. Samo wspomnienie tej sceny było obrzydliwe. Rogers nie sądził, by i on mógł kiedykolwiek upaść tak nisko jak ci lizący rękawicę żołnierze, desperacko pragnący jakiegokolwiek ulgi. Dumny wyraz twarzy tamtego medyka napawał go pogardą, ale sam też poczuł się jego ofiarą.

Gdy ludzie dowiadawali się, że jest nałogowym palaczem opium, czasami mawiali: „Zawsze pragnąłem tego popробować. Chciałbym poznać wizję nawiedzające palacza opium”.

— Nie powinniście — odradzał im. — Nie da się śnić snów Coleridge'a ani rozkoszować się wizjami De Quinceya, a potem, ot tak, odrzucić te przyjemności. To nie my jesteśmy palaczami opium; to opium wypala nas. Nie ma mowy o przerwaniu, dopóki narkotyki sam nas od siebie nie uwolni.

Wtedy obstawali przy swej rzekomo silnej woli. Rogers energicznie kręcił głową.

— Nie mów mi o woli, człowieku! Wszelką wolę straciłem, wyschła i umarła we mnie! Są dni, kiedy nie jestem w stanie nawiązać zegarka, bo wydaje mi się, że palce zaraz wypadną mi ze stawów!

Pojechał do Anglii, by wypełnić intratną misję dla Majora Harpera. Wiedział też, że fabuła *Edwina Drooda* została osadzona w realiach handlu opium i częściowo miał nadzieję, że patrząc oczami Dickensa, pojmie coś z własnej mrocznej historii. Może, gdy próbował oszukać pisarza, ten rzeczywiście podczas sesji w Gads-hill przekazał mu coś, co dałoby się teraz wykorzystać — jakiś odprysk geniuszu.

W każdym razie z jakichś przyczyn — choćby zupełnie niepraktycznych — nie mógł po prostu odejść i zapomnieć o tajemnicy, do której rozwikłania został wyznaczony. Ponieważ dalszy pobyt w Anglii byłby dla niego niebezpieczny, postanowił wniknąć w środowisko handlarzy opium po tej stronie Atlantyku, w nadziei zdobycia wskazówki pozwalającej na wyjaśnienie powiązań, które wciąż nie dawały mu spokoju. Tego popołudnia nareszcie spotkał kogoś, kto wydał mu się znajomy. Co ciekawe, rozpoznanej osoby w rzeczywistości nigdy nie widział na oczy.

Między szumowinami zajmującymi się handlem opium w porcie Nowego Jorku uwagę Rogersa zwrócił pewien stary turecki żeglarz w niebieskim turbanie i o krótkich, krzaczastych, siwych wąsach. Siedzący Turek, palący opium — figurka, którą wielokrotnie

widział w Gadshill w letnim gabinecie Dickensa, teraz ożyła! Ta właśnie figurka znikła z domu aukcyjnego Christie przy King Street. Tylko że tu była żywa, z krwi i kości. Podobieństwu starca do figurki nie dało się zaprzeczyć, tyle że człowiek wydawał się starszy i jeszcze bardziej ponury.

— Jeśli ta obrzydła postać przebyła długą podróż z Londynu do Nowego Jorku, z tamtejszego szamba do tego tutaj — powiedział do siebie Rogers — to prawdopodobnie ktoś inny za to zapłacił. I trudno to uznać za zbieg okoliczności. On jest czymś posłańcem, ktoś nie chce porozumiewać się telegraficznie, by tekst nie został skradziony, względnie przeczytany przez operatora.

Stary żeglarz wszedł do magazynu rybnego, a Rogers za nim. Zatrzymał się pod oknem i udawał, że poprawia plaster nad okiem. Turek przekazał jakąś kopertę smukłemu mężczyźnie o ciężkich powiekach i powierzchowności człowieka interesów. Wymiana odbyła się błyskawicznie, po czym mężczyźni rozeszli się.

Rogers, niecierpliwie odczekawszy kilka sekund, włożył bambusową łaskę pod pachę i ruszył kilka kroków z tyłu za tym drugim; wcześniej odnotował w głowie kierunek, w którym odszedł Turek.

Jako że dawała o sobie znać pora deszczowa, inspektor Frank Dickens postanowił zatrzymać się wraz z niewielką grupką detektywów zajmujących się sprawami opium, których wybrał osobiście, na najbliższym wojskowym posterunku. Angielscy oficerowie powitali ich z otwartymi ramionami i polecili swemu służącemu przygotowanie lekkiego posiłku na czas oczekiwania, aż ulewa zelżeje.

— Co sprowadza pana w te strony, inspektorze? — zapytał gospodarz, dobrze zbudowany młody Anglik o milej powierzchowności.

— Głównie sprawa zrabowanego opium — odrzekł Frank. — Wartego wiele tysięcy rupii.

Gospodarz pokręcił głową.

— Błogosławieństwa cywilizacji najwyraźniej nie bez trudu docierają do naszych ciemnoskórych przyjaciół. Tutejsza prymitywna moralność pozwala tubylcom na zdobywanie poprzez kradzież źródła ich przyszłych bogactw. Och, widzę, że mamy okazję zmienić temat na przyjemniejszy. Życzę dobrego apetytu!

Bengalscy policjanci wpatrywali się w postawione przed nimi miski z grudkowatym, czerwono-pomarańczowym płynem.

— Co to? — zapytał któryś.

Gospodarz roześmiał się.

— Swego rodzaju płynna potrawa, mój przyjacielu, hiszpański wymysł o nazwie gazpacho: w gorącym klimacie zmniejsza

pragnienie i przygotowuje organizm do obfitego posiłku. Zapobiega gorączce podczas upalnej pory deszczowej.

Nasywszy się dziwnym lunchem, Frank i jego ludzie wsiadli na konie i pojechali dalej, aż dotarli nad brzeg wyschłej rzeki na skraju dżungli. Spojrzawszy na ręcznie naszkicowaną mapkę, którą dostał od inspektora przesłuchującego dakoitę, Frank zatrzymał się i zsiadł z konia.

— Wyjąć łopaty.

Zaopatrzywszy się w słońca na najbliższym policyjnym posterunku, inspektor patrolował okolicę, a jego ludzie kopali w kilku miejscach, podczas gdy na zmianę to lało jak z cebra, to znów świeciło palące słońce. Choć zajęcie było męczące, Frank nie mógł się oprzeć, by nie rozkoszować się podziwianiem samego siebie jako europejskiego zdobywcy zasiadającego na grzbiecie wspaniałego zwierzęcia. Z lekceważeniem wspominał czasy, gdy przysposabiano go do pracy na okrągło, i późniejsze rozczarowanie ojca. Nie chodziło o to, że Frank nie umiał opanować sztuki pisania, po prostu nie potrafił znieść nudy związanej z tym zajęciem, tak jak udawało się to jego starszemu bratu Charleyowi.

Gdy chodził do szkoły, ojciec pewnego dnia oświadczył mu, że przysposobi go do zawodu stenografa, gdyż to dochodowa umiejętność, i że sam wielki Boz w młodości rozpoczął karierę jako protokolant sądowy. System ten, zwany metodą Gurneya, na cześć nazwiska wynalazcy, był już i tak wystarczająco trudny do opanowania, a Dickens dodatkowo „ulepszył” go własnymi znakami (rozmaitymi znaczkami, kropkami, kółkami, spiralami, liniami) mającymi oznaczać słowa, co czyniło rzecz jeszcze bardziej tajemniczą. Frank uczył się gorliwie, był pewien, że poczynił znaczne postępy, a wtedy ojciec, w ramach testu, dyktował mu jakiś tekst.

Charles Dickens miał zwyczaj pokrzykiwać, posługując się napuszonym, dziwacznym językiem, zupełnie jakby przemawiał w parlamencie, następnie sam sobie przerywał, całkiem innym tonem, argumentując na rzecz przeciwnego punktu widzenia, jeszcze bardziej absurdalnego i bombastycznego. Frank mógłby przysiąc, że podczas tych testów ojciec czasami prowadził dyskusję z samym sobą. Syn, choć bardzo starał się skoncentrować, wybuchał śmiechem, a pod koniec tych sejmowych debat obaj, ojciec i uczeń, turlali się po dywanie, trzęsąc się z historycznej wesołości. Frank fizycznie przypominał rodzica bardziej niż którykolwiek z pozostałych chłopców; a w takich momentach wydawało mu się, że wręcz są bliźniakami. I w końcu nagryzmołony przez niego tekst okazywał się zbiorem nonsensownych, nic nieznaczących hieroglifów.

Słyszał, że jego młodszy, drobnej postury brat Sydney, który służył w marynarce wojennej, po ukazaniu się drukiem *Wielkich nadziei* otrzymał od kolegów przydomek „Niewielkie Nadzieje”. Frank nigdy nie zamierzał iść w ślady ojca, nie chciał wszakże, by świat widział w nim nieudacznika.

W pierwszym z wyznaczonych przez niego na spalonej słońcem ziemi punktów niczego nie znaleziono, ale po ponownym przeanalizowaniu mapy szwadron odsłonił zakopaną w dole i zapieczętowaną skrzynię z mangowego drewna. Po następnych dwóch godzinach odkryto pięć kolejnych, tak jak obiecał złodziej.

Frank zsiadł ze słonia. Ciężkie skrzynie ustawiono w rzędzie. Tymczasem z pobliskiej wioski nadszedł niewielki tłum gapiów.

— Pozbądźcie się stąd miejscowych. Zobaczyli, że złodzieje nas nie pokonają, i to wystarczy.

Ale rozkaz Franka nie został wykonany wystarczająco szybko. Kilka hinduskich kobiet puściło się w tan, co wystarczyło do

odwrócenia uwagi policjantów. Z dżungli zaczęły wyłaniać się większe grupy miejscowych.

— Karabiny — rzucił Frank i zaraz, głośniej: — Przygotować karabiny do strzału!

W tym momencie banda tubylców, uzbrojona w płonące pochodnie i w dzidy, ruszyła do ataku. Frank rozkazał swym ludziom strzelać i po kilku salwach napastnicy uciekli z powrotem w gęste zarośla.

— W tych stronach nie przepadają za białymi policjantami — w zadumie zauważył miejscowy funkcjonariusz.

Inspektor zwrócił się do swych ludzi, czerwonych ze wstydu, że dali się nabrać:

— Otworzyć skrzynie. Każdą dokładnie zbadać.

— Kamienie! — krzyknął jeden z policjantów. Okazało się, że około jednej trzeciej bryłek opium zastąpiono kamieniami mniej więcej tego samego ciężaru. Podobnie w pozostałych skrzyniach.

Frank nie okazał zaskoczenia; wyjął tylko ze skrzyni kamyczek i schował do tornistra.

DOKI LIVERPOOLU, NASTĘPNEGO RANKA

Całkowicie już nastawieni na powrót podróży uważali, że mają szczęście, ponownie odbijając od brzegu na pokładzie „Samarii”. Zdobycie biletów na rejs z tak krótkim wyprzedzeniem graniczyło niemal z cudem, jako że Osgoodowi zatrzymano paszport, gdy znalazł się w podejrzanej sytuacji po incydencie w londyńskiej melinie. Marcus Wakefield właśnie wybierał się w jedną ze swych częstych podróży w interesach między Anglią i Ameryką. W ciągu kilku godzin i po obciążeniu niemałymi kosztami rachunku firmy wydawniczej udało mu się załatwić na tym samym statku miejsca dla Osgooda i Rebeki. Przy równoczesnej interwencji Toma Branagana u miejscowej policji Wakefield użył swych wpływów, by wydawcy oddano paszport na czas.

Drogę do portu przebyli wraz w Wakefieldem w jego powozie. Tom i drugi policjant kroczyli po obu stronach ulicy, wypatrując Hermana. Trzymali rozłożone parasole, a nisko nasunięte kapelusze przysłaniały im twarze. Herman nie pojawił się jednak, i para Amerykanów wraz z kupcem herbacianym zaokrętowała się szybko i bez zakłóceń.

Na pokładzie parowca Wakefield zachowywał się jak zawsze wylewnie i przyjaźnie, lecz Osgoodowi i Rebecce wydawało się, że lekko się dąsa.

— Niestety, odkąd ostatnio podróżowaliśmy, moje interesy weszły w fazę wielce nużącej rutyny — z niejakim zakłopotaniem wyjaśniał Osgoodowi w salonie przy herbacie. — Moich współników



cechuje niezmierną ostrożność w myśleniu o naszych perspektywach. Ale już dość ponuractwa. A ty, mój przyjacielu, zdaje się, że w Anglii prowadziłeś wyczerpujący tryb życia?

— Rzeczywiście, pewnie tak było — przyznał Osgood. — A cóż takiego pan trzyma? Jak pan to nazwał, panie Wakefield?

— Ach, nazywa się *oswego*. Ponoć posiada właściwości lecznicze — działa kojąco na żołądek i przeciwko mdłościom. Spróbuj pan?

— Na sam widok robi mi się niedobrze. Dziękuję bardzo.

— No cóż, powiedziałbym, jesteś pan w o wiele lepszej formie, niż gdy widziałem pana na posterunku w Londynie, całego ze śladami szurzych ugryzień! — Wakefield roześmiał się. — Mam nadzieję, że przynajmniej droga panna Sand znalazła chwilę wytchnienia. Ileż ona przecierpiała z powodu swego brata, Daniela. Okropna, bezsensowna tragedia.

— Na zawsze pozostaniemy panu wdzięczni za pomoc, panie Wakefield. Choć, dzięki Bogu, wszystko już mamy za sobą.

— O tak, z pewnością — kupiec wznosił kieliszek. — Za zdrowie nas wszystkich, gdyż mamy to za sobą! — Upił łyk i dodał: — Ale właściwie co takiego mają państwo za sobą, panie Osgood?

— Wielkie rozczarowanie — wyjaśnił wydawca.

Wakefield smętnie pokiwał głową, jakby ich rozczarowania zawodowe były tego samego rodzaju.

Osgood uśmiechnął się, doceniając okazane współczucie.

— Przy kolacji proszę zająć miejsce obok mnie, panie Wakefield, a opowiem panu całą tę historię, jeśli tylko zechce pan słuchać. I nie tracę nadziei, że pewnego dnia będę miał okazję odwzajemnić się panu równie wielką przysługą.

— Pańskie zaufanie jest dla mnie wystarczającą nagrodą, drogi Osgoodzie. Całkowicie wystarczającą! — Wakefield urwał i zanim przemówił na nowo, zdawało się, że coś drapie go w gardle. — Może jest coś, co mógłby pan dla mnie uczynić, jeśli łaskawie pan zechce. Ale waham się, czy poprosić — zamilkł i jak zwykle jął klepać się po kolanie.

— Nalegam.

— Gdybyś pan zechciał szepnąć pannie Sand dobre słówko o moim charakterze... No cóż, ona darzy pana wielkim szacunkiem.

— Ależ, panie Wakefield... — Osgood zdawał się pogrążony w jakichś dręczących myślach.

— Bardzo ją podziwiam, chyba pan wie. Wyświadczy mi pan tę przysługę?

— Niczego bym panu nie odmówił, przyjacielu. — Już miał powiedzieć coś więcej, ale w jadalni rozległ się dźwięk gongu.

— Możemy kontynuować przy posiłku? — zasugerował Wakefield z szerokim uśmiechem.

Zamiast wraz z innymi pasażerami udać się na kolację, wydawca pozostał na pokładzie i oparty o reling napawał się cudownym lśnieniem morza. Zamknął oczy, mgła osiadała rosą na jego nieogolonej twarzy.

— Panie Osgood, źle się pan czuje?

Obejrzał się, by zaraz pośpiesznie odwrócić się z powrotem. Za nim stała Rebeka. A on nie przygotował tego, co miał jej powiedzieć.

— O nie, bynajmniej — odrzekł. — Tak naprawdę teraz, gdy zostawiliśmy Londyn za sobą, wydają się całkowicie wyleczony.

— No to może pójdziemy zając miejsca przy stole?

— Pan Wakefield jest wspaniałym człowiekiem. Jak pani wie, okazał się naszym prawdziwym przyjacielem.

— Tak?

Osgood rzekł:

— Po prostu chciałem to powiedzieć.

— No tak — Rebeka zdawała się lekko zmieszana.

Żałował, że nie może Rebecę wytłumaczyć. Gdyby tylko znalazł sposób na wyjawienie jej swych uczuć, które stały się dla niego oczywiste w noc opiumowego zamroczenia, gdy wszystko inne przesłaniała mgła. Teraz znów liczyły się zasady — jego jako pracodawcy, a jej z uwagi na sąd. Natomiast Wakefield właściwie już poprosił Osgooda o przyzwolenie, gdy po raz pierwszy spotkali się na tym samym statku. „Panna Sand jest wspaniałą buchalterką”, to wszystko co wydawca zdołał wtedy wykrztusić. Wspaniała buchalterką! Osgood westchnął. Zapewne zaloty pana Wakefielda, zważywszy na to, że jest Anglikiem, mogłyby liczyć na bardzo dobre przyjęcie.

— Fakt, że przyzwoity mężczyzna otacza mnie atencją, pochlebia mi jak każdej kobiecie. Ale mam nadzieję, że nie uwierzyłyby pan, bym mogła kiedykolwiek udawać miłość do obywatela Anglii, by uwolnić się z więzów wyroku sądowego i zamienić jedno więzienie na drugie. Sądzi pan, że gdybym kochała jakiegoś mężczyznę, pozwoliłabym, by ze względu na konsekwencje powstrzymały mnie papierowe ograniczenia, słowa zaczerpnięte z jakiejś prawniczej książki? — mówiła z ogromną pasją, aż lok kruczoczarnych włosów wysunął jej się spod kapturka i przyłgął do wargi.

— Być może... — Osgood urwał, jakby stracił wątek. — Wiem, że po śmierci Daniela nadmiernie usiłowałem panią chronić.

Skinięciem głowy Rebeka podziękowała za szczerość i podała mu ramię.

— Umieram z głodu, panie Osgood. Wejźmy do środka?

Nie powiedziała mu, co dla niej oznacza klęska ich misji: że jej pobyt w Bostonie i praca w wydawnictwie dobiegają końca. Osgood, z wdzięcznością przyjmując odpowiedź, ujął swą towarzyszkę pod ramię i czując, jak mocno bije mu serce pod dotykiem jej miękkiej skórzanej rękawiczki, pomyślał, że przed nimi jeszcze całe życie.

Inspektorzy ubezpieczeniowi i robotnicy wchodzili i wychodzili ze zgliszcz głównej sali teatru Surrey przy Blackfriar's Road. To, co jeszcze do niedawna stanowiło najwspanialszy przybytek sztuki dramatycznej, w ciągu kilku krótkich godzin stało się własnym ponurym cieniem. Nadal tliły się podłoga i sufity. Tom Branagan wszedł na pogorzelnisko i przemierzał labirynt zwęglonych i zarzuconych rozmaitymi szczątkami sal, wreszcie dotarł do stolarni.

— Tu się zaczęło? — zapytał.

— Kto pyta? — odpowiedział pytaniem robotnik, zanim zauważył granatowy płaszcz Toma i lśniące guziki policyjnego munduru. — O, jeszcze jeden władza? Tak to wygląda, szefie. Byli tu już inspektorzy i badali, czy ktoś celowo podłożył ogień.

— Powiedzieli, do jakiego doszli wniosku? — zapytał Tom.

— W teatrze zawsze roi się od zagrożeń — iskry, materiały, które mogą zapalić się od ognistego spojrzenia. Policjanci nic mi nie powiedzieli. A czy pan nie powinien już wiedzieć, szefie?

— Nie mówią mi — przyznał Tom. — Konstabl ma jedynie obowiązek po pożarze zająć się dobytkiem pozostającym bez zabezpieczenia. Nie dopuścić do rabunku podczas porządkowania pogorzelniska.

Robotnik, uświadamiając sobie ograniczone uprawnienia pytającego, odwrócił się do niego plecami.

Przekopując się przez czarną stertę gruzu i starych rekwizytów, Tom natknął się na plakat. Widniały na nim tytuły przedstawień na nadchodzący sezon.

— *Tajemnica Edwina Drooda* — powiedział na głos. — Tę sztukę przygotowuje się teraz w tym teatrze?

— Aha. Właśnie mieli ją wystawić, a teraz nic z tego. Teatr spłonął, a Grunwald nie żyje.

Toma przeszedł dreszcz na dźwięk nazwiska człowieka, na którego żalił się Forster.

— Grunwald?

— Ten aktor. Znaleźli go zatrzaśniętego w zielonym pokoju, razem z młodym asystentem. Jak powiedział dyrektor, każdego wieczoru w tym tygodniu ćwiczył nową partię. Całe szczęście, szefie, że pożar wybuchł w środku nocy, a nie w środku przedstawienia, bo wszyscy upieklibyśmy się żywcem tak jak oni.

— Nowa partia? Tuż przed wystawieniem sztuki? — zdziwił się Tom.

— Akurat zmienili zakończenie na życzenie Grunwalda. A teraz kto wie, kiedy ktoś zobaczy tę sztukę! Grunwald groził odejściem, gdyby jemu, to znaczy Edwinowi Droodowi, nie pozwolili przeżyć. Ostatecznie dyrektor zgodził się i zmusił pana Stephensa, scenarzystę, do napisania nowego zakończenia, wbrew gderaniom pana Forstera. Och, Grunwald mówił o tym niemal każdemu, kogo znał. Cóż, wszystko to stało się zaledwie kilka dni temu, a już wydaje się, jakby to było w innym życiu.

Tom zapatrzył się na plakat i na ruiny wokół. Robotnik, teraz jakby bardziej gadatliwy, najwyraźniej nie zamierzał przestać mówić.

— Ten Grunwald to gadał, że nie zrozumie jego wizji nikt, kto nigdy nie był na miejscu Edwina Drooda, człowieka, który po prostu chciał należeć do jakiejś rodziny. I że urodził się do tej roli i nie pozwoli Droodowi umrzeć. Miał obsesję na tym punkcie, no cóż, jak to aktor. Pokój jego duszy.

- Dobry Boże — powiedział do siebie Tom.
- Co jest, szefie? — zdziwił się robotnik, przykładając do ucha zwiniętą dłoń.

Tom wybiegł ze stolarni, mijając rząd wymęczonych strażaków.

**W** Queenstown w Irlandii, gdzie zawijają do portu statki linii Liverpool—Boston, Osgood był zaskoczony, gdy jeden ze stewardów na „Samarii” wręczył mu długi telegram. Z posterunku policji w Londynie. — Od Toma Branagana! — oznajmił Osgood, w okrętowej bibliotece pokazując telegram swej pracownicy. — Arthur Grunwald był mocno zamieszany w rozmaite knowania. Niech pani tylko spojrzy!

Rebeka przeczytała telegram. Tom donosił, czego dowiedział się od robotnika w teatrze o zmianie zakończenia sztuki, spowodowanej przez Grunwalda. Co więcej, po wizycie na pogorzeliisku Branagan przeszukał mieszkanie aktora, gdzie znalazł stertę szkiców i poprawek listu do „mojego najdroższego przyjaciela”, znajdującego się w posiadaniu Forstera dowodu na brak zakończenia *Drooda*.

— Mówił pan, że w dniu, gdy udał się pan na aukcję przedmiotów z posiadłości Dickensa, widział pan tam Grunwalda — przypomniała Rebeka.

Osgood skinął głową.

— To z pewnością on podczas aukcji zostawił ten list w jakimś pudełku, więc gdy go znaleziono, uznano, że został przeoczony wśród spakowanych w skrzynie i pudła rzeczy Dickensa. Grunwald nie chciał, by jakieś inne „odkrycia” przeszkodziły mu we własnym zakończeniu *Drooda*.



— Jeśli list, który pan widział, został sfalszowany... to odczucia, jakie mieliśmy przed wyjazdem z Londynu, mogły być słuszne — wykrzyknęła Rebeka. — Jednak Dickens mógł napisać drugą część w pierwszej kolejności!

— Tak — zgodził się podekscytowany Osgood.

— W takim razie pan Branagan także się nie mylił. Powinniśmy byli pozostać w Londynie i kontynuować poszukiwania! — krzyknęła Rebeka. — Trzeba poczekać tu, w Queenstown, na następny statek przepływający obok Liverpoolu i natychmiast zawrócić.

— Zaraz, zaraz, panno Sand. Może jest coś jeszcze.

Osgood odłożył telegram i ujął gęsie pióro przekazane mu przez Forstera. Obracał je w palcach, uważnie badając” miękkie piórko i ostry koniec zaplamiony atramentem. Przycisnął nim opuszek palca.

— Była pani kiedykolwiek w Parker House, panno Sand?

— Zniosłam panom Dickensowi i Dolby'emu pewne dokumenty, gdy tam mieszkali — odrzekła.

— Czy pamięta pani hotelowy atrament na biurkach?

Zamyśliła się.

— Odniosłam stamtąd do wydawnictwa jakieś notatki pana Dickensa. Jak sobie przypominam, były napisane atramentem galasowym.

— Tak, to był galasowy, ciemnofioletowy atrament — powiedział Osgood, kiwając głową. — Taki mają dla gości we wszystkich pokojach Parker House. Dickens pisał swoje rękopisy niebieskim, jak widzieliśmy na przykładzie *Tajemnicy Edwina Drooda*. A czubek tego oto pióra, którym pisał tę książkę, jest także pokryty zaschniętym niebieskim atramentem. Panna Hogarth powiedziała nam, że Wódz zwykł całą powieść pisać tym samym piórem.

— Tak — odrzekła Rebeka, niepewna, dokąd Osgood zmierza.

Widząc, że jeszcze nie wyłuszczył sprawy dostatecznie jasno, uniósł rękę, prosząc o cierpliwość. Wziął z półki szkło powiększające, które mrużąc oczy, przybliżył do pióra i zbadał je. Potem wstał, usiadł ponownie i przesunął lampę tak, by rzuciła światło pod innym kątem.

— Ma pani nóż? — zapytał.

— Co takiego?

— Nóż — powtórzył.

— Nie.

— Tak sądziłem. Mogłaby się pani o jakiś postarać?

Rebeka wyszła z biblioteki. Po kilku minutach wróciła z małym scyzorykiem, pożyczonym od kapitana.

— Dziękuję — biorąc do ręki narzędzie, o które prosił, Osgood ostrożnie przyłożył ostrze do stalówki pióra. — Proszę przytrzymać szkło powiększające w tej pozycji — polecił.

Zeskrobał niebieską warstwę atramentu.

— No właśnie!

Spod niebieskiego zaczął wyłaniać się brąz.

— Proszę spojrzeć — ekscytował się — niech pani patrzy, co jest pod spodem.

— Brąz — powiedziała Rebeka z rozczarowaniem w głosie, przyjrzawszy się stalówce pod światło.

— Jeszcze chwila, panno Sand — Osgood podszedł do stołu na drugim końcu biblioteki, przyniósł karafkę wody i dużą szklanekę. Nalał do naczynia niewielką ilość płynu, po czym zanurzył czubek palca, mocząc go dokładnie. Mokrym palcem potarł pozbawiony wierzchniej powłoki koniec pióra. W miarę jak stalówka wilgotniała, brąz zmieniał się w fioletową czerń.

— Widzi pani! — powiedział Osgood, ukazując jej dowód.

— Czerń!

— To inkaust, ten sam, który mają w Parkerze! Gdy wyschnie i stwardnieje, przyjmuje odcień brązowy. Sądzę, że tego pióra

używał w Bostonie — oznajmił Osgood. — Co by całkowicie potwierdzało stanowisko Toma Branagana! *Drood* skończył się, zanim się zaczął! Przeszukując Gadshill i biuro Forstera, Herman podążał niewłaściwym tropem — by dowiedzieć się, co planował Dickens w związku z resztą powieści, nie powinien był szukać kawałka papieru, lecz właśnie pióra, którym posługiwał się pisarz. Ten atrament nie prowadzi nas do Anglii, ale właśnie tam, dokąd zdążamy!

— A więc według pana możliwe jest, że napisał drugą część najpierw, jeszcze w Bostonie? — zdumiała się Rebeka.

— Gdy pytałem go, czy jest w Bostonie jakiś zakątek, którego nie widział, wyraził chęć zwiedzenia Medical College na Harvardzie, miejsca osławionego zabójstwa Parkmana. — Osgood zamyslił się. — Wspomniał nam także o przygotowywanym przed siebie nowym sposobie odgrywania sceny z *Olivera Twista*, w której Bill Sikes morduje Nancy. Może Wódz rozmyślał o tych morderczych opowieściach nie z powodu lokalnego kolorytu, ale dlatego, że właśnie sam taką opowieść pisał! Oto skąd przyszedł mu na myśl Poe, gdy w pociągu rozmawiał z panem Branaganem i panem Scottem!

— Panie Osgood. Udało się panu! — zawołała Rebeka. — Jednak nawet jeśli to prawda, to nie zdradził Forsterowi ani nikomu innemu, o kim mielibyśmy pojęcie, gdzie te strony są. Nawet nie wiemy, gdzie zacząć szukać.

— Komu jeszcze mógł się zwierzyć? — zastanawiał się na głos Osgood.

— Może pani Barton! — zawołała Rebeka.

Spojrzał na nią zaskoczony i pokręcił głową.

— Ta obłąkana czytelniczka? Doprawdy, nie potrafię sobie wyobrazić mniej prawdopodobnej kandydatki na osobę, której powierzyłby swój sekret.

— Przypominam sobie, jak w biurze rozmawiano o tym, czego chciała pani Barton tamtej nocy. Napisała jakieś bzdury, które

uważała — w swym obłąkanym umyśle — za kolejną powieść Dickensa. Wierzyła, że następna jego książka będzie j ej dziełem: że są jednym i tym samym, że granica między czytelnikiem i pisarzem została zatarta. Pan Branagan opowiadał, jak to w oczach pana Dickensa widać było współczucie dla nieszczęśnicy i jak pisarz pochylił się — po tym, gdy poderżnęła sobie gardło i zdawało się, że gaśnie w niej ostatnia iskierka życia, a jeszcze zdołała zapytać o jego książkę — i szepnęła jej coś do ucha.

— Ale pan Branagan przyznał, że nie słyszał treści tego szepotu.

— Nie, panie Osgood, mogło to wszakże być... — zaczęła Rebecka, zbierając siły na podobną ewentualność i całym wysiłkiem woli zmuszając się do zasugerowania jej. — Jeśli on już wtedy pisał *Drooda*, mógł wspomnieć jej coś o tej powieści, by uspokoić ją, nim umrze. Może to ona właśnie zna poszukiwaną przez nas odpowiedź — czekającą na nas w domu, w Bostonie!

BENGAL, INDIE

Ponownie nadeszła pora deszczowa, wyjątkowo irytująca dla wartowników patrolujących dach bengalskiego więzienia. Tego dnia służbę pełnili oficerowie Mason i Turner z konnej policji. Gdy się mijali, Mason przystanął, by ponarzekać.

— Żeby sterczeć tu trzy dni z rzędu! To nie w porządku, Turner, gdy się jest kawalerzystą! Cholerny głupiec z tego całego inspektora Dickensa! — wołał Mason, przytrzymując z całej siły kapelusz, by nie porwał go wiatr. — A uważałem go za porządnego człowieka, naprawdę, aż do teraz.

Turner zapatrzył się w niebo. Tak pociemniało, że choć dopiero miały popołudniowe godziny, równie dobrze mogła być północ; zygzaki błyskawic, a zaraz potem wstrząsające dachem uderzenia piorunów. Gwałtownością burza ta nie odbiegała od innych, typowych dla tej pory roku.

— Po mojemu to w służbie cywilnej nie ma porządnych ludzi, Mason — stwierdził z goryczą.

— Przeczekam w stróżówce. Idziesz ze mną? — zaproponował Mason. — Co jest, Turner? — patrzył na bagnet nasadzony na karabin kolegi. — Wiesz, że tu nie wolno nakładać bagnetu. Wbrew regulaminowi. Może przyciągnąć pioruny.

Tamten wyrócił oczami i skierował wzrok w drugą stronę.

— W pudle siedzi ten cholerny dakoita. Ten, który zrabował opium.

— No więc?  
— Obwiniają nas, że pozwoliliśmy mu uciec, ale on jest bardziej niebezpieczny, niż im się wydaje. Z chęcią wziąłbym go na spytki.

— Jesteśmy na służbie! Lepiej chodź do stróżówki — wrzasnął Mason, starając się przekrzyczeć odgłosy burzy.

Zanim Turner zdążył dotrzeć do drzwi więzienia, drzwi się otwały i stanął w nich jakiś mężczyzna. W rozbłyskach światła ujrzeli Franka Dickensa.

— Słuchajcie no, Turner — odezwał się inspektor. — Ucieszy się pan na wieść, że znaleźliśmy skradzione skrzynie z opium w miejscu, w którym je zakopali.

W oczach Turnera ukazał się wyraz ulgi.

— Jednak sprawa niestety nie została zamknięta — ciągnął Frank. — Widzi pan, w bungalowie Naraina, złodzieja, który wyskoczył z pociągu, znalazłem kilka książek, a w nich adnotacje. Na marginesach zapisy transakcji i łapówek dla urzędników, tubylców i Europejczyków. W jednej z książek widniała notatka, którą z wielkim trudem udało mi się odcyfrować, dotycząca niedawno zawartej z panem umowy.

Turner energicznie pokręcił głową.

— Nie wiem, o czym pan mówi! — Mason, z powrotem wychodząc spod zadaszania na deszcz, podszedł i przysłuchiwał się.

— Gdy obrabowano konwój z opium, zgłosiłeś się pan na ochotnika — spokojnie mówił dalej Frank — aby dopilnować, żeby złodzieje uciekli. Jednak z Masonem u boku nie miałeś wyboru, jak tylko aresztować jednego z nich. Zagroziłeś pan Narainowi, zostawszy z nim sam na sam w pociągu, że jeśli na policji wymknie mu się pańskie nazwisko, zabijesz go pan. Powiedziałeś, że jeśli chce skorzystać z szansy na przeżycie, może wyskoczyć z pociągu. Według mnie miał jedną szansę na dziesięć, by ujść cało.

Frank wyjął z kieszeni kamień i położył na drżącej dłoni podwładnego.

Potem mówił dalej.

— Zbiec udało się tylko temu drugiemu, którego nazywają Mogulem. Przed napadem nie miał pojęcia o pańskim układzie z Narainem i właśnie kłótnia o tę sprawę zatrzymała ich przy chacie pasera. Mogul tak bardzo się pana bał, że po ujęciu milczał do czasu, gdy ujrzał pana czekającego przed izbą przesłuchań, wtedy wyznał wszystko inspektorowi. Pan przerażałeś go o wiele bardziej niż perspektywa cierpień na *czabutra*. Gdybyś dopadł go pan na wzgórzach, zapewne z pańskiej ręki spotkałby go ten sam los, co jego współnika. Chciałbym wiedzieć tylko jedno. Czy całym planem kierował Hurgoolal Maistree?

Turner unikał wzroku Franka.

— Genialne — stwierdził z podziwem inspektor. — Maistree, paser, poinstruował złodziei, by z każdej skrzyni zabrali tylko po kilka kulek opium, zastępując je kamieniami takimi jak ten. W ten sposób po odnalezieniu skrzyń moglibyśmy uznać rzecz za zamkniętą i być może, mając na głowie bardziej palące sprawy, nawet nie zauważyć kamieni, nim znalezisko nie zostałoby później dokładniej przeszukane. Tymczasem opłacano pana, byś zawiadomił o miejscu, w którym konwój będzie najbardziej zagrożony, aby mieć pewność, że złodzieje zdołają uciec. Przy tej ilości przejętych opiumowych kulek, za które złodziejom zapłaciliby maksymalnie jedną trzecią wartości, zostałoby mu dość na zawarcie poważnych transakcji ze szmuglerami i zapewnienie sobie sowitego zysku.

— O co tu chodzi? — zapytał ochryplym głosem młody Mason. — Turner, powiedz inspektorowi Dickensowi, że się myli!

Ale w tym punkcie opowieści twarz Turnera przybrała już kamienny wyraz, a ręka zacisnęła się na bagnecie, jakby gotował się do przebicia nim piersi przełożonego.

Frank zaklaskał w dłonie. Ze schodów w dole wbiegli na dach dwaj oficerowie policji. Stanęli po obu stronach Turnera.

— To był zwykły czarnuch, dakoita! — krzyknął głucho Turner, zgrzytając zębami.

Frank Dickens przytaknął.

— To prawda. Ale tu nie chodzi o namówienie Naraina do skoku — to jeden kłopot z głowy. Zdaje się pan nie pojmować, panie Turner, że naszym obowiązkiem jest zapewnienie swobodnego i bezpiecznego transportu opium przez Bengal do Chin. Przyczyniając się do zakłócenia tej operacji, dołącza pan do tych, którzy pragną, by Europejczycy ponieśli klęskę w koloniach. Pozwala pan na udział w tym przedsięwzięciu szmuglerom i handlarzom o wiele mniej renomowanym niż ci, których wybiera na partnerów nasz rząd. Tym sposobem działa pan nie tylko na niekorzyść Anglików, ale także ludności Indii, Chin i innych krajów na całym świecie. Bengal ma prawo do czerpania korzyści z cywilizacji.

Frank skłonił się, zadowolony, oddając niższej rangi oficera w rękę innych policjantów.

— Bądź przeklęty! — wrzasnął Turner, przekrzykując huk pioruna. — Bądź przeklęty ty i przeklęty niech będzie Charles Dickens za sprowadzenie cię na świat!

Wzdłuż Gangesu, na terenach graniczących z Bengalem ciągnęło się Chandernagore, terytorium przed laty zajęte przez Francuzów. Tam właśnie w pałacu zasiadał dostojny Chińczyk, zwany Maistree, odziany w szatę, która — podobnie jak ściany — połyskiwała delikatnymi złotymi i srebrnymi listkami. Służący — Hindusi i parsowie — przynosili mu jedzenie i wino.

Wszedł członek przestępczej rodziny z Chandernagore i zgłosił, że skradzione kulki opium zostały umieszczone w puszkach do



sardynek i czekają gotowe do transportu. Skłonił się i zostawił *babu* Maistree samego. Przez klątwę ciążyącą na tej kradzieży Maistree stracił dwóch ludzi, Naraina i Mogula — Narain skoczył w ramiona śmierci, a Mogul został skazany na dwa lata karnego przesiedlenia. Jakby tego było mało, dopadli tego policjanta z konnej. Jednak łup okazał się niemały, a zawsze znajdują się ludzie, którzy tylko czekają na następną okazję. Bengalska policja musiała bardziej się wysilać, by natrafić na jednego z jego agentów, niż on, by znaleźć dziesięciu ochotników.

W zmatowiałym spojrzeniu Maistree można było dostrzec cień smutku, gdy zdecydowanymi ruchami, niczym wiosłem, mieszał zupę łyżką. Nie otrzymał na razie wiadomości od kupca — nie znał jego imienia, gdyż prowadził interesy wyłącznie z parsem, przywódcą twardych żeglarzy, którzy przyплыли po opium umieszczone w maskujących opakowaniach. Ale na tym człowieku mógł zawsze polegać. Dużą część pałacu, w którym teraz rezydował, zbudowano za pieniądze od nieznanego kupca. Jak długo Maistree nie wychynął poza granice Chandernagore, angielska policja w Bengalu nie miała prawa go aresztować, i szmugiel mógł odbywać się dalej.

A więc co mogło pójść nie tak?

Ostatnim razem Hormazd nawet przekazał żądanie, by Maistree zdobył dla niego więcej opium niż w poprzednim sezonie. Otwierały się nowe rynki: Stany Zjednoczone. Nabywca chciał tyle czystego bengalskiego narkotyku, ile tylko dało się przeszmuglować, a paser miał czekać na instrukcje dotyczące pory pojawienia się odbiorców.

I tak oto przesyłka czekała, gotowa do odbioru. Tylko gdzie podziewał się kupiec?

Rebeka szybko szła szpitalnym korytarzem, z góry przygotowując się na ponure widoki. Jednak miejsce, w którym się znalazła, bardziej przypominało posiadłość na angielskiej prowincji niż szpital dla obłąkanych. Osgood, wiedziony niecierpliwością, nawet nie zatrzymał się w swoim domu na Pinckney Street, nie wpadł też do biura, by spotkać się z panem Fieldsem, lecz kazał się wieźć wprost do Szpitala McLeana w Somerville.

— Może jednak wolalaby pani pójść do domu, panno Sand? — zapytał Rebeke.

— Na pewno nie jestem bardziej zmęczona od pana, panie Osgood. Poza tym nie sądzę, by wpuszczono pana do kobiecego skrzydła.

— Oczywiście — odrzekł, a po chwili, wzruszony, zauważył:

— Jakież to szczęście mieć panią przy sobie.

Szpital podzielony był na oddziały dla mężczyzn i kobiet, a pacjenci w większości, poza przyjmowanymi niekiedy ze względów dobroczynnych biedakami, pochodzili z bogatych rodzin, z wyższych sfer. Żaden przedstawiciel płci przeciwnej, poza osobami medycznej profesji, nie miał dostępu do niewyznaczonego dlań skrzydła. Idąc, Rebeka słyszała krzyki i płacz kobiet, a czasem śmiech, i trudno by jej było określić, który z tych dźwięków bardziej wytrącał ją z równowagi. Wszystkie okna opatrzone kratami, ściany wyłożono otuliną.

W pokoju dla uprzywilejowanych krzepka pielęgniarka w muślinowym czepku i o rumianej twarzy podsunęła Rebecę wygodne krzesło. Siedząca w tym słabo oświetlonym, ale wystawnie umeblowanym pomieszczeniu kobieta nawijała na palec kosmyki swych przerzedzonych, siwiejących włosów. Wiele już wyrwała, pozostałe miała zawiązane na czubku głowy nietwarzowymi, wielokolorowymi wstążkami. Jej szyję otulał szeroki szal. Nawet nie uniosła wzroku.

Pielęgniarka ruchem głowy dała znać odwiedzającej, że może zaczynać.

— Pani Barton? — zapytała Rebeka.

W końcu pacjentka odwróciła głowę w jej stronę. Tylko na moment. Zaraz ponownie skierowała uwagę na ścianę.

— Sukub — powiedziała z goryczą.

— Pani Barton, przyszedłam zapytać o coś bardzo ważnego. I niecierpiącego zwłoki. Chodzi o Charlesa Dickensa.

Oczy pacjentki powędrowały w górę.

— Powiedzieli mi, że nie żyje — mówiła zachrypłym szeptem; już nie krzyczała, jak przy starciu z Tomem Branaganem. Być może rana spowodowała zmianę skali głosu. Podopieczna — czy „pensjonariuszka”, jak nazywano tu chorych — nachyliła się w stronę gościa i zapytała: — Czy to prawda?

— Tak. Niestety — potwierdziła Rebeka.

Oczy tamtej wypełniły się łzami.

— Nie pozwalają mi tu trzymać żadnej z jego książek, wiedziałś o tym? Ci źle wychowani lekarze twierdzą, że jego dzieła zbyt mnie ekscytują. Nie chcą mi nawet powiedzieć, jak odszedł mój Wódz. Jak biedny Wódz zakończył swą doczesną egzystencję?

— Nie należy, jej ekscytować, panienko — ostrzegła pielęgniarka, nim Rebeka zdążyła odpowiedzieć.

Słyszając w głosie chorej coś na kształt zachęty czy obietnicy, pojęła, że jeśli uszczęśliwi ją jakimiś szczegółami, być może czegoś się w zamian dowie. Przywołała w pamięci relacje Georginy i Henry'ego Scotta i powtórzyła je Louisie: jak to Dickens, wróciwszy z letniego domku po długim dniu pracy, zasnął przy obiedzie, jak służący przenieśli go na kanapę i podłożyli mu pod stopy rozgrzane cegły, jak kolejni lekarze bezradnie kręcili głowami, a zebrana wokół rodzina czuwała przy pisarzu do końca.

— Pomówmy teraz o ostatniej książce pana Dickensa... — zaproponowała wreszcie Rebeka.

— *Nowa Księga Hioba* autorstwa Charlesa Johna Huffama Dickensa! — zawyla Louisa swym dawnym głosem. Wyraźnie wraz ze zbliżaniem się do sedna sprawy stan jej świadomości ulegał zmianie. Rebeka zorientowała się, że popełniła błąd, otwarcie mówiąc, z czym przyszła.

— On coś szepnął — przypomniała poufnym tonem. — To znaczy pan Dickens. Wódz szepnął pani coś do ucha tamtej nocy, gdy z ulicy zabrała go pani do powozu, prawda?

Powtarzała pytanie kilkakrotnie, coraz to innym tonem; wreszcie Louisa kiwnęła głową i przyznała jej rację.

— Co takiego pani powiedział? — zapytała ostrożnie Rebeka.

Chora ponownie kiwnęła głową, po czym zachichotała. Jej śmiech przypominał reakcję bogatej panny z Beacon Hill, uszczęśliwionej pierwszym otrzymanym w prezencie szczeniakiem. Rebeka, całkowicie wyprowadzona z równowagi, omal nie krzyknęła. Trudno jednak byłoby stwierdzić, czy pacjentkę cokolwiek obchodziły potrzeby bliźnich, a nawet jej własne.

Louisa zerwała z szyi jedwabny szal. Odsłoniła błądą, niemal przeźroczystą szramę w poprzek gardła, głębszą z prawej strony, zarysem przypominającą niepełny uśmiech i na ten widok Rebeka

omal nie przesunęła dłonią po własnej szyi, by sprawdzić, czy nie ma na niej blizny.

— Miał rację. Wyglądał jak wiersz — rzuciła nagle chora.

— Kto?

— Wyglądał jak wiersz, choć nie pamiętam który — ni stąd, ni zowąd w jej głosie zaczął pobrzmiwać irlandzki akcent, dziwnie przypominający mowę Toma Branagana. — Dziś w Ameryce jest za dużo poetów!

— Aha, Tom Branagan. Co do czego miał rację? — zapytała łagodnie Rebeka.

— Co do Wodza i tej aktorki — mruknęła tamta. — Nelly. Powiedział, że Wódz ją kocha.

— W prasie ukazało się o nim wiele oszczerstw — przypomniała Rebeka.

Louisa nagle przemówiła tak, jakby znajdowała się w centrum uwagi przy obiedzie na Beacon Hill.

— „Wszystko w porządku” oznaczało: przyjeżdżać, „zdrow i cały”: nie przyjeżdżać. Wtedy gdy ta stara wdowa chciała zdobyć Wodza dla siebie, zabrałam to, by nikt inny nie mógł tego wykraść i wydrukować w jednej z tych szmatławych gazet!

Rebeka czekała na dalszy ciąg, kręcąc głową.

— Nie rozumiem.

— No pewnie, że nie! Jak mogłabyś zrozumieć, jesteś taką miłą dziewczyną i taką głupiutką.

Rebeka z desperacją poszukała wzrokiem wsparcia u cierpliwie siedzącej obok pielęgniarki. Ta w odpowiedzi wyjęła parę kluczy i milcząco dała jej znak, by poszła za nią do szafy po drugiej stronie pokoju, z dala od pani Barton.

— Tu chowamy rzeczy, które okazały się zbyt pobudzające dla jej psychiki, panno Sand — powiedziała kobieta cicho, schylając się i wyjmując książeczkę w oprawie z czerwonej, cielecej skóry, o rozmiarach zaledwie kilku na kilka cali, na tyle małą, by zmieściła

się w kieszeni. — Ona twierdzi, że to dziennik Charlesa Dickensa. I że zabrała go z kufra w hotelu Westminster w Nowym Jorku.

Rebeka wyciągnęła rękę.

— A więc ten notes należał do Dickensa?

— Tego nie wiemy — odrzekła pielęgniarka. — Przecież zapisany jest szyfrem! Nasza ptaszyna potrafi godzinami nie kłaść się i wpatrywać w jakąś kartkę, próbując coś zrozumieć.

— „Wszystko w porządku” znaczy przyjeżdżać! „Zdrów i cały” — nie przyjeżdżać! — zawołała żywo Louisa z drugiej strony pokoju.

— Co chce pani przez to powiedzieć, pani Barton? — zapytała Rebeka. Gdy nie uzyskała odpowiedzi, zwróciła się do pielęgniarki i zapytała, czy wie, o co chorej chodzi.

— Myślę że tak, panienko! Ta mała ptaszyna skrzeczała te same słowa każdego wieczoru przez dwa tygodnie. Twierdzi, że znalazła wskazówki potrzebne do odcyfrowania tajemnego języka, którym Charles Dickens posługiwał się, śląc do Anglii telegramy z wiadomością do tej Nelly w kwestii jej przybycia do Ameryki. Gdyby zatelegrafował „wszystko w porządku”, miała przyjechać. Z kolei słowa „zdrów i cały” miały zatrzymać ją w Europie.

— Ona nie przyjechała! — przerwała Louisa; teraz dłonie jej drżały, pierś falowała. — Nie przyjechała! Widzicie? Wódz powiadomił ją: „zdrów i cały”. Jednak jej nie kocha! Przyjechał, żeby w końcu odnaleźć swoją prawdziwą wielką miłość! A ten jego pan Redlow mówił mi: „Pani głos brzmi w moich uszach jak muzyka”. To dlatego mnie odnalazł. I dlatego czytał dla mnie każdego wieczoru w Tremont Temple. I szeptał do mnie, chociaż wszyscy ci źli ludzie robili, co mogli, by mnie znienawidził.

Rebeka zdawała sobie sprawę, że musi postępować ostrożnie, jeśli chce usłyszeć od Louisy coś więcej, a nie doprowadzić jej do całkowitego wyczerpania, gdyż wtedy chora stanie się bezużyteczna.

— Pan Dickens, Wódz, chciał, by podzieliła się pani ze światem przesłaniem, które wyszeptał tamtej nocy, gdy ci inni mężczyźni panią zaatakowali.

Chora zdawała się rozważać te słowa, nadal kiwała głową. Nagle przestała.

— Tak, on chciał się tym podzielić. Powiedział prawdę — w końcu ujrzał przyszłość.

— Oczywiście! Co dokładnie powiedział? — naciskała Rebeka.

Kobieta wypuściła z płuc powietrze, jakby zatrzymywane tam latami.

— Niech ci Bóg pomoże, biedaczko!

Rebeka drgnęła.

— To wszystko? Tyle tylko szepnął? To było wszystko!

— Niech ci Bóg pomoże, biedaczko! — powtórzyła Louisa z większym ożywieniem, głosem jakby nabrzmiałym energią Dickensa.

— Nic więcej? Jest pani pewna, pani Barton?

— I Bóg tak uczynił. Wódz zawsze mówił prawdę. Bóg mi pomógł!

„Niech ci Bóg pomoże, biedaczko”. Dickens pobłogosławił niešťęsną! Rebeka, rozczarowana, rozmyślając o całym tym czasie, który stracili, przybywając tu za jej poduszczeniem, dała znak pielęgniarce. Nie mogła nie martwić się na myśl, jak bardzo Osgood będzie zawiedziony wiadomością, którą mu przekaze, a jednak wiedziała, że musi zrobić to natychmiast.

Rozmowa o Dickensie ożywiła osłabioną chorobą świadomość Louisy i pacjentka wyraźnie nie przejawiała chęci do zakończenia spotkania.

— Mylisz się, kochana! — powiedziała, gdy pielęgniarzka podniosła się, by odprowadzić gościa. Z oczu Louisy płynęły łzy. — Nie z ulicy! Nie z ulicy!

Rebeka zatrzymała pielęgniarzkę.

— Mówiłaś, że zabrałam go z ulicy. Ale to nie prawda, nikt tego nie widział. Powóz stał, gdy go znalazłam. Woźnica próbował zabrać Wodza nie wiadomo dokąd!

Rebeka przemyślała tę informację. Zawsze przypuszczali, że przed powrotem do hotelu Dickens po prostu wynajął powóz na nocną przejażdżkę. Fakt, że dorożka stała pusta, sugerował, iż pisarz miał jakiś cel. Czy ostatniej nocy przed opuszczeniem Bostonu na zawsze wybierał się w jakieś konkretne miejsce? Rebeka już miała poprosić o więcej szczegółów, ale tym razem Louisa sama postanowiła kontynuować opowieść.

— To było na North Grove Street — powiedziała. — Gdy wsiadł z powrotem do dorożki, nie wiedział, że to ja nią powożę. Nie przeczuwał, jak nasze losy miały na zawsze zmienić się od tej chwili! Czy świeca może coś na to poradzić, kochana? Czy świeca może coś na to poradzić?\*

North Grove Street.

\* Cytat z *Wielkich nadziei* w przekładzie Karoliny Beylin.

Czekający na Rebeke woźnica otworzył przed nią drzwiczki. Wsiadła i zajęła miejsce naprzeciw Osgooda.

— Chodzi o Medical College! — zawołała.

— Co... o czym pani mówi? Czy to są właśnie słowa, które Dickens szepnęła do tej kobiety? — zapytał Osgood.

— Nie, ależ skąd. — Rebeka wyjaśniła, jak to Louisa Barton podeszła woźnicę czekającego na Dickensa na North Grove Street. — On nie wybierał się na jedną z tych swoich przejażdżek — powiedziała. — Kazał się wieźć do Medical College.



Osgood powrócił myślami do rozmowy, którą przy śniadaniu wiedli Dickens i doktor Oliver Wendell Holmes.

„Czy jest jeszcze coś, co chciałby pan zobaczyć w Bostonie, a co zostało pominięte, panie Dickens?” — zapytał wtedy pisarza.

„Jest takie jedno miejsce. Zdaje się, w pańskiej szkole, doktorze Holmes. Tam gdzie doktor Webster, którego poznałem przed dwudziestu pięciu laty, w tak niezwykle sposób zamordował pana Parkmana. Już wtedy dałbym głowę, że Webster jest okrutnikiem”.

— Może tam coś znajdziemy — zwrócił się do Rebeki. — On już wcześniej zwiedził to miejsce. Znając doktora Holmesa, uczony prawdopodobnie umożliwił Dickensowi dokładne zwiedzenie krypty. Jeśli rzeczywiście wrócił tam przed wyjazdem z Bostonu, musiał mieć jakiś powód.

— A więc ruszajmy tam natychmiast! — ten zdradzający ekscytację okrzyk wydobył się z ust Marcusa Wakefielda. Przedsiębiorca ulokował się obok Osgooda.

Ten zapytał go:

— Panie Wakefield, jest pan pewien, że nie sprawimy panu kłopotu, korzystając z pańskiego powozu?

Wakefield wzruszył ramionami.

— Ależ skąd! Wynająłem go na całe popołudnie, a do wieczora nie mam nic pilnego do załatwienia. Miło mi, że mogę wyświadczyć tę drobną przysługę dwójce moich amerykańskich przyjaciół. Wyślę tylko posłańca z wiadomością do współnika, a potem mój rydwan i moja skromna osoba pozostaną do państwa dyspozycji, dopóki nie wypełnicie waszej misji.

### 37.

Osgood z latarnią w ręce wolno schodził stopniami wiodącymi do krypty pod Medical College, tą samą drogą, którą Dickens szedł z Holmesem tamtego dnia w Bostonie. Czyżby przeszedł ją ponownie tej nocy, gdy zaatakowała go pani Barton? Wydawca zostawił Rebeke w powozie, choć nie miała ochoty siedzieć beczynnie.

— Panie Osgood, proszę, przecież na pewno mogę się przydać przy poszukiwaniu wskazówek! — naciskała.

— Nie wiemy, gdzie podziewa się Herman. Nie mogę ze spokojnym sumieniem prowadzić pani do miejsca potencjalnego zagrożenia — tłumaczył wydawca. — Nie wybaczyłbym sobie, gdyby cokolwiek się stało.

— Ja z nią zostanę, panie Osgood — oznajmił Wakefield, kiwając ze zrozumieniem głową i łagodnie się uśmiechając. — Będę jej pilnował na wypadek, gdyby Herman pojawił się w pobliżu.

— Dziękuję, panie Wakefield. Nie zabawię długo — odrzekł Osgood. Wiedział, że ma obowiązek wypełnić swe zadanie, nawet jeśli da Anglikowi okazję do wyznania Rebecce miłości. Musiał dowiedzieć się, co znajduje się w środku, ze względu na przyszłość firmy, a także należało zapewnić Rebecce bezpieczeństwo, nawet gdyby miał stracić jej afekt na rzecz kupca, zanim sam znajdzie sposób, by okazać swoje uczucia.

Wszedł do budynku i dotarł na sam dół drewnianych schodów, do niemile woniejącej krypty, pełnej słoików z próbkami i na wpeł

pustych półek. Z jakiego powodu — jeśli ta szalona w szpitalu dla obłąkanych miała rację — Dickens powrócił tu sam, w środku nocy, w ostatnich godzinach pobytu w Bostonie? W głowie Osgooda zabrzmiało zdanie z pierwszego odcinka *Tajemnicy Edwina Drooda*: „Jeśli schowam zegarek, gdy jestem pijany, muszę upić się ponownie, by przypomnieć sobie, gdzie go schowałem”. Z latarnią w jednej ręce, drugą sprawdzał półki. Przeszukał stary stół do pokazów, wnęki w ścianie, sięgał za rury spustowe i zlewy. Włożył rękę do pieca, z którego wydobył się okropny smród i wypełnił kryptę. To tu niegdyś paliły się kawałki ciała Parkmana. Osgood zawahał się, ogarnięty gonitwą myśli. To byłoby idealne miejsce — jedno jedyne w Bostonie opuszczone, nietknięte, podczas gdy wszystko inne wokół zmieniało się. Nikt nie chciał wracać pamięcią do tak okropnej śmierci. Pozostała ponurym sekretem, pieczołowicie skrywanym w czeluściach naszego miasta.

Całkowicie opanowany, sięgnął do wnętrza pieca. Palcami wy-macał popiół, pokrytą chemikaliami powierzchnię. Czuł, jakby przebijał się ręką przez burzową chmurę — ciężką i pustą zarazem. Potem natknął się na coś, co w dotyku przypominało pomarszczoną skórę umierającego człowieka. Powoli, ostrożnie, by jej nie wy-puścić, wyciągnął z paleniska teczkę ze spękanej cielej skóry.

Otworzył ją. Wewnątrz ujrzał plik kartek.

Nie wierzył własnym oczom! Natychmiast rozpoznał pismo Dickensa, tekst był spisany galasowym atramentem. Zamarł, przy-ciskając do siebie skarb. Przez chwilę to uczucie bezwładu było tak potężne, że nie mógł zdobyć się na najbardziej dla niego naturalną od dzieciństwa czynność — czytanie. Niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu, siedział na zimnej, kamiennej podłodze ogarnięty irracjonalnym lękiem, że stronicze znikną z chwilą, gdy padnie na nie jego wzrok. Odczuwał ulgę, i to nie tylko z powodu

doprowadzenia misji do pomyślnego końca. Miał pod palcami całą swoją przyszłość. W jego rękach spoczywał los Fieldsa, Osgooda & Co, wszystkich tych mężczyzn i kobiet, którzy mu zaufali. I Rebeki.

Miał wrażenie, jakby o kilka sekund przedłużył życie Charlesowi Dickensowi. Cóż za wspaniałe uczucie! Przypomniawszy sobie pytanie Fredericka Leypoldta dotyczące zawodu wydawcy. „Dlaczego nie jesteśmy kowalami lub politykami?” Oto dlaczego, panie Leypoldt. Sednem trudu wydawcy było odkrycie czegoś, czego nikt inny nie szukał, czegoś, co na nowo pobudzi wyobraźnię, ambicje, emocje. I nagle po prostu nie mógł już czekać ani sekundy dłużej na poznanie zakończenia historii Edwina Drooda. Właśnie trzymał w ręce wszystkie odpowiedzi! Umarł czy żyje? Dopadli go czy ukrywa się? Podkreślił knot lampy, poświecił na strony i przyjrzał się im, usiłując wypatrzeć cokolwiek wśród kurzu i gęstych ciemności. Ale jasne światło latarni niemal oślepiło przyzwyczajone do mroku oczy.

— A więc udało się panu! — Wakefield przerwał mu rozważania, stając u szczytu schodów i ostrożnie schodząc do krypty. Spowijały go ciemności podziemia i jego zwykle przyjazna, pogodna twarz zdawała się całkowicie pogrążona w mroku. — Znalazł pan już cokolwiek, Osgood?

Wydawca podniósł się z posadzki.

— Ale dlaczego tutaj? Czemu zostawił to właśnie w tym miejscu, panie Osgood? — zapytał tamten.

— Bał się to zgubić — odrzekł Osgood.

— Bał się?

— Tak, nie rozumie pan? Proszę tylko pomyśleć. Następnego ranka Dickens miał na zawsze opuścić Boston. Od czasu wypadku w Staplehurst, kiedy to omal nie zginął, za każdym razem przed wejściem do pociągu, na statek czy nawet do powozu lodowaczał z przerażenia. Wiedział, że rejs powrotny na pokładzie statku „Rosja”

do Anglii, przez pół świata, po wzburzonym oceanie, może być niebezpieczną podróżą. Do tego nie zapomniał, że w czasie tamtej okropnej katastrofy kolejowej w Staplehurst właśnie pisał *Naszego wspólnego przyjaciela*, ostatnią powieść przed *Tajemnicą Edwina Drooda*, i wiózł ze sobą jej ostatnie strony. Udało mu się wydostać z wagonu, ale pozostał tam ostatni odcinek książki, więc zaryzykował życie, schodząc po niego z powrotem.

— Okazał odwagę.

Osgood skinął głową.

— I jeszcze coś go niepokoiło. Pewna kobieta, niejaka pani Barton, włamała się do jego hotelowej sypialni, pozostawiając wiadomość z żądaniem rozmowy o ostatniej powieści. No i jeszcze ukradła mu dziennik. Jakby tego było mało, pojawili się agenci podatkowi, grożąc, że zrobią wszystko, by odzyskać pieniądze, które rzekomo był dłużny — że skonfiskują bilety na odczyty, rzeczy osobiste i dokumenty. Dickens wiedział, że jeśli wejdzie na pokład z tekstem przy sobie, może go już więcej nie ujrzeć. Co więcej, zdawał sobie sprawę, że gdy po powrocie do Anglii zacznie wydawać powieść, będą się dopominać o rozwiązanie zagadki. Podczas nieobecności pisarza zaufany służący włamał się do jego sejfów. Dickensowi, a także rękopisowi, niebezpieczeństwo zagrażało ze wszystkich stron, to pewne. To miejsce, obskurne i opuszczone, być może było jedyną na ziemi bezpieczną dla tych kart kryjówką. Przetrwałyby tu nietknięte, dopóki Dickens nie byłby gotowy wydać polecenia zabrania ich stąd — co miał zamiar zrobić po zakończeniu pierwszej części. Ale umarł nagle i nie zdążył przekazać informacji.

Wakefield przyznał wydawcy rację.

Osgood pomyślał o Rebecce. Żałował, że się nie zgodził, by mu towarzyszyła wewnątrz budynku i że nie było jej teraz obok niego,

by mogła dzielić z nim tę chwilę. Potem coś sobie uświadomił.

— Gdzie jest panna Sand, panie Wakefield?

— Och, proszę się nie martwić, panie Osgood! Mój kolega pilnuje Rebeki.

Osgood z wdzięcznością skinął głową, choć drgnął, słysząc, jak przyjaciel poufale wymawia jej imię. Oznaczało to tylko jedno — wyznał jej miłość i został przyjęty. Pomimo bólu, który na tę myśl poczuł w sercu, nadal żałował, że nie ma jej przy nim. Sukces w każdym calu należał do niej tak samo jak do niego — został osiągnięty dzięki niej i dla niej. Za wszystko, co przecierpiała z powodu Daniela.

Uświadomił sobie, że słowa rozbrzmiewające mu w myślach nie były jego własnymi. „Ileż ona przecierpiała z powodu swego brata, Daniela. Okropna, bezsensowna tragedia”. Tak wyraził się Wakefield, gdy rozmawiali na pokładzie statku. W głowie Osgooda zaświtało pytanie, ono sprawiło, że na chwilę zapomniał o zadziwiającym dokumencie, który trzymał w dłoniach, i o ponurej piwnicy, w której się znajdował. Skąd tamten wiedział o Danielu? Czyżby Rebeka aż tak się do niego zbliżyła, by opowiedzieć mu o bracie? Nie potrafiłby powiedzieć, czy ogarniające go nagle uczucie było zazdrością, czy podejrzliwością w stosunku do Wakefielda.

— To nadzwyczajne, panie Osgood! — odezwał się kupiec ze śmiechem, jakby właśnie skończyli opowiadać sobie jakiś rubaszny dowcip. — Coś podobnego, ubiegł pan wszystkich!

Przed oczami Osgooda pojawiły się obrazy z pierwszego rejsu na „Samarit”. Wakefield natychmiast się z nim zaprzyjaźnił. Teraz to wszystko układało się w całość. Kupiec nie tylko był na parowcu w drodze do Anglii i z powrotem. Pojechał za nimi do Londynu i także z nimi wracał — tak jak Herman. On i Herman byli w Bostonie

w tym samym czasie. Po ataku Hermana w palarni opium Wakefield pospieszył na posterunek policji.

— Chyba powinienem teraz wrócić do panny Sand — zauważył spokojnie Osgood.

— Oczywiście, oczywiście — przyznał tamten.

— Będzie pan tak uprzejmy i zostanie tu przez chwilę na straży? — zapytał wydawca, wskazując teczkę z cielejącej skóry.

— Do usług, sir — zgodził się kupiec. Gdy Osgood pospiesznie pokonał połowę schodów, tamten dodał: — Zaraz, niech no pan poczeka. Mam dla pana prezent, który przywiozłem z Londynu! W całym tym zamieszaniu omal nie zapomniałem! Reważ za wszystkie te książki podczas rejsów.

— Jest pan nader hojny — mruknął Osgood, oceniając kątem oka liczbę schodów pozostałych do drzwi.

— Uwaga! — zawołał Wakefield.

Coś ciężkiego przecięło powietrze. Osgood złapał paczkę jedną ręką, przycisnął do piersi. Odwinął papier i skierował światło latarni na bryłowaty przedmiot. Była to żółta, gipsowa figurka, kiedyś wystawiona na liście aukcyjnej pod nazwą *Turek w pozycji siedzącej, palący opium*. Figurka z domu Charlesa Dickensa.

— Mówił pan — zauważył obojętnym tonem — że stłukli ją w domu aukcyjnym.

— Niech pan uważa ją za swego rodzaju pożegnalny podarunek, Osgood. Aha, a po co mam pilnować tej teczki z cielejącej skóry, skoro — założyłbym się o moje najlepsze koźle rękawiczki — jest pusta? Przełożyłeś pan już kartki do swojej sakwy, nie myślę się?

W ponurym pomieszczeniu rozbrzmiało echo pstryknięcia palcami: to Wakefield. Na szczycie schodów pojawili się dwaj Chińczycy. Jeden paznokciem drapał się po karku. Tyle że nie był to

zwykły paznokieć. Czysty i naostrzony, wyrastał z małego palca lewej dłoni na długość siedmiu do ośmiu cali — chińscy specjaliści od sprawdzania jakości hodowali je jako narzędzia do badania autentyczności monet, którymi płacono za opium. Rebeka, cała drżąca, także ukazała się na górze. Za jej plecami, w srebrzystym świetle padającym z latarni Osgooda zaślniły kły sterczące z paszczy Kylina.

Osgood cofnął się schodami na sam dół, a Rebeka dołączyła do niego, dla bezpieczeństwa. Wakefield podszedł do Hermana na górny podest. Ten skłonił się, kładąc na czole obie dłonie.

— Mówiłem panu, Osgood — przypomniał Wakefield — że panna Sand jest dobrze strzeżona.

— To pan zorganizowałeś napaść Hermana na mnie na pokładzie „Samarii”, żeby samemu zostać bohaterem i sprawić, że bym panu zaufał i na nim poległ — stwierdził Osgood. — Przez cały czas działaliście razem. Próbował pan zdobyć afekt panny Sand, by odkryła panu nasze plany.

— Zasłużył pan na nagrodę! Widzi pan, ma pan poważny defekt — nawyk sądenia otaczającego świata według siebie, mój przyjacielu — odrzekł Wakefield. — Podziwiam to. A teraz udamy się w bardziej przytulne miejsce.

— Nigdzie z panem nie pójdziemy — zaperzył się Osgood. — Nie jest pan wcale kupcem herbacianym, panie Wakefield. — Mówiąc to, mimochodem wsunął figurkę Turka do sakwy i zaraz poczuł na ramieniu zwiększony ciężar.

— Ależ jestem — padła odpowiedź, której towarzyszył stłumiony śmiech; także Herman się roześmiał. — Choć oczywiście nie tylko herbatą handluję. Herbata to towar, którym często nasi przyjaciele w Chinach płacą za dostawy opium. Nie widzi pan jeszcze całosci, panie Osgood? No tak, zawsze chcąc zrozumieć książki,



całą uwagę kierował pan na zdania — co utrzymywało pana w izolacji. Zamartwiał się pan słowami, które przecież w ostatecznym rachunku nie mają żadnego znaczenia, gdy staje pan przeciwko maszynie, która pokonała wielu silniejszych od pana. Gdy byłem chłopcem, wypędzono mnie z domu. Znalazłem schronienie u krewnego, ale już nie opuścił mnie awanturniczy duch, którego się dorobiłem.

Gdy Wakefield przemówił, Osgood zamachnął się sakwą, uderzając kupca w nogę. Ten nawet nie drgnął. Rozległ się metaliczny dźwięk i statuetka rozpadła się w torbie na kawałki.

Osgood i Rebeka wymienili zaskoczone spojrzenia. Wakefield uniósł nogawkę spodni i odsłonił na stopie mechanizm składający się z pasków, ogniw i kółek.

— Mój Boże! — wykrzyknął Osgood. — Edward Trood!

Herman groźnie postąpił dwa kroki ku niemu.

Wakefield gestem dłoni powstrzymał parsa i sztywno wyprostowany gniewnie spojrzał na Osgooda. Następnie skierował do swych dwóch pomocników gwałtowny potok chińskich słów, a ci skinęli głowami i opuścili budynek. Teraz znów zwrócił się do Osgooda.

— O nie, panie Osgood, nie jestem nim. To prawda, kiedyś tak się nazywałem — gdy okrutny i despotyczny ojciec wygnał mnie z Rochester, byłem bojaźliwym, małym Eddiem Troodem ze zdeformowaną stopą. Ale tamto moje wcielenie umarło, tak jak i Eddie Trood. Stopniowo zacierałem je, uciekając w opiumowe ekstazy w domu wuja. Ale moje ciało wnet zaczęło się buntować — w niewoli narkotyku przeżywałem katusze, a gdy próbowałem się od niego powstrzymać, spadałem na samo dno rozpacz. Pewien lekarz poradził mi używać strzykawki, dzięki której osiągałem wyższy stopień relaksu i ośpienia zmysłów, jednak zastrzyki nie

pomogły złagodzić palącej potrzeby narkotyku. Były jak stymulacja bez spełnienia.

Opium niczym zbroja chroniło mnie przed zewnętrznym światem, ale zarazem niszczyło mnie. Powiedziano mi, że podróż morską to jedyny środek, by wyrwać się spod jego władzy. Popłynąłem do Chin i na zawsze przestałem być niewolnikiem. Objawiła mi się nowa prawda. Zrozumienie nieuchronnej mocy narkotyku — potrzeba kierowania jego dystrybucją nie poprzez medyków i aptekarzy, lecz w cieniu i pod osłoną nocy. To w Kantonie pewien doktor założył mi ten aparat na stopę. Skorygował ustawienie zdeformowanej części tak, że nawet przy bliższej obserwacji trudno znaleźć jakikolwiek defekt w moim chodzie. I wtedy wiedziałem już, że jestem gotów wracać do Anglii jako odrodzony, inny człowiek.

Osgood gorączkowo analizował sytuację, wybiegając trzy, cztery kroki do przodu.

— A więc Herman nigdy nie próbował zabić Eddiego Trooda, pana, za poznanie sekretów jego narkotykowego przedsięwzięcia?

— Mojego narkotykowego przedsięwzięcia, panie Osgood — poprawił z uśmiechem Wakefield. — Herman działa jako agent, odkąd pomogłem mu wyrwać się z niewoli chińskich piratów. Bo widzi pan, nauczyłem się podczas mych podróży, że jeśli szmugler chce przetrwać wystarczająco długo, by dożyć sukcesu, musi pozostać niewidzialny. Kierując się tą zasadą, po powrocie rozpocząłem nowe życie jako Marcus Wakefield. Pomagali mi Herman i Imam — nasz turecki kompan, ale oni pozostali tylko rzemieślnikami zatrudnionymi do wykonania dzieła, którego ja byłem architektem. Zdarzyło się, że pewien młodzieniec przedawkował opium i zmarł. Odziliśmy go w moje stare ubranie, a Herman uderzył go łomem w głowę, by zwłok nie można było zidentyfikować. W czasie weekendu, gdy wuj przebywał na wsi, ukryłem się, a moi towarzysze

rozwalili mur w jego domu i ukryli tam ciało fałszywego Eddiego Trooda.

— Makiawelizm najwyższego stopnia — ocenił Osgood, równocześnie snując domysły co do ważniejszej kwestii. — W takim razie Marcusa Wakefielda należało się bać.

— No cóż, rzeczywiście, tyle że może nie akurat Wakefielda. Tego pseudonimu używałem do legalnych interesów. Jako handlarz opium używałem w rozmaitych miejscach tylu imion, ile mi było trzeba: Copeland, Hewes, Simonds, Tauka. Ale nikomu nigdy nie udało się spotkać osoby, która je nosiła. Rozeszły się opowieści — legendy o jego niezwykłych i przerażających czynach, historii o zmarłych, poczynając od Eddiego Trooda, który próbował wniknąć w środowisko handlarzy opium. Resztę okrywała czapka niewidka, a tacy jak Herman i Imam służyli mi za ręce i nogi w relacjach ze światem.

Tak więc i moje środki transportu musiały stać się niewidzialne. Choć było niewiele krajów gotowych, tak jak Chiny, toczyć wojny, by powstrzymać import opium dla swych obywateli, jest wiele rządów, w tym i pański, chętnych do ściągania opłat celnych i kontrolowania dostaw narkotyków. Moja organizacja weszła w posiadanie linii morskich obsługiwanych przez parowce — „Samaria” była najszybszym — specjalnie wyposażone nie tylko po to, by można je było przekształcić w statki wojenne, ale także dysponujące dużymi przestrzeniami zamaskowanych magazynów. Ponieważ nasz parowiec jest pasażerskim liniowcem, celnicy sprawdzają znoszone na ląd bagaże. Ale w ciemnościach nocy załoga wynosi skrzynie z opium ukrytym w tanich wazonikach lub w pudełkach po sardynkach i dostawa trafia do przedsiębiorczych indywiduów w Bostonie, Filadelfii i Nowym Jorku. Ci rozprowadzają go potrzebującym klientom, nieposiadającym umiejętności lub chęci kupowania opium od swych lekarzy czy aptekarzy, których w ostatnich latach

zmuszono do zgłaszania nazwiska każdego nabywcy „trucizny”.

— Dlaczego Daniel? — wykrzyknęła Rebeka, wstrząśnięta i oszołomiona ogromem zdrady. — Po co było krzywdzić mego brata?

Wakefield spojrział na Hermana z dezaprobatą.

— Niestety, moja droga, ta śmierć była przypadkowa, całkiem dla nas bezużyteczna. Po zgonie Dickensa Herman znalazł w biurze wykonawcy ostatniej woli pisarza pilny telegram od Fieldsa i Osgooda, proszących o przysłanie im wszystkiego, co jeszcze mieli z *Tajemnicy Edwina Drooda*. Natychmiast przyczailiśmy się w Bostonie, by przejąć przesyłkę, przekupiwszy pewnego nieopierającego się pańskiego pracownika, niejakiego Midgesa, i okazało się, że do odebrania nadchodzących z Anglii ostatnich odcinków powieści wyznaczono Daniela Sanda.

Następnie dowiedzieli się od Midgesa — zbulwersowanego plotkami o rzekomym pijaństwie młodzieńca, a jeszcze bardziej faktem zajmowania przez kobiety zbyt wielu posad w firmie — że Daniel wczesnym rankiem będzie czekał w porcie na kolejne strony *Tajemnicy Edwina Drooda*. Statek z Anglii już przycumował. Ale gdy Hermanowi udało się w końcu zatrzymać owego młodzieńca w zbyt grubym garniturze, ten już domyślił się, że go śledzono, i nie miał nic w płóciennej torbie, zwisającej mu z ramienia. I ku ich zaskoczeniu, nie chciał przyjąć pieniędzy za wskazanie miejsca, w którym ukrył tekst.

— Nie, proszę pana — zaprotestował Daniel. — Bardzo mi przykro, ale nie mogę. — Przetrzył go na piętrze magazynu na Long Wharf, w którym składowano przemycone opium.

Wakefield położył dłoń na ramieniu młodego kancelisty.

— Młodzieńcze, wiemy, że w przeszłości miałeś pewne kłopoty z powodu dobrze znanego, oszałamiającego specyfiku. Nie

chcielibyśmy, aby pański pracodawca, który zleca panu poufne zadania, dowiedział się o tym. Nie jesteśmy pokątnymi macherami od przedruków, próbującymi wykraść gotowy tekst. Po prostu musimy poznać treść tych stron Dickensa, potem je zwrócimy.

Daniel zawahał się, gdy patrzył na twarze przesłuchujących go mężczyzn, po czym energicznie pokręcił głową.

— Nie, proszę pana! Nie wolno mi! — powtarzał — to należy do Osgooda! To własność Osgooda!

Herman rzucił się do przodu, ale Wakefield powstrzymał go.

— Pomyśl uważnie, drogi chłopcze — Wakefield namawiał, a jego twarz z przyjaznej stopniowo zmieniała się w brutalną. — Jak bardzo zawiedzeni będą w Fields, Osgood and Company, gdy poznają, kto naprawdę kryje się pod tą młodzieńczą i czarującą powierzchnością. Niepoprawny pijak.

— Pan Osgood byłby zawiedziony, gdybym nie wykonał pracy, za którą mi płacą — obstawał przy swoim chłopak. — Wolalbym sam opowiedzieć swoją historię panu Osgoodowi, niż nie wykonać jego poleceń.

Wakefield uśmiechnął się i omal nie roześmiał serdecznie, nim ledwie dostrzegalnie poruszył dłonią.

Herman rozdarł kanceliście koszulę na klatce piersiowej i naciął ciało kłami nasadzonego na łaskę Kylina, pozostawiając pionowe, płytkie rany. Daniel skrzywił się, ale nie krzyknął. Gdy krew skapywała, pars podstawił czarękę i wypił jej zawartość na oczach chłopca, w uśmiechu coraz szerzej rozciągając wargi, aż nabrały żywszego koloru. Daniel, opanowując ból, mocno drżał, ale patrzył hardo przed siebie.

— Na Boga — odezwał się Wakefield. Uderzył Daniela pałką w głowę i młodzieniec osunął się na podłogę.

— Nie rozumiesz — Wakefield zwrócił się do Hermana — że tego chłopaka można by bić, aż głowa by mu odpadła, a włosy ze strachu stanęły dęba, a on nie powiedziałby nic bez pozwolenia Osgooda? To wzór lojalności, Hermanie.

Na co ten chrząknął z irytacją.

Wakefield polecił parsowi wstrzyknąć chłopcu opium i wypuścić go na nabrzeże. Jeśli się nie mylił, w stanie oszołomienia młodzieniec pójdzie po tekst, gdziekolwiek go ukrył. A będzie na tyle osłabiony, by Herman bez trudu go dogonił. I nawet jeśli chłopak zgłosi kradzież na policji, nie uwierzą człowiekowi otumanionemu narkotykiem.

Ale Daniel po wyciągnięciu pliku kartek z porzuconej beczki zgubił Hermana w tłumie na nabrzeżu. Gdy Herman złapał go na Dock Square, chłopak wyrwał się i wpadł pod omnibus. Zbyt wielka liczba gapiów na miejscu przeszkodziła Hermanowi w zabraniu papierów. Ale Wakefield dołączył do kręgu ciekawskich wokół ciała i usłyszał nazwisko Sylvanusa Bendalla, prawnika, który gorliwie skonfiskował tekst.

— Był pan tam — Osgood zwrócił się do Wakefielda z niespodziewaną nienawiścią w głosie. — Był pan tam, gdy biedny Daniel umierał.

— Nie — szepnęła Rebeka przerażona tą myślą i ponownym przypomnieniem ostatnich chwil brata.

Wakefield skinął głową.

— Tak, gdy umierał, znalazłem się wśród tłumu ciekawskich. Biedny chłopiec wciąż jeszcze pana wzywał, wymieniał pańskie nazwisko, Osgood. Gdy Herman odebrał tekst Bendallowi — ten prawniczyna nosił te kartki przy sobie, nie zostawiając nam wyboru co do tego, jak się z nim rozprawić — odkryliśmy, że nawet w tych dalszych odcinkach — w czwartym, piątym i szóstym — nie było żadnej wartościowej wskazówki dotyczącej zakończenia

powieści. Już mieliśmy wracać do Anglii, gdy nasz ptaszek w wazszej firmie oznajmił, że zamierzacie płynąć do Gadshill w poszukiwaniu zakończenia *Tajemnicy Edwina Drooda*. Jak pan sądzisz, drogi Osgoodzie, jakim sposobem panu Fieldsowi udało się załatwić bilety na statek w ostatniej chwili, gdy zdecydował się pana wysłać? „Samaria” była jedynym liniowcem dysponującym jeszcze miejscem — dopilnowałem tego, ponieważ „Samaria” i cała załoga należą do mnie.

— Gdy Herman rozplynał się w powietrzu pośrodku oceanu, gdzie go pan ukryłeś? Kapitan, stewardzi, detektyw okrętowy, wszyscy go szukali — zapytał Amerykanin.

— Oni pracują dla mnie. Dla mnie, Osgood. Herman nie bardziej zniknął na środku oceanu niż pan. Nie przyszło nam do głowy, że kilka dni po komedii z zamykaniem go złoży mu pan wizytę, i to bez eskorty. Umieściliśmy go bezpiecznie w sekretnych pomieszczeniach pod kwaterami kapitana, tam gdzie dopiero co przebył drogę powrotną do Bostonu. Ale w tym momencie, ośmielałam się stwierdzić, już mi pan ufał i powierzyłby mi pan swoje życie. I powinien pan być. Herman ochraniał pana w Londynie przed łotrami z opiumowej meliny, gdy ci głupcy zaatakowali pana dla pańskiej sakiewki, a także zostawił pana w miejscu, w którym pomoc musiała się pojawić. Uratował panu życie.

— Abym mógł żyć wystarczająco długo, by odnaleźć to, czego pan szukał.

Wakefield skinął głową.

— Tymczasem moje interesy zaczęły podupadać — niedokonane sploty, dystrybutorzy unikający moich dostaw. Jak pan myśli, dlaczego te łotry aż śliniły się na pański widok? A cóż to dla nich zabić obcego dla szylinga? Całe środowisko handlarzy opium

traciło grunt pod nogami, gdy wraz z resztą świata czytali odcinki *Tajemnicy Edwina Drooda*.

— Ale to dlaczego?

— Bo ludzie w moim fachu natychmiast dostrzegli w opowieści Dickensa to, czego i pan się dokopał: historię Edwarda Trooda, a w sugestiach, jakoby Drood przeżył, wyczuli zagrożenie dla naszych interesów. Nie mogliśmy także pozwolić sobie na to, by „zabójcy” Trooda przyciągali jeszcze więcej uwagi — dlatego Herman wykradł statuetkę z domu aukcyjnego. Bo widzisz pan, tę figurkę Turka pewien pośledni artysta wykonał na wzór i podobieństwo prawdziwej osoby, Imama, handlarza opium, który pomagał w ukryciu „moich” zwłok. Chcieliśmy uniknąć wystawiania twarzy Imama na największej aukcji, jaka kiedykolwiek odbyła się w ostatnich stu latach w Christie! To zainteresowanie wszystkim, co łączyło się z ostatnimi dniami Dickensa i z jego książką, groziło katastrofą!

— Gdyby uwierzono — wtrąciła się Rebeka — że Trood żyje, pańskie przedsiębiorstwo mogłoby się rozpaść, gdyż rozsądziłyby je wątpliwości, a to z powodu kłamstwa, na którym je pan zbudował. Ludzie zaczęli myśleć, że ten rzekomo zamordowany Trood żyje i zna pańskie sekrety.

Wakefield machnął dłonią.

— Widzi pan, panie Osgood, pańska buchalterka jest urodzoną kobietą interesów. Tak, to prawda. Gdyby uwierzono, że Eddie Trood nie umarł, oznaczałoby to, że przeczaił się i czeka, by wykorzystać swą wiedzę do zniszczenia nas. Ale to nie wszystko, co nie dawało mi spokoju, odkąd Dickens wziął pióro, by opowiedzieć moje dzieje. Po sprawie Webstera i Park mana wasze miasto i metody śledztwa stały się sławne. Szkielet Parkmana zidentyfikowano na podstawie zębów. Od tamtej pory śmierć nie kończy wszystkiego. A gdyby do policji dotarły plotki o rzekomym przeżyciu „nieboszczyka” i zdecydowano by się rozkopać grób Eddiego Trooda?



Stwierdziliby, że to nie Trood, a co potem? Jeśli to nie on leży pod ziemią, to kto? Wiesz pan, ile wysiłku włożono by w Scotland Yardzie w rozwikłanie tej zagadki? Możesz sobie pan wyobrazić, jak czułbym się w Londynie, gdyby moje dawne wcielenie nagle ożyło! Arthur Grunwald przekonał ekipę z Surreya do odegrania właśnie takiego zakończenia sztuki opartej na powieści pana Dickensa, więc Herman spalił teatr rano w dzień naszego odjazdu. Szkoda, że Grunwald akurat przebywał w zielonym pokoju, podobał mi się jako Hamlet w Princess. Widzi pan, nawet Herman i ja nie zawsze jesteśmy doskonali.

Oczywiście, gdy zawinęliśmy do Queenstown, przeczytałem telegram od Toma Branagana. Na moje polecenie kapitan przekazał go mnie, zanim trafił do pana. Cóż za pocziwiec z tego waszego posterunkowego, że znalazł dowód sfałszowania przez Grunwalda listu do Forstera. Ten dokument nieźle byłby nam namieszał.

— Te sześć odcinków — zaczął Osgood, mocniej ścisnąc torbę z ostatnimi rozdziałami powieści Dickensa. — To wszystko, o co wam chodzi, o zniszczenie tych stron? — przycisnął sakwę do piersi.

Wakefield roześmiał się.

— Gdybyśmy tylko mieli tu jakąś wesołą muzykę — powiedział ni stąd, ni zowąd. — Tak, to by nas uspokoiło. Jak sądzisz Hermanie Żelazna Głowo? — wyciągnął rękę, którą tamten ujął i ruszyli w tan, wirując w walcu wokół Osgooda i Rebeki. — Czy posiadamy dość wdzięku, jak pan uważa, Osgood? — Wakefield skłonił się ze śmiechem.

Widok dwóch morderców tańczących walca w tym magazynie mroził krew w żyłach. W całej tej scenie najdziwniejsze było to, że Herman na rozkaz Wakefielda był gotów zrobić z siebie głupca. Jak bezgraniczna musiała być brutalność Wakefielda, by zapanować

nad mordercą uznającym jedynie bezwzględność i siłę? Ten taniec, krok za krokiem, sprawił, że jedno stało się jasne: oni tutaj umrą.

— Proszę, miejcie litość, puśćcie wolno pannę Sand — odezwał się błagalnie Osgood.

Wakefield obrzucił spojrzeniem swych jeńców.

— Nie jestem takim strasznym człowiekiem, jak pewnie sobie pan wyobraża. Moją życiową klątwą są wizje, których innym nie dostaje. Potrafię objąć rozumem prawdy jeszcze niedocierające ani do pańskiego, ani mojego rządu. Ludzie zaczynają widzieć w opium i jego użyciu wcielenie szatana; w ich wyobraźni nałogowiec jawi się jako postać nierzeczywista i budząca tyle sympatii co wampir. Oburzano się na niemoralność handlu z Chinami. Niewiele trzeba, by Amerykanie i Anglicy, uznawszy opium za przyczynę wszystkich swych błędów, wydali jeszcze więcej zarządzeń i przepisów. W Chinach w końcu poddano się w walce z narkotykiem; tam sami będą hodować mak, by zaspokoić potrzeby obywateli. Poza tym wraz z otwarciem Kanału Sueskiego każdy przekłety drobny pośrednik wyposażony w byle łódkę będzie mógł dostać się do Chin, nie posiadając żadnych umiejętności ani wiedzy na temat handlu; na wybrzeżach wręcz się od nich zaroi. To właśnie pańscy rodacy głośno domagają się dostaw, te dziesiątki weteranów — zarówno Jankesi, jak i żołnierze Południa — którzy powrócili do domów okaleczeni i pragną ukojenia, a społeczeństwo, zafascynowane pogonią za postępem, ignoruje te nieszczęsne, usychające dusze. Teraz, wraz z pojawieniem się igły do zastrzyków, każdy potrzebujący mężczyzna i kobieta, jeśli zechce, będzie mógł dzięki temu lekarstwu osiągnąć rozkosz, której bez sztucznej podniety nie znajdzie już wirze miejskiej egzystencji. Ameryka to kraj eksperymentów — nowa religia, nowe lekarstwo, nowy wynalazek — tu zmiany dotyczą wszystkiego. Alkohol przemienia człowieka w

zwierzę, opium natomiast przydaje mu boskości. Strzykawka zastąpi butelkę i stanie się niezawodnym lekiem, zawsze obecnym w kieszeni biznesmena, księgowego, matki, nauczyciela oraz prawnika dotkniętego przekleństwem współczesnych trosk. Co pan o tym sądzi, Osgood? Och, ja wiem, pana dziedziną są książki, ale wszystko się do tego sprowadza: znać swych klientów, wiedzieć, jak chcieliby uciec od ponurego świata, dopilnować, by nie mogli się bez pana obyć. Mózg współczesnego człowieka zmarnieje, jeśli nie znajdzie drogi do osiągnięcia stanów ekscytacji i oszołomienia. Pan i ja, obaj szukaliśmy tego samego u Dickensa, by chronić siebie i ludzi od nas zależnych. O nie, nie pragnę niczyjej śmierci.

— Daniel Sand był zależny ode mnie — odezwał się Osgood — a ja nie zdołałem go ochronić.

— Ale mógł pan — zaprzeczył Wakefield — gdyby tak bardzo nie zależało mu na pańskiej aprobachie — tu zwrócił się prosząco do Rebeki: — Moja droga, obawiam się, że dzisiaj zdobyła pani zbyt dużo wiedzy, bym w przyszłości mógł nie obawiać się z pani strony pewnych kłopotów, nie mogę więc pozwolić pani odejść wolno. Zafascynowała mnie pani od chwili, gdy ją ujrzałem. niesprawiedliwość władająca światem oboje nas uczyniła niezauważalnymi. Mniejsza o zasady pani rozwodu, mniejsza o tę posiadłość, którą Osgood rzucił pani za połowę stawki, a z niej samej uczynił wyrobnicę; wracaj ze mną do Anglii, gdzie będziesz miała wszystko, co zechcesz, wszystko, na co zasługujesz. To dlatego odsłoniłem się całkowicie przed panią, chciałem, byś zrozumiała powody tego, co się stało, abyś w swym sercu mogła rozważyć moją ofertę dogłębnie i ostatecznie.

Nie ruszając się z miejsca, Rebeka spojrzała najpierw na Osgooda, potem na Wakefielda.

— Zabił pan Daniela! Nie jest pan nikim więcej jak łotrem i kłamcą! Nawet przy wszystkich jego wadach, zważywszy na okrucieństwo świata, kobieta mogła pokochać Eddiego Trooda, ale nigdy takiego oszusta jak pan!

Twarz Wakefielda poczerwieniała i zareagował błyskawicznie: wymierzył jej policzek. Ku jego wyraźnemu zdziwieniu, nie krzyknęła.

— Nie dam panu tej satysfakcji, panie Trood — powiedziała z goryczą, widząc, jak w jego gniewnych oczach pojawia się błysk oczekiwania. — Będę płakać za moim bratem, ale nie z powodu czegokolwiek, co pan mógłby mi wyrządzić.

— Niewdzięcznica — stwierdził Wakefield, odwrócił się od niej i włożył kapelusz. — Dobrze się pan spisaleś, tresując ją na wzór tych swoich wyniosłych nieudaczników, panie Osgood. Niech więc tak będzie. Pościeliłaś sobie łóżko, Rebeko, a teraz oboje musicie się na nim wyspać.

Odwrócił się do nich plecami.

— Pański ojciec! — odezwał się Osgood.

Wakefield zwolnił kroku.

— Pański ojciec tęskni za panem, Edwardzie — ciągnął wydawca.

Wakefield westchnął żałośnie. Potem, odwracając się, roześmiał się, tym razem szorstko.

— Dziękuję panu. Będę musiał dopilnować, by staruszek nigdy już nie opowiadał mych dziejów nikomu, kto mógłby wyciągnąć z nich jakieś wnioski, tak jak pan. Złożymy mu wizytę po powrocie do Anglii, to pewne, a także Jackowi Chińczykowi i pańskiemu przyjacielowi Branaganowi.

Znikł na schodach.

Herman stał, wykrzywił zaciśnięte wargi; wreszcie uniósł łaskę. Uderzył nią w sakwę Osgooda, rozrzucając po podłodze strony ostatnich sześciu odcinków *Edwina Drooda*.

**H**ormazdzie, proszę, możemy się dogadać — zwrócił się do niego błagalnie wydawca. — To nie żydowski targ — odrzekł tamten, przez chwilę zaskoczony dźwiękiem swego imienia. — Żadnego dogadywania się. — Przez moment zdawał się kontemplować obrzydłą głowę stwora wieńczącą łaskę. Potem spojrział wściekle na więźniów. — Żałuję tylko, Osgood, że pan Wakefield uparł się, by namawiać ją do odejścia z nami. Czekanie mnie złości. Mogę was wykończyć nawet gołymi rękami.

— Dlaczego tak mną pogardzasz? — zapytał Osgood.

— Ponieważ sądzisz, Osgood, że z każdym się zaprzyjaźnisz dzięki temu twojemu szerokiemu uśmiechowi. Wydaje ci się, że każdy może być taki jak ty. — Odpowiedź Hermana zabrzmiała jak wyznanie, bardziej zdradzając jego prawdziwe myśli, niżby sobie życzył.

— To pan Wakefield uczynił cię takim, jakim jesteś, Hermanie! — stwierdziła przekonująco Rebeka. — Zrobił z ciebie pirata.

— Ja się takim urodziłem, dziewczyno.

Na schodach rozległy się czyjeś szybkie kroki. Gdy Herman obejrzał się, spodziewając się Wakefielda, zadufany uśmiech znikł mu z twarzy i Osgood dostrzegł jego zmieszanie. W mgnieniu oka rzucił się na parsa, skoczył mu na plecy i ręką zasłonił mu oczy. Ten warknął i żelaznym uchwytem podważył palce atakującego. Osgood wylądował na ziemi, zacisnął pięści w boksinerskiej pozie.

I właśnie w tym momencie w tył owiniętej turbanem głowy Hermana uderzył kij.

Za parsem, trzymając w ręce kij z ostrzem i hakiem, stał mężczyzna, którego Osgood poznał pod nazwiskiem Dicka Datchery'ego — Jack Rogers.

Rozległ się niemiły dźwięk, gdy pałka zderzyła się z czaszką Hermana. Ale ten nie drgnął, w zadumie mrużąc oczy.

— Herman Żelazna Głowa — szepnął Osgood.

— Żelazna Głowa? — powtórzył Rogers zaniepokojony.

Herman odwrócił się powoli, przygotowując laskę do ciosu. Uświadomiwszy sobie, że ten człowiek wciąż nie jest ranny, Rogers pchnął go ostrym końcem pałki w mostek. To oszołomiło Hermana. Wypuścił laskę i opadł kolanami na podłogę. Atakujący z okrzykiem ponownie zamachnął się pałką i jak tylko najmocniej potrafił, zdzielił Hermana w głowę. Kij pękł, kawałki haka i szpica frunęły w powietrze. Pars osunął się na czworaki i padł bez sił, oślepiony własną krwią; ciałem przykrył laskę.

— Rogers! — krzyknął Osgood, przenosząc wzrok z Hermana na byłego policjanta Harperów. — Skąd pan wiedział...?

— Obiecałem spłacić dług, Ripleyu — odrzekł tamten, ciężko dysząc. — Ja dotrzymuję słowa.

Osgood pochylił się na podłogę, rzucił się zbierać rozsypane strony *Drooda*.

— Nie ma czasu, Ripleyu! Nie ma na to czasu! — krzyknął Rogers. — Gdzie Wakefield?

— Już odszedł, prawdopodobnie z powrotem na statek — odrzekł wydawca.

— Idziemy!

Upychając skarb w sakwie, Osgood zawahał się, nim ujął dłoń, którą Rogers do niego wyciągnął. Ten wydawał się na to przygotowany.

— Ponieważ takie otrzymałem zadanie, oszukiwałem pana w Anglii, mimo że doskwierało mi sumienie. Teraz moim obowiązkiem jest postępować zgodnie z tym, co mi ono każe. Musi mi pan zaufać, od tego zależy wasze życie!

Osgood skinął głową i po drodze do drzwi przekroczył nieruchomego Hermana. Rebeka przystanęła na moment ze łzami w oczach. Spojrzała w dół, na mężczyznę na ziemi i zaczęła trącać go w plecy obcasem.

— Rebeko! — wydawca otoczył ją ramieniem. — Idziemy!

Uścisk Osgooda przypomniał jej poprzednią sytuację i grożące im dopiero co niebezpieczeństwo. Jego bliskość od razu pomogła jej w odzyskaniu równowagi.

Gdy wchodzili po schodach, Rogers pospiesznie opowiadał:

— Wakefield to bardzo groźny człowiek, Ripleyu, i często kursuje między Bostonem, Nowym Jorkiem i Anglią, ale sądzę, że jedyna herbata, z jaką ma do. czynienia, to ta w jego własnej filiżance.

— Co udało się panu odkryć? — zapytał wydawca.

— Siedząc tych ludzi, znalazłem mnóstwo dowodów, które należy dostarczyć policji, dotyczących napaści i morderstw dokonywanych przez jego agentów w celu chronienia przedsięwzięcia.

— Twierdził, że tylko słowa Dickensa mogą przyczynić się do jego upadku — przypomniał Osgood.

— I miał rację. Teraz spravimy to my. Dzięki Bogu znalazłem was na czas, Ripleyu. Tutaj, z panną Rebeką.

Gdy dotarli na górę, Rogers ruchem ręki nakazał dwójce Amerykanów, by zaczekali. Pierwszy wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się, czy gdzieś nie widać Wakefielda. Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, pomachał im, by wyszli. Wynajęty przez niego powóz stał po drugiej stronie ulicy na wypadek, gdyby któryś ze zbirów zatrudnionych przez Wakefielda obserwował budynek.

W pobliżu nie widać było nic podejrzanego i Rogers dał znak uratowanemu, by wsiedli do powozu. Gdy mężczyźni pomagali Rebecce wspinać się po stopniach, za nimi rozległo się chrząknięcie i powietrze przeciął lśniący przedmiot. Rozwścieczony Herman stał w drzwiach budynku, z ramieniem jeszcze zakrzywionym po zamachu.

Rogers spojrział w górę akurat w chwili, gdy kordelas przeszył mu szyję. Ze stopni powozu runął na chodnik. Rebeka potknęła się, przydepnąwszy kraj sukni i omal nie spadła na ulicę.

— Rogers! — krzyknął Osgood. Uklęknął u boku swego wybawcy, ale mężczyzna w jednej chwili wykrwawił się na śmierć. — Nie! Rogers!

Woźnica zaklął, chwycił za lejce, podniósł bat.

Rebeka skrzyła nogę w kostce, ale nadal wisiała u klamki drzwiczek powozu. Osgood podsadził ją i wpadła do środka pojazdu w chwili, gdy konie ruszyły klusem, odtrącając jej pracodawcę na bok.

— Nie! Panie Osgood! — krzyknęła, wyciągając dłoń.

Ten, stojąc wśród wznieconej przez powóz chmury kurzu i żwiru, wrzasnął na woźnicę, by jechał tak szybko, jak się da. Herman mógł ruszyć tylko za jednym z nich, a to Osgood miał przy sobie torbę z rękopisem. Przynajmniej Rebeka będzie bezpieczna.

Wydawca rzucił się biegiem przez Washington Street, przyciskając dłoń do obandażowanych żeber, aby trochę uspokoić bolesny oddech. Pars zamierzał go zabić i nic go nie powstrzyma; zdemoluje wszystko, co stanie mu na drodze, by go dopaść. Osgood pędził, a Herman deptał mu po piętach.

Na wprost widać było Sears Building, budynek, który Osgood dobrze znał, jako że mieścił się w nim jego bank. Przed głównym wejściem portier z kluczami na kółku zamykał bramę. Osgood liczył



na to, że w budynku uda mu się zgubić Hermana i uciec. Przebiegł obok portiera i wpadł do środka.

Dotarł na drugi koniec głównego korytarza, gdzie wypatrzył inne wyjście na ulicę. Gdy się zbliżał do drzwi, zadrżały i powoli się otwały — pojawiła się nich postać o łobuzerskiej fizjonomii, potarganej brodzie i z trójgraniastym kapeluszem na głowie. Następny handlarz opium z „Samarii”, przysłany przez Wakefielda? Osgood zatrzymał się w pół kroku.

Echo biegnących stóp Hermana zdawało się dochodzić z każdego miejsca, z góry, z dołu, ze wszystkich stron. Osgood zwrócił się w jednym kierunku, potem w drugim, wahał się z wyborem korytarza. Wreszcie wbiegł na środek holu, otworzył drzwi windy. I wtedy do niego dotarło: o tej porze nie ma windziarza! Chłopcy nie sypiali w tych małych pokoikach, mimo wyściełanych siedzeń i luksusowego wystroju. On sam był tutaj wielokrotnie, gdy załatwiał codzienne interesy, a winda niosła go do banku na siódmym piętrze. Czy zapamiętał coś ze sposobu, w jaki windziarze ją obsługiwali?

Z głową przekrzywioną na bok, Herman wsłuchiwał się w dochodzące doń dźwięki. Narastający stukot pompy parowej; głośny brzęk łańcuchów, szcęk metalu. Przystanął w holu i wzrokiem lustrował otoczenie: schody po obu stronach budynku. Przebiegł na drugi koniec, podążając za pogwizdywaniem unoszącej się gdzieś nad jego głową pary.

Osgood gorączkowo obmyślał plan działania. Zatrzyma windę na środkowym piętrze, wybiegnie z niej, popędzi w dół schodami i wymknie się z budynku, gdy tymczasem Herman nadal będzie go szukał wewnątrz.

Windę w Sears Building nazywano ruchomym salonem. W sklepionym na kształt kopuły suficie kabiny umieszczono świetliki,

elegancko zwieszał się z niego żyrandol. Podłączoną do lampy instalację gazową maskowała dyskretna rurka. Reszła kabiny mogłaby równie dobrze być kątem salonu na Beacon Hill. Pod stopami rozciągał się gruby dywan, a wzdłuż trzech ścianek ustawiono sofy. W górnej części wykończonej połączoną listwą boazerii z francuskiego orzecha umocowano olbrzymie, lśniące lustra.

Dźwignie nie sprawiały wrażenia łatwych w obsłudze, w rzeczywistości manewrowanie nimi było jeszcze bardziej skomplikowane, niż się wydawało — Osgood przestawił je i winda ruszyła gwałtownie, szarpnięciami, i natychmiast jego plan przestał wydawać mu się taki dobry. Zatrzymanie mechanizmu okazało się jeszcze trudniejsze, ale udało mu się ustawić kabinę prawie na poziomie czwartego piętra.

Wydostał się z windy, popędził do klatki schodowej i zbiegał na dół, aż usłyszał kroki zdążające ku niemu, do góry. To on! Osgood zawrócił i próbował z powrotem uciec na czwarte piętro, jednak zawahał się przez chwilę i Herman znalazł się na tyle blisko, by niemal złapać go za kostkę. Wydawcy udało się jednak dotrzeć na szóste piętro. Z trudem łapiąc oddech, dowlókł się do drzwi windy i nacisnął guzik, by przywołać ją z czwartego. Niech diabli wezmą tę ospałą parową pompę! Błagam, szybciej. Kabina nadjechała i Osgood całym ciałem rzucił się do środka, uderzając piersią o podłogę.

W chwili gdy drzwi się zamykały, pars właśnie go dopadał. Wyciągnął laskę — drzwi ją przytrzasnęły. Osgood przed długą sekundę stał oko w oko z połączanym obliczem Kylina, patrzył na sterujący ze łba róg, zaglądał w puste, onyksowe oczy. To, co wcześniej zdawało się demoniczne, mrozące krew w żyłach, z bliska traciło swą moc. Stawało się lichą połączaną błyskotką. Osgood z całej siły szarpnął laskę, chwytając za kłujący kark Kylina. Padł do tyłu, na plecy, z laską w rękach, a drzwi kabiny zatrzasnęły się. Czubkiem

buta kopnął dźwignię i winda ruszyła w dół.

Miał nadzieję, że oddali się od zbója na tyle (o trzydzieści sekund?), by zdążyć wydostać się z budynku. Ale gdy nasłuchiwał dochodzącego z dołu szumu pary, pomyślał o odważnym Jacku Rogersie, o niemądrym Sylvanusie Bendallu; o biednym Danielu Sandzie na zimnej płycie w kostnicy; o przerażeniu Jahi; i o Wakefieldzie, z zimną krwią pływającym walca, o jego groźbach uciszenia Williama Trooda i Toma; także o Rebecce. I już wiedział, bez najmniejszej wątpliwości, że nie wolno mu tak po prostu uciec z budynku, pozostawiając Hermana na wolności, by znowu ich zaatakował. Przez moment był zdumiony własną determinacją. Parsa należało zatrzymać raz na zawsze — tutaj.

Minął pierwsze piętro. Z każdą chwilą manewrowanie dźwignią szło mu lepiej, w podziemiu już całkiem miękko zatrzymał kabinę. Przeszedł do sąsiadującej z nią maszynowni, skąd kierowano mechanizmem, i wymierzył mocnego kopniaka — bez rezultatu — w rurę z parą poruszającą windę. Ujął więc laskę i uderzał nią, powtarzając ciosy, aż zawór zgiął się, wreszcie pękł, a laska także pękła — odpadł czubek głowy monstrualnego połączanego oblicza. Osgood powrócił do windy i przykucnął w oczekiwaniu, nie spuszczać oczu z klatki schodowej; oddychał ciężko, pęknięte żebra sprawiały mu przeszywający ból, bandaż pod koszulą poluzowały się i czuł, jakby lada chwila jego ciało miało złamać się na pół. Gdy Herman pokazał się w drzwiach sutereny i gwałtownie rzucił się naprzód, Osgood zatrzaskał drzwi windy i natychmiast puścił windę w ruch, do góry, w szalonym tempie.

Gdy kabina wzbila się w powietrze, z uszkodzonego mechanizmu wystrzelił gejzer pary, wprost na pędzącego Hermana.

Oślepiiony, oszołomiony najemnik wrzeszczał i kręcił się w kółko, w końcu potknął się i runął do szybu.

Na górze Osgood wpadł w panikę. Winda kołysała się i trzeszczała, jako że siła pary słabła. Nagle kabina stanęła na piątym piętrze, nie całkiem na poziomie podestu, ale i tak zdołał się z niej wygramolić, postępując z bólu przy każdym zetknięciu z drewnianą podłogą. W tym momencie łańcuchy puściły i pusta kabina runęła bezwładnie w dół. Herman, zamroczony, kuląc się na dnie szybu i usiłując odczołgać się od parzącej pary, spojrzawszy w górę, zdążył jeszcze zobaczyć kabinę, zanim go zmiażdżyła. Siła uderzenia była tak wielka, że ogromne ciało zbira przebiło się przez zgruchotaną podłogę, a spadający żyrandol i świetliki obsypały go deszczem tysięcy odłamków.

Oszołomiony, a zarazem w pełni przytomny Osgood wstał i patrzył w dół szybu. W płomień eksplozji na dnie. Właśnie z powrotem upychał swoją sakwę, gdy ktoś złapał go za ramiona.

— Nie! — wrzasnął.

— Hej! Jesteś cały, człowieku?

Był to ten sam obszarpaniec o rozwichrzonej brodzie, którego zauważył na dole, tyle że teraz broda nabrała wyraźnie rdzawej barwy.

— Przy wejściu miałeś pan niewyraźną minę — ciągnął nieznamy, przesuując dłonią po ramionach i rękach Osgooda, a także wokół upchniętej na piersiach sakwy, by sprawdzić, czy wydawca nie doznał jakichś obrażeń.

— Muszę wezwać policję — oświadczył Osgood. — Tam na dole leży ranny człowiek...

— Już kipnął! — krzyknął typ z niechlujnie porastającą brodą. — A policję wezwano, dobrodzieju. Choć po tym, co widać, z

tego na dole niewiele pozostało. Te windy! No cóż, ja bym do takiej nie wsiadł, nie po tych demonstracjach na targach, gdy to zdarza się, że ginie jedna czy dwie osoby naraz, i to w dobrym dniu. Jak mówię, powinno się je wycofać. A jak mogę pomóc? Mam wóz przed budynkiem. Dokąd pana zawieźć?

Czyżby ten rdzawobrody był jeszcze jednym portierem? I wtedy wydawcę olśniło: powierzchowność nieznanego odpowiadała opisowi Melasy, tego z wielokolorową brodą, jednego z osławionych piratów książkowych, pysznącego się zdobyciem *Przygód Filipa Thackeraya*, zanim dzieło to ujrzała reszta świata.

— Dawaj pan to — zażądał Melasa, zmieniając się na twarzy, gdy połapał się, że został rozpoznany. — Nie wiem, co dokładnie tam masz, ale Major pewnie zapłaci potrójnie, cokolwiek by to było. A dziś wieczorem nie jesteś pan w formie na przepychanki.

Co on może wiedzieć na temat kwoty, jaką Harper by zapłacił! — pomyślał Osgood. Wiedział już, że policja nie przybędzie; w każdym razie ten człowiek jej nie wezwał.

Z dołu dobiegł jęk. W maszynowni rozległ się kolejny wybuch i płomienie sięgnęły piętro wyżej. Z tego, jak się pocił, Osgood wnosił, że żar podchodzi coraz bliżej. Wnet rurka z gazem oświetlającym pęknie i cały szyb stanie w ogniu.

Gdy cofał się w stronę windy, dojrzał na twarzy Melasy nagły przestрах. Dłonie książkowego pirata powoli powędrowały w górę. Osgood błyskawicznie obrócił się na pięcie i ujrzał nadchodzącego od strony schodów Wakefielda. Kupiec ciągnął Rebekę za rękę, przykładając jej pistolet do szyi. Na jej ramionach i twarzy widniały sińce, suknię miała w wielu miejscach podartą.

— Rebeka! — krzyknął Osgood wstrząśnięty.

— Niestety, drogi Osgoodzie, woźnica wynajęty przez pańskiego świętej pamięci bohatera niemal stracił rozum z tego całego zamieszania — oznajmił Wakefield. — Powóz przewrócił się, ale nie obawiaj się pan, byłem w pobliżu, by ruszyć na ratunek pańskiej damie, jak wielokrotnie wcześniej.

— Zostaw ją, Wakefield! — krzyknął Osgood i szybko dodał, tak spokojnie jak tylko zdołał: — Wciąż możesz pan tam zejść. Jest jeszcze dość czasu, by go uratować.

Tamten spojrział w dół, na płomienie liżące ciemności sześć pięter niżej, gdzie zmagало się ze śmiercią pogruchotane ciało Hermana.

— Wątpię, czy to przeżyje, raczej nie. Jest wielu innych czcieli ognia, którzy będą mi służyć dla zysku.

— Jest pańskim przyjacielem — nie rezygnował Osgood.

— Zaledwie trybikiem w mojej machinie, a znaczy dla mnie tyle, co pan i pańskie poszukiwania. A teraz powiem, czego chcę. Rzuć pan sakwę w dół, w płomienie, a daruję życie i tobie, i tej twojej głupiej dziewczynie!

— Nie rób tego, James! — krzyknęła Rebeka. — Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło!

Osgood ruchem warg dał jej znak, by się nie martwiła, a uśmiechem dodał jej otuchy. Za pasek uniósł sakwę nad szybem.

— Bardzo dobry ruch, mój chłopcze. Jednak potrafisz słuchać innych. — Wakefield uśmiechnął się. — Niech się pan nie martwi, Osgood, świat nie zostanie pozbawiony zakończenia powieści Dickensa.

Wydawca spojrział na niego, nie rozumiejąc.

— Co masz pan na myśli?

— To oczywiste! Gdy już zniszczymy te kartki, mam zamiar sam odnaleźć pozostawione przez Dickensa zakończenie! A w każdym razie takie, jakie podobałoby się mnie: odnalezienie zwłok

Edwina Drooda — z całą pewnością martwego — pochowanych w krypcie w Rochester. Czy zaskoczy pana wiadomość, Osgood, że posiadam znajomości wśród największych fałszerzy, oszustów i podrabiaczy? Na podstawie próbek pisma Dickensa każę moim ludziom stworzyć sześć odcinków najwspanialszego literackiego fałszerstwa, jakiego kiedykolwiek próbowano dokonać, klasę wyżej od amatorszczyzny pana Grunwalda. Jestem pewien, że John Forster będzie aż nadto szczęśliwy, gdy je dostanie, jako że rzecz będzie zgodna z jego własnymi spekulacjami. Jest tylko jeden problem. Musimy pozbyć się oryginalnego zakończenia powieści Dickensa, zanim stworzę własne. A w tym pan zaraz mi pomożesz.

— Najpierw odsuń od niej pistolet, Wakefield — zażądał Osgood. — Potem zrobię, o co prosisz.

— Nie pan tu rozkazujesz! — ryknął tamten, gwałtownie potrząsając Rebeką.

Ale Osgood poczekał, aż wylot lufy odchylił się nieco w innym kierunku. Kiwnięciem głowy zaakceptował gest przeciwnika, po czym puścił sakwę, ale wciąż przytrzymał koniec paska, pozwalając jej dyndać nad płonąca otchłanią szybu windy.

— Dla mnie byłaby to najwspanialsza publikacja, Wakefield — powiedział zadumany rozmarzonym tonem. — Tylko pomyśl pan, jaki to byłby skarb! Nie tylko ochronilibyśmy naszą firmę przed konkurentami, ale także oddalibyśmy sprawiedliwość ostatniej pracy pana Dickensa i przekazalibyśmy ją czytelnikom. Ale dla pana zakończenie *Drooda* znaczy jeszcze więcej. Chodzi o pańskie życie. Nieprawdaż? Te ostatnie sześć odcinków mogłyby pana zniszczyć, gdyż wszystkie oczy na świecie byłyby skierowane na każde słowo powieści.

— I właśnie dlatego upuścisz je pan! — zawył Wakefield, tracąc resztki opanowania. — Puść!

Na dole rozległy się dwie następne potężne eksplozje... usłyszeli ostatnie jęki smażącego się Hermana... płomienie buchały w górę, lizaly żelazne obramowanie szybu, zmieniając go w gigantyczny, otwarty komin, i przypominały Osgoodowi, że już nie ma wyboru.

— *Drood?* — zdziwił się Melasa i aż stęknął, gdy prawda do niego dotarła. To *Drood* tam jest?

— Cicho! — wrzasnął Wakefield. — No już, Osgood.

Ten posłusznie kiwnął głową.

— Rzuć, Wakefield. Obiecałem i tak zrobię.

— Wiem o tym, Osgood.

— Ale musisz pan mieć nadzieję — ciągnął wydawca — że przez całą drogę od Medical College nie zatrzymałem się na moment, by wymienić tekst na jakieś bezwartościowe szpargały lub napchać sakwę liśćmi czy czystymi kartkami. Jesteś pan do końca przekonany, że zniszczyłbym to, czego tak szukałem, nawet dla kobiety? Jesteś pan absolutnie pewien?

— Owszem, Osgood. Kochasz ją.

— Tak — przyznał bez wahania wydawca. Rebekę na chwilę opuścił cały strach. — Ale powiedz mi, Wakefield — kontynuował Osgood — czy znalazłby pan w sobie moc, by zrobić coś takiego, zniszczyć wszystko, czego pragnąłeś, by uratować kogoś, kogo kochasz?

Oczy Wakefielda stały się ogromne, z czoła spływał mu pot. Powoli podszedł do wydawcy. Wycelował do niego z pistoletu i cał z calem przybliżał się do torby.

— Ani drgnij, Osgood — powiedział, przystawiając mu wylot lufy do czoła. Ten posłusznie skinął głową. Spojrzeniem powędrował w stronę Rebeki i w chwili, gdy spotkały się ich oczy, zrozumiała, co ma robić.

Wakefield wsunął dłoń do sakwy i wyciągnął gruby plik stron zapisanych galasowym atramentem, oblepionych odłamkami



gipsowej figurki. Trzymał broń pewnie, jedną ręką, podczas gdy drugą przybliżył kartki do oczu. Po chwili ciszy przez jego twarz przesunął się ponury cień. Niezręcznie używając dwóch palców dłoni, w której trzymał broń, odwrócił stronę, by spojrzeć na następną, potem jeszcze jedną, wreszcie przewertował je do ostatniej.

Wpatrywał się w tekst skoncentrowany, z twarzą wykrzywioną grymasem zachwytu i zaskoczenia. Gdy stało się oczywiste, że nie widzi niczego poza manuskryptem, Rebeka rzuciła się do przodu. Z całej siły pchnęła Wakefielda od tyłu. Człowiek i rękopis na chwilę splątali się ze sobą. Wreszcie przeważył instynkt samozachowawczy i Wakefield jedną ręką przytrzymał się żelaznej poręczy, równocześnie pistoletem trzymanym w drugiej celując w głowę Osgooda — gdy wznoszący się z dna szybu żar sięgnął do żelaznego pręta i pod nieochronioną rękawiczką dłonią Wakefielda zasyczała para. Człowiek nie wytrzymał bólu i zwolnił uchwyt, po czym runął w dół szybu, z nieprzerwanym wrzaskiem spadając w piekło. Gdy leciał, w powietrzu wokół niego unosiły się kartki. Nasyciły ogień, niczym świeże drewno karmi zimą płomienie w palenisku. Wakefield uderzył o dno i zawył nieludzko.

Zdawało się, że w ostatniej chwili życia jego oczy zatrzymały się na którejś z końcowych stron Dickensa, obracających się w proch. I wszystko pochłonął żywioł.

Osgood, z poszarzałą twarzą, przyciskając ramionami żebra, opadł bezwładnie na kolana z wyczerpania, przerażenia i ulgi. Patrzył, jak kartki na dole przechodzą kolejne stadia rozpadu i popielenia. Oddychanie sprawiało mu straszliwy ból.

— Panie Osgood! — zawołała Rebeka. Odciągnęła go do tyłu akurat w momencie, gdy Melasa dopadł do krawędzi szybu. Pirat usiłował pochwycić zabłąkane kartki.

— *Tajemnica Edwina Drooda!* — krzyknął. — Nawet jedna strona byłaby bezcenna! — kapelusz spadł mu z głowy i zapalił się, gdy po kolejnej eksplozji w maszynowni płomień wystrzelił w górę.

Osgood niezdarnie podniósł się na nogi, przechylił się do rozpalonego do czerwoności szybu i chwycił Melasę za kołnierz i tył płaszcza, którego kraj już się tlił.

— Jedna strona! — powtarzał pirat. — Choćby jedna!

— Melasa! Już nie ma! Już przepadło!

Wydawca odciągnął Melasę akurat w chwili, gdy maszynownia eksplodowała raz jeszcze i w zdewastowanym szybie windy buchnęła potężny słup ognia. Gdy patrzyli na to z wysokości piątego piętra, Osgood mocno przytulił Rebekę.

— Szybko! — popędzał teraz pirat, błyskawicznie odzyskawszy zdrowy rozsądek; ogień i para coraz bardziej się przybliżały.

Gdy trójka, której udało się przeżyć, zbiegała schodami, Melasa od czasu do czasu lamentował z żalu za straconymi stronami.

— Nie mógłbyś pan przecież, prawda? Jakże pozwoliłbyś pan na zniszczenie zakończenia *Tajemnicy Edwina Drooda!* Ostatnie słowa Dickensa w słupie dymu!

Biedny pirat nie potrafił pogodzić się z klęską i towarzyszył strażakom, gdy weszli do budynku, przyciągając z blisko ustawionych wozów gumowe węże. Tymczasem Rebeka pomogła Osgodowi dotrzeć do krawędzi chodnika. Usiadł i gwałtownie się rozkaszał.

— Powinien pan pójść do lekarza — poradziła.

Osgood uniósł dłoń, dając jej znak, by zaczekała, aż mu przejdzie.

— Mam nadzieję, że nie urażę damy — oznajmił, gdy tylko odzyskał głos. Zeskrobał popiół i sadzę z dłoni, którą następnie

wsunął pod podartą koszulę, pod bandaże pętające mu klatkę piersiową.

Wyjął cienki plik kartek rozplaszczonych na ciele.

— Czy to...? — Rebeka aż się zatchnęła.

— Ostatni rozdział — gdy byłem w windzie sam, ukryłem go.

Na wszelki wypadek...

— Panie Osgood! To wspaniałe! Przecież nawet bez całej reszty zakończenie wszystko zmienia. Jaki więc los spotkał Edwina Drooda? — Wyciągnęła dłoń ku kartkom, zawahała się. — Czy mogę?

— Zasłużyła pani na to tak samo jak ja — zapewnił, podając jej arkusze.

Spojrzała na nie, przesunęła dłonią po wierzchniej kartce, jakby słowa można było wyczuć dotykiem. W jej jasnych oczach błyszczała ciekawość i zdumienie.

— I jak? — zapytał Osgood, z góry przewidując odpowiedź. — Co o tym sądzisz, ukochana? Zdołasz przeczytać?

— Ani słowa! — odrzekła i roześmiała się. — Och, jakie to piękne!

## 39.

Charles Dickens od zawsze wiedział, że musi być najlepszy. Nie skończył jeszcze dwudziestu lat, gdy stanął w szranki z najbardziej doświadczonymi z londyńskich reporterów. Ich zadaniem było dostarczanie dosłownych przekazów z wystąpień najwybitniejszych członków parlamentu oraz sprawozdań z przebiegu najważniejszych spraw w sądzie Lorda Kanclerza.

Największy nacisk kładli na dwie kwestie: kto potrafi pisać najprecyzyjniej i kto robi to najszybciej. System brachygraficzny Gurneya, stenografia, pociągał Dickensa swą magią. Nigdy nie rozstawał się z podręcznikiem: *Brachygrafia, czyli łatwa i zwięzła metoda stenografowania*. System ten umożliwiał zwykłemu śmiertelnikowi — po sporej dawce ćwiczeń i modłów — skondensowanie w formie stronicy kresek i kropek rozwlekłego języka, jakim zazwyczaj posługiwali się bliźni. Potrafił zawrzeć przemowę oratora w plątaninie znaków i zaraz wybiec z sali. Jeśli zdarzenie nastąpiło poza stolicą, w Edynburgu czy na prowincji, mógł, jadąc powozem, przynieść te dziwne symbole na czysty papier; pochylony nad kartką pospiesznie pisał przy świetle małej woskowej lampki, tylko od czasu do czasu wychylając przez okno głowę, aby zapobiec mdłościom grożącym na wyboistej drodze.

Nieopierzony reporter Dickens po mistrzowsku opanował metodę Gurneya, podobnie jak jego ojciec, niegdyś na krótko zatrudniony jako stenograf, ale to mu nie wystarczało. Młody Dickens

zmienił i skorygował Gurneya — stworzył własną stenografię — doskonalszą i szybszą niż jakakolwiek inna. Wnet na końcu sprawozdań z najważniejszych wystąpień w Anglii zawsze widniało: C. Dickens, Stenograf, 5 Bell Yard, Doctors' Commons.

Dlatego potrafił napisać tak dużo, nawet połowę książki, podczas krótkich przerw w programie pobytu w Ameryce. Tylko w ten sposób jego pióro mogło dotrzymać kroku umysłowi i opisywać losy Edwina Drooda.

Przed laty metodę Gurneya zastąpiono systemem Taylora, a potem Pitmana. Rebeka, nim złożyła podanie o posadę buchalterki, uczyła się Pitmana w Szkole Handlowej Bryanta i Strattona dla Kobiet, przy Washington Street. Fields i Osgood, po schowaniu kartek stanowiących ostatni rozdział *Tajemnicy Edwina Drooda* w ogniotrwałym sejfie przy Tremont Street 124, skonsultowali się z najbardziej biegłymi stenografami w Bostonie (to właśnie kilku z nich, działających jako sprytni piraci książkowi, usiłowało skopiować improwizacje Dickensa w Tremont Temple, dopiero Tom i Daniel Sand ich powstrzymali). By zachować całą rzecz w tajemnicy, ekspertom pokazano tylko stronę czy dwie i nie wspomniano o pochodzeniu dokumentu. Niestety nie udało się osiągnąć żadnych rezultatów. Nawet dla znających system Gurneya znaki okazały się zbyt niezwykle, by — nie licząc kilku pojedynczych rozrzuconych słów — można je było rozszyfrować.

Cichcem wysłano telegramy do Chapmana & Halla z prośbą o radę w tej sprawie. Tymczasem Fields i Osgood po kryjomu uzgadniali z drukarzem i ilustratorem kwestie dotyczące specjalnego wydania *Tajemnicy Edwina Drooda*, łącznie z tym nadzwyczajnym, ostatnim rozdziałem.

Pierwszy tydzień po odzyskaniu rękopisu minął na niekończących się konsultacjach i spotkaniach z szefem policji, agentami

podatkowymi, stanowym prokuratorem i konsulem brytyjskim. Montague Midge, zaprzeczający wszystkim oskarżeniom, został z miejsca zwolniony, a policja przesłuchiwała go pod kątem konszach-tów z Wakefieldem i Hermanem. Na „Samarii” pojawili się celnicy oraz pewien gorliwy poborca podatkowy, niejaki Simon Pennock — w wyniku informacji zebranych przez Osgooda i zmarłego Jacka Rogersa — i do aresztu trafiła cała załoga. Zaalarmowano Królewską Marynarkę Wojenną i nie minął miesiąc, a udaremniono więk-szość operacji Marcusa Wakefielda.

Pewnego ranka Osgooda wezwano do biura Fieldsa, gdzie za-skończył go widok ustawionego wprost przed jego oczami wylotu długiej lufy.

— Witam, kolego!

Dubeltówka zwisała swobodnie z ramienia krzepkiego, rumia-nego mężczyzny w ciasno dopasowanym, sportowym ubraniu, wysokich skórzanych getrach, w bryczesach i z pasem na amunicję wokół okazałej talii. Frederic Chapman.

— Panie Chapman, proszę mi wybaczyć zdziwienie — zaczął Osgood. — Telegram do pana do Londynu wysłaliśmy dopiero niecałe dwa dni temu.

Chapman roześmiał się jowialnie.

— Widzisz pan, Osgood, załatwiałem w Nowym Jorku pewną nudną firmową sprawę i właśnie wybierałem się w pełni wyekwi-powany na polowanie w Adirondacks, gdy na stacji kolejowej za-trzymał mnie hotelowy posłaniec, przynosząc mi telegram z biura w Londynie z wiadomością od pana. Zawsze lubiłem Boston — ulice macie tu wyboiste, a wszelkie nowoangielskie trendy pozosta-ły teorią. Muszę przyznać, że to tutaj — delikatnie, z szacunkiem i podziwem ujął cienki plik kartek — jest wręcz niezwykle! Coś po-dobnego!

— A więc potrafi pan cokolwiek odczytać? — zapytał Fields.

— Ja? Ani trochę, panie Fields, nawet pojedynczego słowa! — oświadczył Anglik, nic a nic nie tracąc entuzjazmu. — Osgood, gdzie się pan podziewasz? A, jesteś. Powiedz pan, jak to znalazłeś?

Młodszy wspólnik spojrział pytająco na Fieldsa.

— Pan Osgood jest naszym najbardziej skrupulatnym pracownikiem! — wykrzyknął z dumą Fields.

— To pewne, oto dowód — stwierdził Chapman, opierając dłonie na pasie z nabojami. — Przydałby mi się ktoś taki jak pan, Osgood. Moi pracownicy to bezwartościowe i beznadziejne kreatury. A teraz zastanówmy się, co zrobić, by natychmiast odczytać ten tekst.

Fields poinformował go, że stenografowie, do których się zwrócili, nie zdołali nic zrozumieć, poza tym nie należało pokazywać im zbyt dużo.

— Absolutnie, w żadnym wypadku nie można dopuścić, by ktokolwiek wyczuł pismo nosem! Kancelista! — Chapman wychylił głowę przez drzwi i zaczął czekać, aż ktoś się pojawi. I choć stawił się pracownik z działu rachunkowości, angielski wydawca pstryknął palcami i zażądał:

— Mógłbyś pan przynieść tu trochę szampana? — po czym zamknął drzwi za zażenowanym pracownikiem i nie ustąpił, póki nie udało mu się ponownie pochwycić dłoni obu wydawców w swój żelazny uścisk myśliwego. — A więc, dżentelmeni. Toż to będzie historyczne wydarzenie! Długo po tym, jak po nas wszystkich — wybaczcie mi ponurać — nie zostanie już śladu, dzięki tym oto stronicom nasze nazwiska wciąż będą szanowane. Zakończenie ostatniej powieści Dickensa udostępnił całemu światu! To jest triumf.

Tak się składa, że znam kilku protokolantów sądowych, którzy razem z Dickensem pracowali jako stenografowie przed trzydziestu laty; kilku z nich próbowało pokonać młodszego rywala, skopiować jego wersję metody stenograficznej. Niektórzy, choć wraz z upływem lat głowy im posiwały, wciąż wiodą spokojną egzystencję w Londynie i znam ich osobiście. Nie mam wątpliwości, że za odpowiednią stawkę uda im się „przetłumaczyć” ten tekst.

— Z naszej strony zobowiązuję się do hojnej dotacji na ten cel — zadeklarował Fields.

— Wspaniale. Zarezerwuję sobie miejsce na wcześniejszy rejs powrotny, by bezzwłocznie zająć się sprawą — oznajmił Chapman. — Zapewne skopiował pan ten rozdział, prawda?

Fields pokręcił głową.

— Prawdę mówiąc, zapis jest tak dziwnej natury, że wszelkie kopie byłyby całkowicie bezużyteczne. Niedokładnie oddane przecinki, linie i zawijasy uczyniłyby słowa czy całe ustępy zupełnie nieczytelnymi. Jakby analfabeta przepisywał tekst z chińskiego pergaminu. Być może rzecz powiodłaby się, gdyby dwóch czy trzech najbieglejszych kopistów uczyniło to wspólnie, sprawdzając po sobie nawzajem. Jednak najlepsi bostońscy specjaliści w tej dziedzinie są także najbardziej chciwi i ryzykowne byłoby im zaufać.

— Nie skopiował pan tekstu nawet własnoręcznie? — dopytywał się zaskoczony Chapman.

— Pan Fields nie może, ze względu na dłoń — wyjaśnił Osgood. — Nie wiedzieliśmy o pana przyjeździe, panie Chapman. Ja bym spróbował, ale nawet sama próba zajęłaby mi pewnie ze dwa tygodnie.

— A przebijanie przez kalkę nie wchodzi w grę — zauważył Chapman — gdyż stronicze te nie były przechowywane w odpowiednich warunkach w miejscu, w którym je pan znalazł —



gdziekolwiek to było — i chemikalia stosowane w tej metodzie mogłyby zmieszać się z atramentem. Nic nie szkodzi, oryginał będzie bezpieczny, nieosiągalny nawet dla waszych piratów. Niechby tylko ze mną spróbowali!

Włożył tekst do walizki. Natychmiast po dokonaniu tłumaczenia prześle je przez prywatnego, całkowicie godnego zaufania posłańca do Bostonu, aby wydanie Fieldsa, Osgooda & Co mogło ukazać się na długo przed jakimikolwiek pirackimi egzemplarzami.

— Niech mi pan powie — tak dla zabawy, zanim ostatecznie poznamy prawdę — jak według pana kończy się ta opowieść? — zapytał Chapman, gotując się do wyjścia z gabinetu, gdy asystent podawał mu płaszcz i filcowy, brązowy kapelusz z elegancką niebieską wstążką. — Proszę nam powiedzieć, czy według pana Drood przeżyje, czy na końcu umrze?

— Nie wiem, czy on przeżyje, czy umrze — odrzekł Osgood. — Ale nie mam wątpliwości, że nie jest martwy.

Zarzucając dubeltówkę na ramię, Chapman przytaknął, ale poruszał ustami, jakby zaskoczony powtarzał enigmatyczną odpowiedź.

Kilka minut po odejściu gościa Osgooda nagle ogarnęło jakieś niejasne uczucie. Tak silne, że aż poderwał się zza Biurka. Stał, spoglądając na wewnętrzne strony swych dłoni i blizny po ostatnich wypadkach.

Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale coś kazało mu ruszyć przez hol. Pospieszenie schodził schodami, omijając idących wolniej; przebiegł przez pomieszczenie recepcji obok lśniących gablot ze zbiorami książek Tickonora & Fieldsa, a także Fieldsa & Osgooda, i wypadł na ulicę przez główne drzwi; przepchnął się obok sprzedawców orzeszków, minął włoskiego kataryniarza i badawczo mierzył wzrokiem twarze bostońskich turystów w jaskrawych czepkach

i jasnych kapeluszach, przechadzających się wzdłuż Common pod rzucającymi cień wiązami na Great Mall i przypatrujących się wieiórkom, które rywalizowały o okruszki i żałośnie dopraszały się następnych — w mieniącym się odcieniami świetle letniej scenerii wypatrywał Freda Chapmana. Doszedł aż do namiotów wędrownego cyrku, mieszczących przegrzane zwierzęta i tłumy odwiedzających.

Niemożliwe było domyśleć się, co w jego własnych słowach zaniepokoiło Jamesa Osgooda, nie dając mu spokoju. Nie miałyby to zresztą znaczenia, gdyż rosły człowiek z Londynu i kartki zamknięte w jego walizeczce już znikły.

# CZEŚĆ SZÓSTA

Ponizej opublikowano wszystko, co zachowało się z *Edwina Drooda*. Poza pewnymi zawartymi w tekście wskazówkami co do losów bohatera nie mamy nic więcej; i uważa się, że spełniono najgorętsze życzenie autora, przedstawiając czytelnikowi *Tajemnicę Edwina Drooda* niedokończoną, bez dalszych rozważań czy sugestii. Opowieść nie posiada zakończenia: tajemnica pozostanie niewyjaśniona.

Wydanie z roku 1870 *Tajemnica Edwina Drooda*

Tylko pierwszych sześć odcinków opublikowanych przez Fieldsa, Osgooda & Co.

BOSTON, GRUDZIEŃ 1870 ROKU, PIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Przechodząc przez wystawnie urządzone foyer, mężczyzna o falującej, posiwiałej brodzie taktownie zatrzymał się przy pierwszym biurku. — Czy zastałem pana Clarka? Skierował pytanie do chłopca na posyłki, ewidentnie pochodzącego z Nowej Anglii, który miał dwa marzenia: by dożyć dnia, w którym wreszcie ukończy trzynaście lat, i napisać własną książkę, podobną do tych zamkniętych w lśniących gablotach. Jak na razie zadowalał się siedzeniem na krześle i czytaniem jednej z tychże powieści.

— Chyba nie — rzucił w odpowiedzi, zbyt zaabsorbowany lekturą, by unieść wzrok.

— Mógłby pan mnie poinformować, kiedy wróci?

— Chyba nie.

— W takim razie zastałem może pana Osgooda lub pana Fieldsa?

— Pan Osgood wyszedł w interesach, a panu Fieldsowi nie wolno dzisiaj przeszkadzać, nie wiem dlaczego.

— No cóż — przybyły prychnął pod nosem. — W takim razie powierzę te ważne dokumenty panu, sir.

Chłopak spojrział na wspomniane papiery i ze zdziwioną, wręcz zdumioną miną wziął do ręki leżącą na nich wizytówkę.

— Pan Longfellow — przeczytał i na równe nogi zerwał się ze stołka. Wbił w przybysza wzrok z taką samą intensywnością, jaką rezerwował dla czytanej książki. — A niech to, jak Boga Kocham!

Twierdzi pan... naprawdę jest pan panem Longfellowem?

— Ano jestem, młody człowieku.

— O rety! Kto by pomyślał! A ile miał pan lat, pisząc *Hajawatę*? Chciałbym to wiedzieć.

Odpowiedziawszy na to i inne palące pytania chłopca na posyłki, poeta zawrócił w stronę głównego wejścia i przygotowując się na zimny wiatr, szczelnie otulił się swym grubym płaszczem i głębiej nasunął kapelusz.

— Drogi panie Longfellow!

Poeta uniósł wzrok i ujrzał wchodzącego do firmy Jamesa Osgooda. Przywitał się z młodym wydawcą.

— Zechce pan wstąpić na górę? Rozgrzeje się pan trochę w Pokoju Autorów, bardzo proszę, panie Longfellow — zaproponował Osgood.

— Pokój Autorów — powtórzył Longfellow, uśmiechając się w rozmarzeniu. — Ile to czasu minęło, odkąd spędzałem tam miłe chwile w towarzystwie przyjaciół! Świat był wtedy krainą przyjemności, a rzeczy były takimi, na jakie wyglądały. Właśnie zostawiłem pewne dokumenty dla pana Clarka, wymagające jego podpisu. Teraz powinienem wracać do Cambridge, do moich dziewczynek.

— Jeśli pan pozwoli, odprowadzę pana kawałek. Nawet nie zdążyłem zdjąć rękawiczek.

Osgood wziął poetę pod ramię i wychodząc na Tremont Street, zanurzyli się w wietrzną aurę popołudnia. Przedmiotem ich rozmowy, przerywanej mroźnymi porywami wiatru, wnet stała się *Tajemnica Edwina Drooda*. Wydanie Fieldsa, Osgooda & Co ukazało się przed kilkoma miesiącami.

— Zdaje się, że zakłóciłem pańskiemu chłopcu na posyłki rozkoszowanie się dziejami Drooda — napomknął Longfellow.

— Ach, tak. Mały Rich — jeszcze dwa lata temu nawet nie widział szkolnej ławki, a teraz polyka książkę na tydzień. Jak dotąd najbardziej spodobał mu się *Drood*.

— To z pewnością jedna z piękniejszych książek pana Dickensa, jeśli w ogóle nie najlepsza. Odczuwam smutek na myśl, że pióro wypadło mu z ręki, pozostawiając dzieło nieukończonym — wyznał poeta.

— Kilka miesięcy temu w moim posiadaniu znalazły się końcowe strony — wyrwało się Osgoodowi, choć właściwie nie miał zamiaru ujawniać tej informacji. Bo co mógłby więcej powiedzieć? Że Fred Chapman zabrał rękopis z powrotem do Anglii? Ze na pokładzie doszło do wypadku i zniszczeniu uległo kilka sztuk bagażu, łącznie z kufrem, w którym znajdował się *Drood*? — Wtrącił się okrutny los — dokończył niejasno.

Longfellow zamilkł i odpowiedział dopiero po chwili, mocniej przyciskając ramię Osgooda, jakby zamierzał powierzyć mu jakiś sekret.

— To nawet lepiej.

— Co pan przez to rozumie?

— Czasami myślę sobie, drogi panie Osgood, że najlepsze powieści nie posiadają zakończenia. Jedynie sprawiają takie wrażenie — dla dobra ogółu. Gdyby nie wydawcy, żaden pisarz nigdy nie dojrzałby do końca. Mielibyśmy tylko pisarzy, a żadnych czytelników. Więc nie należy ronić nad *Droodem* łez. Przeciwnie, to powód do radości — czytelnik, wyobrażając sobie idealne zakończenie, będzie zadowolony, mając w głowie własną wersję. I taki stan rzeczy być może bardziej jest właściwy, niż gdyby słowo „koniec” wydrukowano Bóg wie jak wielkimi literami. A wam udało się na tym skorzystać!

Rzeczywiście, ich wydanie *Drooda* pod każdym względem okazało się olbrzymim sukcesem, przekraczającym wszelkie oczekiwania, co wiązało się z wydrukowaniem przez wydawnictwo wielkiej

liczby egzemplarzy, koniecznych do zaspokojenia popytu. Najwyraźniej wieści o prowadzonych przez Osgooda niezwykłych poszukiwaniach zakończenia powieści wyciekły na zewnątrz, do środowiska branżowego — a zaczęło się od pirata książkowego o pseudonimie Melasa. Różne wersje misji Osgooda, niektóre zgodne z prawdą, a inne będące odbiciem szalonych pogłosek, ukazały się zebrane w długim artykule — pierwszym traktującym o duchu wydawniczym — zamieszczonym przez pana Leypoldta w jego tygodniku o dopiero co zmienionej nazwie: „Tygodniowy informator handlowy dla wydawców”, przyciągając tysiące nowych czytelników i sprawiając, że wieści te powtórzyły najważniejsze gazety i periodyki we wszystkich miastach. To z kolei ściągnęło ogromną uwagę i zainteresowanie na wydane przez Osgooda i Fieldsa *Drooda* — tymczasem pirackie edycje Harperów, przeznaczone do dystrybucji przez domokrażców i komiwojażerów, pokrywały się kurzem. Egzemplarze Fieldsa i Osgooda wypełniały frontowe wystawy księgarni, wypierając na tyły indyjskie tkaniny i pudełka cygar.

Dodatkowe zainteresowanie fachowych czasopism nie tylko podniosło sprzedaż *Drooda*, ale przyciągnęło nowych autorów, którzy chcieli, by wydawał ich ktoś pokroju Osgooda — zainteresowanie okazali między innymi Louisa May Alcott, Bret Harte i Anna Leonowens. Obecnie Osgood właśnie negocjował warunki wydania powieści pana Samuela Clemensa.

W tym zawodzie tego rodzaju sukces był prawdziwą rewelacją. Firma nie tylko przetrwała, ale jeszcze rozkwitła.

Gdy rozstawszy się z Longfellowem, Osgood powrócił na Tremont Street 124 i właśnie wieszal płaszcz, powitał go zaufany kancelista, który zastąpił pana Midgesa.

— Pan Fields życzy sobie natychmiast pana widzieć — zaanonsował.



Osgood podziękował pracownikowi i zaczął się oddalać, ale ten jeszcze zawołał za nim:

— Och, panie Osgood, windziarz wyszedł. Czy potrzebuje pan pomocy przy manewrowaniu kabiną?

Osgood rzucił okiem na windę, niedawno zainstalowaną we wschodnim skrzydle budynku firmy.

— Dziękuję — odrzekł. — Lepiej pójde schodami.

Przemierzając korytarze, wypatrywał Rebeki, którą Fields przed kilkoma tygodniami awansował z buchalterki na recenzentkę przychodzących tekstów. Zajmujący się tym zwykle pracownik przez dwa tygodnie był chory. Rebeka zrobiła wrażenie na Fieldsie swą oceną manuskryptów przeznaczonych do „Atlantycu”.

Od powrotu z Anglii kontakty Osgooda i Rebeki pozostawały wzorem profesjonalizmu, zachowania dystansu i przyzwoitości, komunikowali się zawsze przy otwartych drzwiach, by wszyscy mogli ich widzieć. Ale oboje zaznaczyli na kalendarzach zdobiących ich biurka tę samą datę, 15 maja 1871 roku, około sześciu miesięcy od chwili obecnej: w tym dniu zegar wyznaczy uprawomocnienie się jej rozvodu, czyniąc go tak oficjalnym jak złota kopuła State House. Oczekiwanie okazało się źródłem ogromnej ekscytacji. Sekret był fascynujący, dodatkowo podsycił ich wzajemną miłość. Każdy kolejny dzień o dwadzieścia cztery godziny przybliżał ich do nagrody w postaci nieskrępowanych zalotów.

Wchodząc do biura starszego wspólnika, Osgood westchnął, całkiem podświadomie, pomimo najświeższych sukcesów wydawnictwa.

— Dzisiejsze statystyki ukazują, że sprzedaż ostatniej powieści Dickensa jeszcze bardziej, wręcz niezwykle, wzrosła — oświadczył Fields. — A jednak myślami zdajesz się pan być daleko.

— Być może.  
— A więc gdzie to się podziewasz?  
— Zagubiony na morzu. Panie Fields, muszę wyznać, co leży mi na sercu. Według mnie całkiem możliwe, że bagaż Frederica Chapmana w ogóle nie doznał uszczerbku.

— Tak?  
— Nie wierzę, by tamtym stronicom cokolwiek się przydarzyło. Nie mam dowodów, tylko podejrzenie. A może tak podpowiada mi instynkt.

Fields w zamyśleniu pokiwał głową. Na twarzy starszego wspólnika widać było ślady zmęczenia.

— Rozumiem.  
— Pewnie uważa pan, że jestem niesprawiedliwy wobec tego dżentelmena — ciągnął nieśmiało Osgood.

— Freda Chapmana? Nie znam go lepiej od pana, więc nie wiem, czy to dżentelmen, czy oszust.

— A jednak nie wydaje się pan ani trochę zaskoczony moją ostrą uwagą!

Fields ze spokojem przyjrzał się wspólnikowi.

— Otrzymaliśmy telegramy donoszące o zalaniu pokładu tego parowca.

— Wiem. Jednak pan też coś podejrzewał — stwierdził Osgood. — Od samego początku. Prawda?

— Mój drogi Osgoodzie. Siadaj pan. Czytałeś książkę Forstera o życiu Dickensa?

— Woląłem się powstrzymać.

— No tak, on niemal nie wspomina naszego amerykańskiego tournée. Ale zamieszcza tekst umowy Dickensa z Chapmanem.

„Jeśli wspomniany Charles Dickens umrze w czasie tworzenia wyżej wymienionej pracy, *Tajemnicy Edwina Drooda*, lub z innego powodu okaże się niezdolny do ukończenia tejże pracy, to żeby,

jak zostało ustalone, książka mogła ukazać się w druku w dwunastu miesięcznych odcinkach, względnie w przypadku jego śmierci, niezdolności lub odmowy dalszej pracy, osoba wyznaczona przez Prokuratora Generalnego Jej Królewskiej Mości ustali kwotę należną do zapłaty przez Charlesa Dickensa, wykonawców jego ostatniej woli lub administratorów na rzecz wymienionego Frederica Chapmana, jako właściwą rekompensatę za taką część wymienionego dzieła, która nie zostanie ukończona do celów publikacji”. Osgood odłożył książkę.

— Jest tak, jak mówił Major, książki staną się zwykłym towarem. Chapman otrzyma podwójną zapłatę! — wykrzyknął.

— Zgadza się — przyznał Fields. — Zarobi na sprzedaży powieści i dostanie pieniądze z majątku Dickensa w ramach rekompensaty za brak zakończenia. Z drugiej strony, gdyby załączył ostatni rozdział, aby cały świat mógł się z nim zapoznać, to wykonawcy ostatniej woli — czyli Forster, który nie przepada za Chapmanem, uważając go za jeszcze jednego niegodnego konkurenta do rywalizacji o względy Dickensa — twierdziliby, że nawet bez wszystkich sześciu końcowych odcinków rozdział ostatni dowodzi, iż Dickens powieść dokończył i Chapmanowi nie należy się z majątku pisarza nawet ćwierć pensa. I to jeszcze nie wszystko. Niech pan tylko pomyśli. Nowa książka Dickensa to nowa książka Dickensa — coś wyjątkowego. Jednak niedokończona powieść Dickensa jest tajemnicą samą w sobie. Te wszystkie spekulacje, ta sensacja! Zainteresowanie, jakim cieszy się edycja Chapmana, jest nieocenione!

— I nie musi zмагаć się z piratami, tak jak my tutaj, pozbawieni praw autorskich do twórczości pana Dickensa — dodał Osgood.

— To prawda — zgodził się Fields.

— Myślisz więc pan, że tekst, który mu przekazaliśmy, ten ostatni rozdział, nadal istnieje?

— Być może uległ zniszczeniu w wypadku. Nigdy się nie dowiemy. Chyba że... no cóż, mówisz pan o podwójnej zapłacie i nie mylisz się pan. I nie da się wykluczyć nawet potrójnej. Kto wie, jeśli pewnego dnia — może za kilka miesięcy, za dziesięć, a nawet za sto lat — firma pana Chapmana lub jego spadkobierców znajdzie się w finansowej potrzebie, czy nie wydadzą „rozwiązanej” zagadki zakończenia *Tajemnicy Edwina Drooda*, wzbudzając wielki entuzjazm czytelników! Ostatecznie powieściowy zbrodniarz prawdopodobnie zostanie skazany!

Osgood przemyślał tę uwagę.

— Musi być coś, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

— Ależ zrobiliśmy. Dzięki panu i panie Sand osiągnęliśmy sukces.

Dopiero teraz Osgood zauważył, że Fields ścisną pióro w swej wychudłej dłoni.

— Drogi panie Fields, nie powinien pan męczyć się pisaniem. Wie pan, że pani Fields kazała mi dopilnować, by dbał pan o swoją dłoń. Mogę ponownie wezwać pańską kancelistkę lub sam się tym zajmę.

— O nie, nie, dziękuję, ale tę ostatnią rzecz muszę napisać osobiście, choćbym już nigdy więcej nie miał wziąć pióra do ręki! Czuję się zmęczony, dziś pójdę do domu wcześniej i będę spał jak nasze stare pręgowane kocisko. Ale, ale, najpierw wręczone panu prezent, po to przecież pana wezwałem.

Uniósł parę bokserkich rękawic. Osgood, śmiejąc się pod nosem, nie wiedział, co powiedzieć.

— Proszę je wziąć, Osgood.

Fields przesunął przez biurko kawałek papieru. Na nim, z trudem nabazgrany jego własnym pismem, widniał projekt emblematu na papier firmowy.

James Osgood  
and Company  
124 Tremont Street

— Pomogła mi go zaprojektować ta oto utalentowana i czarująca młoda dama — powiedział starszy wspólnik.

W drzwiach stanęła uśmiechnięta Rebeka w białej, kaszmirowej sukni i z kwiatem w wysoko upiętych, czarnych puklach. Osgood, zapomniawszy o potrzebie zachowania powściągliwości, ujął jej dłoń w obie ręce.

— Co pan czuje, drogi Ripleyu? — zapytała bez tchu.

— Tak, nie bądź pan nieśmiały — zachęcał Fields. — Co pan o tym myślisz? Proszę mówić uczciwie. Jest pan zaskoczony, drogi Osgoodzie?

Do drzwi zapukał chłopiec na posyłki, z trudem przytrzymując nieporęcznie zapakowaną paczkę, niemal tak dużą jak on sam.

— A, Rich — zauważył Fields. — Powiedz Simmonsowi, by powiadomił Leypoldta, że mamy dla niego coś nowego. Co to takiego? — zapytał, patrząc na paczkę. — Jesteśmy akurat bardzo zajęci pewnymi uroczystymi nowinami.

— Chyba jakaś paczka. No, adresowana do... — chłopiec zaczął niepewnie, zacinając się. — Do Jamesa R. Osgooda and Company, psze pana.

— Co takiego? — wykrzyknął Fields. — Niemożliwe! Cóż to za współczesny Tejrezjasz zdążył się już dowiedzieć? Jakiś osobnik o większej liczbie oczu od samego Argusa?

Osgood powoli zdejmował warstwy papieru, tak zmarznęte podczas zimowej podróży, że mogłyby być cienkimi taflami lodu. Spod ostatniej wyłoniło się żelazne popiersie czcigodnego Benjamina Franklina, bez okularów, spoglądającego spod oka i ściągającego usta.

- To statuetka z biura Harpera — stwierdził.
- Najcenniejszy nabytek Majora! — wykrzyknął Fields zdziwiony i zaskoczony.
- Jest i wiadomość — zauważył Osgood i przeczytał ją na głos.

„Gratuluję sukcesu, panie Osgood. Przez jakiś czas proszę się dobrze tym opiekować. Upomnę się o zwrot, gdy połknę pańską firmę. Zawsze czujny, pański uniżony przyjaciel Fletcher Harper, Major”.

U góry kartki widniał rysunek wiecznie płonącej pochodni — znak firmowy Harperów.

- Harper! Jakim sposobem już się dowiedział? Przynieście młotek! — zażądał Fields. — Niech go szlag!

Osgood ze spokojem pokręcił głową i uśmiechnął się beznamiętnie.

- Nie, drogi panie Fields. Niech to sobie tutaj stoi. Coś mi się zdaje, że pozostanie z nami na zawsze!

## *Nota historyczna*

9 czerwca 1870 roku Charles Dickens w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat zmarł na udar w swoim rodzinnym majątku na angielskiej prowincji. Niewątpliwie był najbardziej poczytnym autorem swej epoki. Po jego śmierci winę za pogorszenie się stanu zdrowia pisarza niektórzy przypisywali wyczerpującej pożegnalnej podróży po Stanach Zjednoczonych, podczas gdy inni wskazywali na stres, w jakim Dickens pracował nad ostatnią powieścią. Zanim ostatecznie zasłabł, napisał pierwszych sześć z dwunastu zaplanowanych odcinków *Tajemnicy Edwina Drooda*, najsłynniejszej niedokończonej powieści w dziejach literatury.

W *Zagadce Dickensa* autor stara się jak najdokładniej przedstawić postać Charlesa Dickensa i atmosferę otaczającą jego życie i śmierć. Język pisarza, jego czyny, a także osobowość przedstawione w tej powieści opierają się na wielu autentycznych załączonych tutaj rozmowach i rzeczywistych zachowaniach. Opis charakterystycznej pożegnalnej podróży po Stanach Zjednoczonych (1867-1868) oparto na wizytach w miejscach takich jak Parker House, gdzie Dickens mieszkał w Bostonie (obecnie Omni Parker House), a relację poszerzono o listy, rachunki, artykuły z gazet i wspomnienia uczestników tournée, George'a Dolby'ego i Jamesa i Annie Fieldsów. Tak więc większość opisanych zdarzeń tej podróży zdarzyła się w rzeczywistości, łącznie z uratowaniem przez Dickensa pozostawionych samym sobie zwierząt i jego wizytą wraz z Oliverem Wendellem Holmesem w Harvard Medical College.

Wspomniany w kilku rozdziałach incydent związany z nękaniami pisarza bazuje na kilku autentycznych spotkaniach z bogatą

bostońską wielbicielką Dickensa, niejaką Jane Bigelow, która stała się prototypem fikcyjnej postaci Louisy Barton. Pewien poborca podatkowy szantażował pracowników pisarza, jednocześnie planując aresztowanie ich pod zarzutem nieuiszczenia podatku federalnego od rozrywki. Kieszonkowy dziennik Dickensa na rok 1867 rzeczywiście znikł w Nowym Jorku w przytoczonym czasie, pojawiając się ponownie, nie wiadomo skąd, pięćdziesiąt lat później na pewnej aukcji (obecnie wchodzi w skład kolekcji Berga w Bibliotece Publicznej w Nowym Jorku).

Historyczne postacie w tej powieści to James R. Osgood, państwo Fieldsowie, Harperowie, Frederic Chapman, John Forster, Georgina Hogarth, Frederick Leypoldt, personel z podróży Dickensa — Dolby, Henry Scott, Richard Kelly, George Allison, a także dzieci pisarza — Frank, Katie i Mamie — wszyscy oni pojawili się na kartach tej książki po dokładnym zbadaniu ich prywatnego i zawodowego życia. Postacie fikcyjne, łącznie z Tomem Branaganem, Rebeką i Danielem Sandem, Arthurem Grunwaldem, Jackiem Rogersem, Hermanem Żelazna Głowa i Marcusem Wakefiel-dem, są wynikiem studiów nad epoką. Rebeka reprezentuje prawdziwe osiągnięcia i wyzwania stojące przed nową klasą niezamężnych, pracujących kobiet w Bostonie w połowie i pod koniec XIX wieku, jak również sytuację rozwódek. Autor opisał historyczne przełomy, jakie w tym czasie nastąpiły w międzynarodowym handlu opium i jego przejawach w Anglii i w Indiach Brytyjskich, a także w świecie wydawniczym.

Fields, Osgood & Co w roku 1867 dostali od Dickensa wyłączną zgodę na publikację jego książek w Stanach Zjednoczonych, co wywołało spory z ich konkurentami, firmą Harper & Brothers. Dickens zaproponował królowej Wiktorii, że wyjawi jej zakończenie *Tajemnicy Edwina Drooda*, zanim poznają je szerokie rzesze czytelników, ta jednak najwyraźniej oferty nie przyjęła. Ponieważ *Drood* nie został ukończony, wciąż pojawiały się i mnożyły teatralne wersje i „spirytualne” rewelacje. Krążyła plotka, jakoby Dickens dokończył większą część powieści, niż podano do publicznej



wiadomości. Podczas gdy przedstawione w *Zagadce Dickensa* prowadzone przez Osgooda poszukiwania wskazówek co do dalszego ciągu *Drooda* są wytworem wyobraźni, wiele kluczowych elementów tego wątku ma podłoże historyczne i naukowe. Dickens wiernie oddał palarnię opium i jej postacie, wzorując się na istniejącej w rzeczywistości londyńskiej melinie, którą odwiedził, a którą prowadziła kobieta o imieniu Sally – lub Opiumowa Sal; źródłem dziejów zniknięcia Edwina Drooda może być także pewna krążąca w Rochester legenda o szczątkach bratanka pewnego człowieka, które znaleziono zamurowane w jego domu. Właściciel Falstaffa, gospody mieszczącej się naprzeciwko majątku Gadshill, to William Stocker Trood, który miał syna o imieniu Edward. Statuetka Dickensa, *Turek w pozycji siedzącej, palący opium*, została wraz z innymi rzeczami z majątku pisarza sprzedana na aukcji w Christie, Manson & Woods w Londynie 8 lipca 1870 roku. Figurkę, a także gęsie pióro, którym Dickens pisał *Drooda*, można obecnie oglądać w Muzeum Charlesa Dickensa w Londynie; jego laska z odkręcaną rączką znajduje się w Bibliotece Houghton w Harvardzie.

W formie książkowej *Tajemnica Edwina Drooda* ukazała się pod koniec roku 1879, w Londynie, wydana przez Chapmana & Halla, a w Bostonie przez Fieldsa, Osgooda & Co; po bostońskiej publikacji pojawiła się nieautoryzowana edycja Harper & Brothers z Nowego Jorku. Jak podano w powieści, pod koniec roku 1879 Fields przeszedł na emeryturę, a Osgood został właścicielem Osgood & Co. W roku 1926 Chapman & Hall ogłosili, że w ich posiadaniu, zamknięta w sejfie, nadal znajduje się oryginalna umowa z Dickensem, dotycząca *Tajemnicy Edwina Drooda*, jednak nie pokazali jej publicznie. Niecały rok później Chapman & Hall oświadczyli, że już nie mogą odszukać tej umowy. Pojawiające się w ciągu wielu lat po śmierci Dickensa rozmaite nowe dowody nie zdołały wyjaśnić jego intencji w kwestii zakończenia *Tajemnicy Edwina Drooda*. Związane z tą powieścią i jej zakończeniem znaki zapytania dzisiaj, tak jak niegdyś, pozostają bez odpowiedzi.

## *Podziękowania*

Miałem to szczęście, pracując nad powieścią osadzoną w epoce bezwzględnej konkurencji wśród firm wydawniczych, że projekt mój cieszył się dużym poparciem osób profesjonalnie zajmujących się książkami, a więc mojej agentki Suzanne Gluck — niezwykle lojalnej i przedsiębiorczej, edytorki Jennifer Hershey — przenikliwej, kreatywnej i podejmującej wyzwania, a także Giny Centrello, która okazała się moją gorliwą orędowniczką. Nieustającego wsparcia i wskazówek udzielał mi Stuart Williams z Harvill Seeker. Wiele osób starało się mi pomóc, dzieliło się ze mną swymi przemyśleniami. Byli to, w Random House: Avidah Bashirrad, Lea Beresford, Sanyu Dillon, Benjamin Dreyer, Richard Elman, Laura Ford, Jennifer Huwer, Vincent La Scala, Sally Marvin, Libby McGuire, Annette Melvin, Courtney Moran, Gene Mydlowski, Jack Perry, Tom Perry, Carol Schneider, Judy Sternlight, Beck Stvan i Jane von Mehren oraz Amy Metsch z Random House Audio; w Harvill Seeker: Matt Broughton, Liz Foley, Lily Richards; w agencji Williama Morrisa: Sarah Ceglarski, Georgia Cool, Raffaella De Angelis, Michelle Feehan, Tracy Fisher, Eugenie Furriiss, Evan Goldfried, Alicia Gordon, Erin Malone, Elizabeth Reed, Frances Roe, Cathryn Summerhayes, Liz Tingué.

Opinie i pomysły konsultowałem ze wspaniałym zespołem czytających tekst, w którego skład ponownie weszli Benjamin Cavell, Joseph Gangemi, Cynthia Posillico i Ian Pearl — udowadniając, że nic sobie nie robią z krytycznych uwag osób zazdroszczących im wspaniałej umiejętności; tym razem do tego utalentowanego grona dołączyli błyskotliwi Louis Bayard i Erie Dean Bennet.

Przy sprawdzaniu danych i w kompleksowych badaniach nieoczniona okazała się Gabriela Gage, wspierając przedsięwzięcie swą wytrwałością, pomysłowością i cierpliwością. Przez cały czas towarzyszyli mi Susan i Warren Pearl, Marsha Wiggins i Gustavo Turnen zachęcając zarówno do pracy, jak i odpoczynku. Pozostaje niewypowiedziane wdzięczny Tobey Pearl, która od pierwszego do ostatniego słowa pomagała mi pokonywać kolejne trudności.

Wiele zawdzięczam wynikom ponadstuletnich badań nad Charlesem Dickensem i *Tajemnicą Edwina Drooda*, zwłaszcza materiałom, które ukazały się w periodykach „Dickensian” i „Dickens Studies Annual”, a także pracom Arthura Adriana, Sydneya Mossa, Freda Kapłana, Dona Richarda Coksa, Roberta Pattena i Duane Devries, przy czym ostatnia trójka uczonych uprzejmie zechciała, drogą prywatnej korespondencji, odpowiedzieć na moje dodatkowe pytania. Miałem zaszczyt korzystać z zasobów biblioteki Uniwersytetu Harvarda (Harvard University) i Biblioteki Bostońskiej (Boston Public Library). Swoje materiały udostępniło mi Towarzystwo Miłośników Bostonu (Bostonian Society), Biblioteka Filadelfii (Philadelphia Free Library) oraz Muzeum Dickensa w Londynie.

Powieść tę dedykuję wszystkim moim nauczycielom języka angielskiego.

